



FELIKS W. KRES
**PORZUCONE
KRÓLESTWO**

Feliks W. Kres
Porzucone królestwo
Księga całości

Porzucone królestwo

Copyright © by Feliks W. Kres

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Ilustracje map: Maria Łepkowska

Ilustracja na okładce: Andrzej Grabowski

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-73-6

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Mapa

Prolog

Trwała jeszcze wiosna w całej pełni, ale na Agarach, zwanych czasem wyspami na końcu świata, nic na to nie wskazywało; można by przysiąc, że nastąpiła jesień, królowa burz. Nie pamiętano tak długiego okresu złej pogody o tej porze roku. Sztormy przewalały się po Bezmiarach. Pośród mroku, pod zaciągniętym chmurami niebem, zwieńczone pianą bałwany tłukły łbami o wysoki klif.

Gdy mężczyźni wypłynęli w morze
Po swą walkę, zdobycz i chwałę,
Gdy zniknęły maszty okrętów,
Kobiety znowu czekały.

Gdy mężczyźni daleko na morzu
W pocie czoła żagle stawiali,
Ich kobiety stawały na klifie.
Kobiety tylko czekały.

Gdy mężczyźni uczepieni wantów
Nowe lądy witali z daleka,
Ich kobiety nie zmagaly się z linami.
Kobiety musiały tylko czekać.

Gdy strzaskane sztormami żaglowce
Na dnie oceanu spoczywały,
Na klifie żony żeglarzy
Wciąż czekały, czekały, czekały...

Ileż takich smutnych pieśni powstało w zakątkach Szereru, do których dociera słona bryza...

Nadciągał wieczór, pogłębiając ciemności. Jej wysokość księżna Alida pani na Agarach czekała na męża, który powiodł w morze wojenną eskadrę.

Księżna nie ufała Bezmiarom i nie kochała ich, choć wiernie strzegły granic jej włości. Stojąc na urwisku, odgadywała spojrzeniem zatopiony horyzont, rozmawiając z dwiema innymi kobietami.

Żaglowce już od tygodnia powinny cumować w porcie.

Sylwetka ogromnego mężczyzny niewyraźną plamą odcięła się od pochmurnego nieba. Towarzyszące księżnej kobiety były prostymi mieszczkami, które tylko tutaj i tylko przez chwilę mogły być jej równe — bo tak samo czekały na swych mężczyzn. Lecz ujrawszy

nadchodzącego, pokłoniły się swojej pani i uciekły. Niewysoka władczyni Agarów uniosła rękę, ujęła olbrzyma pod ramię i zabawnie oparła głowę o jego łokieć.

— Jak nie wróci, wezmę sobie ciebie — powiedziała smutno i figlarnie zarazem. — Chcesz być księciem wyspy, królu gór?

Wiatr potargał jej jasne włosy. Od dwóch dni nie miał siły wichru, ale spienione fale pod urwiskiem chyba o tym nie wiedziały. Czarne morze gotowało się niczym trucizna w wielkim kotle.

— W ogóle nie umiem pływać.

— A co umiesz? Mm?

— Nic, co przydałoby się tutaj komukolwiek. — Olbrzym nie znał się na żartach, albo miał podły nastrój, w każdym razie nie podjął przekomarzań. — Pora na mnie, wasza wysokość.

Zadarła głowę, próbując w gęstniejącym mroku wyczytać coś z twarzy mężczyzny.

— Chcesz... wracać?

— Czekam tylko na powrót Raladana. I pierwszy statek, który popłynie z Aheli dokądkolwiek, byle wysadził mnie w Dartanie.

— Myślałam, że znalazłeś wreszcie swój dom. Ojca, przyjaciół... To ten kot! — powiedziała z niechęcią. — On cię namówił, prawda?

— Ten kot, wasza książęca wysokość, jest moim bratem od dwudziestu paru lat.

Miał pasujący do sylwetki, głęboki i silny głos. Mówił wyraźnie, nieśpiesznie. Bardzo lubiła go słuchać.

— Niepotrzebnie dałam ci ten list od niego. A kiedy mówisz „wasza książęca wysokość”, to od razu wiem, że nie warto z tobą rozmawiać. No... — zmitygowała się — czasem, co prawda, chcesz mi tylko podokuczać. Hej, dzielny strażniku! — zawołała głośniejszym głosem, zwracając się ku kępie ostrych nadmorskich traw.

Wysoki i potężny mężczyzna, którego nie dało się nazwać olbrzymem tylko w obecności towarzysza księżnej, podniósł się z ziemi. Uzbrojony po zęby, od wielu lat był jej przybocznym gwardzistą. Skinął głową i poszedł pierwszy. Mała kawalkada ruszyła ku nieodległym murom twierdzy nadbrzeżnej.

— Grevie, czy jeśli wyjednam zgodę twojej pani, zechcesz posiłkować się dziś ze mną? Nikt tutaj nie potrafi wyłoić mi skóry tak jak ty.

— Wasza godność chwali mnie na wyrost — odparł sługa, oglądając się przez ramię. — Jeszcze nie wyleczyłem moich pękniętych żeber.

— A ja wyłamane barku.

— Zaraz obaj będziecie pęknięci i wyłamani — zagroziła księżna, omijając większą od innych kępę traw. — Nie, Glorm, nie wyjednasz na nic zgody, nie będziesz tłukł się z moim przybocznym, bo masz dzisiaj siedzieć ze mną i bawić mnie najlepiej, jak umiesz. Jestem wdową po żeglarzu i mam być pocieszana.

— Słomianą wdową, jak dotąd... Nie wygaduj takich rzeczy nad morzem.

— A co, ty też jesteś przesądny? Wszystkich was... pomoczyło. — Księżna, nie mogąc czasem znaleźć odpowiedniego słowa, miała zwyczaj posługiwania się pierwszym lepszym, które przyszło jej do głowy; jakkolwiek bywało to zabawne, świadczyło o czymś nader nieśmiesznym, a mianowicie o tym, że z jej wysokością lepiej tego dnia nie zadzierać. — Niestety, masz rację, wojowniku. Nie jestem jeszcze wdową, wciąż jestem żoną solonego śledzia, który nawet w małżeńskim łóżu porusza się tak, jakby pływał.

Grev, bardziej przyjaciel niż sługa jej wysokości, wiedział jednak, kiedy powinien przyśpieszyć kroku i nie słuchać, co wygadывała. Bujna przeszłość księżnej dochodziła niekiedy do głosu i można było doszukać się w jej słowach zarówno cynizmu tajnej wywiadowczyni Trybunału, jak też jadu intrygantki i bezdusznego chłodu skrytobójczyni, albo rozwiązłości ladacznicy. Była każdą z tych osób. A ponadto najbardziej niewierną ze wszystkich żon, jakie nosiła ziemia. Najbardziej niewierną — i najbardziej kochającą ze wszystkich. Za swego męża-żeglarza dałaby się ugotować żywcem.

W ubiegłym roku, u schyłku lata nie zdążył wrócić na Agary, co oznaczało, że spóźni się trzy miesiące — o ile w ogóle żyje... Nikt nie pływał jesienią po Bezmiarach. Lecz księżna każdego dnia stawała na urwistym brzegu, czekając. Nie istniała dla niej zła pogoda, nie bała się deszczu ani wichru. I była pierwszą, która ujrzała pośród skłębionych fal czarną sylwetę okrętu. Na pokładzie dzielnego żaglowca najlepsi żeglarze świata, pod wodzą swego kapitana, przedarli się przez sztormy i wrócili do swych domów, dokonując niebywałego wyczynu... Kobiety nie musiały już czekać.

W murze twierdzy nadbrzeżnej widniały małe żelazne drzwi, a w niewielkiej wnęce czuwał wartownik. Na widok nadchodzących załomotał w blachę pięścią, dał się poznać przez niewielkie okienko i wrócił na swoje miejsce. Huknęły odmykane zasuw. Księżna i towarzyszący jej mężczyźni znaleźli się w wąskim korytarzyku. Poprzedzani przez żołnierza z pochodnią, wkrótce wyszli na dziedziniec.

Rozrzucone szerokim półkole umocnienia nie tworzyły warowni w ścisłym znaczeniu tego słowa, były to raczej połączone ze sobą samodzielne zespoły forteczne, osłaniające port przed atakiem z lądu i morza. Wąski kanał portowy przegrodzono potężnym łańcuchem, spinającym niskie, lecz bardzo obszerne baszty. Nazwano je bastejami; nowe słowo, używane tylko na Agarach, wydawało się jednak odpowiednie dla budowli niemających odpowiednika nigdzie w całym Szererze.

Owe dziwne baszty pomyślane zostały jako platformy dla dział dużego wagomiaru. Małe agarskie księstwo zawdzięczało swą siłę nie tylko świetnej flocie wojennej i licznym okrętom kaperskim. Próbując ochronić swą niezależność, postawiło na nowe rodzaje broni, nie doceniane przez wojska Wiecznego Cesarstwa. W Szererze od dawna nie budowano twierdz, prochowe działa zaś stawiano tylko na pokładach okrętów. Rozbójnicze księstwo, zasilające swą szkatułę dochodami z handlu łupami wojennymi, nie miało dość ludzi, by stworzyć liczną armię, ale miało pieniądze... I szukało swojej szansy w nowinkach.

— Te basteje nie wystarczą — rzekł Glorm, spoglądając na rysującą się w mroku krępą sylwetę budowli. — Cesarstwo wciąż jest potężne.

— Srogi z ciebie rębajło, ale żaden polityk — nieomal pogardliwie oceniła księżna. — Nie ma już żadnego cesarstwa.

Wkroczyli do fortecznego budynku mieszkalnego, w którym mieściła się jedna z trzech rezydencji księżnej.

— Nie ma już żadnego cesarstwa — powtórzyła Alida, idąc po schodach na piętro. — Armekt i Dartan obronią się przed każdym atakiem, ale nie są zdolne do prowadzenia zaczepnej wojny morskiej, a coś dopiero zamorskiej. Już dziś, gdybym chciała, mogłabym zepchnąć oba te mocarstwa na ląd. Ale nie chcę, bo wożą wodą różne pożyteczne rzeczy, których nie ma sensu kupować ani wytwarzać na Agarach.

Nie do końca było to prawdą. Księżna Alida lubiła czasem po męsku

napiąć muskuły, ale w gruncie rzeczy wiedziała, na co stać jej państewko. Wydanie kontynentowi totalnej wojny morskiej bez wątpienia zaowocowałyby zmieceniem z wód Szereru dartańskich i armektańskich żaglowców — a po kilku latach potrzebnych do odbudowania floty, bezprzykładny odwet. Wycięcie bolesnego wrzodu, jakim były Agary, mogło być z różnych przyczyn odwlekane — lecz walka z gangreną nie. Jakkolwiek rozbieżne były interesy Armektu i Dartanu, utrata mórz musiała doprowadzić do zawarcia przymierza. Kontynentalne państwa nie mogły zaakceptować uwięzienia w lądowych granicach. Inna sprawa, że agarskie księstwo rosło w siłę, i to, co nie mogło udać się teraz, być może było możliwe za lat piętnaście albo dwadzieścia.

— Za dwadzieścia lat — dorzuciła Alida, jakby słysząc myśli towarzysza — pępek świata będzie tutaj, w Aheli. Nie mówię, że stolica jakiegoś imperium... Tylko miasto, z którym liczyć się będą musiały wszystkie inne miasta Szereru, łącznie z Rollayną i Kirlanem, o Doronie nie wspominając.

Mijając kopące przy strzelniczych okienkach łuczywa, dotarli na szczyt schodów. Dalej były pokoje księżnej, a bardziej na prawo — gościnne. Drzwi strzegli wartownicy z włóczyniami.

— Chodź do mnie. No, nie będę cię uwodzić! — prychnęła. — Zresztą, czy ty w ogóle wiesz, co to uwodzenie? Albo chociaż co to kobieta?

— Nie za bardzo — przyznał. — Nigdy mnie specjalnie nie pociągały. Ale mężczyźni też nie — dodał szybko, widząc jej uniesione brwi, i mogłaby przysiąc, że zarumienił się lekko. — Nigdy nie miałem głowy... do tych spraw.

Wzruszyła ramionami.

— Gdyby więcej było takich na świecie, już dawno umarłabym z głodu. Wszystko, co mam, wydobyłam z worków huśtających się między męskimi nogami. Nie bez powodu mówią na to „klejnoty”.

Obojętna szczerłość, z jaką zawsze wspominała o swej przeszłości, nieodmiennie wprawiała go w zakłopotanie. Miał dobrze po czterdziestce, widział w życiu niejedno, ale dopiero na dalekich Agarach nauczył się rumienić przy kobiecie. Jak chłopiec.

W twierdzy księżna miała tylko dwa pokoje. Zatrzymali się w dziennym, bardzo wygodnie, a nawet bogato urządzonej. Służba podała wino i suszone owoce, zabierając zarazem płaszcze księżnej i jej gościa.

Uwolniona z obszernej peleryny blondynka w ogóle nie wyglądała na władczynię. Niska i okrągłutka, raczej ładna niż piękna, przeważnie nosiła warkocz przerzucony na pierś. Była w wieku... nieokreślonym, co się zowie — równie dobrze mogła mieć trzydzieści jeden, jak i czterdzieści siedem lat, a ile miała naprawdę, nie wiedział chyba nawet jej mąż. Taka nieodgadniona, nie zmieniająca się przez dziesięciolecia powierzchowność była zresztą czymś zwyczajnym u Armektanek, wcześniej dojrzewających, bardzo długo młodych i starzejących się nieomal z dnia na dzień, a księżna miała w żyłach połowę armektańskiej krwi.

Gustowała w jasnych sukniach, niebieskich lub zielonych (zielone pasowały do oczu), często z białymi dodatkami. Teraz także miała na sobie dość prostą, choć gustownie skrojoną, szafirową sukienkę, ale rozpuszczone włosy zostały potargane przez wiatr i wyglądała na księżnę mniej niż kiedykolwiek. Jej gość i przyjaciel przeciwnie, wyglądał na tego, kim był. Czerstwa i ogorzała twarz, okolona krótko przystrzyżoną brodą, poznaczona była w dwóch miejscach nieszpęcającymi bliznami. Z krótkim mieczem przewieszonym przez plecy, w futrzanym kaftanie i grubej męskiej spódnicy, okrywającej cholewy butów, olbrzym wyglądał na twardego wojownika, łatwo zyskującego posłuch u podobnych mu ludzi. Tak też było w istocie. Historia życia tego człowieka, nie mniej barwna od historii życia księżnej, zawierała się w niezliczonych grombelardzkich legendach o Basergorze-Kragdobie, królu Ciężkich Gór i górskich rozbójników. Ten sam człowiek, później, szukał spokoju i odpoczynku w bogatym „Złotym” Dartanie. Zamiast tego znalazł nową wojnę, największą, jaka miała miejsce od stuleci. Uciekł od niej aż na dalekie Agary.

Wojna dobiegła końca, albo może raczej odeszła z Dartanu i szukała pożywienia gdzie indziej. Starzejący się wojownik wiedział gdzie. Na Agarach czuło się jej daleki, ale już wyraźny oddech.

— Chcesz wracać — księżna nawiązała do rozmowy rozpoczętej na urwistym brzegu.

— Rzecz jasna. Może to jakieś przekleństwo? Gdziekolwiek pojedę, armektańska Pani Arilora ciągnie za mną, brzęcząc zbrojami i mieczami. Już widzę, że nie ucieknę.

— Tutaj nie ma wojny.

— Ale będzie.

Nie zaprzeczyła.

— Skoro nie mogę uciec, to będę jej służył. Ale na własnych warunkach i na wybranym przez siebie polu bitwy. Wielu wiernych przyjaciół próbowało mi wyperswadować ucieczkę z Ciężkich Gór. Zrobiłem po swojemu, a teraz idę odszukać tych przyjaciół i poprosić, żeby wracali ze mną.

— Zgodzą się? Co było w tym liście od twojego kociego druha?

— Nie wiem, Alido, czy się zgodzą. Rbit pisze, że umówił się z Delenem. To mój były gwardzista i... no, ktoś do specjalnych zadań.

— Morderca i skrytobójca. — Księżna bardzo lubiła nazywać rzeczy po imieniu.

— No, właściwie tak. Delen ożenił się i... jest gruby. — Basergor-Kragdob miał niski, przyjemnie brzmiący śmiech.

— Grubszy ode mnie?

— Od... ciebie? Nie jesteś gruba. Urodziłaś dwoje dzieci i jesteś... no...

— Gruba. I co ten twój gwardzista?

— Przez całe życie wyglądał jak chłopiec. Zawadiaka, mistrz miecza, świetny dowódca, uwielbiany przez podkomendnych. Dzisiaj jest gruby i ma dwie córeczki, dla których zrywa agrest koło domu, bo dzieciaki mogą pokłuć sobie łapki. Inni... Raner, drugi mój gwardzista, nie żyje. Jego siostra Arma, moja najlepsza wywiadowczyni, rządzi grombelardzkim Trybunałem. Będzie dobrze, jeśli nie znajdę w niej wroga, bo sojuszniczkę... Wątpię. Tewena, druga moja wywiadowczyni, mieszka gdzieś w Armekcie. Nie wiem, co porabia, nie wiem nawet, czy zdołam ją odnaleźć, chociaż polegam na Rbicie. Sam Rbit zmienił się najmniej, to przecież kot. Ostatnich kilka lat po prostu przespał, czekając, aż zdarzy się coś ciekawego. Mieszkaliśmy w największym i ponoć najpiękniejszym mieście Szereru, a on przez cały ten czas nie wylazł ze swojej komnatki, wyobrażasz sobie? Dla niego w całym Dartanie nie było nic godnego uwagi. Spał i dumał na zmianę, gapiąc się w okno, przez które widać było jakiś dach i kawałek ulicy. Gdyby nie odczuwał naturalnych potrzeb, służba musiałaby oczyszczać go z kurzu. Gdy wybuchła wojna z Armektem, uznał, że to jeszcze nudniejsze niż pokój, i odtąd leżał tyłem do okna. Dla kota nie istnieją żadne sprawy poza jego własnymi.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem i pokręciła głową.

— Nigdy nie widziałam kota. Wiem, jak wyglądają, ale nie widziałam.

— Rzecz jasna. I nie zobaczysz, jeśli całe życie spędzisz na wyspach. Zresztą nawet na kontynencie są miejsca, gdzie koty nie bywają. Pytałem kiedyś Rbita i próbował mi to wyjaśnić, ale znudziło mu się, nim dobrze zaczął. Myślałem, że się zastanawia, a on zasnął, nadal więc nie wiem, dlaczego koty gdzieś nie bywają. Na wyspach nie, bo to za morzem.

— Jestem pewna, że napatrzę się jeszcze na koty — powiedziała znacząco. — Nie zamierzam siedzieć na tej wyspie do śmierci.

Mężczyzna odpiął pas z mieczem i położył na stojącym obok stole.

— Wziąłem sobie do serca zadanie chronienia waszej wysokości — powiedział z humorem — ale siedzieć z tym po ludzku nie można, w każdym razie nie na krześle z oparciem. Na kamieniu, pod skalną ścianą, to co innego. — Spowaźniał i jakby posmutniał.

— Przecież brakuje ci tych twoich gór — zauważyła. — Pewnie zawsze ci brakowało. Dlaczego je zostawiłeś? Nie wyobrażam sobie, żeby Raladan zostawił swoją słoną wodę. — Uśmiechnęła się na samą myśl, tak było to zabawne. — Czego szukałeś w Dartanie?

— Teraz już nie wiem. Grombelard to na dobrą sprawę tylko wielka kupa gołych skał, moczona deszczem i owiewana wiatrem. Cztery miasta, bo Londu nie liczę... Zbudowałem tam własne królestwo, niezależne, a nawet niewidoczne dla imperium, miałem swoich urzędników, poborców podatkowych, szpiegów i żołnierzy. Miałem to wszystko, co ty masz tutaj, na Agarach. Ale ty ze swoimi żaglowcami możesz dokądś popłynąć, możesz snuć plany o rozszerzeniu swojego władztwa. A ja osiągnąłem wszystko i nie mogłem ruszyć ze swoimi górami na podbój reszty Szereru. Nie chciałem przemienić się w jedną z grombelardzkich skał, trwającą dla samego trwania. No to ruszyłem szukać szczęścia. — Westchnął. — Była kobieta w moim życiu, może jedyna naprawdę ważna... Ale już ci o niej opowiadałem.

— Tamenath mi opowiadał. Jeśli chodzi o ciebie, to pierwszy raz opowiadasz mi o czymkolwiek — sprostowała z sarkazmem, ale nie mijając się z prawdą; król Gór nie był człowiekiem wylewnym. — Ta kobieta to Łowczyni, tak? Dała ci kosza.

— Kiedy nie. Zapytała tylko, czy pojedę do Dartanu. Bo ona stamtąd dopiero co wróciła. Woląca zostać jedną z mokrych grombelardzkich

skął. Może widziała, że po prostu jest taką skałą i że ja jestem taką skałą... Miejsce skały jest w górach, Alido. Nawet jeśli ma tam trwać dla samego trwania. Ostatecznie może i wysiedziałybym w Dartanie, albo zresztą gdziekolwiek, byle dano mi święty spokój. Dalej bawiłbym się na arenach Rollayny, wbijając Dartańczykom turniejowe hełmy na oczy i wyginając blachy napierśników w śmieszne kształty. Ale nie. Dokądkolwiek ruszę, zaraz idzie za mną wojna. Cudza wojna... Ale o tym też już mówiłem. — Machnął ręką. — Starzeję się.

— Nie jesteś jeszcze stary.

— Rzecz jasna. Ty zaś nie jesteś gruba, moja piękna księżno, jedno i drugie jest prawdą. Ale... coś tu jednak mamy na rzeczy.

— Bezczelnie, nietaktownie... i słusznie — powiedziała po chwili namysłu. — Zostań ze mną na noc, no! — zażądała kapryśnie, jak dziecko. — Wiesz tak samo jak ja, że Raladan pogodził się już... a zresztą, nie musi się dowiedzieć. Aż mnie wszystko boli, tak cię chcę!

— O nie, co to, to nie — oznajmił szczerze zaniepokojony, wstając i biorąc swój miecz. — Odczuwam dziś potrzebę mówienia, ale inne... nad innymi potrzebami panuję. Są rzeczy, których mężczyzna nie robi przyjacielowi.

— Nawet jeśli ten przyjaciel pozwala?

— Nic mnie nie obchodzą wasze dziwaczne obyczaje małżeńskie — uciął. — Wasza wysokość, czy mogę już iść?

— A wynocha! — zawołała ze złością. — Nawet prosto do portu, powołaj się na mój rozkaz, a przygotują ci zaraz żaglowiec do podróży! Już cię nie ma na moich Agarach!

Machnął ręką i wyszedł.

Księżna czasem lubiła mówić do siebie.

— Przesadziłaś — rzekła po jakimś czasie. — Ale on też o tym wie. A zresztą to nie po raz pierwszy, stara dziwko.

Milczała.

— Gruba dziwko — poprawiła się po długiej chwili.

*

Księżna nie była jedyną kobietą na Agarach, której bał się jego godność J.I.Glorm. Nie była nawet tą, której bał się najbardziej.

Księżniczka Riolata Ridareta nie popłynęła tym razem na wyprawę ze swym przybranym ojcem. Grombelardzki Król Gór był głęboko

przekonany, że jeśli w wyspiarskim księstwie dojdzie do jakiejś katastrofy, to za sprawą tej... tego czegoś.

Na Wyspach powiedzieć o kobiecie „foka” znaczyło to samo, co gdzie indziej „krowa”. Ślepa Foka Ridi — jak z właściwym sobie wdziękiem przezwali ją agarscy żeglarze — dowodziła kiedyś wszystkimi wojskami na wyspach, ale rychło okazała się niezdolna do sprostania zadaniu. Zostawiono jej tylko flotę wojenną, którą natychmiast zaniedbała. Nie mając pojęcia o żegludze, awanturowała się po morzach, aż straciła flagowy żaglowiec najlepszej agarskiej eskadry. Od tej pory dowodziła tylko jednym okrętem, istnym przytułkiem dla wyrzutków z całej floty, chyba że porzucała go na parę tygodni, zajmując się czymś innym.

Surowy małżonek jej wysokości Alidy pozwalał przybranej córce na wszystko; Glorm powątpiewał, czy Raladan skarciłby księżniczkę po wysadzeniu przez nią w powietrze strzegących portu bastei. Alida nie znosiła przybranej córki, a już zwłaszcza od czasu, gdy urodziła mężowi dwoje własnych dzieci (które, dla odmiany, Raladan nawet lubił — ale tylko tyle). Grombelardzki góral, ilekroć pomyślał o rządzącej pirackim księstwem rodzinie, czuł, jak cierpnie mu skóra. To była istna szajka nieobliczalnych pomyleńców, z których jedni nie znosili drugich, kochali za to innych, wbrew wszelkim dającym się pojąć regułom. A już księżniczka Ridi była bezsporną owych pomyleńców królową. Potrafiącą spalić w mieście dom dla uciechy, a zarazem bezwzględnie wymagającą od książęcych urzędników dbałości o wszystkie dzieci na Agarach; gotowa była karać gardłem na wieść, że jakiś gówniarz w rybackiej wiosce przez cały dzień biegał głodny i nikt się tym problemem wagi państwowej nie zajął.

Glorm nie miał wątpliwości, że całkiem po prostu, księżniczce brakowało piątej klepki. Ulubioną jej rozrywką było zachodzenie w ciążę z kim popadło; wiecznie łąziła z brzuchem i każdorazowo, ku swej uciechu, poroniła, żłopiąc straszne napary z ziół, które wprawdzie pomagały spędzić płód, ale mogły nawet zabić niedoszlą mamuszkę, skręcającą się w okropnych konwulsjach. Zafascynowana działaniem napojów, potrafiła urządzić z tego widowisko dla załogi swojego żaglowca. Niestety, nie zdechła pod masztem, ku rozczarowaniu części widzów.

Glorm obawiał się zapędów księżnej Alidy, szczerze szanował i cenił

(choć nie rozumiał) Raladana, jak zarazy unikał księżniczki Ridarety — i był kolejnym pomyłencem na Agarach, bo po przyjacielsku kochał pierwszą dwójkę, piękną Ridi zaś... przyjął do wiadomości i zgadzał się z faktem jej istnienia, co było nie lada wyczynem. Ponadto, prawdziwie nie znosząc dzieci, okazał się najwspanialszym wujem-stryjem dla maluchów ich książęcych wysokości.

Księżniczka czyhała nań w pałacu.

Książęcy pałac w Aheli (w przeszłości gmach Trybunału Imperialnego) nie był szczególnie okazałą budowlą, zapewniał jednak znacznie lepsze wygody, niż nadmorska twierdza. Glorm zajmował w pałacu kilka niedużych komnat. Odbył dość długi wieczorny spacer ulicami Aheli — dość długi, by zapomnieć o sprzeczce z księżną Alidą — i przeraził się, ujrawszy w prywatnych pokojach piękną kapryśnicę, wystrojoną w brązową suknię, haftowaną całymi milami złotych nici. Niebezpiecznie znudzone dziewczę bawiło się swoimi trzema warkoczami: gdy kręciło się na pięcie, sięgające do połowy pleców powrozy zataczały obszerne kręgi.

Historia tej dziewczyny była może najdziwniejszą historią Szereru. Okaleczona, jednooka córka największego pirata w dziejach (którego Glorm poznał kiedyś osobiście), zamordowana przez cesarskich żołnierzy, przywrócona została do życia za pomocą niepojętych sił Szerni, lecz straciła w zamian część swego człowieczeństwa. Była teraz zarówno kobietą, jak i Rubinem Córki Błyskawic, Geerkoto, złośliwym Porzuconym Przedmiotem, który swą mocą zastąpił jej utracone życie. Nie starzała się, stale piękniała, a gdy było to już niemożliwe, moc Rubinu szukała ujścia na wiele innych sposobów. Humory i kaprysy Ridarety bardziej były wybuchami mocy Riolaty, bo takie imię nosił legendarny Ciemny Klejnot. Było to zresztą imię przekłete, a raczej mające moc Formuły, i nie należało go wymawiać. Piękna Ridi nauczyła się częściowo panować nad mocami Rubinu; niektóre jej zdolności były groźne, inne tylko zabawne, ale tak czy owak niepojęte i niedostępne zwyczajnym śmiertelnikom. Rozmawiając z księżniczką, Glorm zawsze starannie odsuwał od siebie myśli o tym, kto... lub co właściwie stoi przed nim. Umysł tego nie obejmował.

Najwygodniej mu było widzieć tylko nieobliczalną młodą kobietę.

Ujrawszy wchodzącego, jednooka piękność wydała okrzyk radości,

odruchowo dotknęła opaski na twarzy, jakby chciała sprawdzić, czy się nie zsunęła, po czym ruszyła ku mężczyźnie.

— Twój ojciec, wasza godność, powiedział, że płyniecie do Grombelardu! — rzekła, lekko zdyszana po zabawie z warkoczami. — Płynę z wami!

Glorm zmarszczył brwi.

— Rzec jasna. Tylko ciebie, wasza wysokość, brakuje mi w Ciężkich Górach.

Księżnę Alidę traktował trochę jak młodszą siostrę, ale Ridaretę zawsze trzymał na dystans. Parę miesięcy wcześniej osadził ją łagodnie już przy pierwszej próbie nawiązania przyjacielskiej zażyłości... i nie żałował tego.

— Zdaje się, że wiesz więcej ode mnie, wasza wysokość — dorzucił. — Płynę do Dartanu, nie do Grombelardu. Sam. Mój czcigodny ojciec wybierał się do Londu, ale w jakichś własnych sprawach. Mówisz, że zamierza płynąć teraz?

Chyba nie dosłyszała, albo raczej dosłyszała nie wszystko.

— Ale z Dartanu wybierasz się do Grombelardu?

— Owszem, pani. Sam.

— Sam, ale w towarzystwie przyjaciół?

Glorm spochmurniał jeszcze bardziej, z niechęcią myśląc o długim języku czcigodnego rodzica. Starzec miał mnóstwo zalet... ale miał i wady.

— Czy mam prawo do własnych spraw, księżniczko?

— Wasza godność — powiedziała beztrąsko, znów puszczając pytanie mimo uszu — wiesz przecież, że mają tu ze mną same kłopoty. Nudzę się i bywam nieznośna. Chyba. Co innego na wojennej wyprawie. Jeśli będę miała co robić...

— Nie wyruszam na żadną wojenną wyprawę. Czy to mój ojciec naopowiadał ci bajek, pani?

— Przecież wybierasz się do Grombelardu?

— Ale nie na wojnę — skłamał gładko.

— Sam przyznawałeś, że w górach nigdy nie było spokoju.

— Rzec jasna. Jednak, jeśli nawet dochodziło do bitew, to bardzo rzadko, pani, zmuszony byłem w nich uczestniczyć. Czy opowiadałem o czymś takim?

— Jednak byłeś tam, wasza godność, królem wszystkich przebiegaczy gór, bo tak się tam zwiecie, prawda?

Małomówny zazwyczaj mężczyzna stanął tego wieczoru przed nie lada wyzwaniem. To już druga kobieta brała go na spytki.

— I co z tego, pani? — zapytał zniecierpliwiony. — Byłem właśnie ich królem, nie jakimś rębajłą. To tylko tutaj panuje dziwny obyczaj, że władca Agarów sam dowodzi byle eskadrą, agarska zaś księżniczka okrętem. Więcej namachałem się mieczami na dartańskich arenach, niż przez całe życie w Ciężkich Górach. Za młodu musiałem wyrąbać sobie posłuch, ale potem rzadko już sięgałem po swe miecze. Walczyli dla mnie inni. I nie dowodziłem osobiście wszystkimi zbrojnymi oddziałami. Czy pozwolisz mi wreszcie usiąść w moim własnym pokoju, wasza wysokość?

— Tak, pozwalam — rzekła, zbyt przejęta, by zauważyć strofujący sarkazm w pytaniu; olbrzym rzeczywiście nie mógł usiąść bez pozwolenia utytułowanej kobiety, która wszakże była gościem w jego prywatnych komnatach. — Ale teraz? Chyba znowu będziesz musiał wyrąbać sobie posłuch?

— Być może. — Mężczyzna po raz kolejny tego dnia odpiął miecz i położył go na stole. Usiadł i przetarł twarz dłońmi. — Być może, księżniczko, będę musiał to zrobić. Ale może wystarczy, jeśli przemówię komuś do rozsądku. Nie zabiorę ze sobą chodzącego Geerkoto, który jednym spojrzeniem podpali mojego rozmówcę. Dla kaprysu albo niechęcy.

Przygryzła usta.

— Będę słuchała cię we wszystkim, wasza godność.

— Rzecz jasna, wasza wysokość. Więc zacznijmy od zaraz: wyperswaduj sobie tę podróż.

— Oprócz oka, czego mi brakuje? — zapytała z narastającą złością, rozkładając ręce, jakby chciała się pokazać w całej okazałości.

Z męskiego punktu widzenia wszystkiego miała w nadmiarze. Ale w Ciężkich Górach zwiastowało to tylko kłopoty. Zresztą nie o to przecież chodziło.

— Czego? Dwóch rzeczy: rozsądku i sumienia — odpowiedział zupełnie poważnie —. Przy czym rozsądek, pani, winien być zdrowy. Sumienie jakiegokolwiek, niechby chore.

Nie zadała sobie najmniejszego trudu, by zrozumieć, o co mu chodzi. Zaczęło do niej docierać to tylko, że nic nie wskóra.

— Będę robiła wszystko, wasza godność! Będę...

Mogła zaraz przysiąc, że będzie mu gotowała zupy na biwakach i nosiła torbę z prowiantem, widział to zupełnie wyraźnie.

— Wasza wysokość, natychmiast przestań! — powiedział stanowczo, poirytowany. — Nie jestem Raladanem, byś ciosała mi kołki na głowie!

— Wasza godność, nie zamkniesz przede mną Grombelardu! Jeśli nie pojedę z tobą, to wyruszę z twoim ojcem! — powiedziała gniewnie, cofając się o dwa kroki — Tego też mi zabronisz? Może lepiej weź mnie ze sobą.

Wstał ciężko i odszedł kilka kroków od opuszczonego krzesła.

— Mam dość tej rozmowy, pani — oznajmił po krótkiej chwili, odwracając się ku niej. — Naprawdę dość. Chcesz towarzyszyć mojemu ojcu? Proszę bardzo. Ze mną w każdym razie nie pojedziesz. I mało tego: pilnuj się, żeby nie wejść mi w oczy podczas jakiegoś, przypadkowego ma się rozumieć, spotkania. Ta wyspa to istny jarmark, gdzie każdy wygaduje co mu przyjdzie do głowy — skonstatował. — Jestem śmiertelnie znużony tym wszystkim. Milcz, księżniczko, i słuchaj, co do ciebie mówię. — Zrobił słaby ruch dłonią, który jednak wystarczył, by zamknęła usta. — Wybieram się do Grombelardu nie po to, żeby z wyciem biegać po górach na czele zgrai przebierańców. Jestem na to za stary, a zresztą nigdy nie byłem aż tak młody, by kierować trupą cudaków. Tutaj, na Agarach, możesz robić co ci się podoba. Ale Grombelard jest mój.

Znów otworzyła usta, ale po raz drugi uciszył ją gestem.

— Jest mój. Wiesz, czego tam szukam najbardziej? Spokoju. Tak, właśnie tam, w istnej jaskini zbójców, zamierzam odnaleźć mój spokój. Nie znalazłem go w Dartanie, gdzie podobna do ciebie pannica umyśliła sobie zostać królową, nie znalazłem go też na Agarach, gdzie prostytutka jest księżną, wilk morski księciem, a kobieta-Rubin następczynią tronu. Uciekłem z Dartanu i uciekam z Agarów. Z Grombelardu uciekać już nie będę. Skończyłem. Co nie znaczy, że zamierzam teraz cię wysłuchać. Oto drzwi, wasza wysokość. Wybierając się do Grombelardu wojowniczką łatwo wybaczy mi tę szorstkość.

Cokolwiek było uspięne w tym człowieku, potrafiło się obudzić. Do

agarskiej księżniczki nikt w ten sposób nie mówił. Ale grombelardzki Basergor-Kragdob — co znaczyło przecież Władca Ciężkich Gór — nie był byle „kims”. Nie potrafiła odnaleźć w sobie gniewu, złości... a nawet nie czuła się upokorzona. Tylko przywołana do porządku. Ten nieśpiesznie i spokojnie mówiący mężczyzna miał prawo odzywać się w ten sposób i było zupełnie jasne, że niewielu jest na świecie ludzi, którzy mogą zignorować jego rozkaz. Miał władczą siłę, jakiej nie podejrzewała w rycerzu-obejźświacie, choćby nawet był synem mędrca Szerni. Znała go od wielu miesięcy, a przecież nie wiedziała, kim jest. Rozumiała, że silniejszym od innych hersztem zbójców.

A był królem jednej z wielkich krain Szereru.

— Przepraszam, wasza godność — powiedziała cicho. — Tak, to twoje królestwo i panują tam twoje prawa. A ja... Rzeczywiście, jestem tylko cudakiem.

Wyszła z komnaty tak przygaszona i smutna, że przez chwilę było mu jej żal.

*

Wczesnym rankiem zbudził go ojciec.

— Raladan wrócił. Dopiero dwa okręty przycumowały u nabrzeża, a już całe Agary wiedzą o niebywałym zwycięstwie. Zdaje się, że puścili na dno silną eskadrę dartańską i porwali konwojowane statki. Przeprowadzili przyzy.

Grombelardzki wojownik przetarł powieki.

Łysy jak kolano, jednoręki starzec w ogóle z rysów twarzy nie przypominał syna — ale za to pozwolił mu odziedziczyć wzrost. Łoże, na którym przysiadł, najdosłownie trzeszczało pod ciężarem dwóch wielkoludów. Tamenath — bo tak brzmiało imię sędziwego olbrzyma — był niegdyś matematykiem Szerni, uczonym próbującym opisać fenomen Pasm za pomocą liczb. Lecz sprzeniewierzył się prawom badanej przez siebie potęgi i pozostała mu tylko nabyta przez całe życie wiedza. Nie był już mędrcom-Przyjętym, został odtrącony przez Pasma.

Lecz w zamian odnalazł syna, którego musiał porzucić przed laty właśnie z powodu swych badań nad Szernią.

— Jeśli tak dalej pójdzie — dorzucił — kontynent będzie zmuszony wydać wojnę Agarom.

Glorm przeciągnął się i wzruszył ramionami.

— A myślisz, ojcze, że na co tutaj liczą? Już teraz na wszystkich południowych morzach niepodzielnie panują agarscy piraci. Garra przynależy do imperium tylko na słowo honoru, już prawie nie może handlować z kontynentem. Trudno kierować całe flotylle do osłony kupieckich konwojów. Bo silna eskadra, jak słyszę, to już dzisiaj za mało? I przesiądź się, bo wylądujemy na podłodze.

Tamenath usiadł na zydlu.

— Ale nie o Agarach chciałem porozmawiać — rzekł po chwili. — Raladan wrócił i już dzisiaj będzie jasne, czy potrzebne mu w Aheli wszystkie małe żaglowce.

— Wiadomo, że nie.

— Wiadomo, nie wiadomo... To Raladan rządzi flotą i nie chciałem żądać statku od Alidy. Przyjaciołom, synu, trzeba okazywać szacunek. — Starzec, jak każdy ojciec, potrafił z głupia frant palnąć jakąś mądrość życiową. — Teraz poproszę Raladana o statek i popłynę prościutko do Londu.

— Więc rzeczywiście chcesz tam płynąć już teraz? I jak tu nie wierzyć plotkom.

— Słyszałeś jakieś plotki?

— Słyszałem brednie i księżycowe plany.

Tamenath uśmiechnął się.

— Lond jest teraz stolicą Grombelardu i ktoś powinien tam się rozejrzeć.

— Rozejrzę się, kiedy przyjdzie na to pora. Czy naprawdę musisz tam płynąć właśnie teraz? Może za pół roku albo rok? Nie próbuj mi pomagać. Już o tym rozmawialiśmy.

— Jestem za stary, żeby czekać pół roku. Nie muszę ci pomagać. Mam własne sprawy. Ale możliwe, że załatwiając je, dowiem się niejednego. Na pewno nie chcesz, żebym podzielił się z tobą uzyskaną wiedzą? Może warto umówić się gdzieś na spotkanie?

— Dobrze, jeszcze o tym porozmawiamy. Ale czy koniecznie w tej chwili, ojcze? To wszystko może trochę poczekać, jest ranek.

— Nie wiem, czy potem trafi nam się okazja do rozmowy w cztery oczy. Zabieram ze sobą księżniczkę.

— Co zabierasz?

— Księżniczkę Riolatę Ridaretę. — Tamenath wiedział, co oznacza

złowrogię imię, i mógł je wymieniać bezkarnie.

— Zaraz, zaraz... Więc przyszła z tym do ciebie?

— Owszem. Przyszła.

— I zabierasz ją? Ojczy, co zjadłeś wczoraj wieczorem? Albo może raczej: co i ile wypiliśmy?

— Będzie mi potrzebna — uciał starzec. — Zresztą, upatrzyłem ją sobie na synową, w związku z czym zapragnąłem lepiej poznać.

Podparty na łokciu, wciąż leżący w pościeli rozbójnik zyskał pewność, że ojcu sędziwy wiek rzucił się na rozum. Czasem tak bywało, podobno. Albo rzeczywiście wlał do brzucha straszliwe miejscowe piwo, co nikomu nie mogło ujść płazem.

— Rzecz jasna — powiedział. — Ojczy, mają tu kiszoną kapustę, po wypiciu soku ustępuje część dolegliwości.

— Nie wygaduj głupstw. Ta dziewczyna jest w tobie na zabój zakochana.

Glorm stracił resztki cierpliwości.

— Którędy do morza? — zapytał z nieukrywaną złością, odrzucając okrycie i siadając. — Na wszystkie Pasma Szerni, mam dość, uciekam z tej wyspy natychmiast, choćby wpław. Tu jest złe powietrze, niedobre powietrze... Nigdy tu nie było normalnie, a już od wczoraj... Co za banda pomyleńców! Nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje!

— Panuj nad językiem, chłopcze.

— „Chłopiec” ma bez mała pół setki wiosen, o czym pragnie przypomnieć rodzicowi. Ja już pomijam, że chcesz mi wtrynić dziecko za żonę...

— To nie ma nic do rzeczy.

— Nie, no gdzież tam, zupełnie nic do rzeczy. Pomijam. Ale to dziecko jest, po pierwsze, nieśmiertelne, po drugie, jest przedmiotem, a po trzecie, jest chore na umyśle, jak, nie przymierzając, jego niedoszły teść. Boję się tego czegoś jak śmierci w męczarniach. Moja męskość, ostatnio i tak nader kapryśna, niewątpliwie sprosta w noc poślubną powabowi tej... tej rzeczy, o ile wcześniej nie sfajdam się ze strachu na podłogę w małżeńskiej sypialni, bo to może mnie nieco, powiedzmy, skonfundować...

— Proszę, bywasz czasem elokwentny, synu. I kto tu jest chory na umyśle?

— Rzecz jasna, wiadomo kto. Ja.

— To „dziecko” ma trzydzieści parę lat — oznajmił Tamenath z dziwną surowością. — Wygląda na dwadzieścia cztery, a zachowuje się, jakby miało szesnaście. To „dziecko” prawie nie pamięta, kim było kiedyś, Rubin zatarł w nim większość wspomnień i Ridareta gotowa teraz słuchać o własnych swoich dziejach tak, jakby jej opowiadano zajmującą historię o kimś obcym. Właściwie wszystkie jej doświadczenia dotyczą okresu spędzonego tutaj, na Agarach. Czyli zaledwie kilku lat. To, co było wcześniej, jest jak sen i pozostaje bez większego wpływu na to, jaką jest dzisiaj. Ta istota to prędzej... dziwne zjawisko niż człowiek.

— O czym ty mówisz, ojcze, albo raczej: po co to mówisz? Znam księżniczkę od roku, dobrze wiem, kim jest i jaka jest.

— No to nie pozwalaj kpić z siebie, kiedy mówię, że dam ci ją za żonę, albo kpij razem ze mną. Masz poważną wadę, a mianowicie wszystko, co dotyczy twojej osoby, bierzesz ze śmiertelną powagą. Jutro, a może pojutrze już mnie tutaj nie będzie, dlatego umyśliłem sobie dać ci na pożegnanie jeszcze jedną lekcję. Przemyśl ją. Dawno temu, gdy w Grombelardzie spotykałeś to tu, to tam jednorękiego starca, przyjmowałeś jego nauki, choć nie wiedziałeś, czemu je zawdzięczasz. Aż starzec przyszedł raz jeszcze i powiedział to, co wreszcie mógł powiedzieć, że jest twoim ojcem. Od tego czasu nie słuchasz go w ogóle, choć jest raczej mądrzejszy niż głupszy od tego tam, nieznajomego sprzed ćwierćwiecza.

Glorm westchnął. Alida i Ridareta musiały nieomal zmuszać go do mówienia — ale żyło kilka istot na świecie, wobec których bywał wcale rozmowny, i stary rodzic do nich należał. Teraz jednak... był wczesny ranek.

— Dajmy temu spokój. Może już po prostu za późno, bym nauczył się czegoś, ojcze? Dwudziestoletni chłopak chłonał każdą wiedzę, ale dzisiaj... To nie o to chodzi, kim jesteś, nieznajomym czy ojcem. Chodzi o mnie. Już nie mam dwudziestu lat, jak wtedy. Zobaczyłem swoje, przeżyłem niejedno i chyba jestem za stary na nauki.

— I komu to mówisz? Mam sto czternaście lat, synu, a Szerer oglądam od blisko trzystu lat. I ciągle jeszcze się uczę.

— Byłeś Przyjętym. Szerń dała ci więcej niż innym.

— Wiesz, co mi dała? — Tamenath nierzadko bywał rubaszny, a

kiedy indziej po prostu dosadny. — To, co gotów jesteś pozostawić na podłodze w swojej małżeńskiej sypialni.

— Masz sto czternaście lat, tak? Zdaje mi się, że ludzie żyją zwykle jakieś pół wieku krócej. Czy naprawdę Szerń nic ci nie dała?

Tamenath najwyraźniej nie usłyszał. Dobrali się z Ridaretą.

— Księżniczkę zabieram, bo potrafię nad nią zapanować, a nawet wykorzystać jej zdolności — oznajmił. — Może myślący Rubin Córki Błyskawic nie jest potrzebny wojownikowi, ale bardzo przyda się komuś takiemu jak ja. Uczonemu.

— Uczonemu. Dobrze, niech się przydaje. Uczonemu.

— Co znowu? Czy nie jestem uczonym? Do tego nie trzeba być mędrcem Szerni.

— Jesteś, jesteś uczonym... Czy na pewno w swej uczoneści potrafisz dokładnie policzyć, kiedy jej wysokość upije się i wyskoczy przez okno, zajdzie w ciążę z Flotą Grombelardzką albo osobiście zatłucze żebraczkę, co ukradła jabłko ze straganu? Czasem zdaje mi się, ojczy, że z nas dwóch to ja mam więcej zdrowego rozsądku, choć może nie znam się na żartach. Czy to nie ty, parę lat temu, próbowałeś zasilić swoje stare życie siłami rubinu takiego jak ten, który siedzi w Ridarecie? Mniejsza o roztropność zamiaru, ale co z tego wyszło?

— Nie wiadomo — lekko powiedział Tamenath. — Dalej żyję i nie jestem Geerkoto. Ale nie umarłem, a już dawno nadszedł mój czas. Bo nadszedł w samej rzeczy, właściwie powinienem już być trupem. Właściwie bez mała nim jestem.

— Niech ci będzie, czcigodny trupie. Przyjąłem do wiadomości, że ktoś taki jak ty świetnie się czuje w towarzystwie wariatki, która jest przedmiotem, a jeszcze bardziej zjawiskiem, czy tak? Nigdy nie wiem, czego spodziewać się po tobie. Czasem... czuję się czasem tak, jakbym to ja miał syna. Ale nie zabronię ci podróžowania w towarzystwie pięknej Foki Ridi, tylko trzymaj ją krótko i z daleka ode mnie. Grunt, że nie próbujesz mnie swatać.

Starzec uśmiechnął się pod nosem.

— Zajmij się czymś poważniejszym, podobno rozlatuje się Szerń? — ciągnął Glorm, okrywając się starannie z powrotem i zamykając oczy. — No widzisz, jakie to ważne. Masz swoje własne sprawy i nie obchodzą mnie one, a nawet więcej: chcę się trzymać od nich z daleka. Ale

ponieważ i ja mam swoje plany, to... nie pogniewaj się, ojciec... — jeszcze raz rozchylił powieki — właściwie wcale nie chcę spotykać się z tobą w Grombelardzie, nawet jeśli będziesz miał ciekawe wieści z Londnu. Spotkajmy się dopiero wówczas, gdy każdy z nas dopnie swego.

— Zgadza się. Jednak żaden z nas nie jedzie do Grombelardu dla zabawy. Co, jeśli któryś będzie potrzebował pomocy drugiego? Przecież to może być sprawa życia i śmierci — w głosie starca zabrzmiała powaga. — Jesteś pewien swych sił? Ja już nie. Jeśli napytam siebie biedy, do kogo mam się zwrócić?

Przez krótką chwilę panowała cisza.

— Słusznie, ojciec, tylko głupiec uważa, że sam sobie poradzi z całym światem. Każdemu czasem są potrzebni przyjaciele. Dobrze, pomyślę, gdzie i w jaki sposób możemy sobie przekazać wiadomość.

Starzec podniósł się z zydła, poklepał syna po ramieniu i poszedł.

Część pierwsza. Wierni przyjaciele

1.

Pyszny i dziwaczny zarazem, biały dom dartański, trochę piętrzył się, a trochę rozpościerał na pagórku między trzema zagajnikami. Zrazu parterowy, został przebudowany — i zepsuty — zgodnie z modą narzuconą przez wielkie rody Rollayny, „złotej” stolicy Dartanu. Strzeliste pałacyki, wznoszone tam, gdzie biło serce królestwa, były świadectwem pozycji właścicieli. Rozłożyste, a zarazem lekkie rezydencje, rozrzucone po całym kraju, zawzięcie próbowano upodobnić do ciasnych domostw, stłoczonych w obrębie murów stolicy. Udało się znakomicie, bo dartańska architektura już się po tym nie pozbierała. Liczący kilkaset lat dom na pagórku był smutnym świadectwem zgubnego wpływu mody na sztukę.

Nieźle utrzymana, choć nieutwardzona droga, wiodła prosto do stóp pagórka, a potem łagodnym łukiem przecinała zbocze. Na znacznej długości wysypano ją białym żwirem, niedostępnym w tych okolicach. Właściciel domu musiał być człowiekiem zamożnym. Świadczyła o tym nie tylko owa droga. Dom był zadbany, a na rozległej łące, nieopodal, pasło się ładne stadko koni.

Świeciło słońce, a zarazem padał przelotny wiosenny deszcz. Hałasując co sił w płucach, z pastwiska uciekała gromadka dzieciaków w różnym wieku; poganiany przez najstarszą, dziesięcioletnią może pannicę drobiazg szukał schronienia przed deszczem na skraju zagajnika. Jakaś wielka peleryna, rozpięta na sęczkach i patykach, posłużyła do budowy schronienia, lecz nie sprostała zadaniu. Któryś ze stłoczonych pod nią malców niechcący kopnął kijek i „namiot” zawalił się, pochłaniając rozwrzeszczaną od nowa gromadkę. Deszcz wprawdzie przeminął równie szybko, jak się pojawił, ale przejęte dzieciaki nieprędko to dostrzegły. Od nowa wznoszono schronienie. Dziesięciolatka surowo napominała niezgrabiasza, który bronił się, aż na koniec, walcząc ze wzbierającymi łzami, ugięty pod brzemieniem popełnionej zbrodni, obraził się i ruszył w głąb „kniei”. Jednak po kilkudziesięciu krokach przystanął, wrzasnął wniebogłoso i pędem ruszył z powrotem. Idąca w ślad za krnąbrnym malcem rozgniewana dziesięciolatka również przystanąła i niepewnie przygryzła dolną wargę,

widząc mężczyznę w dziwnym, zielono-brunatnym stroju. Człowiek ten zmierzał chyba ku pastwisku; zapewne zszedł z pagórka i uznał, iż obejście kępy drzew mija się z celem, podążył więc na przełaj. Natknąwszy się na malca, a potem jego niewiele starszą opiekunkę, uśmiechnął się niewyraźnie i uczynił gest, który miał mieć chyba uspokajającą wymowę. Popatrzył bystro. Nie bardzo potrafił rozmawiać z dziećmi, ale był spostrzegawczy.

— Witam waszą młodą godność — powiedział. — Jestem gościem twojej matki, panienko. Nakazała mi iść na pastwisko, gdzie mam wybrać dla siebie konia. Czy nie zabłądziłem?

„Jej młoda godność” podobna była do matki jak mała kropla wody do większej. W brzydkiej buzi przyciągały spojrzenie mocno zarysowane usta kapryśnicy i bardzo pasujące do nich, zrosnięte ciemne brwi.

— Nie — powiedziała. — Czy to ty przyjechałeś wczoraj z... z daleka?

— Tak, ale była już noc i dlatego się nie poznaliśmy. Zresztą, nie jestem nikim ważnym, tylko zwykłym posłańcem, panienko.

— Pani — poprawiła. — Ale nie musisz mnie tytułować, wasza godność. Mama mówi, że wszyscy dorośli, którzy są wolni, na razie powinni mi mówić po imieniu. A ty jesteś wolny, panie?

Mężczyzna potwierdził, powściągając uśmiech.

— Mam na imię Tewena, tak jak moja mama.

— Witaj, Teweno. Jestem Neyet.

Za plecami młodej Teweny ustawiła się już cała gromadka niefortunnych budowniczych namiotu. Dzieciarnia z ciekawością wytrzeszczała oczy na obcego. Coś naszeptywano.

— Czy możecie mnie zaprowadzić do pachotków pilnujących koni? — Mężczyzna był już zmęczony rozmową. — Muszę wybrać konia dla siebie, jeśli chcecie, to możecie mi pomóc. Znacie się na koniach?

Tewena wyduła lekko usta, jakby pytanie było co najmniej niestosowne.

— Mam kucyka, mogę pokazać. Mój brat nauczył mnie o koniach wszystkiego. Znasz, panie, mojego brata?

— Nie... Zrozumiałem, że nie ma go teraz tutaj?

— Nie, bo pojechał do Semeny, doglądać spraw — wytłumaczyła. — Możemy iść na pastwisko.

Dzieciarnia już gnała ku skrajowi zagajnika. Mężczyzna ruszył także,

mając po prawicy poważną młodą damę. Poprawiła brązowe włosy dokładnie takim ruchem, jaki dostrzegł wcześniej u jej matki, i tak samo popatrzyła z boku, przechylając głowę, jakby szukała zaczepki.

— Jakie nowiny przywiozłeś, panie?

— Nowiny?

— Posłańcy zawsze przywożą mamie nowiny. Skoro jesteś posłańcem, to na pewno przywiozłeś nowiny.

Neyet po raz drugi powściągnął uśmiech.

— Przywiozłem tylko list. Nie wiem, co w nim było. Pewnie jakieś nowiny, tak jak mówisz, ale nie znam ich, Tewo.

— Teweno. „Tewo” mogą mówić tylko moi przyjaciele i rodzina.

— Nie jesteśmy przyjaciółmi?

— Nie, bo za krótko się znamy. Jesteśmy znajomymi.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Dzieci dużo mówią o swoich rodzicach — mruknął, bardziej do siebie niżli do towarzyszki.

— Wcale nie mówię dużo o rodzicach.

— Tak... Nie to miałem na myśli.

— A co?

— Że można lepiej poznać rodziców, rozmawiając z ich dziećmi.

— Mhm — powiedziała i zamyśliła się na chwilę, marszcząc brwi. — Ale to znaczy, że wcale nie powinnam z tobą rozmawiać, panie. Mama mi nie mówiła, że chce być lepiej przez ciebie poznana.

W żyłach tego dziecka płynęła najczystsza, niczym niezmacona krew jego matki. Mała Tewena, bystra i nie tracąca rezonu w wieku lat dziesięciu, już wkrótce mogła być groźną intrygantką, sprzedająca swe usługi królowej... albo komuś, kto odpowiednio zapłaci. Neyet pomyślał, że raptem za kilka lat może tutaj oddawać listy nie w ręce starzejącej się matki, lecz dziedziczącej wszystkie jej zalety (a może wady?...) córki.

Na przełaj przez łąkę, poprzedzany przez dzieciarnię, która zdążyła już dobiec do koni i wrócić, maszerował niestary pacholek. Dostrzegłszy parę na skraju zagajnika, przyśpieszył, zmierzając na spotkanie.

— Jej godność uprzedziła nas, że przyjdiesz po konia, panie — mówił już z daleka. — Jakiego wierzchowca ci trzeba?

Odległość zmałała. Sługa skłonił się lekko przed gościem swojej chlebobawczyni. Posłańiec odpowiedział skinieniem.

— Nie chcę nadużyć uprzejmości... Ma to być prezent dla mojego zleceniodawcy. Jej godność powiedziała, żebym wybrał zwierzę, które na pewno mu się spodoba, ale naprawdę nie wiem...

— Polecono mi wydać wierzchowca, którego wybierzesz, wasza godność.

— Trzymacie tutaj, widzę, farnety... Myślałem, że tę krzyżówkę hodują tylko w Sey Aye. To bardzo rzadkie konie.

— Ale wcale nie takie drogie, bo dobre tylko do jazdy po lesie. Sey Aye rzadko handluje końmi, ale jeśli już, to nie dla pieniędzy i te koniki to najtańsze sztuki, jakie ma jej godność. — Pacholek był człowiekiem obytym i niegłupim, mającym pojęcie nie tylko o powierzonych koniach. — Zupełnie do niczego nieprzydatne, pani trzyma je tylko jako ciekawostkę. Chcesz farneta, wasza godność? Mamy tu śliczną kobyłkę. Jest i wałach, ale to osioł, nie koń... Głupi i uparty. A kobyłka jak żywy ogień.

— Zobaczmy.

Wciąż otoczeni wianuszkami dzieciarni, podążyli ku miejscu, gdzie czekał drugi pacholek. Słusznie jej godności Teweny zamienili kilka słów. Wkrótce przywiedzione zostały dwa wierzchowce. Neyet wprawnym spojrzeniem ocenił sylwetki, linie grzbietów i nóg, po czym obszedł zwierzęta dokoła, szukając wad postawy. Znalazł, ale niewielkie i, o ile pamiętał, właściwie typowe dla tej rasy. U klaczy odkrył dwa małe pipaki. Raczej nie były bolesne, ale trochę ujmowały urody zadnim nogom.

— Co, złośnica?

— Potrafi czasem kopnąć — przyznał pacholek.

Oba koniki miały dobrze związane lędźwie, klacz była nieco przebudowana, ale w stopniu akurat takim, by poczytać to za zaletę, nie wadę. Także łabędzie szyje u wierzchowców nie przeznaczonych do galopad raczej ułatwiały ich zebranie, niżli mogły utrudnić oddech.

Córa właścicielki tabunu najwyraźniej wolałaby odgrywać trochę większą rolę przy wyborze konia, niżli jej przypadła w udziale. Poślaniec dostrzegł narastające niezadowolenie dziewczynki i przypomniał sobie o propozycji, którą sam niedawno złożył.

— Doradź mi, Teweno — poprosił. — Ten wałach wygląda jednak na sporo silniejszego.

Pachołek chciał coś powiedzieć, lecz posłaniec mrugnął doń znacząco i sługa zrozumiał.

— Młoda pani bardzo dobrze zna się na koniach — rzekł, zaskarbiając sobie u dziesięciolatki cały worek względów. — Na pewno warto posłuchać jej rady, wasza godność.

Dziewczynka zbliżyła się do klaczy i łagodnie nakryła jej chrapy, drugą dłonią gładząc po szczupaczym nosie.

— Do czego potrzebny będzie ten koń, panie? — zapytała z całą powagą. — Pod siodło czy tylko do zabawy, tak jak u nas? I kto go będzie dosiadał?

— Mężczyzna, mojego wzrostu, trochę tęższy. Ale nie za dobry jeździec.

— A gdzie? — pytała dalej, przytrzymując i rozchylając pysk jednego, potem zaś drugiego zwierzęcia, by mógł dokonać oględzin.

— Hm... Może w górach. Używają tam mułów albo kevów, bardzo wytrzymałych koników górskich, jednak wcale niewiele większych od farnetów, a chyba mniej zwrotnych. Naprawdę nie wiem, czy te konie, podobno bardzo dobre w lesie, mogą sprawdzić się w górach. — Neyet pochylił się do kopyt wierzchowców.

— Mogą — orzekła z wielką pewnością siebie. — Właśnie dlatego, że są lekkie i zwrotne.

— To jeszcze nie wszystko. Widziałaś kiedyś góry, Teweno?

— Tak. Bardzo dawno. Nie jeździłam konno, bo byłam za mała, ale trochę pamiętam, jak tam jest. Weź Buczka, panie. Szyszka jest nerwowa i za słaba dla dużego jeźdźcy. Buczek nie jest mądry i trochę uparty, ale łatwy w prowadzeniu, a Szyszka ma w głowie psie figle. Góry to nie dla niej, spłoszy się i może dojść do nieszczęścia — zakończyła stanowczo.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Może obejrzyj inne konie, wasza godność — zaproponował pachoł.

— Nie, wezmę tego wałacha. Buczek, tak? — Neyet powątpiewał, by konik rzeczywiście trafił w góry, jako upominek zaś nie miał żadnych wad. — Myślę, że będzie dobry.

— Wasza godność zabierze go już teraz?

— Nie, później. Kiedy będę odjeżdżał.

— Będiesz, panie, odjeżdżał już dzisiaj? — zapytała Tewena.

— Tak, panien... Teweno.

— To przyjdę tutaj z tobą, żeby pożegnać się z Buczkiem. Zapytam mamę, czy nie mógłbyś wziąć jeszcze Szyszki. Będzie im smutno bez siebie.

— To może lepiej wezmę innego konia?

Wzruszyła ramionami i odgarnęła włosy.

*

Jej godność N.Tewena — czterdziestoletnia, brzydka jak noc kobieta o sylwetce chłopca — odgarnęła włosy i wzruszyła ramionami. Spoglądając przez okno, coraz mocniej wyginała usta. Słońce znowu gasło, przysłonięte białą chmurą. Cienie drzew i budynków roztopiały się powoli, wreszcie zniknęły zupełnie.

— Co napisałeś? — zapytała przez ramię.

Stojący przy pulpicie mężczyzna pozwolił sobie na lekki grymas, mając pewność, że jej godność nie widzi.

— „Powinieneś wrócić, jesteś mi potrzebny” — nie tyle przeczytał, co powiedział z pamięci.

— Od początku — zarządziła.

Pisarz odłożył kartę tam, gdzie spoczywało już kilka innych, wziął czystą, skreślił nagłówki i czekał, gotów przyjąć zakład, że znów skończy się na jednym lub dwóch zdaniach.

— Pisz: „Dostałam list od jego godności Delena”... Czy Delen tytułuje się godnością? — zapytała pisarza przez ramię, jak poprzednio. — Ukradł sobie jakieś imię rodowe?

Pisarz nie miał o tym zielonego pojęcia.

— Nie wiem, wasza godność.

— Sama napiszę ten list. Zostaw przybory i idź.

Mężczyzna poszedł ku drzwiom, skłonił się lekko do pleców swojej pani, po czym cicho wyszedł.

Skromna suknia o bardzo armektańskim kroju — rozcięta mocno z boku, a więc w środkowym Dartanie zgoła nieprzyzwoita, godna co najwyżej kosztownej ladaczniczki — zamiatała falbaną posadzkę, w rytm kroków i obrotów poirytowanej właścicielki. Jej godność Tewena tłukła się po ciasnej komnatce jak zwierz, wystawiony w klatce na jarmarku. Przystanęła nagle i znów zapatrzyła się w niebo za oknem. Przyzwyczajona była do rozstrzygania wszelkich spraw bez niczyjej pomocy. Rozmawiała sama ze sobą, tocząc w myślach zażarte spory.

Tewena-intrygantka przemawiała spokojnie, patrząc w okno, waząc racje. Tewena-łowczyni przygód dochodziła do głosu, miotając się po komnatce. Niemal zawsze wygrywała ta pierwsza, zimna kapryśnica o wygiętych w dół kącikach ust. Zimna, bo kaprysy Teweny nie były zwykłymi kapryсами. Płynęły z wyrachowania.

Chmura powoli odsłaniała słońce. Cienie rodziły się od nowa.

Tewena stanęła przy pulpicie i przeczytała nagłówki.

Jego Godność Neza.Iwin

w Semenie

Synu!

Można tak było w nieskończoność.

Napisała szybko, bez namysłu:

Natychmiast wracaj do domu, potrzebuję Cię. Wyjeżdżam na jakiś czas, raczej nie na długo, ale musisz zająć się domem, a zwłaszcza swoimi siostrami. Tewena nie potrzebuje niczyjej opieki, ale Weyna gotowa wyjść za mąż w ciągu tych paru dni, gdy nie będzie Ciebie ani mnie. Przyjeżdżaj jak najszybciej, nie mogę czekać. Całuję Cię.

Neza.Tewena, Twoja matka

Odłożyła list i natychmiast wzięła drugą kartę. Zastanawiała się krótko. Napisała:

Jego Godność Delen

w dobrach własnych

Drogi Przyjacielu!

Przyjadę wkrótce, musimy się rozmówić. Czy przemyślałeś, co robisz? Rbit jest kotem i nie musi niczego rzucać, bo nic nie ma. Wyglądaj mnie lada tydzień. Do zobaczenia.

N.Tewa

Własnoręcznie zwinęła i zapieczętowała oba listy.

Za oknem słońce bawiło się z chmurami w chowanego. Pani domu rozpoczęła kolejną ze swych bezgłośnych sprzeczek. Po pewnym czasie okazało się, że — jak zwykle — o wiele więcej ma do powiedzenia nieruchomo stojąca intrygantka. Łowczyni przygód czasem tylko, i krótko, spacerowała po pokoju.

Jeszcze jedna czysta karta znalazła się na pulpicie. Tym razem list był długi. W porównaniu z dwoma poprzednimi — bardzo, bardzo długi...

Jej Dostojność Arma

Pierwsza Namiestniczka Sędziego

Trybunału Imperialnego

w Londzie

Armo!

Jakkolwiek zabawne wydają Ci się Twoje sny, nie żartuj sobie z nich więcej, bo pokazują samą prawdę. Trzymam właśnie w ręku list od Delena, pošlę go razem z moim. Przeczytaj i wyrzuć, nie muszę dodawać, że ani Delen, ani tym bardziej Rbit, nie powinni się

dowiedzieć, iż poznałaś jego treść. Cokolwiek zrobią nasi trzej wojownicy, a nawet to, czy przyłączę się do nich, nie ma większego znaczenia. Naprawdę ważne jest tylko to, co Ty postanowisz. Nie wyobrażam sobie, byś rzuciła wszystko i wyruszyła w góry. Nie mam pojęcia, co mogłabyś tam znaleźć. Chcę wiedzieć, czy pozwolisz naszym przyjaciołom awanturować się po górach, czy zabronisz im tego. Nie położę głowy pod topór. Wiem, jak teraz wygląda Grombelard i nie mam żadnych złudzeń. Ale kocham tych pięćdziesięcioletnich chłopców, poderwanych do czynu przez wyleniałego kocura. Pójdę z nimi, bo może w ten sposób uda mi się ustrzec ich przed najgorszym. Ale pójdę tylko wtedy, gdy otrzymam Twoje zapewnienie o życzliwej neutralności. Ani mi w głowie wikłać się w wojnę z Namiestniczką Trybunału. Zaczynając grę z takiej pozycji — bo jakiej? starej baby na koniu, z toporem? — nie jestem dla Ciebie żadną przeciwniczką. Wszystko, co stanowiło o mojej sile, od dawna już nie istnieje, nie mam w Grombelardzie żadnych znajomości, szpiegów, donosicieli, zapomniałam już, jak zbiera się poufne wieści, gdy Ty przeciwnie, masz więcej, niż miałaś kiedykolwiek dotąd. Przemyśl wszystko dokładnie, ale śpiesz się. Lada tydzień spotkam się z Delenem, a potem z Rbitem, prawdopodobnie w Rollaynie. W każdym razie list skieruj tutaj, do mojego domu, a zostanie mi niezwłocznie odesłany tam, gdzie będę. Nie muszę chyba dodawać, że w Twoim poście nikt nie może odgadnąć kuriera Trybunału. To już mój kłopot, jak odbiorę Twoje pisma, żeby nikt o nich nie wiedział. Glorm i Delen to zresztą żadne zmartwienie, ale Rbita ciągle się boję i może nie będzie od rzeczy, żebyś i Ty sobie przypomniała, że trzeba się go bać. Niczego nie lekceważ, a już zwłaszcza nie lekceważ Rbita, koniec końców to nie Glorm rządził Grombelardem, tak tylko mu się zdawało. Wspominam o tym nie dlatego, że sądzę, iż zgłupiałaś. Boję się po prostu, jak wpłynęła na Twoją ostrość widzenia pozycja namiestniczki, która od lat nie ma w Ciężkich Górach żadnego godnego uwagi przeciwnika.

Jest coś jeszcze, czego nie przeczytasz z listu Delena. Rozmawiając z jego poście, dowiedziałam się (oczywiście zupełnie przypadkiem) kilku ciekawych rzeczy. To drobiazgi, na opisywanie których szkoda czasu, ale może znalazłabym go trochę... Jednak najpierw muszę wiedzieć, jaka jest Twoja decyzja. Co zamierzasz, Armo? Napisz mi. Pozdrawiam.

N.Tewa

Przez okno widać było chudą dziewczynkę, prowadzącą ku domowi zebrane z całego majątku dzieciaki. Poważna młoda dama tłumaczyła coś poście jego godności Delena.

2.

Iwin przyjechał tak szybko, jak było to możliwe, ale nie tak prędko, jak życzyła sobie jego matka.

Dwudziestodwuletni, postawny młody mężczyzna był jedynym człowiekiem na świecie, któremu jej godność Tewena ufała bez zastrzeżeń. Podobnie jak młodsza z dwóch sióstr, odziedziczył po matce zarówno rozliczne talenty, jak i rysy twarzy — tylko wąskie usta otrzymał po ojcu, obieżyświacie, który bawił teraz nie wiadomo gdzie (może już dawno nie żył?). Tewena, od dwóch dni wyglądająca przybycia syna, nie robiła mu żadnych wymówek; okazało się zaraz, że słusznie, albowiem jej posłaniec nie zastał młodego pana w Semenie i zmitrężył sporo czasu, szukając go tu i tam. Iwin doglądał interesów w stolicy okręgu, posłuszny zaś starej zasadzie, iż „pańskie oko konia tuczy”, skorzystał z okazji, by odwiedzić dwie należące do matki wioski. Otrzymawszy wreszcie list, co rychlej przybył razem z posłańcem, nie zaglądając już nawet do miasta — z całą pewnością więc nie zasłużył sobie na wyrzuty.

Iwin przywitał się z siostrami, odświeżył po podróży i dopiero wtedy stanął — a właściwie zasiadł — przed obliczem rodzicielki, która poprosiła go o towarzystwo przy posiłku. Pani domu zwykła jadać sama; jeśli zapraszała kogoś do stołu, to najczęściej po to, by — odwrotnie, niż było przyjęte w Dartanie — poruszyć jakieś ważne sprawy. Jedząc, młody pan zapoznał się z listem od jego godności Delena (którego jeszcze w Grombelardzie zwykł nazywać wujkiem) i dowiedział się, co było w listach wysłanych przez matkę w odpowiedzi. Potem zamyślił się. Już nie jadł.

Tewena nie przeszkadzała mu.

— To jakieś szaleństwo — rzekł wreszcie. — Chcesz wziąć w tym udział?

— Nie chcę.

— Ciotka Arma... — Iwin urwał i uśmiechnął się; dziecięcy nawyk zakorzeniony był mocniej, niż sądził. — Jej dostojność Arma wysmaga im siedzenia różgami. Jeśli tylko uzna, że to dobry pomysł.

— Całkiem możliwe, że uzna.

— Ale zdaje mi się... nie wiem, byłem jeszcze dzieckiem albo prawie

dzieckiem... ale zdaje mi się, że pani Arma... — urwał, szukając odpowiednich słów.

— Zdaje ci się, że Arma miała chętkę na Glorma.

— No... właśnie. Inaczej to chciałem wyrazić.

— Miała. Dawno temu. Ale on nigdy nie miał chętki na nią, to po pierwsze — wyjaśniła, odgryzając mały kawałek pieczystego. — A po drugie i ważniejsze, władcy Gór uciekli z Grombelardu, chociaż zawsze była temu przeciwna i nie wrócili nawet wtedy, gdy ich o to prosiła. Kraj, który kochała, zawalił się w gruzy. Straciła pod tymi gruzami brata. Zostało tylko tyle, ile zdołała ocalić bez niczyjej pomocy. A teraz, po latach, ci wierni towarzysze i wypróbowani przyjaciele powiadają: wracamy, chcemy odzyskać nasze królestwo. Tym królestwem rządzi teraz ona.

Odchylił się na oparcie krzesła i znów myślał, marszcząc czoło i brwi.

— Księżna Przedstawicielka Cesarza nigdy nie ukrywała, że siedzi w Grombelardzie, bo musi — kontynuowała Tewena. — A już odkąd stało się jasne, że stary cesarz lada miesiąc abdykuje na jej rzecz, w ogóle zaniedbała sprawy prowincji. Jediną osobą, której naprawdę zależy na Grombelardzie, jest namiestniczka Trybunału w Londzie. Czyli w mieście na końcu świata, do którego można dostać się właściwie tylko drogą morską, bo z drugiej strony szlak wiedzie przez całe Ciężkie Góry. Pełen wyrzutków śmietnik, nie kontrolowany przez nikogo.

— Może więc nie byłoby takie złe, gdyby ktoś zaczął go kontrolować?

— Może. Nie podejmę decyzji za Armę.

— Ale Kragdob i Kobal... Może to tylko moje naiwne wyobrażenia o bohaterach, zrodzone jeszcze w dzieciństwie, ale jednak... chyba ich nie można lekceważyć?

— Lekceważyć? Niemądry. Wątpię, żeby potrafili wskrzesić przeszłość, niemniej gdyby nie było Army, mogliby narobić w Grombelardzie dość huk, żeby zawaliły się całe Ciężkie Góry. Ale Arma to nie byle kto. Zna ich obu na wylot i ma w ręku wszystko, czego im brakuje.

— Czego właściwie chcesz szukać w Ciężkich Górach? Nie pogniewaj się, Tewo — dorosły syn, zgodnie z armektańskim obyczajem, zwracał się do matki po imieniu — ale... czy nie jesteś już za stara na takie fanaberie?

Uśmiechnęła się.

— Byłam za stara już dziesięć lat temu. Chciałam wyjechać z Grombelardu jeszcze zanim Glormowi przyszedł taki pomysł do głowy. Ile można knuć i węszyć w takim Badorze albo innym grombelardzkim mieście?

— O? Nie lubisz knuć i węszyć, Teweno?

— Ironia? Niezasłużona. Mogę robić jeszcze więcej, zresztą wiesz, że robię. Ale mogę tutaj, w Dartanie, albo w Armekcie. Dlatego rozumiem Arme, która zawsze była i sprytniejsza, i mądrzejsza... i w ogóle lepsza ode mnie. Ładniejsza, co sprawiało, że mogła wykraść różne sekrety nie tylko za pomocą złota. Ale już, nieważne. W każdym razie rozumiem Arme, która zdobyła i chce utrzymać jedyne stanowisko w Szererze, mogące dać jej pełną satysfakcję. Stanowisko na miarę jej zalet, i to w kraju, który zawsze kochała.

— Twój syn jest bardzo zadowolony, że nie wykradałaś żadnych sekretów w taki sposób, jak pani Arma... Ale już, nieważne — powtórzył słowo w słowo za matką. — Powiesz mi wreszcie, dlaczego chcesz tam jechać?

— Nie chcę, już mówiłam.

— Ale jedziesz.

— Tak, bo to są moi przyjaciele. Bo mieszkam w domu, który mogłam kupić tylko dzięki temu, że związałam się z nimi kiedyś. Bo rządziłam Grombelardem razem z nimi, dawałam im wiedzę, dzięki której zyskiwali posłuszeństwo wszystkich mieszkańców tego kraju. Bo byłam w Grombelardzie kimś, a teraz jestem nikim. Tajną wywiadowczynią armektańskiego Trybunału w Dartanie. Marnym, płatnym szpiclem w służbie dalekiego monarchy.

— Nie sądziłem, że aż tak cię to boli.

— Nie bolało. Zbolało teraz. Ktoś powiedział mi: „Chodź z nami, jesteś nam potrzebna, bez ciebie będzie ciężko, a może nie uda się wcale”. Z Kirlanu nigdy niczego podobnego nie słyszałam i nie usłyszę. Kirlan przysłała mi tylko parę niepotrzebnych sztuk złota za wieści, bez których Trybunał na pewno mógłby się obyć.

Skrzywił się nieznacznie, ale pokiwał głową. Dobrze znał swoją matkę. Nie powiedziała nic, co mogłoby go zaskoczyć.

— Mogę zrozumieć powody. Ale ciągle nie wiem, co właściwie

zamierzasz? Jeśli Arma nie wypowie wojny, no, to jeszcze pół biedy. Wesprzesz starych przyjaciół, uda się wam albo nie. Ale jeśli wypowie? Będziesz walczyć z namiestniczką Arma? Kimś, kto ma ludzi, władzę, cały czas siedzi w Grombelardzie, a przede wszystkim, jak sama mówisz, zna ciebie, Glorma i Rbita na wylot? Nie widzę żadnych szans.

— Nie wiem, co zrobię. Jeśli Arma powie „nie”, może zrezygnuję, może zdołam namówić Glorma, żeby zrezygnował. Może zrezygnuje Delen. Rbit nie wróci w Góry sam, bo gdyby miał to zrobić, zrobiłby już dawno. A może zawrę tajny sojusz z Arma i spiętrzymy im na drodze takie trudności, że uznają się za pokonanych... jeszcze zanim Arma zmuszona im będzie zrobić krzywdę? Nie wiem, Iwinie, co zrobię. Wiem tylko, że wolno mi zająć się swoimi sprawami, bo mam syna, któremu mogę powierzyć pieczę nad rodziną i domem, a więc tym, co najważniejsze.

— Najważniejsi są twoi przyjaciele, jak widzę. No właśnie, mniejsza o mnie, ale masz jeszcze dwie córki, o ile dobrze pamiętam?

— Nie położę głowy za Glorma, jeśli o to pytasz. Gdy gra pójdzie o taką stawkę, wycofam się. Mam dla kogo żyć. I w gruncie rzeczy mam pomysł na życie. Przecież nawet, jeśli ich zamiary się powiodą, to ja z nimi w Grombelardzie nie zostanę.

— Wycofasz się z gry tylko wtedy, jeśli będziesz mogła. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jakie to może być trudne.

Uśmiechnęła się znad pucharka.

— No, w tym cały urok tej przygody... Zaufaj mi.

— A co robię? Jestem tutaj. Ufam.

Pokręcił głową.

— Wieczna awanturnica — dorzucił z ciepłą przyganą. — Przyjaciele przyjaciółmi, ale to przecież nie wszystko. Odmłodniałaś o dziesięć lat... matko. Nie umiem potępić tego, co oddało ci te dziesięć lat.

*

Przed laty, w Badorze, jej godność N.Tewena kierowała kancelarią rady miejskiej, co dawało jej dostęp do wielu różnych spraw. Nie nosiła wtedy kosztownych sukni, raczej skromne szaty, odpowiednie do piastowanego stanowiska. Teraz, przymierzając kilka strojów podróżnych, widziała wyraźnie, że jej nader wążła uroda tylko na tym zyskuje. Ciasny kok, przeszyty drewnianą szpilką, albo wysoko upięty

warkocz, lepiej pasowały do twarzy niż ciemnobrązowa fala włosów, odgradzona od czoła delikatnym diademem. Brzydka kobieta w prostym stroju wyglądała o wiele lepiej niż brzydka kobieta w stroju pięknym. Przynajmniej taka kobieta jak ona.

Przyboczna niewolnica i krzepki pacholek czekali na majdanie, przytrzymując za uzdy cztery konie. Wszystko było gotowe do drogi... tylko pani domu wciąż siedziała w swoich pokojach, roztrząsając najmniej ważną ze wszystkich spraw na świecie, a mianowicie tę, jaki strój włożyć do podróży: wygodną suknię o obszernej spódnicy czy raczej męski ubiór do konnej jazdy?

Wybrała suknię, tak jak było ustalone wcześniej. W Dartanie kobieta jadąca w męskim siodle, i do tego w męskim stroju, zbytnio zwracała uwagę. Kobięcym siodłem Tewena w duchu pogardzała... ale postanowiła na razie go używać.

W ostatnim z przechodnich pokoi młody gospodarz czekał na swą matkę, zabawiając rozmową siostry. Mała Tewena nie wyglądała na szczególnie zatroskaną, za to piętnastoletnia Weyna była śmiertelnie obrażona. Dorastająca panna, odwrotnie niż jej rodzeństwo, w ogóle nie była podobna do matki, ani z rysów twarzy, ani pod żadnym innym względem. Średnio ładna — choć na tle matki i siostry prawie piękna — odziedziczyła po ojcu zawadiacki uśmiech, raczej prędkie niż obrotny język, zamiłowanie do hulanek (powściągane przez surową rodzicielkę) i lekkomyślność graniczącą wręcz z głupotą... Wiecznie skłócona ze wszystkimi, była jednocześnie tak bardzo od nich zależna, że nie mogła wyobrazić sobie domu bez matki. Tewena wyjeżdżała czasem na dwa lub trzy dni, ale teraz miało jej nie być co najmniej przez kilka tygodni. Weyna obraziła się na wszystkich, usłyszawszy pierwszą wzmiankę o tym. Plotka stała się faktem — i życie przestało mieć sens. Kilka tygodni pod opieką i rozkazami głupiego starszego brata? Matka przynajmniej rozumiała niektóre jej kłopoty i potrzeby, ale Iwin? Był straszny, straszny jak... no, jak starszy brat.

Cała trójka wstała na widok pani domu.

— Piszcie do mnie o wszystkim, co uznacie za ważne — powiedziała Tewena, trochę bardziej szorstko, niż chciała. — Znajdę czas na przeczytanie wszystkich listów i na pewno odpiszę. Tewo.

Dziewczynka podbiegła do matki i mocno objęła ją w pasie. Tewena

złożyła pocałunek na jej czole, przytuliła i odsunęła lekko.

— Weyno.

Młoda kobieta, zwykle wystrojona jak na bal, tego ranka miała na sobie nocną koszulę, uznała bowiem, że śmierć może ją zabrać w jakimkolwiek stroju. Nic już nie miało znaczenia. Z ociąganiem zbliżyła się do matki, ostentacyjnie wydeła usta... i rozpłakała się, gdy tylko poczuła ciepłą dłoń na policzku. Pożegnanie trwało dłużej. Dziesięciolatka, za plecami starszej siostry, popatrzyła na brata, który także zerknął z ukosa. Spoglądająca nad głową obejmującej ją córki Tewena dostrzegła tę rozmowę spojrzeń i pomimo wzruszenia z trudem zapanowała nad uśmiechem.

— Iwinie, zaopiekuj się siostrą — powiedziała, delikatnie uwalniając się z ramion piętnastolatki.

Młody człowiek podszedł i opiekuńczo objął dziewczynę. Ale zaraz przyklęknął, całując matkę w wyciągniętą dłoń.

— Mój mężczyzna — rzekła z nieskrywaną dumą. — Wrócę szybciej, niż się spodziewacie, a przynajmniej mam taką nadzieję... Iwinie, zechcesz mi pomóc w dosiadaniu konia.

Dzielnie panując nad sobą, nie obejrzała się już na córki. Prowadzona przez syna, wyszła na dziedziniec przed domem i została lekko posadzona w siodle. Zaśmiała się, czując siłę młodych męskich ramion. Ale zaraz potem przez krótką, bardzo krótką chwilę miała w sercu coś w rodzaju kłębka zimnej ciemności, bo przyszłość, choć nie wydawała się groźna, była jednak nieodgadniona. Jej godność Tewena, przed laty wywiadowczyni króla rozbójników, dobrze wiedziała, jak kruche jest ludzkie życie. Mogło przecież zdarzyć się i tak, że po raz ostatni patrzyła na swój dom i swoje dzieci. Nikt, kto wyrusza w podróż, nigdy nie może mieć pewności, że wróci.

W oczach syna dostrzegła blady cień owej zimnej, skrytej w sercu ciemności. Oboje myśleli o tym samym.

Pokręciła lekko głową i uśmiechnęła się. Odpowiedział podobnie.

— Ufam ci — rzekł, i to było ostatnie, co usłyszała od niego.

Wiedziała, co miał na myśli.

Droga wiodła ku Semenie, a potem dalej, do okręgu Seneletty. Zakończona przed rokiem wojna nie dotarła do środkowego Dartanu, ale już w Miejskim Okręgu Seneletty stoczono kilka większych i mniejszych

bitew. Jednak od jakiegoś czasu kraj był zupełnie bezpieczny; młoda królowa zaprowadziła w swym władztwie rządy silnej ręki. Przyboczna niewolnica i uzbrojony pacholek to teraz była eskorta aż nadto wystarczająca na drogach, po których jeszcze niedawno zbrojne bandy przepędzały tłumy powiązanych, uprowadzonych z wiosek chłopów, z zamiarem sprzedania ich w pierwszej z brzegu niewolniczej hodowli. Teraz, zamiast zbirów i zbiegłych z szeregu żołdaków, spotykało się na gościńcach dobrze uzbrojone patrole Królewskiej Straży Krajowej. Podróżny wyruszający w podróż z większym bagażem, jeśli nie miał własnego pocztu, mógł nawet, za umiarkowaną opłatą, poprosić w najbliższym mieście obwodowym o asystę dwóch albo trzech żołnierzy. Dardan szybko zapominał o krwawej wojnie, w której pokonał Wieczne Cesarstwo.

Lecz Tewena nie miała złudzeń. Szerer był zbyt mały dla dwóch mocarstw i dwóch ambitnych władczyń. Stary cesarz zakończył wojnę i doprowadził do zawarcia pokoju na nieupokarzających warunkach, ale nie mogło to przysłonić faktu, że przekazywał swej jedynej córce zaledwie strzępy potężnego niegdyś imperium. Traktat pokojowy nie satysfakcjonował zresztą żadnej ze stron. Młoda dartańska królowa na pewno mierzyła wyżej niż rządzenie po zwycięskiej wojnie zwasalizowanym, choć formalnie niepodległym, królestwem; lecz i mająca wkrótce zasiąść na tronie cesarzówna Werena z całą pewnością snuła plany odbudowy świetności imperium, zwanego Wiecznym Cesarstwem. W takich oto czasach Grombelard, najdziksza z krain Szereru, miał doczekać się powrotu swego dawnego władcy, którego skryte w mroku bezprawia królestwo było kiedyś prawdziwą potęgą...

Jadąc, Tewena z wielką przyjemnością rozglądała się po okolicy.

Złoty Dardan. Wszystko tutaj nazywano „złotym”. Była Złota Rollayna, były Złote Wzgórza... Ale to dlatego, że najbogatsza kraina Szereru stale mieniła się złotymi kolorami. Zamożność i przepych, tak, ale skąpane w żółtych promieniach dartańskiego słońca, obwiedzione żółtymi płazami nadmorskimi... Żółte zboża, kiepskie, ale piękne piaszczyste drogi, jesienią zaś złote liście klonów, spryskane królewską czerwienią. Najurodziwszy kraj, jaki można sobie wyobrazić.

Był ranek, słońce dopiero rozpoczęło swą wspinaczkę po niebie, upał nie doskwierał, przeciwnie — lekki wiatr wywoływał dreszczyk. W

wyższych trawach zalegała jeszcze rosa. Tewena poczuła naraz, że żyje. Już zdążyła zatęsknić za swymi dziećmi i domem, lecz zarazem czuła się wolna, jak jeszcze nigdy dotąd. W Grombelardzie, kiedyś, służyła komuś i jakiejś sprawie, nie było tam miejsca na wolność. Potem urządziła swoje życie w Armekcie, a następnie w Dartanie — przewidywalne, spokojne, gładko toczące się życie. I oto nagle jechała na spotkanie ze starym przyjacielem, z którym przez ostatnich kilka lat wymieniła trzy czy cztery listy... Poczuła, że chce zobaczyć tę kpiarską, wiecznie uśmiechniętą gębę zawadiaki, że chce usiąść i snuć plany najbardziej szalonych przedsięwzięć. Była wolna, mogła... cokolwiek.

Pełną piersią zaczerpnęła tchu.

— Pokłusujmy — rzekła, zwracając się do przybocznej.

Prowadzący juczne zwierzę pacholek mocniej chwycił wodze i gdy prowadzące kobiety puściły wierzchowce kłusem, poszedł za ich przykładem. Biały żwir kryjący drogę dawno już pozostał za plecami i teraz kopyta czterech koni wznieciły na gościńcu kłęby kurzu.

3.

Skrzeczające mewy obsiadły cały port. Były wszędzie: śmigały nad falami, lśniły bielą na dachach domów i straganów, gubiły pióra pośród pak, worków i beczek złożonych na nabrzeżu. Ridareta, choć przyzwyczajona do plagi morskiego ptactwa — bo przecież zarówno w agarskiej Aheli, jak i wszystkich innych wyspiarskich portach nie brakowało mew — została ogłuszona niebywałym zgiełkiem. Tutaj zleciało się ich dziesięć razy więcej, a poza tym były trochę inne: większe, niemal zupełnie białe, bez szarych dodatków, a tylko z niewielkimi czarnymi plamami na ogonach i końcach skrzydeł. Mniej płochliwe, krzyczały o wiele głośniej niż mewy, które znała.

Jednoręki olbrzym i jednooka piękność zeszli na ląd w mieście, które na pierwszy rzut oka niczym nie różniło się od innych miast portowych. Nawet język, którym posługiwali się mieszkańcy Londu, miał znajome brzmienie, bo grombelardzki spokrewniony był, w dziwny sposób, z garyjskim; skądinąd wielu historyków uważało, iż Grombelardczycy i Garyjczycy wywodzą się od wspólnych przodków, a mianowicie od mitycznych Shergardów, których plemiona opuściły kiedyś Grombelard.

Piękny żywy Rubin, towarzyszący starcowi, nie krył zawodu, gdy wyszło na jaw, że legendarny Lond na końcu świata nie wyróżnia się niczym szczególnym. Obrażona księżniczka z miejsca dała się Tamenathowi we znaki i łysy wielkolud, chcąc nie chcąc, przyznał w duchu rację roztropnemu synowi. Zapanowanie nad Ridaretą to była jedna sprawa, wytrzymanie w jej towarzystwie — druga.

— A czego oczekiwałaś? — zapytał, gdy przedzierał się przez tłumy w wąskich uliczkach, biegnących od portowego nabrzeża. — W pogodny dzień widać stąd północne stoki Ciężkich Gór, ot i wszystko. Port to port. Koty! — przypomniał sobie nagle i ucieszył się. — Pełno tutaj kotów, i to nie byle jakich. Przeważnie wielkie gadba.

Z nagłym ożywieniem rozejrzała się dokoła, jakby oczekiwała, że z zaułka wypadnie zwarta kocia falanga.

— Gdzie są?

— W porcie trudno je spotkać, więcej w samym mieście, a zwłaszcza na południowym przedmieściu. Jeszcze się napatrzysz, bądź spokojna.

— Jak wyglądają? Widziałam tylko rysunki. I tatuaż — przypomniała

sobie prymitywne marynarskie nacięcia, podbarwione sino, na ramieniu jakiegoś majtka.

Tamenath zaczął opowiadać o kotach. I zdziwił się, jak trudne było to zadanie: opowiedzieć o rozumnej rasie komuś, kto nigdy nie widział jej przedstawiciela.

Przed wszystkim gwar i rozgardiasz panujące w portowej dzielnicy nie sprzyjały pogawędkom. Szybko zresztą okazało się, że pierwsze wrażenie było mylne — Lond wcale nie przypominał znanych Ridarecie miast Morskiej Prowincji i dziewczyna zaczęła chłonać nowe wrażenia, o kotach zaś słuchała jednym uchem. Nabrzeża, cumujące żaglowce i sam port wyglądały tak samo, bo jak niby miały wyglądać? — ale już domy tylko z daleka przypominały budynki garyjskie.

Najbardziej zdumiało agarską piękność zachowanie mieszkańców miasta. Garra i Wyspy, przygniecione do ziemi kolanem Wiecznego Cesarstwa, ujarzmione, były bez mała spokojne i ciche — przynajmniej między jednym powstaniem a drugim. Imperialni legioniści mieli tam uprawnienia, o jakich grombelardzcy żołnierze mogli tylko marzyć. Jakiś handlarz szarpał Tamenatha za rękaw, ciągnąc do swojego straganu; wielki starzec przegnał go siłą. Jakaś baba próbowała zawlec dokądś Ridaretę, gdy inna w tym czasie wtykała jej do ręki grzebienie i tandetne ozdóbki. Gdyby w jakimkolwiek mieście Morskiej Prowincji pojawił się tak bezczelny i hałaśliwy przekupień, legioniści rozbiliby mu pysk, zanim zdążyłby wrzasnąć po raz drugi. Tutaj patrol żołnierzy w zielonych tunikach obojętnie przebijał się przez tłum. Wojacy z rzadka tylko, niemal dobrotliwie, wymierzali karcące razy drzewcami krótkich, bardzo masywnych oszczepów — były to raczej pałki, za pomocą których oddziałek torował sobie drogę, niż oręż przeznaczony do walki. Handlowano wszystkim, zarówno ze straganów, jak i przenośnych koszów: smażonymi rybami, owocami, drobiazgami codziennego użytku, wodą, plackami pieczonymi na gorącej blasze, szmatami, skórami i rzemieniami, zardzewiałym żelastwem zachwalanym jako niezawodna broń, rybami, rybami i rybami. Ridareta, próbująca pozbyć się żebraka uczeplonego jej buta, z coraz większym zdumieniem spoglądała na niewzruszonego towarzysza. Starzec z niezmienną cierpliwością pomagał jej opędzać się od proszalnych dziadów, handlarzy, brudnej dzieciarni i wszelkiego rodzaju nagabywaczy. Raz tylko spojrzął

gniewnie i karcąco — ale na nią, nie na natręta bynajmniej. Chciała rzucić miedziaka, dla świętego spokoju.

— Ani się waż! — rzekł surowo. — Już się nie odzepią, a mało tego, nie spuszcza nas z oczu i okradną przy pierwszej sposobności. Kup rybę, ten handlarz pracuje. A temu leniowi daj w zęby, to tutaj najlepsza jałmużna.

Nie czekając, aż go posłucha, sam ścisnął żebraka wielką dłonią za brudny ryj i odepchnął.

Skołowana i oszołomiona, skryła się za szerokimi plecami opiekuna. Górujący nad tłumem Tamenath parł do przodu, bez ceremonii, ale za to z wielkim spokojem co i rusz plaszcząc otwartą ręką czyjeś ciemię. W ten sposób otwierał drogę.

Niezwykła para zwracała na siebie uwagę. Wzrost, wiek, a na koniec widoczna krzepa kalekiego starca, który bez wysiłku dźwigał, przewieszony na pasie przez pierś, podróżny wór wielkości szalupy, przyciągały spojrzenia. Równie zdumiewająca była uroda towarzyszącej mu dziewczyny, niebywale bujna, a zarazem mroczna, podkreślona czernią niesamowitej opaski na oku. Znów próbując, przez ramię, opowiedzieć młodej towarzysze o kotach, Tamenath jednocześnie poczynił szereg obserwacji i z każdą chwilą umacniał się w przekonaniu, że powinien natychmiast zawrócić, wsiąść z powrotem na statek i pożegłować na Agary, tam zaś jeszcze raz pomówić z mądrym synem i wziąć sobie do serca kilka jego uwag. Bardzo nie chciał stać się osobą popularną, a tymczasem było jasne jak słońce, że ktokolwiek ich zobaczy, nie zapomni już nigdy i pozna choćby po dziesięciu latach, w odległej o sto mil krainie. Staruch, choćby wielki, to jednak tylko staruch, lecz gdy szło o Ridaretę, nie było w tłumie mężczyzny, który nie miałby ochoty capnąć ją za tyłek, ani takiej baby, która by się nie wściekła na jej widok. A już idąc razem, wzbudzali po prostu niebywałą sensację. Nawet w portowym mieście, gdzie ludzie widzieli niejedno i naprawdę niewiele ich dziwiło, byli osobliwością.

Zostawili wreszcie za sobą nabrzeża i zanurzyli się w krętych uliczkach dzielnicy portowej. Tu także pełno było kramów, przekupniów i dzieciarni, ale panował nieco mniejszy ścisk, na straganach leżały lepsze i przyzwoitsze towary — za to panował smród nie do wytrzymania. Świeża morska bryza, łaskawa w samym porcie, ugrzęzła w błotnistych

zaułkach, gdzie pod nogami taplało się wszystko: gnijące resztki, zdechłe szczury, ości i kości, jakieś bryły nie wiadomo czego... a czasem nawet gorzej, bo właśnie wiadomo. Przy ścianach domów łyskały zielonkawe jeziorka skisłych pomyj. Nad wszystkim królował zapach ryb, wędzonych, smażonych, gotowanych i zdechłych. Dosłownie co kilkanaście kroków skrzypiał na łańcuchach szyld oberży, niemal przed każdą wystawiono stół, chyba jednak nie dla amatorów jadła i napitku. Przy owych stołach pod ścianami gospód, na długich ławach, zasiadały bądź wręcz wylegiwały się prostytutki, dziwki, ladacznice i kurwy — użycie wielu określeń było tu uzasadnione, albo nawet konieczne. Obok całkiem ładnych i niestarych dziewczyn (a niestarych oznaczało czasem lat mniej więcej dziesięć) ujrzyć można było potwory z morskich głębin lub może górskich jaskiń, starsze bez dwóch zdań od Tamenatha, trochę bardziej odeń kudłate, ale za to doskonale bezzębne. I znów: choć portowe piękności nie były dla księżniczki Ridarety niczym nowym, zaskoczyła ją i... no tak, bez mała zgorszyła... ostentacja, z jaką zachwalały swe wdzięki. Podbita przez Wieczne Cesarstwo Garra miała jednak swoje tradycje i własne obyczaje, różne od kontynentalnych, a szczególnie od armektańskich. Kupczenie ciałem, choć z konieczności tolerowane, było w oczach Garyjczyków czymś niezmiernie plugawym i godnym najwyższej pogardy. Ladacznice chowały się po kątach i nigdy nie pozwalały sobie na bezczelność. Tutaj rozpierały się na ławach pod ścianami, podkasane albo i półnagie, chichotały, potrząsały trzymanymi w garściach cyckami i nawoływały mężczyzn, głośno zachwalając swe zalety i umiejętności. Bywało, że do przechodnia podbiegał kilkuletni szczeniak i ciągnąc go za rękaw, opowiadał o zadku i mokrych udach siostry albo mamy. Czerwona na policzkach Ridareta, nie będąca w żadnym razie cnotliwym niewiniątkiem, w ciągu paru chwil zaledwie posiadała, jak jej się zdawało, nową wiedzę o tym wszystkim, co mogą oraz czym mogą mężczyzna i kobieta, a była to wiedza przekraczająca najzuchwalsze jej wyobrażenia. Tamenath zauważył ten rumieniec i zrozumiał, skąd się bierze, przewrócił oczami. Ale przecież ludzie tak właśnie odnosili się do świata. Kłamstwo było gorszące tylko w czyichś ustach; we własnych — uzasadnione. O swoich dziwactwach mówiło się „moja sprawa”, o cudzych zaś „głupota”. Żądać spłaty długu — bardzo dobrze; spłacić własne długi — no, przecież nie mam czym. Piękna Ridi

— istne żeglarskie półkurwie — czerwieniła się, patrząc na dziwki.

— I tak... tak wygląda cały Grombelard?

Tamenath, który odbiegł już gdzieś myślami, przez moment zwlekał z odpowiedzią.

— Co? A nie, Grombelard nie... Raczej Armekt. Ale tylko gdzieśgdzie, w dzielnicach nędzy no i portach — wyjaśnił z roztargnieniem, a po chwili dorzucił: — Lond to miasto na wskroś armektańskie, leży na grombelardzkim półwyspie i to wszystko.

— Ale jest stolicą Grombelardu?

— Z konieczności i przecież od niedawna. Górskie miasta to teraz zbójceckie jaskinie, a z Londu do Armektu łatwo można się przedostać drogą morską. Łatwiej niż z Londu w Ciężkie Góry.

Znowu się zamyślił.

— Dokąd idziemy? — zapytała.

— Znaleźć jakieś mieszkanie. Ale nie tutaj. Przy rynku głównym i w ogóle w głębi miasta na pewno jest kilka przyzwoitych zajazdów, odpowiednio drogie, żeby nie bywała tam hołota.

Poszli dalej.

Zgodnie z przewidywaniami Tamenatha odszukali sporo niezłych gospód — jednak noclegu nie dostali. Grombelardzko-armektański port na końcu świata od pewnego czasu był jednym z najbardziej zatłoczonych miejsc Szereru. Zaszkoziły mu dwie rzeczy: rozpad Grombelardu i podniesienie do rangi stolicy prowincji. Nieduże miasto niemal pękało od nadmiaru ludności, której liczba podwoiła się od chwili, gdy wyszło na jaw, że Grombelard wali się w gruzy. Daleko nie wszyscy rzemieślnicy, oberżyści i handlarze z Gór uciekli do Armektu i Dartanu, wielu obrało za cel swego wygnania właśnie Lond. Potem przybył jeszcze dwór wicekrólowej, żołnierze, urzędnicy, a wielu z rodzinami... Nowa stolica, a zarazem port przeładunkowy i największe targowisko w tych stronach, podejmowało ponadto przybyszów ze wszystkich stron świata. Stary olbrzym nie przewidział, że na samym początku swej grombelardzkiej wyprawy będzie musiał sprostać najbardziej bzdurnemu wyzwaniu: miał oto w towarzystwie wabiącej wszystkie spojrzenia pięknotki nocować... gdzie? No chyba w jakimś zaułku, między żebrakami. Ale prędzej w miejscowym więzieniu, bo z prawem imperialnym nie było żartów; wylegiwanie się na ulicach po

zmierzchu wszędzie traktowano jako poważne wykroczenie. Rozmaici bezdomni mieli swoje schowki i kryjówki. Tamenath miał tylko swój podróżny worek.

Obrażony i szczerze rozeźlony — bo cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną (doprawdy, szczególna cecha u matematyka...) — łysy staruch jął zrzędzić. Ridareta niezbyt słuchała, bo oglądała koty. Jej towarzysz nie minął się z prawdą, w mieście było ich całkiem sporo. Zapytana, nie potrafiłaby określić swych uczuć. Ujrzeć różne od ludzi, rozumne stworzenia, znane tylko z opowieści, to nie było codzienne przeżycie. Zmagą się z... niedowierzaniem. Wszyscy wokół traktowali koty najzupełniej normalnie, tak jak traktuje się każdego przechodnia — choć, co prawda, nie każdego przechodnia przepuszczano między nogami... Ale dla niej było to niezwykle. Kosmate, nieduże stworzenia (to miały być te olbrzymie grombelardzkie gadba?...) kojarzyły się raczej z niewielkimi psami niżli braćmi w rozumie. Nie nosiły odzienia, chyba nie używały żadnych przedmiotów, czasem tylko dostrzegała coś w rodzaju płaskich sakiewek, przywiązanych do boku lub brzucha. Dostrzegła też drobne udogodnienia, których nie było w znanych jej miastach, na przykład niewielkie, luźno zawieszane na zawiasach klapy, umieszczone w dolnej części wielu drzwi, zwłaszcza tych prowadzących do sklepików i gospód. Rozbawiło ją to przemyślne rozwiązanie. Podniecona i wciąż niedowierzająca, nagabywała Tamenatha, ale ten znowu wdał się w narzekania.

I w końcu zaraził ją swoim złym humorem.

— O co chodzi? — zapytała zimno. — Nie mamy noclegu, czy tak? Może mogłabym coś doradzić, ale na razie nawet nie wiem, po co tu wylądowaliśmy. Dowiem się czy nie? Co z tą Szernią?

Wielkolud przestał narzekać.

— Kiedy chciałem ci powiedzieć, marudziłaś, że nudno. Mam ci opowiadać teraz, tutaj, na ulicy?

— No. Przynajmniej będzie krótko. Jesteś starym gadułą i jak się rozsiądziesz, a jeszcze pociągniesz z kubka, to zacznasz prawić, że aż się rzygać chce.

Obruszył się, ale nic nie rzekł, bo — uczciwie biorąc — miała rację. Pokazał na środku rynku podwyższenie dla miejskiego herolda, puste teraz, bo obwoływacz wyrykiwał swe wieści tylko trzy razy dziennie.

Przysiedli na drewnianym stopniu. Starzec w zamyśleniu gapił się na przechodniów, którzy odpłacali mu zaciekawionymi spojrzeniami.

— No? — ponagliła.

— Po co tu jesteśmy? To nie ma nic do rzeczy, a w każdym razie niewiele ma wspólnego z naszym noclegiem, a raczej brakiem perspektyw na nocleg...

— Zaraz cię kopnę, ojcie — zagroziła.

Na Wyspach słowo „ojciec” miało równie szerokie znaczenie, jak „wujek” w całym Szererze. Zwyczajowo zwracano się tak do starszych o pokolenie (albo i kilka pokoleń) znajomych, zwłaszcza jeśli byli znajomymi rodziców. Tamenath zaś był najpierw towarzyszem Raladana, opiekującego się Ridaretą.

— No więc dobrze, pięknotko. Krótko mówiąc, w ciągu ostatnich parunastu lat świat przemienił się w bajzel. Nie chodzi o to, komu przypadła jakaś tam korona, ani o wojny, bo to zwykłe rzeczy. Chodzi o to, co dotyczy Szerni. Przepowiednie Całości, Pęknięcia Pasm, fluktuacje, fenomeny. Nigdy nie było tego tyle. Nie w tak krótkim czasie.

— Mówiłeś, że Szerń łamie reguły, którym podlega, a które sama ustaliła.

Coś tam jednak zapamiętała.

— Sama, nie sama... Dość, że były pewne reguły, a teraz już ich nie ma. Matematyk Szerni, o! — Dziobnął się palcem w pierś. — Widzisz? To się przyjrzyj. Dziadziśko ma grubo ponad setkę i przez pół życia budowało matematyczne modele, które rozsypały się jak zamki z piasku, podmyte przez falę. A takich dziadów pełno było od stuleci, wszyscy liczyli i liczyli.

— Co to znaczy, że wszystko się rozsypało? Nic w Szerni nie działa?

— Dlaczego zaraz „nic”?... To i owo. Ale mówimy o matematyce, bo nie mamy innego języka, za pomocą którego można opisać Szerń. Jeśli odrzucić jej opis matematyczny, to właściwie nie wiadomo, jaka jest. A ten opis z kolei sprawdza się tylko dlatego, że Szerń, podobnie jak matematyka, podlega pewnym niewzruszonym regułom. Jeśli choć jedna z tych niewzruszonych reguł przestaje być niewzruszona... Widzisz... — Zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób najlepiej tłumaczyć, w końcu wybrał sposób najprostszy z możliwych. — Dwa plus dwa równa się cztery. Jeśli od czasu do czasu równa się pięć, albo sto siedemdziesiąt

jeden, to już nie jest równanie, to już nie jest matematyka. Nie musi rozsypany się nic więcej, to najzupełniej wystarczy, żeby tę całą bogatą naukę trafił szlag. Jeśli w łonie Szerni dwa plus dwa nie zawsze równa się cztery, a w zamian może równać się ile bądź, to niczego już nie wiadomo. Wiedza o Szerni, pięknotko, jest nauką ścisłą, tu nie ma miejsca na tego rodzaju gdybanie, a dokładnie: gdybać mogą sobie historycy-filozofowie Szerni, ale nie matematycy.

— Dlaczego?

— Co „dlaczego”?

— Dlaczego oni mogą gdybać, a matematycy nie?

— Bo filozofia nie opiera się na tego rodzaju fundamentalnych założeniach, wprost przeciwnie: gotowa jest każde założenie negować, proponując inne.

— I to ma jakiś sens?

— Popytaj filozofów — zakpił. — Oni właśnie wydumali, dlaczego wolno im gdybać.

— Nie ma tu żadnego filozofa.

Uczynił niejasny ruch ramieniem.

— Oni też budują swoje modele. Zbudowali na przykład model świata, w którym żywe istoty, obdarzone rozumem, nie mają świadomości istnienia sprawczej potęgi, której obecności na dodatek nie można udowodnić. Ani teoretycznie, ani w żaden inny sposób.

— W ogóle nie rozumiem... Nie wiedzą o tym, co ich stworzyło?

— Właśnie tak. Nie wiedzą.

— To znaczy... myślą, że ich nie ma?

— Nie. Myślą tylko, że nie ma Szerni... a raczej nie wiedzą, czy jest i jaka jest.

Pracowała wyobraźnią, ale po chwili zaczęła się uśmiechać z niedowierzaniem.

— Nie próbuj sobie tego wyobrazić — poradził — bo nie zdołasz, tak samo jak nie ogarniesz wyobraźnią nieskończoności. Przyjmij założenie, to wszystko.

— Przecież to głupie, a poza tym zupełnie niemożliwe. Dlaczego sprawcza potęga, taka jak nasza Szerń, miałaby ukrywać się przed tymi, którym dała rozum? I w ogóle w jaki sposób miałaby to zrobić? To przecież tak, jakbym próbowała ukryć przed sobą, że jestem.

— Ale czy wolno filozofom budować modele różnych rzeczywistości i patrzeć, co tam się warzy? Przecież wolno.

Dziewczyna nie obracała się na co dzień ani w świecie filozofii, ani w świecie matematyki i słabo radziła sobie z abstrakcją. Znowu się uśmiechnęła.

— I co się dzieje z takim światem, w którym każdy myśli, że go nie ma?

— Nie wie, co go stworzyło i czy w ogóle stworzyło, tak brzmi założenie — upomniał ją raz jeszcze, z naciskiem. — Postaraj się uchwycić jego sens. A sens jest następujący: masz świadomość, że istniejesz, ale nie masz świadomości istnienia Szerni... tak? No więc, modeli jest wiele. — Tamenath ironicznie wykrzywił głowę. — To są filozofowie; mogą poczynić dowolne założenia i bredzić ile wlezie, nikt im złego słowa nie powie — rzekł pojednawczo, nieprzesadnie bowiem poważał filozofów. — Nie mając świadomości istnienia potęgi takiej jak Szerń, trzeba zgadywać, jaka jest. Albo raczej trzeba ją wymyślić, bo chyba, i tu masz rację, nie można żyć bez odpowiedzi na pytanie, czym jestem i skąd się wziąłem. Rozum taki jak ludzki... bo koci już niekoniecznie... nie znosi próżni i na fundamentalne pytania musi znaleźć jakąś odpowiedź. Ale tam, gdzie nie ma wiedzy, zamiast niej pojawiają się tylko wyobrażenia, a potem wiara, że te wyobrażenia są... przynajmniej bliskie prawdy. Problem w tym, że to jest nic nie warte, jak zresztą każda hipoteza, której udowodnić niepodobna. Co można zbudować na gołej wierze? Otóż wszystko, cokolwiek zechcesz, tylko nie naukę, więc wracamy do punktu wyjścia. Wyłonił im się z tego straszny świat, w którym spór w obronie własnych wyobrażeń toczy się nie na racjonalne argumenty, bo ich nie ma, tylko wprost na miecze. Zawsze, gdy brakuje dowodów na poparcie własnych przekonań, zostaje jeszcze siła. Na szczęście to tylko model. Pod niebem Szerni tego rodzaju spór jest niemożliwy. Na razie.

— Dlaczego na razie?

— Ano właśnie. Rzecz w tym, że te śmieszne modele mogą się kiedyś, o dziwo, przydać. Bo jeśli Szerń trafi szlag, to zapewniam cię, jako matematyk, że nie zdołam udowodnić, iż w ogóle istniała. Co najwyżej zdołam wykazać, że teoretycznie jest możliwa. Modele — moje, matematyczne — będą miały wartość łamigłówek, to nie będą zresztą

żadne modele, tylko zawieszony w próżni konstrukcje. Takich nie odnoszących się do niczego matematycznych konstrukcji, niesprzecznych wewnątrz i nader skomplikowanych, można zaś zbudować nieskończenie wiele. Tylko po co? To tak, jakby produkować niezliczone maszyny z kół zębatach, wszystko będzie się pięknie kręciło, zazębiało... tylko po co? Przecież nikt nie ma wątpliwości, że jakieś tryby mogą pasować do innych, po co to budować? — Starzec starał się mówić obrazowo, by dziewczyna pojęła wywód. — Nie wiem, co wtedy będzie, i trzeba tu, niestety, ustąpić pola filozofom. Czy, jeśli Szerni naprawdę zniknie, bo ja wiem... zepsuje się, rozsypie... wszyscy powiemy sobie: „Nie ma nas” albo raczej: czy stracimy poczucie tego, że jesteśmy, że istniejemy? Nikt dziś na to pytanie nie odpowie, Ridareto, a na pewno nie odpowie matematyk, moja wiedza jest tu bezużyteczna. Może bez Szerni rzeczywiście nas nie ma, może jesteśmy tylko jej emanacjami...? Mogę dowieść tylko tego, że między Szererem a Szernią występują pewne zależności, dające się wyrazić za pomocą liczb — zakończył z prawdziwym smutkiem. — Lecz gdy stracę punkt odniesienia?

— Już mi kiedyś mówiłeś o tych... modelach Pasm. Matematycznych modelach. W ogóle nie rozumiem, co to znaczy.

— Ale coś zapamiętałaś?

Zrobiła sarnie oczy i wywiesiła język jak zgoniony pies.

— Że te prawa Szerni są... jak? Niepodważalne. Tak samo jak, na przykład, to prawo, że wrzucona do wody rzecz staje się lżejsza o tyle, ile... ile...

— Tak, tak, „tyle o ile”, naprawdę bardzo ładnie. — Nie chciało mu się ukryć sarkazmu. — Niepodważalne prawo. A o niepodważalnych prawach już dzisiaj mówiłem. W świecie, w którym żyjemy, takie prawa obowiązują. W Szerni obowiązują inne, ale równie niepodważalne. Matematyk Szerni wykrywał takie prawa i opisywał za pomocą symboli i liczb, a historyk-filozof gdybał, co z tego wynika, czemu służy, że niby tak, siak albo ptak, pokazałem ci, co z tego smaży. — Matematyk zawsze z wyższością spoglądał na „gdybaczy”. — No więc te prawa Szerni chyba właśnie przestały działać. Wprawdzie tylko niektóre, chyba nawet nieliczne, ale to na jedno wychodzi, bo nie wiadomo, co w ogóle trzyma się tam kupy, a co nie, skoro dwa a dwa to może być... ileś. Tam, na górze,

wszystko się rozsypuje, a na Szerer spadają kawałki tej doskonałej niegdyś maszyny i robią tu groch z kapustą. Niechby zresztą robiły. Najgorsze jest to, że niepodobna obliczyć, ile w tym grochu, ile zaś kapusty.

— A można to było policzyć?

— No właśnie na tym polegała moja praca, dziecinko. Gdy Pasma trwały w równowadze, każde jej zakłócenie, każde odstępstwo od obowiązujących w Szerni reguł, czyli fenomen albo fluktuacja, miało swój odpowiednik w Szererze. Zwie się to najczęściej Pęknięciami Szerni, ale tak naprawdę są to spowodowane anomaliami Pasm zakłócenia praw obowiązujących w naszym świecie. Zwykle bardzo drobne. — Zmarszczył na chwilę brwi, szukając dobrego przykładu. — Widywałaś na jarmarkach sztukmistrzów potrafiących odgadnąć ukryte przed ich wzrokiem kształty, czytających zakryte napisy? Nie wszyscy są sprytnymi naciągaczami. To odbicie fenomenu, trwałego zniekształcenia kilku Pasm, mającego pewną stałą wartość. A zdarzyło ci się znaleźć w sytuacji identycznej jak kiedyś, pomimo iż to niemożliwe? Nie miałaś wrażenia, że coś już kiedyś było?

— Wielokrotnie. — Dziewczyna nie tuiła ulgi za każdym razem, gdy mogła się odwołać do swego doświadczenia, do konkretnego.

— Fluktuacja. Tak często występująca, że jako wartość średnią wprowadza się ją do większości obliczeń. Odchylenie pojawiające się tak często, że jest... normą — upraszczał jak tylko mógł, bo bał się, że pięknemu Rubinkowi pękną rzadko używane szare zwoje. — Wszystko było tak pysznie policzone i wiesz co? Wzięło i zdechło. Niczego już w odniesieniu do Szerni policzyć niepodobna. Ślicznie z tej perspektywy wygląda moje życie, poświęcone pracy, która wzięła w łeb, o ile w ogóle była pracą, bo chyba raczej zabawą, liczeniem owiec, które mi się śniły...

— Ale to dotyczy tylko Szerni?

— No tak, chyba tak. Szereru o tyle, że leży pod jej Pasmami i te spadające kawałki...

— Rozlatuje się Szerer?

— Ani myśli. Moje modele zdawały się dowodzić, że będzie zgoła inaczej. Dziwne, ale jakoś się nie rozlatuje.

— No to napluć na Szerń i nasmarkać — powiedziała uroczo, jakby wciąż przebywała pośród swoich zbójów-żeglarzy. — Niech się rozlatuje,

wcale jej nie lubiłam. Do czego jest tutaj potrzebna?

— Wydawało się, że do wszystkiego.

— Kiedyś mówiłeś, że to raczej świat potrzebny jest do czegoś Szerni.

Nie była taka głupia, na jaką wyglądała. Czasem udawało się ją wytrącić z błogiej, leniwej bezmyślności.

— Wszystko jedno. No nie, nie wszystko jedno — zmitygował się. — Jednak... wzajemne zależności i to, o czym mówiliśmy... Prawa rządzące Szernią miały swoje odbicie tutaj — rzekł raz jeszcze. — Stworzyła ten świat, a w każdym razie życie i rozum.

— Dobrze, już wystarczy — przerwała, nareszcie znudzona; i tak wytrzymała dłużej, niż się spodziewał. — I to już wszystko, co nas tu sprowadza?

Milczał przez chwilę. Czy wszystko? Tak i nie... W pewnym sensie, powiedział jej wszystko. Zastanawiał się teraz, czy powinien zejść do poziomu szczegółów. Na przykład takich, jak Rubin Córki Błyskawic — symbol dwóch Ciemnych Pasm wykluczonych niegdyś z całości Szerni. Te dwa odrzucone Pasma nadal działały normalnie. Chyba. Wyglądało na to, że Rubiny Córki Błyskawic — a zwłaszcza największy z Rubinów, Riolata — to jedyne Porzucone Przedmioty, za pomocą których można jeszcze odwoływać się do Pasm.

— W zasadzie to wszystko — powiedział.

Nie zauważyła owego „w zasadzie”.

— Znasz kogoś w tym mieście, tak?

— Znałem. Liczę, że mieszka tu nadal.

— No więc?

— To człowiek, który może zadać wiele niewygodnych pytań. Dziwny człowiek, a takich nie należy lekceważyć. Chciałem najpierw odpocząć po podróży, zjeść, rozejrzeć się po mieście, posłuchać, co się gada i o kim. Zmitrężyć tak ze trzy dni. Nie wiem nic o niczym, a mam zamieszkać u kogoś, kto być może wie wszystko o wszystkim?

— Mamy jakieś tajemnice?

— Mamy, nie mamy...

Obejrzała go sobie z chłodną drwiną. Napatrzyła się w życiu na tyle dziwnych spraw, że z politowaniem spoglądała na każdego, kto robił tajemnicze miny. Tamenath miał rację, dowodząc Glormowi, że przeszłość była dla niej niczym sen — ale jednak sen bardzo wyraźny.

Pamiętała aż nazbyt wiele; więcej, niż przypuszczał jej sędziwy towarzysz. I nudziły ją cudze tajemnice. Nawet o tym nie wiedząc, postrzegą świat oczami kota.

— To mamy te tajemnice czy nie mamy?

Westchnął. Właściwie sam nie był pewien.

— Ten człowiek sporo wie o Szerni.

— Przyjęty?

— E, gdzie tam... Pomocnik Przyjętego, kiedyś. Chciałem porozmawiać z nim, no, o tym właśnie, o czym przed chwilą rozmawiałem z tobą.

— A obawiasz się...? — zawiesiła głos.

— Właściwie nie wiem, kim jest teraz ten człowiek — wykręcał się z niejakim trudem. — Kupcem. A poza tym? W Szererze niby nic się nie dzieje, ale „nic” w sensie działających w świecie mechanizmów. Poza tym dzieje się dużo, rozlatuje się Wieczne Cesarstwo. Wiedzę, którą ma ten człowiek, łatwo sprzedać. Może komuś ją sprzedał?

— Komu? Jaki pożytek z takiej wiedzy?

— Ciężkie Góry to niezwykła kraina, Rubinku, a za nimi jest jeszcze dziwniejsza, Romogo-Koor, Nienazwany Obszar. Nieobliczalna Szerń... nieobliczalna przecież, od niedawna, najdosłowniej... leży tam na ziemi i funduje światu takie drobiazgi, jak chociażby fenomen spowolnienia czasu. Nie wiem, jak można wykorzystać wiedzę o tym, co dzieje się z Szernią — przyznał szczerze — lecz zarazem jestem pewien, że ktoś jednak ją wykorzysta. Nie chcę stanąć przed kimś, kto być może jest... no, powiedzmy, rzeczoznawcą Trybunału do spraw Szerni, i przedstawić się jako człowiek, który zamierza przy tym majstrować. Może już majstruje ktoś inny? Przyjaciółka mojego syna, dawna przyjaciółka, jest tu teraz kimś ważnym. Być może wie już, że z Szernią dzieje się coś dziwnego, może wie więcej ode mnie, a takiej wiedzy można użyć choćby do intryg, do przeprowadzenia własnych zamysłów politycznych, tak sobie wyobrażam. Ci, co grzebią się w polityce, nawet łajno potrafią wykorzystać do swych celów. A Księżna Przedstawicielka Cesarza sama była kiedyś uwikłana w pewną dziwną historię, bardzo mocno wiążącą się z Szernią. Dlatego chcę rozglądnać się najpierw, powęszyć w tym całym Londzie. Rozejrzeć się, posłuchać co się gada i o kim — powtórzył to, co już raz powiedział. — Czy ty wiesz, jak łatwo można sprzątnąć

starego dziada i głupią kozę, wtykających nosy gdzie nie trzeba?

Wzruszyła ramionami.

— Dwa i dwa to cztery, tak, matematyku? W mieście już się rozejrzeliśmy, to teraz usiądźmy w jakiejś gospodzie, zjedzmy, posłuchajmy, co się gada i o kim. Tak ma być? Doskonale, głupia koza bardzo się cieszy. Zjemy, posłuchamy, a potem wrócimy na statek. Zdaje się, że ma cumować w Londzie parę dni, kapitan za drobną opłatą na pewno zgodzi się nas przenocować.

— Niezła myśl. — Spojrzał spod oka, po raz drugi konstatując, że ta dziwna dziewczyna jednak ma rozum i czasem potrafi z niego korzystać. Jej zwykła paplanina skutecznie maskowała ten fakt; po raz kolejny przyobiegał sobie, że nie będzie jej lekceważył.

— Tam jest jakaś tawerna. — Pokazała palcem szyld z kurą żeglującą na wędce albo na trupie. — Podoba się nam?

Pokiwał głową, więc poszli.

4.

Jakkolwiek wydawało się to dziwne, w Londzie, stolicy Grombelardu, nie było pałacu Księżnej Przedstawicielki Cesarza — a przynajmniej pałacu z prawdziwego zdarzenia. Kiedyś, w Grombie, władczyni prowincji zajmowała starą twierdzę, wielokrotnie przebudowywaną. Choć zimna i niewygodna, twierdza owa stanowiła przynajmniej namiastkę wicekrólewskiej rezydencji.

Jednak w Londzie nie było żadnej starej twierdzy. Maleńka warownia nadbrzeżna, stara jak sam Grombelard, mogła być co najwyżej komendanturą grombelardzkiej armii i floty. Taką też funkcję jej powierzono, upychając jeszcze kapitanat portu.

Straszyło w Londzie dziwaczne a paskudne gmaszysko, stanowiące od stulecia siedzibę Trybunału Imperialnego. Dziwaczne i paskudne — bo ktoś postanowił połączyć w jedno armektańską prostotę i grombelardzką toporną solidność, dorzucając dla ozdoby dartańskie strzelistości. Stworzył potwora architektonicznego, przerażającego na dodatek ogromem, bo była to największa budowla miasta. Po przeniesieniu stolicy do Londu, urzędników Trybunału wyproszono z gmachu i przesiedlono do okolicznych domów (z których wcześniej wyrzucono prawowitych mieszkańców, płacąc haniebnie niskie odszkodowania). Całość, a więc gmaszysko i zajęte domy, ogrodzono murem, tworząc coś, co nazwano Dzielnicą Imperialną — chyba dla kpiny z imperium... No cóż, można by rzec: jakie imperium, taka dzielnica; jaka prowincja, taka i książęca rezydencja. Wszystko było tam byle jakie, prowizoryczne i nieodpowiednie.

Księżna Przedstawicielka zrazu wzbraniała się zamieszkać w gmachu, który ośmieszał sprawowany przez nią urząd, i uległa dopiero wówczas, gdy wyszło na jaw, że lepszej rezydencji po prostu w Londzie nie ma. Nazwano więc budynek pałacem. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że w owym „pałacu” przez tyle lat zgadzali się siedzieć urzędnicy Trybunału Imperialnego. Istniało jednak proste wytłumaczenie: otóż namiestnicy sędziego w Londzie wręcz życzyli sobie, by troszeczkę ich lekceważono i niedoceniano. Tutaj mniej się liczyła fasada; nad tromtadrackie symbole potęgi imperium przedkładano skuteczność w ściganiu pospolitych nadużyć i przestępstw. Tradycyjnie namiestników Londu cechowała

jowialność i dobroduszość — taki był tutaj styl sprawowania władzy, taka miejscowa moda. Nikt nie wie, ile legionów dałoby się złożyć z naiwnych, którzy nazbyt lekko potraktowali rumianego grubasa, bądź melancholijnego chudzielca, siedzącego w cudacznym budynku, a teraz skrobali kreski na ścianach swoich cel w twierdzach więziennych... Bo Trybunał Imperialny w Londzie od wielu lat należał do najskuteczniej działających w całym Wiecznym Cesarstwie, a podwoił jeszcze swą skuteczność od chwili, gdy portowe miasto na końcu świata podniesiono do rangi stolicy.

Poprzedni Namiestnik Sędziego Trybunału wprawdzie nie był dobrodusznym grubasem ani smutnym chudzielcem, ale za to w ogóle nie wyglądał na urzędnika: niestary, wysoki, muskularny, mówił i działał z prostotą oficera legii. Był człowiekiem niegłupim, pracowitym i sumiennym; Trybunał nie podupadł pod jego kierownictwem. Kobieta, która objęła po nim stanowisko, nie musiała zmagać się z bałaganem. Przekazano jej uporządkowane sprawy zarówno samego Londu, jak i całej prowincji, bo w rozpadającym się Grombelardzie północny port był ostatnim przyczółkiem Wiecznego Cesarstwa jeszcze zanim ustanowiono tu stolicę.

Wieczorem tego samego dnia, gdy Tamenath i jego towarzyszka zawitali do Londu, przed bramą w murze otaczającym Dzielnicę Imperialną pojawił się jakiś człowiek, owinięty płaszczem i w kapturze na głowie. Zamienił kilka słów ze strzegącymi wrót żołnierzami, po czym przeszedł przez uchyloną furtkę. Podobnie zamaskowane postaci często pojawiały się w Dzielnicy, ale też żaden szpicel Trybunału nie życzył sobie być rozpoznany. Ci zakapturzeni mieszkańcy Londu byli wszak na co dzień zwykłymi piekarzami, żebrakami, oberżystami i kupcami.

Zajęte przez imperium domy nie różniły się niczym od innych, przynajmniej na zewnątrz, bo w środku niejednego dokonano istotnych przeróbek, przekuwając ściany, wyburzając bądź przeciwnie — wznosząc schody, niwelując przepierzenia. Zaaferowani urzędnicy nie musieli dzięki temu wybiegać z ważnymi dokumentami na ulicę, zyskiwało zarówno tempo, jak i jakość pracy. Owinięty płaszczem przybysz ruszył wprost do jednego z domów, przed którym czuwali wartownicy, opowiedział się im, podobnie jak żołnierzom przy bramie, ustąpił jeszcze miejsca kilku ludziom, którzy właśnie z budynku

wychodzili, po czym sam zanurzył się w jego wnętrzu. Minął parę większych i mniejszych izb, przeważnie pustych, urządzonych jak przedpokoje dla petentów — głównymi tam sprzętami były ławy stojące wzdłuż ścian. Na pierwszym piętrze urządzono izby nieco zamożniej, podobnie wyglądało piętro drugie. Ostatni posterunek wartowniczy obsadzony był przez żołnierzy w mundurowych tunikach odbiegających od regulaminowych wzorów Legii Grombelardzkiej. Lecz prywatni gwardziści Księżnej Przedstawicielki Cesarza od pewnego czasu stanowili raczej asystę Pierwszej Namiestniczki Najwyższego Sędziego, nie dziwiła więc ich obecność u drzwi tej wysokiej urzędniczki. Zamaskowana osoba raz jeszcze została poddana przesłuchaniu, lecz tym razem badano długo i dociekliwie. Prosty wojak przy mieczu miał nie tylko szerokie barki, ale i rozum w głowie; do tej formacji nie brano idiotów. Rozmówiwszy się z gościem, uznał jego racje i powiedział:

— Namiestniczki nie ma, ale jeśli sprawa jest naprawdę tak pilna, każę ją odszukać. Na twoje wyraźne żądanie, wasza godność, i na twoją odpowiedzialność — zastrzegł z naciskiem. — Wiem już, że masz prawo widzieć się z jej dostojnością w każdej chwili, ale ja mam obowiązek ci przypomnieć, że nikomu nie wolno nadużywać takich przywilejów.

— Proszę jednak odszukać namiestniczkę.

— Wiesz, co robisz, wasza godność.

To rzekłszy, wezwał pachołka i nakazał mu sprowadzić jej dostojność.

Ostrzeżenie wartownika nie było rzucone na wiatr. Namiestniczka Arma bardzo ceniła swój czas i niejedną już pożałował pochopnej nadgorliwości. Szczodra dla tajnych urzędników, którzy dowiedli, iż są przydatni, potrafiła być bezwzględna i surowa dla nieudaczników. Jej podwładni musieli znać sztukę szacowania wszelkich wiadomości; ziarna wstępnie miały być oddzielone od plew. Jej dostojność nie bez racji uważała, że urzędnik nie potrafiący podejmować decyzji na własny rachunek i nie potrafiący myśleć, jest doskonale Trybunałowi zbędny. A zresztą zbędny w ogóle.

Zakapturzony przybysz odwrócił się plecami do żołnierzy i z uwagą oglądał makatę na ścianie, jakby widział ją po raz pierwszy. Nie było to jednak prawdą, albowiem blisko pół roku wcześniej odwiedził już ten dom. Jednak pewność siebie, jaką okazywał wobec wartownika, w dużej

mierze służyła rozproszeniu własnych wątpliwości. Szpicel nie potrafił ocenić, czy właśnie dość starannie oddzielił ziarno od plew... Wążąc rzecz na dwoje, przy tak samo obciążonych szalach, doszedł był do wniosku, że woli wyjść na nadgorliwca, niżli zostać posądzonym o niedbałość, ale czy słuszną podjął decyzję, miało okazać się wkrótce. Miało się zarazem okazać, czy Trybunał go potrzebuje.

Namiestniczka pojawiła się dość szybko, widocznie przebywała w tym samym albo co najwyżej sąsiednim budynku, do którego wiodły przekute w ścianie drzwi. Z lekko uzbrojoną niewolnicą przy boku, nie mówiąc słowa, skinęła na przybysza i powiodła w głąb swoich pokoi. Zatrzymała się dopiero w trzecim; była to jej prywatna kancelaria. Rudowłosa przyboczna, o troszeczkę już przebrzmiałej urodzie Perły Domu, stanęła za jej plecami. Namiestniczka usiadła i przez chwilę uważnie przyglądała się zakapturzonemu wywiadowcy.

— No? Będziesz tak stał, panie, i straszyl tym kapturem? Nie wydam cię przed nikim, możesz zsunąć z głowy ten worek.

Aż uniosła brwi, gdy przybysz poszedł za wezwaniem, odsłaniając młodzieńczą twarz zucha-junaka. Mógł mieć dwadzieścia trzy lata i był przystojny aż... niewiarygodnie. Czterdziestodwuletnia namiestniczka pożałowała własnej gasnącej urody, która zresztą nigdy nie była zbyt bujna. Tylko wspaniałe złote włosy, kędzierzawe, rozsypane na ramionach i plecach, pozostały takie, jak przed laty. Rzadko je wiązała, czasem tylko upinała z boku głowy.

Ale tak pięknych, a zarazem męskich rysów, jakie miał ten chłopak, nie zapominało się z dnia na dzień. Jej dostojność zmarszczyła brwi, przypominając sobie nie tylko imię, ale także inne szczegóły. Nie miała czego żałować, bo ów cudowny mężczyzna tak czy owak był dla kobiet nieosiągalny. Żywił skłonność do własnej płci i — o ile dobrze pamiętała — wyłącznie do własnej płci. Czy nie zbrodniarz?

— Seimen, tak? — zapytała, odchylając się na oparcie krzesła. — Już pamiętam, oddałeś Trybunałowi bardzo znaczne usługi... No, co tam?

Właściwie była przybyszowi wdzięczna, że oderwał ją od nudnych zajęć, które mogły trochę poczekać.

Młodzieniec ani się spodziewał, że sroga namiestniczka go pozna (niesłusznie, bo w samej rzeczy położył kiedyś niemałe usługi). Ale szybko wziął się w garść. Świetnie mówił po grombelardzku, jednak z

dość wyraźnym garyjskim akcentem; zresztą już imię i twarz zdawały się dowodzić, że nie był synem Kraju Chmur.

— Wasza dostojność zleciła wielu miejskim wywiadowcom obserwację portu i podróżnych schodzących z żaglowców na ląd. Przykazano nam, by wieści o przybyciu opisanych ludzi przekazać niezwłocznie waszej dostojności.

Namiestniczka nie zdołała ukryć ożywienia; spostrzegawczy Seimen dostrzegł nawet lekkie rumieńce, które wykwitły na jej policzkach. Nie kryła zresztą swego zainteresowania.

— Tak, to bardzo ważne — powiedziała szybko. — Czy ktoś przybył?

— Właściwie... nie wiem, wasza dostojność.

— Jak mam to rozumieć?

— Mężczyzna i kobieta, wasza dostojność. Rzecz w tym, że żadne z nich nie odpowiada podanemu nam opisowi. — Młody szpieg chciał wreszcie mieć najgorsze za sobą. — Mężczyzna to istny olbrzym, ale jest starcem i do tego kaleką, bo nie ma lewej ręki, tak więc, poza wzrostem, nic go nie łączy z człowiekiem, którego wyglądałem. Kobieta zwraca uwagę wyjątkową urodą i przepaską na oku. Przyszedłem jednak, bo oboje przy płynęli na żaglowcu, który pomimo dartańskiej bandery na pewno pochodzi z Agarów.

— Dlaczego? — zapytała machinalnie, wiedzona starym nawykiem zasięgnięcia wiadomości o wszystkim. — Dlaczego akurat z Agarów?

— Bo to karawelka, a na karawelach tylko Wyspiarze zostawiają skośny żagiel na bezanmaszcie przy rejowych płótnach na pierwszych dwóch masztach. Ożaglowany na wyspiarską modłę statek handlowy, jeśli pływa pod dartańską banderą, to na pewno tylko z powodu rejestrów straży morskiej. Żeby handlować, musi mieć żyjącego w zgodzie z prawem armatora. Chyba że naprawdę, a nie tylko dla pozorów, zakupił go niedawno jakiś dartański armator, ale bawiąc się w takie gdybania, nie można być pewnym niczego.

Ten młody człowiek umiał zarówno myśleć, jak i się wysławić; pogratulowała sobie, że właściwie go oceniła już przy pierwszym spotkaniu.

— Mówiąc krótko, z agarskiego żaglowca zeszły na ląd dwie osoby, które, choć nie odpowiadają opisowi, wydały ci się podejrzane?

— Bardzo niezwykle. To nie jest opisany mężczyzna, żadne

przebranie nie wchodzi w rachubę, bo ten człowiek naprawdę jest stary, bardzo stary, nie ma mowy, żeby miał pięćdziesiąt lat, chociaż trzyma się jak młodzik. Może zresztą mimo wszystko nie zwróciłbym uwagi na tę parę... choć naprawdę trudno ich przeoczyć... gdyby nie ten wzrost. Kazano nam wypatrywać wielkoluda, istnego olbrzyma i ten starzec taki właśnie jest. Nie wiem, czy widziałem kogoś aż tak wielkiego. — Młodzieniec sięgnął ręką nad głowę i aż się uśmiechnął z niedowierzaniem, bo choć nie był niski, zdało mu się, że powinien jeszcze podskoczyć, by pokazać wzrost przybyłego. — Nie wiedziałem, co o tym myśleć, bo chociaż nie tego człowieka mi opisano, to jednak dziwne, wasza dostojność. Czekam na wielkoluda z Agarów i rzeczywiście przypląwa wielkolud z Agarów, chociaż chyba nie ten... — urwał, nie wiedząc, jak właściwie ma się wytłumaczyć. — Pomyślałem, że... może gdzie zakradł się błąd, nie wiem, na ile podany opis odpowiada... — znów urwał.

Namiestniczka oparła łokcie na stole, a podbródek na splecionych dłoniach i popadła w zadumę. Nie miała pojęcia, kogo właściwie zobaczył jej przystojny wywiadowca, ale nie dziwiła się, że przyszedł z wieścią. Na pewno postąpiłaby podobnie, będąc na jego miejscu.

A jednak ten młodzieniec był odważny. Pomimo wątpliwości przyszedł do niej z czym? Z przeczuciem. Pytanie, ile było warte to przeczucie.

— Chudy, gruby?

— Ten starzec? — Seimen rozejrzał się bezradnie. — Aż strach patrzeć, wasza dostojność... Barczysty jak dwóch legionistów. Myślę sobie, że gdyby miał obie ręce, to mógłby złapać osła za zadnie nogi i przyłożyć mi zwierzem w łeb. — Wywiadowca poczuł, że jego sprawy stoją nieźle, i wrodzona śmiałość wzięła górę; już nie bał się o swój los. — Mocarz, siłacz, wasza dostojność. Na takiego wygląda. Jakby... jakby sam Basergor-Kragdob wrócił do Grombelardu. Wasza dostojność wie, ten sławny banita z górskich legend... — urwał, bo zaskoczyło go dziwnie uparte i badawcze spojrzenie namiestniczki; zrozumiał, że się rozbrykał i chyba nazbyt ośmielił; że pozwala sobie marnować jej czas, a co gorsza, przypominać imię zbója, za którym Trybunał i legie bezskutecznie uganiały się przed laty. — Przepraszam, wasza dostojność. Ja...

— Uzbrojony? — zapytała tym samym tonem, co poprzednio.

— Nie. Ani on, ani kobieta.

— Co zrobili po wylądowaniu?

Seimen opowiedział tak krótko i zwięźle, jak umiał.

— Ale chyba nie znaleźli noclegu, co w końcu nie jest takie dziwne — zakończył. — Wrócili na statek.

— Może odpłyną?

— Nie, na pewno nie. Starzec nosił ze sobą wypchany worek podróżny, chyba ciężki nawet dla niego. Nie zabiera się wszystkich bagaży tylko po to, żeby z nimi spacerować w tłumie.

Skinęła głową.

— O ile mnie pamięć nie myli, mieszkasz z przyjacielem, który... wie, na czym polega twoja praca?

— Pomaga mi czasem.

Popatrzyła bacznie.

— Nie zdradzam mu żadnych tajemnic — zastrzegł pośpiesznie; zrozumiał, że znów palnął głupstwo. — Tylko...

— Tak, taak, dobrze, dobrze — powiedziała przeciągle, trochę kpiąco, a trochę surowo. — Nie zdradasz. Rozumiem, że ręczysz za niego?

— Tak, wasza dostojność.

Zaczerwienił się lekko. Namiestniczka zastanowiła się, skąd ten rumieniec. Albo zdał sobie sprawę, że ma trochę za długi język, albo był wstydlivy i speszyła go rozmowa o kochanku. Dowodziłoby to jednak naprawdę wyjątkowej wrażliwości. Tylko Garyjczycy surowo piętnowali takie związki, jako przeciwne naturze no i tak dalej, wiadomo, wszystko ohyda, zepsucie, a drzewiej nie tak bywało... Ale prawda, przecież on był chyba Garyjczykiem albo jakimś Wyspiarzem. Nic dziwnego, że uciekł na kontynent. W Dartanie miłostki mężczyzn wzbudzały śmiech i kpinki, lecz nie wrogość; w Armeckie traktowane były jak każda ludzka słabostka — kogo to obchodzi, co dwaj ludzie z własnej woli robią między sobą? Tutaj zaś, w Grombelardzie, na męskich kochanków spoglądano zazwyczaj z lekkim politowaniem, ale i zrozumieniem. Żołnierska to w końcu rzecz; w Ciężkich Górach nie każda banda wlokła ze sobą kobiety i bywały dni, gdy w ociekających deszczem kryjówkach niejeden szukał towarzystwa drugiego...

Arma uświadomiła sobie, że ma apetyt na swego młodego wywiadowcę — i nie dlatego nawet, że był taki przystojny. W głębi duszy

żywiła przekonanie, że ten chłopiec po prostu nie wie, co dobre — zarazem jednak wiedziała, że większość kobiet tak właśnie reaguje na mężczyzn, którzy w ów najbardziej ostentacyjny sposób świata odmawiają im uwagi. Nagle zachciało jej się śmiać. Przyszedł wywiadowca z intrygującą wieścią, ale co tam wieści... Namiestniczka Trybunału myślała o jego zmarnowanym siurku.

Powściągnęła rozbawienie; nic nie dała poznać po sobie.

— Skoro ręczysz i skoro ci pomaga, to mianuj go swoim pomocnikiem, a przy jakiejś okazji sprowadź tutaj do zaprzysiężenia. Otrzyma pobory z kasy Trybunału, na razie najniższe. Uprzedź go, jakie ma prawa i jakie obowiązki. Teraz niech dopomoże ci w śledzeniu tej dziwnej pary. Portu już nie obserwuj.

Seimen ani się spodziewał, że jego spotkanie z groźną namiestniczką wyda takie owoce. Został wynagrodzony. O dającą godziwe utrzymanie pracę było w Londzie niezmiernie trudno — chyba że ktoś chciał całymi dniami zrywać ścięgna przy pakach na nabrzeżu.

— Dziękuję, wasza dostojność!

— Składaj zwykłe raporty w dziennej kancelarii. Ale jeśli zdarzy się coś niezwykłego, albo tylko... no, ciekawego, przyjdź prosto do mnie, tak jak dzisiaj. To wszystko. Po drodze zajrzyj jeszcze do kancelarii urzędników gończych i poleć tam w moim imieniu, by wyznaczyli kogoś na twoje miejsce do roboty, którą wykonywałeś.

— Tak, wasza dostojność.

Uradowany szpicel skłonił się i wyszedł.

Namiestniczka znowu popadła w zadumę. Ale wkrótce okazało się, że już nie myśli o sprawie, z którą przybył młodzieniec.

— No i co w pałacu? — zapytała, nie odwracając głowy.

Rudowłosa niewolnica z Dartanu stała cicha i nieruchoma, jakby jej wcale nie było. Jeszcze niedawno pełniła obowiązki Perły Domu jej wysokości Księżnej Przedstawicielki. Namiestniczka Arma otrzymała ją od księżnej w darze, a był to dar pożegnalny. Od trzech dni cesarska córka już nie rządziła Grombelardem.

Perła pod pozorem przedstawienia spraw książęcyim urzędnikom poszła do pałacu na przeszpiegi. Właśnie wróciła, ale nie zdążyła złożyć raportu namiestniczce, bo akurat młody Seimen prosił o rozmowę.

— Jest znacznie gorzej, niż mówią. Brat cesarzowej nie jest tępy,

wasza dostojność. To po prostu skończony idiota.

Od wielu lat Lenea była zaufaną Army. Mogła pozwolić sobie na wygłoszenie podobnej opinii. Inna sprawa, że — choć potrafiła być uparta i stanowcza — niezwykle rzadko słyszało się z jej ust ostre, a nawet tylko dobitne stwierdzenie. Wołała powiedzieć „niemądry” zamiast „głupi”; „zażywny” zamiast „gruby”. A teraz: skończony idiota?

Brat cesarzowej. Przeciwnik? Narzędzie? Ale — brat CESARZOWEJ. Arma mimo woli uśmiechnęła się lekko, odbiegając nieco myślami, bo aż niewiarygodne były meandry losu, który z niej, wywiadowczyni górskich rozbójników, uczynił przyjaciółkę i powiernicę — CESARZOWEJ. Księżna Werena, jedyna córka imperatora, od trzech dni była tytułowana przez wszystkich cesarską wysokością. Zdała obowiązki wicekrólowej Grombelardu i popłynęła do Armektu objąć tron po ojcu, który już oficjalnie zapowiedział abdykację na jej rzecz.

— Powiedziałaś: idiota? Wczoraj oceniałaś go łagodniej. Mówiłaś, że od razu zabrał się do pracy...

— Ale dziś weszły w życie pierwsze zarządzenia Księcia Przedstawiciela. Rzeczywiście, nie marnuje on czasu. To aż trudno opowiedzieć, co się dzieje w pałacu. Sprawa jest jasna, wasza dostojność... a może raczej: wasza wysokość.

— Ejże, ejże, Lenea... — karcąco rzekła Arma, spoglądając wreszcie na wierną niewolnicę, która stanęła przy jej stole, opierając się oń biodrem. — Za dużo sobie pozwalasz. Jestem tylko urzędniczką imperium.

— Tak... Najwyższą urzędniczką Trybunału w tej prowincji, podlegającą Przedstawicielowi tylko w niektórych sprawach. A to idiota. Kompletny. Od tej chwili, pani, Grombelard jest twój i tylko twój. To ty jesteś wicekrólową.

— Idioci, zwłaszcza kompletni, potrafią przysporzyć kłopotów — zauważyła namiestniczka. — Po zbrodniarzu zawsze wiadomo, czego się spodziewać. A głupcy są nieobliczalni i szkodliwi jak nic na świecie. Należałoby ich zakuwać w łańcuchy natychmiast po zdemaskowaniu.

— Niedawno mówiłaś: wieszać.

— Tak, ale po namyśle trochę złagodniałam. Przeważnie są bardzo poczciwi, dla dobra ogółu koniecznie trzeba ich zamykać, ale zabijać to... chyba barbarzyństwo.

Lenea uśmiechnęła się i gdyby w kancelarii znajdował się mężczyzna

(rzecz jasna wrażliwy choć trochę na urodę kobiet) uczyłby przyspieszone bicie serca. Uśmiechając się, mrużyła oczy; kuszący był to uśmiech. Niewolnica wciąż była bardzo piękna, choć już nie mogła, jako najdroższy z klejnotów, dodawać splendoru swojej pani — zwłaszcza że ta pani zasiadała właśnie na tronie imperium, gdzie zwracały się wszystkie spojrzenia. Zwykłą koleją rzeczy, starzejące się Perły wyzwalano lub wynajdywano dla nich jakieś odpowiednie, ciepłe stanowiska — oczywiście, jeśli na to zasłużyły. Księżna Werena boleśnie przeżyła rozstanie ze swą służką i przyjaciółką, ale ulokowała ją najlepiej, jak to było możliwe, bo tam, gdzie Perła pragnęła być ulokowana. Stanąwszy u boku potężnej Namiestniczki Sędziego Trybunału, Lenea ujrzała się pośród ziszczonych marzeń. Miała odtąd służyć niezwyklej kobiecie, którą znała od lat, podziwiała i przez którą była doceniana. Towarzysząc cesarzowej, mogła być już tylko najstarszą i najmniej wartą ze wszystkich Pereł Domu. A tutaj, teraz... Życie zaczynało się od nowa.

— Jego Wysokość Księżę Przedstawiciel będzie tańczył, jak mu zagrasz, pani, a jeszcze nie omieszka przy tym śpiewać, że sam sobie tak ładnie przygrywa.

— Oby tak było, Leneo. Silna władza będzie teraz bardzo potrzebna. Zresztą zawsze była potrzebna. No, co? Chyba odbudujemy Grombelard i oddamy go cesarzowej jako podporę jej państwa. Myślisz, że jest to możliwe?

— Warto? Na chwałę jej brata?

— No właśnie. Nie wiem, czy warto.

5.

Jego Królewska Wysokość A.S.N. Askenez, Książę Przedstawiciel Cesarza w Londzie nie miał takich wątpliwości. Przybył do Grombelardu, by zaprowadzić wreszcie porządek w zaniedbanej prowincji, rozsypującej się do reszty pod rządami młodszej siostry, a już wcześniej doprowadzonej do upadku przez jej byłego małżonka Rameza. Grombelard nie miał szczęścia do silnych władców.

Wszystko to musiało się zmienić.

Drugi z cesarskich synów — cokolwiek o nim mówić i myśleć — miał sporo racji, surowo oceniając działania poprzednika i poprzedniczki. Zarządzający prowincją przed kilku laty książę N. R. M. Ramez nie był władcą słabym, ale za to niezrównowazonym. Mówiło się, że oszalał. Po krótkim okresie rządów silnej ręki odwrócił się od spraw prowincji, a w zamian ją zgłębiać tajemnice wiszących nad światem potęg. Bawiąc się w uczonego, albo zgoła mędrca-Przyjętego, doszedł był do wniosku, iż nad Szererem nieuchronnie rozpęta się wkrótce niszczycielska wojna potęg, i z premedytacją dążył do sprowokowania jej nad Ciężkimi Górami, najdzikszą, najslabiej zaludnioną ze wszystkich krain Szereru. Kierując się zacnymi, lecz niemniej szalonymi intencjami, chcąc uchronić poddanych cesarstwa przed konsekwencjami nadchodzącej rzekomo Wojny Potęg, nieszczęsny książę zrobił wszystko co w jego mocy, by Druga Prowincja przedzierzgnęła się w kraj niegościnnie, z którego rychło na łeb na szyję jęli uciekać mieszkańcy, niepewni mienia i życia. Dopiął swego — lecz stracił stanowisko, a nawet gorzej, bo szacunek i miłość żony. Werena, jedyna córka panującego, rozwiodła się z mężem, który haniebnie zawiódł nadzieje jej ojca, po czym objęła po nim tron wicekrólewski — lecz i ona nie umiała zadbać o nieszczęsną dżdżystą krainę. Nie kochała jej; przybyła tu ze swym małżonkiem, a straciwszy go, myślała już tylko o wyjeździe.

Nie nastąpiło to szybko, musiała czekać blisko trzy lata. Przez te trzy lata jej wysokość Werena zdołała zreorganizować grombelardzką armię i flotę, utwierdzić wpływy Trybunału, powściągnąć nadużycia cesarskich urzędników, wesprzeć wątłe rzemiosło i ożywić handel. Zaprowadziła wcale zdrowy ład — ale wszystko to ograniczało się do Londu, jedyne miasta związanego jeszcze z imperium. Orle gniazda w Górach — Rahgar,

Gromb i Bador — wyludnione, porzucone przez cesarskich żołnierzy, były teraz sadybami zbójów, księżna zaś nawet nie myślała o ich odzyskaniu dla cesarstwa, zwłaszcza że ociekających deszczem Ciężkich Gór szczerze nienawidziła. Niewiele lepiej wyglądała sprawa w najdalej wysuniętym na południe Riksie; jeszcze zanim wybuchła wojna z Dartanem, Niski Grombelard aż po Riks był kontrolowany przez doborowy garnizon Akali, miasta na Potrójnym Pograniczu, gdzie stykały się trzy wielkie krainy imperium. Lecz wojna pożarła wojska, Akalę zaś obróciła w perzynę i trup tego wielkiego miasta rozkładał się równie szybko, jak truchła miast grombelardzkich. Wprawdzie na żądanie Kirlanu dartańska królowa, wywiązując się z powinności cesarskiej lenniczki, posłała trochę żołnierzy na pograniczne tereny, ale niewiele to zmieniło. Dartańscy wojacy zupełnie nie radzili sobie z utrzymaniem porządku — stała za tym wojskowa nieudolność albo polityczna zła wola, nikt nie wiedział. Można było tylko domniemywać, że zwasalizowany Dartan nie ma żadnego interesu w przywróceniu potęgi imperium.

W takich oto czasach wymieniono osobę piastującą najwyższy urząd w Drugiej Prowincji — prowincji składającej się właściwie z jednego tylko miasta. Miasta, trzeba dodać, niezmiernie dla imperium ważnego, bo utrzymywanie go oznaczało kontrolę nad mającym wielkie znaczenie szlakiem morskim, obsługującym środkowoarmektańskie rynki zbożowe.

Długo by mówić o zawitych stosunkach w łonie rodziny cesarskiej... Dość rzec, że w oczach samego imperatora trzej jego synowie uchodzili za nieudaczników, a i to w najlepszym wypadku. Tak naprawdę, nieudacznikiem — mądrym i uczciwym mazgajem o złotym sercu — był tylko najmłodszy, pozostali dwaj odpowiadali wiernie portretowi, który nakreśliła namiestniczce Armie jej Perła. Prawdziwie monarsze cechy miała tylko Werena, nieodrodna córka cesarzowej, kobiety rozumnej, twardej i zdecydowanej, jeśli nie bezwzględnej.

Przez wiele lat Najgodniejszy Imperator A.S.N. Awenor utrzymywał swych synów z dala od najważniejszych urzędów cesarstwa, a zresztą od wszelkich urzędów i wszelkiej odpowiedzialności, jednak abdykując na rzecz córki, musiał coś dać także i jej braciom, jeśli nie chciał odbudowywać imperium na gruncie intryg, knowań i niesnasek.

Pierworodny syn panującego otrzymał więc przedstawicielstwo Morskiej Prowincji, drugi zaś — tron grombelardzki. Dla trzeciego przeznaczono chyba tron dartański; mówiło się po cichu, że związek obu państw zostanie przypieczętowany małżeństwem najmłodszego armeктаńskiego księcia z niepokorną dartańską królową. Podśmiewano się z tego ukradkiem. Piękna królowa Ezena była dartańskim odbiciem obejmującej właśnie tron cesarzowej: twarda baba, gotowa w małżeńskiej sypialni ponaglać łagodnego i cichego męża kijem... Było jasne, że poślubiony jej księżę nie będzie miał nic do gadania. Czego Kirlan oczekiwał w związku z tym małżeństwem?

Jego wysokość A.S.N. Askenez, zasiadając na swym wicekrólewskim krześle w Londzie, nie wiedział niestety, że jest idiotą — a do tego idiotą zgoła niepoczciwym, więc nie dotyczyły go przemyślenia namiestniczki Army. Był niezmiernie pracowitym, sprytnym, ale nie wiedzącym nic o niczym, zadufanym w sobie rozpustnikiem — ot i wszystko. Mając obiecane od kilku miesięcy, że obejmie przedstawicielstwo w Londzie, nie pofatygował się do Grombelardu, bo musiałby tam siedzieć, nie mając nic do gadania, ze łzami w oczach, z ponadrywanymi uszami i nosem boleśnie ściśniętym między kostkami palców młodszej siostry, której szczerze nie znosił, jeśli zgoła nie nienawdził, a która odpłacała mu politowaniem i pogardą. Tego, że mógłby pod jej kierunkiem powoli zapoznać się ze sprawami prowincji i stopniowo je przejmować, w ogóle nie brał pod uwagę. Przybył do Londu na pokładzie tego samego żaglowca, którym miała odpłynąć do Armektu Werenę; przebywali razem w grombelardzkiej stolicy przez niecałe dwa dni, ale tylko raz porozmawiali, przy obiedzie („Czy podróż była męcząca, mój bracie?"; „Nie, siostrzyczko i życzę ci równie spokojnego morza"; „Skosztuj, namawiam, dorszy przyrządzanych na miejscowy sposób”). Mało tego: Askenez nie omieszkał posłać przodem śmigłego stateczku, który przywiózł do Londu odwołujące Werenę pismo jeszcze przed przybyciem żaglowca wiozącego osobę jej następcy. Życzył sobie wylądować w Grombelardzie jako niepodzielny władca tego kraju i obojętne mu było, że odbierając odwołanie z rąk posłańca siostrę spotyka zwyczajny afront.

Taki oto człowiek, zasiadłszy w wicekrólewskim „pałacu”, w niespełna tydzień, pracując bez chwili wytchnienia i zaganiając do pracy

innych, urządził wszystkie sprawy prowincji po swojemu — i odpoczął, niezmiernie zadowolony, czekając, aż genialne zarządzenia zaczną wydawać owoce.

Nie wiadomo, niestety, jaki mógł być smak tych owoców, albowiem nie dano im dojrzeć. Kto wie, może nawet smakowałyby znośnie... Wielu wybitnych mężów stanu sądziło, że głupie prawo, złe prawo, jeśli da mu się okrzepnąć, lepsze jest niż prawa mądrzejsze, ale poprawiane i zmieniane co chwila. Jak świat światem, najgorszym wrogiem wszelkich rządów był chaos. Pośród złych i głupich rozporządzeń można jakoś urządzić sobie życie, oswoić głupstwa, podjąć jakąś działalność, wytwarzać dobra i handlować nimi. Pośród stale zmieniających się przepisów niczego przedsięwziąć niepodobna.

A tymczasem beczynność była dla nowego Księcia Przedstawiciela stanem wręcz nieznośnym. Czuł, że rządzi, tylko wtedy, gdy sam bez przerwy wszystkim kierował i osobiście wszystkiego doglądał, a nawet kontrolował (przynajmniej sądził, że kontroluje). Pytanie zresztą, co kontrolował, skoro nieustannie wszędzie wściubiał nos? Czy kontrolował swoje własne poczynania? Co gorsza, ten trzydziestopięcioletni mężczyzna przez całe swoje życie był nikiem, malowanym księciem z cesarską krwią w żyłach, bez żadnego stanowiska i faktycznej władzy. Nigdy, pomijając własny dom i służbę, nie miał okazji pofolgować nieodpartej potrzebie rządzenia. Teraz chciał chyba nadrobić wszystkie zaległości. Odurzony władzą i znaczeniem, przypominał dziecko, które wreszcie dostało wymarzoną, wytęsknioną zabawkę. Gotów był osobiście dyktować rozkazy słane przez podsetników dowódcom patroli miejskich i układać przepisy dotyczące handlu rybą. Z równym zapałem dobrał się do Trybunału — i zgłupiał, cokolwiek oszołomiony, bo wyrznął głową w mur.

Prawdę rzekłszy, w ogóle nie miał pojęcia, do czego służy i jak działa Trybunał. Jeśli coś tam kiedyś wiedział, to zapomniał. Jakie niby były jego związki z tą najpotężniejszą instytucją Szereru?

W każdej prowincji cesarstwa zwierzchnictwo nad Trybunałem Imperialnym dzierżył Najwyższy Sędzia, mający do pomocy dwóch lub trzech Sędziów Przedstawicieli. Trybunał podlegał wicekrólom prowincji tylko w zakresie ścigania pospolitych przestępstw, bo drugim i nadrzędnym jego zadaniem było czuwanie nad polityczną jednością

cesarstwa — mówiąc wprost: nadzór nad poczynaniami wicekrólów właśnie. Ta sfera działalności Trybunału wyłączona była, z oczywistych powodów, spod zakresu ich władzy. Aby uniknąć zbędnych tarć i zadrażnień, siedzibami Najwyższych Sędziów nie były stolice prowincji. We wszystkich okręgach — także stołecznym — Sędzia Trybunału mianował namiestników. Namiestnik okręgu stołecznego, pracujący pod boki wicekróla, zawsze miał specjalne uprawnienia, a co za tym idzie, władzę większą nawet niż Najwyższy Sędzia i jego zastępcy. Po upadku Grombelardu stanowisko Najwyższego Sędziego zniesiono, pozostawiając tylko stołeczne namiestnictwo. Jej dostojność Arma była więc najwyższą urzędniczką Trybunału w Londzie, a co za tym idzie, w całej Drugiej Prowincji, jako byt polityczno-gospodarczy istniejącej już tylko na mapie. Podlegała bezpośrednio sędziom armecktańskim, siedzącym w Kirlanie. Więc pod samym boki cesarzowej-matki, która tyleż nieoficjalnie, co niemal zupełnie jawnie, kontrolowała poczynania Trybunału w całym Wiecznym Cesarstwie.

Jej dostojność Arma, Pierwsza Namiestniczka Sędziego, została wezwana do pałacu i udała się tam bez zwłoki. Księżę Askenez nie miał zielonego pojęcia, że zaprosił do własnego domu gotowego na morderczą walkę wroga, który zamierzał z miejsca pokazać, że nim jest. Arma wiedziała o wielu, bardzo wielu sprawach, o których Przedstawiciel nawet nie słyszał... Była rada, iż dano jej sposobność sprowokowania awantury, która mogła — i powinna — zostać posłyszana aż w Kirlanie. Namiestniczka spodziewała się, iż cesarzowa-matka (odnosząca się do syna z takim samym mniej więcej szacunkiem, z jakim Werena odnosiła się do brata...) poprze ją we wszystkich poczynaniach. Gdyby jednak miało okazać się inaczej, Arma chciała to wiedzieć. Jak najwcześniej; im wcześniej, tym lepiej. Podobało jej się przewodzenie Trybunałowi, ale ostatecznie nie musiała tego robić, bo od tylu lat okradała cesarstwo, że miała z czego żyć. Wciąż, co prawda, żywiła pewne ambicje, ale właśnie dlatego nie zamierzała zostać pozbawioną realnego znaczenia figurantką. Zamiast tego może... mogłaby, na przykład, poprzeć kilku starych przyjaciół i wraz z nimi zaprowadzić w Grombelardzie nowy ład? W każdym razie wszystko było lepsze niż wysługiwanie się idiotcie.

*

Jego wysokość wprawdzie nigdy nie piastował żadnego stanowiska,

ale za to był niezmiernie bogaty; imperator, nie mogąc zaspokoić ambicji swych synów, obłaskawiał ich złotem. Podczas minionej wojny książęta, radzi nie radzi, zastawili znaczną część swoich dóbr, ale nie aż tak znaczną, by przymierać głodem. Wystrojona w znakomicie skrojoną, śmiało porozcinaną tu i ówdzie, a zarazem po armektańsku niebogatą suknię Arma, przemierzając pałacowe korytarze, myślała, że dwór księżnej Wereny na tle dworu jej brata wyglądał niezwykle skromnie. Książę Askenez przywiózł do Grombelardu tłum własnych urzędników, doradców i wszelkiego rodzaju dworaków, a już krążyły pogłoski, że to zaledwie straż przednia jego armii; lada dzień miał wyruszyć w drogę istny konwój żaglowców, wiozący kolejne legiony dowodzone osobiście przez małżonkę Przedstawiciela (czy i ona była idiotką?). Cała ta ciżba siedziała w kieszeni i wisiała na łasce swego pana, okazując mu dozgonne przywiązanie i wierność. Przystrajano korytarze, pokrywano ściany nowymi obiciami, rozpościerano kobierce, wymieniano sprzęty w komnatach. Arma wiedziała, że dzieje się tak od tygodnia.

Poprzedzana przez prywatnych gwardzistów, których księżna Werena darowała jej tak samo jak Perłę, namiestniczka nie mogła się doczekać spotkania z człowiekiem, o którym tyle już słyszała, lecz którego jeszcze nie widziała.

Zapowiedziana przez odźwiernych — wielu przecież; wieść o jej przybyciu biegła od drzwi do drzwi — jej dostojność pozostawiła wreszcie swych gwardzistów i znalazła się w zaskakująco skromnie urządzonej dziennym pokoju wicekróla, w którym zwykł był przyjmować wybranych gości. Cokolwiek złego dało się powiedzieć o synu panującego, odebrał jednak należyte wychowanie i w prywatnych swoich pomieszczeniach potrafił zdobyć się na stosowną dla Armektańczyka powściągliwość. Na ścianach zawieszono całe mnóstwo oręża (to zaiste po armektańsku), lecz poza tym komnata była niemal pusta. Kilka krzesel; duży stół pod oknem i mniejszy między dwoma wygodnymi fotelami; jeszcze jedno siedzisko, bardzo duże, miękko wymoszczone, można było tam nawet leżeć; przytwierdzona do ściany półka z przyborami do pisania i kilkoma rulonami; ładnie wykonana, lecz pozbawiona ozdób skrzynia o nieznannej zawartości — to było wszystko.

Ku zaskoczeniu namiestniczki książę podniósł się z fotela, niezwłocznie odprawił dwóch mężczyzn, z którymi żywo omawiał jakieś

sprawy, i z uśmiechem wyszedł na spotkanie przybyłej.

Jej wysokość Werena była piękną kobietą, jej brat zaś niezwykle przystojnym mężczyzną. Średniego wzrostu, z czarnymi włosami sięgającymi ramion, zadbaną trójkątną bródką, wyglądał na lat dwadzieścia osiem, a wydawał się ucieleśniać zdrowie, dobry humor i rycerską szlachetność. Miał na sobie świetnie skrojoną szatę, granatowo-czarną, wypuszczoną na czarną spódnicę, na nogach zaś jedwabne nogawice i zgrabne ciżmy; całość dyskretnie przybrano srebrnym haftem.

— Nie żyw urazy, wasza dostojność — powiedział, z bardzo bezpośrednią serdecznością ujmując namiestniczkę za łokieć — że tak późno poprosiłem o spotkanie. Trybunał i wojsko to dwie podpory mojego urzędu i nie wybaczę sobie, że tak długo zaniedbywałem jedną z tych podpór. Ale jednak to twoja wina, pani.

— Witam waszą wysokość... Dlaczego moja wina?

Przedstawiciel był zadowolony z wrażenia, jakie wywarły jego słowa. Przez krótką, bardzo krótką chwilę zastanawiał się, co oznacza lekki rumieniec na policzkach stojącej przed nim kobiety. Właściwie nie była ładna, miała zbyt szeroko rozstawione oczy i nieco za duże usta, ponadto trochę krępą, typowo grombelardzką sylwetkę, choć łagodziło ten mankament obuwie na mocno podwyższonych koturnach. Ale włosy! Jakież ta kobieta miała włosy! Zebrane w olbrzymią kiść, złotą kaskadą spływały na lewą pierś, sięgając aż do biodra. Można by obdzielić nimi dwie kobiety i każda uchodziłaby za bujnowłosą.

Powstrzymawszy się przed ujęciem w obie dłonie kędzierzawej kity — co zresztą było pierwszym odruchem niemal każdego, kto stawał przed Armą — Książę Przedstawiciel Cesarza zapuścił jeszcze oko między wypukłe piersi urzędniczki, ściśnięte w głębokim dekolcie sukni, dość duże i ciągle jędrne, jak się wydawało; zerknął też na wcale kształtną łydkę, widoczną w rozcięciu spódnicy. Nie miał nic przeciwko zadbanym dojrzałym kobietom.

Skądinąd — a kto miał?...

— Twoja wina, wasza dostojność — odpowiedział, wskazując fotel — bo wszyscy mnie tu zapewniają, że w tej podupadłej prowincji kierowany przez ciebie Trybunał to jedyna instytucja nie wymagająca żadnej troski. Jesteś, pani, zbyt doskonała.

Powiedział to tak, że mogła doszukać się pochwały udzielonej urzędnicze... albo nie urzędnicze.

Z nieznanых sobie powodów Arma zapragnęła nagle, by prawdziwa była ta druga możliwość.

— Wasza wysokość nie wiesz przecież, jaka jestem w rzeczywistości. Jeśli Trybunał w Londzie cieszy się dobrą opinią, to owa opinia nie musi być wyłączną zasługą namiestniczki.

— Sądzę, że jednak musi. Bez mądrego kierownictwa żadna instytucja nie może działać sprawnie.

— A jednak, wasza wysokość, opinie, które wygłaszają o nas inni, nie zawsze są godne zaufania.

Niegłęboko ukryła pytanie: a jaki ty jesteś właściwie, cesarski przedstawicielu? Czy naprawdę taki, jak mówią? Niestety, nie dostrzegł dwuznaczności. W samej rzeczy... chyba nie miał zbyt lotnego umysłu, co skonstatowała z nieoczekiwanym żalem. Dlaczego nagle zaczęło jej zależeć, żeby nie był takim głupcem, jak mówiono?

Starsza od księcia o ładnych parę lat namiestniczka bardzo dobrze знаła się na ludziach. Widziała wielu i różnych. Jednak Książę Przedstawiciel nie przystawał do gotowych szablonów... Jak to się stało, że spostrzegawcza i rozumna Lenea potrafiła zdobyć się tylko na powierzchowną — i chyba trochę krzywdzącą — opinię? Jeśli nawet ten mężczyzna był głupcem, to głupcem wyjątkowo przyjemnym w obyciu. Potrafił się uśmiechnąć, a słowa, nawet banalne, brzmiały życzliwie i ciepło. Perła nie wspomniała o tym nawet jednym słowem... i wpędziła swoją panią w zasadzkę.

— Niepotrzebne mi cudze opinie, skoro doszło do naszej rozmowy, pani, bo teraz wiem już wystarczająco wiele. Jestem zupełnie pewien, że uzyskam od mojej Namiestniczki Sędziego Trybunału nieocenioną pomoc.

Ple, ple, ple. Co to w ogóle miało znaczyć? „Moja Namiestniczka Trybunału”?...

Arma dawno odwykła od rozmów z podobnymi ludźmi. Przez cały czas starała się pamiętać, że ten uprzejmy i uśmiechnięty mężczyzna o twarzy i postawie księcia z bajki wedle wszelkiego prawdopodobieństwa naprawdę niewiele ma rozumu, mija się więc z celem szukanie w jego słowach finezyjnej gry, prób wybadania rozmówczyni. A jednak nie

chciało jej się wierzyć, że obejmujący najwyższy urząd w prowincji człowiek może z całym przekonaniem, zamieniwszy z kimś cztery zdania, powiedzieć: „Wiem już wystarczająco wiele”. I do kogo to mówi? Do przełożonej setek łapaczy i szpicli, intrygantki z urzędu. Był pewien... czego tam? Mógł być pewien co najwyżej tego, że rozmawia z blondynką.

A może... może jeszcze nie zaczął rozmowy? Może to był po prostu kolejny komplement, mniej lub bardziej zdawkowy? Zamiast wyzbyć się wątpliwości — Arma przeciwnie, nabierała podejrzeń, że chcą ją wywieść w pole. Spróbowała raz jeszcze:

— Ja także, wasza wysokość, jestem dumna, że Grombelard zyskał władzę tej miary. Trybunał jest do twojej dyspozycji, panie.

I nic.

Kupił to, nie mogła uwierzyć. Nie parsknął śmiechem, nie popatrzył znacząco, nie mrugnął i nie powiedział: „No dobrze, wasza dostojność, skoro mnie skarciłaś, nie będę już pokpiwał sobie z ciebie”. Nic z tych rzeczy. Rzucił jeszcze jeden zgrabny, niezobowiązujący komplement (który jednak zabrzmiał trochę tak, jakby został powtórzony z pamięci), po czym gładko przeszedł do konkretów. Miał naprawdę przyjemny, ciepły męski głos.

— Wasza dostojność, najpierw potrzebny mi będzie wykaz wszystkich tajnych urzędników Trybunału, zarówno działających w Londzie, jak i całym Grombelardzie. Po wtóre, powierzam ci własnych ludzi, są to znakomici urzędnicy, których pracowitość i uczciwość sam miałem możliwość ocenić...

Namiestniczka poróżwiała lekko na policzkach. Nieznacznie drgnęły jej usta i nozdrza. Przedstawiciel mówił dalej. W międzyczasie do komnaty wszedł jakiś człowiek z licznymi pismami w dłoniach. Nie przestając mówić, Askenez rzucił na nie okiem, po czym podpisał jedno po drugim. Odprawił sekretarza skinieniem.

— .. ponadto trzeba, wasza dostojność, zaostrzyć kary za zbrodnie i wykroczenia, których wykaz niezwłocznie polecę ci dostarczyć...

Arma parsknęła śmiechem.

Zdumiony mężczyzna zamilkł. Z lekko przechyloną głową obserwował siedzącą na krawędzi fotela kobietę, która, jak się zdawało, nagle postradała zmysły. Z łokciem opartym na blacie stołu, twarzą zaś na dłoni, z zakrytymi oczyma, złotowłosa namiestniczka krztusiła się i

nie umiała powstrzymać łez. Nagle spoważniała, znowu usiadła prosto, otarła łzy grzbietem dłoni i wyczekująco zapatrzyła się w twarz księcia. Najwyraźniej była gotowa słuchać dalej. Zdawało się jednak, że gdzieś tam, w otulinie ściśniętych stanikiem piersi, nadal dygoce bezgłośny, pozbawiony powietrza śmiech.

— Co to miało znaczyć, wasza dostojność?

— Przepraszam, wasza wysokość. To skutek przemęczenia.

— Przemęczenia?

— Przemęczenia, wasza wysokość.

— Czy męczy cię rozmowa ze mną, pani?

— A czy my w ogóle rozmawiamy, książę?

Na chwilę zaniemówił.

— Co oznacza to pytanie?

Teraz ona przez chwilę milczała.

— Wasza wysokość... Z woli Kirlanu — zaakcentowała leciutko — jestem zwierzchniczką Trybunału Imperialnego w tym mieście. Proszę szanować mój czas, bo on bardzo wiele kosztuje. Pobory, jakie otrzymuję z imperialnej szkatuły, mogą zrobić wrażenie na każdym. I nierzadko robią, bo są jawne, przynajmniej dla cesarskiego przedstawiciela. Proszę sprawdzić, jaka to suma.

— Co to ma do rzeczy? I chciałbym wiedzieć, co znaczy, że mam szanować twój czas, pani? Trwonię go? Co to znaczy?

Oszczędnym ruchem pokazała: „To, co powiedziałam”.

— Ale zdaje mi się, że to ja rozporządzam teraz twoim czasem, wasza dostojność. Nie rozumiem twojego zachowania, pani. Proszę wstać! — dorzucił nagle z ogromną stanowczością.

Wstała aż nazbyt skwapliwie i popatrzyła z góry. Chciałoby się powiedzieć: z ogromnej wysokości. Poczzerwieniał i chciał chyba zawołać: „Proszę usiąść!”, ale wyczytał w drzeniu ust rozmówczyni, że gotowa znowu parsknąć śmiechem. Zerwał się i poszedł ku drzwiom. Zawrócił. W ogóle nie potrafił prowadzić rozmowy! Arma miała wrażenie, że uczestniczy w jakiejś dziwacznej zabawie, że bierze udział w odgrywanej na rynku ku uciesze gapiów błahostce.

— Wasza wysokość — powiedziała, bo aż żal się jej zrobiło nieszczęsnego idioty (idioty, no naprawdę, niestety! ach, Leneo!). — Wasza wysokość, ja naprawdę mogę i chcę być podporą

wicekrólewskiego urzędu. Przez wiele lat ciężko pracowałam u boku Jej Królewskiej Wysokości Księżnej Przedstawicielki Cesarza i jestem pewna, że przekazała o mnie jak najlepszą opinię...

Kłamała. Była pewna czego innego, a mianowicie tego, co jej powiadano: że ksiązę nie zamienił z siostrą i trzech słów o sprawach prowincji.

— Proszę przysłać mi swoich... protegowanych — ciągnęła. — Chętnie ocenię ich przydatność i być może niektórych wykorzystam. Czy jeszcze jakieś prośby, wasza wysokość?

Patrzył osłupiały.

— Prośby?

Armie już nie było do śmiechu. Jej piękna niewolnica nie skłamała nawet jednym słowem: władcą zrujnowanej i wymagającej odbudowy prowincji został człowiek beznadziejnie bezradny, niemający pojęcia o niczym, wyzbyty wszelkich zalet potrzebnych na stanowisku, które objął. Ktoś, kogo bez żadnego wysiłku obracała w palcach, kto domagał się od rozmówczyni, by patrzyła nań z góry, to znów tracił inicjatywę, zanim w ogóle przymierzyła się, by ją przejąć. Przeciwnik? To był przeciwnik? Ktoś taki chciał tu rozkazywać, rządzić... Ale mógł rozkazywać tylko noszonym w swej sakiewce przydupasom. Pytanie: który z tych przydupasów miał dość sprytu, by kierować księciem? To nie wymagało jakichś specjalnych zdolności. I było zupełnie niemożliwe, by nikt dotąd nie pokusił się o to. Żona? Jacyś dworzanie? Czyż nie miała racji, dowodząc, jak śmiertelnie niebezpieczni są głupcy? Oczywiście, że miała przeciwnika, może wielu przeciwników — gdzieś, nie wiadomo gdzie, skrytych w cieniu... Cichych, przymilnych dworaków, ciągnących soki władzy z tego... ksiązęcego pnia. Należało ich wykryć, obezwładnić. Nim wymyślą coś, co podsunięte Przedstawicielowi jako własna jego myśl, okaże się naprawdę niebezpieczne.

W odstępnie zaledwie paru dni namiestniczka Arma pożałowała dwóch pięknych mężczyzn: jednego, bo był nieosiągalny; drugiego, bo mierny do bólu. Jakże by chciała na miejscu tego słabego księcia mieć przed sobą rzutkiego, mądrego i przebiegłego wroga, stojącego do walki z otwartą przyłbicą! Czy umiałaby przegrać z kimś takim, podporządkować się? Ależ oczywiście, że tak! Księżnę Werenę wspierała z całej siły, własne sprawy załatwiała ukradkiem, za jej plecami, ale nie

były to sprawy mogące jakkolwiek zaszkodzić poczynaniom cesarskiej przedstawicielki, która budziła szacunek i respekt. Lecz teraz? Gdzie ten wojownik mogący ją ujarzmić? Widziała tylko pustą zbroję, którą przywdziać mógł ktokolwiek. Skorupa. W głębi hełmu nie było twarzy, tylko mrok.

— Ostatecznie, wasza wysokość, poświęcę ci tyle czasu, ile zechcesz — powiedziała zrezygnowana. — Powiedziałam: prośby? No właśnie. Możesz prosić o cokolwiek, książę. W samej rzeczy wolno ci też rozkazywać. Na twój rozkaz natychmiast przydzielę gończego urzędnika do wojskowego oddziału ścigającego zbrodniarza, muszę też podporządkować się poleceniom takiego rodzaju, jak osądzanie pewnych przestępstw w pierwszej kolejności przed innymi. O tym decyduje się właśnie tutaj, w tym pałacu. Tak samo niezwłocznie przekażę komendantowi legii wszystkie doniesienia wywiadowców Trybunału, dotyczące niezgodnych z prawem zamierzeń... zresztą czynię to stale, to mój obowiązek. Współpracuję ze strażą morską i legią w zakresie rozpoznawania i ścigania wszelkiej nieprawości i jest to udana współpraca, nie trzeba mi więc tego nakazywać. Innych poleceń nie mogę wykonać, książę. Nie wolno mi, bo stracę stanowisko, a wtedy na moje miejsce przyjdzie ktoś inny i także straci stanowisko, gdy tylko wypełni rozkazy, których wypełniać nie powinien. Tak w nieskończoność. Niczego nie uzyskasz, książę, a obezwładnisz Trybunał i twoja prowincja utonie w morzu zbrodni. Chcąc poznać tożsamość tajnych urzędników, wasza wysokość, musisz zwrócić się z tym do Kirlanu i jeśli nadejdzie stamtąd potwierdzenie, natychmiast dostarczę ci żądany wykaz. Proszę i doradzam, byś odwołał się do stolicy, a im szybciej, tym lepiej, książę.

Traciła czas. Próbowwała zgadnąć, czy będzie na nią krzyczał, drwił czy groził. Zastanawiając się nad tym, nie zauważyła, którą w końcu możliwość wybrał. Na Szerń, dlaczego ten mężczyzna o przyjemnym głosie po prostu nie powiedział: „Doradź mi, wasza dostojność, jak najlepiej urządzić nasze wspólne sprawy”? Wszystko jedno, niechby i był głupi...

Pusta zbroja hałasowała na stelażu. Może nie warto było nią potrząsać?

6.

Przez okrągły tydzień Tamenath, wygodnie mieszkający w domu człowieka, o którym wspomniał Ridarecie, mógł do woli oglądać miasto i słuchać plotek w oberżach.

Czcigodny Ogen był kupcem; proszący o gościnę Tamenath nieomal zderzył się z nim w drzwiach, bo gospodarz właśnie wybiegał z domu i pędził załatwiać jakieś ważne sprawy. Poznał starego mędrca Szerni i nawet był mu rad, ale nie mógł zaniedbywać interesów — a co to oznaczało, okazało się wkrótce. Dom stale pozostawał na łasce dwóch rozpróżnionych pacholków. Ogen zrywał się wczesnym rankiem, wychodził z domu, w południe wracał na obiad, który przynoszono mu z pobliskiej gospody, ucinał krótką drzemkę i znowu dokądś mknął. Wracał w nocy. Był zamożny, miał dobrych rachmistrzów, intendentów, pomocników — i potrzebę działania, jakiej nie powstydziliby się Książę Przedstawiciel (w Londzie od paru dni nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o niezwykłej aktywności nowego władcy prowincji i zmianach, jakie ta aktywność zwiastowała; zmiany zaś, jak to zmiany — mogły być tylko na gorsze). Uważał, że bez niego wszystko się zawali.

Tamenath też miał chęć do działania, ale musiał ją na razie poskromić. Wprawdzie udało mu się raz i drugi porozmawiać z gospodarzem, ale przedobrzył, bo krążąc wokół sedna, niczego się nie dowiedział. Powinien rzec sobie w duchu, że chorobliwa ostrożność nie popłaca — ale nie mógł tego uczynić, bo był matematykiem i jak większość matematyków uważał, że jest, w gruncie rzeczy, nieomylny. Szukając więc przyczyny swych niepowodzeń, krzywym okiem jął spoglądać na Ridarecę. Dostatecznie długo siedział na Agarach, by nabawić się wiary w niektóre żeglarskie przesady. Ta dziewczyna najwyraźniej przynosiła pecha.

Barwne życie kupca Ogena nie bardzo ją zaciekało. W młodości awanturnik, za sprawą czystego przypadku zetknął się z Gotahem-Przyjętym, najznamienitszym z żyjących historyków Szerni. Przez kilka lat — biorąc miarę Szereru, bo w Bezimiennym Obszarze, gdzie siedział zwykle Gotah, czas płynął inaczej — podczas różnych wypraw służył swemu chlebodawcy jako tragarz i przyboczny gwardzista; zaznał w tej służbie wielu przygód. Naprawdę sporo dowiedział się o Szerni — i nie

były to jakieś mgliste urojenia, lecz rzeczywista wiedza. Jednak przygody zbrzydły mu na koniec. Rozstał się z Przyjętym i osiadł w Londzie, gdzie wiódł dostatnie i spokojne życie kupca (o ile spokojem można nazwać nieustanną mrówczą krzątanię). Z Tamenathem zetknął się przed laty tylko raz, ale poznał go dobrze, bo jednoręki mędrzec-Przyjęty był przyjacielem jego pana i dość długo bawił pod jego dachem. Otrząskany w świecie, mówiący trzema językami tragarz, pijak, zabijaka i kupiec, umiał patrzeć i myśleć, a miał pojęcie o wielu różnych sprawach. Cóż, gdy Tamenath nie potrafił go zmusić do rozmowy, bo uroił sobie, że jest królem wszystkich intrygantów, i chciał sprawić, by Ogen sam zaczął gadać na interesujące go tematy. Niestety, nie wiadomo, czy w końcu dopiąłby swego (o ile, rzecz jasna, wcześniej uprzejmy gospodarz nie dałby mu do zrozumienia, że wikt i noclegi winny zapewnić podróżnym gospody). Kapryśna agarska księżniczka nudziła się bowiem na potęgę — i rozgniewany Tamenath nie miał do roboty nic innego, jak wkroczyć w środek uroczej pogawędki, którą sobie ucięła z byłym tragarzem Gotaha.

Był późny wieczór, gdy stary uczony, wynurzywszy się ze swego pokoju, posłyszał głosy w sąsiedniej izbie, oddanej do dyspozycji Ridarety. Drzwi zostawiono niedomknięte i Tamenath osłupiał, zerknąwszy do środka. Wniebowzięty gospodarz — krzepki stary kawaler — siedział na łóżku pięknej Ridi i spozierał na grube warkocze, które splatała przed snem. Dziewczę, przyodziane w kusą nocną szmatkę, siedziało przed maleńkim zwierciadłem, jedynym, jakie było w domu samotnego mężczyzny. Rozmawiali po garyjsku; gospodarz na szczęście (a może raczej niestety!) dobrze znał ten język — jedyny, którym posługiwała się żywiąca wstręt do wszelkiej wiedzy agarska następczyni tronu.

— Nie jestem Przyjętym, pani, więc trudno mi, nieprawdaż, potwierdzić obserwacje jego godności Tamenatha. Ale jeśli nawet są prawdziwe, nieprawdaż, w co właściwie nie należy wątpić, to tutaj, nieprawdaż, nikt nie ma o tym pojęcia.

— Trybunał Imperialny nic nie wie o tych wszystkich... no, dziwnych rzeczach?

— Nie wiem, pani. Może wie, nieprawdaż... Mówię tylko, że w mieście nikt nic o tym nie mówi, a takie sprawy to przecież łakomy kąsek dla

rozmaitych plotkarzy. Nie dość, że to Grombelard, to jeszcze portowe miasto. — Ogen uśmiechnął się znacząco. — Wszystko jest dobre, żeby prawić a prawić. Dość, by zawinął do portu statek, którego tu jeszcze nie widziano, a od razu, nieprawdaż, wygadują w tawernach niestworzone historie. Że pewno niewolniczy, albo pirat, co uciekł przed sztormem... Ale o rozpadaniu się Szerni? Słowa nie słyszałem.

Nikt jakoś nie dostrzegł oburzonego mędrca, wypełniającego swą osobą całe drzwi. Płomienie kilkunastu świec, osadzonych w wielkim kandelabrze na stole, kładły miękki poblask na gołych kolanach splatającej warkocze piękności. Dziw, że popatrujący na te kolana gospodarz w ogóle wiedział, o czym mówi.

Jakoś jednak wiedział.

— No, nieprawdaż... — dorzucił z namysłem — jakiś czas temu słyszało się różne bajania o Wstęgach Aleru i Pasmach Szerni, leżących w Ciężkich Górach... Ale to dlatego, że sama jej wysokość Księżna Przedstawicielka była bohaterką tych historii. Mówię, że po karczmach słyszało się bajania, wasza godność, bo trzeba trafu, że sam byłem świadkiem, a i uczestnikiem tych zdarzeń, nieprawdaż, więc wiem, jak to było naprawdę. Służyłem jeszcze mojemu Przyjętemu i to potem właśnie odszedłem ze służby. Wiem, jak to było naprawdę — powtórzył.

— Słyszałam tę historię od Tamenatha, a on od Gotaha, kiedy spotkali się w Dartanie... chyba jakieś dwa lata temu. Może trzy. I mówisz, że gadało się o tym?

— I to sporo. A wiesz, pani, że już i o tobie gadają?

— O mnie? Gdzie?

— A w mieście. Od własnego sprzedawcy słyszałem.

Skończyła splatać warkocz i żywo zwróciła się ku mówiącemu. Założyła nogę na nogę i oburzenie Tamenatha wzrosło, tak przynajmniej, jakby patrzył na własną córkę, zachowującą się, doprawdy, zbyt swobodnie. Ogen zaś był bezczelny z tymi swoimi obleśnymi ślepiami. Tamenath już otwierał usta, ale tylko zmarszczył czoło i nadstawił uszu. Cierpliwość godna podziwu, jeśli zważyć, że odczuwał straszliwe parcie na pęcherz — to w tej właśnie sprawie wyszedł ze swojej izby.

— I co mówią? Na pewno o mnie? — pytała z niedowierzaniem.

— No, wasza godność, nie tak dużo jest w tym mieście takich pięknych kobiet, a do tego... do tego, nieprawdaż...

Stropił się trochę i zmieszał.

Odczekała chwilę.

— Jednookich — dokończyła z ironią i zaraz parsknęła złośliwym śmiechem, bo (Tamenath nigdy tego nie rozumiał) z jakichś przyczyn lubiła się obnosić ze swoim kalectwem; zakłopotanie gospodarza, który nie chciał dotknąć przykrej sprawy — zakłopotanie jak najlepiej przecież świadczące o jego wrażliwości — najwyraźniej sprawiło jej przyjemność.

— Tak, nie chciałem cię urazić, pani... To port, wielki port — kontynuował pośpiesznie, jakby zapewnianie w kółko, że Lond jest miastem portowym, było obowiązkiem każdego, kto tu mieszka — i więcej snuje się legend żeglarskich niż tych o Ciężkich Górach. Zaraz przypomniano starą bajkę, nieprawdaż, o córce Demona Walki, króla wszystkich piratów. Bardzo pięknej, dzikiej piratce, jednookiej... Jakby słuchać, co opowiadają, to już wszyscy ją tutaj widzieli, nieprawdaż. Pacholek opowiedział mi dzisiaj i zaraz pomyślałem, że to o tobie, pani. Tak to, widzisz pani, odżywają legendy.

Ogen nie miał zielonego pojęcia, kim jest kobieta, którą gości pod swym dachem, nie wiedział nawet tego, że oboje z Tamenathem przyплыnęli z Agarów. A zresztą, choćby i wiedział... Historia o córce Demona Walki była jedną z najbardziej znanych żeglarskich bajęd Szereru. Któż potrafiłby stanąć twarzą w twarz z taką legendą i uwierzyć, że to wszystko prawda? Gospodarza zastanowiło więc tylko uważne spojrzenie kobiety i dziwny wyraz jej twarzy. Ale w końcu nie było niczym niezwykłym strojenie min przez kobietę, która dowiedziała się właśnie, iż wskrzesiła swym przybyciem legendę.

— Chodzę dużo po mieście, ale nic nie słyszałem — rzekł Tamenath.

Zaskoczeni, spojrzeli ku drzwiom.

— O, wasza godność! — rzekł gospodarz. — Rozmawiamy właśnie, nieprawdaż...

— Tak, tak, wiem.

— Źle, że o mnie mówią? — zapytała.

— No a dobrze?

— Nie wiem! — prychnęła. — Mam już dosyć tego... nie wiem, jak to nazwać? Szpiegowania? Zabawy w chowanego? Przywlokłeś mnie na koniec świata, żeby skrycie zamordować, czy co? Chowamy się, wydziwiamy... Ktoś nas prześladuje? Goni? Masz tu jakąś misję, o której

nic nie wiem? Bo to z tą Szernią, że niby już po niej, wcale nie wyjaśnia, dlaczego od tygodnia siedzimy mu na karku. — Ruchem głowy wskazała Ogena.

Dość często bywała nieznośna, ale bardzo rzadko agresywna, przynajmniej wobec Tamenatha, który znał kilka jej tajemnic... Jednak teraz najwyraźniej nabrała ochoty do boju.

— Nasze sprawy, pięknotko...

— Żadne pięknotko! Pani, a najlepiej wasza wysokość! Jakie „nasze sprawy”? Twoje sprawy, nudny staruchu! Ja nie mam żadnych spraw!

Tamenath zamilkł i zerknął na gospodarza. Kupiec znów był zakłopotany. Ten bywały i odważny człowiek, bez mała awanturnik, na pewno umiałby jeszcze posłużyć się kuszą i mieczem, ale niezrozumiałe kłótnie wszczynane przez jego gości wyraźnie go konfundowały. Nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować. Ale za to potrafił szybko myśleć i łączyć różne fakty. Uciał sprzeczkę (która coraz wyraźniej przemieniała się w ordynarną kłótnię) w najlepszy z możliwych sposobów, bo powiedział:

— To nie mój interes, nieprawdaż... chociaż może i trochę mój... bo jeżeli naprawdę się ukrywacie albo macie jakąś misję, to...

Zdezorientowani, zagapili się nań wyczekująco.

— Myślałem, że to przypadek, wasza godność — zwrócił się wprost do Tamenatha (ale nie przegapił momentu, gdy w rozcięciu nocnej koszuliny pojawił się wierzchołek nad wyraz dorodnej piersi; zaiste był to człowiek obdarzony wysoce podzielną uwagą). — Myślałem, że o inny dom chodzi...

Łysy olbrzym przechylił głowę. „Tak?”.

— Od jakichś dwóch dni kręci się tutaj szpicel Trybunału. Nie widziałem powodu, dla którego to akurat mój dom miałby być obserwowany, nieprawdaż... Ale teraz, nieprawdaż, chciałbym wiedzieć... Krótko mówiąc, czy na pewno nie ma powodu?

Zaległo milczenie.

— Wasza godność — dorzucił gospodarz ze spokojem, ale i stanowczością — nie twierdzą wcale, że nie zechcą wam pomóc, jeśli potrzebujecie pomocy. Ale, nieprawdaż, jeśli są jakieś sprawy związane z waszym pobytem w Londzie, którymi mógłby zajmować się Trybunał, to życzą sobie to wiedzieć. Mieszkam tutaj i prowadzę przedsiębiorstwo

handlowe. Czy jest powód, żeby interesował się wami Trybunał?

Nawet matematyk musi sobie czasem powiedzieć, że nie jest nieomylny. Tamenath rąbnął się w rachubach i mógł tylko przeklinać swą głupotę. Ależ był świetnym intrygantem!

— Nie widzę żadnego powodu — powiedział, idąc w zaparte, choć nie bardzo mógł liczyć, że gospodarz uwierzy, zwłaszcza w świetle tego, co przed chwilą mówiła rozzłoszczona Ridareta. „Misja”, „zabawa w chowanego”, a na dobitkę „jej wysokość”; pięknie. — Mówisz, zacny przyjacielu, że ktoś nas obserwuje? Szpieg Trybunału?

Ogen kilkakrotnie obrócił dłoń grzbietem do dołu i do góry.

— Z Trybunałem tutaj nie ma żartów — powiedział. — Śledzenie spokojnych, a do tego zamożnych mieszkańców miasta to nie jest zajęcie dobrze widziane, nieprawdaż. Ktoś, kto to robi, może uchodzić za złodzieja pragnącego poznać obyczaj swej ofiary. Jeśli mimo wszystko to robi, to albo jest bardzo głupi, albo... ma prawo to robić.

— I tak łatwo dałby się rozpoznać? — powątpiewał Gotah.

— Łatwo, wasza godność? Wcale nie wiem, czy łatwo. Mieszkacie u mnie już tydzień, nieprawdaż. A ja zupełnie przypadkiem zwróciłem uwagę na niezwykle ładnego chłopaka i tak samo przypadkiem dostrzegłem go wczoraj po raz drugi, w samym środku nocy, więc o dosyć niezwykłej porze.

— Gdyby to był szpieg Trybunału, to chyba ktoś by go zmienił?

— Wasza godność... nie wiem. Czy to ja rozsyłałam wywiadowców Trybunału po ulicach? Mówię, nieprawdaż, co zwróciło moją uwagę i co w związku z tym przyszło mi do głowy. A przyszło najbardziej dlatego, że jej godność — popatrzył na Ridaretę — zapytała, dlaczego się chowacie i czy masz do spełnienia jakąś misję.

Ano właśnie. Było jasne, że Ogen gotów zrezygnować — choć z żalem — z oglądania gołych kolan agarskiej pannicy i wystawić ją o świcie na próg domu, w towarzystwie, oczywiście, opiekuna.

Tamenath odetchnął głęboko.

— Dobra. Siedźcie tutaj.

To rzekłszy, ruszył z kopyta tam, gdzie ruszyć musiał. Wrócił najszybciej, jak mógł, wkroczył do izby, przyciągnął sobie zydel i usiadł. Zydel skrzypiał i trzeszczał. Starzec myślał. Gospodarz czekał, Ridareta oglądała swoje odbicie w lustrze.

— Zimą, półtora roku temu, wymieniłem listy ze starym przyjacielem — rzekł Tamenath. — Z twoim Przyjętym, Ogenie. Tak jak powiedziała Ridareta, spotkaliśmy się kilka lat temu, wówczas poznałem historię poszukiwania Wstęg Aleru w Ciężkich Górach, sam zaś uraczyłem Gotaha inną opowieścią. Mniejsza, co z tego wynikło, dość że od tej pory wiedzieliśmy, gdzie się szukać w razie potrzeby. Zimą Gotah posłał mi list, w którym przedstawił ciąg dalszy swej historii. Tak, tej samej, w której i ty brałeś udział, Ogenie. Księżna Przedstawicielka Cesarza kazała spisać jedną z najciekawszych historii, jakie widział Grombelard. Końcowe rozdziały tej historii to opowieść o niej samej, o cesarskiej córce, uwikłanej w niepojętą awanturę. Brał w tej awanturze udział ktoś jeszcze, a mianowicie garbaty starzec noszący dziwny instrument... Hm?

Owo „hm” odnosiło się do miny gospodarza.

— Rozumiem, wasza godność, że nie wspominasz tego starca bez powodu... Czy nawiązujesz do legendy...?

— Legenda i legenda... Świat nie składa się z samych legend. To Strażnik Praw Całości, nieśmiertelny nosiciel całej treści Szerni, a nawet więcej: symbol przyczyny, dla której powstał świat pod jej Pasmami.

Ridareta otworzyła usta, lecz Tamenath spojrzał tak surowo, że zrezygnowała z pytań.

— Strażnik Praw — mówił dalej — w imię wyższych racji zmuszony był wtargnąć w życie cesarskiej córki, a ta... usunęła go. Można powiedzieć, że przegrał, albowiem prowadził pewną grę. I ta oto historia być może naprawdę jest bajką, zmyśleniem. Istnienie Strażnika to fakt, opis zaś podano tak wiernie, że niemająca pojęcia o Szerni księżna z całą pewnością rzeczywiście go знаła. Ale cała reszta? Z posłanej Gotahowi księgi... otrzymał ją z prośbą o opinię, opinię Przyjętego, jak i uczestnika niektórych zdarzeń... więc z tej księgi wynika, że jej królewska wysokość Werena kazała pojmać Strażnika i żywcem zamurować w podziemiach gmachu, który później spłonął i został zburzony podczas rozruchów w Grombie. Wiekuiste więzienie dla kogoś, kogo nie można zabić. Pytanie, ile z tego jest prawdą? Czy księżna, dyktująca swą historię kronikarzowi, zdradziłaby szczegóły, które nigdy nie powinny wyjść na jaw? A może tego chciała? To kobieta wielkiego formatu i być może zdawała sobie sprawę, że Strażnik Praw Całości nie chodzi po Szererze ot, tak sobie. Zagroził jej, więc został usunięty, lecz może uznała, że po latach, może

nawet po jej śmierci, ktoś powinien wykorzystać wskazówki, gdzie go szukać? A może jeszcze inaczej: może podyktowała tę historię powodowana najzwyczajszą próżnością, chcąc uwiecznić swój triumf nad potężnym i znieprawionym przeciwnikiem, lecz zmieniła niektóre szczegóły, a przez to odnalezienie miejsca jego uwięzienia nie jest możliwe? Nie wiem. Ale wiem, kto pomagał księżnej w realizacji wszelkich przedsięwzięć. Jej doradczyni i zauszniczka, która wróciła z Dartanu, by ratować kraj, który kocha. Ta zauszniczka jest dziś Pierwszą Namiestniczką Najwyższego Sędziego Trybunału w Londzie. Wątpię, by nie wiedziała o Strażniku Praw, naprawdę wątpię.

Słuchali z najwyższą uwagą.

— Oto dlaczego — zakończył Tamenath — nieśpieszno mi trąbić wszem wobec, że wybieram się do Grombu, ani w jakiej sprawie się wybieram. Ciężko to wyznaczyć, ale... jako lah'agar, Przyjęty, niewiele w życiu dokonałem. A na koniec okazało się jeszcze, że moja praca, praca matematyka, nie ma już żadnego znaczenia. Wkrótce wykituję — oznajmił z właściwą sobie subtelnością. — Nie mam już czasu na wynalezienie nowego celu w życiu i przyszło mi do głowy, że poszukam Strażnika Praw, może uda mi się dokonać czegoś ważnego, a zarazem ciekawego. A ty mi przebaczysz, Ogenie, gdy powiem, że jako kiepski intrygant nie umiałem ocenić, czy wolno mi zdradzić się przed tobą. Prawdopodobnie w całym Londzie nie ma nikogo, kto lepiej od ciebie znałby sprawy wiążące się z Szernią. Mogłeś być nawet doradcą namiestniczki, biegłym rzeczoznawcą. Próbowałem cię wy badać, ot i wszystko.

— Bałeś się, wasza godność, że służę Trybunałowi?

— A kto mógł mnie zapewnić, że nie?

Kupiec popatrzył dziwnie, ale nie wyjawiał, co myśli. I dobrze, bo nie były to spostrzeżenia pochlebne dla byłego mędrca Szerni. Po głębszym zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że warto... choćby bardzo oględnie... dać coś do zrozumienia.

— Dmuchaając na zimne, wasza godność, niczego nie osiągniesz w tym kraju.

— Chcesz mnie uczyć, Ogenie, co można osiągnąć w tym kraju? Sądzisz, że brakuje mi ręki, bo zatrzasnęły się na niej tablice matematyczne? Straciłem ją tutaj, dowodząc kusznikami Gwardii

Grombelardzkiej, jeszcze zanim przyszedłeś na świat.

— Wiele się zmieniło, wasza godność. Nieprawdaż.

— Wolę jednak dmuchać na zimne, jak mówisz.

— Wasza godność... ale przez tydzień?

— A jednak — stwierdził Tamenath — z jakichś powodów Trybunał się nami zainteresował. Bo twierdzisz przecież, że przed domem czyha ich szpicel? Może więc moja ostrożność nie jest tak całkiem bez sensu?

Ogen podrapał się po potylicy.

— Gdybym miał zgadywać...

Wymownie i tym razem wręcz ostentacyjnie pogapił się na Ridaretę.

— Co? — Tamenath nie zrozumiał.

— Pstro — mruknęła księżniczka, która, przeciwnie, pojęła, o co chodzi, i z zaciekawieniem popatrzyła na gospodarza. — Mówisz, że to przeze mnie?

— No, wasza godność, hm... Prawdę rzekłszy, nieprawdaż, w ogóle nie pamiętam, żebym w Londzie... i w ogóle gdziekolwiek, hm, nieprawdaż...

Milczała wyczekująco.

— Żebym widział kiedyś tak... nieprawdaż, wasza godność... taką...

Cokolwiek oznaczały gesty uniesionych rąk, były coraz obszerniejsze.

— Taką szprotę? — podpowiedziała.

Ogen uśmiechnął się szeroko i z ulgą. Kiwnął głową. Ale Tamenath rozeźlił się nieoczekiwanie.

— Chcecie mi tu wmówić, że Trybunał posyła szpicli za kiecką? No to już chyba przesada!

— Kiedy Trybunał, panie, płaciłby pewnie jej godności bardzo duże pieniądze za... nieprawdaż... No, nawet nie za coś bardzo ten tego, hm... — zastrzegł zaraz. — Ale pozyskanie kobiety, która może ogłupić każdego?

— Jednookiej?

— Mmm, żebyś wiedział, jak wielu... — zaczęła, ale zamilkła, tłumiąc śmiech, gdy Tamenath ostrzegawczo uniósł palec.

— Taka kobieta zwraca na siebie uwagę — rzekł stanowczo.

— No i co z tego? Niech zwraca — skwitował Ogen. — Każda piękna kobieta zwraca na siebie uwagę, i co z tego? Czy ktokolwiek rezygnuje, nieprawdaż, z towarzystwa pięknych kobiet, bo, nieprawdaż, może służyć Trybunałowi? To zdaje się tylko ty, wasza godność, gotów jesteś

podejrzewać każdego że, nieprawdaż...

Trudno było odmówić temu wywodowi racji.

Nieprawdaż.

— Myślisz, że chcą mnie pozyskać? — zapytała, wciąż z tym samym uśmiechem.

— Nie wiem, pani. Ale tak tylko sobie myślę, że jakbym miał jakieś stanowisko w Trybunale i dowiedział się, że w mieście, nieprawdaż, jest kobieta, o której aż gadają w knajpach legendy, tobym posłał jakiegoś szpicelka, żeby się dowiedział, kto to jest. Trybunał zbiera plotki i skrycie interesuje się każdym, kto, nieprawdaż, jest inny niż wszyscy. Zjawia się w Londzie, ni stąd ni zowąd, kobieta, o której aż wróble ćwierkają, nie wiadomo kto to, ani skąd, ani w jakiej sprawie, a Trybunału nic to nie obchodzi?

Tamenath wzruszył ramionami, z trudem powściągnął rozdrażnienie. Podopieczna spoglądała nań z lekkim, wciąż tak samo wieloznacznym uśmiechem. Wyglądało na to, że w najbliższym czasie nie zmieni wyrazu twarzy.

Przyszło mu naraz do głowy, że jest starym dziadem. Naprawdę starym, niestety. Nie zaświtałoby mu nawet, że Ridareta... Owszem, niby wiedział, że jest nieprawdopodobnie urodziwa, ale wiedział... jakby tu rzec... tylko teoretycznie. Chciałoby się rzec: matematycznie.

Do innych pięknych kobiet miała się jak osiem i dwie trzecie do sześciu.

Do jakiego wzoru powinien się podstawić, jak uprościć i przekształcić swe krzepkie dziadostwo, żeby po prawej stronie równania otrzymać wynik w postaci sześćdziesięcioletniego młokosa? (Bo w to, że można być młokosem nawet czterdziestoletnim, Tamenath nie bardzo już wierzył; tak młodzi ludzie chyba jeszcze rosną?)

Riolata, królowa Rubinów, chciała się powielić. Ridareta zachodziła w ciążę niemal od kichnięcia, jej uroda zaś była po prostu wabikiem. Jednak Rubin, choć miał coś w rodzaju duszy, nie potrafił myśleć, a tym samym „nie wiedział”, jaka właściwie kobieta jest ponętna — kształtował więc ciało Ridarety, wybiegając naprzeciw jej życzeniom i wyobrażeniom. Problem polegał na tym, że mądra Ridi z kolei, chciała być akurat „taką szprotą”, o jakiej marzyli jej żeglarze — osobnicy, no przecież, o niezwykle wyrobionych gustach — było więc tylko kwestią

czasu, kiedy wymiona księżniczki osiągną rozmiary głowy i urwą się pod własnym ciężarem.

Gotah pomyślał złośliwie, że może najpierw zwisną niżej pępka, co skłoni Piękną Ridi do zastanowienia.

— Idę spać — oznajmił, podnosząc się z zydlu; siedzisko skrzypnęło z ulgą. — Jutro lub pojutrze ruszamy do Grombu. Oto koniec twoich kłopotów, Ogenie, i koniec naszej styczności z tutejszym Trybunałem. Ty też już, Ogenie, idziesz spać? — upewnił się z niejaką surowością, przystając w drzwiach. — No to... chodźmy razem, bo chętnie przyjmę jeszcze zaproszenie na kubeczek wina przed snem.

„Kubeczek” oznaczał wcale solidną popijawę; Ogen, gdy raz zaczął chlać, nie potrafił przestać ot, tak sobie. Było pewne, że nie zerwie się, jak zwykle, wczesnym rankiem. Tamenath potrafił się mścić.

Ridareta została sama.

— Ależ jestem ładna — powiedziała.

Najpierw siedziała i siedziała, uśmiechając się do kiepskiego, matowego lusterka. Delikatnie gładziła je paznokciem. Potem zdjęła z twarzy opaskę i przyglądała się swojej skażonej starą raną twarzy, z wyraźnym zadowoleniem wodząc palcem po bliznach okalających pusty oczodoł. Wreszcie wzięła długą szpilkę do włosów i powolutku zbliżyła miedziane ostrze do ocalałego oka. Dotknęła, najpierw przygryzając usta, a potem pokazując zęby spod uniesionej górnej wargi. Serce biło jej coraz mocniej i szybciej.

Cofnęła dłoń, ale szpilki nie odłożyła. Wstała, podeszła do drzwi i wyjrzała za próg, nasłuchując. Z głębi domu dobiegały niewyraźne głosy sączących wino mężczyzn. Upewniła się, że naprawdę są zajęci, i ostrożnie zamknęła drzwi. Wróciła na swoje krzesło.

I znowu przez jakiś czas siedziała nieruchomo, lecz z sercem walącym tak mocno, że było to widać przez koszulę. Wreszcie uniosła jej skraj i trzymaną w drugiej ręce szpilką przebiła skórę na brzuchu. Drgnęła, wciskając szpilkę głębiej i odchylając w dół. Skurczona twarz, oszpecona odśloniętym, martwym oczodołem, była odstręczająca. Lecz wkrótce grymas bólu jął ustępować miejsca niewyraźnemu uśmiechowi. Wepchnęła szpilkę do końca, po czym wolno pochyliła się i wyprostowała, jakby tkwiącym w ciele ostrzem chciała pokaleczyć wnętrza. Wyciągnęła szpilkę do połowy i znowu wbiła, wykonując

jeszcze jeden powolny skłon. Ramionami wstrząsnął lekki dreszcz. Wreszcie, kawałek po kawałku, wyciągnęła szpilkę. Na opuszczonej z powrotem koszuli wykwitła czerwona plamka, zrazu mała, potem coraz większa. Siedząca na krześle kobieta chciwie oglądała w zwierciadle swoją twarz. Uniosła szpilkę do ust, oblizała i odłożyła na stół. Z powrotem zawiązała opaskę na wybitym oku.

Wyszła z domu jeszcze przed świtem.

7.

W urządzonym przez ludzi i na ludzką modłę świecie kot miał wszystko, czego zapragnął, nie robiąc właściwie nic.

Uczeni mędrcy-Przyjęci, od stuleci zgłębiający rządzące Szernią i Szererem prawa, nie umieli dać odpowiedzi na pytanie, dlaczego ze wszystkich istniejących na świecie gatunków akurat ludzie, koty i sępy zostali obdarzeni rozumem. Wydawało się, że człowiek, ze swymi sprawnymi dłońmi, był tu istotą szczególną, specjalnie przygotowaną na przyjęcie rozumu — ale czy rzeczywiście? Kto właściwie mógł jednoznacznie rozstrzygnąć, czy akurat umiejętność wytwarzania rozmaitych przedmiotów była tym, co Szerń uznawała za niezbędną? A jeśli nawet, to jeszcze niekoniecznie musiało zaświadczać o uprzywilejowanej pozycji ludzi w Szererze. W dociekaniach filozofów Szerni nie brakło i takich opinii, że pierwszy gatunek rozumny był w istocie gatunkiem służebnym wobec dwóch pozostałych. Miał przekształcać świat, zgodnie ze swymi możliwościami, a były to możliwości dane przecież przez Szerń. Zapewne więc zmiany w świecie były jakimś echem, odbiciem zmian zachodzących w samej Szerni. Koty i sępy nie musiały zatem robić nic więcej, jak tylko wypełniać ów budowany przez ludzi świat treścią — nie wiadomo jaką, lecz na pewno pożądaną przez zawieszoną nad światem potęgę. Sępy, oderwane od wszystkich przyziemnych spraw, całe swe trwanie poświęciły niepojętej filozofii, w imię której na koniec stopiły się z powrotem z życiodajną potęgą Pasm, wracając do ich treści. Koty trwały obojętnie, nie wpływając w ogóle na kształt człowieczego świata, który nie bardzo zauważył fakt zaistnienia drugiego rozumnego gatunku i — prawdopodobnie — tak samo nie zauważyłby zniknięcia. Czworonożni rozumni byli co najwyżej ciekawostką, a w niektórych częściach Szereru, nieomal jakąś... legendą.

W Rollaynie, największym mieście Szereru, koty legendą nie były. Widywano ich tutaj sporo, choć najczęściej na przedmieściach, gdzie mieszkały. Olbrzymie, a pomimo to ciasne, dzielnice w pierścieniu murów miejskich, były miejscem, którym kot pogardzał. Pojawiał się tam co najwyżej po to, by załatwić jakieś sprawy. Jakie? A któż wiedział, jakie sprawy ma kot? I kogo to obchodziło? Zlecano im różne drobne prace.

Koty były niezastąpione w szybkim przekazywaniu wiadomości, potrafiły pilnować towarów na straganach, nie było też takiego dekarza, który nie chciałby najać do zbadania wiązań dachu kota-pomocnika. Prawie nigdy nie płacono im w żywej monecie. Kot nie potrafił kłamać ani zmyślać, zupełnie tak samo, jak nie umiał latać, gdy pojawiał się więc w kramiku, żądając jakiegoś towaru — najczęściej pożywienia — przyjmowano jego zapewnienie, że taki to a taki człowiek uiszczy wkrótce opłatę za dokonany zakup. To najzupełniej wystarczało. Słowo kota było dowodem nawet w sądzie, niedokonanie zapłaty obciążało więc wyłącznie kociego dłużnika.

Nigdy niczego nie zapominały. Nigdy nie cofały raz ofiarowanej przyjaźni. I nigdy nie przestawały nienawidzić, jeśli kogoś lub coś znienawidziły.

Żyły z ludźmi, w ludzkim świecie, obojętne i prawie nierozpoznawalne. Mało kto potrafił na pierwszy rzut oka odróżnić jednego kota od innego, jeśli w grę nie wchodziło jakieś naprawdę szczególne umaszczenie. Dla przechodnia z ulic Rollayny wszystkie szare pręgusy były takie same, podobnie zresztą burasy. Przykuć uwagę mógł najwyżej jakiś gadba, grombelardzki kot-olbrzym, znacznie większy od powszechnych w Armeckie i Dartanie tirsów.

Największy gadba, jakiego kiedykolwiek oglądano w Rollaynie, nie wzbudził powszechnej uwagi, bo nie wylazł ze swojego ogrodu, a może raczej ogródka; w zatłoczonej dartańskiej stolicy nie było przydomowych parków i ogrodów z prawdziwego zdarzenia. Bure kocisko wylegiwało się na boku, wystawiając futro do słońca. Gruba jak dwa męskie palce łapa moczyła się w sadzawce. Znana kocia niechęć do wody nie dotyczyła gadba, które w swej deszczowej ojczyźnie prawie nigdy nie bywały suche. Leżący w ogrodzie kocur, owszem, nienawidził wody — ale słonej. Była to woda zbędna, obrażająca kota samym swym istnieniem.

Pośród umieszczonych w trawie białych kamieni, otaczających rabatę, jeden był kamieniem szczególnym, lśnił bowiem w promieniach słońca niczym śnieg. Koty wiązały się tylko na krótko — raczej zresztą spotykały niż wiązały — nie zakładały rodzin i nie miewały kochanek. Gdyby było inaczej, wielkiemu burasowi należałyby się szczerze gratulacje. Lśniący biały kamień otworzył bowiem jaskrawozielone oczy,

okazując się najpiękniejszą kocicą tirs, jaką można sobie wyobrazić.

— Przestań się miotać — powiedziało cudo głosem sporo wyraźniejszym niż zwykle u kotów; już to jedno wskazywało na kocicę.

„Miotaniem się” były zapewne słabe ruchy burego ogona.

Przemowa. Pełne zdanie u kota mówiącego do innego kota — to była istna przemowa. Odtwarzając tę samą sytuację na przykładzie dwojga ludzi, trzeba by pokazać kobietę, wygłaszającą istną tyradę. Zniecierpliwiony mężczyzna mógłby na to odpowiedzieć: „Gadasz i gadasz. Już przestań”.

Buras tak właśnie zareagował, odchylił bowiem ucho do tyłu. Skarcona piękność zamknęła oczy. Obraziła się.

Lecz po chwili potoczyła się oszczędna kocia rozmowa, niemal zupełnie niezrozumiała dla człowieka, bo złożona z pojedynczych słów, obficie okraszanych różnymi, uchwytnymi tylko dla kota sygnałami.

Koty bardzo rzadko nosiły przed imieniem monogramy na pamiątkę po znamienitych przodkach. Ale te nieliczne, które miały do takich monogramów prawo (i którym chciało się owych monogramów używać), znane były w całym Szererze. Bury olbrzym nazywał się L.S.I. Rbit i był spadkobiercą tradycji kociego rodu (a może tylko linii?) wojowników, którzy przed wiekami powiedli współbraci do zwycięstwa w słynnej Kocie Wojnie, prowadzonej przeciwko ludziom o uznanie... raptem dwóch kocich praw. Zachcianka. Wojna w imię kociej zachcianki. Co nie przeszkadzało, że historia rycerskiego rodu L.S.I. była w Armekcie, rozmiłowanym w wojennych legendach, powszechnie znana — i kompletnie zakłamana, właśnie jak stara legenda.

Dartan też miał swoją „kocią” legendę, co prawda trochę już zapomnianą. K. N. Vasaneva (rzadkie i dumne imię, które — w armektańskim brzmieniu — nosiła sama cesarzowa-matka) była kimś równie niezwykłym jak Rbit, bo... królewską złodziejką. Przed wiekami, gdy w Dartanie panowała mityczna królowa Rollayna, od której imienia wzięła nazwę stolica, przodkowie Vasanevy świadczyli jej swoje usługi. Widywano ich potem na dworach prawowitych dartańskich monarchów. Minęły stulecia, Dartan stał się prowincją Wiecznego Cesarstwa, a potem odzyskał niepodległość i odzyskał królową — spadkobierczynię tradycji pierwszej władczyni Dartanu. A wówczas do królowej przyszła śnieżnobiała piękność, mówiąc: „Jestem, królowo. Powiedz, jakie

dokumenty albo tajemnice trzeba ukraść, a wkrótce będziesz je miała”.

Dwa najświetniej urodzone koty Szereru wylegiwały się w ogrodzie przy jednym z domów Rollayny. Rbit usprawiedliwiał się przed swoją towarzyszką, a przez całe swoje życie czynił to zaledwie kilka razy i przed jedną tylko istotą — przyjacielem i bratem, królem dżdżystego Grombelardu. Kocica chciała znać powody, dla których Rbit wyleguje się w ogrodzie, zamiast działać. Miał mnóstwo do zrobienia, bezczynność nużyła go i denerwowała, a pomimo to leżał, mocząc łapę w sadzawce. Kocur z niezwykłą cierpliwością wyjaśniał, że... nie wie, dlaczego nic nie robi. Miał przecucie. I to byłyby dla niej zrozumiałe powód, gdyby nie fakt, że... też miała przecucie. Powinien działać i już. A leżał i... no, „miotał się”, prawda, używając koniuszka ogona.

Posprzeczali się o przecucia. Użyli razem jakichś trzydziestu pięciu słów. Zmęczeni awanturą, nie gadali aż do południa, czyli przez najbliższe pół dnia. Rbit upiekł się na słońcu. Vasaneva nie przypominała już kamienia, bo leżała w trawie jak długa, pokazując jasnoróżowe opuszki łap. Czasem wysuwała i chowała pazury.

W taki mniej więcej sposób L.S.I. Rbit, legendarny w Grombelardzie Basergor-Kobal, co znaczyło „książę Gór Ciężkich”, spędził ostatnich siedem lat. I nie był specjalnie znudzony. Dopiero teraz, odkąd zapadła decyzja o powrocie do Grombelardu, bezczynność męczyła go i wprawiała w podły nastrój.

Do ogrodu wyszła niewolnica, ubrana w tradycyjny biały strój. Rbit nie otworzył oczu, ale dziewczyna, od dawna służąca w domu, potrafiła poznać, czy wolno jej mówić.

— Podać posiłek, wasza godność?

— Tak. Vasanevo?

— Żadnych mięs — oznajmiła kocica, nie otwierając oczu. — Owczy ser, przepiórcze jajka, trochę koziego mleka. Pstrąg kiszony w koprze. Wino białe, słodkie, młode, żadnej stęchlizny ze stuletniej piwnicy.

Koty gotowe były uznawać niektóre, wymyślone przez ludzi, towarzyskie formy i mody, ale daleko nie wszystkie. A już gdy chodziło o posiłki, czworonożni rozumni nie znali się na żartach. Stare wina, co tu dużo gadać, nie nadawały się do picia; kot dysponował o wiele wrażliwszymi zmysłami niż człowiek i nie życzył sobie spożywać czegoś, co w oczywisty sposób było śmierdzące i popsute.

Niewolnica odeszła, by przygotować bądź sprowadzić to, czego zażądano.

— Zapomniałaś. Wie — rzekł Rbit, gdy zostali sami.

Ponieważ było to śmieszne, ubawili się oboje. Vasaneva w samej rzeczy zapomniała, że nie jest w domu urządzonym na ludzką modłę; niewolnica Rbita doskonale wiedziała, czego nie podawać na stół.

Potem znów leżeli w milczeniu.

Vasaneva pojawiła się wczesnym rankiem nie po to bynajmniej, by umilić czas gospodarzowi domu. Przekazała ważną wiadomość. Rbit potrafił szybko podejmować decyzje, teraz jednak nigdzie się nie śpieszył i mógł dowolnie długo przetrwać wieści. Leżąc przy sadzawce, zastanawiał się, o co naprawdę chodziło królowej. Młoda władczyni Dartanu zapewniała, za pośrednictwem swojej białej faworyty, że dawni władcy Ciężkich Gór mogą liczyć na jej życzliwą neutralność. Oznaczało to, że odbudowa rozbójniczego imperium była Dartanowi na rękę. Dlaczego?

Wbrew temu, co na Agarach opowiadał Kragdob, Rbit przez wszystkie spędzone w Rollaynie lata nie tylko drzemał. Także słuchał i myślał. Nie obchodziły go polityczne i wojskowe intrygi tak długo, jak długo nie dotyczyły jego. Gdy naraz zaczęły dotyczyć, wydobyl z pamięci potrzebne wiadomości. Był świetnie obeznany z tym wszystkim, czym oddychał Szerer. Poufna deklaracja królowej Ezeny miała bardzo duże znaczenie. Zwasalizowany Dartan był obowiązany wystawić, na każde żądanie Kirlanu, kontyngent wojsk gotowych poprzeć zbrojnie interesy Wiecznego Cesarstwa. W Armeckie martwiono się najbardziej o Garrę i poważnie przemyślano o posłaniu wojsk na zbuntowane Agary, było więc do przewidzenia, że sprawę niepokojów w Drugiej Prowincji cesarstwo powierzy Dartanowi. Już teraz w Niskim Grombelardzie krążyły patrole dartańskiej, nie armektańskiej, piechoty. „Życzliwa neutralność” królowej Ezeny oznaczała więc, że posłani w Góry żołnierze będą gonić wroga tak, żeby nie złapać. Dlaczego?

— Kto powiedział o nas królowej?

Vasaneva nie otwierała oczu.

— Nie powiem.

— Książę A.B.D.?

— Usłyszałeś.

Przed laty, w Ciężkich Górach, Rbit oddał przysługę młodemu rycerzowi-awanturnikowi, wywodzącemu się z jednego z najświetniejszych dartańskich rodów. Jego książęca wysokość A.B.D. Baylay nie miał w życiu szczęścia do kobiet. Może dlatego, że wybierał sobie naprawdę wyjątkowo wredne baby... Porzuciła go pierwsza żona, potem to samo uczyniła druga. Rbit, jak większość kotów, miał skłonność do sarkazmu; zapytany, mógłby pewnie bez ogródek wyjawić, co sądzi o wyborach Baylaya. Na szczęście nikt go nie pytał. Zresztą nie uważał się za przyjaciela ani wroga pana A.B.D. i nie obchodziły go jego losy. Jednak był to prawy i szlachetny mężczyzna. Znał tożsamość dwóch tajemniczych olbrzymów, człowieka i kota, którzy przed laty pojawili się w Rollaynie. Umiał milczeć.

Ale jednak był jedynym człowiekiem w stolicy, który mógł szepnąć królowej słówko na ich temat. Jak dużo wiedziała Ezena? Rbit sądził, że niewiele. Ufał Baylayowi. Mając na uwadze rację stanu, książę udzielił królowej pewnej rady, ale bez wątpienia zachował w tajemnicy wszystkie niemające znaczenia szczegóły. Tak czy owak, znaczyło to, że zamiary dawnych władców Grombelardu nie są już tajemnicą. Rbit domyślał się, dlaczego. Wprawdzie nie zwierzał się nikomu ze swych planów, ale celowo rozpuścił w Grombelardzie pewne wieści. Było zdumiewające, jak szybko wróciły do Dartanu, odbite niczym echo.

— Powiedz królowej, że obojętne mi jej stanowisko. Cokolwiek zrobię, nie będę oglądał się na Dartan.

— Pochopnie.

— Tylko uczciwie.

Wkrótce po posiłku Rbit wezwał niewolnicę, powierzył jej pieczę nad domem, po czym sprowadził Vasanewę z powrotem do ogrodu, okazując jej w ten sposób wyjątkowe względy (najprawdopodobniej mieli się już nigdy nie zobaczyć). I poszedł.

Nie było żadnego powodu, dla którego śnieżna piękność miałaby zaraz opuszczać ogród, gdzie było jej tak wygodnie. Donikąd się nie śpieszyła. Ale Rbit przeciwnie: właśnie wyruszył do Grombelardu i już nie zamierzał wracać do Dartanu.

Opuściwszy zatłoczone ulice, najpierw skierował się do domu starego druha, którego bardzo cenił przed laty, ale za którym nie tęsknił, ponieważ nie było to do niczego potrzebne. Zateknił teraz, bo już mogło

się przydać. Delen mieszkał mniej więcej w połowie drogi między Rollayną a wschodnim wybrzeżem Dartanu.

8.

Glorm stawiał się w Rollaynie raptem dwa dni po opuszczeniu — może lepiej: porzuceniu? — domu przez Rbita. Sądził, że jego koci przyjaciel już od dawna siedzi u Delena, i dlatego nie posłał przodem żadnego gońca z listem.

Jednak może i dobrze się stało, że Rbit nań nie zaczekał... Kocur wyszedł po prostu z domu i ani w głowie mu było załatwianie jakichkolwiek spraw; pewnie by je nawet załatwił, ale skoro mógł zwalić wszystko na przyjaciela, uczynił to. Przyjaciel zaś odetchnął z ulgą, uświadomiwszy sobie, że niewiele, a byłby zmuszony robić wszystko pod okiem znudzonego burasa.

Groźny władca Ciężkich Gór był tutaj, w Rollaynie, tylko cudzoziemskim rycerzem, dość znanym z racji uczestnictwa w licznych turniejach — i nikim więcej. Właścicielem świętego domu, kilku kamienic i kilkunastu niewolnic oraz podmiejskiego sadu i dwóch dużych wsi w południowym Dartanie. Pracodawcą sprawnego zarządcy, z którym należało się porozumieć w sprawie sprzedaży majątku. To na pewno nie były sprawy wymagające kociej asysty.

A koniecznie trzeba było sprzedać wszystko. Przed laty, gdy w Dartanie pojawił się nieznany nikomu olbrzym z twardo wypchanym trzosem, nikogo nie obchodziło, kim jest. Wśród dwustu tysięcy mieszkańców Rollayny takich przybyszów znikąd było pełno. Poszły w świat jakieś plotki, zwłaszcza wtedy, gdy ogromny rycerz stał się bardziej znany, bo jął wygrywać wszystkie turnieje, tak mocno osadzone w tradycji Złotej Prowincji — niemniej plotki były tylko plotkami. Ale teraz ów rycerz zamierzał je potwierdzić. Nikomu nie znany wojownik mógł kiedyś skryć się w Rollaynie, lecz znany w Rollaynie rycerz nie mógł skryć się już nigdzie — chyba że na Agarach. Nie mógł więc zostawić za plecami żadnych nieruchomości; skonfiskowano by je zbiegłemu w góry banicie zaraz po tym, jak wyszłoby na jaw, kto zacz.

Najpierw należało rozstrzygnąć los niewolnic. Poza zarządcą, zresztą człowiekiem wolnym, w służbie Glorma i Rbita pozostawały tylko kobiety — rzecz zwyczajna, bo o mężczyzn-niewolników było niezmiernie trudno, jako że trafiali do najcięższych prac. Niewielu ludzi chciało sprzedać się w niewolę tylko po to, by zaraz skonać w

kamieniołomach. Wierne i nieprzyzwoicie rozpuszczone dziewczyny, którym żyło się w męsko-kocim domu jak we śnie, wyściskały swego olbrzymiego, nie widzianego od roku pana i gotowe były natychmiast przymilać się, domagać prezentów, rozpieszczać go, kąpać i karmić — zamiast tego wszystkie bez wyjątku uderzyły w ryk, gdy wieczorem wezwał je, by oświadczyć, że są mu już zbędne, więc zostaną nazajutrz wyzwolone. Wolność była ostatnią rzeczą, jakiej pożały te kobiety; cóż to zresztą wolność? Na co komu? Miały przyuczać się do fachu przątek, kupieckich posługaczek albo byle jakich prostytutek, harując na kromkę chleba, gdy tutaj dostawały najlepsze jado i odzienie za nic? Mogły wylegiwać się na słońcu, całymi dniami siedzieć w miejskiej łaźni albo leniwie spacerować po ulicach, kupując łakocie, błyskotki i szmatki za srebro nieskąpanych panów. A teraz?... Obiecał sute odprawy — nie pomogło. Stłukł je wszystkie, a ponieważ były liczne, zdrowo się napracował. Jeszcze gorzej. Omal nie pobiegły ku oknom, by kolejno rzucić się w dół z wysokości, gdy zagroził, że odsprzeda je z powrotem do hodowli; któż mógł kupić niewolnicę z drugiej ręki, ułożoną już na modłę pierwszego właściciela i pod jego gust? Chyba tylko jakiś hulaka i utracjusz, gotowy morzyć głodem swoje sługi. Mało brakowało, a zaczęłyby je prosić, żeby sobie poszły (bo głowa bolała go na samą myśl, że miałyby je wszystkie pozabijać i użerać się z mnogim pochówkiem), ale na szczęście wpadł na lepszy pomysł.

— Enita — rzekł do najstarszej, jeszcze trzymającej się za czerwony od uderzenia policzek i wyglądającej wyjątkowo szkaradnie, jak każda płacząca brunetka, choćby nawet ładna na co dzień — dostaniesz pieniądze i akty wyzwolenicze... Milcz! Nie skończyłem jeszcze. Akty wyzwolenicze, żeby nikt was nie zatrzymał w drodze. Opłacisz asystę Królewskiej Straży Krajowej, która wam zapewni bezpieczeństwo. Zabierzesz wszystkie w podróż, udacie się do Lida Aye i opłaciecie swój wstęp na pokład pierwszego handlowego żaglowca, który będzie płynął na Agary. Skieruję cię do kogoś, kto wskaże ci taki żaglowiec, bo oficjalnie nikt z Agarami nie handluje, to bezprawne. W Aheli, stolicy Agarów, udacie się do pałacu księżęcej pary rządzącej tym krajem i oddacie list ode mnie. Otrzymacie tam opiekę nie gorszą, a może lepszą niż tutaj. Poproszę księżnę, by zechciała pozostawić każdej z was decyzję, czy chce zniszczyć swój akt wyzwoleniczy i służyć nowej pani, czy też

woli zacząć życie na własny rachunek. To nie jest Rollayna, lecz Agary. Takie kobiety jak wy mogą porobić tam niesłychane kariery, bo wasze umiejętności i uroda są pospolite tylko tutaj, w najbogatszym i największym mieście świata. To wszystko, co mogę i chcę dla was zrobić. Teraz jazda mi z oczu, niech zostanie tylko jedna, z przyborami do pisania. Skończyłem.

Przez resztę nocy chlipały po kątach, ale jakoś się pocieszyły. Miały zapewniony byt — wprawdzie gdzieś na końcu świata, ale za to na książęcym dworze, u przyjaciół dobrego pana. Glorm miał dość rozsądku by nie opowiadać, że całe to księstwo — choć skądinąd bogate — jest właściwie sadybą morskich zbójów, rządzonych przez samozwańczą księżnę, z pomyłką „księżniczką” wywodzącą się od sławnego pirata, a po matce z jakiegoś zapomnianego garyjskiego rodu, i biegającą właśnie po grombelardzkich górach... Miało się to nijak do pierwszego z brzegu magnackiego Domu w Rollaynie; Domu, którego początki ginęły w pomroce dziejów.

Zarządca majątku, posłuszny rozkazom Rbita, już od pewnego czasu dyskretnie poszukiwał nabywców i mógł od ręki przedstawić Glormowi kilka ofert. Kamienice i sad można było sprzedać natychmiast, wioski i las w południowym Dartanie to była sprawa mniej pilna. O domu nic dotąd nie mówiono; teraz zarządca przeraził się, usłyszawszy, że sprzedane musi być wszystko, a on sam wkrótce straci zajęcie. Był to jednak człowiek obrotny, którego uspokoiło zapewnienie, iż uzyska godziwą odprawę, a nawet list polecający z najlepszą opinią o swej pracy. Glorm nie zamierzał czekać, aż wyprzedaż dojdzie do skutku, zaakceptował tylko warunki i wystawił potrzebne pełnomocnictwa. Nigdy nie był człowiekiem skąpym; nie był też rozrzutny, ale dla zasady. Nie chciało mu się teraz handryczyć o podbicie ceny, zwłaszcza że największe zyski czerpał z zupełnie innej działalności, a mianowicie był liczącym się pożyczkodawcą. Na coś takiego bardzo krzywo spoglądano w Dartanie; mężczyzna Czystej Krwi nie powinien parać się lichwiarstwem. Toteż Glorm parał się tak, że nikt o tym nie wiedział, bo osiadłszy w Rollaynie, po prostu wniósł swój kapitał do nowo otwartego domu kredytowego, z którym oficjalnie nic go nie łączyło. Doprawdy — nie on jeden tak czynił... Nie bardzo go obchodziło, dlaczego w Dartanie trwonienie pieniędzy to rzecz piękna, pobieranie zaś procentów od tych,

co chcą trwonić — bardzo brzydka. Uporządkowawszy i te sprawy, mógł nareszcie zająć się przygotowaniami do wyjazdu.

Szurając i łomocząc zakurzonymi skrzyniami w piwnicach, musiał naraz sobie powiedzieć, że z wiekiem stał się skłonny do wzruszeń. Przeglądał oto zaniedbany ekwipunek grombelardzkiego przebiegacza gór — człowieka, który z mieczem w ręku zdobył dość złota, by wystarczyło na dom w Rollaynie, dwanaście ładnych niewolnic, kamienice... Najpierw obrócił w palcach dwa Srebrne Pióra, potężne Porzucone Przedmioty, z których jeden był kiedyś nieomal częścią jego duszy, drugi zaś służył przyjacielowi. Teraz oba Geerkoto były martwe... Ojciec wyjawiał mu dlaczego. Nie wszystkie Porzucone Przedmioty umierały tak samo szybko, wiele jeszcze działało. Ale Srebrne Pióra zgasły wszystkie. Miał w ręku dwie zabaweczki

Przesuwał w dłoniach szarą, bardzo ciężką i solidną kolczugę; badał cięciwę potężnej kuszy, do której nigdy nie używał korby, bo był w stanie ją napiąć gołą ręką. Rząd koński, wykonany prosto i solidnie jak wszystko inne... i sakwy, w których brakowało niezbędnych drobiazgów, takich choćby jak łyżka, kubek, szarpie do przewiązania ran... Jakże miewał się jego Galvator, nieśmiertelny wierzchowiec, poczęty i zrodzony w Złym Kraju? Koń tak małej urody (był to bowiem grubokościsty londer, ciężkie i niezwrotne, ale silne jak żubr bydlę pociągowe), że niepodobieństwem jawiło się trzymanie go w Rollaynie, gdzie zwróciłby powszechną uwagę. Wbrew mniemaniom, nieśmiertelne — a może lepiej: niestarzejące się — konie, tak rzadkie, że prawie legendarne, niekoniecznie były gorącokrwistymi rumakami.

Na koniec wydobył miecze.

Krótki miecz gwardyjski, używany przez elitarne oddziały imperialnej piechoty, miał szeroką głownię o długości mniej więcej męskiego uda i pochylony w dół jelec; w górach, dla wygody, nosiło się go na plecach. Mocna, bardzo dobrze wyważona, niezawodna broń. Drugi miecz był czymś najzupełniej wyjątkowym. Wykonany według starych wzorów przez mistrza grombelardzkich mieczników, smukły, przeznaczony wyłącznie do kłucia, nazywany był tarsanem, czyli zabójcą, a nawiązywał do broni Shergardów, tajemniczego plemienia, żyjącego kiedyś w Grombelardzie. Sztuka walki dwoma mieczami zginęła wraz z tym plemieniem, ale nie do końca... Kultywowali ją nieliczni mistrzowie,

zawsze szukający zdolnego ucznia i następcy. Przed wieloma laty, w Ciężkich Górach, młody rozbójnik uczył się tej sztuki od jednorękiego olbrzymiego starca, który z powodu kalectwa nie wszystko potrafił pokazać, lecz o wszystkim umiał opowiedzieć. Zresztą uczył młodego rozbójnika nie tylko walki mieczami. Był ojcem, prawdziwym ojcem, jeszcze zanim mógł przyznać się do tego.

Na dartańskich arenach turniejowych te dwa miecze nigdy nie zabłysły i nie usłyszały wrzawy tłumu, który ze zbrojnej potyczki uczynił sobie zabawę. Jego godność J. Wenet — bo pod takim imieniem znano go w Dartanie — słynny Rycerz Bez Zbroi, używał tam innych mieczów — podobnych, ale nie tych.

Na dnie skrzyni była jeszcze jedna kolczuga, niezwykła, bo przeznaczona dla kota. Jakiś czas temu podobnych pancerzy używali gwardziści ze słynnej kociej półsetki rahgarskiej. Najgroźniejsi żołnierze mroku, deszczu i bezdroży. Już nie istnieli. Zamordowana grombelardzka legenda, jedna z wielu, które umarły w porzuconych górach.

Z rozbawieniem, a także irytacją pomieszaną z dziwnym rozczuleniem, olbrzymi mężczyzna obracał w dłoniach świetną kolczą plecionkę kociego wojownika. Małego brata, który z właściwą swemu rodzajowi nonszalancją ani myślał obarczać się w podróży ciężką zbroją, bo wiedział, że jego przyjaciel o niej nie zapomni.

Przyjaciel rozeźlił się, cisnął chrzęszczącą stalową szatę w kąt piwnicy, wreszcie przyniósł oliwę i z największą starannością jął przecierać ciasno splecione kółeczka, szukając najdrobniejszych śladów rdzy. Potem zajął się własnym orężem.

Siedząc w dobrze oświetlonej piwnicy, z ogromnym własnym cieniem za plecami, największy siłacz i najsprawniejszy wojownik Szereru przygotowywał zimne żelazo, bez którego znaczył niewiele. Tu, w Dartanie, inny metal zapewniał pozycję. Lecz ów złoty metal uczynił go zaledwie jednym z mrowia próżniaków, podczas gdy to szare żelazo czyniło go bez mała królem.

Są chwile i miejsca, w których mężczyznę należy pozostawić samego. Czarnowłosa niewolnica, z wahaniem stawiająca małe stopy na wiodących do piwnicy schodach nawet nie pomyślała, że igra ze śmiercią... A igrała. Jej dobry i hojny pan już nim nie był. W ogóle nie znała człowieka, do którego wybrała się ze swoją sprawą.

— Wasza godność...

Przez całe swoje życie — może za wyjątkiem paru lat spędzonych w Rollaynie — Glorm otaczał się mężczyznami. W Ciężkich Górach kobiety nie na wiele się przydawały. Jasnowłosa olbrzym uniósł głowę, zatrzymując dziwnie roztargnione spojrzenie na twarzy niewolnicy. Przestraszyła się trochę, bo to było spojrzenie, jakiego nigdy nie widziała. Obce. Lecz jej pan myślał tylko o tym, że te nieliczne kobiety, z jakimi rozmawiał w życiu, wyrwały mu z gardła sto razy więcej słów, niż wszyscy mężczyźni razem wzięci. Teraz znowu miał mówić i — zapewne — powtarzać wszystko po dwa razy, bo już widział, że nie przyszła w zwykłej sprawie. Przygotowując i przepaszając dotykem zaniedbaną broń, najwierniejszą ze wszystkich sojuszniczek, miał zarazem rozmawiać z niewolnicą... o czym? Czy o jakichś jej urojeniach?

Rzeczywiście.

— Wasza godność, ja nie chcę jechać na Agary. Chcę... chciałabym pojechać z tobą, tam gdzie jedziesz. Ja wiem...

Nie, nie wiedziała. Zupełnie.

Topór o szerokim żeleźcu przyjemnie ciążył w dłoni, masywny i cichy, bo wiedział, że mowa jest tylko srebrem, podczas gdy milczenie — aż żelazem... Jego pan i władca także milczał, lekko wodząc kciukiem po wygiętym stylisku i oglądając cielesną rzecz, która wcisnęła się między niego a stalowe istoty.

Najmądrzejsza z jego niewolnic była głupia jak pusta skrzynia.

— Wasza godność, w hodowli szkolono mnie do walki... trochę. Czy nie potrzebujesz przybocznej, która cię osłoni w podróży? — zapytała szybko, choć z widocznym wysiłkiem, przestraszona jak zwierzę, które nie wie, skąd nadciąga niebezpieczeństwo, a nawet nie wie, że w ogóle nadciąga, ale jest niespokojne. — Ja potrafię... dobrze strzelać z łuku...

W Ciężkich Górach przybocznym gwardzistą Basergora-Kragdoba był Raner, potężne chłopisko potrafiące ogłuszyć konia jednym ciosem okutej żelazem pałki. Wojownik łamiący w palcach bełt do kuszy. Kragdob barował się z nim czasem tak samo, jak na Agarach zwykł był czynić ze sługą jej wysokości Alidy. Czarnowłosa Enita nigdy się nie dowiedziała, że zawdzięcza życie komuś, kogo wcale nie знаła, a kto zginął w Ciężkich Górach przed kilkoma laty. I może jeszcze komuś, kto był obecny przy tej śmierci... Czarnowłosej jak Enita, najlepszej

łucznicze świata, która, odchodząc, uniosła ze sobą kawałek ciężkiego serca króla gór.

Pieszczący topór mężczyzna roześmiał się, zamiast zabić. Rozweselony, z ciekawością oglądał ładniutkie chucherko, które tak buńczucznie chciało go bronić. Patrzył, jakby widział po raz pierwszy. W tle delikatnej buzi zamajaczyło męskie oblicze Ranera, a obok twarz legendarnej Armektanki, której nikt nie potrafił ujarzmić... aż do końca. Glorm mógłby przysiąc, że cień zwalistego gwardzisty zwrócił głowę ku muskularnej i zręcznej Łowczyni, potrafiącej powalić mężczyznę... Był pewien, że uśmiechnęli się do siebie. Raz jeszcze uśmiechnął się i on.

— Dobrze — powiedział nieoczekiwanie. — Pojedziesz ze mną, Enito. Ale jako wolna kobieta, nie jako moja niewolnica. W Ciężkich Górach wszyscy są wolni. Czy masz łuk? A zatem kup go i wszystko, co będzie ci potrzebne. W pierwszym rzędzie jakąś dobrą górską klacz.

Gotowa była paść na kolana i dziękować, ale coś ją powstrzymało. Przez chwilę spoglądała prosto w oczy swego pana, tak jak nie ośmieliła się spoglądać nigdy dotąd. Nie był już jej panem, był... dowódcą. Nagle skinęła głową i powiedziała:

— Kupię kilka łuków. Doradzisz mi, panie, który będzie najlepszy... tam, gdzie jedziemy.

Skinął głową, a gdy ruszyła po schodach, skinął raz jeszcze, tym razem sam do siebie. Przyszło mu bowiem na myśl, że powodowany kaprysem zyskał być może dobrą i dzielną towarzyszkę. Zapewne pisana jej była śmierć w ciągu miesiąca. Ale jeśli nie... Miał wrażenie, że jest w tej ślicznej perełce coś, co może z niej uczynić prawdziwą przebiegaczkę gór.

Następnego dnia, z samego rana, stały się przed nim dwie następne, ośmielone powodzeniem Enity. Wysłuchał ich, po czym rzekł:

— Posyłam was na Agary. Nie każcie mi tego powtarzać po raz trzeci.

Przestraszyły się trochę, lecz nie dały za wygraną. Nie wiedziały, że łagodny i dobry pan na zawsze już pozostał w ciemnej piwnicy, pochowany między pustymi skrzyniami. Ustąpił miejsca komuś innemu. Ten nowy człowiek cierpliwie wysłuchał kolejnej porcji prośb i żarliwych zapewnień, na koniec zaś zapytał:

— Czy znacie starą bajkę o żabce, której pastuszek nie rozdeptał na łące, a która w zamian...?

Zaprzeczyły.

— Szkoda.

Nie za każdym wstawiały się cienie wojowników.

Kazał im się sprzedać w najbliższej hodowli, a uzyskane pieniądze wyrzucić.

9.

Niezbyt okazały, ale za to niezwykły dom wzniesiono na północnym krańcu dużej wsi. Obszerny, drewniany, uwieńczony smukłą wieżyczką, wyglądał jak myśliwski pałacyk, który z czasem powiększono, dostawiając zabudowania mieszkalne i gospodarcze. Zwracała uwagę bardzo duża stajnia, połączona z wozownią. Wszystko to zatopiono w przepysznym sadzie wiśniowym. Wczesną wiosną, gdy białe kwiaty sypały się na ziemię, musiało być tu przepięknie.

Co takiego kryło się w duszach srogich grombelardzkich wojowników, że wypuściwszy miecze z dłoni, okazywali się zupełnie innymi ludźmi: łagodnymi panami, dobrymi gospodarzami, troskliwymi mężami i ojcami?

Delen, w Grombelardzie skończony hulaka, kochany przez wszystkie kobiety i znienawidzony przez wielu, wielu mężczyzn, nigdy nie umiał oszczędzać. Pomimo hojnej (i nieoprocentowanej) pożyczki, udzielonej przez dawnego dowódcę, w Dartanie stać go było na tylko jedną — niezbyt dużą, ale za to bardzo biedną — wieś i zaniedbany dom, w którym zmarł niedawno ostatni właściciel. Rodzina skwapliwie wyzbyła się tych dóbr. Po kilku latach wieś (bardzo skromnie nazwana przez nowego gospodarza Deloną) nie różniła się zbytnio od innych w zamożnym Miejskim Obwodzie En Anelu, dom zaś odżył, pysznił się nowym dachem, a nawet szybami w niektórych oknach. Jego godność Delen, z piłą, młotem, to znów strugiem w ręku, dowodził zastępem cieśli i stolarzy równie sprawnie, jak niegdyś zbrojnym oddziałem. Jednej tylko wady się nie wyzbył, a mianowicie upodobania do kobiet. Powiadano, że wrzask licznych niemowlęcych gardeł, dobiegający z chałup wioski, nie tyle świadczył o niezwykłej jurności wieśniaków, co wystawiał świadectwo trosce nowego pana o poddanych... Jej godność Alia, łagodna i cicha kobietka, wzorowa żona i najtroskliwsza matka trzech córeczek Delena, przepłakała ponoć niejedną samotną noc. Ale równie często widywano ją w nowej sukni, dostrzegano na szyi klejnocik, którego wcześniej nie było, i słyszano śmiech podczas konnej przejażdżki w towarzystwie męża. Delen bardzo kochał swoją młodszą o siedemnaście lat żonę i choć nie potrafił zapanować nad niektórymi wadami, umiał jednak przepraszać i okazywać skruchę.

W gruncie rzeczy byli spokojną, wcale szczęśliwą, żyjącą skromnie lecz dostatnio rodziną.

Przez wszystkie te lata tylko raz zdarzyło się coś, co zmąciło gładki nurt życia wsi i jej mieszkańców. Podobno w drewnianym pałacyku zjawiono się kilku podejrzanie wyglądających ludzi, mówiących dziwnym językiem, tym samym, którym czasem posługiwał się jego godność Delen w rozmowach ze starym pachołkiem. Ludzie ci odjechali, lecz zapowiedzieli, iż wrócą, a następnego dnia ujrzano jej godność Alię, zapłakaną jak nigdy dotąd, opuszczającą dom wraz z dziećmi i dziewczynami służebnymi. Dwa dni później, w samym środku nocy, w pałacyku i przyległym sadzie, miały miejsce jakieś straszne wydarzenia, słychać było krzyki, nawet szcęk oręza — lecz co właściwie tam zaszło, wiedział chyba tylko pan Delen i ów wierny pachoł, który mu zawsze towarzyszył...

Nigdy już nie ujrzano sześciu mężczyzn, mówiących dziwnym językiem, którzy tak nieoczekiwanie zawitali do wioski; zamiast tego ktoś widział sługę, prowadzącego dokądś, przed świtem, kilka koni. Pani Alia wróciła do domu, we wsi zaś życie potoczyło się zwykłym rytmem i nie zakłóciła tego rytmu nawet wielka wojna, która przetoczyła się przez Dartan. Bitwy rozgrywały się gdzieś dalej; wozy jakiejś armii tylko raz zaturkotały między chałupami i wprawdzie trzeba było załadować je różnymi zapasami, lecz uzyskano zapłatę, uiszczoną pod baczny spojrzeniem jego godności Delena, któremu starszy wozaków nieustannie kłaniał się w pas. A kłaniał się tym skwapliwiej, że na czas wojny jego godność wystawił sobie mały orężny poczet i o zapłacie nie przyszedł rozmawiać sam.

Lecz teraz oto wieśniacy znowu jęli ostrożnie wyglądać ze swych domów. Przerywano prace w obejściach, skrzykiwano dzieciarnię, która wyległa zewsząd, by towarzyszyć istnej armii zdążającej wzdłuż zachodniego skraju wsi; armii, albowiem to nie były wozy kierowane przez znudzonych pachołków, lecz konny oddział obwieszonych orężem wojowników. Gdy wyszło na jaw, jak wiele jest tej broni u przybyszów, drzwi chałup jęły zatrzaskiwać się na głucho. Kobiety na wszelki wypadek uderzyły w lament, surowo karczone i uciszane przez równie przestraszonych mężów, którzy pohukiwaniami próbowali dodać sobie animuszu. Śledzono zbrojnych ukradkiem.

Groźna chorągiew liczyła aż jedenastu ludzi i siedemnaście koni.

Lecz wkrótce wyszło na jaw, że tych zbrojnych nie trzeba się bać. Od strony pałacyku galopował samotny jeździec, w którym wieśniacy rozpoznali swego pana. Zeskoczywszy z kulbaki, jego godność ruszył na spotkanie olbrzymiego mężczyzny, który tak samo zsiadł z konia — wielkiego jak potwór, grubokościstego — i szedł mu naprzeciw. Obaj uśmiechnięci, wręcz rozradowani, wyściskali się jak bracia, po czym jego godność Delen wyrzekł kilka słów do towarzyszy olbrzyma i uniósł rękę w życzliwym geście pozdrowienia. Znów dosiedli koni i pojechali dalej, w stronę tonącego w sadzie pałacyku. Przyjaciele! Zbrojni ludzie byli przyjaciółmi.

Co nie oznaczało, że wszystko jest po staremu... Wydarzenie, zmiana. Wszelkich zmian i wydarzeń zawsze należało się obawiać. Już dość dziwne było niedawne przybycie do wioski prawdziwego kota i tajemniczej kobiety, wielkiej pani.

Czy nadchodziła zmiana?

*

Wysprzątany, schludny dziedziniec przed domem, zadbana droga, piękny sad, a wreszcie sam pałacyk — odnowiony, solidny — wszystko to wywarło duże wrażenie na przybyszach. Glorm obejrzał się raz i drugi na towarzyszących mu ludzi, którzy najwyraźniej byli nieco zdziwieni zarówno sposobem życia, jak i samą osobą gospodarza. Jego godność Delen, słynny wojownik i mistrz miecza, rumiany i tłuściutki, wyglądał prędeż na jakiegoś urzędnika, może kupca albo młynarza niżli człowieka, którym rzekomo był. W samym domu powitała przybyszów jej godność Alia — ładna, ale chyba trochę zmęczona, a na pewno zaniepokojona kobietka z zaokrąglonym od kolejnej ciąży brzuszkiem, rocznym dzieckiem na ręku i dwoma innymi szkrabami uczepionymi spódnicy. Gościńska i miła, nie pozwoliła wyręczyć się służbie; osobiście prowadziła gości do wyznaczonych izb, przy czym, w jakiś sposób, wcale nie przeszkadzały jej ruchliwe małe istoty wokół nóg i na ręku.

Zakłopotani, zakurzeni, brzęczący ostrogami i orężem mężczyźni, dziękowali mniej lub bardziej wylewnie, by natychmiast odebrać nowe dowody troskliwości i sprawności pani domu. Nieliczna służba próbowała dokazać cudów, byle tylko goście mieli możliwość jak najszybciej odświeżyć się po podróży. Zapowiedziano wcześniejszą niż

zwykle wieczerzę, tymczasem proponowano lekkie wino i owoce. Nieoczekiwanie z pomocą gospodarzom przyszła towarzyszka Basergora-Kragdoba: trzydziestodwuletnia, bardzo ładna, energiczna kobieta, która szybciej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać, zrzuciła w swojej izbie strój podróżny i przebrała się w trochę pogniecioną, wyjętą z bagaży suknię.

— Pomogę — powiedziała po prostu, z uśmiechem zbliżając się do pani domu. — Mam na imię Enita, jestem... byłem niewolnicą jego godności Glorma. Proszę mi pozwolić.

Cokolwiek było w jej uśmiechu, przekonało zmęczoną i trochę zagubioną Alię, która nie prowadziła ze swym mężem bujnego życia towarzyskiego; w tym domu gość był rzadkością. I okazało się zaraz, że warto czasem przyjąć ofiarowaną pomoc; że ta niezmordowana trudami podróży brunetka wybornie zna się na kierowaniu domową służbą, potrafi dopilnować przygotowań do posiłku, rozdziela bagaże przybyłych, posyła kogoś po wodę, rozmawia i żartuje z biegającymi po domu dziewczynkami — a wszystko to czyni w taki sposób, że niepodobna niczego wziąć jej za złe. Wkrótce zawładnęła pachółkami przybyłych u boku Glorma wojowników, posyłając ich na podwórze do pomocy przy koniach. Objąwszy bez mała rządy w domu, jednocześnie każdym słowem i gestem dawała do zrozumienia, że jest tu tylko kimś, kto pomaga.

Delen i Glorm zamknęli się w pokoju gospodarza.

— Oczekiwałem czterech lub pięciu jeźdźców — wyznał ten pierwszy, z trochę zakłopotanym uśmiechem na pucołowatej, a zarazem wciąż chłopięcej twarzy.

— Przesiąkłem Rollayną, całym tym „wielkim Dartanem” — usprawiedliwił się olbrzym. — Tam nikt nigdy nie wspomina o pachółkach, a nawet giermkach... Napisałem więc, że będzie ze mną czterech towarzyszy, a zupełnie zapomniałem o ich pocztach.

— Co to za ludzie?

Kragdob uśmiechnął się — trochę ironicznie, ale nie złośliwie.

— Podczas wojny posmakowali żołnierskiego życia, ale nie zdobyli pierścieni rycerskich, los poskąpił im także łupów, a jeśli nie poskąpił, to wszystko roztrwonili. Wojna się skończyła, oni wrócili do swoich majątków, przy których twój dom wygląda jak książęcy pałac. Cały

Dartan jest pełen teraz takich niefortunnych synów Czystej Krwi, mających tylko swoje miecze i rozbudzone ambicje. Trzeba trafu, znam dobrze tylko tych czterech. Gdybym znał wszystkich, zaraz mógłbym pociągnąć na Kirlan, prowadząc dwadzieścia chorągwi. Poszliby za samą obietnicę wojaczki.

— Przydadzą się w Grombelardzie?

— A bo ja wiem? W ogóle nie znają gór, ani nawet języka, ale potrafią walczyć i nie mają nic do stracenia. Czy ja sam byłem inny w ich wieku? Albo ty?

Delen pokiwał głową.

— Gdzie Tewena i Rbit? — zapytał Basergor-Kragdob. — Przecież są u ciebie?

Delen znowu pokiwał głową.

— Są... i nie są. Gdyby to była inna para, rzekłbym, że mają się ku sobie. Cały czas razem, teraz też gdzieś pojechali. Wszyscy myśleliśmy, że przyjedziesz najwcześniej jutro lub pojutrze.

— Mówisz, że gdzieś pojechali?

— Do En Anelu, obwodowego miasta pół dnia drogi stąd. Ale dokładnie nie wiem, czy do samego miasta.

— Rzecz jasna. Po co pojechali, też nie wiesz?

Delen popatrzył kpiąco.

— Tewena i Rbit. Gdyby jeszcze dołożyć Armę, miałbym w swoim domu trzy istoty, z którymi zawsze wstydziłem się nawet rozmawiać, bo zaraz patrzyli na mnie jak na dziecko. W porównaniu z nimi nie wiem nic o niczym. Powiedzieli mi, po co jadą do Anelu, i byłem bardzo zadowolony, bardzo wtajemniczony, aż po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że właściwie nic mi nie powiedzieli. Ależ Tewena wypiękniała! — dorzucił.

— Wypiękniała?...

Rumiany znawca i pogromca kobiet nie bardzo wiedział, jak wyjaśnić tajemniczą sprawę. Zrobił kilka niejasnych ruchów dłońmi.

— U niej... wszystko jest nieładne, ale... razem. Wszystko razem. Bo kiedy popatrzysz na same jej usta, kiedy z wysokości mówi to swoje: „Zdziwiony? Niepotrzebnie”...

Glorm uśmiechnął się, bo było dokładnie tak, jakby usłyszał Tewenę.

— .. to masz ochotę... no. Ona zawsze miała... coś w środku. W

słowach, w spojrzeniu, w samej sobie.

Kragdob nie był kobieciarzem.

— Nie podoba mi się, że coś knują — rzekł, zmieniając temat, a raczej wracając do zarzuconej sprawy. — Rbit, zresztą nie od dziś. Już w liście, który posłał mi na Agary, pełno było przemilczeń. Pisał do Tewy? Nie wiesz? Porozumiewali się tylko za twoim pośrednictwem?

— A ty wciąż swoje... Co ja mogę wyciągnąć od Rbita i Teweny?

— No więc ja spróbuję coś wyciągnąć.

Delen nie był taki głupi, za jakiego lubił się podawać. Talentu do intryg rzeczywiście nie miał za miedziaka, lecz poza tym potrafił myśleć. Było dlań jasne, że od Rbita nawet Glorm nie zdoła niczego wydębić. Nie potrafiący kłamać czworonożni rozumni bronili się przed ludzką dociekliwością w tyleż bezczelny, co irytujący sposób: wielu, wielu pytań po prostu nie zauważali i nigdy nie było wiadomo, czy kot milczy, bo ma coś do ukrycia, czy też taką akurat ma zachciankę, czy, na koniec, nudzi się i teraz będzie spał. Rbit mógł nie dostrzec nawet uprzejmego pytania o drogę do najbliższej gospody. A znów Tewena potrafiła łącać jak chyba nikt inny na świecie. Arma świetnie umiała zbierać wieści, ale dla ogłupienia kogoś i wprowadzenia w błąd najlepiej było posłać Tewenę. Po rozmowie z nią każdy mógł wyjść z izby, rżąc i posilając się obrokiem, głęboko przekonany, że jest koniem. Rbit i Tewa, to dobre... Było tajemnicą, w jaki sposób znosiły się — i szanowały! — dwie istoty, z których jedna nigdy nie wyrzekła słowa prawdy, druga zaś przez całe życie nie skłamała. I wielki Kragdob miał coś od nich wyciągnąć?...

Glorm bez trudu odczytał wszystkie te myśli w twarzy dawnego towarzysza broni. Nie były głęboko ukryte.

— Porozmawiamy potem — rzekł Delen. — Zaraz siądziemy do stołu, na pewno jesteś głodny.

Kragdob zawsze był głodny.

— Ogarnij się trochę — ciągnął gospodarz. — Alia... wiesz, przywiązuje dużą wagę do... no, żeby wszystko było jak należy... — urwał, bo gęba jego ogromnego towarzysza skrzywiła się w lekko kpiącym uśmiechu.

— Rzecz jasna.

Glorm wstał, jednak w drzwiach odwrócił się jeszcze.

— Uśmiecham się, ale... Gdy tu wszedłem, trochę przykro mi się

zrobiło. Żal, że nie mam takiej kobiety z kolejną córeczką... — Zrobił kolisty ruch na wysokości brzucha.

— Synem — surowo rzekł gospodarz.

— Tak, tak, synem... I takich małych wrzaskliwych stworzeń, których wszędzie pełno, w całym domu... Nie żal ci? Nie boisz się tego zostawić?

Delen nie znał takiego Glorma.

— Żal.

— I jedziesz ze mną?

Gospodarz rozejrzał się po izbie.

— Mówiłem, że pogadamy później... Nie, Glorm. Nigdzie nie jadę.

Do olbrzyma nie od razu to dotarło.

— Nie jedziesz?

— Nie. Chciałem ci pomóc, dlatego zebrałem tutaj wszystkich, posyłałem listy... Najpierw nawet chciałem, zatęskniłem do Gór, włóczęgi, kobiet... no, tego wszystkiego. Do deszczu. Ale potem...

— Czekaj. Chciałeś pomóc. A nie przyszło ci do łba, że decyduję się na powrót do Grombelardu, bo jestem pewien poparcia dawnych towarzyszy? Że bez ciebie, bez Tewy cała ta wyprawa nie ma sensu?

— No... nie. Z listów Rbita nic takiego nie wynikało. Myślałem, że to nieważne, jaką podejmę decyzję, bo wy dwaj i tak wracacie w Góry. Nigdy nie dałeś mi odczuć, że jestem niezastąpiony.

— Nie dałem?

— Że niezastąpiony? A uważasz, że taki jestem? Doceniałeś mnie, czułem to, ale niezastąpiony? Niezastąpiony jest Rbit. Tylko jego nikt ci nie zastąpi.

— Potrzebuję cię.

— Tak. Ale nie ty jeden. Dla kogoś innego naprawdę jestem niezastąpiony.

— Rozmawiałeś z Alią?

— Właśnie nie. Chciałem postanowić sam. Zupełnie sam, na własny rachunek. Zrobić coś nie dlatego, że żona mnie prosi. Ona nic nie wie, ale coś przeczuwa i zaczyna się martwić...

Pochylił nagle głowę i z uśmiechem popatrzył na deski podłogi.

— A ja nie mogę doczekać się tej chwili — podjął — kiedy powiem jej, że nigdzie nie jadę, bo jestem ojcem i mężem... a czyimś przyjacielem dopiero później, psiakrew. Nie mogę doczekać się tej chwili.

Uniósł wzrok i spokojnie popatrzył w oczy dawnego dowódcy, który nic nie mówił, tylko słuchał.

— Przez całe życie zdobywałem kobiety. Różne, nieważne... A teraz chcę być królem wszystkich zdobywców świata: kimś, kto po raz drugi zdobył własną żonę.

Istniał cień, który wiele razy wyłaniał się z Pasm Szerni, by przeniknąć do czyichś snów. Ostatnio coraz częściej przenikał także do jawy. Glorm dopiero co poznał Alię, ale bez trudu wyobraził sobie jej uśmiech i wyraz oczu... Głos, z którego uleciał cały niepokój. Pucółowaty człowieczek na zydelku dawał właśnie swojej żonie coś, czego kiedyś... innej kobiecie... odmówił inny mężczyzna. Odmówił jej i sobie. A potem było za późno na uśmiech i głos, i wyraz oczu... Było za późno na wszystko.

— Nie będziemy o tym więcej gadać. To od opuszczonego dowódcy i przyjaciela — rzekł, podchodząc.

Delen wyrznęła plecami i łbem w ścianę, bo uderzenie zmiotło go z zydlu jak wypchaną sianem poduszkę. Potrząsając głową, nie potrafił policzyć kości szczęki i nie wiedział, czy ma potylicę. Ujrzał wielkoluda pochylającego się ku niemu.

— A to już tylko od przyjaciela.

Ujęty pod pachami został postawiony na nogach i poczuł lekkie klepnięcie w łopatkę, na głowie zaś wielką łapę, która przeczesła mu włosy. Uniósł rękę, by zetrzeć z ust podbarwioną krwią ślinę.

— Nie wiem, jak sobie bez ciebie poradzę — rzekł uprzejmy gość, raz jeszcze przystając w drzwiach — ale o wiele bardziej nie wiem, jak wróciłbym do tego domu powiedzieć sierotom i wdowie, że coś ci się przydarzyło.

Pokręcił głową i dorzucił jeszcze:

— Ja też nie mogę się doczekać, kiedy powiesz Alii, że zostajesz.

*

Niewyszukany lecz obfity posiłek, suto zakrapiany niezłym winem, przeciągnął się do późnego wieczora. Rozmowa najpierw nieco kulała, bo barierą był język. Od lat mieszkający w Dartanie i ożeniony z Dartanką Delen potrafił w miejscowym języku sklecić ledwie kilka najprostszych zdań, Alia zaś niewiele lepiej radziła sobie z grombelardzkim. W domu rozmawiali po armektańsku. Śmieszne, ale we wszystkich trzech

językach Glorm mógł porozumieć się tylko ze swoją byłą niewolnicą i... najstarszą córeczką gospodarzy, reżolutną pięciociolatką, czasem bardzo zabawnie mieszającą słówka armektańskie z dartańskimi. Towarzyszący Glormowi młodzi wojownicy znali tylko dartański, a w najlepszym wypadku jeszcze Kinen... Najpierw więc przy stole każdy tłumaczył wszystko każdemu i dopiero po pewnym czasie rozmowa wyklarowała się na tyle, że stała powszechną. Zwyciężył język miejscowy. Delen wielce skwapliwie pochylał się ku pachnącej jaśminem Enicie, to znów — z dumą — ku własnej córeczce, która choć nie wszystko z rozmowy dorosłych rozumiała, to jednak potrafiła z grubsza wyłożyć sens. Pora nie była bardzo późna i uszczęśliwione, przejęte doniosłością swej roli dziecko nikomu przy stole nie przeszkadzało, wprost przeciwnie. Była w tej małej buzi taka radość życia, że wino smakowało lepiej, żołądki zaś mogły pomieścić więcej jadła. Nikt o tym nie myślał, ale prawie wszyscy czuli, że nieprędko przyjdzie im znowu oglądać coś równie ładnego, jak rozradowany szczerbaty skrzat, gramolący się ojcu na kolana i tłumaczący z wielkim namaszczeniem: „Pan z czarną brodą zapytuje się czy byłeś... gdzieś”. „W Rollaynie” — dopowiadała uśmiechnięta Enita.

Ale ponad gwarem rozmów, ponad uśmiechami i przyjacielskimi sporami, królowało spokojne szczęście gospodyni, podejmującej pod swym dachem tak licznych przyjaciół męża. Przyjaciół, nie podstępnych złodziei, którzy pragną okraść jej życie. Z pogodą i najszczerzą radością, z dłońmi opartymi na okrągłym brzuchu, Alia była gotowa każdym spojrzeniem i uśmiechem dziękować tym groźnym ludziom, że pojawili się tylko po to, by zaświadczyć, iż Delen ma przyjaciół, którzy niczego odeń nie chcą.

Zmęczone gwarem i nadmiarem wrażeń dziecko usnęło na kolanach swego ojca. Przez uchylone okna wtargnął do izby silniejszy podmuch wiatru i zgasił kilka świec, potem znowu. Nie zażądano rozjaśnienia ich na nowo. W miłym półmroku, nasyceni jadłem i rozgrzani winem biesiadnicy nieco leniwie, ale za to coraz bardziej wylewnie prowadzili rozmowę o wszystkim. Przyszedł czas na wspominki. Jej godność Alia niemal otwarcie kokietowała Glorma, zarazem każdym spojrzeniem dając poznać mężowi, że to tylko zabawa, która zostanie przerwana po pierwszym skrzywieniu jego ust.

— Nawet tutaj, na samym końcu świata, usłyszałam o słynnym

Rycerzu Bez Zbroi... Jak to było? — pytała.

Lekko rozochocony winem olbrzym znacząco popatrzył na Delena.

— Już ja wiem, pani, od kogo to słyszałaś... Jak było? Nie potrafię mówić o sobie.

Gospodyni wyglądała na zawiedzioną.

— W takim razie ja opowiem — odezwała się Enita, trochę zuchwale spoglądając w oczy swego dowódcy.

— Ani się waż — rzekł tak groźnie, że nie przestraszyłaby się nawet najmłodsza z córek gospodarza.

Enita umiała ładnie opowiadać. W jej ustach nawet nieciekawe historie przemieniały się w barwne baśnie. Cóż dopiero, gdy historia była wcale zajmująca.

— Wielki grombelardzki wojownik, który pojawił się znikąd, był też zupełnie nikim w Rollaynie, mieście pieniądza, wielkich rodów, najpiękniejszych kobiet, pałaców i aren, mieście, do którego codziennie przybywały dziesiątki takich jak on i dziesiątki takich jak on wyjeżdżały. Jak każdy z tych dorobkiewiczów, jego godność Wenet najpierw garściami wydawał pieniądze, kupując domy, urządzając je, zapelniając niewolnicami. Ładnymi niewolnicami — podkreśliła, przechylając lekko głowę i wywołując szmer śmiechu wokół stołu. — Szukał towarzystwa sobie podobnych, bo czyjego towarzystwa miał szukać? Rycerzy z dziada pradziada, którzy z wysokości swych rodów nie umieli go nawet dostrzec? Był w stolicy nikim i pozostałby nikim, jednym z zamożnych, gnuśnych nudziarzy, podziwianym przez własne niewolnice.

— Ładne niewolnice — podsunął ktoś usłużnie, wzbudzając nowe śmieszki.

— Bardzo ładne.

Delen stracił tłumaczkę, która nie mogła jednocześnie opowiadać i przekładać swoich słów na armektański. Skorzystał z tego, dając znak, że zaraz wróci, i uniósł w ramionach śpiącą dziewczynkę. Zniknął gdzieś w głębi domu.

Zaintrygowany Basergor-Kragdob może najpilniej ze wszystkich śledził opowieść o człowieku widzianym oczami własnej służki... a więc bez mała rzeczy, przedmiotu. Dopóki była tylko tym przedmiotem, nie ważyłaby się tak opowiadać. Teraz, ośmielona zarówno winem, jak i sposobem, w jaki ją traktowano, trochę wyzywająco spoglądała mu w

oczy, lecz w tle tego wyzwania kryło się coś jeszcze... Delen wiedziałby, co. Ale Delen wybornie znał kobiety, podczas gdy jego dawny dowódca nie znał nawet samego siebie.

— W ponurym Grombelardzie, skąd przybywał i gdzie był kimś naprawdę ważnym, kimś, kogo wszyscy się bali — ciągnęła pachnąca jaśminem kobieta — śmiano się z Dartanu i buńczucznych rycerzyków, bawiących się tępymi mieczami na arenach. Ale znudzony przybysz spotkał kiedyś w Ciężkich Górach człowieka, który choć pochodził z Dartanu i nosił przed własnym imieniem aż trzy monogramy imion wielkich przodków, nie był wcale tchórzliwym rycerzykiem.

— Twój mąż, Alio — rzekł Kragdob z nieznacznym uśmiechem — pokonał go w walce na miecze. Mówię „pokonał”, bo Delen mało kogo pokonywał. „Pokonać” to duże słowo.

— Nie rozumiem?...

— Delen, gdy musiał wziąć oręż do ręki, wykonywał niewiele więcej ruchów mieczem, niż było przeciwników... Nie, niczego nie ubarwiam, bo nie mam takiego zwyczaju. Bardzo rzadko widziałem, by Delen naprawdę walczył. Żeby aż „pokonać”, trzeba najpierw walczyć. A wtedy naprawdę walczył, z synem Domu A.B.D.

Wśród czterech Dartańczyków, którzy właśnie szli w Ciężkie Góry, wszczęło się lekkie poruszenie; te rodowe monogramy znał w Złotej Prowincji każdy. Zaległo krótkie milczenie. Alia niejedno wiedziała o przeszłości męża, ale teraz siedział przy stole jego legendarny dowódca i spokojnie zaświadczał, że jej dzieci i ona sama są pod potężną opieką. Doradca, powiernik, a nawet — jak się mówiło — kochanek królowej Dartanu walczył kiedyś z jej mężem i uległ w tej walce. Była trochę przestraszona — i dumna.

— Nie uśmiechaj się, Enito — rzekł nagle Basergor-Kragdob, z niezwykłą surowością, a nawet jakby trochę nieprzyjaźnie. — Ten człowiek zostaje tutaj, ty zaś stoisz na jego miejscu. Czy wiesz, co potrafił Delen? Otóż... — Zamilkł na krótko, bo nie chciał wobec brzemiennej pani domu wyliczać trupów pałacowych gwardzistów, bezszelestnie wymordowanych przez jej tłuściutkiego małżonka, który kiedyś wcale nie był rumiany ani tłuściutki. — Otóż potrafił w środku nocy stawić się w sypialni Księcia Przedstawiciela w Grombie i doręczyć mu list ode mnie, zatknięty na ostrzu myśliwskiego noża. Czy na pewno potrafisz to

samo? Przekonamy się... niezadługo.

Potrafił zważyć humory przy stole.

Na szczęście potrafił też naprawić głupstwo.

— Wino — dorzucił nagle, z uśmiechem dotykając czoła dłonią. — Nie dawajcie mi więcej wina... Alio, jesteś podstępna. Życzysz sobie, pani, żebym wpadł pod stół?

Mówiąc to, nieznacznie popychał ku niej opróżniony kubek.

Znowu ktoś się zaśmiał. Na pierwszy rzut oka było widać, że potrzeba przynajmniej beczki do powalenia tego jasnobrodego żubra, który był co najwyżej leciutko podpity. Ale żart, choć niewyszukany, spełnił swoje zadanie. Alia potwierdziła ochoczo i niezwłocznie napełniła naczynie, które nie wiedzieć kiedy przywędrowało po blacie do jej ręki.

— Mów, Enito, nie mogę się doczekać — zażądała, przechylając dzban.

— Rzecz jasna — podtrzymał Kragdob. — Co z tym dorobkiewiczem i nudziarzem, który tak nieopatrznie kupił sobie kronikarza w osobie ładnej niewolnicy?

— Bardzo ładnej — poprawiono niezwłocznie.

Żart, choć cokolwiek zużyty, raz jeszcze wzbudził wesołość.

— Bardzo ładnej — przyznała.

Znowu się uśmiechała i znów patrzyła swemu dowódcy w oczy.

— Kronikarz zanotował, że jego godność Wenet wybrał się na śmieszna dartańską arenę, zasiadł pośród widzów i bawił się, oglądając ciężkie turniejowe zbroje, w których bardzo trudno zrobić komuś krzywdę. A potem przestał się uśmiechać, bo po zakończeniu rycerskich zawodów zobaczył prawdziwą walkę, gdy zamiast bijących się o honor synów znanych Domów wyszli na arenę niewolnicy. Wszyscy wokół krzyczeli i zagrzewali ich do boju, bo wcześniej poczynili zakłady i w grę wchodziły ogromne pieniądze. Po ciężkiej walce zwycięzca nie oszczędził pokonanego przeciwnika, choć ten pokonany wart był tysiące sztuk złota. Ale może właśnie dlatego nie oszczędził? Za pośrednictwem tych dwóch wyszkolonych tylko do walki mężczyzn jakieś Domy załatwiały własne porachunki, rujnowały się nawzajem, zyskiwały bądź traciły wpływy. Jego godność Wenet był sam pośród widzów, towarzyszyły mu tylko niewolnice. Obejrzał się na nie, może zupełnie odruchowo, a wtedy jedna... bardzo krótko, bo bała się być zuchwałą... popatrzyła mu w oczy.

Czy to w ogóle możliwe, że najślynniejszy mocarz w Rollaynie zszedł na arenę, bo mała niewolnica zapytała go spojrzeniem: „A ty, panie?”.

Enita pochyliła się lekko. Kragdob przeciwnie: cofnął nieco, opierając plecy o oparcie krzesła.

— W jaki sposób, po latach, pamiętasz takie drobiazgi?

Czterej Dartańczycy czekali na ciąg dalszy. Jej godność Alia milczała, lecz w tym milczeniu kryło się coś w rodzaju lekko kpiącego rozbawienia — rzecz dziwna u cichej, zajętej tylko domem i dziećmi kobiety.

— Co dalej, Enito? — zapytała.

— Niewolnica, zapytana przez pana, wyjaśniła wtedy, że rzucić wyzwanie niewolnikowi może każdy i niczego nie ryzykuje... oprócz życia. Przegrana z niewolnikiem... z przedmiotem zrobionym specjalnie do walki... nie jest uznawana za dyshonor, za to przeciwnie: pokonanie takiej maszyny to powód do wielkiej chwały. A wówczas jego godność Wenet posłał swoją zuchwałą niewolnicę, by zgłosiła jego udział w następnym turnieju. Niewolnica przestraszyła się, bo przyszła jej do głowy głupia myśl, że jej dobry pan stawi się do walki i zginie z powodu... za namową... — Enita zamilkła na chwilę. — Ale to przecież nie mógł być powód.

— To był powód, rzecz jasna — rzekł wielkolud, lekko kołyszając trzymanym w dwóch palcach kubkiem. — Dobry pan ruszył po swe zwycięstwa, chcąc zaimponować niewolnicy. Bo pośród tysięcy widzów nie było nikogo, przed kim chciałby się wtedy popisować. Czy wiesz, Enito, że zupełnie inaczej to pamiętam? Nie pamiętam, byś pytała mnie spojrzeniem. Aż do dziś wydawało mi się, że głośno wtedy zapytałaś: „A czy ty umiesz walczyć, panie?”.

— Nie ośmieliłam się o to zapytać.

— Chcę wiedzieć, co było dalej — powiedziała Alia. — Gdybym wtedy... Tak, byłabym wtedy na arenie, wśród widzów. Poszłabym.

Delen jeszcze nie wrócił... i nie mógł znacząco popatrzeć na żonę, dając sekretny i karcący znak. Pani domu otwarcie spoglądała prosto w twarz swego gościa i leciutko przygryzła dolną wargę.

— Co było dalej, Enito?

— Niewolnik był tak szybki, że jego godność Wenet nie zdążył dobyć broni. Wszyscy zerwali się z miejsc, była wrzawa... i właściwie niewiele widziałam. Chyba nawet nie chciałam zobaczyć.

Sześć par oczu zwróciło się ku jasnowłosemu góralowi. Milczał, wciąż bawiąc się kubkiem, po czym zrobił słaby ruch głową.

— Wojenne przewagi... A nawet nie wojenne. Nigdy nie umiałem o tym mówić. Był tak szybki i groźny, że zabiłem go od razu, chociaż nie chciałem. Gdybym się zawahał, on zabiłby mnie.

— Potem zapanowała cisza — powiedziała Enita. — Wszyscy zaczęli siadać, a ja bałam się spojrzeć na arenę.

— Dajmy już temu spokój — rzekł Basergor-Kragdob. — Rzucono mi później wyzwanie, to miała być walka konna ze znakomitym rycerzem, który chciał zyskać chwałę w walce z pogromcą najlepszych szkolonych do walki niewolników. Nie jestem wybornym jeźdźcem, spadłem więc z konia z własnej woli, tak szybko, jak tylko mogłem.

Teraz, najwyraźniej, równie szybko chciał zakończyć rozmowę o dartańskich arenach.

Oczy Enity lśniły trochę mocniej niż zwykle — ale wina rzeczywiście nie brakło tego wieczoru. Może zresztą nie chodziło o wino?

— Mój pan spadł z konia, a potem złamał kopię konnego przeciwnika i przewrócił go razem z wierzchowcem. Rok później wystawiano przeciw niemu już tylko niewolników. A ja zawsze prosiłam, żeby zabrał mnie na turniej, i zawsze tak samo się bałam.

— Dość, Enito — łagodnie lecz stanowczo rzekł Kragdob. — Rollayna... Dlaczego Grombelard jest gorszy od Dartanu? Tu i tam wystarczy być rębajłą. Grombelard dał mi kiedyś władzę, Rollayna dała przybyłemu znikąd mężczyźnie, skrytemu pod fałszywym imieniem, rycerski pierścień i tanią chwałę aren... Nie wiadano tam, kim jestem, bo nikt nie chciał wiedzieć. Obłuda. Dajmy już temu spokój — powtórzył.

Wrócił Delen. Na krótką chwilę dotknął ramienia żony, ta zaś przykryła jego dłoń własną dłonią.

— Czy mogę bezpiecznie chodzić po waszym sadzie? — zapytał Kragdob, wstając.

Delen pokiwał głową.

— Tylko raz miałem tam szkodniki... Towarzyszyć ci?

— Zostań z żoną.

Uśmiechnął się przyjaźnie i opuścił izbę.

Na drzewach w sadzie dojrzewały owoce, ale te w zasięgu ręki były jeszcze twarde i kwaśne. Być może na najwyższych gałęziach, gdzie stale

kładło się słońce, rosły wielkie wiśnie nadające się do jedzenia.

Noc była ciepła, ale między drzewami wciąż zalegał chłodny cień; mrok tylko ów cień pogłębił. Na pysznym dartańskim niebie złościły się setki gwiazd. Nieskłonny do rzewnych wzruszeń olbrzym powoli przechadzał się między pniami, odgarniał nisko zawieszony gałęzie, czasem przysiadał na ziemi. Cokolwiek było w tym domu i w tym sadzie pod gwiaździstym niebem, miało jutro zniknąć, rozpuścić się... Zapewne raz na zawsze. Czy warto było wymieniać spokój takiego domu na szum dżdżystego wiatru, spływającego spomiędzy poszarpanych szczytów? Nie warto — i gdyby było więcej takich domów, być może więcej srogich wojowników dożyłoby w nich późnej starości.

Lecz nie wszyscy mieli takie domy. Nie wszyscy umieli je zbudować, zapełnić...

Basergor-Kragdob zawsze mieszkał w jaskini. Prawdziwej, wyłobionej w skale — albo biało otynkowanej, otoczonej ogrodem z sadzawką. Tak czy owak... samotnia. Kryjówka, legowisko, z którego wychodziło się czasem w jakimś celu. Wszystko było na zewnątrz, całe życie. W środku zupełnie nic. Dom? Tutaj, o... To był dom.

— Świat jest wielki, przyjacielu... — rzekł ktoś niewyraźnie i mrukliwie.

— Lecz i my nie jesteśmy mali.

Ciemny kształt oderwał się od ziemi, lądując na piersi mężczyzny, który natychmiast przytrzymał go ramieniem. Dwie zdumiewające istoty, nie widziane przez nikogo, przez krótką chwilę nie były groźnymi wojownikami, o których snuto krwawe legendy. Glorm przytrzymał dłonią kark wielkiego kocura, ucisnął lekko i przykucnął. Raz jeszcze oparł rękę na pokrytych futrem łopatkach. W ciemności lśniły dwie tarcze złotych oczu.

— Tewena została w En Anelu. Wróci jutro.

— Delen nie idzie z nami.

— Tak myślałem.

— Nie rozmawiałeś z nim?

— O tym nie.

Nie widzieli się od roku. Było to najdłuższe rozstanie w ich życiu.

— Nie będziemy siedzieć mu na głowie — rzekł mężczyzna. — Czy masz jeszcze jakieś sprawy?

— Wszystkie pójdą z nami. A raczej z tobą.

— Co to znaczy?

— Tewena.

— Obawiam się, że musisz powiedzieć mi więcej.

— Nie mam nic do roboty w En Anelu. Tewena uważa inaczej i nie wyprowadzam jej z błędu. Ale chodzę tam tylko z jej powodu. Odbiera listy, mówi, że od syna.

— A naprawdę?

— Od syna pewnie też. Ale myślę, że przynajmniej jeden był od Army.

— A ty?

Kocur wiedział, o co pyta przyjaciel.

— Ja od Army na razie trzymam się z daleka. Jeśli pošlę list, odpowie mi przecież tym samym. Pytania i odpowiedzi. Na razie nie chcę o nic pytać, bo nie chcę, by mi odpowiadano.

— Prędzej czy później Arma dowie się przecież, że wracamy. Sam twierdzisz, że już o tym wie.

— Owszem. Ale nie powiedziała „tak”, ani „nie”. Gdy zadam swoje pytania, chcę być pewien odpowiedzi. Więc zadam je w odpowiednim momencie. Tylko tyle.

— Chcesz ją postawić w sytuacji bez wyjścia?

— Nie, bo to się na pewno nie uda. Chyba że ty masz pomysł, jak ją przycisnąć do muru?

— Nie chcę być nielojalny wobec Army, Rbit. Może pójdzie z nami, bo...

Zaległo krótkie milczenie.

— Nie bądź naiwny, przyjacielu.

— Nie jestem. Masz rację, rzecz jasna. Chciałbym wierzyć, że Arma nas poprze. Ale nie wierzę.

— I słusznie. Jeśli nawet stanie przy nas, to nie na kiwnięcie palcem. Glorm, nie ma mowy o nielojalności. To moja siostra krwi, twoja też. Będę jej bronił przed każdym tak długo, aż wypowie mi przyjaźń. A i wówczas nie zwrócę się przeciwko niej.

— Myślisz, że posunie się jeszcze dalej?

— Nie wiem, Glorm. Może uda się sprawić, że nie wspierając Army i nie żądając wsparcia od niej, zdołamy jednak uniknąć otwartego konfliktu? Może namiestniczka Trybunału zechce rządzić Drugą

Prowincją, podczas gdy Kragdob będzie rządził Grombelardem? Przecież to nie to samo. A z takich podwójnych rządów może wyniknąć korzyść dla obojga władców.

— A jeśli nie da się w ten sposób?

— Kiedyś się dało.

— Ale Arma może nie chcieć powrotu tego „kiedyś”.

— Jeśli nie zechce, zmuszona będzie podjąć decyzję: czy jest z nami, czy przeciw nam. Wesprze nas albo zaatakuje i odpowie w ten sposób na pytanie, które chcę jej zadać. Ale jeszcze nie teraz, już mówiłem. Dajmy jej trochę czasu.

Glorm milczał.

— A jeśli nas zaatakuje?

— Nie wiem, o co pytasz? Przyjaciółki i siostry zawsze będę bronił, byłą przyjaciółkę pozostawię w spokoju. Wroga zabiję.

Każdy, kto cokolwiek wiedział o kotach, nim zadał najbliższe pytanie, zastanowił się cztery razy. Glorm zdążył już zadać więcej pytań, niż Rbit przyjąłby od kogokolwiek innego. I pytał dalej, kocur zaś odpowiadał bez śladu zniecierpliwienia.

— Zabijesz Arme?

— Wracamy w góry z myślą o niezabijaniu wrogów?

Glorm znowu milczał.

— Wrogów... To przekłeta wyprawa, Rbit. Co my właściwie robimy?

— Grombelard jest z przodu, Dartan z tyłu. Jedziesz naprzód czy wracasz?

— Z przodu, z tyłu... Jedno i drugie jest za nami.

— To tak, jakbym słyszał Tewenę.

Kragdob, siedzący dotąd w kucki, wyprostował nogi i odszedł parę kroków w bok. Splótł ramiona na piersi.

— Tewa wróci jutro? — zapytał po długiej chwili.

— Przed południem. Mnie już nie będzie.

— Idziesz przodem?

— Tak, spotkamy się w „Pogromcy”.

— Ta ruina jeszcze stoi? Jakim cudem?

Kocurowi było obojętne, jakim cudem. Stała i to wszystko.

— Rozpuściłem wieści — powiedział. — Myślę, że w „Pogromcy”, a może już gdzieś po drodze, rzuci się na ciebie mnóstwo zuchów, którym

nie w smak powrót Kragdoba i Kobala. W ten sposób na samym początku pozbędziemy się najgorszego tałatajstwa.

— Czyli Grombelard wie już, że wracamy?

— Dołożyłem starań, żeby ściągnąć na twoją głowę wszystko, co strzela z kuszy i wywija mieczem. Głupi rzuca się na ciebie, a mądrzy przejdą pod twoją komendę, w każdym razie nie będziesz musiał szukać jednych ani drugich. Wiedzą, że wracasz, i już na ciebie czekają.

— Uradowałeś mnie bardzo.

— Myślę. Nie napracujesz się zbyt, bo mądrzy jak zwykle zdradzą głupich, żeby w ten sposób oddać ci przysługę i wkupić się na służbę.

— Rzecz jasna.

— Jeśli nie znajdziesz mnie w „Pogromcy”, to spotkamy się w Badorze albo Grombie. Ty przyprowadzisz armię, a ja już będę miał dla niej jakieś oczy i uszy. Szukając ich, pozamykam przy okazji różne ciekawskie ślepia, które nie będą chciały patrzeć dla ciebie.

— Kiedy ruszasz?

— Zaraz. Pożegnaj się tylko z Delenem.

Mężczyzna przykucnął raz jeszcze i ponownie dotknął kosmatego barku.

— Pilnuj się, mały bracie. Bardzo pusto mi było bez ciebie.

Wielki gadba, którego bał się cały Grombelard, wywinął nagle kozła w miejscu, z błyskawiczną szybkością uderzając męską dłoń łapami — lecz pazury ani na chwilę nie wysunęły się spomiędzy opuszków. W następnej chwili już go nie było. Siedzący w kucki wielkolud zaśmiał się bezgłośnie, ujął nos w dwa palce i trwał tak przez chwilę. Potem wyprostował się, przeciągnął z westchnieniem i podjął przerwany spacer między owocowymi drzewami.

10.

Glorm obawiał się rozmowy z Teweną co najmniej tak, jakby była jego matką, on zaś nieposłusznym urwisem, który zdrowo nabroił. Lecz ta nieładna kobieta o ustach kapryśnicy umiała poskromić i osadzić każdego. Przed laty Basergor-Kragdob potrafił wyjawić swe niezadowolenie przed Arma, ba! umiał nawet srodze ją ofuknąć. Była tylko jego podkomendną. Lecz wobec Teweny pozwolił sobie na coś podobnego jeden jedyny raz. Minęły lata, a wciąż jeszcze czuł się jak skarcony chłopiec, na wspomnienie tego zdarzenia.

Teraz wiedział, co Tewena mu powie. Stawiła się, bo prosił o to, ale było zupełnie oczywiste, co myśli o wszczętej awanturze.

A jednak nie powiedziała nic. Zupełnie nic, ani słowa.

Obfity i smacznie podany obiad niewiele miał wspólnego z minioną wieczerzą, gdy wszyscy mówili o wszystkim, nie brakło żartów i pogwarek. Gospodarz nie potrafił wyzbyć się poczucia winy, że opuszcza przyjaciół; zrobił dobrze i wiedział o tym, ale owo „dobrze” było jednak zaledwie mniejszym złem, bo przecież kogoś zawieść musiał — i zawiódł. Alia czuła się dłużniczką swoich gości, chociaż nic nie była im winna. Na koniec sami goście — a przynajmniej owych gości przywódca — także czuli się skrępowani, bo przy pożegnalnym (właśnie pożegnalnym, niestety...) stole nie było wspólnego „my”, lecz tylko: „wy” i „my”. Nieprzekraczalna granica, rozdzielająca losy.

Glorm opuścił dom starego przyjaciela — dom, którego skrycie mu zazdrościł — z ledwie skrywaną ulgą.

Kiepska dartańska droga — właściwie zaledwie ścieżka — czasem ledwie majaczyła wśród traw; w tym kraju nie było dobrych traktów, jak w Armekcie. Wielkie miasta połączono gościńcami, ale do wiosek takich jak Delona szło się po bezdrożach. Czternastoosobowy oddział jeźdźców rozpadł się na grupy i grupki, rozczłonkował, przez co zdawał się dwakroć liczniejszy. Nachmurzona Enita znalazła towarzyszkę w młodej przybocznej Teweny; dartańscy łowcy przygód trzymali się razem, powierzwszy pachołkom pieczę nad jucznymi zwierzętami. Na samym czele jechało dwoje przywódców — bo choć nikt tego nie powiedział, od pierwszej chwili było całkiem jasne, że każde słowo jej godności znaczy bez mała tyle, co słowo Basergora-Kragdoba.

Enita wprawdzie miewała humory, lecz potrafiła (zaiste ze zrzęczością niewolnicy) skrywać zaciekawienie. Towarzyszka i dawna przyjaciółka jej dowódcy była pierwszą kobietą „stamtąd” — z Grombelardu, ze „starych czasów”, z wąskiego grona powierników władców gór. Delen wydał się Enicie nieciekawym... a zresztą był mężczyzną. Lecz Tewena? Nieprzeciętna, a nawet więcej: zupełnie wyjątkowa. W innych, zupełnie innych okolicznościach... na przykład w dartańskiej hodowli niewolników... dziewczyna taka jak Enita błagałaby w duchu wszystkie moce świata, by należeć do kogoś takiego; by dziwna, wyniosła i dumna pani zechciała wyłożyć za nią okrągłą sumkę w złocie. Należać do pustogłowej dartańskiej piękności, przed którą pilnie należało ukrywać własną wiedzę i płynące stąd poczucie wyższości, to był koszmar każdej kosztownej niewolnicy z hodowli. Pani Tewena na pewno nie była pustogłową miernotą. Lecz teraz Enita czuła do niej nieuzasadnioną niechęć, a może nawet wrogość. Miała dziwne uczucie, że jej godność to nie sprzymierzeniec, lecz... jeśli nawet nie przeciwnik, to przynajmniej — przeszkoda. Na drodze Glorma, drodze Rbita, na wspólnej drodze tych wspaniałych wojowników. Świeżo upieczona przyboczna Basergora-Kragdoba ze starannie powściąganą nieprzyjaźnią spoglądała na plecy wysuniętej na czoło kobiety, mając niezachwiane przekonanie, że ta kobieta jest w oddziale najzupełniej zbędna. Nie wiadomo, co właśnie mówiła do swego towarzysza.

Tymczasem Tewena była gotowa gawędzić bez mała o wszystkim, tylko nie o tym, czego oczekiwał Glorm. Plotki ze stolicy, zarządzenia młodej królowej, jej rzekome miłostki, nowinki dotyczące mody — wszystko to zdawało się pochłaniać ją bez reszty. Wreszcie Glorm nie wytrzymał i wprost zapytał o sprawy, które go obchodziły, bo dziwna zabawa zdążyła mu obrzydnąć.

— Szkoda, że nie ma tu Rbita — odparła ze spokojną ironią. — On spojrzałby na ciebie w taki sposób, w jaki umie spojrzeć tylko kot... Nie szkoda języka? Wiesz przecież, co powiem, ja zaś wiem, że wiesz.

— Rzecz jasna, oboje wiemy. Ale żadne z nas nie jest kotem. Chcę usłyszeć, co masz mi do powiedzenia, bo ciąży mi takie milczenie. Tobie nie ciąży?

— Wcale. Milczałam przez całe życie. Gdybym chciała mówić o wszystkim, co mi leży bądź leżało na sercu, nie miałbyś ze mnie żadnego

pożytku, Glorm.

— Nigdy nie masz rozterek? Nie pragniesz zwierzyć się komuś?

Wzruszyła ramionami. Po chwili rzekła, patrząc przed siebie:

— Co chcesz ode mnie usłyszeć? Spotykam po latach człowieka, który wiezie więcej wojennych narzędzi, niż zdołałabym udźwignąć. I o czym chce rozmawiać ten człowiek? O rozterkach. O co pyta swoją towarzyszkę? Czy pragnie się zwierzać. A co wyznaje wcześniej? Że milczenie mu ciąży. Kto ty jesteś? — zapytała z głupia frant.

Nie odpowiedział.

— Wymieniłam listy z Delenem — ciągnęła — i powiedziałam synowi: to przygoda! Czy zwierzam się? Tak, czasem. Zwierzyłam się Iwinowi. Prosił, bym w jego imieniu wyraziła ci szacunek i życzyła powodzenia — dorzuciła.

— Uściskaj go ode mnie. To już prawie mężczyzna — zauważył.

— Rzeczywiście, prawie. Ma dwadzieścia dwa lata.

Kragdob zmarszczył brwi.

— Dwadzieścia dwa lata — powtórzył. — Weyna...

— To kobieta. Nie może usiedzieć w domu, najpóźniej za rok wyjdzie za mąż.

Przez chwilę milczeli.

— Zwierzyłam się Iwinowi i powiedziałam: to przygoda — podjęła. — Jadąc do Delena, czułam radość. Wolna! Jak nigdy dotąd. Potem czekałam na Rbita i ciebie. Wiesz, o czym gawędziłam z Delenem? O dzieciach. Gdy zjawił się Rbit, rozmawialiśmy także o tobie. Wreszcie przyjechałeś. Przygoda? Odprowadzam cię — oświadczyła nieoczekiwanie. — Tylko kawałek. Potem zrobię jedną z dwóch rzeczy, to zależy od ciebie, którą. Albo wrócę do domu, albo skręcę do Rapy, wsiądę na jakiś statek i popłynę do Londu. Bardzo chciałabym zobaczyć Armeę. Porozmawiać, pochwalić się domem, dziećmi... Taka kobieca chełpliwość — wyjaśniła z ironicznym uśmiechem. — Arma zawsze miała tyle rzeczy, których mi brakowało. Teraz ja mam wszystko, a ona nie ma nic. Chcę z głęboką babską troską zapytać: „A ty, Armo? Ciągłe nie masz nikogo?”. Wiem, że nie ma. Rozkoszne.

— Tewo... Co ty wygadujesz?

— Mówię, że nie mam tu nic do roboty. Dokąd mnie wleciesz? Na jakąś opanowaną przez zbójów pustynię? Co ja tam mam do roboty? Jeśli

wezmę do ręki topór, to upuszczę go sobie na nogę, nie umiem strzelać z niczego, a przez całe życie nikogo nawet nie uderzyłam. Zostawię ci moją przyboczną, będziesz miał z niej większy pożytek niż ze mnie. Glorm, to nie o to chodzi, czy ci się uda, czy nie. W ogóle o tym nie rozmawiamy.

— Uważasz, że się nie uda — skonstatował.

Sięgnęła ku końskiej grzywie i ujęła w dwa palce kosmyk włosów.

— Uważam, że cię nie ma. Duży dartański wojownik nasłuchiwał się legend o królu grombelardzkich rozbójników i ubzdurał sobie, że wcieli legendy w życie. Ale to tylko legendy. Nie ma żadnego deszczowego królestwa, jest tylko ziemia wyrzutek, między którymi można biegać z mieczem w ręku. Bez Wiecznego Cesarstwa nie ma Basergora-Kragdoba, nie ma i nigdy nie będzie. Potrzebne są legie do pilnowania porządku i urzędnicy Trybunału do tropienia zbrodni, bo dopiero wtedy pojawią się kupcy, których można grzecznie poprosić o okup, rzemieślnicy, którzy zapłacą wodzowi zbójów daninę, oberżyci zmuszeni przez niego do kupienia sobie „ochrony”. Tego wszystkiego nie ma, to umarły mit. Kto ty jesteś, rycerzu? — zapytała znowu. — Dokąd jedziesz? Potrafisz odbudować w Grombelardzie imperium Kirlanu? I o co mnie pytasz? Czy się uda? A co „czy się uda”, Glorm, powiedz? Odbudowa Drugiej Prowincji? To zadanie dla Army, nie dla ciebie. Może poczekać dziesięć, piętnaście lat?

Milczał.

— Skoro jednak wyjechałam z domu — ciągnęła — to chętnie zobaczę się z Armą. Może ostatni raz w życiu. Ale... zawsze zdążę to zrobić. Mogę zobaczyć się z nią za rok, za dwa lata... Jeśli nie chcesz, żebym jechała tam teraz, to wrócę do domu. Masz swoje plany, swoje sny, mogę poczekać, aż się zbudzisz. Albo raczej umrzesz — rzekła chłodno. — I Rbit, i ty, obaj jedziecie w Góry po to samo. Różnica polega na tym, że Rbit wie, po co wyruszył.

— Jedziemy zginąć?

— Zginąć? Naiwny. Tylko umrzeć. Jak stare zwierzęta, które idą ku matecznikom, by złożyć na ziemi swoje kości.

Znowu milczał.

— Widzę, że wiesz już wszystko — rzekł na koniec. — Za to ja, zdaje się, nie wiem nic. Mówisz „legendy”, pytasz „kto ty jesteś?”... Otóż, Tewo, kiedyś nie pytałaś, kim jestem, tylko wsparłaś mnie i osiągnęliśmy

wszystko, co nam się zamarzyło. Z takimi sprzymierzeńcami mogłem porwać się na wszystko i nie myślałem, czy coś jest możliwe. Teraz też potrafię dopiąć swego. Przynajmniej wydawało mi się, że potrafię, że warto spróbować. Ale kogokolwiek poproszę o pomoc, zaraz mi mówi: to przeszłość, legendy, nic już nie jest jak dawniej. Mam dosyć takiego gadania. Delenowi powiedziałem „zostań z żoną”, ale ty nie jesteś Delenem, jesteś dziesięć razy mądrzejsza od Delena i dlatego powiem ci coś innego. Słuchasz, Teweno? Więc słuchaj: idź precz, byle dalej, wynoś się z moich oczu, bo mam dosyć krakania wron, które uwiły sobie gniazda i myślą tylko o karmieniu swoich młodych. Niczego nie wskórasz w Grombelardzie, myśląc o Armekcie... albo o Dartanie, nieprawdaż, bo teraz mieszkasz w Dartanie, dobrze mi się zdaje? Potrzebuję przyjaciół, nie skazańców wleczonych na szafot. Żaden to dla mnie poczet, a nie umiem dowodzić konduktem.

Chciała się odezwać; nie pozwolił.

— Czekaj, skoro już mówię... pozwól mi. Przyszło mi niedawno do głowy, że wszyscy mężczyźni, jakich spotkałem w życiu, nie wydarli ze mnie tylu słów, co nieliczne napotkane kobiety. Ale dobrze, widocznie tak być musi — rzekł, jakby chciał kwaśnym dowcipem złagodzić wagę tego, co mówi. — Nie wracam do przeszłości, Teweno. Wracam do siebie, do domu. Spalony, zdemolowany, to jednak ciągle jest dom. Mój dom. Może niepotrzebnie porzuciłem go kiedyś, ale teraz wracam. I nie twierdzę, że zamierzam odbudować go takim, jakim był. Chyba nawet bym nie chciał. Pomyślałaś kiedyś — zażartował znowu, trochę ciężko, jak to miał w zwyczaju — jak marny jest los człowieka o moim wzroście, jeśli taki człowiek nie chce być rozpoznany? Całymi latami, jeżdżąc między Grombem a Badorem, Badorem a Rahgarem, udawałem pomyleńca przed każdym patrolem Legii Grombelardzkiej. Gdy pytali „Ktoś ty?” odpowiadałem: „Basergor-Kragdob”, a wtedy śmiali się ze mnie, wskazywali palcami szpetne robocze bydło, którego dosiadałem, mówili „A to pewnie nieśmiertelny Galvator?” i mogłem jechać dalej, pomimo że to rzeczywiście był Galvator. Ale kilka razy trafiłem na bardziej dociekliwych i musiałem udawać Kragdoba tak dobrze, jak tylko potrafiłem, co kończyło się zostawieniem na gościńcu porąbanych trupów. W miastach garbiłem się pod swoją peleryną, zresztą na ulice wychodziłem tylko ciemną nocą, a Rbit biegł przodem, dając znać, czy

droga wolna. Na każde dziesięć dni w Grombelardzie dziewięć przesiadałem gdzieś między mokrymi od deszczu skałami, w wysokich wioskach, albo pysznie urządzonych jaskiniach. Myślisz, że mi tęskno do udawania głupka na gościńcu i kulenia się pod peleryną? A może do tych jaskiń? Miałem tego tak dość, że uciekłem.

Urwał.

— Teraz wracam nie po to, żeby znowu się kulić — podjął zaraz. — Skoro tak myślisz, to dobrze, a może nawet tym lepiej, bo wolno mniemać, że podobnie będzie myślała Arma. A wiesz, co wczoraj powiedział o Armie Rbit? Nie wiesz, więc ci powiem: powiedział, że ją zabije, jeśli będzie musiał. Zbolało mnie serce, gdy to usłyszałem. Potem poszedł, a ja długo jeszcze chodziłem po sadzie i musiałem w końcu rzec sobie, że nie powiedział niczego, o czym bym nie wiedział. Mało tego: powiedział głośno to, czego ja powiedzieć nie potrafiłem nawet samemu sobie. Ale dzisiaj już potrafię i mówię: nie jadę do Grombelardu, żeby kulić się pod peleryną. I nie jadę umrzeć. Jadę zabijać. Zabijać i być może zginąć, bo kto walczy, ten czasem ginie. Ale możesz być pewna, że zanim zginę... i jeżeli w ogóle zginę... zginie wielu, naprawdę wielu innych, może nawet wszyscy, którzy staną na mojej drodze. Trzymaj się z daleka od Army, Teweno, chyba że masz pewność, iż otrzymam od niej wsparcie, jak kiedyś. Jeśli nie masz takiej pewności... W każdym razie nie stawaj między mną a moimi wrogami.

W milczeniu kręciła głową.

— Groźby... Po co? Nigdy ze mną nie rozmawiałeś, a gdy wreszcie to się stało, usłyszałam groźby.

— Prośby. I, co najwyżej, ostrzeżenia.

— Prośby?

— Rzecz jasna. Proszę cię, Teweno, żebyś nie stawiała mi na drodze. Nie wybierasz się, jak słyszę, tam gdzie ja, więc ta prośba nie jest chyba trudna do spełnienia.

— Jest niepotrzebna.

— Nie wiem. — Mężczyzna był już naprawdę znużony rozmową; rozmową, której sam się domagał. — Winien ci byłem szczerą, więc ją otrzymałaś. Jak daleko zamierzasz mnie odprowadzić?

— Mniej więcej do granicy.

— Więc zdążymy jeszcze porozmawiać. Nawet o modzie w Rollaynie.

Powiedziałem, żebyś poszła precz, ale nie bierz tego dosłownie.

Roześmiała się, co czyniła niezmiernie rzadko.

— Zawstydzony? Ciekawe. Nie wzięłam.

*

W gęsto zaludnionym Dartanie znalezienie noclegu nie było sprawą trudną — w byle wiosce za dwie srebrne monety wszystkie chłopcy były gotowe wygnać swoje baby i przychówek do lasu, by odstąpić chałupę znamienitym podróżnym. Trudniej było o porządną gospodę; nawet te przy głównych traktach straszyły byle jakim żarciem i brudnymi izbami, gdzie wszyscy pospołu mogli spać na słomie. W tym kraju podróże zawsze uważano za przykrą konieczność, przypadłość różnych gońców i kupców. Ponieważ jednak było lato, a pogoda sprzyjała, miłsze niż gospoda i brudna chłopska chata wydawało się obozowe ognisko.

Glorm i Tewena, nie umawiając się, doszli do takiego właśnie wniosku.

Biwak pod niebem pięknego i bezpiecznego kraju obiecywał same przyjemności. Nocne warty, potrzebne raczej dla podtrzymania miłego ognia, niżli z jakiegokolwiek innej przyczyny, pełnić mieli słudzy. Za dnia ustrzelono dwa bażanty i trochę drobniejszego ptactwa, więc wspaniała woń pieczystego szeroko słała się po ziemi, płynąc ku drzewom pobliskiego zagajnika, pod kopyta pasących się koni. O wczesnym zmierzchu kobiety udały się ku szpalerowi soczystych krzewów, ocieniających brzeg strumienia, żartobliwie a surowo napominając mężczyzn, by zechcieli nadal odpoczywać wokół ognia.

Nad wodą trochę dawały się we znaki komary, nie żywiące żadnego szacunku nawet dla nagich pleców jej godności, a cóż dopiero ramion wyzwolonej perełki albo nóg przybocznej niewolnicy.

Zakręcając, strumyk rozlewał się szeroko, cienką warstwą nieruchomej wody okrywając łachę piaskową, skrytą w maleńkiej zatoczce. Woda była ciepła, a w porównaniu z chłodnym powietrzem wieczoru wydawała się niemal gorąca. Rozleniwiona, leżąca na wznak Enita zapomniała o niechęci do szczupłej jak chłopak czterdziestolatki, która zgubiła gdzieś swoją nieprzystępną wyniosłość i pomagała jej wypłukać włosy, tak by nie ugrzęzły w nich niezliczone drobiny piasku, gotowego poderwać się z dna przy pierwszym gwałtownym ruchu. Czarnowłosa gwardzistka Kragdoba nie ustrzegła się dziwnego, bardzo

kobiecego wzruszenia, dostrzegłszy u dumnej Teweny zwiotczałe piersi, które wykarmiły troje dzieci, bezpowrotnie tracąc w zamian urodę. Armektanka zgubiła tylko jedno, troszkę zawistne spojrzenie, które dotknęło bioder, ud i pośladków młodszej towarzyszki, przesunęło się po różowych sutkach, wieńczących jędrne półkule... Przez krótką, bardzo krótką chwilę obie sobie czegoś zazdrościły. I obie zdały sobie z tego sprawę, a przejrzysta woda uniosła dokądś osad niepotrzebnej, wzajemnie żywionej niechęci.

Przyboczna pluskała się kawałek dalej; może dostrzegła jakiś sekretny znak swojej pani, a może po prostu poczuła, że te dwie kobiety chcą przez chwilę być same.

— Jaki jest? — zapytała nagle Enita, wiedzona impulsem, bez namysłu. — Znasz go tak dobrze, wasza godność... Jaki jest naprawdę?

— Nie chcesz wiedzieć.

— Chcę, bardzo. Jaki jest?

— Nie znasz go? Zdawało mi się, że przez tak wiele lat w jednym domu...

— Nie, co tam... Proszę, pani. Tyle lat, ale jakich lat? Co może wiedzieć niewolnica? Ty go znasz od zawsze, wielkiego wojownika, którego wszyscy się bali. Teraz, kiedy zgodził się zabrać mnie ze sobą, boję się, że go zawiodę. Jaki jest?

Enita była młodsza od Teweny zaledwie o dziesięć, jedenaście lat. Znaczyło to, że nie była już dzieckiem. A jednak Tewena miała wrażenie, że jest. Może trzydziestokilkuletnia niewolnica wciąż mogła być tylko dziewczyną? Klęcząca w strumieniu, bawiąca się włosami leżącej towarzyszki Armektanka po raz pierwszy zadała sobie pytanie, jak właściwie kształtuje się dusza ładniutkiej niewolnej służki, będącej raczej zabawką, kosztownym drobiazgiem niżli myślącą, mającą własne życie istotą. Niewiele przywilejów, tak samo mało obowiązków, żadnej odpowiedzialności... chyba żeby nazwać odpowiedzialnością dbałość o właściwe ułożenie poduszek, nierozlanie wina podanego do stołu...

Zimnymi od wody dłońmi przykryła policzki leżącej.

— Legendę czy prawdę? Co chcesz usłyszeć? Może trochę tego... i trochę tamtego? — doradziła łagodnie. — Tak jest bardzo bezpiecznie.

— Prawdę.

— Przez całe życie kłamałam. Przede wszystkim właśnie dla niego,

no i dla siebie, oczywiście. Dzisiaj mam powiedzieć prawdę? Właśnie tobie?

— Dlaczego nie mnie?

— Bo nie chcesz prawdy, bo liczysz właśnie na legendę.

— Prawdę.

— Ten wielki wojownik jest o wiele większym wojownikiem, niż wynika z legend, większym, niż potrafisz sobie wyobrazić — powiedziała poważnie Tewena. — Może na całym świecie nie istnieje nikt, kto potrafiłby go pokonać w rzetelnej walce, oko w oko. Ale nigdy nie widziałam ani nie słyszałam, żeby stoczył rzetelną walkę. Może na dartańskich arenach, nie wiem. Ale w prawdziwym życiu... w prawdziwym życiu on w ogóle nie umie się bawić, a na arenach to na pewno była tylko zabawa. W prawdziwym życiu ten wojownik potrafi tylko jedno: osiągać swoje cele. I czyni to z bezwzględnością, o jakiej nie masz pojęcia. Prawdę? — zapytała raz jeszcze.

Gwardzistka wolno skinęła głową, spoglądając gdzieś ponad brzegiem rzeczułki. Na coraz ciemniejszym niebie pojawiły się pierwsze blade gwiazdy.

— Jeśli będzie mógł kogoś zabić ciosem w plecy, to na pewno nie stanie z nim do walki twarzą w twarz. Nie z tchórzostwa, ale z wyrachowania, bo cios w plecy zawsze jest skuteczniejszy i niesie mniejsze ryzyko niż walka twarzą w twarz. Nigdy nikogo nie skrzywdził bez potrzeby i tak samo nigdy nie wahał się skrzywdzić, jeśli uznał, że jest to potrzebne. Mówić dalej?

— Tak — potwierdziła cicho, właściwie samym ruchem warg.

— Basergor-Kragdob to odwieczny tytuł najsilniejszego z grombelardzkich hersztów. Zawsze w Górach jest jakiś Kragdob i zawsze ktoś go nie uznaje, a co za tym idzie, sam z kolei tytułuje się Kragdobem. Myślę, że w całej historii Szereru był tylko jeden, którego uznawali wszyscy. On.

Delikatnie obmyła szyję i piersi leżącej w strumieniu Dartanki, która chyba nawet nie zauważyła tej delikatnej, niemal jawnie współczującej pieśczoły.

— Zabijał wojowników i żebraków, ładacznicę i ciężarne kobiety, starców i młodzików. Zabijał bądź kazał zabijać dzieci. Masakrował całe rodziny za karę, z zemsty albo dla postrachu. Czynił to wszystko tak

długo, aż nikt nie ważył się zwrócić przeciw niemu. Przyjaciół, a nawet tylko sojuszników, gotów był bronić, kładąc na szali własne życie. Zawsze i wszystko z wyrachowania. Kocha tylko jedną istotę, która jest jego wiernym odbiciem, przyobleczonej w skórę kota. Możliwe, że chciał kochać kogoś jeszcze, kobietę, ale nie wiedział, jak to się robi, a ona nie zgodziła się go uczyć.

— Nie wierzę, że kazał zabijać dzieci.

— Jeśli te dzieci stawały przeciw niemu? To Grombelard... Jeśli dziecko jest dość dorosłe, żeby trzymać broń i sięgnąć po czyjeś życie, to jest także dość dorosłe, by umrzeć.

— Widziałam, jak walczył. Był wspaniałomyślny. Troszczył się o pokonanych. Był wspaniałym panem, najwspanialszym. Obchodziły go nawet... śmieszne smutki niewolnic.

— Bawił się. Jego godność Wenet, dartański Rycerz Bez Zbroi, to zabawka Basergora-Kragdoba. Całe jego życie w Rollaynie to zabawa. Kto to jest Basergor-Kragdob, prawdziwy władca Gór Ciężkich, gdzie jedynym prawem jest siła? Czy poczciwy brat-łata, spieszący każdemu z dobrą radą i wsparciem? Nie, Enito. Ty także bawiłaś się dotąd, nawet o tym nie wiedząc, bawiłaś się w niewolnicę wspaniałego pana. Ale teraz zaczęło się życie naprawdę. Słyszysz mordercy, rabusiowi i bandycie, który w ludzkiej głowie nosi sumienie kota. Nie rozumie, co to jest dobro i zło, rozróżnia tylko właściwe-niewłaściwe. Właściwe bądź niewłaściwe dla niego i tylko dla niego. A jednak wbrew temu, co właśnie sobie myślisz, to dość, by mieć wielu przyjaciół. Przyjacielskie powinności są przecież oczywiste i właściwe, a więc dla niego święte. Nigdy nie przebaczył żadnej zdrady, ale też nie zdradził i nie zawiódł przyjaciela. I może dlatego... tak samo nigdy nie zawiedli go przyjaciele.

— Nie zawiedli?

— Nigdy.

— A teraz? Jego godność Delen, ty pani?

— Teraz... nie ma już tamtych przyjaciół, nie istnieją, w jaki więc sposób mogą zawieść? Czy zawiódł Delen, mistrz miecza? Enito, przecież Delen już nie jest mistrzem miecza, jest mężem i ojcem, wspaniałym mężem i ojcem. Tewena? Tewena nie jest badorską rezydentką Kragdoba, jest... trochę starszą od ciebie podróżną, którą bolą plecy od jazdy na końskim grzbiecie i która codziennie tęskni za swym domem.

Dałabym Glormowi każdą rzecz, jaką mam, ale on nie zażądał niczego, co mogłabym mu dać. Liczył tylko, że zawrócę czas, a tego na pewno nie potrafię. Więc pożegnał się dzisiaj ze mną, bo jestem już nieprzydatna. Miła, lecz bezwartościowa. Kochałam go takiego i dobrze, że taki został.

Leżąca w strumieniu dziewczyna słuchała z zamkniętymi oczami.

— Kiedyś... — dodała jeszcze z namysłem Tewena — możliwe, że Glorm jednak kogoś zawiódł. Armę. Prosiła go, by wrócił do Grombelardu, a on tego nie zrobił. Jeszcze nie wiedział, że powinien. Ale jeśli nawet ją zawiódł, to z tego samego powodu, o którym mówiłam przed chwilą. Nie było go... Arma żądała pomocy od jego godności Weneta, słynnego Rycerza Bez Zbroi. A rycerz Wenet nie mógł jej pomóc.

— Czy na tym polega przyjaźń?

Armektanka popatrzyła w niebo.

— Nie wiem. Czy w ogóle jest ktoś, kto wie, na czym ona dokładnie polega? Myślę, że polega przede wszystkim na tym, by nie żądać od przyjaciół tego, czego nie mogą dać.

Dartanka milczała i milczała, jakby czekając na ciąg dalszy.

— I już nic więcej nie można o nim powiedzieć? To już naprawdę wszystko?

— No tak... To chyba wszystko.

— Nie, pani, na pewno nie wszystko.

— Zawiedziona? Rozumiem... Czy teraz chcesz trochę legend?

— Wasza godność przedstawiłaś mi nie człowieka tylko... jakąś maszynę.

— Mhm. Rozumiemy się.

11.

Tamenath wstał późno, bardzo późno, bo spożyty do poduszki kubek wina przybrał w nocy rozmiary szaflika. Schorowany, zaniepokojony, nade wszystko zaś rozwścieczony nie uzyskał żadnej pomocy od ledwie żywego gospodarza, który — odwrotnie niż jego gość — wstał bardzo wcześniej i broniąc się przed zgonem w męczarniach, zamasyście wybił klina klinem. Zaczny Ogen leżał pijany jak świnia, a opinie strapionych pachółków pokrywały się w pełni: nic nie mogło przywrócić świadomości ich panu, gdy raz poszedł w cug. Same zaś chłopaki, choć dosyć rozgarnięte, nie umiały pomóc rozgniewanemu starcowi, który żądał odpowiedzi na jedno tylko pytanie: gdzie jest jego podopieczna?

Nikt nie wiedział.

Po raz piąty, a może dziesiąty, Tamenath przeproszał w duchu roztropnego syna, który tak dobitnie wyłożył mu w Aheli swoje myśli. Pomyłona istota wepchnięta w skórę pięknej Ridi winna stale być trzymana w klatce, a przynajmniej na solidnym łańcuchu.

Stary matematyk Szerni, choć dość niecierpliwy, potrafił przecież myśleć i nie był wcale skłonny do rwania nieistniejących włosów z głowy dla lada jakiego powodu. Jednak im dłużej myślał właśnie o powodach, dla których nie władająca miejscowym językiem, nie mająca w Londzie żadnych znajomych, nie potrzebująca niczego kobieta wykradła się w nocy z domu i przepadła... im dłużej myślał o tych powodach, tym większą odczuwał panikę. Cokolwiek uczyniła tej nocy, musiało być rzetelnie, niewątpliwie i radośnie głupie. Jeśli zgoła nie było szalone.

Nie poszła z nikim pogadać, bo nie umiała mówić. Przynajmniej po grombelardzku.

Nie poszła słuchać legend o sobie — z tego samego powodu.

Nie ruszyła do Grombu szukać Strażnika Praw, bo nie miała pojęcia, gdzie jest Gromb; nie miała zresztą pojęcia o niczym.

Jeśli więc nie sprzedawała się właśnie w tawernie marynarzom ani nie zaciągała na statek, to znaczyło, że robi coś innego. Głupiego albo straszego.

Tamenath wierzył, a przynajmniej próbował i chciał wierzyć, że księżniczka sprzedaje się w tawernie marynarzom. Przebaczyłby; jeśli trzeba, to nawet pochwalił i pozwolił jej zatrzymać zarobione pieniądze

— byle tylko nie robiła nic innego.

Tamenath poznał Ridaretę w okolicznościach niezwykłych co się zowie, a i później kilkakrotnie miał przyjemność oglądać skutki jej poczynań. Lecz wszystko to, prawdę powiedziawszy, niewiele go obchodziło. Utrata jakiegoś żaglowca bądź spalenie domu w Aheli — to były kłopoty Alidy i Raladana. Siedząc na Agarach ładnych parę lat, stary matematyk jął z czasem traktować niezwykle usposobienie księżniczki jak coś normalnego, albo — co najwyżej — dziwnego. A ponieważ jego samego darzyła niejakim respektem, nieskromnie zaczął uważać, że potrafi nad nią zapanować.

Ale nie. Nie potrafił. Ktokolwiek wyobrażał sobie, że potrafi zapanować nad tym „czymś”, był w błędzie, był w grubym błędzie.

Szukał jej przez trzy dni — najpierw sam, a potem przy pomocy zaniepokojonego Ogena i ludzi, którymi Ogen dysponował. Żeby tylko ludzi! Najął pół tuzina kotów — lecz to także nie przyniosło efektu. Skoro zaś koty nie umiały znaleźć zaginionej księżniczki, to znaczyło, że księżniczka nie istnieje. W każdym razie nie było jej w Londzie.

I rzeczywiście nie było... Choć, skądinąd, nie uciekła daleko.

„Seilę”, śliczną i śmigłą jak mewa karawelę, uważano za jeden z najlepszych agarskich żaglowców. Nie dźwigała uzbrojenia, ale też nie była okrętem wojennym. Niezbyt często wychodziła w morze, a jeśli już, to prawie zawsze pod komendą samego Raladana. Tak było i tym razem. Raladan spóźnił się aż o cztery dni, bo nawet on nie potrafił rozkazywać wiatrom. Niemniej dotarł w końcu do Londu i zakotwiczył na redzie, jako że uiszczanie wysokich opłat portowych miało się z celem. Rozwścieczona Ridareta przez dwa dni tłukła się po wszystkich portowych dziurach i zaułkach, nim u nabrzeża pojawiła się łódź z „Seili”. W samą porę, a nawet, można by rzec, w ostatniej chwili... Koty Tamenatha niczego nie wskórały, bo gdy starzec wpadł na pomysł zatrudnienia ich do poszukiwań, jednooka piękność była już na pokładzie karaweli, pod opieką kapitana Raladana.

Najpierw zrobiła straszną awanturę. Niemal gotowała się ze złości.

„Kiedy miałeś być?! Zarzynam w zaułku jakiegoś durnego szpicla, a potem przez dwa dni łążę w połatanych szmatach, nie wychylając nosa spod kaptura! Pomysły tej twojej pięknej księżnej-baryłki doprowadzą mnie kiedyś do szału! A i tak są lepsze niż ich wykonanie. Dwa dni! Jak

głupia dziwka czekam od dwóch dni na kogoś, kto powinien być tutaj już dawno!”.

Raladana niełatwo było wytrącić z równowagi, a już najmniej mogła to uczynić jego przybrana córka. Gdy hałasowała, kołysał się na obcasach, z zatkniętymi za pas dłońmi i wzrokiem utkwionym gdzieś na linii horyzontu. Przerwała dla nabrania tchu, a wtedy powiedział:

„Zamknij się wreszcie, Rido”.

No to zamknęła się.

Zaproponował rozmowę w kapitańskim pomieszczeniu na rufie, z którego miał się wynieść na ten czas jego zastępca, a na co dzień faktyczny kapitan „Seili”. Najpierw jednak kazał jej podać gorący posiłek, wino i odpowiedni strój, bo w przebraniu żebraczki rzeczywiście wyglądała koszmarnie. Gdy zajęła się sobą, jął od nowa rozmyślać, co właściwie powinien jej powiedzieć.

Był okres w jego życiu, dawno temu, gdy bawił się w intryganta, ale nie uważał tej zabawy za udaną. Teraz zastanawiał się, czy powiedzieć Ridarecie wszystko (miał ochotę), czy też zastosować się do poleceń małżonki (to z kolei nakazywał rozsądek). Wybrał w końcu drugą możliwość, bo na pewno nie wyrządzał w ten sposób krzywdy Ridarecie, a przeciwnie — najprawdopodobniej zapobiegał wielu głupstwom, które gotowa była popełnić.

Zarówno Tamenath, który przed laty oddał agarskim władcom nieocenione usługi, jak i jego syn, który odwrotnie, przez blisko rok korzystał z ich gościnności, naiwnie uważali, że „grombelardzkie przedsięwzięcie” to sprawa bez mała prywatna, w gruncie rzeczy nie obchodząca nikogo — może tylko dzikich przebiegaczy gór, a niechby jeszcze imperialny Trybunał i legie. Ale już Rbit mógłby pewnie powiedzieć dwa słowa o tym, jak rzecz wyglądała naprawdę, bo w osobie śnieżnobiałej piękności podejmował przecież w swym ogrodzie wysłanniczkę samej królowej Dartanu...

Księżniczka Ridareta rzeczywiście naprzykrzała się Glormowi, a potem Tamenathowi tylko dla kaprysu, a ściśle: najpierw dla kaprysu, bo gdy wróciła na Agary eskadra Raladana, sprawy potoczyły się szybciej. Jej wysokość księżna Alida szczerze nudziła się na swojej wyspie i nawet Tamenath, codziennie oglądający to znużenie, choć dobrze znał Alidę, zaczął zapominać, kim była naprawdę. A była, przede wszystkim,

zakochaną w politycznych knowaniach intrygantką, która swego czasu nie miała godnego przeciwnika w całej Morskiej Prowincji. Za jej sprawą tracili stanowiska sędziowie Trybunału, a na koniec sam garyjski Książę Przedstawiciel zadyndał u powały, gdy doszło do wybuchu powstania. Ktoś taki nie mógł przeoczyć podobnej błahostki, jak groźba (a może nadzieja?...) zaprowadzenia w dżdżystym Grombelardzie porządków przez półlegendarnego króla rozbójników. Nie była też drobnostką tajemnicza wyprawa jego ojca...

Ridareta zaś, choć gotowa rozbijać na skałach powierzone jej okręty i patrząca nie dalej niż czubek własnego nosa, potrafiła jednak, gdy dano jej taką sposobność, być istnym demonem czynu. Wszystko jedno, jak wiele cech wypłukała z tej kobiety groźna moc Rubinu, była to jednak rodzona córka największego pirata w dziejach i miała w żyłach trującą krew swego ojca. Znakomicie nadawała się do roli marudnej (bo rzeczywiście) i leniwej (w samej rzeczy) kapryśnicy, gotowej z nudów towarzyszyć mędrce Szerni choćby na kraj świata.

Jednak fakt, że ów mędrzec bardzo jej towarzystwa pożądał, już sam w sobie dawał do myślenia. I jej wysokość Alida, pani na Agarach, nie przeoczyła tej „drobnostki”, zwłaszcza że znała niektóre tajemnice jednorękiego olbrzyma. Raladan nie posiadał się ze zdumienia, ujrawszy nowe... właściwie stare, a tylko zapomniane... oblicze żony, która oto wyganiała go na morze, choć dotychczas czyniła wręcz odwrotnie. Lecz i on umiał działać; potrafił także myśleć. Nie potrzebował wiele, by pojąć, co Alida do niego mówi.

„Grombelard. Myślę o nim od dawna, a dokładnie od chwili, gdy wyszło na jaw, że rozsypała się tam władza imperium” — tłumaczyła, stukając palcem w rozłożoną na stole mapę. „To były tylko mrzonki, ale od roku nie ma już Wiecznego Cesarstwa, została tylko nazwa. Jest Armekt, mający za sąsiada potężny Dartan, a w nim ambitną władczynię, która nogami swych rycerzy skopała armektańskich legionistów jak parszywe psy. Co dalej? Dalej jest Garra z Wyspami, dla Kirlanu raczej kłopot niż pożytek. I co jeszcze? Lond, miasto-państwo, miasto-prowincja, do którego nie wiedzie żadna droga, oprócz drogi morskiej, bo przez góry mogą się przebić co najwyżej silne wojskowe oddziały. Mogą przebić się teraz, ale nie będą mogły, jeśli bandy górali dostaną takiego wodza, jaki właśnie się do nich wybiera. Gdy jego rządy

okrzepną... i o ile w ogóle okrzepną, oczywiście... trzeba będzie wydać prawdziwą wojnę, podbić cały Grombelard na nowo, tylko po to, by otworzyć drogę do Londu. Kto wyda taką wojnę? Królowa Ezena? No, akurat. Więc Armekt? Czy Armekt może wydać wojnę grombelardzkim mordercom Kragdoba? Mając u boku tak wiernego sojusznika, jak Dartan, który tylko czeka na okazję do wywalczenia pełnej niezależności? Weźmiemy sobie Lond, gdy tylko Glorm zaprowadzi w Ciężkich Górach swoje porządki” — oznajmiła krótko. „Kto ma Lond, ten panuje nad Wodami Środkowymi, a tym samym nad jednym z najważniejszych morskich szlaków Szereru. Przed próbą odbicia tego portu z lądu obroni nas Basergor-Kragdob ze swoją armią obwiesiów, obroni samą swoją obecnością w Górach. A ty? Obronisz Lond przed atakiem z morza? Mamy dość silną flotę?”.

Przez chwilę przyswajał, co rzekła, potem pokiwał głową.

„Mamy. Nie taką, żeby pobić wszystkie floty Armektu, ale Armekt nie może ściągnąć wszystkich flot do odbicia Londu, bo z miejsca straci Garrę. Ograniczony atak z morza odeprzemy. Zwłaszcza że Armektańscy próbowali tam zrobić to, co my później, i chyba trochę lepiej, zrobiliśmy w Aheli” — tłumaczył, pokazując wąskie przesmyki na mapie, oznaczone jako Wielkie Gardło i Gardło. „Tor wodny w cieśninach biegnie mniej więcej tędy, strzegą go mocne działa prochowe i jeszcze jakieś katapulty czy balisty. Nie samego portu, ale cieśnin, a przez te cieśniny będą musiały przejść wszystkie armektańskie eskadry z Wód Środkowych. Trudno im będzie zdobyć Lond z morza, te baterie dział nie wpuszczają pirackich żaglowców na Wody Środkowe, ale po utracie Londu mogą być bronią obosieczną. Oczywiście pod warunkiem, że je zdobędzie ktoś inny. No, ale właśnie. Jak zamierzasz zdobyć Lond i te baterie?”.

„Rękami grombelardzkich górali”.

„Hm... Jeśli tak, to utrzymamy go potem. Obronimy się”.

„A w Armekcie będą wiedzieli, że się obronimy, więc żadnego ataku nie będzie. Weźmiemy Lond rękami Glorma i odkupimy go od niego, czyniąc przy tym same przyjazne gesty wobec Kirlanu. Ataku nie będzie” — powtórzyła — „co najwyżej jakaś buńczuczna demonstracja, mająca na celu wybadanie, czy damy się zastraszyć. Nie damy. Za to zawrzemy korzystne dla wszystkich porozumienie, szlak przez Wody Środkowe

będzie otwarty, opłaty portowe w Londzie umiarkowane... A Agary wraz z Londem staną się lennem Wiecznego Cesarstwa”.

„Chcesz złożyć hołd cesarzowi?”.

„Raczej cesarzowej, bo te plotki o abdykacji najgodniejszego Awenora dawno już przestały być plotkami. Tak, oczywiście, że złożę jej hołd, a przynajmniej będę o to zabiegała, bo to pierwszy krok do uzyskania całkowitej niezależności. Nominalnie zwasalizowane na mocy zawartego układu księstwo to jednak coś zupełnie innego niż dwie zbuntowane wyspy, będące siedliskiem piratów, wyspy, których nikt nie uznaje”.

Polityka trochę nużyła Raladana, ale — na szczęście — zarumieniona małżonka nie żądała odeń snucia żadnych planów, a tylko wykonania jej zamysłów. Przystawał na to z ochotą, bo morskie awantury były jego żywiołem.

„Zdaje mi się jednak, że Ridarecie powierzyłaś misję związaną raczej z Tamenathem niż Glormem”.

Niecierpliwym ruchem przerzuciła złoty warkocz na plecy.

„Glormowi nie trzeba pomocy Ridarety, raczej warto go ustrzec przed taką „pomocą”. Za to warto mieć oko na naszego starego przyjaciela, bo nie wiadomo, jakiego bigosu może narobić w Grombelardzie”.

„Bigosu? Jakiego bigosu? Co wiesz o sprawach Tamenatha?”.

Popatrzyła spod oka.

„Na Agary przychodziły listy do jednego i do drugiego... Uważasz, że nie znam ich treści?”.

„Otwierałaś przeznaczone dla nich listy? W jaki sposób ominęłaś pieczęcie?”.

Rozczulił ją.

„Hej, żeglarzu...” — powiedziała zalotnie, dotykając jego piersi, zupełnie jak przed laty, gdy po raz pierwszy stanął przed nią: pirat, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia i na którego czekała przez wiele długich lat.

Była wtedy tajną wywiadowczynią Trybunału. Uśmiechnął się, bo naraz sam uznał za zabawne wypytywanie kogoś takiego, czy można pokonać byle woskową pieczęć.

„Nie chcę wiedzieć, co było w tych listach. I Glorma, i Tamenatha mam za przyjaciół”.

„Trochę jednak się dowiesz. Bo było coś, co dotyczy Ridarety i ciebie”.

Gdy szło o Ridaretę, Raladan przestawał zartować, a jego skrupuły znikwały niczym dym porwany wiatrem.

„Pewien Przyjęty, przyjaciel Tamenatha, opisał ciekawą historię, wiążącą się z kalekim grajkiem, którego nazywa Strażnikiem Praw Całości. Ten człowiek, kiedyś, próbował cię przecież nakłonić do zamordowania ukochanej córeczki...”.

Opowiedziała wszystko.

„Czy Ridareta wie o tym rzekomo zamurowanym... tej istocie?” — zapytał, gdy skończyła.

„Mhm. Powiedziała jej”.

„I co? A przede wszystkim, dlaczego ja nic o tym wszystkim nie wiedziałem?”.

„Bo Ridareta jest dorosła i ma prawo robić co jej się podoba, a ty zawsze masz na ten temat swoje zdanie. Obie za sobą nie przepadamy, ale potrafimy świadczyć sobie grzeczności. Popłynęła. Teraz możesz jej pomóc albo nie. Zapowiedziałam, że pomożesz. Masz stawić się w Londzie”.

„Zaraz cię stłukę, Alido” — zapowiedział zupełnie poważnie.

„Czasem lubię. Nic jej nie grozi. Nie pozwoli na wygrzebanie tego garbusa z gruzów, i tyle. To chyba dobrze? Dobrze przynajmniej z dwóch powodów: po pierwsze, to wasz wspólny wróg; po drugie, garbus dłubał coś przy Szerni i Alerze w Grombelardzie, tak wynika z listu Gotaha. Nie chcemy, żeby ktokolwiek dłubał tam w czymkolwiek, bo Glorm ma dopiąć swego. I niepotrzebni mu w górach Strażnicy Praw Całości. Nikt teraz nie powinien plątać mu się pod nogami”.

„Tamenath na pewno nie zrobiłby niczego, co mogłoby przeszkodzić jego synowi”.

„Tamenath dość dawno zgubił kilka klepek. Ani myślę zdawać się na jego zdrowy osąd”.

Wzruszył ramionami.

„Dobrze. Co mam powiedzieć Ridarecie?”.

„Nic. Wie wszystko, co trzeba. Daj jej ludzi, jeśli tego zażąda i płyn albo kotwicz gdzie ci powie. Nie może być tam zupełnie sama, pozbawiona jakiegokolwiek pomocy”.

Z tym się zgodził.

„I zabierz ze sobą jej okręt” — dodała.

„Zaraz, zaraz... Okręt Ridarety?”.

Z Foką Ridi prawie nikt nie chciał pływać. Zebrała sobie załogę z najgorszych popaprańców, ale to takich, którzy w pirackiej — koniec końców — flocie uchodzili za kanalie i paskudne zwierzęta. Osobna sprawa, że była to banda mogąca spuścić manto każdemu. Cóż, gdy najczęściej, niestety, tłukła się z obsadami innych agarskich żaglowców. „Zgniły Trup” — tak nazwali swój okręt, ku radości i za poparciem kapitanowej. A i to nazwali tak pięknie tylko dlatego, że Raladan zaprotestował. Najpierw chcieli, żeby to była „Beczka Gówna”.

„Seila” jest nieuzbrojona. Może ci się przydać wojenny żaglowiec” — powiedziała Alida.

„To nie jest wojenny żaglowiec, tylko... Nie wiem, co. Nie chcę tej bandy. To w ogóle nie są żeglarze, to są...”.

„Ale i ja ich tu nie chcę. Nie ma ciebie, nie ma Ridarety, a nikogo innego nie słuchają. Ja po prostu boję się mieć ich w Aheli”.

„A ja mam mieć w Londzie?”.

„Ty dasz sobie radę z każdym. Niech zakotwiczą gdzieś u grombelardzkich brzegów, nie wierzę, że nie znasz żadnej zatoczki, która by się do tego nadawała. A zresztą, możesz rozwalić ten ich statek na skałach, wszystko mi jedno, bylebym go nie miała w Aheli. Posłuchaj, a skąd wiesz, czy na pewno się nie przydadzą? Przecież to rzeźnicy zebrani z całego świata, sam mówiłeś, że nie ma z nimi żartów. Nie wiemy, co może się zdarzyć, a ty będziesz bardzo daleko od Agarów. Zabierz ich”.

Westchnął i wywiesił białą flagę.

*

Wystrojona w ciemnozieloną suknię Ridareta nawet nie próbowała ukrywać zadowolenia. Po pokładzie swego żaglowca łąziła — ku szczęściu załogi — w samych hajdawerach i rozchełstanej koszuli, jednak poza okrętem dobrze czuła się tylko w iście książęcych szatach. Raladan pamiętał o tym i chętnie zaspokoił jej próżność, ładując na „Seilę” dodatkowy kufer, od którego, doprawdy, nie wzrosło zanurzenie żaglowca. Teraz z ledwie powściąganym uśmiechem spoglądał na bujnowłosą piękność, dzwoniącą złotem na szyi, nadgarstkach i w uszach, migoczącą pierścieniami na palcach i pokazującą mocno ściśnięte piersi w głębokim dekolcie sukni. Na tle prostego wyposażenia kapitańskiej kajuty wyglądała aż... nieodpowiednio.

Tanim kosztem uczynił ją szczęśliwą.

— Przepraszam, że krzyczałam na ciebie — powiedziała szczerze, przytulając się na chwilę. — Głupia jestem.

— Tylko narwana.

Uśmiechnęła się, bo to był komplement.

— Ależ jestem ładna — skonstatowała, dotykając włosów po obu stronach głowy.

Raladan pamiętał także o wielkim lustrze.

Gdyby Rida lubiła przemierzać pokład statku w lektyce, to na pewno miałyby ją w ładowni.

Nalał wina — sobie do kubka, księżniczce do pucharka.

— Kogo zabiłaś? — zapytał, mając w pamięci jej wrzaski o zarzynaniu jakichś szpicli w zaułkach.

Opowiedziała, kim jest kupiec Ogen, a także o całej reszcie.

— Wyszłam z domu przed świtem — kończyła — i byłam pewna, że jeśli sukinynek na ulicy rzeczywiście jest szpiclem Trybunału, to pójdzie za mną, bo co miał robić innego? Oglądać uśpiony dom? Wyprowadziłam go w ciemny zaułek i zadźgałam tak, jak mnie uczyłeś. Ani pisnął. To był jakiś szczurek, mniejszy ode mnie — dorzuciła z pogardą — a zresztą, gdyby się rzucił... zawsze mogłam zrobić coś innego. Nie zrobiłam, bo chciałam po cichu.

Potrafiła niejedno, wiedział.

— Mądra dziewczyna — pochwalił. — Czego potrzebujesz?

— Nie wiem. Niczego. Posiedzę trochę w tej sukni, a potem pójdę spać. Rano dasz mi broń, jakiś dobry miecz i odpowiednie szmaty. — Skrzywiła się z niechęcią. — Coś, w czym można łązić po górach. Już nie będę udawać jakieś wnuczki czy siostrzenicy starego drąga, przyodzianej w szarą sukienczynę.

— Co mu powiesz?

— Nie wiem. Albo, właściwie, wiem. Coś mi się przyśniło. No, naprawdę — zapewniła. — Nie mam pojęcia, co to jest, ale na pewno on będzie wiedział. Jakieś liczby, chyba jakiś... jak się nazywa... wzór — wytłumaczyła. — Napiszę mu te liczby i zobaczę, co powie.

— A co może powiedzieć?

— Nie wiem. To jest matematyk Szerni, prawda? Może powie: „O, psiakrew!”. Może zacznie śpiewać z radości, uśmieje się albo może

powie: „Wracamy na Agary”. Albo: „Trzeba wykopać spod ziemi Strażnika Praw Całości”. A tak swoją drogą, długo trwało, zanim powiedział mi o nim. I wciąż nie wiem, do czego mu jestem potrzebna. Może dowiem się, gdy napiszę mu te liczby.

Raladan brzydził się Szernią. Niemniej widział, że piękna podopieczna nie żartuje. Rzeczywiście weszła w posiadanie jakiejś wiedzy, która mogła mieć dla Tamenatha wielką wartość. Jaką? Tu też mówiła prawdę: nie wiadomo.

— Kiedy przestajesz być Ridaretą, a zaczynasz Riolatą...

— Nie przestałam i nie zaczynam — ucięła. — Lubię to świństwo jeszcze mniej niż ty, chociaż poprawiło mi urodę. Ale siedzi we mnie i jak coś wiem, no to wiem. Jutro dowie się Tamenath i zobaczymy. Nie ruszaj się stąd, dobrze? I niech łódź czeka w porcie, tak na wszelki wypadek.

— Całe szczęście, że nie przyszło mu do głowy od razu maszerować do Grombu — zauważył Raladan.

— Wymyśliłabym coś, żeby go zatrzymać parę dni. Ja nie wiem — wyznała nieoczekiwanie — czy znam kogoś tak mądrego i głupiego zarazem. On jest... zupełnie oderwany od świata, wydaje się, że ogląda wszystko przez mgłę, a słucha przez ścianę, no wiesz. Ciekawe, czy wszyscy Przyjęci są tacy.

— Tamenath podobno już nie jest Przyjętym... Ale, tak, wiem, o co ci chodzi — dodał zaraz.

— Nie jest? — zastanowiła się. — A ja uważam inaczej.

Zdziwił się.

— Co możesz wiedzieć na ten temat?

— Niby nic. Ale co mogę wiedzieć na temat jakichś liczb, chyba opisujących Szerń? Wydaje mi się, że Tamenath... to jakby drugi Rubin. Drugi... druga... — Zaplątała się nieco. — No, jest taki sam, jak ja.

— Ta jego próba z Rubinem...

— Wiem, nic z tego nie wyszło. Powiedział, że nie może mieć Rubinu, bo coś. To nie o to chodzi. A jednak jest w nim to samo, co we mnie. On by pewnie powiedział, że taka sama treść.

— I on o tym nie wie?

— Chyba nie.

— Niech będzie, jak chcesz, Rido. Rób, co uważasz za najlepsze. Ale cała ta sprawa w ogóle mi się nie podoba. Nienawidzę takiej roboty —

wyznał. — Jaki jest cel? Co jest do zrobienia? Wiem, tobie to obojętne, a już Alida byłaby w swoim żywiole. Ale ja jestem tylko starym piratem, wszystko jedno, jak mnie tytułują. Nienawidzę takiej roboty — powtórzył.

— Ale zajmowałaś się kiedyś czymś podobnym. Dla mnie — przypomniała niegłośnie, dotykając jego dłoni.

— Dla ciebie. I dla twojego prawdziwego ojca. Kiedyś. Ale już więcej nie chcę.

— Dlatego siedź na okręcie i czekaj na wiadomość, nic więcej. Ustalmy jakieś hasło na wypadek, gdybym nie mogła przyjść sama... Widziałam koty! — powiedziała nagle, ucieszona jak dziecko. — Wiesz, jakie są?

Pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

— Wiem, Rido.

— Jeśli nie będę mogła przyjść sama, to przyślę ci kota. Podobno można je nająć. Przyślę jakiegoś, żeby przekazał wiadomość dowódcy obsady łodzi z „Seili”. Widziałam Boheda na pokładzie — przypomniała sobie.

— Bo to on jest prawdziwym kapitanem „Seili”... No, no! — Uniósł palec, bo i jemu coś się przypomniało.

— E, już nie będę z nim spała — oznajmiła bezwstydnie. — Ale można mu ufać, a poza tym jest mądry. Najlepiej, żeby to on czekał w porcie.

— On albo ja, któryś z nas. Oprócz załogi mam tu dwudziestu najlepszych żołnierzy, pamiętaj o tym.

— Na razie ich nie chcę, bo Tamenath od razu będzie wiedział, jak mają się sprawy. Ale kto wie? Najpierw muszę z nim porozmawiać. A kapitan Bohed, mówisz, że żyje? Bo jest rudy... Usłyszałam w tawernie piosenkę — oznajmiła ni przypiął, ni przyłatał — i zapamiętałam ją, bo śpiewali w kółko, a ja tam siedziałam w kącie cały dzień. Chcesz posłuchać?

Miała znośny głos:

Łaził po świecie Rudy Jon,

Źle — hej! — mu się układa,

Za kradzież kury zamknęli go,

Hej! hej! Rudemu biada!

— Pokładowa — zauważył z uśmiechem Raladan. — Ale nie znam jej, nie słyszałem.

Wyszedł po roku Rudy Jon,
Już — hej! — i trudna rada,
Upił się w knajpie, dostał w dzwon,
Hej! hej! Rudemu biada.
Ładował statki Rudy Jon,
Hej! — ale dziwnie się składa,
Zasnął w ładowni i płynie w rejs,
Hej! hej! Rudemu biada.
Opłynął Szerer Rudy Jon,
Hej! — do żagli się nadał,
Ale choć silny, to rudy był,
Hej! hej! Rudemu biada.
Zobaczył okręt Rudy Jon,
Co — hej! — on opowiada!
Okręt spalony, mówi Jon,
Hej! hej! Rudemu biada!
A na pokładzie Rudy Jon,
(On — hej! — od rzeczy gada!),
Zobaczył, mówi, panią śmierć,
Hej! hej! Rudemu biada!
Stracił przyjaciół Rudy Jon,
Nikt — hej! — przy nim nie siada,
Załoga wcale nie chce z nim pić,
Hej! hej! Rudemu biada!
Porzucił morze Rudy Jon,
Hej! — życie sobie układa,
Już nie pamięta pani żaglowca,
Hej! hej! Rudemu biada.
Trafił dziewczynę Rudy Jon,
Hej! — ależ on ją dosiada!
Potem ją poznał, to była śmierć,
Hej! hej! Rudemu biada.
Bo tamten okręt, spalony wrak,
To — hej! — klątwa nie lada,

Kto raz go ujrzał, już zimny trup,
Hej! hej! Rudemu biada!

— Ładne, prawda? — zapytała, ucieszona jak dziecko.

— Nie — powiedział. — Dwa razy widziałem okręt twojego ojca i wystarczy, nawet nie chcę o nim słuchać. Co za... tfu! Nie wyśpiewuj mi takich rzeczy na pokładzie. Nie chce mi się wierzyć, żeby jacyś żeglarze śpiewali to przy szotach. Chyba że wszystko już zeszło na psy. — Naprawdę zepsuła mu humor.

— A moich tego nauczę.

— Twoich... pewnie. Jeśli od samej nazwy twój okręt nie poszedł na dno, to już śpiewać możesz na nim, co chcesz.

Nawet słowem nie zająknął się o „wsparcie”, które wtrzyła mu żona.

„Zgniły Trup” kotwiczył u wejścia do zatoki, skryty między skałami, za które nie wprowadziłyby go nikt poza jednym jedynym Raladanem, najlepszym szyprem, jakiego znały Bezmiary. Onże Raladan miał cichą nadzieję, że nikt inny go też spomiędzy tych skał nie wyprowadzi...

— Ale na tym spalonym okręcie była dziewczyna, zauważyłeś? Pani śmierć... „Ależ on ją dosiadał!” — zachichotała. — A Bohed też jest rudy i też...

— Zamknij się, Rido.

— Rudy Jon umarł.

— A Bohed żyje. Czy możesz wreszcie przestać?

— No dobrze. Ale już nie śpiewają o Demonie Walki, tylko o jego córce, widzisz.

— Bardzo się cieszę, naprawdę. Nie o jego córce, tylko jakiejś „pani żaglowca”. Co z Trybunałem? — zmienił temat.

— Z czym?

— Z Trybunałem. Jutro schodzisz na ląd. Nie będzie już kłopotów z Trybunałem?

— Pewnie jakieś będą.

Wypiła jeszcze trochę wina i wstała.

— Pójdę już do siebie. Jestem strasznie zmęczona.

Potrafiła obywać się bez snu tak samo, jak bez jedzenia i powietrza. Ale brak każdej z tych rzeczy męczył ją, przysparzał dolegliwości i wprowadzał w podły nastrój. Na ogół sypiała i jadła nawet więcej niż inni.

— Budzić cię?

— Nie. Wstanę sama.

12.

Raladan bardzo źle spał tej nocy. Najpierw zasnął, ale obudził się jeszcze przed świtem, wiercił, kręcił, aż wreszcie odszukał przyodziewek, buty i wylazł na pokład, ku zdziwieniu marynarza z nocnej wachty, który nie przywykł do bezsenności dowódcy. Oparł się o nadburcie na wysokości kluzy i zagapił w morze. Snuła mu się po głowie durna piosenka Ridarety.

Rubin Córki Błyskawic... Po dartańsku kwiecista nazwa opisywała Ciemny Porzucony Przedmiot, który przed wiekami zawładnął życiem Delary, najmłodszej z mitycznych Trzech Sióstr, zrodzonych z Szerni. Według legendy pojawieniu się Delary towarzyszyła burza o niesłychanej sile. Stąd owa „Córka Błyskawic”...

Leniwa fala łagodnie kołysała smukłym kadłubem karaweli.

Raladan rzadko oddawał się wspomnieniom, ale czasem jednak przychodziły. Bardzo lubił „Seilę”, dzielny i szybki statek, ale nie myślał o nim, bo niby dlaczego miał myśleć? Teraz jednak miał na pokładzie dziewczynę, której twarz przewinęła się w tle całej historii żaglowca. TAKA twarz, ta twarz — chociaż nie JEJ twarz... „Seilą” dowodziły kolejno bliźniacze córki Ridarety, dziewczyny od początku do końca będące dziełem Rubinu, który zastąpił życie ich matki. Zastąpił, gdy spoczywały w jej łonie... Potem dorosły trzy razy szybciej, niż wynikało z praw natury. Zawsze były bardzo podobne do matki, a pod wpływem mocy posepnego Geerkoto, doskonalącego urodę całej trójki, stały się z nią niemal identyczne. Jakby bliźniaczkami były wszystkie trzy.

Riolata, Lerena... Która z nich bardziej przypominała Ridarete? Taką Ridarete, jaką miał teraz na pokładzie, nie tę zahukaną i zgorzkniałą dziewczynę, którą poznał przed kilkunastu laty.

Raczej Lerena. Piratka, bujająca w obłokach awanturnica... Bo intrygantka Riolata kojarzyła się raczej z Alidą. Uśmiechnął się. Alida znała tylko Lerenę — i nie znosiła jej. Czy polubiłaby Riolatę? Wątpliwe.

Nie miało to znaczenia. Obie córki Ridarety już nie żyły, ona sama zaś dobrała sobie imię Riolaty, bo było to prawdziwe imię Rubinu Córki Błyskawic. TEGO Rubinu, królewskiego, największego ze wszystkich.

Niewysoki mężczyzna, dla którego czas zatrzymał się w wieku lat czterdziestu i nie płynął dalej, mężczyzna będący kimś równie

niezwykłym, jak jego przybrana córka — bo życie mu dała pradawna i pierwotna potęga oceanu — powoli przechadzał się po pokładzie, wspominając dwie piękne dziewczyny, które nigdy nie miały własnego życia, a tylko zatrutą moc Porzuconego Przedmiotu. Wychowywał je wraz z Ridaretą, w miarę sił i możliwości. A teraz może był na całym świecie jedyną istotą, która ich żałowała.

Na pewno do wspomnień o swych córkach nie tęskniła Ridareta. Czasem się zastanawiał, czy w tej dziwnej istocie, za którą wciąż oddałby życie, tliły się jakiegokolwiek prawdziwe uczucia. Jeśli tak... to miała je chyba wyłącznie dla niego, Raladana. O ile, rzecz jasna, się nie oszukiwał.

Ale kochał ją taką, jaka była. Gdyby kiedykolwiek pożądał prawdziwej córki, chciałby właśnie taką. Wspaniałą, trochę dziką, najurodziwszą dziewczynę świata, zuchwałą, nie bojącą się nikogo i niczego. Nie przeszkadzały mu nawet jej wybryki. Przynajmniej większość z nich. Bo raz i drugi zetknął się z czymś, co było naprawdę niezrozumiałe i szczerze go przeraziło. A nie był człowiekiem strachliwym ani szczególnie wrażliwym.

Teraz miał się przerazić po raz kolejny — choć jeszcze o tym nie wiedział.

Wstała wczesnym rankiem. Zapomniał jej powiedzieć, gdzie ma szukać podróznego stroju, którego się domagała, wyszła więc na pokład w tej samej zielonej sukni, jaką miała na sobie wieczorem. Choć było już całkiem widno, nie od razu dostrzegła Raladana, nieruchomo tkwiącego na dziobie. Zignorowała pozdrowienie wachtowego i powłokła się do bakburty. Raladan zmarszczył brwi, dostrzegając wyraźny wysiłek, z jakim się poruszała. Przystawała niemal po każdym kroku, aż wreszcie z wyraźną ulgą oparła łokcie o nadburcie. Najpierw oddychała głęboko, pełną piersią chłonąc rześkie morskie powietrze, potem zwiesiła głowę, na której kołtuniły się nieuczesane włosy. Swego opiekuna dostrzegła dopiero, gdy ruszył ku niej. Zmieszała się wyraźnie, czerwieniejąc na policzkach.

— Co ci jest?

Uśmiechnęła się blado i pokręciła tylko głową, dając do zrozumienia, że nic.

— Nie opowiadaj mi głupot. Chodź do środka — rozkazał.

— Nie chcę.

— Powiedziałem: chodź. I nie powtórzę po raz trzeci.

Ujął ją pod ramię i pomógł z powrotem dotrzeć do rufowej nadbudówki. Na „Seili”, oprócz pomieszczenia kapitana, w którym teraz spał Bohed, były tylko dwie małe izdebki, czekające na specjalnych podróżnych.

— Do ciebie czy do mnie?

— Do ciebie — powiedziała pośpiesznie. — Nic mi nie jest, słyszysz?

— No to chodźmy do ciebie — rzekł i nim zdążyła zaprotestować, wepchnął ją w otwarte drzwi kajuty.

Przez maleńkie okienko wpadało jasne światło dnia. Ciasna izba wyglądała jak po przejściu huraganu. Raladan przełknął ślinę i zbliżył się do wąskiego żeglarskiego łóżka, przymocowanego do ściany. Skotłowane pledy były pokryte ciemnymi plamami. Wziął jeden do ręki.

— Co to jest?

Milczała.

— Pytam cię, co to jest? — powtórzył groźnie.

— A co ma być? — zapytała z gniewem. — Nie wiedziałeś, że kobiety czasem krwawią?

Mokrych plam było tyle, jakby w kajucie zaszlachtowano kogoś mieczem.

— Chcesz mi wmówić, że to było kobiece krwawienie? Co sobie zrobiłaś? Rozbieraj się! — rozkazał, opanowując dreszcz, bo wiedział, co może zobaczyć. — Ściągaj tę suknię, mówię!

— Nie.

— Co sobie zrobiłaś, mów.

— Nie. Zostaw mnie wreszcie — poprosiła ze złością, a zarazem pokorą. — Już... wszystko jest dobrze.

— Co jest dobrze?

Przed laty zobaczył coś, czego nie umiał zapomnieć ani pojąć. Było tak, jakby drapieżny Geerkoto czerpał siłę z bólu... jakby Riolata zmuszała Ridaretę do okaleczania się. Pierwsza czuła rozkosz, druga przeżywała katusze. Obie w jednym ciele. Ciele, które potężna moc potrafiła utrzymywać przy życiu pomimo najgorszych, zgoła śmiertelnych ran. Te rany zresztą zasklepiały się wielokrotnie szybciej niż u kogokolwiek innego, blizny zaś były prawie niewidoczne lub nawet znikwały całkowicie. Raladan widział w życiu niejedno, ale nie mógł się

pozbierać, ujrawszy przybraną córkę gmerającą we własnych wnętrznościach i bawiącą się nimi, skręconą z bólu i rozkoszy zarazem. Obrzydliwej rozkoszy, niepojętej. Trzymała ręce we własnym ciele jak w rozprutym worku, dłonie miała wepchnięte po nadgarstki. Bodaj nigdy w życiu nie poczuł się słabo od samego patrzenia, ale wtedy ledwie ustał na nogach.

Kilka dni później na jej skórze widniały już tylko dobrze zagojone blizny, wreszcie i one zniknęły. Ledwie widoczne, cieniutkie jak włos ślady, były istną kpina, nie zaś pamiątką po ranach, od których na stu ludzi nie skonałby może jeden.

— Co sobie zrobiłaś? — zapytał jeszcze raz. — Kiedyś umrzesz... Wiesz o tym, że możesz umrzeć. Nie jesteś naprawdę nieśmiertelna, a ta twoja przeklęta moc nie przychodzi na zawołanie. I kiedyś nie przyjdzie, albo przyjdzie za późno.

— Wiem, co mogę i kiedy. Nie męcz mnie już, Raladan.

— Dlaczego to robisz? O co w tym chodzi? Co wynika z kaleczenia własnego ciała? — pytał, siadając na pokrwawionym łóżku, wciąż z zaplamioną szmatą w dłoniach. — Powiedz mi, chcę to wiedzieć. Co sobie robisz i jak często?

— Tylko czasem, rzadko. Nic wielkiego. Raladan, nie pytaj mnie już — poprosiła znowu, opierając głowę o ścianę za plecami. — Zostaw to tak, jak jest. Dobrze? Proszę cię, Raladan.

— Jesteś obłąkana, wiesz o tym.

— Nie, nie jestem... Zaraz się pozbieram, zjem coś... i będzie dobrze. Już prawie przestało boleć, zaraz będzie po wszystkim... Możemy porozmawiać o czymś innym?

W milczeniu kręcił głową.

— Jestem za stary, a przez to za mądry, żeby żądać obietnic, których i tak nie dotrzymasz — rzekł wreszcie. — Ale każdego roku przez wiele miesięcy jestem na morzu... widzimy się rzadko... Nie musisz robić tego właśnie wtedy, gdy się spotykamy. Musisz czy nie musisz?

— Nie — przyznała cicho.

— Doprowadź się do porządku. I to pomieszczenie też. — Odłożył skłębiony pled na koję. — Albo, lepiej, sam tu posprzątam.

— Nie. Poradzę sobie.

— No to sobie radź, w takim razie. Wszystko, czego potrzebujesz, jest

tutaj. Na dnie kufra znajdziesz potrzebny strój. Spódnica, kaftan, koszula, trzewiki. Miecz i dobry nóż mam u siebie... a zresztą, nóż chyba masz. — Popatrzył wymownie, z wyrzutem, ale i groźnie. — Jak skończysz porządki, przyjdź do mnie, każę podać coś do jedzenia.

— Dobrze.

Wstał z koi i zatrzymał się na chwilę. Być może miał ochotę przygarnąć ją lub pocałować w pochylone czoło, ale nie potrafił okazywać czułości. Kobiecie, z którą dzielił łóżko — owszem. Ale córce nie umiał. To była inna czułość.

— Czekam u siebie. Nie śpiesz się.

Lekko musnął palcami jej przedramię i wyszedł.

Niewiele później miał okazję się przekonać, że nie kłamała. Gdy przyszła na śniadanie, potem zaś schodziła do łodzi, trudno było dostrzec w jej ruchach bodaj ślad słabości. Zachowywała się jak zawsze i tym razem... rzeczywiście, chyba nie zrobiła sobie czegoś takiego, jak wtedy, przed laty. Ale to go nie uspokoiło. Mniejsza o powody, dla których robiła to, co robiła... Problemem było jej nadmierne zaufanie do własnej żywotności, przekonanie, że nie można jej skrzywdzić. A tymczasem obie „nieśmiertelne” bliźniaczki nie żyły. Lerenie ucięto głowę... Raladan bał się myśleć, czy ta głowa, oddzielona od tułowia, mogła jeszcze żyć przez jakiś czas i co potem się z nią stało. Nie wiedział, gdzie właściwie mieści się siła Rubinu, co ta siła może sprawić, czego zaś nie. Nikt nie wiedział. A jednak Ridareta była gotowa uważać się za nieśmiertelną i niepotrzebnie wyzywać los przy byle morskiej potyczce. Widział to.

Nieśmiertelność... Spoglądając za oddalającą się łodzią, pomyślał jeszcze o istocie zwanej Strażnikiem Praw Całości. Czy naprawdę nieśmiertelność była wyzwaniem, któremu nie mogła sprostać ludzka pomysłowość? Co wynika z nieśmiertelności zalanej roztopionym ołowiem i puszczonej w beczce na dno morskiej głębi? Tego „daru” należało się bać, bo mógł być strasznym przekleństwem.

W oddalonej łodzi podniosła się jakaś sylwetka, by pomachać w stronę „Seili”. Odpowiedział podobnym gestem i poszedł do siebie.

Szczerze nie znosił pożegnań.

Ridareta też ich nie lubiła. Z powrotem usiadła w łodzi i przestała się wiercić, nie chcąc utrudniać pracy wioślarzom. Zamieniła kilka słów z

trzymającym rumpel Bohedem, a nawet mrugnęła doń obiecująco i przez chwilę przekomarzali się, bawiąc półsłówkami niezrozumiałymi dla majtków przy wiosłach. Potem zamilkli. Bohed nie był gadułą, a i ona straciła ochotę do rozmowy, choć przez chwilę namyślała się, czy nie zaśpiewać rudemu kapitanowi piosenki... Dała spokój, ze strachu przed Raladanem. Chciała już tylko przybić do nabrzeża, wysiąść z łodzi i spotkać się z Tamenathem.

Lubiła tego wielkiego starca. Lecz zarazem miała wrażenie, że jego czas minął, naprawdę już minął. Sędziwy, a wciąż krzepki matematyk Szerni powinien był dawno umrzeć, bo jego dalszy pobyt wśród żyjących wydawał się wręcz szkodliwy. Nie wiedziała, skąd to przekonanie. Ale gdy patrzyła na Tamenatha, zawsze miała wrażenie, że on... nie pasuje do reszty. Do niej, do ludzi, kotów, domów, do całego Szereru. Kiedyś takiego wrażenia nie miała. Potem jęło narastać, a teraz było tak, jakby pośród półmisków i kielichów, między pasztetem a potrawką, postawiono na stole stary but... Rzecz nie na miejscu, aż chciałoby się rzec: z innej opowieści. Na czym polegała ta odmienność starego Przyjętego? Czy dostrzegał tę odmienność ktoś jeszcze? Zapomniała zapytać Raladana.

Krótko pożegnała się z Bohedem i pokazała mu, jak trafić do zaułka tawern, gdzie pod ścianami wylegiwały się na ławach grombelardzkie ślicznotki. Tylko jeden majtek miał stale siedzieć w łodzi, by w razie czego szybko sprowadzić resztę.

Rozstali się.

Zamyślona, prawie nie zauważała tłumów, które tak ją zmęczyły, gdy po raz pierwszy stanęła w Londzie. Nie dostrzegała też zdumionych, to znów otwarcie prowokujących spojrzeń, oceniających jej szesane na lewą stronę bujne włosy (opadający na czoło pukiel dość dokładnie krył opaskę na oku...), prześlizgujących się po wypukłościach i krągłościach ciała. Gruba spódnica gładko ułożyła się na biodrach, a pas obciążony mieczem podkreślał wąskość talii. Jej skażona kalectwem uroda także była przekleństwem, także, a może nawet przede wszystkim, bo bardziej niż rzekoma nieśmiertelność, o której prawie nikt nie wiedział. Przecież nieśmiertelność i wieczna młodość na ulicach nie rzucały się w oczy, natomiast uroda... Ridareta doświadczała właśnie tego, o czym mówił Tewenie Glorm i o czym rozmyślał Tamenath: nie mogła ukryć się w

tłumie, zawsze i wszędzie musiała być rozpoznana. Zawsze zwracała uwagę.

I zawsze, niestety, należało o tym pamiętać.

Kimkolwiek był mężczyzna łapiący ją z tyłu za rozkołysane pośladki, gorzko pożałował swego czynu. Chociaż — czy w ogóle zdążył pożałować?... Zamyślona, nieobecna, błędząca myślami między Tamenathem a Raladanem, odwróciła się i... jej jedyne oko, ocienione skośnie zawiązaną opaską, zgasło nagle, bo utonęło w smolistej czerni, która pochłoneła białko, źrenicę... Uderzyła mężczyznę i roztrzaskała mu łeb niczym nadpękniętą glinianą skorupę, a może raczej garniec z krwawą zupą, bo na ziemię chlusnęła obrzydliwa miazga, breja z mózgu, strzępów skóry i kawałków kości. W tłumie rozbrzmiały wrzaski i jęki, ludzie tłoczyli się i przewracali, rozpierzchając na wszystkie strony, podczas gdy inni, ogarnięci grozą i przerażeniem, tkwili w miejscu niezdolni do ruchu. Człowieczy kadłub, uwieńczony jakimiś resztkami zbitymi w bezkształtną bryłę, przez chwilę zdawał się żyć własnym życiem, nim runął u stóp jednookiej kobiety, stojącej z wyszczerzonymi zębami i uniesioną do nowego uderzenia ręką, której nienaturalnie powyginane palce wyglądały na połamane. Wielu zapamiętało czarną czeluść mroku w miejscu jedyne go oka stojącej. Kobieta cofnęła się nagle, trochę nieprzytomnie rozejrzała dokoła — a było to już normalne ludzkie spojrzenie — po czym opuściła rękę i zagryzła usta. Szybko ruszyła przed siebie. Uciekano jej z drogi, ona zaś szła coraz szybciej, aż wreszcie zaczęła biec. Zniknęła gdzieś w uliczkach dzielnicy portowej, gdzie już nie było świadków zdarzenia.

Gdy dotarło to do niej, zwolniła. Ale nie szła już do domu Ogena; zdała sobie sprawę, że brnie w jakieś zaułki. Uśmiechając się, a zarazem popłakując z bólu, bezwiednie obmacywała pogruchotaną rękę, szukając nienaturalnych wklęśnięć i zgrubień, próbując nastawić kości. Mogły pozbierać się krzywo. Przekłęte słabe ciało, jakże marnym było narzędziem dla zamkniętej w nim siły. Zawróciła, by po kilkudziesięciu krokach ocknąć się znowu w śmierdzącym zaułku... Oparta o ścianę domu, trzymaną pod spódnicą zdrową ręką pocierała miejsce u zbiegu ud. Ktoś gapił się na nią, ale na szczęście miał więcej rozsądku (a może tylko mniej ikry?) niż ten, który złapał ją za tyłek. Uniosła dłoń do czoła, przykucnęła, wciąż oparta o ścianę i pobiegła spojrzeniem ku czystemu

niebu, widocznemu między dachami. Musiała się pozbierać... To nie po raz pierwszy uszczęśliwiona Riolata toczyła pojedynek z zaniepokojoną Ridaretą. Jeszcze! Zabijanie odurzało Riolatę; Riolata zabijałaby bez przerwy, a przynajmniej do syta. Kiedyś tak nie było. Ale dusza Geerkoto na dobre już stopiła się z duszą zwykłej kobiety, coś odeszło, coś przyszło, były obustronne zwycięstwa i tak samo obustronne klęski. Ridareta płaciła Riolacie daninę, kalecząc swoje ciało, dając rozkoszny ból, ale w zamian panowała nad nią; kiedyś to nie było możliwe. Panowała jednak tylko do pewnego stopnia, a raczej do pewnego momentu. Gdy krew już popłynęła i gdy odezwał się ból, cudzy ból... ciężko było zatrzymać niszczące siły Rubinu. Kiedyś... gdy morska potyczka dobiegła kresu i zabrakło wrogów, Riolata była gotowa pozabijać własnych marynarzy. Na szczęście był tam Raladan, jedyna istota na świecie, której Riolata nie ważyła się tknąć. Nie ważyła się, bo wiedziała, że Ridareta zabiłaby ją za to. Urznęłaby przeklęty łeb mieczem i wyrzuciła do morza rybom na pożarcie, zostawiając na deskach pokładu głupie i ślepe, do niczego nieprzydatne, puste ciało.

Ramionami wstrząsały słabe dreszcze. Agarska księżniczka czuła się znużona, lecz zarazem rozleniwiona, odprężona i senna — jak po miłosnych zmaganiach z mężczyzną. Ale lepka wilgoć w zakamarkach ciała, zestawiona z owym błogim znużeniem, zdawała się dowodzić, że gdzieś tam, między nabrzeżem a zaułkiem, rzeczywiście doszło do spełnienia. Czy wtedy, gdy biegła, uciekała? Czy dopiero tutaj, w zaułku? Nie potrafiła powiedzieć.

Już spokojniejsza i opanowana, wybrała okrężną drogę, bo nie chciała natknąć się na jakiegoś przypadkowego świadka niedawnego zajścia. Znowu szła do domu Ogena. Ale stanęła nagle, bo coś jej przyszło do głowy... Ku zdumieniu przechodniów zaczęła chichotać, aż na koniec parsknęła głośnym śmiechem. Rozejrzała się dokoła i wypatrzyła dach wyższego od innych domu, stojącego w odległości jakichś dwustu kroków. Wybrała moment, gdy w pobliżu nie było nikogo. W źrenicy coś zamigotało, błysnął tam płatek złota, a może plamka czerwieni... Odwróciła się i poszła dalej, powściągając śmiech.

Za jej plecami, na wysokim dachu, wykwitł płomień.

Rubin coś jednak dostał.

Riolata Ridareta była fenomenem. Jedyną na świecie istotą, która

mogła bezkarnie odwoływać się do Pasm Szerni. Tylko dwóch, odrzuconych i wyklętych, zawieszonych blisko, bardzo blisko... Tuż nad Bezmiarami. W Rubinach Córki Błyskawic zapisane były wszystkie ich treści. Rubin był ich symbolem, lecz nie takim, jak Przyjęci, którzy pojmowali istotę Szerni i w ten sposób — symbolicznie — byli nią, ale byli chyba nie inaczej niż matematyczne modele Tamenatha. Rubin rzeczywiście zawierał wszystkie treści. Ściśnięte, słabiutkie w porównaniu z pełną treścią Pasm, pomniejszone... Ale najprawdziwsze.

Nim doszła do domu Ogena, zrozumiała, kim jest Tamenath.

*

Gospodarza nie było. Na widok powracającej piękności jeden z pachotków wrzasnął i pobiegł po Tamenatha. Drugi pachot, młodzutki chłopaczek, otworzył gębę i chciał chyba o coś zapytać, ale zabrakło mu śmiałości. Rozbawiona, wręcz tryskająca świetnym humorem, popatrzyła nań i oblizała się tak szeroko, że prawie od ucha do ucha. Przestraszył się. Parsknęła śmiechem i opadła na krzesło w dużej izbie jadalnej, kładąc nogi na drugim. Odchyłona, czekała na Tamenatha. Pachotek, wciąż nękany jej wyzywającym i bezczelnym spojrzeniem, doczekał się jeszcze jednego szerokiego ruchu języka, bąknął coś i uciekł. W samą porę. Jednoręki starzec pojawił się w drzwiach izby, popatrzył na rozpartą na krzesle kobietę — i nic nie powiedział. Usiadł za stołem.

— Przepraszam, ojczy — powiedziała. — Nie wiem, dlaczego uciekłam. Zdaje się, że dosyć długo mnie nie było, dwa albo trzy dni... Tak?

Zdjęła nogi z krzesła i usiadła normalnie. Wyglądała na zakłopotaną.

— Gdzie się schowałaś? Szukałem cię wszędzie.

— Nie mam pojęcia. To... zdarzyło mi się po raz pierwszy. Niczego nie pamiętam.

Patrzył i patrzył. Ale chyba gotów był dać wiarę.

— Naprawdę nic? Aż wierzyć mi się nie chce... Nie narobiłaś jakichś kłopotów?

— Nie wiem. Może i narobiłam.

— Skąd masz to ubranie? I miecz? Także nie wiesz?

— Chyba... chyba kupiłam. Tak mi się wydaje.

Znowu milczał. Zastanawiał się, jak powinien postąpić, co powiedzieć. Oczekiwał wszystkiego, ale nie rozbrajającego wyznania: „Ja nic nie

wiem, niczego nie pamiętam”. Wróciły wątpliwości i zaczęła się odradzać nieufność.

— Dlaczego zgodziłeś się zabrać mnie ze sobą? — zapytała. — Powiedz mi, ojczu. Zaczęłam się nad tym zastanawiać.

— Teraz?

— Dzisiaj, kiedy już wracałam. Glorm przegonił mnie, kiedy tylko wspomniałam, że chcę mu towarzyszyć. A ty... chyba nawet przeciwnie. Dosyć sprytnie podsunąłeś mi pomysł i od razu zgodziłeś się na moje towarzystwo. A przecież od początku wiedziałeś, że mogą być ze mną kłopoty.

Pokiwał ogromnym łysym łbem.

— Agarska księżniczka pyta — mruknął. — Jej wysokość życzy sobie wiedzieć. A nawet jeszcze gorzej: zaczyna myśleć. Coś ją intryguje, coś w ogóle obchodzi.

— O czym ty mówisz?

— No, o tym przecież, że przez tyle długich, długich lat siedzieliśmy na nudnej, zapomnianej przez świat wysepce i nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Wiem, wiem! — Machnął dłonią. — Ale to nie były rozmowy. Pogaduszki. Mówiliśmy do siebie i nawet całkiem miło spędzaliśmy czas. Ale gdy staruch zaczynał jakąkolwiek rozmowę, prawdziwą rozmowę, agarska pięknotka mówiła: „Ale zrzędzisz! Prawisz i prawisz!”. I oto, nagle, sama zaczyna pytać.

— Bo to nie są Agary. Zabrałeś mnie dokądś i myślę, że w jakimś celu. A co, dla kaprysu? Dla towarzystwa?

— No.

Teraz ona spoglądała w milczeniu.

— Chyba sobie żartujesz?

— Nie. Dlaczego? — zapytał z głupia frant.

— Zabrałeś mnie, żeby mieć towarzystwo?

— No — potwierdził raz jeszcze.

— Czekaj, zaraz... Co ty mi opowiadasz?

— Jesteś odbiciem i symbolem dwóch Ciemnych Pasm Szerni, dwóch zbędnych Pasm, które po wojnie Szerni z Alerem zaburzały jej równowagę, bo zabrakło ich odpowiednika w Pasmach Jasnych. W wojnie Szerń straciła więcej Jasnych niż Ciemnych Pasm i dlatego dwa Ciemne....

— To wiem — przerwała. — I to jest powód, dla którego jestem tutaj z tobą?

— Nie. Chociaż, oczywiście, dla kogoś takiego jak ja, obcowanie z żywym i myślącym symbolem Pasm to coś... bardzo podniecającego. Rozejrzyj się po świecie, pięknotko. Wszystkich uczonych Szerni jest raptem kilkunastu, z tego połowa to dziwacy w rodzaju Moldorna — genialny matematyk, ale poza tym ktoś, kto powinien zostać raczej śledczym Trybunału. Oprócz nich znam może pięciu czy sześciu ludzi, którzy o Szerni wiedzą... cokolwiek. Taki Ogen. I już. Ale na Agarach mam kogoś... a może raczej coś? — zapytał, trochę kpiąco. — Na Agarach mam kogoś, kogo przynajmniej mogę obserwować, skoro nie chce ze mną rozmawiać. To dziewczyna, bardzo piękna, niegłupia, żywiąca do mnie, jak miemam, pewną słabość, a jest to słabość odwzajemniona. Więc zabieram tę dziewczynę jako interesującą towarzyszkę podróży. Jeśli ta dziewczyna — kto wie? — przy okazji uczyni coś, co pozwoli mi lepiej poznać Prawa Całości, to tym bardziej będę rad. Te dwa Ciemne Pasma są być może wszystkim, co jeszcze zachowuje się zgodnie z regułami, które znałem i pojmowałem. Ale nie zabrałem dziewczyny dlatego, że wiązę z nią jakieś plany. Jestem stary i nie chciałem jechać sam. Kogo miałem zabrać? Żaglomistrza i bosmana z jakiejś kogi?

— A ten uwięziony Strażnik Praw Całości? Nie potrzebujesz mnie do... tego?

— Strażnik Praw? Jeśli go znajdę, to chyba wypuszczę. Ale nie z powodu Strażnika zabrałem cię ze sobą. W czym tutaj mogłabyś mi pomóc, do czego miałbym cię potrzebować? Do kopania pod jakimiś gruzami, jeśli przyjąć historię Wereny za prawdę? Raczej najmę jakichś kopaczy.

— Wiesz przecież, że ten Strażnik chciał kiedyś mojej śmierci.

— Nie wiadomo, czego właściwie chciał, a jeśli nawet wiadomo, to nie znamy powodów. Może właśnie będziemy mogli zapytać go o to? W żaden sposób nie może ci zagrozić, przynajmniej nie bezpośrednio. Ta nieśmiertelna, a nawet niezniszczalna istota, nie rozporządza jednak żadną siłą. Absolutnie żadną. Jest odbiciem całej Szerni, nosicielem całej jej treści, ale nie rozporządza jej mocami, bo zaburzyłby równowagę, a do tego jednego zupełnie nie jest zdolny. Szerń jest tam, a jej symbole tu. — Wskazał powałę, potem zaś podłogę. — Szerń nie może być

jednocześnie tu i tam, a gdy czasem bywa tu i tam, to niedobrze. Strażnik Praw Całości chodzi po Szererze właśnie po to, żeby Szerń nie bywała tu i tam jednocześnie. To tylko garbaty dziadek, mający ogromną wiedzę. Może kogoś do czegoś namówić, choćby do rzucenia się na nas, pewnie, ale gdy chodzi o namawianie, to akurat może zrobić każdy.

— Dziwisz się, że nie chcę z tobą rozmawiać. — Westchnęła. — Wiesz, jakie to wszystko nudne? Szerń i Szerń, równowaga i... srównowaga. Wiesz, jakie to nudne? — powtórzyła.

— Nie wiem. Masz rację, rzeczywiście nie wiem. Dla mnie to bardzo ciekawe.

— Coś mi się przyśniło — powiedziała. — Coś, co może ci się przydać, tak uważam.

— Przyśniło ci się?

— Właściwie sama nie wiem. Dowiedziałam się czegoś, po prostu. Przyszło. Sama nie wiem skąd.

— I co to jest?

— Kilka rzeczy. Nie wypuszczaj tego Strażnika.

— To ci się przyśniło?

— Tak. Nie chcę, żebyś go wypuszczał, bo wiem, że będzie źle. Dla mnie źle.

Wymownie wzruszył ramionami.

— Ridareto... Mam działać, lub nie działać, opierając się na twoich snach?

— Tak, bo zaraz zobaczysz, ile są warte... Czy jest tu gdzieś kawałek węgla lub kredy? Albo przynieś mi pióro i jakieś czyste karty.

— Dużo tego pisania?

— Raczej nie. Nie, chyba nie.

Wyszedł i zaraz wrócił, niosąc pióro, inkaust i trochę pergaminu. Kredę też. Niezręcznie ujęła pióro i zaraz odłożyła, a właściwie nawet upuściła, krzywiąc usta, jakby coś ją zabolalo. Zauważył, że palce ma dziwnie sztywne, a całą dłoń nieco spuchniętą, i już miał zapytać o przyczynę, ale wzięła kredę. Wstała i podeszła do ściany. Przyglądał się, gdy zaczęła pisać — niezręcznie, kulfoniasto, lewą ręką. Nagle podniósł się z krzesła i stanął za jej plecami.

— Skąd ty to znasz?

Chyba nie usłyszała, skupiona jak nigdy dotąd. Przynajmniej on jej

takiej nigdy nie widział. Gryzmoliła szybko, ale — wzięwszy pod uwagę, że nie była leworęczna — wcale przejrzyście i czytelnie, jakby całe życie spędziła na wyprowadzaniu i przekształcaniu wzorów. Oszołomiony, wędrował za nią wzdłuż ściany, krok za kroczkiem. Wrócili; zaczęła nowy wiersz. Pisała i pisała.

Pisała, pisała, pisała... A Przyjęty patrzył i milczał.

— Czy to kwantyfikator... — zaczął, wskazując słabo czytelny gryzmoł, i urwał, bo spojrzła nieprzytomnie, z pustką w oczach, a zresztą było jasne, że choćby i usłyszała pytanie, to nie miała pojęcia, co to kwantyfikator.

Pisała i pisała.

Skończyła przykucnięta, z ręką przy podłodze. Przez chwilę siedziała nieruchomo, jakby zastanawiała się, czy to na pewno wszystko. Wyprostowała nogi, przeszła tyłem kilka kroków i stanęła, przyglądając się ścianie.

— Ja... nie wiedziałam, że tyle tego jest... Naprawdę. Zdawało mi się, że tylko kilka liczb...

Na wielkiej ścianie jadalnej izby, opływając różne półki i świeczniki, ciągnęły się dziesiątki, a może setki równań, przejrzyście wyprowadzonych z naprzemiennie przekształcanych wzorów przekrojowych. Podstawą przeszło połowy obliczeń było Twierdzenie Erlona... Do tej pory nieudowodnione. Tamenath w żaden sposób nie potrafił od ręki sprawdzić wykonanych działań, nie miał dosyć czasu, bo potrzebował... przynajmniej kilku dni. Ale mógł to zrobić. I jeśli dowód był prawdziwy...

— Jeśli dowód jest prawdziwy — powiedział i odchrząknął, nie poznając własnego głosu. — Jeśli jest prawdziwy, to po raz pierwszy w dziejach dokonano pełnego opisu Pasm. Dwóch Pasm... I chyba nawet wiem, których. Sprawdzę to, rzecz jasna, ale chyba wiem.

— Więc coś z tego wynika? — upewniła się.

Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Czy wynika? Tak, wynika z tego coś... jak powiedzieć? — zapytał bezradnie. — Coś przerażającego, jak każda rzecz idealna. To jest właśnie opis idealnego stanu dwóch Pasm, na podstawie którego dadzą się zapewne opisać wszystkie pozostałe, bo brakujący do opisu element... został właśnie odnaleziony. Można będzie opisać całą Szerń, policzyć...

wszystko. W oparciu o krzywą Heynetha można... — Zamilkł, machnął ręką, przetarł oczy palcami i oparł dłoń na łysinie; było mu ciężko, chciał rozmawiać, podzielić się z kimś wrażeniami, ale nie miał z kim. — Mam policzone dwa Pasma i dostałem dowiedzione... bo chyba naprawdę dostałem... dowiedzione Twierdzenie Erlona. Mogę więc policzyć całą Szerń... no, co prawda nie sam, bo będę potrzebował legionu rachmistrzów i stu lat. Kto to wie, ilu? Szerń jest dosyć duża i... skomplikowana. Ale takie obliczenia jak świat światem zlecało się wynajętym rachmistrzom, a to już jest właśnie robota rachmistrza, nie matematyka. To zabawa w podstawianie liczb do wzorów, sama możesz zacząć opisywać Szerń, proszę bardzo! — Szerokim gestem zaprosił ją do ściany, którą własnoręcznie pokryła mnóstwem białych robaczek, ale równie dobrze mogłaby obrzygać, bo tyle samo dla niej z tego wynikało. — W postaci kanonicznej... — Urwał. — Większość matematyków Szerni, i ja z nimi, uważała, że tego dowodu nigdy nie da się przeprowadzić. Ten tutaj zresztą jest skrócony, pomija...

Znów urwał; przez całe życie nie nauczył się rozmawiać o matematyce z ludźmi, dla których najprostsze działania były istną magią. A już wobec tego tutaj, ślicznego głupiątko, nie zdarzyło mu się chyba dokończyć żadnego zdania, tyczącego zagadnień matematycznych. Żadnego, które było bardziej skomplikowane, niż „dwa a dwa to cztery, zgadza się?”. Zateśknił za Raładanem. Pilot i kapitan żaglowca, określający pozycje okrętu na morzu, miał pojęcie, bo mieć musiał, o elementarnych prawach rządzących światem liczb. Ach, ale przecież Ślepa Foka Ridi też była kapitanem... Ciekawe, jak poznawała, gdzie północ, a gdzie wschód? Chyba nie po słońcu, bo to trudne, za trudne.

— Nie wiem. Możliwe, że podałaś mi ten dowód, bo... bo już można. Bo dotyczy tylko twoich dwóch Pasm, Rubinku, i żadnego innego. Coś zmieniło się przecież w Szerni i nie wiadomo, czy stary Erlon ze swym twierdzeniem może jeszcze się przydać do czegoś. Może tylko do opisanie stanu minionego. Ale nawet, jeśli tak jest, to wartość tego trudno przeszacować. Poza tym aktualny pozostanie opis twoich dwóch Pasm, odrzuconych nad Bezmiary, wykluczonych z istoty Szerni, ale najprawdziwszych i wciąż działających. To dużo; to więcej, niż myślisz. Wzajemne oddziaływanie tych Pasm i Bezmiarów owocuje takimi drobiazgami, jak żywy Rubin Córki Błyskawic i żywy kawałek

wszechoceanu, zamknięty w osobie twojego przybranego ojca. Czy to wszystko, co miałaś dla mnie? Muszę to przepisać... pomyśleć... i porządnie policzyć, bo na razie to tylko schemat, na podstawie którego da się wyprowadzić wzory potrzebne do reszty opisu. Czy to wszystko?

— Tak, to wszystko... Dobrze.. — powiedziała trochę chaotycznie. — Ja... pójdę teraz spać. Zobacz jeszcze moją rękę, hm?

Oprzytomniał na tyle, że przypatrzył się jej uważnie. Wyglądała, jakby nie spała od kilku dni. Czy tak wielkim wysiłkiem było wydobyć z pamięci tego, co miał zapisane na ścianie? Możliwe. Dlaczego nie? A jednak widział ją już taką, kiedyś. I nie była wtedy zmęczona używaniem pamięci, tylko czymś całkiem innym... Rzadko czuła się aż tak wykończona, że nie umiała wyrzec się snu. Znowu zmarszczył brwi, bo przyszło mu do głowy, że być może, w okresie, którego rzekomo nie pamiętała, wydarzyło się to i owo. Wolał nie myśleć, co. Może należało wynieść się wreszcie z gościnnego domu Ogena?

Pokazała mu rękę. Obmacał delikatnie kość po kości. Trochę przeszkadzała opuchlizna.

— Stłukłaś ją? Zwichnęłaś palec? I nadgarstek? Czekaj. Przytrzymaj tutaj drugą ręką... No, malutka, ja sam nie przytrzymam! Zapominasz, że nie mam czym.

Nastawił kość. Ridareta drgnęła, pisnęła jak mysz i uśmiechnęła się blado.

— Połamałam wszystko w drobiazgi — powiedziała zgodnie z prawdą... lecz on wziął to za żart.

— Owiniemy czymś, żeby usztywnić. Wiem, że wszystko na tobie goi się jak na psie — mruknął ironicznie — ale możesz jednak trochę sobie pomóc.

— Pewnie. Owiń — rzekła i zasnęła.

Podtrzymał ją, bo zaczęła spadać z krzesła.

13.

Po pamiętnej rozmowie z Księciem Przedstawicielem jej dostojność Arma nie mogła się pozbierać. Jej dartańska Perła oberwała po uszach.

„Nagadałaś mi głupot” — oznajmiła zimno namiestniczka. „Nie jest taki, jak powiedziałaś”.

Lenea zdumiała się wówczas.

„Nie? A jaki?”.

Gdy odpowiedzi nie było, powtórzyła pytanie.

„Inny. Jest inny. Wynoś się! Przez ciebie wyszłam na idiotkę!” — rzekła namiestniczka, kłamiąc bez żadnego powodu.

Od tamtej chwili minęło parę dni. Arma jeszcze dwa razy spotkała się z Askenezem. Rudowłosa Lenea wiedziała już, że nie wolno źle mówić o księciu. Kłopot w tym, że z namiestniczką trudno było rozmawiać w ogóle o czymkolwiek. A kilka tematów na pewno by się znalazło.

Najpierw wynikła sprawa zabójstwa, i to nie byle jakiego. Zamordowany został wywiadowca Trybunału, wprawdzie zupełny żółtodziób, ale jednak trudno było przejść nad tą śmiercią do porządku dziennego. Rutynowa bez mała, zlecona w oparciu o niejasne podejrzenia i przecucia, obserwacja dwojga ludzi jawiła się naraz w zupełnie nowym świetle. Lecz rozdygotany i przerażony Seimen, który doniósł namiestniczce o śmierci przyjaciela, pomagającego mu od tak niedawna, spotkał się z dziwną obojętnością. Wypytała go o szczegóły. Chłopak załamał się. Próbowwała tłumaczyć sobie, że dla niego jest to sprawa tej akurat miary, co dla kogoś innego strata żony lub narzeczonej. Lecz tym razem nie miała dość cierpliwości; nie miała jej zresztą do niczego.

„Już, wystarczy” — przerwała. „Umiesz mi wytłumaczyć, co twój przyjaciel robił w tej ciemnej ulicy, zamiast obserwować dom, którego obserwację mu powierzono? Nie umiesz, pięknie. Każ sobie przydzielić kilku ludzi i obserwuj dalej tych dwoje. Trudno mi uwierzyć, żeby to oni bawili się w nocnych morderców. Ciekawe, po co? Można zarząnąć zdemaskowanego szpiega, żeby potem zniknąć. Ale zarząnąć i siedzieć dalej w domu, który jest pod obserwacją? Jeśli dowiesz się czegoś nowego, przyjdź. Na razie to wszystko, żegnam”.

Nie wiedziała, że jej chłód i obojętność zasiały w zbolącej duszy młodzieńca najprawdziwszą nienawiść. Wszystkie swoje siły i starania

oddał komuś, kto służących mu ludzi miał za nic. Pracujący dla Trybunału Imperialnego szpieg, zasztyletowany w zaułku przez jakichś nikczemników, nie znaczył nic — pewnie dlatego, że był już całkiem nieprzydatny. Najpotężniejsza instytucja imperium nie zamierzała nawet wdrożyć specjalnego śledztwa. Pies, znalezione w zaułku ścierwo jakiegoś parszywego kundla... Oto, ile znaczyła wiadomość o śmierci zaprzysiężonego przed tygodniem wywiadowcy.

Seimenowi wydano w kasie tygodniowe pobory przyjaciela i parę dodatkowych sztuk srebra na pokrycie kosztów pochówku. Obojętny urzędnik przypomniał o konieczności rozliczenia wszystkich kosztów — i Seimen odszedł z nieruchomą twarzą, przysięgając sobie, że nikomu „stąd” nie pokaże już nawet jednego skrzywienia ust.

Tego samego dnia towarzyszył podpitemu wozakowi, który — spluwając co chwila pod nogi — ciągnął skrzypiący wózek na pobliski cmentarz. Grabarz oklepał mogiłę. Seimen nareszcie został sam i mógł porozmawiać z jedynym człowiekiem na świecie, którego kochał i który swą śmiercią nie poruszył nikogo oprócz niego. Obaj mieli tylko siebie. Jej dostojność Arma, niezbyt zaciekawiona okolicznościami śmierci chłopaka, który dla niej pracował, nadstawiłaby pewnie ucha, posłyszawszy obietnicę, złożoną na cmentarzu przez młodego Seimena...

Ale niczego nie słyszała.

I mało tego — o niczym nie chciała słyszeć. Nie obchodziły jej nawet sprawy daleko poważniejsze niż zabójstwo młodego wywiadowcy.

Piękna Perła Lenea przez kilka kolejnych dni próbowała dociec, co zaszło. Było dla niej zupełnie jasne, że namiestniczka zmieniała się od chwili rozmowy z księciem, wbiła sobie coś do głowy i wbijała dalej, po każdym kolejnym spotkaniu utwierdzając się w powziętym przekonaniu. Co takiego powiedział jej ten śmieszny głupiec? Co wydarzyło się w pałacu? Minęły jeszcze dwa dni, nim Lenea odkryła prawdę. Prawdę... aż niemożliwą.

Był późny ranek, gdy jak zwykle zjawiała się w sypialni swojej pani. Arma spała, a sen miała twardy i rzadko wystarczało dotknięcie jej ramienia. Należało solidnie potrząsnąć. Lenea zrobiła to.

— Wasza dostojność — powiedziała. — Wasza dostojność, proszę!

Złote włosy zakrywały pół poduszki. Arma otworzyła na chwilę oczy, ziewnęła, przeciągnęła się i przetoczyła na bok. Najpierw leżała, milcząc.

— Już. Zaraz wstanę — mruknęła wreszcie. — Pomożesz mi się ubrać, potem zjemy coś razem, później pobiegnę do kancelarii i będę przekładać dokumenty z lewej strony stołu na prawą. Potem z prawej na lewą. Wiesz co? Nie ubędzie ich od tego przekładania.

Znów ziewnęła.

— No. I to jest życie.

Głęboka mądrość zawarta w owym spostrzeżeniu zasługiwała na uwagę. Lenea rozsunęła kotary, wpuszczając do sypialni światło pochmurnego dnia. Padał drobny deszcz. W Londzie zazwyczaj nie było aż tak paskudnie, jak w Ciężkich Górach, ale jednak słoneczna pogoda i tutaj należała do rzadkości.

— Przeczytałaś te pisma, które wczoraj przynieśli, a do których już nie miałam siły? — zapytała Namiestniczka Sędziego.

— Tak, wasza dostojność. Mamy zabezpieczyć... to znaczy, Trybunał powinien zabezpieczyć port. Pojutrze przypłyną statki z Armektu. Jej wysokość księżna małżonka. Z całym dworem.

— Zabezpieczyć port?

— Tak napisano.

— To znaczy, co zrobić?

— Nie wiem, wasza wysokość. Pismo przysłał komendant Legii Grombelardzkiej.

— Żeby zabezpieczyć port?

— Mhm.

— A... żołnierze? Może oni mogliby... nie wiem... zabezpieczyć port. Albo coś.

Lenea pokazała przyniesioną suknię, jakby pytała: „Może być?”.

— Tak. Czeka... Co z tym portem?

— Nie wiem, wasza dostojność.

Arma podparła się na łokciu.

— Bo zaraz ci przyłożę — zagroziła. — Wasza dostojność i wasza dostojność... Co to ma być?

Lenea milczała — tyleż uprzejmie, co wyczekująco.

— No? — ponagliła namiestniczka.

— Co mam powiedzieć? — zapytała Perła.

— Cokolwiek, oprócz „wasza dostojność”. Pytam cię.

— O co?

W głosie niewolnicy brzmiała słabo maskowana złość. Arma spoglądała zaskoczona. W Lenei miała nie tyle służkę, co powiernicę i przyjaciółkę.

— Co cię ugryzło?

— Nic mnie nie ugryzło.

— W takim razie... w takim razie zaraz ja cię ugryzę. Chcę wiedzieć, co to wszystko znaczy!

Namiestniczka odrzuciła okrycie i wstała, trochę płacząc się w prześcieradłach. Perła tkwiła przed nią, niezadowolona, ale wciąż pozornie uprzejma, z suknią w rękach.

— Wasza dostojność — powiedziała — czego ode mnie chcesz? Pytałaś o treść pisma. Przedstawiłam ją.

— Ale to jest głupia treść! — krzyknęła namiestniczka. — Dlaczego mi nie mówisz, że jest głupia?! Napisałaś już odpowiedź temu grubemu idiocie? Żeby sam sobie zabezpieczał port i co tylko chce, nawet wygodkę w koszarach?! Gdzie jest ta odpowiedź? Zaraz ją podpiszę! Co mam zrobić, posłać szpiegów, żeby się dowiedzieli, czy nie ma w porcie kogoś obcego? Jasne, że nie ma. Obcy? W porcie? Może jeszcze przyplłynął jakiś statek, co? Gdzie jak gdzie, ale do portu?..

— Nie napisałam odpowiedzi. Komendant legii sam tego nie wymyślił — chłodno zauważyła Perła. — Dostał rozkaz. Od kogo, wasza dostojność?

Blondynka zmarszczyła brwi.

— No dobrze, dostał rozkaz — rzekła znacznie spokojniej niż przed chwilą. — I co z tego?

— Jeśli chcesz, wasza dostojność, posłać pismo, z którego wynika, że rozkaz jego wysokości Księcia Przedstawiciela jest idiotyczny, to mi je podyktuj. Ja sama niczego podobnego nie napiszę.

— Ale ten rozkaz jest idiotyczny. Tak czy nie?

— Nie wiem, wasza dostojność.

— Ja cię dzisiaj zabiję.

— No to zabij, wasza dostojność. Też mi... phi! Taki już los niewolnicy. Osłupiała Arma gapiła się i gapiła.

— Ale... co w ciebie dzisiaj wstąpiło?

Perła lekko przygryzła usta, wreszcie z westchnieniem odłożyła suknię na stół. Wzruszyła ramionami.

— Od kilku dni, cokolwiek powiem, jest źle. A już zwłaszcza, jeśli powiem coś o księciu. Zresztą, wszystko jest źle... A ty będziesz przekładała dokumenty z lewej strony na prawą i z powrotem, tak? Czego ode mnie chcesz, ARMO? — powiedziała imię takim tonem, że było zupełnie jasne, iż czyni to wyłącznie dla zadowolenia swojej pani. — Boję się. Krzyczysz na mnie bez przerwy, zaniedbujesz wszystkie sprawy i udajesz zdziwienie, że nie piszę do Przedstawiciela, że jest głupi? Jeszcze czego! Przyszło pismo. Dobrze, jak każde inne. I rób z nim, pani, co chcesz.

— A więc o to chodzi.

Perła znowu wzruszyła ramionami. Pytająco wskazała suknię.

— Nie. Przestań, rozmawiamy.

Niewolnica usłudnie zamieniła się w słuch.

— Ale on naprawdę nie jest głupi — niegłośno rzekła namiestniczka, odwracając się i idąc z powrotem do łóżka. Usiadła na brzegu i skubnęła poduszkę. — Oceniłaś go pochoinnie.

— Pochopnie? A chociażby ten list?

— To nie tak, Leneo... Ja z nim rozmawiałam.

— Już trzy razy.

— Liczysz te rozmowy, czy co?

— Do trzech nikt nie musi liczyć, żeby wiedzieć: trzy.

— Nie jest głupi — powtórzyła z uporem namiestniczka, lekko różowiejąc na policzkach. — On... posłuchaj, nigdy mu nie dano szansy, sposobności... Wyobraź sobie, jak to jest, kiedy stale decyduje się za ciebie...

(No, tego akurat niewolnica na pewno nie umiała sobie wyobrazić).

— .. odmawia zaufania, pomija. Zawsze wszystko brała Werena. Oczko w głowie cesarzowej. Jej braci uznano za niezdolnych i koniec.

Zaskoczona Lenea nie wiedziała, co o tym myśleć. Przez pół życia służyła cesarzównie i nie mogło jej się pomieścić w głowie, że ktoś może w ogóle zestawiać jej wysokość Werenę... z takim Askenezem. „Uznano za niezdolnych...”. Czy to miał być żart?

— Wasza dostojność... Armo... Czy ty sobie ze mnie żartujesz?

— Leneo, nie widzisz tego? Obie znamy się na ludziach... co się stało, że niczego nie widzisz? Jak to możliwe? Askenez nie jest głupcem, brakuje mu doświadczenia i wiernych, oddanych ludzi, nic więcej! Zamiast tego ma doradców, którzy nim kierują, wykorzystując jego

pracowitość i... no tak, naiwność. Czy ty masz pojęcie, jaką wybrano mu żonę? A tymczasem jeśli dać mu szansę i pole do działania, podtrzymać go chociaż trochę, to wkrótce będzie kimś, kogo zdolności wszyscy zauważą, i wszędzie, bo nawet w Kirlanie! Potrafi przyznać się do błędu, pytał mnie o radę. Rozmawialiśmy o...

Perła słuchała i słuchała. Nie przerwała nawet jednym słowem, bo przecież namiestniczka miała rację. Obie znały się na ludziach. Budziło zdumienie, jak długo można być głuchym i ślepym. Niewolnica z certyfikatem Perły zawsze powinna słuchać, patrzeć i myśleć. A ona... ona rzeczywiście nie myślała.

Namiestniczka mówiła i mówiła. Niewolnica słuchała i słuchała.

— I co teraz? — zapytała w pewnej chwili, a było to pytanie posłane w kompletną próżnię. Nie pytała przecież namiestniczki.

Ale namiestniczka zamilkła na krótką chwilę.

— Jakże znów: co teraz?

Lenea zebrała się w sobie.

— Zadurzyłaś się, Armo. Wiesz o tym? Beznadziejnie jak piętnastolatka. I tak samo głupio.

Blondynka osłupiała, a potem się zachnęła.

— W kim? W Przedstawicielu?

— Nie, skąd — zaprzeczyła niewolnica. — W żadnym Przedstawicielu. Wasza dostojność zadurzyłaś się w bezradnym i bezbronnym chłopcu, który staje sam przeciw całemu światu, jest wykorzystywany i potrzebuje opieki. To nawet nie jest zakochanie, specjalnie używam słowa „zadurzenie”. Tak się, niestety, zdarza. Zwłaszcza kobietom w naszym wieku — podkreśliła „naszym”, bo choć była trochę młodsza od swej pani, chciała złagodzić sens wypowiedzi. A sens był mniej więcej taki: „Stare baby, Armo, lubią pomatkować młodszym, słabszym od nich mężczyznom. Zwłaszcza gdy są samotne i nie mają własnych pociech. Takim babom knoci się we łbach”.

Patrzyła na namiestniczkę, bo wiedziała, co będzie.

— Oszalałaś. Albo jeszcze gorzej: coś knujesz. Że co? Zadurzenie? W życiu nie słyszałam czegoś równie głupiego. Czy zamierzasz mi to jakoś wytłumaczyć?

Zabrzmiało to naprawdę groźnie.

— Znam tego człowieka raptem od tygodnia — dodała jeszcze

groźniej.

Od tygodnia, no tak, to rzeczywiście tłumaczyło wszystko... Żeby się zadurzyć, trzeba koniecznie siedemnastu, a nawet dwudziestu miesięcy. Perła nie była dziewczyną kupioną wczoraj w hodowli. Miała już swoje lata i liczne doświadczenia. Ale popatrzysz na oburzoną panią, pokręciła tylko głową i uśmiechnęła się lekko, po czym... złożyła broń.

— Może... a może naprawdę oszalałam — rzekła niemal beztrąsko. — Przepraszam cię, Armo. Nie gniewaj się na mnie, ja... przemyślę to, co powiedziałaś o księciu. Może rzeczywiście oceniłam go pochopnie.

Namiestniczka spoglądała z wyraźną nieufnością. Biała flaga, rozwinięta z takim łopotem, wyglądała mocno podejrzanie.

— To po co mi opowiadasz jakieś brednie?

— Przepraszam — powtórzyła niewolnica. — Od kilku dni patrzysz na mnie krzywo. Szukałam powodu i chyba się trochę zapędziłam.

— Też tak mi się wydaje.

Wskazała palcem suknię.

Tego ranka już więcej nie rozmawiały.

W zajmowanych przez Trybunał budynkach trwała poranna krzątanina. Namiestniczka w asyście przybocznego gwardzisty przemierzyła kilka izb, zdawkowo odpowiadając na powitania; urzędników ledwie zauważała, petentów ignorowała jak powietrze. Przed drzwiami jej pokoju, obok drzemiącego gońca, czekał już jakiś urzędnik, w samym zaś pokoju Drugi Namiestnik. Pod oknem pisarz ostrzył pióro. Jej dostojność obrzuciła spojrzeniem zasłany pismami stół (nikt nie śmiał na nim sprzątać, zabroniła tego) i zrobiło się jej niedobrze. Miała tak serdecznie dosyć codziennej nudnej roboty, że naraz zatęskniła do starych czasów i dawnych przyjaciół, którzy gdzieś tam, w Ciężkich Górach, wciąż czekali na jej decyzję. Decyzję, którą podjęła.

Usiadła za stołem i wyczekująco popatrzyła na swojego zastępcę. Poza Leneą, z którą zżyła się już dawno, w ogóle nie miała tutaj przyjaciół. Tylko współpracowników. Z nikim nie była po imieniu, z nikim nie spotykała się poza tymi ścianami. Kiedyś, jeszcze za czasów Wereny, przyjaźniła się z kilkoma osobami z jej otoczenia i w dość zażyłych stosunkach pozostawała z samą księżną. Żywiła też... hm... wielką słabość do swego poprzednika, od którego przejmowała

obowiązki. Zaprzyjaźnili się, naprawdę szczerze. Ale jakże dawno to było!

Drugi Namiestnik mówił coś i mówił. Przestał, bo zauważył, że przełożona w ogóle nie słucha. W końcu dostrzegła jego wymowne milczenie i zdała sobie sprawę, że nie może tak postępować, bo straci autorytet i — co za tym idzie — wpływ na cokolwiek... Ktoś musiał rozstrzygać sprawy Trybunału. Wszystkie ważne decyzje należały do niej, bo tak postanowiła. Ale Trybunał naprawdę mógł się obyć bez jej dostojności Army, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Iluż karierowiczów, przygniecionych dotąd jej twardymi rządami, było gotowych zaryzykować i wyręczyć ją w podejmowaniu decyzji, byle wykazać się, zabłysnąć, zyskać znaczenie i wpływy. Choćby tylko ten tutaj, Drugi Namiestnik. Człowiek naprawdę niegłupi, odważny... i na pewno zmęczony rolą wiecznego doradcy, od którego właściwie nic nie zależało.

— Przepraszam — powiedziała spokojnie, biorąc do ręki pierwsze z brzegu pismo; zerknęła na treść, odłożyła i z powrotem spojrzała na namiestnika. — Mam powody do popadania w zamyślenie, ale teraz już słucham.

— Mówiłem, wasza dostojność, że w grę wchodzi raczej pomówienie niż rzeczywiste nadużycia i malwersacje. Wielu dostawców ubiegało się o ten kontrakt i nic dziwnego, że ktoś teraz próbuje zaszkodzić konkurencji. Ani jawnie przeprowadzona kontrola, ani tajny wywiad nie wykazały nadużyć. Prowiant dostarczany straży morskiej jest... no, przyzwoitej jakości. Mógłby być trochę lepszy, ale nie za tę cenę. Ryba to przede wszystkim beczkowany śledź. Na szlachetniejsze gatunki straży morskiej nie stać. Ale to już nie nasza sprawa.

— Ich intendent nie zgłasza zastrzeżeń do wyników kontroli?

— Wchodził w skład komisji. Nie zgłasza.

— No to weźcie się za tego, kto rzucił pomówienie o korupcję. Nie mamy czasu na zajmowanie się fałszywymi donosami zawistników. Sprawę nagłośnić, bo to już nie pierwszy raz. Wszyscy w Londzie mają się dowiedzieć, że zanim obrzuci się kogoś błotem, trzeba najpierw dwa razy pomyśleć. A potem skrobać to błoto, najlepiej za pomocą trzосу srebra.

— Pytanie, czy nie wystraszymy w ten sposób kogoś, kto będzie miał

dla nas naprawdę coś ważnego.

— Pewnie jest w tym trochę racji — przyznała. — Ale, wasza dostojność, spróbujmy jednak znaleźć złoty środek. Krętacze nie mogą czuć się bezkarni, ale my też nie możemy dusić się pod lawiną donosów bez pokrycia. A zdaje się, że coraz ich więcej, gdy odwrotnie, krętaczy ubywa. Kiedy ostatnio potwierdziły się zarzuty podobne do tych, o których właśnie mówimy?

— Rzeczywiście, dawno — teraz on się zgodził. — Dobrze, wasza dostojność, wydam polecenia.

— Coś jeszcze?

— Tak, pobory, a właściwie nagrody. Mam tu listę urzędników, którym należałoby wyrazić uznanie.

Rzuciła okiem na podaną kartę.

— Na początku umieściłem dwóch, o których już rozmawialiśmy. Ten trzeci — pokazał palcem — też na pewno wart jest dodatkowej sztuki złota. Pozostałych zgłosili ich przełożeni, pozostawiam więc decyzję waszej dostojności.

— Dobrze, to nie jest nic pilnego, zdecyduję w ciągu kilku dni.

Mężczyzna cofnął się i skłonił lekko na znak, że to już wszystko. Pozwoliła mu odejść i zwróciła spojrzenie na urzędnika, który czekał dotąd za drzwiami, a teraz zaglądał ostrożnie do środka, pytając wzrokiem, czy już może wejść. Starszy mężczyzna, którego imienia ani zasług nie umiała sobie przypomnieć. Taki... ktoś, a może nikt.

Otwartą dłońią pokazała miejsce przed sobą. Wszedł.

— Wasza dostojność — zaczął, widząc, że wolno mu mówić — przyszedłem w porozumieniu ze śledczym Dzielnicy Portowej.

Przypomniała sobie. Stał przed nią gończy urzędnik przydzielony na pokład jednego z żaglowców straży morskiej. Rzeczywiście nikt. Człowiek, który przesłuchuje wziętych do niewoli morskich zbójów. Ale Flota Grombelardzka nieczęsto miała do czynienia z piratami... co znaczyło, że ten człowiek nieczęsto pracował.

— Tak? — zapytała bez większego zainteresowania.

— Na redzie portu kotwiczy piracki żaglowiec z Agarów. Oczywiście w rejestrach figuruje jako handlowy statek dartański.

— Z Agarów? — ożywiła się.

— Tak, wasza dostojność.

Arma miała słabe pojęcie o morzu. U namiestniczki siedzącej w portowym mieście na pewno nie była to zaleta. Zdając sobie z tego sprawę, próbowała kiedyś dowiedzieć się czegoś o żegludze, statkach, przewożonych ładunkach... Nic z tego. W całym swoim życiu nie trafiła na nudniejszy temat. Liny nie mogły się nazywać „liny”, to musiały być wanty, sztagi i bom... bram... Bumtarara. Dowiedziawszy się, ile jest rodzajów ożaglowania, dała sobie spokój. Nikt normalny nie mógł tego zapamiętać, a co dopiero rozróżnić.

— Rozpoznałeś ten okręt i rozumiem, że nie masz, panie, co do tego żadnych wątpliwości?

— Właściwie statek, nie okręt, to nieuzbrojona jednostka handlowa — poprawił chyba odruchowo i nigdy się nie dowiedział, jak wielką miała ochotę przyłożyć mu w głupi łeb. — Ale jednak rzeczywiście spełnia funkcję... nie wiem, jak to określić... żaglowca łącznikowego i przeznaczonego do specjalnych zadań. Często pływa na nim dowódca całej floty agarskiej, chociaż oczywiście nie wtedy, gdy dowodzi jakąś piracką eskadrą. Czy mam wątpliwości? Nie, raczej nie, wasza dostojność. Widziałem ten statek kiedyś, dosyć dawno, jeszcze gdy pracowałem dla Trybunału Garry i Wysp. Ale to wyjątkowo udana jednostka, bardzo piękna i szybka karawela. Takiej linii kadłuba się nie zapomina.

— Jesteś, panie, żeglarzem?

Wbrew pozorom, wcale nie było to takie częste. Przydzielani na pokłady okrętów urzędnicy nie musieli znać się na morzu. I rzadko kiedy się znali.

— Byłem za młodu cieślą okrętowym, a potem bosmanem tu i tam.

— Co z tym statkiem?

— Od wczoraj w porcie stoi łódź, wysłana z tej karaweli, jej obsada przesiaduje w niedalekiej knajpie. Myślę, że tam mieszkają. Wygląda, jakby na coś czekali. Nie łażą po mieście, o nic nie wypytują.

— Nie wiesz, czy ktoś z tego statku zszedł na ląd? Oprócz tych marynarzy z łodzi, rzecz jasna.

— Nie wiem.

— Jakie są procedury zatrzymania statku do kontroli?

— Bardzo proste, wasza dostojność. Nawet kapitan mojego żaglowca może, na moje żądanie, skontrolować każdą jednostkę. Ale ten statek na pewno jest legalny. Jeśli spokojnie kotwiczysz na redzie portu, w którym

stoją dwie cesarskie eskadry, to jego dokumenty i cała reszta na pewno są w porządku. Oficjalnie należy do handlowego przedsiębiorstwa z siedzibą w Llapmie. I właściciel tego przedsiębiorstwa na pewno bierze z Agarów dość złota, by potwierdzić, że jest armatorem.

— A może naprawdę tak jest?

— Może tak, wasza dostojność. Jednak ten statek na pewno należał kiedyś do Agarów, a Agary to pirackie księstwo, którego cała siła opiera się na flocie. Nie uważam, by ta flota naprawdę pozbywała się najlepszych żaglowców, sprzedając je kupcom dartańskim. Agary nie są biedne i raczej żaglowce kupują, niż sprzedają.

Z głębokim namysłem spoglądała na szpakowatego mężczyznę.

— Dobrze ci na pokładzie, wasza godność? Jeśli tak, to wracaj na swój statek. Ale jeśli wolałbyś spokojniejszą pracę na lądzie, to wróć tam tylko po swoje rzeczy. Potrzebuję tutaj kogoś, kto zna się na sprawach morskich. Mam śledczego, ale on przede wszystkim sędzi, a potrzebny mi raczej doradca i ktoś do specjalnych zadań. Kogo będę mogła posłać tu albo tam.

— I to ma być spokojniejsza praca, wasza dostojność?

Uśmiechnęła się.

— Tylko tak groźnie brzmi. Odkąd trzymam namiestnictwo Londu, nie zdarzyło się nic, co mogłabym powierzyć komuś takiemu. Ale może kiedyś się zdarzy.

— Jeśli tak, wasza dostojność, to przecież wiadomo, gdzie mnie szukać.

— O ile nie będziesz gdzieś na morzu. Nie wymagam odpowiedzi natychmiast, przemyśl sobie moją propozycję. Pobory gończego na żaglowcu straży morskiej są takie, a nie inne, i nie można podwyższyć ich jednemu tylko urzędnikowi — dorzuciła, przekładając dokumenty przed sobą na znak, że rozmowa skończona. — Ale wysokość poborów specjalnego doradcy do spraw morskich zależy tylko ode mnie.

— O... Dziękuję, wasza dostojność. Rzeczywiście, chyba powinienem dobrze się zastanowić.

— Jeszcze jedno. Na jakim żaglowcu szukać cię, panie? Gdybyś był mi potrzebny, zanim się zastanowisz.

Wymienił nazwę.

— Dziękuję.

Została sama, jeśli nie liczyć tkwiącego przy pulpicie pisarza. Najpierw trochę myślała, potem znowu zaczęła przerzucać pisma przed sobą. Zmarszczyła brwi na widok nierozpieczętowanego listu. Kiedy przyszedł? Z samego rana?

— Ty to przyniosłeś?

Pisarz potwierdził.

— Tak jak codziennie, wasza dostojność, wziąłem z kancelarii głównej wszystkie listy do waszej...

Machnęła ręką, więc zamilkł.

List był od Teweny. Arma złamała pieczęć.

Jestem teraz w Rapie — pisała jej dawna przyjaciółka — i zastanawiam się, czy zaprosisz mnie do siebie? Tylko raz byłam w Londzie, bardzo dawno temu.

„No nie, ptaszku” — powiedziała w myślach namiestniczka — „tylko ciebie mi tutaj brakuje”.

W Ciężkich Górach Kobal i Kragdob, w Londzie zaś stara kłamczucha, każdą intrygę widząca na wylot... Arma wierzyła Tewenie, ale tylko tyle o ile. Nie dałaby sztuki srebra za prawdziwe intencje przyjaciółki, która tak nagle stęskniła się za nią. Hodować sobie szpiega pod bokiem? A kto niby mógł zaręczyć, że nie o to właśnie chodziło?

A jednak tej zaskakującej propozycji Teweny nie dało się zbyć byle czym. Odmowa? Odmowa to było jawne wypowiedzenie wojny Glormowi i Rbitowi. Brzydula właśnie przycisnęła ją do muru. „Więc jak w końcu będzie?” — pytała. I tym razem Arma nie mogła już wymigać się od odpowiedzi. „Nie przyjeżdżaj” znaczyło: „Mam powody obawiać się twojego przyjazdu”.

„Och, ty przewrotna suko” — pomyślała namiestniczka, ale nie było w tej myśli gniewu, raczej spokojna akceptacja. A czego niby mogła się spodziewać? Że będzie zwodzić Tewenę bez końca?

Czytała dalej. A było coraz ciekawiej.

Chyba ich, Armo, nie doceniłyśmy. Rozmawiałam z Glormem i zaskoczył mnie. Miałam go za dużego chłopca, który chce wrócić do czasów dzieciństwa. Ale on tego nie chce. Wie, że to niemożliwe. Jeszcze zanim się rozstaliśmy, powiedział mi mniej więcej coś takiego: „Tewo, kto tu jest naiwny? Przecież to tobie się zdaje, że Grombelard można odbudować tylko w jeden sposób albo wcale. Ale czy ja muszę po

staremu wydzierać komuś okup albo zmuszać jakieś miernoty do płacenia haraczu? Po co, dla złota? Nie brakuje mi złota, Tewo. A skoro nie jadę w Góry po złoto, to znaczy, że mogę wyprawiać tam cokolwiek”. To brzmi groźnie, Armo. W ustach Glorma brzmi to naprawdę groźnie.

Arma uniosła spojrzenie i znowu się zamyśliła, marszcząc szerokie brwi. Po chwili czytała dalej:

Wydawało mi się dotąd, że wobec Twojego „nie” wszelkie ich zamiary są skazane na niepowodzenie. Teraz już tak nie myślę. Przestraszyłam się i piszę Ci o tym otwarciu. Mam dom, dzielnego syna i dwie wspaniałe córki. Nie chciałam brać udziału w przedsięwzięciu skazanym na klęskę, ale tym bardziej nie chcę wdać się w jakąś zbójcecką awanturę. Nie wiem, co zamierzają Glorm i Rbit. Puścić z dymem Lond, dla zabawy? A dlaczegóż by nie, skoro obojętne im haracze i okupy? Jest mi już wszystko jedno, jaką podejmiesz decyzję. Bez względu na to, co postanowisz, ja się wycofuję. Skoro i tak już wyjechałam z domu, to chętnie zobaczę się z Tobą, może po raz ostatni, kto wie, bo nie robimy się coraz młodsze. Z Rapy łatwo o statek do Londu. Ale jeśli myślisz, że wybieram się na przespługi, to napisz mi o tym. Nasze listy pozostaną między nami, pożegnałam się już z Glormem i nie sądzę, bym go jeszcze kiedykolwiek zobaczyła. Nie zamierzam też o niczym mu donosić.

Brzmiało to szczerze. Ale u Teweny wszystko brzmiało szczerze.

Arma nie miała pojęcia, co powinna sądzić o tym liście.

Nic więcej tam nie było. Jeszcze imię człowieka z Rapy, zatrudnionego w kapitanacie portu, do którego miała skierować ewentualną odpowiedź.

Namiestniczka przeczytała list po raz drugi, przyglądając się każdemu słowu. Wszystko, co mówiła bądź pisała Tewena, należało, na wszelki wypadek, uważać za wierutne łgarstwo. Lecz Tewena wiedziała, że przyjaciółka tak właśnie myśli. Musiało być tam jakieś drugie dno. Trzecie i czwarte... Oszustwo na kłamstwie, a kłamstwo na podstępnie, wszystko zaś oparte na półprawdach.

Arma myślała i myślała. Ale już wiedziała, że z listem Teweny nie wygra. Wolno jej było odpowiedzieć tak lub owak, albo nie odpowiedzieć wcale. Każda decyzja mogła być trafna albo nie. Losowała — niczym siedząca w skrzynce morska świnka, wyciągająca pyszczkiem spośród wiórów woskowe gałki oznaczające fanty.

Niepodobna było bawić się w ten sposób. Arma nie przepadała za

wojskowym językiem, ale teraz porównanie nasuwało się samo: była jak dowódca oblężonej twierdzy, której mury zaatakowano z kilku stron jednocześnie. Na jaki odcinek należało rzucić odwody? Na redzie piracki statek z Agarów (przypadek?); w samym mieście trup wywiadowcy śledzącego jakąś dziwną parę (też przypadek?); w górach śmiertelnie niebezpieczny wojownik, który wcale nie zamierzał (o ile wierzyć Tewenie) odbudowywać swych ukrytych wpływów, nie chodziło mu o jakieś podziemne imperium, zamierzał raczej poszaleć, z mieczem w garści, na czele setek zbirów. I towarzyszący mu kot, który dotąd nawet nie dał jej znać, że żyje (dlaczego?), a być może siedział tutaj, na jakiejś ulicy Londu. Z zamiarem przyścia do niej w nocy i wymruczenia: „Armo, przyszedłem po twą przyjaźń, albo po to, by natychmiast ukrócić twoją wrogość. Kim jesteście, przyjaciółmi czy wrogami, powiedz?”.

— Goniec! — zawołała w stronę drzwi.

Mała klapka przy progu odchyliła się na moment, przepuszczając szarego kota. Usiadł przy drzwiach, obojętnie gapiąc się tu i tam. Wymieniła imię człowieka, któremu należało przekazać polecenie. Był to komendant działających na zlecenie Trybunału morderców. Oficjalnie takich oddziałów w ogóle nie było... Kocur, wydawało się, wcale jej nie słuchał, wodząc wzrokiem za muchą pod sufitem. Nie zwracając na to uwagi, podała nazwę okrętu straży morskiej, na którym siedział szpakowaty gończy.

— Ten człowiek wskaże tawernę, w której mieszkają marynarze z pewnego okrętu. Jednego z nich chcę mieć tutaj, żywego. Jeszcze tej nocy.

Kocur poszedł, nie zdradzając, że w ogóle potrafi mówić.

Kontrola podejrzanego statku nie mogła niczego wyjaśnić. Trudno też było zatrzymać, bez żadnych podstaw, marynarza z obsady łodzi. I to marynarza pływającego pod dartańską banderą... Arma wściekła się nagle, pomyślawszy o głupiej dartańskiej sekutnicy, która umyśliła sobie postawić na głowie cały porządek świata. Królowa Dartanu, patrzcie ją! Byle przybłąda stamtąd był teraz nietykalny i nieosiągalny, otoczony opieką własnej monarchini, która jako jedyna miała przywilej wymierzenia mu sprawiedliwości, na prośbę urzędników Wiecznego Cesarstwa, lub scedowania tego przywileju na imperialne sądy. Mogła to uczynić albo nie, Trybunał zaś mógł takiego pocałować... gdzieś. Bezpodstawne zatrzymanie statku należącego do armatora z Dartanu?

Arma wyobraziła sobie jej cesarską wysokość Werene, gdy dowiaduje się o takim, wymarzonym przez Rollaynę, incydencie, spowodowanym przez kogo? — przez jej zaufaną namiestniczkę... Zatrzymanie jakiegoś marynarza? To samo. Trzeba by najpierw spreprować jakieś zarzuty, przedstawić fałszywych świadków. Nie ma mowy.

Ale zniknięcie?... W portowych zaułkach każdemu (ku ubolewaniu namiestniczki Londu) mogła przytrafić się zła przygoda. Nikt nie musiał wiedzieć, że zakłuty nożem przez jakichś szubrawców majtek gościł wcześniej w piwnicach Trybunału.

Przejrzała listę meldunków i donosów. Jeden zwrócił jej uwagę. Codziennie dostarczano taką listę, zawierającą zwięzły, jak najbardziej skrócony opis wszelkich doniesień z dnia poprzedniego. Treść jednego meldunku określono jako „Morderstwo w biały dzień dokonane przez jednooką kobietę”. Przekłęła się w duchu, bo wszystko tego ranka rozłożyła sobie na raty... Nie najlepiej to świadczyło o metodzie pracy.

Dyżurny goniec poszedł wypełnić zadanie, przywołała więc pisarza.

— Dostarcz mi pełny raport o tym wydarzeniu. — Pokazała palcem.

— Tak, wasza dostojność.

— Migiem.

Wkrótce znała szczegóły.

I znów miała o czym rozmyślać.

*

Wieczorem była umówiona na rozmowę z Księciem Przedstawicielem.

Zwały jej się na głowę tak liczne kłopoty, że nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie nadejdzie wieczór. Chciałaby jak najszybciej stawić się w pałacu, załatwić wszystkie sprawy Askeneza i nareszcie mieć czas dla siebie. Czas! W ogóle nie miała czasu, a tu jeszcze ta wieczorna rozmowa!

Mniej więcej od południa dwie zręczne dziewczyny do posług zaplatały jej dziesiątki cieniutkich warkoczyków. Włosy gładko spływały z głowy (o ile było to możliwe przy ich skłonności do zwijania się w pierścionki) i dopiero na wysokości ramion przechodziły w warkoczyki, które z kolei krzyżowały się ze sobą, tworząc rodzaj sieci. Dziewczyny mozolnie przewlekały je przez lakierowane na czerwono, drewniane koraliki. Kędzierzawe włosy namiestniczki, obciążone tymi koralikami, prostowały się i owa sieć z warkoczyków wyglądała nadzwyczaj dobrze,

okrywając ramiona i pół pleców.

Ciepłobrazowa suknia z drobnymi czarnymi dodatkami była chyba trochę za odważna dla kogoś, kto piastował tak wysoki i poważny urząd, ale armektańskie obyczaje nie były w tej materii szczególnie surowe. Piętnowano raczej niepotrzebny zbytek. Lecz ta suknia, choć świetnie uszyta, była wcale skromna. Namiestniczka Arma nie wyglądała na swoje lata, piersi zaś miała dość kształtne i jędrne, by pokazywać w dekolcie ich ciasno zwarte półkule. Także uda i łydki śmiało mogły wyglądać przez rozcięcia w spódnicy; nie miała się czego wstydić. Tym bardziej, że gdy szło o linię nóg, mocno podwyższone z tyłu koturny potrafiły sprawić istne cuda.

Odźwierny zaanonsował jakiegoś urzędnika. Zniecierpliwiła się. Kogo znowu przyniosło do jej prywatnych pokoi?

— Jestem zajęta — powiedziała, nie poruszając głową, bo mogłaby zepsuć pracę dziewczyn przy włosach. — Potem przyjdę do kancelarii.

Odźwierny odszedł, ale zaraz wrócił.

— Jego godność pyta, kiedy wasza dostojność będzie w kancelarii.

— Nie wiem kiedy! — Parsknęła, spoglądając z ukosa, bo wciąż nie mogła poruszyć głową. — Jak przyjdę, to będę.

Sługa wyszedł. Arma spod oka patrzyła w zwierciadło.

— Jakie kolczyki? — zapytała.

— Rubiny w złocie, wasza dostojność — natychmiast odpowiedziała jedna z dziewczyn; widać już o tym myślała.

— Nie za bogato?

— Te małe, wasza dostojność.

— Półkola?

— Tak myślę, wasza dostojność.

Namiestniczka powolutku przekręciła trochę głowę, żeby lepiej zobaczyć płatek ucha i wyobrazić sobie zwisający kolczyk.

— Chyba masz rację — przyznała.

Do pokoju weszła Lenea.

— Gdzie biegasz? Zawsze, gdy jesteś potrzebna, to cię nie ma.

— Wasza dostojność, zleciłaś mi nadzór nad księgą rachunkową. Siedziałam nad tym już wczoraj i przedwczoraj — przypomniała Perła.

— Musiałam porozmawiać z intendentem.

— Dlaczego z intendentem?

— Bo jesteś okradana.

Arma wytrzeszczyła oczy do swego odbicia w lustrze.

— Co ty opowiadasz?

— Że rachunki się nie zgadzają. Zapłaciłaś dwa razy za całe mnóstwo rzeczy. Chociażby za obicia.

— Obicia były złej jakości, wkrótce złapią oszusta, który mi je sprzedał, i...

— Obicia były dobrej jakości, nie zostały wyrzucone, a oszust nigdzie nie uciekł, nazywa się teraz inaczej. I sprzedał ci obicia po raz drugi. Te same.

Arma naprawdę mężnie powstrzymała się przed wstaniem z krzesła.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Skoro powierzyłaś mi nadzór nad swoimi prywatnymi finansami, to wszczęłam własne małe śledztwo. To i owo potrafię, bo choć jestem już stara i brzydka, to jednak kosztowałam bardzo słono nie tylko dla urody. Wszystko, co potrafi Perła Domu, nadal noszę w głowie.

— Ależ jesteś nudna i złośliwa. Jak liczne są te nadużycia?

— Bezczelne oszustwa — poprawiła Perła. — Bardzo liczne. Tak liczne, że przysłałam po nakaz zatrzymania twojego buchaltera, bo intendenta już chyba nie zatrzymasz. Uciekł.

— Uciekł? Dałaś mu uciec?

— Miałam złapać i trzymać? Uciekał bardzo szybko, ja tak prędko nie biegam.

— Wyślij moich gwardzistów po tego drugiego... Sukinsyn! — powiedziała namiestniczka. — Dużo straciłam?

— Jeszcze nie wiem dokładnie. Ale sumy idą w tysiące.

Arma potrafiła rozstać się z pieniędzmi — ale nie tak głupio. Usłyszawszy o tysiącach, zapomniała na chwilę, że jest najbogatszą kobietą w Grombelardzie. Wrzasnęła.

— A! Tysiące?!

— Jakieś osiem, dwanaście tysięcy.

Zrujnowana namiestniczka wrzasnęła raz jeszcze, bo było zupełnie jasne, że w ten sposób nigdy nie uciula nawet ćwierć miliona. Imperium było coraz biedniejsze. Jak miała zarobić na życie?

Zamyśliła się. Po chwili przyszedł jej do głowy pewien pomysł... nawet dwa... Dziurę w finansach dało się załatać. Może potrzebny był

jeszcze jeden donos w sprawie prowiantu straży morskiej...? Pewnie nie miał ochoty na kolejną kontrolę, choćby nawet ta kontrola niczego nie miała wykazać. Na ile mógł szacować swój święty spokój? Ale o tym nie mogła mówić z Leneą. Lenea zbyt dobrze służyła kiedyś Werenie. Było mało prawdopodobne, by niewolnica z certyfikatem Perły doniosła na swoją panią, bo była za to tylko jedna kara i nawet sama cesarzowa nie mogła jej uchylić. Taki precedens zrujnowałby niewolnicze rynki w całym Wiecznym Cesarstwie (kto kupiłby za tysiąc sztuk złota niewolnicę, której wolno na niego donosić?). Pomimo to Arma wiedziała, że przezorność płaca. Werenia raczej nie powinna wiedzieć, jaki jest prawdziwy majątek Pierwszej Namiestniczki Trybunału w Londzie ani skąd się wziął — i nie warto było kusić losu. Rudowłosa Dartanka kontrolowała tylko jej jawne dochody... Niejawnymi zajmowała się sama.

— Bierz gwardzistę i już cię tu nie ma.

Lenea wyszła.

Przez resztę dnia, aż do wieczora, namiestniczka przymierzała kolejne suknie, by upewnić się, czy brązowo-czarna rzeczywiście wygląda najlepiej. W trakcie tego myślała, jak wyrównać ubytek dwunastu tysięcy sztuk złota oraz jakie zarzuty postawić nieuczciwemu finansistcie, żeby mógł powędrować na stryczek. Gdzieś w dokumentach miała niewyjaśnione zabójstwo sprzed dwóch albo trzech tygodni... Ten trup to mógł być wspólnik nieuczciwego buchaltera; wspólnik, który wystawił go do wiatru i został przez kamrata zgładzony. Świadek? Miała go, drobnego oszusta podatkowego, którego nie ukarała, bo mógł się do czegoś przydać... Na przykład właśnie jako świadek zabójstwa.

Idąc do pałacu przedstawiciela, jej dostojność Arma wiedziała już, jak odzyska swoje pieniądze. A przynajmniej jakąś ich część.

14.

Zakłopotany i wyraźnie strapiony Askenez zrazu nie mówił o niczym innym, jak tylko o rychłym przybyciu małżonki. Było zupełnie jasne, że w ogóle do niej nie tęskni. Nie wiadomo, który to już raz Arma pomyślała, że ten biedny, prostoduszny chłopiec został bez reszty wydany na łup sprytniejszych od niego doradców, urzędników i dworaków... Jakie szanse w starciu z przebiegłymi naciągaczami miał ktoś, kto w ogóle nie potrafił skrywać swoich myśli i uczuć? Nieoczekiwanie przypomniała sobie głupstwa opowiadane rano przez Leneę i popadła w rozdrażnienie.

— Wasza wysokość — powiedziała szorstko — twoje problemy małżeńskie nie są moimi problemami. Nawet nie wypada mi słuchać tego, co opowiadasz.

Rozmawiali jak zwykle bez świadków. Arma już po pierwszej rozmowie przekonała się, że Książę Przedstawiciel potrafi powściągnąć dumę i czasem nawet przyznać się do niewiedzy, jeśli nie zgoła bezradności. Lecz tylko w cztery oczy. Na zewnątrz, wobec wszystkich, pragnął uchodzić za żelaznego władcę, bo w ten sposób bronił się przed fałszywymi przyjaciółmi. Obiecała sobie, że już wkrótce uczyni zeń prawdziwego króla Drugiej Prowincji, który wskaże owym „przyjaciółom” właściwe dla nich miejsce. Był pojętny i otwarty na naukę. Na razie pozwalała, by podsunięte przez nią pomysły i sposoby wcielał w życie jako własne. Czynił to i potrafił okazać wdzięczność.

Zamilkł, nieprzyjemnie uderzony jej zgryźliwym tonem. Ale zaraz podjął spacer po komnacie.

— Jesteś, wasza dostojność, jedyną moją ostoją w tym pałacu — wyznał nieoczekiwanie, zatrzymując się przy swym wysokim krześle. — Dałaś mi coś, czego nie oczekiwałem: szczerłość. Prawie zapomniałem, co to jest. Mam dość tych, którzy stale usiłują mi schlebiać, a za plecami śmieją się, gdy zbłądzą. Bo czasem błądzę. Ale któż nie błądzi? Cechą prawdziwego władcy jest zmienić zdanie i przyznać się do pomyłki, gdy zachodzi taka potrzeba.

Były to jej własne słowa, wypowiedziane przed kilkoma dniami. Lekko poróżnowiała na policzkach i skinęła głową. Przespacerowała się do okna i z powrotem.

— Czy moje polecenie dotyczące zabezpieczenia portu zostało

wykonane? — zapytał. — Poleciałem komendantom straży morskiej i legii, by uzgodnili współdziałanie z Trybunałem. Zostało to wykonane?

Uczyniła drobny gest o niejasnym znaczeniu.

— Zostanie, wasza wysokość. Wydałam odpowiednie rozkazy — skłamała — a reszta należy do wojska.

Nie krył zadowolenia.

— Ale dzisiaj to ty masz do mnie jakąś sprawę, pani — przypomniał po chwili milczenia. — Słucham. Na pewno zechcę ci pomóc.

Uśmiechnęła się i lekko przekrzywiła głowę.

— Oj, wasza wysokość... Z takimi zapewnieniami nigdy nie należy się śpieszyć. A jeśli mam nie sprawę, a prośbę? I jeśli jest to prośba niemożliwa do spełnienia?

— Znam cię już na tyle, że jestem spokojny — rzekł porywczo. — Ufam ci, pani.

Rozbroił ją i niemal rozczulił.

— Niemądre książątko... — szepnęła niesłyszalnie, ale dostrzegł jej spojrzenie i poruszenie ust. Pytająco uniósł brwi. — Będę potrzebowała bardzo specjalnego oddziału, wasza wysokość — powiedziała już głośno. — Tajnych żołnierzy, bez mundurowych tunik i wojskowego rynsztunku.

— Po co? A przede wszystkim nie chce mi się wierzyć, żeby Trybunał nie miał nikogo takiego.

— Kiedy nie ma. Gdybym musiała zlecić, na przykład, usunięcie kogoś, kogo inaczej pozbyć się nie można, to tak. Myślę, że znalazłabym jakiegoś szubrawca, gotowego podjąć się zadania za pieniądze. — W rzeczywistości czterech takich szubrawców czekało na każde jej skinienie, dopiero co wysłała do nich gońca ze zleceniem. — Ale chodzi o coś innego, wasza wysokość. Potrzebny mi oddział z prawdziwego zdarzenia, który można by posłać gdziekolwiek. Na przykład w Ciężkie Góry. Zwyczajny wojskowy oddział przepadnie tam natychmiast, ale grupa doświadczonych żołnierzy, przebranych za rozbójników, mądrze dowodzonych, to już coś innego. Przez jakiś czas mogą działać.

— Taki oddział łatwo chyba wystawić, ale ciągle nie wiem, o co właściwie prosisz. Po co mają tam iść? Zdaje się, że w Ciężkich Górach nie ma już nic, co mogłoby nas zajmować?

Podeszła trochę bliżej. Pachniała wanilią.

— Ten oddział musi działać zarówno w porozumieniu z Trybunałem,

jak i wojskiem. Musi w nim być ktoś, kogo w razie czego rozpoznają żołnierze, i ktoś, z kim będą mogli porozumieć się moi wywiadowcy w Górach.

— Trybunał wciąż ma w Górach wywiadowców?

Znowu się uśmiechnęła. Ale nie powiedziała, jak wielu łapserdaków żyje sobie wygodnie na koszt Wiecznego Cesarstwa. Inna sprawa, że połowa tych ludzi najprawdopodobniej nie miała żadnej wartości. Pieniądze brali chętnie, dopóki niewiele od nich żądano. Ale na pewno byli gotowi zdradzić z lada jakiego powodu.

— Kogoś tam ma... — przyznała leniwie. — Ale nie ma zbrojnych oddziałów.

— Jak miałyby wyglądać ten oddział? I komu miałyby podlegać?

— Dowódcy legii i namiestniczce Trybunału. Proponuję pełną współpracę. To troszkę... niezgodne z intencjami Kirlanu — przyznała. — Taki oddział wygląda trochę na orężne ramię Trybunału, skoro będzie wykonywać zadania zlecone przez namiestniczkę... A wszystko przecież jest urządzone tak, by Trybunał i wojsko stale rywalizowały i były od siebie zależne.

— Dlaczego tak?

Teraz miała tłumaczyć rzeczy oczywiste. Komu? Władcy prowincji. Cesarskiemu przedstawicielowi, który reprezentował tu Kirlan. Miała mu tłumaczyć, czego chce stolica.

Westchnęła i wytłumaczyła.

— Ale teraz, gdy nie mamy żadnej kontroli nad Górami — kończyła — taki oddział jest niezbędny. Doszły mnie słuchy, że w porzuconych górskich miastach coś się zaczyna dziać.

— A co takiego?

Przedstawiciel nie przejawiał większego zainteresowania porzuconymi górskimi miastami. Nawet on miał pojęcie, że bez wystawienia silnej i sprawnej armii nie ma mowy o przywróceniu tam kontroli. Na razie obchodził go tylko Lond.

— Nie wiem dokładnie i właśnie chcę to sprawdzić, wasza wysokość. Tworzące się w Ciężkich Górach bandy schodzą czasem do Niskiego Grombelardu i atakują pogranicza Armektu i Dartanu. Ale równie dobrze mogą zejść do Londu.

— Chyba żartujesz, pani? Lond to stolica prowincji, a także okręgu

wojskowego. Jaka banda zapaści się do miasta z tak silnym garnizonem?

— Rzeczywiście, mamy silne placówki na przedmieściach, a rozbójnicy nie kwapią się do otwartych bitew z legionistami — przyznała. — Wszystko jednak może się zmienić. Trzeba wiedzieć, o czym wiatr szumi w górach — użyła starego grombelardzkiego powiedzonka.

Zastanowił się.

— To chyba nie jest zbyt kosztowne przedsięwzięcie... Ilu ludzi miałby liczyć ten oddział?

— Kilkunastu, najwyżej dwudziestu.

— I co oni mogą wskórać?

— To zależy. Mogą chociażby zgładzić herszta, który zacznie skupiać wokół siebie zbyt wielu pomniejszych dowódców.

— Przecież przyplacą to życiem.

— No i dobrze. A niby za co biorą pieniądze?

— Wasza dostojność, jesteście...

Urwał.

— Zimną grombelardzką żmiją, księżę — dokończyła obojętnie. — A niby za co biorę pieniądze?

Po namyśle uśmiechnął się. Z sakiewki przy pasie wyjął małą pieczęć.

— Kancelaryjna chyba nie będzie potrzebna?... Podyktuj mi pismo, pani.

Usiadł przy stole. Stała mu za plecami, zaglądając przez ramię, gdy pisał.

—”Polecam... niezwłocznie powołać specjalny oddział wojskowy... podlegający komendantowi Legii Grombelardzkiej... i Pierwszej Namiestniczce Trybunału Imperialnego w Londzie”.

— To wszystko?

— Tak. Szczegóły uzgodnię z komendantem. Nie będzie żadnych problemów, zawsze dobrze nam się współpracowało.

— Cieszy mnie to. Oczywiście życzę sobie być powiadomiony o każdym przedsięwzięciu, w którym ten oddział weźmie udział.

— Nie użyję go do niczego bez porozumienia z tobą, wasza wysokość. Posypał pismo piaskiem, strząsnął. Wstał od stołu.

— Tu jest twoje pismo, pani. Ale... coś za coś — powiedział jakby trochę niepewnie i odniosła wrażenie, że miał ochotę rozejrzeć się

dokoła. — Mówisz więc, że port jest bezpieczny i mogą tam zawinąć statki z Armektu?

— Tak... — już prawie zapomniała o tej niebotycznej bzdurze.

— Więc pojutrze będzie tu księżna, moja żona. Ja wiem, wasza dostojność, że nic cię to nie obchodzi...

Ciągle nie wiedziała, czego od niej chce.

— Nikt się nie dowie, to tylko...

Krążąc wokół, zbliżył się nagle i nim zdążyła zareagować, od tyłu pocałował ją w odsłonięte ramię, w miejscu gdzie graniczyło z szyją. Krzyknęła oburzona, odwróciła się ku niemu i cofnęła dwa kroki. Poczerwieniały na twarzy Askenez odskoczył w drugą stronę.

— Dziękuję, pani — powiedział prędko. — To tylko podziękowanie, chciałem podziękować ci, że...

Rozgniewana, patrzyła wyczekująco.

— Że jesteś — dokończył. — Za zaufanie... To twoje pismo, wasza dostojność — ciągnął nerwowo, wyciągając przed siebie rękę. — Weź je, proszę.

Namiestniczka, wciąż oszołomiona i zażenowana, jednocześnie z najwyższym trudem kryła rozbawienie, a zarazem czuła napływ głębokiej tkliwości dla tego nieśmiałego i niezręcznego, a nawet wręcz niezdarnego mężczyzny, który pod maską despoty krył oblicze chłopca, gotowego ukraść kobiecie całusa i uciec. Mógłby pewnie podglądać przez szparkę kąpiącą się kuzynkę albo siostrę. Czy, przed laty, rzeczywiście podglądał?... Nieoczekiwanie Armie przypomniał się Raner, młodszy brat, którego straciła. Srogi wojownik, także będący w dużej mierze chłopcem. Ale to było smutne wspomnienie.

Askenez wciąż zasłaniał się trzymanym w ręku pismem. Przygryzła lekko wargę.

— Wasza wysokość — powiedziała — wezmę to pismo i lepiej, żeby naprawdę nikt się nie dowiedział o tym, co tu zaszło... Dla mnie to niezręczne, a dla ciebie nawet gorzej. Kompromitujące.

Przytaknął, ale chyba zupełnie bezmyślnie. Odetchnął, gdy się uśmiechnęła.

— No, no, wasza wysokość... — rzuciła jeszcze. — Przyznam... Nie, niczego nie przyznam. Chyba powinnam już iść.

Ruszyła ku drzwiom.

— Wasza dostojność, czy jutro...? — zapytał pośpiesznie.

Nie zatrzymała się i nie odwróciła, ale wyczuł w jej głosie lekki uśmiech:

— Przyjdę zdać sprawę z uzgodnień, jakie poczynię z komendantem. To rzekłszy, zniknęła za drzwiami.

Przedstawiciel patrzył na ich skrzydła i patrzył, jakby oczekiwał, że otworzą się znowu. Gdy to nie nastąpiło, westchnął głęboko, wrócił do stołu i drewnianą pałeczką uderzył w srebrny gong. Wysoki dźwięk na długo zawisł w powietrzu. Nim przebrzmiał, do komnaty wkroczył, korzystając z bocznych drzwi, wysoki i dobrze zbudowany sługa. Nie patrząc nań, książę kazał wezwać jednego ze swych doradców. Przetarł twarz dłońmi i siedział, nic nie robiąc. Nie trwało to długo. Na widok wchodzącego do komnaty mężczyzny, który przede wszystkim był jego kuzynem i przyjacielem, doradcą zaś dopiero w drugim rzędzie, Askenez machnął ręką i bez słowa pokazał krzesło.

— Mieliśmy rację — powiedział. — Ona ma mnie za dziecko. I miałem dobry pomysł z tym portem. Port jest bezpieczny, co ty na to?

Pomysł z portem nie był pomysłem księcia. Przywłaszczył go sobie, jak wszystko. Ale doradca nie zareagował.

— Potraktowała to poważnie?

— Nie o to chodzi, jak potraktowała, tylko o to, że nie powiedziała ani słowa. Udawała, że wszystko jest w porządku. Myślisz, że naprawdę wydała jakieś rozkazy? Jakie? Śledzenia podejrzanych ludzi na przystani?

— Oczywiście, że nie.

— Kazałem jej wystawić oddział do użycia w górach. Podobno coś się tam dzieje.

— Tak mówią, krążą jakieś stare legendy. I co ona na to? Na ten oddział?

Z oddziałem na pewno było tak, jak z portem... Rozmawiający z Askenezem mężczyzna nie był głupcem, a co więcej, wybornie znał swego księcia-kuzyna. Mógłby przyjąć zakład, że za sformowaniem tego oddziału stała namiestniczka, a Przedstawiciel tylko przyjął jej pomysł i swą zgodę ogłosił aż „rozkazem”. Jego wysokość był dość sprawnym, ale małym intrygantem, potrafił dobrze odgrywać różne rólki, kobiety zaś żywiły do niego dziwną słabość, co nauczył się wykorzystywać. Poza tym jednak niewiele miał talentów. A już na pewno nie mógł wpaść na coś

takiego, jak powołanie oddziału o szczególnym przeznaczeniu. Nawet nie wiedział, czy tak wolno.

— Zgodziła się, co miała do gadania? A zresztą... Pamiętaj, kuzynie, że rozkazy wydaje się mężczyznom. — Uniósł palec i pokiwał głową. — Może jeszcze młodym i pięknym kobietom. Ale te wszystkie przekwitłe róże... o ile w ogóle nimi były... chcą z powrotem mieć dzieci, więc nie warto nimi rządzić, bo lepiej się oddać pod opiekę. Już mi się trochę znudziło — przyznał nieoczekiwanie. — Gdy miałem lat szesnaście, czy nawet dwadzieścia, to było co innego. Ale teraz już mi się przejadły te wszystkie ciotki-kochanki. Ile razy można czerwienić się na zamówienie i udawać prawiczka? A ta tutaj, na dodatek nie dość, że stara, to brzydka.

Coś mu się nagle przypomniało.

— Czekaj... Twoja piękna kuzynka, a moja małżonka będzie tutaj pojutrze, czy tak? Każ przenieść jej sypialnię piętro wyżej i wytłumacz krótko, o co chodzi. Przez pierwszych parę dni będę ostentacyjnie jej unikał i niech ona robi tak samo, wszyscy tutaj powinni zobaczyć, że nawet przez chwilę nie jesteśmy ze sobą sam na sam. Będziemy się spotykać tylko przy posiłkach. Za to ty stale będziesz towarzyszył jej wysokości. Ale bez przesady — ostrzegł, znowu unosząc palec. — Czasem mam wrażenie, że kuzynka nazbyt ci się podoba.

— Jej wysokość każdemu się podoba — odparł doradca, trochę jednak zmieszany; Przedstawiciel rzadko, ale czasem jednak trafiał w sedno. — Zdaje się, że coś wymyśliłeś? Powiesz mi?

— Nie, niczego nowego nie wymyśliłem — zaprzeczył Askenez. — Chcę tylko przyśpieszyć bieg spraw. Jeśli wszystko się dobrze ułoży, to wystarczy parę dni i cały Lond będzie wiedział, że Namiestniczka Sędziego Trybunału, która powinna patrzeć na ręce Przedstawicielowi, wygniata mu prześcieradła. Przyciśnięty do muru, przyznam się, a skoro żona mi wybaczy, to nie będzie wielkiego skandalu. Jak myślisz, kogo odwoła Kirlan? No właśnie. Wszystko jedno, kto przyjdzie na jej miejsce, będzie miał przynajmniej tę zaletę, że nikogo tu nie zna i nic o niczym nie wie. Zaraz sobie poradzę z kimś takim.

15.

Nieobecny duchem Tamenath błędził po labiryntach liczb, symboli i wzorów. Żywił się matematyką, a wypróżniał jakąś poknoconą filozofią. Ridareta, znająca olbrzyma od lat, wiedziała o nim jednak sporo więcej, niż przypuszczała. Czasem myślała o tym, co mówił. Jak ostatnio, gdy przyznał się przed nią i Ogenem do nieudanego życia. Był to ktoś, kto roztrwoniał sto kilkanaście lat: ni to awanturnik, ni żołnierz, ni badacz Szerni... Chciał być wszystkim, był nikim, niczego nie osiągnął. Ojciec bez syna; przyjaciel bez kompanów... Dobroduszny lecz zgorzkniały stary kaleka, kryjący tę gorycz przed światem. I oto teraz, może na samym progu śmierci, pokazano mu coś, co zadziwić mogło każdego, co uczynić mogło jego imię nieśmiertelnym. Nie był to jakiś zagubiony w Ciężkich Górach mit pogrzebanego żywcem Strażnika, namiastka celu i sensu życia. Ridareta świetnie rozumiała, że gotów jest posilać się cyframi.

— Zostaw to, ojczy — powiedziała wcale ciepło, jak na nią, stając w drzwiach izdebki, za plecami ślęczącego przy stole mędrca. — Musimy porozmawiać.

— Za chwilę.

— Nie, teraz. Przespałam półtorej doby i dopiero przed chwilą się dowiedziałam, że dzisiaj to nie jest „dzisiaj”, tylko „jutro”, a moje „dzisiaj” to było wczoraj. — Po mistrzowsku umiała zagmatwać sprawę, ale i tak nie słuchał. — Zostaw to, powiedziałam, albo...

— Za chwilę — powtórzył z naciskiem.

— Za chwilę, to będziesz mnie szukał gdzieś na mieście albo w górach, albo na morzu. Właśnie wychodzę.

Zmusiła go, by się obejrzał.

— Dokąd?

— Możesz o tym ze mną porozmawiać albo siedzieć tu dalej. Muszę wziąć jeszcze parę rzeczy. — Pokazała kciukiem gdzieś za siebie, ale chodziło jej chyba o pokój, w którym mieszkała.

— Zaczekaj, zaraz idę.

Nie czekała, wyszła.

Wkroczył do pokoju zaraz za nią.

— Co znowu wyprawiasz? — zapytał surowo. — Dokąd się wybierasz?

— No, chyba do domu. Co tu jeszcze mamy do roboty? Weź te swoje zapiski i chodź ze mną, będziesz sobie liczył na pokładzie statku, a potem na Agarach. Chcesz dalej szukać swojego Strażnika Praw Całości?

— Jeszcze nie wiem.

— Nie chcesz i nie będziesz go szukał — zdecydowała.

— Dlatego, pięknotko, że tak powiedziałaś?

— Nie. Dlatego że masz robotę. — Pokazała palcem w stronę izby, gdzie na stole pozostały dziesiątki pogryzmoonych kart. — Dużo roboty i bardzo mało czasu. Nie wiadomo, jak mało, ale na pewno za mało. Jeśli chcesz osiągnąć w życiu cokolwiek, to musisz popracować jeszcze trochę nad tymi wzorami, które ci napisałam. Tak przynajmniej mówiłeś: że chcesz coś osiągnąć i musisz popracować. Zamiast tego będziesz latał po górach i szukał jakichś bajek?

Trudno było z tym dyskutować.

— Nie możemy posiedzieć jeszcze trochę tutaj?

— Nie możemy. Chcesz, to sobie siedź. Ale mnie już boli moja piękna pupa, której dawno nikt nie poklepał. A z Ogena chyba żaden klepacz. Chociaż, jeszcze dzień albo dwa i zostanę klepadłem Ogena.

Plotła trzy po trzy. Zniecierpliwił się.

— Po co mi to było? Gdybym cię nie zabrał...

— .. tobyś nic nie wiedział o żadnych dziwnych wzorach — ucięła i z tym także trudno było dyskutować. — Ile czasu potrzebujesz, żeby się spakować? Mogę na ciebie poczekać do rana, ale rano wsiadamy na statek.

— Statek dokąd?

— Przypadkiem jeden płynie na Agary. Akurat jutro.

— Skąd to wiesz?

— Wiem.

Patrzył i patrzył.

— Za to ja wiem coraz mniej... Chciałaś porozmawiać, no to rozmawiajmy. Jeszcze raz zapytam o twoją niedawną wyprawę. I powody tego nagłego pośpiechu.

— Przypominam sobie coraz więcej, ale mam przecucie, że wszystko przypomnę sobie dopiero na pokładzie statku. Tego, który płynie na Agary.

— Wasza wysokość — powiedział. — Chcesz? Ja cię zaraz poklepię.

Ale tak, że nie usiądziesz do jutra. Dlaczego mamy rzucić wszystko i uciekać? Co to za statek? Chcę wiedzieć.

— Mamy rzucić wszystko, bo parę dni temu zarznięłam w zaułku szpicla! — odparła gniewnie. — Wczoraj w porcie urwałam łeb jakiemuś nie wiem komu, wcale go nie znałam, ale łeb odpadł i niewiele z niego zostało. W porcie czeka na nas Raladan na „Seili”. Wiesz wszystko, mędrcze? No to się pakuj.

Nie uwierzył w ani jedno słowo.

— Dziękuję za wyjaśnienia. Jeśli uznasz, że jednak chcesz mi coś powiedzieć, to jestem u siebie.

— Spakujesz się?

— Tak. O ile rzeczywiście w porcie stoi statek gotowy do podróży na Agary.

— Stoi — zapewniła.

— Wracam do siebie. I już mi dziś nie przeszkadzaj.

— Jest wieczór. Żadnej matematyki, spakuj się i idź spać.

Westchnął.

— Dobrze. Ty też. I nie biegaj nago przy Ogenie.

— Nie biegam nago, a Ogen jeszcze nie wrócił.

— Ale wróci i przylezie do ciebie, tak jak wczoraj.

— Nie widział mnie parę dni... — Zaśmiała się; gospodarz rzeczywiście lubił leniwe wieczorne pogwarki. — Naprawdę zaglądał do mnie wczoraj? Nie wiedziałam.

Zrzędując, Tamenath poszedł do siebie.

Niedługo potem wrócił do domu Ogen. I rzeczywiście, ledwie wszedł, skierował swe kroki do izb, których udzielał gościom.

Był zasępiony i poważny jak nigdy.

— Wasza godność — powiedział bez wstępów — zanim porozmawiam z jego godnością Tamenathem, mam dwa słowa do ciebie, nieprawdaż. Krótko mówiąc, słyszałem dziś najbardziej nieprawdopodobne historie, opowiada je całe miasto... Czy domyślasz się, o czym mowa?

Zaprzeczyła.

— Naprawdę o niczym nie wiesz, wasza godność? Bo powiem... powiem, że jego godność Tamenath bardzo łatwo pogodził się z twoją niepamięcią. A ja chyba rozumiem, nieprawdaż, skąd się bierze ta

niepamięć.

Zamknął drzwi, po czym usiadł, swoim zwyczajem, na łóżku. Splótł dłonie. Milczała wyczekująco, siedząc na krześle przy swoim małym stoliku, na którym wciąż stało zamglone zwierciadełko.

— Rzekomo, kobieta bardzo dokładnie odpowiadająca... bardzo do ciebie podobna, wasza godność, dokonała wczoraj okropnego zabójstwa na oczach mnóstwa mieszkańców Londu. Jest ich tylu, że ta podobna do ciebie kobieta, nieprawdaż, już może uważać się za powieszoną, jeśli wpadnie w ręce Trybunału. Rozpoznanie jej przez świadków będzie formalnością.

— Nie mam z tym nic wspólnego.

— Jakże chciałbym ci wierzyć, wasza godność.

— Ale nie wierzysz — skwitowała.

— Nieprawdaż... nie. Nie wierzę. Choć historia, którą się opowiada, zakrawa na jakąś ponurą bujdzę. Czy nosisz ze sobą jakiś Porzucony Przedmiot, wasza godność? To bardzo niebezpieczne — ostrzegł. — Nie wiem wprawdzie, co trzeba nosić, żeby roztrzaskać komuś głowę... przychodzi mi na myśl Bicz, ale w całej historii Szereru słyszano o jednym tylko Biczu, który przepadł razem z Brulem-Przyjętym. Ale Czarny Kamień, Srebrne Pióro, Obłok? Zresztą wszystko jedno, co nosisz, to na pewno jest Geerkoto, a więc Ciemny Przedmiot, aktywny. Z tymi Przedmiotami nigdy nic nie wiadomo, bywają wśród nich takie, które mogą zrobić krzywdę, nieprawdaż, temu, kto je posiada.

— O co mnie właściwie wypytujesz, Ogenie? I co to za wiedza, którą mnie właśnie uraczyłeś? Służyłeś Przyjętemu i wyobrażasz sobie, że wiesz coś o Porzuconych Przedmiotach?

Nie dał się zbić z tropu.

— Nie do końca rozumiem ich naturę, nieprawdaż, ani tym bardziej nie wiem, jak za ich pomocą można wyprowadzać równania dla Pasm. Ale widziałem w życiu bardzo wiele Porzuconych Przedmiotów i wiem, do czego mogą posłużyć. Pójdę teraz pomówić z jego godnością Tamenathem — rzekł, wstając.

Dopiero co opowiedziała starcowi, że urwała łeb nieznanemu... Wziął to za sarkazm. Ciekawa była, co powie, gdy usłyszy rewelacje gospodarza?

— Ogenie — powiedziała — jutro rano już nas tu nie będzie. Przed

chwilą rozmawiałam z Tamenathem, ma spakować się jeszcze tej nocy. A wszystkie moje rzeczy... o, leżą tutaj. — Pokazała palcem. — Trzeba je tylko włożyć do podróznego worka Tamenatha. Gdybym mogła, opuściłabym twój dom już teraz. Ale mój mądry i szacowny towarzysz... nie wiem, jak zareaguje, gdy powiem, że pali nam się ziemia pod nogami.

Przyglądał się jej w milczeniu. Lekko przekrzywiła głowę, patrząc trochę pytająco, a trochę wyzywająco. „A nawet jeśli?...” — zdawała się pytać. „To co, wyrzucisz mnie siłą? Już w tej chwili?”.

— Może... nie trzeba zawracać mu głowy — dodała, czyniąc gest w stronę pokoju Przyjętego. — Wyniesiemy się wczesnym rankiem, obiecuję. O świcie. W porcie czeka statek, który odpływa rano. Nie w samym porcie, tylko na redzie. Jeśli teraz, w nocy, narobię rabanu, budząc załogę łodzi i spróbuję wypłynąć bez uiszczenia opłaty postojowej, to zwrócę na siebie uwagę nocnych patroli na nabrzeżu. O świcie to co innego. Port bardzo wcześnie się budzi.

Usiadł z powrotem.

— Nic mu nie mówić? — pół zapytał, pół stwierdził. — Więc to wszystko prawda?

— Prawda, nieprawda... Zacząłeś o Przedmiotach. I co z nimi?

Zrozumiał, że kobieta chce zmienić temat. Patrząc na jej niezwykłą twarz, zarazem zmysłową i mroczną, doskonałą i okaleczoną, próbował poskromić odruch ciekawości. Kim naprawdę była?... W co właściwie został zamieszany, jaka klątwa dotknęła go za sprawą znajomości z mędrkami Szerni? Nie po raz pierwszy w życiu skonstatował, że przeszłości nie da się zamknąć. W żaden sposób. Zawsze w końcu znajdzie się ktoś, kto kiedyś... gdzieś... I przeszłość trafi do teraźniejszości.

— Przedmioty, nieprawdaż — rzekł z westchnieniem. — No dobrze, pani, powiedzmy, że porozmawiam z jego godnością Tamenathem jutro przy śniadaniu.

— Wtedy już nas nie będzie.

— Ale ja, nieprawdaż, chyba nie wstanę wcześniej.

Zrozumiała, co miał na myśli i skinęła głową.

— Jeśli jutro rano odpływacie, to dobrze. Chociaż, prawdę mówiąc, sam nie wiem, czy macie czas do jutra. Powiedziałaś, że pali wam się ziemia pod nogami. Może naprawdę się pali.

— Ktoś nas znowu śledzi?

— Nie zauważyłem. Może wtedy... no tak, pomyliłem się chyba, uważając, że ktoś was obserwuje — przyznał.

Milczała i milczała. A Ogen nie był głupi.

— O nie, do pioruna... — rzekł ponuro, gdy milczenie stało się tak wymowne, że już nie mógł mieć wątpliwości. — Więc się nie pomyliłem? I wyszłaś, wtedy, z powodu tego...?

Syknęła cichutko przez zęby i znów lekko przekrzywiła głowę. Zamilkł. Westchnął ciężko.

— Jak ja się z tego wygrzebię? Podpowiedz mi coś, pani. Nie jestem przyjacielem twoim, ani nawet jego godności Tamenatha, ale dobrze wam życzę. Tyle tylko, że rozum podpowiada mi, nieprawdaż... podpowiada, żeby co sił w nogach pędzić po patrol wojskowy z doniesieniem, że u mnie mieszkacie. Jutro odpłyniecie, a ja? Ja zostanę.

— Czy możliwe, żeby dalej ktoś nas obserwował?

— Pewnie, że możliwe, a co gorsza, jeśli tej obserwacji nie widać, to znaczy, że tym razem nie zatrudniono do tej pracy złotodziobów. Ale nie o to nawet chodzi, nieprawdaż. Wszystko jedno, czy ktoś was obserwuje, bo prawda i tak wkrótce wyjdzie na jaw. Prędzej czy później ktoś doniesie, że widział u mnie jednooką kobietę, taką, o której wszyscy opowiadają.

— Aż tak rzucamy się w oczy?

— Tutaj, u mnie? No... nie. — Postukał palcem w zęby. — Jego godność bardziej, ale ty pani wychodziłaś z mojego domu...

— Tylko dwa razy — dokończyła. — Dwa razy przez... ile? Dziesięć dni? Raz wyprawiłam się na miasto z Tamenathem, ale wtedy jeszcze nic się nie działo. Od tamtego czasu wyszłam tylko raz, tuż przed świtem. Wczoraj wróciłam. Jutro rano wyjdę po raz ostatni, również przed świtem.

— Jednak, jeśli ktoś ten dom obserwuje... Jeśli Trybunał ma go na oku, to wiedzą, że tu jesteś.

Myślała i myślała.

— Jeszcze tej nocy wymkniesz się z donosem — powiedziała wreszcie. — Ja w tym czasie obudzę Tamenatha i gdy wrócisz z żołnierzami, urzędnikami, albo kimkolwiek, nas już nie będzie.

— Będą was śledzić.

— Do portu. Na morzu już chyba nie?

— Powiniennem posłać pachołka choćby teraz. Jak wytłumaczę zwłokę?

— Coś wymyślisz. Albo nie, zrobimy jeszcze inaczej. Tamenath da ci w nos, nie za mocno, ale tak, żeby było widać. Kiedy „ockniesz się”, pošlesz pachołka po żołnierzy. Z bajką, że chciałeś zrobić to wcześniej, ale goście, których w dobrej wierze przyjąłeś pod swój dach, okazali się szubrawcami... Może być?

Teraz on myślał.

— Właściwie, nieprawdaż... Trudno, nieprawdaż, zarzucić mi coś więcej niż łatwowierność i chciwość, nieprawdaż... Bardzo dobrze płaciliście za noclegi, byłem łasy na pieniądze... Wyłgam się. Dobrze, pani — rzekł z nielekkim sercem. — W co ja się wpakowałem?

— Wynagrodzę ci to, Ogenie. Jesteś zamożny, ale wkrótce będziesz naprawdę bogaty. Jeśli tylko zechcesz.

— W jaki sposób? — Ogen, koniec końców, był kupcem i słowa o wzroście zamożności nie były mu obojętne.

— Prowadzisz przedsiębiorstwo kupieckie, które może spodziewać się licznych, dobrze płatnych zamówień. Jest mi wszystko jedno, u kogo kupuję. Skorzystam więc z okazji, żeby się komuś odwdziaczyć. A przy okazji mieć pewność, że zamówione towary będą dobrej jakości.

— Prowadzisz interesy, wasza godność? Nie wiedziałem. Ale... czy legalne? — zapytał z wahaniem, nie chcąc jej obrazić.

— Dartańskie statki będą legalne, rachunki i zamówienia też, a najbardziej legalne będzie złoto. Gdy dostaniesz ofertę, sprawdzisz ją i zdecydujesz, czy chcesz skorzystać — poradziła. — Nie obrażę się, jeśli odmówisz.

— Kim jesteś, wasza godność? Ja... nieprawdaż, sam już nie wiem, czy tylko żałuję, że cię poznałem, czy raczej to zdarzenie przeklinam — wyznał szczerze. Zaraz jednak obudził się w nim dawny poszukiwacz przygód i miłośnik wrażeń. — Możesz mi nic nie mówić, ale właściwie, nieprawdaż, i tak już wiem za dużo... Skoro i tak napytałaś mi biedy... no to, kim jesteś, wasza godność?

Pochyliła się ku niemu; odruchowo pochylił się i on. Coś szepnęła i cofnęła głowę.

— Wasza... wysokość? — powtórzył niepewny czy dobrze ją

zrozumiał.

— Mhm. Idź już do siebie, Ogenie — poradziła. — Wiem, że umiesz dodawać dwa do dwóch, jak pewnie powiedziała by Tamenath... Prędszej czy później dodasz sobie. No, idź już! Obudzę cię przed świtem i powiem parę słów Tamenathowi, żeby rozbił ci głowę, tak jak się umówiliśmy.

Trochę tępo spoglądając spod zmarszczonych brwi, podniósł się i ruszył ku drzwiom. Zawołała go jeszcze.

— Ogen.

Przystanął i odwrócił się.

— Dziękuję, że zgodziłeś się nie mówić nic Tamenathowi. A on dzisiaj czegoś mi zabronił... Wiesz, czego?

— Nie.

— Tego.

Uniosła skraj koszuli, pokazując wielkie piersi. Zaskoczony, wybałuszył oczy — ale było na co patrzeć, bez dwóch zdań.

— Dziękuję — powtórzyła jeszcze raz. — No co?... Nie podejdziesz bliżej?

— Chyba... chyba nie, wasza god... wasza wysokość. Chyba, nieprawdaż, chyba nie powinienem.

Wyglądała na zbitą z tropu.

— Ale... nie chcesz? — spytała z niedowierzaniem. — Nie chcesz mnie... tego, ani nic? Tamenath tutaj nie przyjdzie, będę cicho, a zresztą mogę iść z tobą gdzie indziej... Naprawdę nie chcesz?

Chciał, nie chciał... W każdym razie pokręcił głową.

Jej marynarze tak się nie zachowywali. Wystarczyło, że kiwnęła palcem, a gnali na łeb na szyję. Ogen był chyba... coś nie bardzo. Zdziwiona i obrażona opuściła koszulę, wzruszyła ramionami, wreszcie posłała mu z dłoni zdawkowego całusa.

*

W nocy nic się nie wydarzyło. A dokładnie — nic nie wydarzyło się w domu Ogena, bo inaczej miała się sprawa w piwnicy jednej z kamienic zajmowanych przez Trybunał.

W Londzie istniała niewielka twierdza więzienna, ale trafiali tam tylko skazańcy. Podejrzani i oskarżeni byli trzymani kiedyś w małym loszku pod gmachem Trybunału, jednak odkąd przemianowano go na pałac książęcy, nieszczęśni urzędnicy śledczy pracowali w

najpodlejszych warunkach. Piwnice zajętych domów nie nadawały się do prowadzenia przesłuchań, z innych zaś pomieszczeń opętańcze ryki łatwo wydostawały się na zewnątrz. Przebudowano w końcu największą piwnicę, ale nadal była to tylko mała salka, wokół której rozmieszczono cztery klatki; określenie „cele” wydawało się doprawdy zbyt szumne dla pomieszczeń mierzących dwa na dwa kroki, w których zatrzymany mógł położyć się jak długi tylko po przekątnej. Od głównej „sali” oddzielały owe klatki solidne dębowe drzwi z zamkniętymi okienkami.

Tej nocy jednak klatki-cele nie były potrzebne. Czas naglił. Pojmanego mężczyznę solidnie przymocowano do ciężkiego krzesła pośrodku głównego pomieszczenia, na wszelki wypadek postawiono obok strażnika, a w tym czasie ktoś inny już szukał Pierwszej Namiestniczki Sędziego. Jej specjalne zlecenie wykonano bez większego trudu, ale że było to zadanie tajne nawet dla większości urzędników, o dalszym losie pochwyconego marynarza mogła zdecydować tylko ona.

Jej dostojność nie spała. Pojawiła się w loszku ubrana w tę samą suknię i z tą samą siecią warkoczyków na plecach, które mógł niedawno oglądać Przedstawiciel. Towarzyszyło jej kilku ludzi. Przypięty klamrami do krzesła nieszczęśnik był pobity tak, że ledwie, ledwie otwierał zapuchnięte, zalane krwią oczy — dano mu w ten sposób odczuć wagę sprawy. Chodziło, nieprawdaż, o to, by zapracowana namiestniczka nie musiała tracić więcej czasu, niż trzeba.

Ujrawszy wchodzącą, marynarz, pomimo widocznej trwogi, od razu zdał sobie sprawę, że stoi przed nim ktoś, kto ma prawo wydawać rozkazy.

— Wasza dostojność... — wykrztusił. — Pomyłka! Zaszła jakaś... jakaś pomyłka. Ja nic nie zrobiłem, zupełnie!

Nie znała garyjskiego; jeden ze stojących obok mężczyzn przetłumaczył słowa więźnia. Tytuł, którego użył majtek, świadczył o jakimś obyciu; ten człowiek wiedział, jak należy się zwracać do piastującej wysokie stanowisko urzędniczki Wiecznego Cesarstwa. Z aprobatą skinęła głową, bo głupcy byli męczący. Z wyraźną przyjemnością — ale i zaskakującą wprawą, zaskakującą dla każdego, kto nie znał jej przeszłości — wyrznęła pojmanego pięścią w zęby. Potrząsnęła dłonią.

— Oj... — powiedziała, skrzywiona, dmuchając na kostki palców. —

Nie odzywaj się, świnio, kiedy cię nie pytają.

Marynarz jęczał na krześle. Wyglądało na to, że lewego oka nie da się uratować.

— Jesteś dzielny czy mądry? — zapytała. — Dzielnych szanuję, a mądrych szybko uwalniam. Czasem nawet pozwalam zarobić trochę złota.

Przetłumaczono.

— Staram się... być mądry — rzekł marynarz.

— Znasz Kinen? — zapytała, używając tego właśnie języka.

— Małe... takie małe bez wiele, pani.

Zachichotała, ale zaraz znowu się skrzywiła.

— Tłumacz dalej — poleciła, niezadowolona; stojący za nią człowiek odruchowo skinął głową, chociaż nie patrzyła. — Niech mówi po garyjsku. Powiedz mu, że czekam na długą opowieść. Kim jest, z jakiego okrętu, czy zna kogoś w Londzie, co tu robi... no, wszystko.

Marynarz kiwał głową tak samo szybko, jak tłumacz przekładał słowa urzędniczki. Jeśli miał powody, żeby zmyślać lub milczeć, to nie zdradził się z nimi. Arma słuchała i tylko co jakiś czas zadawała dodatkowe pytanie. Majtek na pewno nie kłamał; jego opowieść, choć nieco zaskakująca, w pełni pokrywała się ze spostrzeżeniami szpakowatego urzędnika z okrętu straży morskiej. Układanka sama zebrała się do kupy. I dopiero na samym końcu pojawił się element, który pasował tak bardzo, że aż było to niewiarygodne. Namiestniczka gładko przyjęła do wiadomości, kim jest dowódca żaglowca, co go łączy z jednooką kobietą i kim jest ta kobieta, lecz nie zdołała ukryć podniecenia, gdy doszło do jednorękiego olbrzyma. Przyjęty — to jeszcze przełknęła. Ale co ów Przyjęty robi w Londzie, marynarz nie wiedział, więc gorliwie ją przedstawiać swe domysły. Może przybył z powodu syna? Bo to ojciec, wasza dostojność wie, to jest ojciec...

Jej dostojność kazała sobie przetłumaczyć dwa razy. I podsunęto jej twarde zydelek, bo poczerwieniała, a następnie zbladła i chyba gotowa była zemdleć.

— Jeszcze raz — powiedziała ochryple. — CZYJ to jest ojciec?...

Dowiedziała się po raz trzeci. Jego godności Glorma, wielkiego wojownika, który przypłynął na Agary z Dartanu, a teraz, podobno, jest w Grombelardzie. Gadali o nim różne rzeczy, ale jak jest naprawdę, to

wie chyba tylko księżna i dowódca... znaczy jego wysokość Raladan. I na pewno jeszcze księżniczka.

Arma zamknęła oczy i ścisnęła palcami nasadę nosa. Myślała. Gdzieś... po zakamarkach pamięci, błąkało jej się niewyraźne wspomnienie o jakimś wysokim starcu, o którym wspominał Glorm. A zresztą, czy na pewno on? Nigdy nie był wylewny, o jego wczesnej młodości wiedziała bardzo niewiele. Ale ktoś coś mówił, dawno... Kiedy? Gdzie? A, psiakrew, czy to w końcu nie wszystko jedno? Grunt, że starzec też zaczął pasować. Glorm nie znał ojca... ale spotykał w przeszłości jakiegoś dziwnego wielkoluda, bardzo dawno temu, chyba za młodu... I teraz spotkał go raz jeszcze, na Agarach. Nieprawdopodobne, ale... pasowało. Wszystko bardzo dobrze pasowało.

Arma gubiła się trochę, kiedy wszystko bardzo dobrze pasowało. Nie wiadomo było, co z tym robić. W niejasnej sytuacji lubiła zdać się na intuicję. W sytuacji wyjaśnionej do końca intuicja mogła tylko milczeć. Pozostawał rozum.

Zagubiona, samokrytycznie doszła do wniosku, że rozum to bardzo niewiele.

Przesłuchiwany majtek milczał, trwożliwie oczekując dalszych pytań. Lecz siedząca przed nim na zydelku złotowłosa pani również milczała z zamkniętymi oczami. Wreszcie odkaszlnęła.

— Dobrze — powiedziała. — Więc wasza łódź czeka w porcie na tę... jednooką kobietę, tak?

— Na jej wysokość, tak, wasza dos...

— Jak ma na imię?

— Ridi... znaczy Ridareta, Riola Ridareta, wasza...

— Riola Ridareta? Jakoś dziwnie.

— Bo to, wasza dostojność, nie jest całe imię. Jej wysokość ma przekłete imię i nie wolno go wymawiać, bo z tego... zaraz jakieś nieszczęście albo choroba. Dlatego właśnie Riola, że niecałe...

Wystraszony marynarz jął układać jakiś idiotyczny anagram, z którego miało wynikać, jak brzmi owo imię naprawdę. Miała to składać, czy co? Machnęła ręką, bo żeglarskie przesady były ostatnią rzeczą, jaka ją obchodziła. Jednak gorliwy jeniec mówił dalej — i znowu, choć zakrawało to na bujdzę, zarazem miało sens. Dziwna kobieta najwyraźniej cieszyła się złą sławą, nawet pośród swoich. Miała jakieś niezwykle

moce. Ot, morska legenda, jakich wiele... gdyby nie raport o jednookiej, która w biały dzień, na oczach wielu świadków, rozwalila komuś głowę na miazgę. Takiej pięści nie miał nawet Glorm. Musiała używać jakichś Porzuconych Przedmiotów; jej dostojność Arma, jeszcze za starych czasów, zetknęła się z niejednym Geerkoto. Ale też widziała wielu takich, co ich używali — nigdy jednak nie dłużej, jak do chwili, gdy ktoś wypuścił im flaki za pomocą miecza.

— Dobrze, wystarczy już o tym... dwuimiennym demonie. Czekacie na nią, tak?

— Tak. Właśnie, wasza...

— Nie mogę cię teraz puścić — oznajmiła, wstając z zydelka — bo wszystko opowiesz swoim. Musisz zostać w Londzie tak długo, aż odpłyną. Cicho, głupku — ostrzegła, groźnie podnosząc pięść — bo podejmę inną decyzję... Teraz odprowadzą cię do miejsca, gdzie pomieszkas przez parę dni.

Jeńca odczepiono od krzesła i wyprowadzono. Skinęła na dowódcę swych zabójców, który skromnie stał z boku pod ścianą; wszystkich innych odprawiła.

— Zabić — rzekła krótko, gdy zostali sami. — W jakimś zaułku niedaleko miejsca, gdzie go złapaliście. Ma być tak, jakby wetknął nos w nie swoje sprawy, wdał się w jakąś szarpaninę na ulicy, albo coś, i oberwał nożem.

— Jasne.

— Czekaj. A nagroda?

Zabójca wyszedł, unosząc wielki pierścień i złote kolczyki z rubinami, które już jej się znudziły. Tym ludziom płacił Trybunał (oficjalnie byli tajnymi wywiadowcami), ale warci byli dużo więcej i pamiętała o tym. Rozejrzała się po opuszczonej salce i także ruszyła ku drzwiom. Rzadko miewała przecucia, ale tym razem coś jej mówiło, że to jeszcze nie koniec. Że coś jeszcze zdarzy się tej nocy.

I zdarzyło się rzeczywiście, ale dopiero o świcie. Przybiegł szpicel z doniesieniem, że stary wielkolud i jednooka kobieta udali się ku przystani, niosąc pokaźne bagaże, jakby zamierzali już nie wrócić do obserwowanego domu. Arma w mgnieniu oka musiała podjąć mnóstwo brzemiennych w skutki decyzji, wydać kilka rozkazów, a nawet napisać pismo do gończego urzędnika na okręcie straży morskiej, oraz drugie, do

dowódcy eskadry.

Nie mogła zatrzymać spokojnego kupieckiego żaglowca pływającego pod dartańską banderą. Ale mogła — a nawet musiała — skontrolować statek, który przyjął na pokład morderczynię, będącą na dodatek banitką z Agarów. Pirackiego księstwa nie uznawało ani Wieczne Cesarstwo, ani Dartan, była to tylko jaskinia morskich zbójów. Wobec mnóstwa świadków, nawet sama dartańska królowa, nie mogła odnieść się do zatrzymania kogoś stamtąd z jawną dezaprobatą. Mogła żądać najwyżej wydania dartańskiej załogi — ale nie tak od razu. Trybunał Wiecznego Cesarstwa miał prawo ścigać morderców, których ofiarami byli poddani cesarzowej.

Intuicja zawiodła... rozum zaś nie nadążył.

Namiestniczka miała zaledwie parę chwil na podjęcie najbardziej brzemiennej w skutki decyzji swego życia. Wypuszczenie z Londu tej... szajki dziwadeł oznaczało złożenie broni. Arma nie przepuściła okazji, ale właściwie nie wiedziała, do czego można użyć pochwyconych jeńców. Sądziła, że — w najgorszym razie — zawsze może ich wypuścić, ubolewając nad przykrym nieporozumieniem. Odłożyła więc na później rozważania, do czego są jej potrzebni. Na razie chciała ich mieć, i nic więcej.

Ale, czy wzniecając we własnym domu pożar, można go tylko mieć — i nic więcej?...

16.

Jej Godność N. Tewena
w Rapie
Droga Przyjaciółko!

Jak zwykle wybaczysz mi niejasną (a raczej jasną tylko dla Ciebie) treść tego listu. Wiesz, że nie ufam posłańcom i drogom, które przemierzają, a jeszcze bardziej wiesz, że takie pismo utrudniłoby mi życie, gdyby wpadło w niepowołane ręce. Jestem jednak spokojna, zrozumiesz mnie na pewno.

Oczywiście, że Tewena rozumiała... Jedno słowo. Wystarczyło jedno słowo, z którego jasno by wynikało, kim jest autorka listu. Ujawnienie konszachtów Namiestniczki Trybunału z banitami mogłoby bardzo poważnie nadwyrężyć jej pozycję.

Wiele lat temu wróciłam do kraju, który kocham, bo działa się w nim coś złego. Miałam przyjaciół, potężnych przyjaciół, z którymi dzieliłam całe życie. Prosiłam ich o pomoc, ale odmówili, bo cenili sobie spokój i dostatek. Rozumiałam ich i rozumiem, ale nigdy nie kryłam, że jednak mam im za złe to odstępstwo. Trudno mi się dziwić, że po latach, gdy ci sami przyjaciele mnie z kolei poprosili o pomoc, wahałam się. Ale teraz chcę wreszcie napisać, co postanowiłam. Wiem, oczywiście, że już z nimi nie jesteś, ale ja tym bardziej nie wiem, gdzie ich szukać, może więc zdołasz w jakiś sposób przekazać ode mnie wiadomość. Napisałam wyżej, że prosili mnie o pomoc, ale muszę się poprawić: nie, nie poprosili. Nie poprosili o nic, milcząco dali tylko do zrozumienia, że nie powinnam w niczym przeszkadzać. Teraz ja, po namyśle, mówię: dobrze, nie będę przeszkadzać. Nie będę ze względu na dawną przyjaźń i, jak to się mówi, ze względu na pamięć o starych, dobrych czasach. Ale teraz mam własne swoje życie i nie mogę już go połączyć z życiem kogokolwiek innego. Nie chcę być wrogiem tych, których kochałam, ale nie umiem już i nie potrafię ich wesprzeć. Zgadzam się stać z boku i myślę, że to niemało. W zamian proszę tylko o to, by uszanowano moją neutralność.

Tewo, ucieszyłam się na wieść o tym, że możesz do mnie przyjechać. Nic mi teraz nie sprawi większej radości, a dodam, że niewiele mam ostatnio powodów do zadowolenia. Przyjedź, proszę. Wiesz, gdzie mnie szukać. Tak jak napisałaś, nie jesteśmy coraz młodsze. Cieszę się, że przynajmniej Ciebie nie muszę prosić o neutralność, to dobrze, że sama ją wybrałaś. Przyjedź, czekam na Ciebie.

Przyjaciółka sprzed lat.

Tewena nie uwierzyła w ani jedno słowo.

Część druga. Śmiertelni wrogowie

17.

Wiodący przez Bador, Gromb i Rahgar szlak był niczym kręgosłup Ciężkich Gór. Zaskakująco równy i prosty, mógł jednak uchodzić za taki tylko tutaj, pośród dzikich szczytów i przełęczy. Dało się przemierzyć go konno, ale już o wozach nie mogło być mowy; docierały tylko do Badoru.

Przekłeta przez Pasma kraina, za jaką uchodził Grombelard (a przekłeta rzekomo dlatego, że to właśnie ponad nią toczyła się w zamierzchłej przeszłości gigantyczna wojna dwóch potęg, Szerni i Aleru) w samej rzeczy przywodziła na myśl jakiś półmartwy, oszukany świat, gdzie nie było niczego oprócz wiatru, deszczu, chmur i gołych skał. Ciężkie Góry, choć niższe od Szczytów Książęcych w Armekcie, były przecież dość wysokie, by na ich wierzchołkach długo leżał śnieg. Jednak nie leżał nigdy.

W kraju, gdzie wszyscy zawsze marzli, zmoczeni deszczem i owiewani przenikliwym wiatrem, w rzeczywistości było bardzo ciepło. Pośród nieśmiertelnych tumanów mgły przemieszczały się kłęby podniesionej z ziemi pary. Coś ogrzewało ten niegościnnie kraj, i to ogrzewało niejako od spodu... Ów fenomen dał początek niezliczonym grombelardzkim legendom, spośród których najbardziej zapadały w pamięć te o żywych Górach. Grombelardzcy wierzyli, że Ciężkie Góry żyją; że gdzieś pod skałami tętni w szerokich jak rzeki żyłach krew; że gdzieś tam słychać uderzenia potężnego serca; że przenikliwy wiatr to oddech Gór.

W świecie, w którym sprawcza potęga schyliła się ku ziemi, mówiąc wszystkim: „Jestem”, krążyło mnóstwo mitów, żyły własnym życiem rozmaite półprzesady, półwierzenia. Takie jak idea armektańskiej Niepojętej Arilory, Pani Wojny i Śmierci, Losu Wojennego. Nie była to żadna bogini, a tylko dziwny byt, sama wojna i wszystko, co z nią związane, najbardziej właśnie los, przyjazny bądź złośliwy. Czymś podobnym jawiła się Enivetta, Pani Łądu i Ziemia Matka-Żywicielka, której imieniem nazwano najspokojniejsze morze Szereru. Armektańczycy bali się Bezmiarów, a na Morzu Enivetty prawie nigdy nie było burz — uznano więc, że sięga tam władza Pani Łądu.

W Grombelardzie brakowało takich opiekuńczych bytów; prości,

półdzicy mieszkańcy tego kraju wymyślili tylko monstrualnego potwora, po którego grzbiecie biegali. Ale na swój sposób kochali owo monstrum, bezpieczni w załamaniach okrywających je łusek.

Brunatnoczarne górskie miasta, przed wiekami twierdze rozbójników-rycerzy, które obrosły osadami służebnymi, te zaś kolejnymi obwarowaniami i znowu podgrodziami, podbite przez Armekt, długo służyły Wiecznemu Cesarstwu. Nie rozkwitły, bo w Grombelardzie było to niemożliwe, ale okrzepły, straciły swoją dzikość — stały się po prostu trudno dostępnymi miastami, siedzibami urzędników imperialnych i silnych wojskowych garnizonów, ośrodkami rzemiosła i handlu.

W ciągu zaledwie kilku lat nic z tego nie zostało.

Bardzo silny oddział, tak silny, że zrazu nie dało się ocenić jego liczebności, bo długi rząd konnych i pieszych wojowników płynął i płynął po szlaku, dotarł do przedmieść Grombu, niedawnej stolicy Grombelardu. Za plecami pozostały Riks i Bador — zrujnowane, zdziczałe, ale jeszcze jako tako podobne do miast, bo granice Armektu i Dartanu były na tyle blisko, że wiele rzeczy sprowadzano (choćby drewno) — istniał jakiś szczątkowy handel, zresztą przede wszystkim wymienny. Lecz Gromb, orle gniazdo w samym środku Gór Ciężkich, był trupem, szkieletem miasta.

Z przedmieścia zostało niewiele. Powszechnie dostępny surowiec, kamień, używany był tu powszechniej niż w innych stronach Szereru i tylko dlatego stały jeszcze dość liczne ściany domów. Lecz dachów nie było wcale. Każdy kęs drewna już dawno zużyto na opał, na całym przedmieściu próżno by szukać choć szczapy. Nawet jednego gontu; nawet jednej ławy, zydła albo stołu; żadnych drzwi, okiennych futryn, a cóż dopiero mostku nad wartkim strumykiem. Dało się go pokonać tylko w bród.

W tle owego objedzonego do kości przedmieścia, majaczył zaniedbany mur miejski, czarny i posępny, z rozwartą paszczą bramy, z której, oczywiście, dawno już wyrwano wierzeje, a nawet zębatą bronę. W mieście takim, jak Gromb, skoro już musiało zostać porzucone, drewna na opał dla bandy rozbójników mogło wystarczyć chyba do końca świata. Ale czy ktoś tu o tym pomyślał?... Przez kilka minionych lat podpalano domy dla uciechy przy okazji każdego rabunku, zmarnowano

co tylko się dało — aż nagle wyszło na jaw, że po jaki bądź opał trzeba by do Armektu. W Ciężkich Górach prawie nic nie rosło, od zarania dziejów szczapy i węgiel drzewny sprowadzano z nizin. Lecz, ba! Kto o tym wiedział?...

A jednak istniało jakieś drewno w tym mieście. Na czterech masywnych oszczepach zatknięto, przy głównej ulicy przedmieścia, kilkanaście głów, nawleczonych na drzewca jak koraliki na sznurek. Najstarsze głowy, przegniłe i objedzone przez ptactwo, miały za towarzystwo głowy coraz świeższe, obficie pokryte mięsem, lecz przez to bardziej śmierdzące. Najładniejsze, trochę tylko zielono-sine, widniały na samych końcach włóczni. Usta jednej z tych całkiem ładnych głów zalepione były odchodami, wypłukiwanymi przez deszcz na podbródek i resztki szyi. Grombelardzkie piętno kłamcy i zdrajcy.

Konni oraz piesi wojownicy napływali szlakiem, zbierając się na rogatkach.

Olbrzymi jeździec na ciężkim gniadoszu spoglądał na długi szereg zbrojnych, wciąż wlokących się górskim traktem.

— Nie będę czekał, aż wszyscy przyjdą — rzekł do jednego z towarzyszących mu jeźdźców, który pod szarym płaszczem miał rzadko oglądany w tych stronach płytowy napierśnik, u kulbaki zaś zawieszoną barwną trójkątną tarczę. — Pojedziemy przodem.

Melodyjny język dartański zupełnie nie pasował do zamordowanego miasta, czarnych skał, mżawki i niskich chmur.

Zwróciwszy się do innego człowieka, olbrzym tym razem przemówił po grombelardzku:

— Bierz tych, którzy już są. „Tron!” — dorzucił, przypominając wojenne zawołanie, które miało być znakiem rozpoznawczym.

— Wasza godność? — zapytała śliczna kobieta z łukiem w ręku.

Mokre od mżawki włosy oblepiły jej szyję i twarz. Drżała lekko z zimna, ale najwyraźniej nie myślała się skarżyć.

— Rzecz jasna, Enito — odpowiedział Kragdob, znowu po dartańsku. — Tak jak zawsze. Nie mieszaj się do niczego, stój gdzieś z boku i uważaj tylko na to, czy nie mam nikogo za plecami. Zastrzel każdego, kto tam będzie, i tym razem nie namyślaj się, czy to swój, czy obcy. Ma tam nikogo nie być.

— Tak, panie. — Poczzerwieniała na policzkach, bo w stoczonyj na

ulicach Badoru potyczce, za sprawą jej wahania, dowódca otrzymał cios nożem.

Wyznaczony pieszy mężczyzna skrzyknął już kilkudziesięciu zbrojnych. Glorm obrócił wierzchowca i w asyście czterech dartańskich rycerzy ruszył ku majaczącej na końcu ulicy bramie. Zaraz za nim pojechała łuczniczka, też w towarzystwie czterech zbrojnych — byli to słudzy Dartańczyków, uzbrojeni w kusze i przy mieczach. Jeśli gwardzistka miała uważać tylko na dowódcę, to nie mogła jednocześnie opędzać się od jakichś osiłeków, gnających na nią z żelastwem. Miała więc własną eskortę.

Glorm pośpieszył się o dwa dni. Wielu ludzi (i jeden kot) dołożyło starań, by siedzące w Grombie watahy dopiero pojutrze wyglądały przybycia Basergora-Kragdoba. Zbrojny legion, poprzedzany przez doborową straż przednią, złożoną z najlepszych przebiegaczy gór, wchłonał lub pożarł każdego, kogo napotkał w drodze. Dopiero teraz, na samych rogatkach Grombu, błyskawiczny przemarsz wojska Kragdoba przestał być tajemnicą.

Nie miało to już znaczenia. Niejaki... Behegal? Behegal, chyba tak, Glorm naprawdę nie pamiętał imienia i nie była to pogarda na pokaz... Onże Behegal zwlekał i zwlekał z przysłaniem do Badoru swoich ludzi. Nie spełnił żadnego warunku, chociaż były łagodne — Rbit zgodził się nawet oszczędzić jego zbrojnych, jeśli Behegal powiesi się na bramie Grombu. Czy wisiał? No, przecież nie wisiał. Zamiast tego nadeszły wieści, że groźnie potrząsa męskością i nadal mianuje się Kragdobem. Prawdziwy Kragdob nie mógł się nadziwić, że dowódca kilku — wcale licznych, podobno — band ma w ogóle jakiś autorytet i posłuch, pomimo iż wydaje podkomendnych na rzeź. Jakim cudem ci podkomendni nie skłonili go do przyjęcia propozycji Rbita? Naprawdę wiele się zmieniło w Grombelardzie.

W drodze do bramy przed poczet dowódcy wysunęło się kilkunastu rozradowanych, uszczęśliwionych nadchodzącą przygodą wojowników, którzy dotąd tworzyli awangardę i zdążyli już nieco odsapnąć, a nawet posilić się ćwierć mili przed rogatką, gdy czekali na nadejście sił głównych. Teraz pierwsi pokonali ciemny tunel i rozbiegli się po najbliższych zaułkach, szukając ukrytych kuszników, a zresztą kogokolwiek. Nie znaleźli. Nadjeżdżający Kragdob słyszał wycia swojej

przedniej straży, śpiewy i szydercze okrzyki, gdy nawoływali „zacnych mieszczan” do wyjścia na ulice, skoro przybyli goście. Tuż przed bramą wyprzedził go następny oddział, to już była kolumna uderzeniowa, mająca nie tyle wypatrywać skrytobójców, co siłą czyścić drogę przed swym wodzem.

Ale gdzie był wróg?

Entuzjazm wojowników Basergora-Kragdoba sięgał szczytów.

I nie było w tym nic dziwnego. Glorm nie okłamał Teweny: nie przyjechał do Grombelardu po złoto, wprost przeciwnie — bardzo dużo go przywiózł. Nędzne życie grombelardzkich rzezimieszków za sprawą tych pieniędzy w jednej chwili przemieniło się w bajkę. Sztuka złota była dla każdego z nich majątkiem. Glorm opłacił swą blisko półtysięczną armię, wydając podobną sumę, jaką w Rollaynie wykładał za dobrego konia... Niewiele mniej kosztowała swego czasu Enita, niewolnica pierwszego sortu, ustępująca tylko hodowlanym Perłom. Tu był inny świat i zupełnie inne pieniądze.

Rabujący pograniczne wioski obwiesie ciężko pracowali na życie; podobni nawiedzonym poetom, uprawiali swój fach głównie dla radości i z potrzeby serca, bo zarobki, bo uniesione łupy, były akurat takie, jakie dało się zabrać chłopom. Ciężka, niewdzięczna praca, przez nikogo niedoceniona. Oprócz jedzenia niejaką wartość miały jeszcze kobiety, ale zużywały się tak szybko, że trudno było się nimi nacieszyć — zwłaszcza że nikt nie mógł zabrać kobiety na własność, stanowiły wspólne dobro watahy. Zdobyte narzędzia i drobne sprzęty wymieniano u wędrownych handlarzy o podejrzanym wyglądzie, nie bojących się jeździć do Riksu (bo do Badoru zapuszczali się już tylko prawdziwi bohaterowie). Na tle takich łupów i zysków, sztuka złota lub dwie — to było istne bogactwo. Kragdob wrócił i od razu dał wszystko: sławę, rzeź i majątek.

Nie mogący uwierzyć w swe szczęście wojownicy szli do Grombu z duszą na ramieniu, bo bali się śmiertelnie, że siedzące w tym mieście bandy zechcą dołączyć do ich armii. Oznaczało to dzielenie się sławą, bogactwem i szczęściem; wojownicy pędzili więc ulicą, z przerażeniem myśląc, że ktoś gotów się poddać i złożyć hołd Kragdobowi. Na wszystkie Pasma Szerni... prędko, prędko! Należało pourywać wszystkim łby, zanim wrzasną!

Dzika wataha gnała ulicami, szukając przeciwnika. Wyznaczony przez

Glorma oficer musiał powstrzymywać podkomendnych, bo Basergor-Kragdob na pewno nie chciał gonić swego wojska galopem.

Kolejne wchodzące do Grombu zgraje rozchodziły się na prawo i lewo, przetrząsając kwartały zrujnowanych, odartych z drewna domów.

Ryk od czoła przebił się przez szum wzbierającego deszczu i pogwizdywanie wiatru w szczelinach szczerbatych ścian. Pozbierane z całego miasta miejscowe grupy wyległy wreszcie na spotkanie przybyszom; wyległy w jakimś celu, najpewniej po to, by się z nimi bić, a może po to, by witać — nikt nie mógł ocenić, jaka była prawda. Nikt zresztą oceniać nie chciał, a najmniej zależało na tym Kragdobowi. Kolejne dwie czy trzy setki zbirów nie miały takiej wartości, jak straszna sława, utwierdzona wyrznięciem tyłuż do nogi. Wilki Basergora-Kragdoba rzuciły się więc na szakale... kogo? ach, Behegala, nieprawdaż... rycząc „Tron!” tak, jakby ryczały: „Wara! Nasze! Nie podchodź!”. Gromb, niestety, naprawdę nie był pusty, jednak siedzieli tu jacyś popaprańcy. Gotowi się przyłączyć, straszne, straszne. Zabić, tron, wszystkich zabić!

Wataha pognęła dalej. Na miejscu pierwszej potyczki leżały same trupy, kilkanaście. Nie wiadomo, ile własnych, ile wroga. Tylko jedno ciało pełzło jeszcze dokądś, skowycząc, zostawione wyraźnie ku uciesze wodza, było to bowiem ciało bez ręki i z wypuszczonymi flakami. Olbrzymi jeździec na gniadym londerze powściągnął uśmiech, gdy zza jego pleców prysnęła lekka strzała, skrcająca męki półtrupą; powściągnął zaś uśmiech najbardziej dlatego, że był niewesołym uśmiechem. Lubił tę młodą kobietę, lecz już widział, że pomimo starań, nigdy nie będzie dla niej miejsca w Ciężkich Górach. Niepotrzebnie brał ją ze sobą. O dobre strzały do łuku było w górach niezmiernie trudno... Śliczna Dartanka nie umiała pojąć, że tutaj życie nie ma żadnej wartości, podczas gdy strzała — owszem.

Zaśmiecona, błotnista ulica wiodła do serca miasta. Deszcz z wolna przemieniał ją w rzekę.

Na rynku głównym zbudowano coś, co przywodziło na myśl obóz koczowników: wszędzie stały jakieś budy, ni to namioty, ni daszki... Dogasało ognisko, wydane na pastwę dżdzu; wysokie tyczki podtrzymujące płócienny dach ktoś przewrócił — już to jedno dowodziło, jak wielki był pośpiech zamieszkujących ten obóz ludzi. Pośród budek i pokracznych klatek, z wnętrza których wyły niepodobne

do niczego czworonożne i dwunożne istoty, między stertami mokrych śmieci, wyrwanych z bruku kamieni, zniszczonego oręża, jakichś resztek, odpadków, kości i dołów kloacznych, wykopanych byle jak, gdzie popadło, spowici wszechobecnym a duszącym smrodem, miotali się zwabieni w pułapkę wojownicy z czołowego oddziału Kragdoba. Domy wokół rynku, będące chyba rezydencjami najważniejszych tutaj osobistości, bo niezbyt zrujnowane, posłużyły za kryjówki niezliczonym kusznikom, posyłającym teraz pocisk za pociskiem. W wiecznej grombelardzkiej szarówce, przetykanej deszczem, pod niebem, którego prawie można było dotknąć, miotały się dziesiątki rozwścieczonych ludzi, często rannych, próbujących wedrzeć się do budynków, co się czasem udawało, a czasami nie. Padały trupy. Nadbiegły nowe gromady, szturmowano dom po domu. Dzikie wrzaski przybrały na sile, gdy zajętych owymi szturmami napastników zaatakowały od tyłu nowe gromady obrońców, przyczajone dotąd w którejś z bocznych ulic. Rbit chyba popełnił błąd; być może nie docenił liczebności garnizonu Grombu.

Wypadła skądś jeszcze jedna banda, obierając za cel ataku małą grupkę jeźdźców, którzy właśnie zsiadali z koni. Nieoczekiwanie, napadnięci runęli im naprzeciw.

Czterech mężczyzn, biegnących ramię w ramię z górującym nad nimi wielkoludem, zderzyło się z pięciokroć liczniejszą gromadą — z takim skutkiem, jakby ktoś cisnął kamieniem w dynię. Dla pogardzanego za sprawą półprawd i bajań Dartańczyka, syna rodu kultywującego orężne tradycje przodków, w rozwrzeszczanej bandzie obwiesiów nie było przeciwnika. Z długimi mieczami w dłoniach, przy tarczach, których nikt w tym kraju nie używał, bo w górach były tylko zawadą, osłonięci półzbrojami i hełmami mężczyźni zabijali z wprawą nabywaną przez całe życie, spędzone na ćwiczeniach pod czujnym okiem ojca; wprawą utwierdzoną podczas minionej wojny z Armektem. Raz i drugi zadzwonił wrogi oręż o kirys, głucho huknęła tarcza, ale zarówno nad tym bezradnym łomotem i dzwonieniem, jak też szczękiem zderzanej broni zaczepnej, a wreszcie mnogimi wrzaskami, królował szczególny zgrzyt, rozlegający się zawsze wtedy, gdy skrzyżowane głównie dwóch mieczów blokowały wrogi oręż, ściągały w bok — i natychmiast jedno ostrze znajdowało krótką drogę do ciała przeciwnika. Legenda o

grombelardzkim wojowniku, niemającym sobie równych w Szererze, ożywała oto na oczach przerażonych rzezimieszków, którzy nie do takiego wroga przywykli.

Grupka pięciu zbrojnych jednym uderzeniem rozbiła w puch wrogi oddział i rozproszyła się w walce, bo każdy z wojowników potrzebował miejsca; to nie były zapasy. W samym środku kotłowaniny z kocią zwinnością poruszał się człowiek, którego postura była wszelkiej zwinności zaprzeczeniem. Krótki miecz gwardyjski w lewej ręce zawsze krzyżował się z długim, trzymanym w prawicy, by zatrzymać cios topora lub pałki, ale przeciw wrogim mieczom w pojedynkę spełniał rolę tarczy — przy czym była to tarcza śmiertelna. Nigdy dotąd nie widziano tu czegoś podobnego. Po Ciężkich Górach biegało wielu znamienitych rębajłów, ale żaden nie dysponował podobną szybkością i siłą. Ramiona współdziałały, by za chwilę zupełnie niezależnie od siebie — jakby należały do dwóch ludzi — parować i zadawać ciosy, którym często towarzyszył obrót lub półobrót potężnego ciała. Nieprawdopodobnie płynny, oszałamiający taniec wielkoluda, który wydawał się niezdolny do tak błyskawicznych działań. Raz śmignęła skądś lekka strzała, niepotrzebna, bo trafiony nią topornik skonał ze sztychem w gardle, jeszcze zanim poczuł grot w plecach; nikt zresztą owej strzały nawet nie zauważył... Nadciągająca z odsieczą swemu dowódcy banda zatrzymała się nieopodal wiru walczących, rycząc wniebogłose, chłonąc obraz tego, co było namacalną legendą. Nikt nie śmiał dołączyć do rzezi, która wydawała się być jakąś triumfalną, ucieleśnioną pieśnią walki. Każdy z tych wojowników po kres życia miał opowiadać, że widział o dwadzieścia kroków przed sobą swojego króla i wodza, ścielącego wokół trupy z niewiarygodną łatwością, niewiarygodnie... pięknie! Ależ tak, właśnie pięknie. Dzicy górscy zbóje, jeśli nie dojrzeli piękna w walce, to nie oglądali go wcale. W tym kraju nie było nic pięknego.

Niedługo cieszyli oczy; zaledwie przez kilka chwil. Zmasakrowana grupa miejscowych rozpierzchła się na wszystkie strony świata, bo w kilka chwil bezkarnie wybito dwie trzecie jej składu. Na pożegnanie przeciął strugi deszczu topór, podniesiony z ziemi wielką dłonią, i jeden z uciekających poleciał przed siebie jeszcze szybciej, gdy żeleźce wyrznęło go między łopatki z trzaskiem i hukiem niepojętym dla kogoś, kto nie brał udziału w bitwie. Głos zderzanej broni zawsze brzmiał podobnie,

lecz ugodzone wojennym narzędziem ciało zdolne było wydać odgłosy trudne do wyobrażenia, a nawet zrozumienia, skąd w ogóle się wzięły.

Pogardzani w Grombelardzie Dartańczycy odpłacali pięknym za nadobne. Dla przybocznych gwardzistów Kragdoba na bruku leżały zwierzęta; to nie była szlachetna walka z dzielnymi przeciwnikami. Jeden z ubranych w kirys mężczyzn schylił się, by odedrzeć szmatę od spódnicy rzeźącego zbira. Przydepnął przecięty brzuch leżącego, wywołując zarówno chrapliwy ryk, jak i mlaszcząco-pierdzący odgłos rozgniatanych flaków, po czym szarpnął mocniej. Otarłszy broń, podał mokrą szmatę dowódcy.

Deszcz to słabł, to przybierał na sile, ale już nie był ulewą.

Między pokracznymi budami na rynku, w domach, a także gdzieś dalej, w głębi miasta, nadal trwała szarpanina, gonitwa, wyrzynanie się po kątach, dobiegały zewsząd wycia, niezrozumiałe wrzaski, przeplatanene bojowym okrzykiem rozpoznawczym. Pośrodku śmierdzącego obozu (płynąca z nieba woda nie radziła sobie z wypłukaniem tego smrodu) jakiś wojownik posilał się resztkami pieczonego mięsa, obrastającego znalezionej przy ognisku kość. Podzielił się z towarzyszem. Ujrzał nadchodzącego wodza i struchlał, bo obzerał się przysmakami, zamiast szukać wroga. Wrzasnąwszy, niebacznie wypuścił z japy smakowity kęs, wrzasnął więc z rozpaczą po raz drugi i pognął dokądś, poprzedzany przez kamrata, który miał w nogach jeszcze więcej rozumu. Potknął się o trupa z bełtem w brzuchu, zawiosłował rękami, grzmotnął, rozbryznął łokciami kałużę, zerwał się i zaraz pomknął dalej, niknąc między ścianami bud.

Glorm zbliżył się do konającego ognia i przykucnął. Podsycił gasnący płomyk, popychając nadpalone kawałki drewna, jednak deszcz padał zbyt gęsty. Złamał w dłoniach jedną z żerdzi, na których trzymał się przewrócony daszek, i też rzucił na resztki żaru. Lecz woda wygrała z ogniem, płomień zgasł.

W niewygodnym przysiadzie nogi cierpły pod ciężarem potężnego ciała, Kragdob wyprostował je więc i rozejrzał się dokoła z wyżyn swego wzrostu. Domy wokół rynku zdobyto, lub właśnie zdobywano, walki przeniosły się gdzieś dalej. Kilkunastu lekko rannych, którym ciężko było biegać po mieście, miało jednak dość siły, by szukać przy poległych pożytecznych rzeczy. Rany mogły poczekać, żniwa nie. Tu i tam jęczał

jakiś naszpikowany bełtami zdechłak, ale na zdechłaków szkoda było czasu; rany kłute i tak się nie goiły. Tylko jednego nieszczęśnika ktoś próbował opatrzyć, może brat, albo wierny przyjaciel. Reszta musiała sama znaleźć swoją drogę do Pasm lub doczekać końca walk w Grombie, bo dopiero wówczas ciężko ranni mogli liczyć na łyk wódki i litościwy sztych, przyspieszający ich ostatnią podróż.

W najbliższej stojącej klatce leżało jakieś pokraczne stworzenie, w którym z wielkim trudem dało się rozpoznać związanego w kłębek mężczyznę, z obciętymi wszelkimi zbędnymi rzeczami, takimi jak palce i uszy. Mógł mieć lat dwadzieścia albo sześćdziesiąt pięć. Do klatki nawrzucono wszystkiego, co komu przyszło do głowy, nieszczęśnik leżał wśród resztek, których pochodzenia lepiej było nie dociekać. Coś tam wyglądało na płat ludzkiej skóry; możliwe, że w skazańca ciskano kawałkami kogoś mu bliskiego. Współwinowajcy? Zapewne. Oddano mu też wszystkie poobcinane palce; wszystkie, lub prawie wszystkie, nikt tego przecież nie liczył. Dalej, na ścianie kamienicy (Glorm przypomniał sobie, ni z tego, ni z owego, że był to kiedyś dom zamożnego kupca, płacącego wcale ładną daninę) zawieszono bezgłowe i półnagie ciało starej — pewno starej, bo paskudnie pomarszczonej — kobiety. Zapomniano o nim, a może po prostu nikomu nie chciało się go odczepić?... Głowa wieńczyła zapewne jedną z włóczni na przedmieściu. Stara baba w górach? Komu strzeliło do łba wlec tutaj... takie coś?

Straszliwie, ale to naprawdę straszliwie śmierdziało w tym pięknym mieście, fetor wydawał się aż gęsty. Od tej jednej rzeczy Basergor-Kragdob odwykł. Dartan nie śmierdział i nawet Agary nie śmierdziały, wyjąwszy niektóre portowe zaułki. Zresztą Grombelard, kiedyś, także nie. Górskie stacje, zwane wysokimi wioskami — owszem. Siedzieli tam ludzie tacy sami, jak teraz ci tutaj, w Grombie, znajdujący przyjemność i rozrywkę w rozwłóczeniu trupów i obrzucaniu się odchodami, oddający mocz tam, gdzie było im wygodnie, a najlepiej na głowę śpiącego kamrata, co uchodziło za żart, pyszny żart. Lecz w miastach nie życzono sobie wybuchu zarazy.

Glormowi zachciało się rzygać. Patrząc mógł na wszystko, ale wężu niestety nie stracił. Już w Badorze miał z tym problemy; jakoś nie mógł przywyknąć. Ale to tutaj przechodziło wszelkie wyobrażenie. Niepodobieństwem było przejść przez ten obóz i nie wdepnąć w

rozciaptane deszczem rzygi albo gównu. Obejrzał się w samą porę, by zobaczyć paskudnie wymiotującą Enitę (a tworzyła dobraną parę z zielonym na gębie Dartanczykiem), i to przepełniło czarę — też się wyrzygał, zresztą zgoła ostentacyjnie.

— Do jutra ma być tutaj porządek — rzekł, sięgając po bukłak z winem, zawieszony u siodła Galvatora. — Nie będę chodził po chlewie, ani dowodził srającymi pod nogi świniami. Usłyszano?

Ktoś usłyszał. Przechodzący nieopodal rozbójnik wytrzeszczał oczy i potakiwał, przekonany, że Basergor-Kragdob do końca życia zapamięta jego twarz i pociągnie go do odpowiedzialności za bałagan lub sownie nagrodzi za porządek. Gotów był biec choćby zaraz po kamratów, wyciągać ich z toczącej się gdzieś walki i zaganiać do sprzątanania rynku w Grombie.

Kragdob przepłukał usta winem, wypluł, napił się i zawiązawszy bukłak, rzucił go bladej Enicie. Podziękowała niepewnym skinieniem.

— Znajdź mi dom — rzekł po dartańsku do jednego z przybocznych gwardzistów. — Najprzyzwoitszy, taki, w którym zmieścimy się wszyscy. Dobrze, żeby było obok coś w rodzaju stajni, chociaż jakaś szopa. Tam — pokazał palcem drugi koniec rynku — stała kiedyś gospoda, nawet dość przyzwoita. Zobacz, co z niej zostało. A ty — zwrócił się do drugiego — weź Łuczkę jako tłumaczkę i dopilnuj, żeby znaleziono mi tego... Behegala. Najlepiej zabitego. Jeśli go złapali, to niech od razu zarzną i nie zwracają mi głowy, tylko najpierw niech się upewnią, że to naprawdę on. Ścierwo niech zanoszą na przedmieście, tutaj go nie chcę, ale tam powinien straszyć, przynajmniej przez jakiś czas. Na początek uszanujemy miejscowe zwyczaje, potem nie będą już potrzebne.

Mężczyzna skinął na Enitę. Wojownicy Kragdoba, wydziwiając trochę nad niepopularną w Grombelardzie bronią, z miejsca przewali ją Łuczką, bo „łuczniczka” wydawało się za długie. W ten sposób mała gwardzistka zdobyła wojenny przydomek, z którego była skrycie bardzo dumna.

Kragdob jeszcze trochę postął przy wygasłym ognisku.

— No nie, znajdziemy jednak miejsce, gdzie tak bardzo nie śmierdzi — rzekł na koniec, zniecierpliwiony. — Mieszkał tu król rzygów, padliny i gówna. Chodźmy z tego rynku. Po drodze, na ulicach, można było wytrzymać. I niech ktoś sprawdzi, kto to jest. — Pokazał palcem

półzywego stwora w klatce. — W ogóle warto posprawdzać klatki, może siedzą w nich jacyś wywiadowcy Rbita. Mogą wiedzieć coś ciekawego.

*

Wskazana przez Kragdoba gospoda rzeczywiście nadawała się do zamieszkania; miała nawet pół dachu. Mało tego, nadal była gospodą. Nigdzie, nawet w Grombie, nie dało się żyć bez jakichkolwiek uciech.

Oberżysta wylazł z piwnicy, gdzie siedział schowany w opróżnionej beczce po winie, i zapłakał jak bóbr, ujrawszy wielkoluda, przed którym go postawiono. Basergor-Kragdob nie wiedział, jak zareagować. Połykający łyzy mężczyzna pełzył na czworakach po podłodze, usiłując objąć go za kolana. Król Gór z najwyższym trudem rozpoznał człowieka, pod którego dachem wielokrotnie gościł przed laty i który skwapliwie mu się opłacał, bo zapewniało mu to święty spokój. Oberżysta znał Basergora-Kragdoba i bez mała był jednym z jego ludzi, a ściśle rzecz ujmując — jednym z ludzi Army, bo to do niej posyłał posłyszane wieści. Potem nastąpiły ciężkie czasy: podczas kolejnych zamieszek stracił najbliższą rodzinę, lecz zbyt późno podjął decyzję o ucieczce z Grombu i został, wykorzystując cały swój spryt i przedsiębiorczość dla ocalenia życia. Wciąż sprowadzał z Londu najpodlejsze trunki; pozwalano mu na to, bo ktoś sprowadzać je musiał.

Z opowieści nieszczęśnika wynikało, że w Grombie uchowało się dość wielu jemu podobnych mieszkańców. Wciąż żyło kilku zbrojmistrzów i mieczników, bo okupujące miasto bandy potrzebowały usług takich ludzi. Byli też inni rzemieślnicy, choć nieliczni, a najlepiej mieli się dwaj łotrzy, prowadzący domy z kobietami. Za psi grosz odkupywali branki od band łupiących pogranicza i sprowadzali tutaj. Jeden z owych łotrów był kimś niezmiernie ważnym, trzymał własny orężny oddział i powszechnie się z nim liczone.

Słuchając słów zdiadziałego karczmarza, który wyglądał na lat siedemdziesiąt, choć liczył pięćdziesiąt pięć, Glorm zastanawiał się, czy wielu podobnych nieszczęśników przetrzymało kolejną awanturę, tę, która właśnie dobiegała kresu. Możliwe, że jednak wielu. Ci ludzie zdążyli się już nauczyć, jak dbać o własne życie.

Grunt, że byli tu jacyś rzemieślnicy i kupcy. Rbit donosił wprawdzie, że tak jest, ale Kragdob nie bardzo w to wierzył. Występni handlarze i dzicy oberżyści, dość liczni w Riksie, byli już prawie całkiem nieobecni w

Badorze i wydawało się niemożliwe, by jeszcze wyżej w górach, czyli w Grombie, dało się znaleźć kolejnych. A jednak... Istoty rozumne potrafiły przetrwać w każdych warunkach.

Dokonawszy tego cennego odkrycia, Basergor-Kragdob kazał oberżyscie zająć się gośćmi. Gospodarz znowu zapłakał — nie miał nic, właściwie tylko najpodlejsze wino i ukrytą pod podłogą baryłeczkę gorzałki. Do tego zepsute peklowane mięso, cieszące się tu tak wielkim powodzeniem, że i ono musiało być chowane. Król Gór polecił rozpakować własne zapasy, które już nadjechały na grzbietach trzydziestu mułów i zlecił oberżyscie pieczę nad nimi. Zapowiedział, że wkrótce nadciągną kolejne karawany, idące śladem jego armii.

— Otwierasz gospodę na nowo — oznajmił. — Te zapasy to kredyt, którego ci udzielam, handluj nimi, karm gości, a oni mają płacić, nie będzie tu żadnego bezprawia. A tutaj masz trochę pieniędzy. Spłacisz mi pożyczkę z odsetkami, o których pomówimy kiedy indziej. Szlak do Badoru i niżej jest już bezpieczny, kontrolują go moje oddziały, możesz więc sprowadzać wszystko tak jak kiedyś. Za dwa miesiące chcę tu widzieć zajazd, w którym bez ujmy może się zatrzymać każdy zmęczony podróżny. Ma tu być tak jak przed laty. Jeśli ktokolwiek zacznie hałasować, ostrzeż go, że prowadzisz oberżę na moje polecenie i za moje pieniądze. Jeszcze dziś albo jutro każę przysłać ci jakichś pomocników.

Nie rzucał obietnic na wiatr. Połowa draństwa, które ze sobą prowadził, to były szumowiny z ulic zniszczonych górskich miast, a czasem nawet nie szumowiny... Niektórzy, za czasów imperium, żyli w gruncie rzeczy uczciwie, w każdym razie nie parali się występkiem na co dzień, a przystali do zbrojnych band, gdy nie było innego wyjścia. Glorm był gotów w ciemno przyjąć zakład, że na pierwsze wezwanie stawi się dziesięciu bohaterów, marzących tylko o suchej izdebce, dobrym żarciu i grzanym winku do poduszki, gotowych bronić tego szczęścia pazurami, gdyby zaszła taka konieczność. Mocno zresztą wątpił, by zaszła.

Gospodarz nie miał już łez, jął więc krztusić się dziwnym kaszlem i zachodziła obawa, że wyzionie ducha z wdzięczności. Kragdob uciął potok podziękowań, na stojąco zjadł kawał zimnej pieczeni, popił winem z własnych zapasów i wyszedł. Wydał polecenia. Wkrótce zaczęto doń sprowadzać rozmaitych nieszczęśników, kubek w kubek podobnych do karczmarza, powyciąganych z różnych dziur, czasem już srodze pobitych

i obrabowanych z resztek mienia przez oddziały zdobywców Grombu. Owych znacznych mieszczan nie było znowu tak wielu... Niektórzy pewnie jeszcze siedzieli w jakichś kryjówkach, ale drugie tyle zarżnięto, Glorm nie miał co do tego wątpliwości. Jakże zresztą mogło być inaczej?... Widząc obcego („Tron!"; „Ee?...") nawet bez żadnej broni, wojownicy Basergora-Kragdoba najpierw go grzmocili po łbie maczugami, a dopiero później pytali się nawzajem, co wróg robił pod zbutwiałym pledem w ciemnym kącie strychu, nad którym nie było dachu. Nie każdy z napadniętych miał dość rozumu i odwagi, by wrzasnąć opętańczo: „Łupy! Ja łupy kupuję, buty szyję, wszystko kupię! Ja kupię!”.

Ale były i dobre wieści. Zarżnięto owego bogacza-stręczyciela, o którym mówił gospodarz Kragdoba, wybito też jego poczet — lecz kobiety roztropnie oszczędzono, bo dowódca zdobywców miał dość rozumu, autorytetu i siły, by zapobiec rozgrabieniu odkrytego skarbcza. Cała zdobycz została zamknięta pod strażą — a były to smakołyki, które, rozsądnie wydzielane, pozwalały obłaskawić armię równie dobrze, jak złoto. Basergor-Kragdob ani myślał płacić w nieskończoność byle łachudrom i obwiesiom. Potrzebni byli tak długo, jak długo w Grombelardzie istniały liczne i dowodzone przez kogoś watahy im podobnych. Później, w doborowych oddziałach Króla Gór mieli znaleźć się tylko najlepsi. Lecz i tym wojownikom lepiej było płacić kobietami niż srebrem. A najlepiej po trochu jednym i drugim.

Powoli zbliżał się wieczór, ale miasto wciąż przetrząsano, polując na niedobitki hordy Behegala. Były to łowy prowadzone cokolwiek na oślep, bo bez żadnego planu, mogły więc trwać jeszcze długo. Zapominano o całych kwartałach, by w zamian, po raz trzeci lub czwarty, przeczesywać zbadane. Nie odnaleziono dotąd samozwańczego „Kragdoba”, o czym doniosła zmęczona Enita. W zamian wyszło na jaw, że nikt dotąd nie pomyślał o najpotężniejszej w Grombie budowli, jaką był pałac Przedstawiciela, czy też raczej stara górską warownia na pałac przebudowana. Ktoś załomotał w wieżeje i odszedł. Inny oddział próbował dostać się do środka, lecz było to mozolne i zniechęcające. Okazało się wreszcie, że w starej twierdzy siedzi jakaś banda. Bardzo to rozgniewało porażonych bełtami odkrywców, lecz i oni poprzestali na wyzwiskach, bo wrota wyglądały solidnie.

Twierdza... Mury i brama pozostały, lecz poza tym nie było niczego,

co prawdziwa twierdza mieć powinna. Baszty dawno przemieniono w mieszkalne budynki, a w stołpie, swego czasu, miał prywatną komnatkę sam Książę Przedstawiciel. Ktokolwiek się zamknął w owej „twierdzy”, liczył chyba na cud. Drzwi, choćby duże i mocne, to w końcu tylko drzwi. Machikuły wieży bramnej dawno zaślepiono; przecież ktoś tam mieszkał — urzędnik lub dworzanin — i nie mógł mieć dziury w podłodze.

Jednak Basergor-Kragdob, któremu nareszcie doniesiono, jak mają się sprawy, wzruszył tylko ramionami.

— Koniec wojny — rzekł krótko. — Zablokować twierdzę silnym oddziałem i to wszystko. Jeśli ktoś tam siedzi, to niech zdycha z głodu. Ja mam czas. Najpierw chcę mieć tutaj porządek. Zaraz wszyscy poumieramy w tym zapowietrzonym mieście. Podzielić ludzi. Do biegania po ulicach i domach wystarczy stu, byle mądrze dowodzonych i działających według jakiejś metody. Reszta sprzątać. Usłyszano? Do rana na rynku mają rosnąć róże.

Wspaniały żart przypadł do serca zebranej przed oberżą hołocie, chciwie nasłuchującej, co Basergor-Kragdob mówi do ich przywódców. Najbardziej radowali się ci, którzy nie mieli pojęcia, co to „róże”. Nic takiego w Grombelardzie nie rosło, a daleko nie każdemu z obecnych dane było podróżować po świecie.

Jakiś gorliwy oddział od dawna już krzątał się po rynku, wrzucając wszelkie świństwa do kloak i zasypując kamieniami. Mniej lub bardziej chętnie dołączyli inni, ale zaraz zakrzętnęli się z prawdziwym entuzjazmem, bo każdemu ze sprzątających obiecano osiem miedziaków. Niestety, wkrótce rozbrzmiały wrzaski; ktoś nadbiegł z wiadomością, że na jednej z ulic doszło do kłótni. Oddział wlokący trupy na przedmieście, by pogrzebać je gdzieś (o spaleniu raczej nie mogło być mowy), natknął się na drugi, który właśnie dopadł dwóch czy trzech niedobitków Behegala. Tak się nie dało pracować! Jedni zbierali trupy, a drudzy w tym samym czasie kładli na ulicach nowe!

Od dowódcy sprzątających oddziałów zażądano rozstrzygnięcia sporu i ukarania winnych. Nikomu na szczęście nie przyszło do głowy iść z tym do Basergora-Kragdoba. Ustalono, co następuje: chwycić wrogów, zamiast zabijać, zmuszać jeńców do wynoszenia trupów z miasta i dopiero potem szlachtować, w odpowiednich do tego miejscach. Rozesłano gońców do zbrojnych grup na ulicach. Pierwszy goniec wrócił

niebawem, rycząc co sił w płucach — napotkani kamraci, przeszukujący kamienice, kopnęli go w tyłek i pobili. Mieli negocjować z wytropionym wrogiem, chwycić, zamiast zabijać? A kto miał na to czas? I kto w ogóle umiał to robić? Chwycić można kobietę bądź świniaka w napadniętej wiosce, ale draba z oszczepem w garści? Za nogi czy za kapotę?

Problem świeżych trupów na ulicach pozostał nierozstrzygnięty.

Glorm trochę dumał, trochę popatrywał na łażących po rynku podkomendnych, trochę słuchał okrzyków, pogaduszek i sporów. Zamienił jeszcze kilka słów z dowódcami wciąż ściągających na rynek oddziałów, po czym dwóch zaprosił na naradę w oberży. Oprócz wezwanych towarzyszyli mu Dartańczycy i Enita.

Nikt nie wiedział, ani nawet nie podejrzewał, jak bardzo brakuje temu potężnemu wodzowi o nieprzeniknionej twarzy prawdziwego powiernika-przyjaciela, który mógłby dopilnować chociaż części spraw. Porozmawiać, tylko porozmawiać. Gdzie był Delen? Gdzie była Tewena? Czy naprawdę do niczego nie mogła się tu przydać?... Glorm zatęsknił do odległego, trochę wstydliwego wspomnienia, gdy kiedyś... zmęczony, pijany... żegnając się po wieczery, przykucnął nagle przed swoją badorską rezydentką i nie widziany przez nikogo oparł znużoną głowę na jej brzuchu. Może tęsknił za czymś, czego nigdy nie miał?... Zaśmiała się wtedy ciepło, trochę zaskoczona, ale bez żadnego wahania, bez zbędnego słowa, przygarnęła ten wielki jasnowłosy łeb i przez chwilę obojgu było dobrze... Dawno. Kiedyś. W przeszłości.

Już nie było Delena i nie było ciepłej Teweny. Pod nieobecność Rbita Basergor-Kragdob, otoczony swymi gwardzistami, rządzący setkami zbrojnych, był sam. Zupełnie sam.

W wielkiej, straszliwie zaniedbanej izbie, do której bywalcy przytoczyli wielkie kamienie do siedzenia, bo ławy i stoły żadną miarą przecież nie mogły się ostać, Kragdob wskazał miejsca swoim „doradcom”.

Groźni w boju Dartańczycy wciąż nie mieli pojęcia o niczym, co się wiązało z tym krajem. Obciążeni swym żelastwem, swymi barwnymi tarczami, świetnie sobie radzili na ulicach miast, a niechby jeszcze na trakcie. Wkrótce jednak należało ruszyć w góry. Czy ci ludzie potrafili chodzić po górach? Poza bezdrożami do zdobycia został tylko Rahgar — i koniec. Dzikie wojsko Basergora-Kragdoba było w takiej samej sytuacji,

jak kiedyś Legia Grombelardzka: kontrolowało miasta i łączący je szlak. Lecz w górach istniały dziesiątki sadyb, kryjówek, „wysokich wiosek”, do których należało chociaż zajrzeć, by pokazać siedzącym tam drabom zaciśniętą pięść.

Przyjrząwszy się z wyraźnym namysłem dartańskim rębajłom, grombelardzki król zwrócił z kolei spojrzenie na Enitę. Ale tutaj już w ogóle nie mógł liczyć na wsparcie. Perełka kompletnie zgłupiała, odkąd ją zabrano z dartańskiego domu. Tak bardzo chciała się przydać, że o niczym innym nie myślała. Glorm nie wiedział, jak jej dać do zrozumienia, żeby wyrzuciła ten swój śmieszny łuk i z powrotem została jego niewolnicą albo chociaż — służką. Żeby z nim porozmawiała tak jak kiedyś; żeby znowu była rozzębioną i rozsądną dziewczyną, nikim mniej ani więcej. Żeby przestała robić maślane oczy na wszystko, co powie jej dowódca. Niegdyś potrafiła kłócić się ze swym panem i właścicielem; potrafiła spojrzeć zadziornie („A ty, panie?..”). Teraz w żaden sposób nie umiała wesprzeć... a cóż dopiero ofuknąć, choćby żartobliwie... towarzysza wojennej doli i niedoli.

Pozostali mu dwaj dowódcy, których wezwał. Obu znał z dawnych czasów, choć nie przynależeli do kręgu przyjaciół. Byli doświadczonymi żołnierzami bezdroży, tylko tyle; kiedyś służyły mu dziesiątki takich.

— Rbit, jak zwykle... — zaczął i urwał.

Chciał powiedzieć, że kocur jak zwykle robi swoje, nie oglądając się na nic. Jak większość czworonożnych rozumnych, źle znosił działanie w zespole. Mimo to, jego obecność w Górach dawała się odczuć niemal na każdym kroku. W każdej wrogiej orężnej grupie zaraz znajdował się ktoś, kto donosił Kragdobowi o jej składzie, liczebności i zamiarach. W każdym mieście siedział jakiś wywiadowca, ujawniający się w odpowiednim czasie, by złożyć treściwy raport. Kocur był już wszędzie, w każdą dziurę zdążył wetknąć nastroszone wąsy, jeśli kogoś nie skaptował, to przynajmniej zabił i w ten sposób zlikwidował kłopot. Wszystko wiedział, o wszystkim już słyszał. W zamian prawie nikt go nie widział, choć wszyscy na wyścigi przysięgali, że wrócił. Że jest w Grombelardzie, w Badorze. W Grombie, w Rahgarze, już w Londzie, w górskich wioskach, na trakcie i gdzieś jeszcze. Wszędzie w tym samym czasie. Przygotowano już dziesięć, może nawet więcej zasadzek, a także zamachów na życie Basergora-Kragdoba, lecz ani jeden nie doszedł do

skutku. Zawsze ktoś zdradził, ostrzegł, zapobiegł... Albo napadła na spiskowców jakaś inna, poszczuta w porę grupa. Rbit był niezastąpiony — ale nieobecny. Przysyłał tylko wieści. Co począć z tymi wieściami, było sprawą Glorma.

Kragdob milczał przez chwilę, bo nie miał z kim rozmawiać o działaniach swego przyjaciela. Ci tutaj, dowódcy watah, mieli w nim widzieć tylko wszechobecnego i wszystkowiedzącego Księcia Gór.

— W Riksie i Badorze mamy garnizony, tutaj zostawimy trzeci, równie silny. Trakt ma być przejezdny, zwłaszcza dla handlarzy. Tylko głupiec może wyobrazić sobie, że w Ciężkich Górach da się wysiedzieć tak, jak siedzieli ci tutaj, bez niczego, nawet bez jedzenia, bo nie mieli tu jedzenia, tylko żarcie. I nie chodzi o to, czy komuś śmierdzi, czy nie. Chodzi o to, że nie istnieje taki wódz, który utrzyma się przy władzy, jeśli będzie dawał wojownikom tylko rzezie. Do rzezi prowadzi może każdy, a ofiarą jednej padnie wódz, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto obieca więcej, i stada pójdą za nim. Tak jak poszły za mną. Ale ja obietnic dotrzymam i wy za to odpowiadacie. Obaj zostanieie w Grombie, ty dowodzisz, a ty mu pomagasz. Dostaniecie tylu żołnierzy, ilu trzeba, ale jeśli nie sprostacie zadaniu, wrócę tu. Jedna karawana. Tylko jedna karawana przepadnie na szlaku, a obu każę zabić i nie będę pytał, dlaczego karawana przepadła. Wolno zrezygnować. Ty? A ty? Rzecz jasna. Podjęliście się, pilnujcie swoich głów.

Dowódcy nie byli zdziwieni sposobem, w jaki postawił sprawę. U boku Kragdoba tak właśnie dochodziło się na sam szczyt. Nie było innej drogi.

— Rzeź, nie wątpię, to pyszna zabawa — mówił dalej — ale potem trzeba posilić się, odpocząć, wziąć kobietę. Te trzy rzeczy. Powiedziałem to w Riksie, powtórzyłem w Badorze, teraz mówię w Grombie i powiem jeszcze raz, w Rahgarze. Te miasta mają być górskimi twierdzami, jak niegdyś. Nie za czasów imperium, lecz dawniej, gdy prawdziwi wojownicy siedzieli tutaj, w swoich fortecach, w których było wszystko. Zawsze mogli ruszyć, prowadząc swoich żołnierzy, i tak samo zawsze mieli dokąd wrócić. A ruszali, gdy było im wygodnie, nie dlatego, że z dnia na dzień brakło żarcia albo opału. Na Bezmiarach dwie małe wyspy z jednym portem śmieją się z Armektu i Dartanu. Wracający z wypraw żeglarze mają tam strawę, schronienie i kobiety, więc obronią Agary

przed każdym. Tutaj, w Ciężkich Górach, powstaną cztery takie wyspy, cztery twierdze, których nikt nie zdobędzie. Przynajmniej dopóki ja żyję.

18.

Była w dartańskim powietrzu (a może agarskich wichrach?...) rozpuszczona nieznana trucizna, tajemnicze opary... Cokolwiek to było, wsiąkło w ogromną duszę wojownika Gór i grombelardzkie deszcze nie umiały tego wypłukać. Żył terażniejszością, nie za bardzo potrafił myśleć o przyszłości, za to stale tęsknił do czasów minionych. Albo i jeszcze gorzej, bo nawet nie do czasów, nie do życia, które prowadził, nie do młodości. Trochę do ludzi. Lecz najbardziej do tego wszystkiego, co być mogło, ale się nie spełniło.

Przy jednej z wiodących do rynku ulic stała kiedyś oberża podobna do tej, która właśnie miała szansę podnieść się z ruiny. Cieszyła się opinią przyzwoitej, przynajmniej za życia właściciela, bo potem przejęła ją jego schorowana żona i zajazd mocno podupadł. Glorm pamiętał te wszystkie, niemające przecież żadnego znaczenia, szczegóły. Kazał odpoczywać Dartańczykom, odprawił zaniepokojoną Enitę i wyszedł na ulice nie wiadomo po co, a dowiedział się, gdy ujrzał gruzy gospody. Ruszył szukać wspomnień i tego wszystkiego, co niestety się nie spełniło.

Zmierzchało. Dartańska (a może agarska?) trucizna wciąż działała. Basergor-Kragdob był zmęczony udawaniem, że jest tym samym człowiekiem, co niegdyś. I poddał się, bo już nie miał siły do walki z własną duszą. Jeszcze kilka tygodni wcześniej zachnąłby się pewnie i poszedł dalej ulicą, ale teraz nieśpiesznie przekroczył próg zrujnowanego domu, a potem po resztkach ściany — bo nie było schodów — wspiął się na piętro i zrobił kilka karkołomnych kroków po grubej jak udo belce, która miała dźwigać sufit. Przytrzymując się szczerbatych murów, wszedł do izby, w której brakło powały i jednej ściany. Znalazł trochę miejsca na resztkach podłogi.

Pamiętał nawet, gdzie był stół. Wtedy leżały na blacie ogarki świec, skórzany but, stała miska z resztkami posiłku i kilka pustych dzbanów po piwie.

„Ile piwa może wypić kobieta?” — zapytał wówczas kota, który mu towarzyszył.

Kot odpowiedział jakimś cynicznym żartem, który widać nie był aż tak dobry, by go pamiętać po dziesięciu latach.

Pijana kobieta leżąca na prycy, wcale jednak nie była pijana.

Udawiała, bo minionej nocy ktoś próbował ją okraść. Więc zastawiła pułapkę. Powiedziała wtedy:

„Piję piwo, bo lubię, dlaczego miałabym nie pić? Udało mi się oszukać kota; jestem wielka!”.

Rbit rzeczywiście dał się oszukać, ona zaś naprawdę taka była. Wielka, a może największa grombelardzka legenda.

Nie istniała już prycza, zniknął stół, brakowało nawet ściany z małym oknem. Pozostała tylko ta legenda.

Mijały chwile, długie, nieruchome. Cisza trwała i trwała.

— Czy odczepisz się wreszcie ode mnie, kobieto? Wróć na zawsze, albo na zawsze odejdz. Bylebym tylko nie musiał wciąż cię szukać.

W niepotrzebnej już nikomu izbie bez ściany, bez powały i z zarwaną podłogą, nie było jednak miejsca dla dwóch osób.

— Przekleństwo — rzekł Kragdob. — To jakieś przekleństwo, słyszysz? Jedno pytanie... i tylko jedna odpowiedź? Pomyliłem się, i co mam teraz zrobić? Wróć, Łowczyni, i zapytaj mnie jeszcze raz. O co chcesz.

Znowu zaczęło padać. Z głębi miasta dobiegły jakieś wrzaski. Było już całkiem ciemno. Basergor-Kragdob mógł zakończyć podbój Grombelardu w najgłupszy z możliwych sposobów: ze skrzyconym karkiem, pod ścianą zrujnowanej gospody.

— Zawsze chciałaś zobaczyć Rahgar, mówiłaś. Całe życie w Górach... i nigdy w Rahgarze? Jadę tam teraz. Opowiem ci, jak tam jest. Tylko kotów z Rahgaru już nie ma... Ale przecież ty wiesz. Ty i Raner. A mnie wtedy z wami... nie było.

Pochylił głowę.

— Tewena jednak miała rację, Kareniro. Przywlokłem się tutaj, żeby złożyć na ziemi swoje gnaty. Nie wiem, dokąd wróciłem, ale to na pewno nie jest Grombelard. Wiesz, gdzie jest Grombelard?

Przytrzymując się ściany, w której niegdyś były drzwi, wyszedł z izby. Gruba belka ledwie ledwie majaczyła w ciemności.

— Tam gdzie Raner, Tewena, Arma...

Przeszedł po belce.

— ...Rbit, Delen i ty.

*

W gospodzie wyglądano go z niecierpliwością. Miał prawo chodzić,

gdzie mu się podoba, ale jego gwardziści mieli prawo odczuwać niepokój, co przyjął do wiadomości.

— Nigdzie już nie idę — zapewnił, przystając na chwilę w wielkiej izbie, którą z wolna przemieniano w sypialnię dla Dartańczyków i ich sług. — Enito, przygotowałaś dla nas jakąś kąt?

— Tak. Ale nie jest tam zbyt wygodnie.

— Gdybym pożył wygod, tobym siedział w Dartanie — rzekł sucho. — Chcę wstać o świcie, dzisiaj już żadnych rozkazów, żadnych spraw.

— Tak, panie.

Łuczniczka nie odstępowała go na krok. Także i teraz przygotowała sobie legowisko przy drzwiach. Rozpieszczona dostatkami perełka nigdy nie dała po sobie poznać, jak jej źle na cienkim pledzie, pod którym nie było nawet wiązki słomy. Stale marzła, wiecznie w mokrym odzieniu. Męczył ją ostatnio uporczywy kaszel, zwłaszcza w nocy, gdy znalazła wreszcie pod okryciem odrobinę ciepła. Dowódca... gdy jeszcze był jej panem, w Dartanie... brał ją czasem do sypialni, podobnie jak inne niewolnice. Odkąd wyjechali nic takiego nie miało miejsca. Chciała być gwardzistką, no to była. Takim... takim chodzącym łukiem albo mieczem. Nie tylko Basergor-Kragdob tęsknił za swoim utraconym domem, którego już nigdzie nie było.

Kąty izby zalegał mrok, płonęła tylko jedna licha świeca, przyniesiona z dołu przez gwardzistkę. Królewska komnata Króla Ciężkich Gór. Łuczniczka usiadła na swym legowisku, opierając głowę o ścianę. Mężczyzna odpiął pas z mieczem, potem drugi, przewieszony przez plecy.

— Wasza godność, nie zabrałam...

Przerwał jej niski głos dochodzący z ciemnego kąta:

— Zapnij to wszystko z powrotem, Glorm. A ty, Enito, jakim cudem wciąż żyjesz?

Gwardzistka stłumiła okrzyk zaskoczenia. Basergor-Kragdob miał mocniejsze nerwy, ale drgnął i on.

— Rbit — powiedział. — Czasem mi cię brakuje, ale gdy już jesteś, mam dosyć twoich żartów.

— To nie żart — odparł kocur, nadal niewidoczny. — Zależało mi, żeby nikt mnie nie widział. Podpatrzyłem, gdzie Enita nosi twoje kłamoty, siedzę tu i czekam.

— Doczekałeś się. Wyjdź z tego kąta. Chowasz się i straszysz mi przyboczną? A gdyby wrzasnęła?

— To się zdarza, gdy kobieta i mężczyzna razem idą do zamkniętej izby — skonkludował kot, przeciągając się łapa za łapą i wyłaząc na środek pomieszczenia.

— Wasza godność, jesteś bardzo dowcipny — chłodno orzekła Enita.

Ale Rbit, podobnie jak Glorm, miał słabość do pierwszej niewolnicy domu.

— Ty zaś nie wrzeszczysz z byle powodu i na pewno nie zdradzisz, że tu jestem.

Uśmiechnęła się mimo woli. Rbit był niegdyś równie dobrym panem, jak Glorm. A o wiele mniej wymagającym.

— Jest dwóch ludzi, przyjacielu. — Kocur uznał, że dość już powitań i przekomarzań, pora przystąpić do rzeczy. — Jednemu ufasz ty, drugiemu ufa Behegal.

— Behegal siedzi w twierdzy.

— Nie jest taki głupi, za jakiego go masz. Wszyscy myślą, że siedzi w twierdzy, ale siedzi gdzie indziej.

— Gdzie?

— Teraz? Nie wiem. Gdzieś w mieście.

Kragdob pokiwał głową.

— Rzecz jasna. No, mów.

Powiadano, że dla kota rozmowa z człowiekiem jest tym samym, co porozumiewanie się w obcym języku. Jeśli tak było w istocie, to Rbit doskonale mówił po... ludzku. Trochę inaczej rozmawiałby w cztery oczy z Glormem, ale teraz zależało mu, żeby i gwardzistka pojęła, o co chodzi.

— Behegal ma kogoś, komu ufa — wytłumaczył. — Nie powinien, bo to mój wywiadowca. Ale ty też masz kogoś, komu ufać nie powinienes, bo to wywiadowca Behegala.

— Kto?

— Ten, co na ochotnika przeczesuje właśnie miasto z żołnierzami, których mu powierzyłeś. Behegala na pewno nie znajdzie.

Glorm zmarszczył brwi. Zdrada zawsze bolała.

— Nie bądź głupi — rzekł kocur. — Bardzo dobrze, że masz kogoś takiego. Przed świtem przyjdzie do ciebie z fałszywą wiadomością od przyjaciela. Poda nasze hasło. Powie, że Basergor-Kobal kazał mu gdzieś

cię sprowadzić, żeby porozmawiać w cztery oczy.

Glorm skinął głową. Mógłby złapać się na to; tak samo spotkali się z Rbitem w Badorze. Kocur rzadko chciał być widziany przez kogokolwiek, zwykle przysyłał swojego szpiega z hasłem i wieścią, gdzie go szukać.

— Skąd ta kanalia zna hasło?

— Ode mnie. Nie bezpośrednio. Przekazał je ten drugi, któremu ufa Behegal.

Knowania Rbita zawsze były męczące. W jaki sposób ten koci wojownik, magnat i intrygant, układał swoje gry? Glorm nigdy nie miał do tego cierpliwości.

— Rzecz jasna. A teraz krótko.

Trafiło to w kocie poczucie humoru. Rbita rozbawiło, że człowiek żąda od kota zwięzłości.

— Pójdiesz na rzekome spotkanie ze mną — rzekł po chwili, wyparskawszy się do woli. — I ja tam rzeczywiście będę, co okaże się w swoim czasie. Zabijemy tych, co na ciebie czekają, a wtedy przyjaciel Behegala, ten, któremu nie powinien ufać, powie nam, gdzie jest jego wódz. Przynajmniej mam taką nadzieję.

— Nadzieję?

— Może tego nie wiedzieć. Nie wiem, jakie rozkazy odebrał, nie mogę być wszędzie jednocześnie. A jeśli nawet gdzieś jestem, to nie zawsze mogę z każdym porozmawiać.

— Ilu?

— Ośmiu, dziesięciu.

— Ani myślę rąbać się z nimi. Poślę tam kogoś.

Ze względu na siedzącą cichutko Enitę Rbit nie wyjawiał, co myśli.

— Ale zdrajca nie zaprowadzi tam „kogoś”, tylko ciebie.

— Zaprowadzi tego, kogo będzie musiał.

— Glorm, jeśli ktokolwiek obserwuje dom, w którym urządzono zasadzkę, to doniesie Behegalowi, że poszedł tam Kragdob rozmnożony do dwudziestu rzeźników. Nie po to urządzam zamach na ciebie, żeby zaraz miał miejsce kolejny.

Mężczyzna zamyślił się.

— Wasza godność — powiedziała Enita do kocura — to jednak chyba zbyt niebezpieczne.

— Gwardzistko, gdybym chciał poznać twoje zdanie, tobym pytał.

— Tak, ale ja muszę... — Zakasłała.

— Jak najszybciej wrócić do Dartanu. Nie z tobą rozmawiam, kobieto. Nic już nie powiedziała.

Glorm milczał i milczał. Nigdy nie mógł pojąć, jak to właściwie jest, że istota nie potrafiąca kłamać umie włożyć kłamstwo w usta innych istot. Była tu sprzeczność, której nie rozumiał.

Lecz widocznie nie było jej dla kota.

A może ów problem dotykał zgoła samej natury fałszu i prawdy? Dwóch pojęć tak nieoczywistych, rozpiętych między przemilczeniem, omyłką i niezrozumieniem z jednej, a pragnieniem i wiarą z drugiej strony. Czyste kłamstwo i szczerą prawdą leżały być może gdzieś pośrodku, ale gdzie dokładnie — chyba nikt nie wiedział. Nie umieli tego rozstrzygnąć nawet ludzie, we własnym swoim gronie. Tym bardziej więc było możliwe, że dwa odmiennie zbudowane umysły, ludzki i koci, tak samo odmiennie ważyły i mierzyły prawdę.

Król Gór Ciężkich był zresztą ostatnią istotą na świecie, która miałaby ochotę roztrząsać takie problemy.

*

Lada chwila miał zbudzić się ranek, lecz na razie światło zebrane ze wszystkich zakamarków Grombu nie wystarczyłoby do stworzenia nawet jednego słabego promyka. Tylko na rynku migotały ognie, potrzebne do sprzątanania, które trwało przez całą noc. I tylko tam trwała krzątania. Gdzie indziej, pośród mżawki, w mroku pod ciężkimi chmurami, płynęły jedynie długie fale wiatru, zwanego „oddechem Gór”. Nasilający się, to znów słabnący prąd powietrza, podobny kolejnym wydechom z gigantycznych płuc.

Nie było śladu przedświt. Nie nadszedł też świt. Potem, niemal w jednej chwili, niebo poszarzało; był już dzień.

Czterdziestoletni, brodaty i czarnowłosy mężczyzna w kolczudze i narzuconym na ramiona szarym płaszczu siedział pod ścianą pustej izby na drugim piętrze kamienicy. Towarzyszyło mu dwóch innych ludzi, też w kolczugach, dobrze uzbrojonych. Wszystkie schody były zarwane, na piętra dało się wejść tylko za pomocą drabiny, a właściwie sznurowej drabinki. Zwinięta, leżała pod ścianą.

Dowodzący niedawno setkami zbrojnych Behegal, zwany przez swoich Kragdobem, siedział zaszyty w dziurze niczym szczur. Jego

bezpieczeństwo zależało od rozsądku i dobrej woli człowieka, który dowodził nocnymi patrolami na ulicach Grombu, a jeszcze bardziej od lenistwa zbirów, którym na pewno nie chciało się wspinać na niedostępne piętra w byle domu.

Przez wyrwane okno wlewała się do izby szarówka.

Behegal potrafił czekać. Być może potrafił nazbyt dobrze... Przegapił swoją szansę, bo właśnie czekał zbyt długo. Mógł oddać Gromb dawnemu władcy Gór, który był łaskaw po latach upomnieć się o swoje królestwo; mógł z wielkim hałasem stanąć u jego boku, lecz zamiast tego wahał się, czekał i czekał... Nie wiadomo na co. Może na wynik układów z Kobalem, który nie chciał żadnego przymierza. Behegal gotów byłby przejść na stronę legendarnych bohaterów — lecz żądano odeń czego innego, a mianowicie życia. Miał powiesić się, zginąć z własnej ręki, bo sięgnął po wojenny przydomek i tytuł wzgardzony przez kogoś innego.

Lecz zawsze ktoś sięgał po ten tytuł. W Górach musiał być jakiś Kragdob.

Zbyt długo czekał. Znał koty i wiedział, że nie zmieniają zdania ani nie odwołują raz powziętej decyzji. Na co liczył? Należało stawić się przed samym Kragdobem i może uczynić coś, co zjednałoby jego szacunek. Rzucić wyzwanie... A może tylko zażądać trudnej, niemal niemożliwej do spełnienia misji. Lecz Behegal uniósł się niechęcią i honorem — i to może była najważniejsza przyczyna, dla której zwlekał i zwlekał. Nie chciał korzyć się przed wodzem, który porzucił Grombelard, poszedł sobie dokądś, a potem wrócił, jak po swoje. Powinien się korzyć, ale nie chciał.

W małej i taniej duszy górskiego wojownika, który mianował się królem, gdy lepszych odeń zabrakło, tylko jedno uczucie było wielkie: szczerą miłość do brzydkiego, niegościnnego kraju, miłość nienazwana, albo może okryta fałszywymi imionami, jak swoboda, wolność, sława... Ale jednak to była miłość, którą podzielało wielu. Nie dla sławy biegali po górach i nawet nie dla wolności; mogli przecież czynić to gdziekolwiek, gdzieś, gdzie nie padał deszcz, nie wiał wiatr. A jednak było coś w tym skalistym potworze, co kazało go kochać. Co? A któż wiedział?...

Behegal nie bał się śmierci, bo widział ją z bliska sto razy, zaglądał w oczy i w tych oczach nie dostrzegł niczego strasznego. Gdyby nie było śmierci, gdyby nie mógł jej ujrzeć, dotknąć, nie umiałby cenić życia. Więc bawił się ze śmiercią w chowanego. Jak każdy tutaj, w tym kraju.

Teraz bawił się po raz kolejny. Umiał marzyć, więc marzył o chwili, gdy zanieśie na rynek łeb zdrajcy i powie: „Tak kończą ci, co porzucają Ciężkie Góry”. Będzie stał na czele swego malutkiego pocztu i czekał, co zrobią wojownicy na rynku. Dotknie śmierci po raz kolejny, bo nie umiał przewidzieć, co zrobią. Będzie cenił życie, będzie chłonał je całą pierśią, wspaniałe jak nigdy dotąd — albo w końcu, tym razem, da się złapać śmierci i odejdzie jako pogromca największego Kragdoba w dziejach; pogromca, którego nieśmiertelne imię na zawsze już wrośnie w Ciężkie Góry.

W sąsiednim kwartale ulic toczyła się właśnie walka, która miała o wszystkim zdecydować. Behegal chciał wziąć w niej udział, ale rozsądek zwyciężył. Wybrany na pułapkę dom nie był twierdzą, jak ten tutaj. Po ulicach wciąż krążyły wrogie patrole, z których każdy mógł odkryć przyczajonych w starej kamienicy zbrojnych. Służący mu dowódca tych patroli nie mógł być wszędzie jednocześnie, a choćby nawet był gdzie trzeba, to nie wszystko mógł nakazać i nie każdej rzeczy zabronić. Musiał zachować ostrożność, ustrzec się podejrzeń. Nie mógł powstrzymywać wojowników przed myszkowaniem po domach, skoro właśnie takie zadania im wyznaczono. Mógł najwyżej ominąć jakiś kwartał, „zapomnieć” o nim... Lecz ktoś inny mógł mu przypomnieć.

Behegal siedział więc w swojej „fortecy”, bo nie chciał paść trupem z ręki byle rzezimieszka. Usłyszał gdzieś i zapamiętał sobie słowa, że dowódca ma wydawać rozkazy, nie nadstawiać karku. Rzadko stosował się do tej reguły, ale teraz wydała mu się słuszna. Dopóty, dopóki żył, mógł jeszcze czegoś dokonać. Może tylko wymierzyć komuś karę? Chciał choć raz postąpić jak prawdziwy Basergor-Kragdob, Władca Ciężkich Gór. Wydać polecenie i z godnością czekać, aż zostanie dokładnie wykonane.

Ranek przemienił się w dzień. Niepodobna było dłużej zwlekać. Po co zresztą? Spośród przyczajonych w zasadzce zabójców żaden nie wiedział, gdzie go szukać. Zbytek ostrożności? Być może. Lecz Behegal stapał po pajęczej nitce i nie mógł być nazbyt ostrożny.

— Idziemy.

Rzucono w dół sznurową drabinkę.

Ośmiu ludzi w starej kamienicy, uzbrojonych w kusze, okrytych kolczugami i przy mieczach. Jego straż przyboczna, najlepsi, jakich miał.

Nikt nie mógł, w pojedynkę, pokonać ośmiu takich. Lecz wiele razy już próbowano osiągnąć olbrzyma z jasną brodą i nigdy się nie udało. Zawsze ktoś doniósł, zdradził.. Mogło tak być i teraz. Pewnie było. Zamiast Kragdoba przybył oddział, przed którym siedzący w kamienicy gwardziści musieli co szybciej uciekać. O ile zdołały ich ostrzec wysunięte w górę i w dół ulicy posterunki. I o ile nikt tych posterunków nie wykrył..

Behegal miał już dość niepewności.

Ulice były puste.

Przemykając zaułkami, cicho i ostrożnie, Behegal i towarzyszący mu przybocznik przekradli się w pobliże domu-pułapki. Stał cichy. Na grząskiej ulicy leżały jakieś wyrwane ze ścian, połączone zaprawą kamienie. Wykopano dół — nie wiadomo, kto to uczynił ani po co — w którym utworzyła się błotnista sadzawka. Kolejne chwile mijały, wlokły się jedna za drugą.

— Idź przodem.

Gwardzista poszedł. Przebiegł ulicę w poprzek, plaszcząc w błocie, i zniknął w głębi domu.

Ale wyszedł niemal natychmiast. Nie był sam. Behegal poczuł mocne uderzenie serca, bo poznał jednego ze swych ludzi. Albo więc nikt nie przybył, albo... udało się.

Biegiem, wyprzedzając drugiego przybocznego, czarnobrody Kragdob przemierzył otwartą przestrzeń i wpadł do budynku. Przy samych drzwiach natknął się na dwóch zabitych ludzi. Jeden miał krwawą dziurę w brzuchu, drugi zaś ukręcony łeb. Zupełnie jak kurczak, bo podbródek opierał na łopacie.

Krok za krokiem Behegal przemierzał kolejne puste izby.

Zastrzelony z kuszy chudzielec opierał się o ścianę, wytrzeszczając martwe oczy na towarzysza przed sobą, jakby o coś pytał. Ale wydawało się możliwe, że to właśnie od niego, omyłkowo, otrzymał śmiertelny postrzał. Człowiek ten spoczywał w kałuży krwi tak wielkiej, jakby wypłynęła z kilku ciał. Przestawało to dziwić, gdy wzrok trafił na rany po obu stronach szyi, odsłaniające zerwane tętnice. Czerwone dłonie trupa zastygły blisko twarzy, jakby ranny próbował do ostatka zatrzymać tryskające zeń życie, co się nie udało.

W ostatniej izbie zabici byli rozrzućeni po kątach; wydawało się, że

porwała ich trąba powietrzna. Dwóch rozbito o ściany, trzeciemu wystawały tylko nogi ze spiętrzonej w kącie pryzmy potłuczonych glinianych skorup, pokruszonych cegieł i kamieni.

Behegal milczał.

Za plecami posłyszał kasznięcie. Odwrócił się i stanął oko w oko z najgroźniejszą grombelardzką legendą, której nie dało się wyrwać z Ciężkich Gór. Wielki jasnowłosy mężczyzna miał na sobie bardzo porządny, ale prosty i trwały przyodziewek, godny pierwszego z brzegu przebiegacza gór: grubą czarną spódnicę, kryjącą cholewy skórzanych butów, wyżej zaś niedźwiedzi kaftan, spod którego wystawały postrzępione, nierówne rękawy solidnej kolczugi. Na kaftanie były związane pasy ze słynnymi mieczami, jeden na biodrach, drugi na ukos przez pierś. W dłoniach dzierżył kuszę z nałożonym na cięciwę bełtem, z rękawa zaś spływała, urywając się na nadgarstku, kręta czerwona strużka; krople kapały jedna za drugą, plamiąc but. Kragdob milczał, uniósł tylko zdrową rękę i wskazał kciukiem za siebie — to wystarczyło, by jedyny z zaczajonych w pułapce gwardzistów Behegala, który nie stracił życia, posłusznie opuścił pomieszczenie. Wiadomo już, dlaczego nie stracił... Zawsze i zawsze zdrada.

Behegal i dwaj przybocznicy zostali sami z milczącym olbrzymem.

— Będę walczył o swoje miano — powiedział czarnobrody. — Nawet z tobą. Ale chciałem najpierw coś rzec. Żebyś wiedział, czemu z tobą walczę.

Basergor-Kragdob uniósł potężną kuszę, zdobytą na jednym z niedoszłych zabójców, i zwolnił cięciwę, przeszywając pociskiem na wylot czarnowłosy łeb uzurpatora. Przybocznicy rzucili się naprzód. Pierwszy otrzymał cios kuszą, od którego trzasnęły kości policzka i szczęki. Drugi nie dojrzał wielkiego kocura, wskakującego do izby przez okno. Kocur odbił się od podłogi i dzwoniąc kolczugą, runął mu na plecy z istic zwierzęcą szybkością — lecz przecież nie był zwierzęciem i wiedział, gdzie dwunożna istota ma tętnice. Zakotwiczone w szyi pazury wyrwały strzępy mięsa, gdy bury wojownik odbił się tylnymi łapami raz jeszcze, tym razem od pleców napadniętego. Trysnęła krew, gwardzista wrzasnął i okręcił się na pięcie, lecz wróg odskoczył do tyłu i przez chwilę trwała przerażająca, a zarazem śmieszna gonitwa. Zabawa... bo zaiste: zabawa w kotka i myszkę, przy czym myszka goniła kotka.

Kragdob, waląc kuszą niczym maczugą, zatłukł pierwszego przybocznego i przerwał niedorzeczne wyścigi, grzmocąc resztkami oręza łeb półtrupa uganiającego się za kotem, ten zaś obraził się chyba, bo bez słowa wylazł przez okno i przepadł. Glorm przez to samo okno wyrzucił potrzaskany samostrzał i raz jeszcze przywołał tajnego wywiadowcę, który zdradził swego wodza-samozwańca.

— Urznij mu łeb — polecił — i zanieś przed bramę miasta.

Wychodząc, dorzucił jeszcze:

— Ten bełt dobrze wygląda, niech zostanie.

Wkrótce potem triumfujący zdrajca, pośród dzikiej radości zgromadzonych wojowników, niósł przez rynek, niczym gównu na patyku, przebitą bełtem głowę Kragdoba-uzurpatora.

19.

Dość długo trwało, nim jej godność Tewena postawiła stopę na portowym nabrzeżu w Londzie. Zanim opuściła Rapę, musiała załatwić kilka spraw. Przede wszystkim posłała kuriera do Riksu, spełniając prośbę przyjaciółki. Kurier miał powiadomić Kragdoba, a jeszcze lepiej Kobala, o decyzji powziętej przez Namiestniczkę Sędziego. Drugi list Tewena posłała do domu, uprzedzając syna, że jeszcze nie wraca.

Potem czekała. Z Rapy do Riksu nie było bardzo daleko, dobry jeździec mógł dojechać tam i wrócić w kilka dni. Przyjaciółka Kragdoba chciała wiedzieć, czy kurier dotarł i co postanowili władcy Gór.

Nie dowiedziała się. Albo jej gońca spotkała zła przygoda, albo odpowiedzi nie było. A może nawet była, lecz zła przygoda mogła przecież spotkać i kuriera wiozącego odpowiedź... W Grombelardzie trwała wojna, o której już dotarły do Rapy pierwsze wieści. To nie była jakaś drobna potyczka stoczona przez dwie górskie bandy. Okazało się naraz, że Szerer jest bardzo mały... Echa z dzikiego kraju, do którego nikt rzekomo nie zaglądał, szybko dotarły na armektańskie i dartańskie pogranicze, a potem rozlały się dalej. W Rapie powiadano zgoła o setkach, jeśli nie tysiącach wyrzynających się górali, o zajęciu Riksu, a potem Badoru przez zebrane w potężną armię hordy, które zwróciły się przeciwko innym. Tewena, jak każda Armektanka znająca trochę historię Szereru, bo w jej kraju nawet do wiosek zaglądali wędrowni bakałarze, najpierw zdziwiła się trochę. Wiedziała, że przed wiekami Armekt zmitrężył na podbicie Grombelardu kilka lat, i upłynąć musiało jeszcze ćwierćwiecze, nim okrzepła kontrola nad górami; nigdy zresztą nie okrzepła do końca. Teraz miały wystarczyć tygodnie?...

Mogły jednak wystarczyć; po namyśle Tewena przestała się dziwić. Kiedyś armektańskie legiony, złożone z ludzi nie znających gór, tłukły się z wojskami — bo jednak wojskami, nie bandami — srogich rozbójników-rycerzy, którzy wprawdzie nigdy nie umieli stworzyć państwa, lecz mieli naprawdę silne miasta-księstwa w górach. Teraz było zupełnie inaczej. Badorska rezydentka Kragdoba lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jakie „wojska” biegają po bezdrożach. Niekarne, dzikie, kiepsko uzbrojone, marnie dowodzone. Przede wszystkim złożone z „żołnierzy”, którzy nie widzieli żadnej korzyści w popieraniu słabych wodzów

przeciwko wodzowi silnemu i nie bali się nowych porządków, bo te nowe porządki miały być w rzeczywistości porządkami starymi. Basergor-Kragdob wrócił! I w jednej chwili stanął na czele armii, która ze wszystkich stron świata zbiegła się ku niemu.

Tewena wyprawiła drugiego posłańca, lecz tym razem nie czekała na odpowiedź. Opłaciła podróż na pokładzie pierwszego żaglowca, który płynął do Londu, a raczej do Dartanu, lecz po drodze zawijał do Londu, by wysadzić podróżnych, których nigdy nie brakło na tym szlaku. Nie musiała długo czekać na okazję, bo ruszała właśnie na jeden z najbardziej uczęszczanych morskich szlaków Szereru.

Tewena była kiedyś w Londzie, lecz od tamtej pory minęło małe dwadzieścia lat. Nie ogłuszył jej gwar portowej dzielnicy, choć domyślała się, że za czasów imperium na pewno było tu spokojniej. Jednak, ostatecznie, port to port. Nie pierwszy i nie ostatni, jaki widziała w życiu. Mówiąca dwoma kontynentalnymi językami, a osłuchana z trzecim kobieta wszędzie mogła czuć się jak u siebie; tylko w Morskiej Prowincji trudno było się porozumieć, nie znając garyjskiego, i to biegle, bo liczne gwary na Wyspach brzmiały — podobno — obco nawet w uszach Garyjczyka.

W Londzie królowały pospołu armektański i grombelardzki. Każdy tutaj znał jeden albo drugi, w najgorszym zaś razie chociaż Kinen.

Pachołek Teweny zszedł z okrętu i najał tragarza — bo konie wierzchowe i juczne Tewena sprzedała w Rapie — a zarazem przewodnika, który miał poprowadzić do Dzielnicy Imperialnej. Dopiero wtedy Tewena i jej przyboczna zeszły na ląd. Ruszyli przez miasto — nieduże, przeludnione — ku siedzibie Trybunału Imperialnego.

Arma wyglądała przyjaciółki już od dobrego tygodnia. Co nie znaczy, że siedziała w oknie, tęsknie popatrując w stronę portu. Jak zwykle, miała mnóstwo roboty. Przede wszystkim napytała sobie biedy, biorąc jeńców, z którymi teraz zupełnie nie wiedziała, co zrobić...

Rbita nie było; nie było też odeń żadnego posłańca. Arma, która najpierw obawiała się spotkania z dawnymi przyjaciółmi, teraz zaczynała bać się ich milczenia. Czyżby z góry przyjęli, że znajdą w niej wroga?... Rbit dobrze wiedział, co robi. Namiestniczka nie przypuszczała, że jej niepokój, zaprawiony odcieniem goryczy, został przewidziany i starannie zaplanowany przez burego przyjaciela, brata krwi, który

kochał ją, a zarazem bardzo wysoko cenił. Ze szczególnym wyrachowaniem i kocią cierpliwością drążył skałę, której twardość budziła w nim respekt.

„Seilę” zatrzymano. Dokonano tego, nim na pokład weszli, wiezieni z łądu szalupą, uciekinierzy — bo tylko takie miano pasowało do zbrodniczej kobiety, która próbowała wymigać się od kary oraz jej towarzysza, bez wątpienia wiedzącego o jej czynach. Przyłapano więc okręt i jego kapitana niejako na gorącym uczynku, gdy na pokład byli przyjmowani ścigani przez Trybunał przestępcy. Z relacji urzędnika gończego, potwierdzonej przez dowódcę żaglowca Straży Morskiej, wynikało, że załoga karaweli do ostatniej chwili zdawała się być nieświadoma, iż to właśnie ku niej zmierzają dwa holki Floty Grombelardzkiej, wyprowadzone z portu wczesnym rankiem. Obsada szalupy przeciwnie, wiosłując z całych sił, pragnęła się chyba porozumieć z macierzystym żaglowcem, co się nie udało. Zatrzymano szalupę, nim przybiła do burty „Seili”. I to był właściwie koniec całej historii — która zdawała się zmierzać donikąd.

Wpakowawszy kapitana i załogę karaweli do więziennej twierdzy, a jednooką piękność do klatki w piwnicy, jej dostojność namiestniczka okazała szczególne względy ogromnemu starcowi. W jednym z domów Trybunału przygotowano dlań specjalny, bardzo dobrze strzeżony pokój, będący wszakże właśnie pokojem, nie celą. Nim zdołał się w owym pokoju rozgościć, Namiestniczka Sędziego złożyła mu wizytę, okazując życzliwość i szacunek, jeśli nie atencję.

„Wasza godność” — powiedziała uprzejmie — „jestem najwyższą urzędniczką Trybunału w tej prowincji, nazywam się Arma. Nie wiem, czy moje imię jest ci znane, panie, ale uważam, że to możliwe”.

Starzec nie krył zaciekawienia.

„Rzeczywiście, wiem, kim jesteś, wasza dostojność” — odrzekł. — „I nikogo to chyba nie powinno dziwić. Dziwi co innego. Przecież i ty, pani, znasz moją tożsamość, czyż nie tak?”.

Potwierdziła, lecz grzecznie odmówiła jakichkolwiek wyjaśnień, zasłaniając się służbową tajemnicą. Za to całkiem szczerze, bez ogródek, przedstawiła starcowi wszystkie sprawy narosłe między nią a jego synem. Mówiąc, z wyraźną ciekawością obserwowała pomarszczone, a zarazem czerstwe oblicze wielkoluda, konstatuując, iż Glorm w ogóle go

nie przypomina, pomijając, oczywiście, postawę. Twarz króla gór musiała być wyłącznym dziełem jego matki... Arma pomyślała z kobiecą ciekawością, kim też była owa tajemnicza kobieta, żona mędrca Szerni, matka największego wojownika w dziejach. Jaki los jej przypadł w udziale? Czy niezwykły?

„Powiem, panie, tak szczerze, jak powiedziałabym, gdyby stał przede mną twój syn” — kończyła. — „Nie w smak mi jego powrót w Ciężkie Góry, ale skoro to nieuniknione, no to trudno. Żywię zadawnioną urazę do Glorma, bo prosiłam go kiedyś o pomoc, a on nawet nie zdobył się na odmowę. Zwlekał, czekał, nie przybył... Zostałam sama, zdana na własne siły. Ale to historia sprzed lat. Dzisiaj Wieczne Cesarstwo nie jest zdolne do sprawowania kontroli w całym Grombelardzie, niech więc sprawuje tę kontrolę ktoś inny. Basergor-Kragdob, bardzo dobrze. Chodzi o to, by twój syn nie rozpędził się zanadto, wasza godność, bo nie chcę w Londzie jego zdzierców, którzy obłupią ze złota wszystkich oberżystów, rzemieślników i kupców. Ktoś już ich łupi, mianowicie urzędnicy podatkowi imperium, a oprócz nich... jeszcze ja. I wystarczy”.

Starzec oglądał niezwykłą kobietę, o której to i owo słyszał, z równie wielką ciekawością, jak ona jego.

„Porwałam cię, panie, z dwóch powodów” — kontynuowała. — „Po pierwsze, towarzyszysz agarskiej piratce, której nieuznawane niby-księstwo jest dla Wiecznego Cesarstwa zupełnie jak, wasza godność, wrzód na dupie...”.

Uśmiechnął się mimo woli, słysząc jędrne słówko w ustach godnej i trochę wyniosłej, wyróżzowanej, waniliowo pachnącej, ubranej za dwieście sztuk złota blondynki — która jednak była kiedyś rozbójniczką i chciała chyba o tym przypomnieć.

„... bo nie da się usiąść i zapomnieć o nim. Ale w końcu to tylko wrzód. Gorzej, że ta pannica biega po moim mieście i zabija ludzi służących Trybunałowi, a nawet całkiem niewinnych, przypadkowo chyba napotkanych, przechodniów. A nie dałabym sztuki srebra, czy dziwny pożar, który wybuchł w tym samym czasie i w tym samym mniej więcej miejscu, gdzie naszą pannicę widziano, także nie jest jej dziełem. W grę na pewno wchodzi podpalenie, umyślne podpalenie, a brakuje jakichkolwiek podejrzanych. Tak, zgaduję tylko” — przyznała. — „Intuicja, przecucie... ale to za mało. Nie oskarżę jej o podpalenie.

Niemniej wystarczą dwa zabójstwa. Chcę wiedzieć, wasza godność, czy to piękne dziewczę działa w porozumieniu z twoim synem? Proszę o szczerą. Być może proszę naiwnie”.

Zaprzeczył i zamyślił się głęboko.

„Nie” — powtórzył. — „Nikt na świecie, oczywiście, nie może mieć pewności, czy za jego plecami dwoje innych ludzi czegoś nie uknuło. Uważam jednak, że to niemożliwe. Zabranie jej tutaj było moim pomysłem... ale to już chyba nie ma nic do rzeczy. Czy masz pewność, pani, że moja towarzyszka winna jest zbrodni w tym mieście?”.

„Czy jestem pewna?” — Zrobiła szeroki ruch ramieniem, jakby ogarniając wszystkie domy i ulice za oknem. — „Księżniczka Riola Ridareta, czy tak? Mam stu świadków, wasza godność, że księżniczka rozwaliła komuś głowę w biały dzień. Oo, będzie kogo publicznie powiesić... A już kobieta, do tego kobieta młoda, zawsze ściąga tłumy. Chyba że po Londzie biegają dwie takie. Jednookie, śliczne aż do mdłości i z Porzuconymi Przedmiotami w rękach... Czy się mylę co do tych Przedmiotów?”.

Tym razem nie zaprzeczył, ale i nie potwierdził.

„Wasza dostojność, czego życzysz sobie ode mnie?” — zapytał uprzejmie, ale i ostrożnie. — „Poza zapewnieniem, że to nie mój syn przysłał księżniczkę do Londu”.

„Słowa honoru, tylko tego. Nie znam cię, panie, ale znam twego syna i dlatego jestem gotowa uwierzyć twemu słowu. Obiecaj mi, że nie opuścisz tego pomieszczenia, a natychmiast odwołam strażę i będziesz moim gościem, nie więźniem. Bo wcale cię nie chcę więzić, wasza godność” — wyjaśniła. — „Skoro znasz moje imię, to tym bardziej znasz inne, które brzmi: L.S.I. Rbit, albo lepiej: Basergor-Kobal. Czekam, kiedy tu przyjdzie. A wówczas powiem mu to wszystko, co ty sam dzisiaj usłyszałeś ode mnie, i dodam królewski dar: twoje życie, panie, życie ojca Basergora-Kragdoba. Na potwierdzenie szczerości swych intencji. Uwolnię cię, żeby Glorm i Rbit mieli pewność, iż im zaufałam i sama też na zaufanie zasługuję. Mogąc trzymać cię jako rękojmię ich neutralności wobec Londu — wypuszczam. Czy można dobitniej zaświadczyć o swych zacnych intencjach? Jak uważasz, panie?”.

„Dlaczego nie wypuścisz mnie już dzisiaj, wasza dostojność?”.

„Bo Rbit jeszcze nie przyszedł. A gdy przyjdzie, to nie wiem, co powie.

Mam nadzieję, że zaproponuje układ, pakt o neutralności. Ale może zażąda nie wiadomo czego”.

„Na przykład?”.

„Na przykład tego, żebym wyniosła się z Londu raz na zawsze. A wówczas, wasza godność, będę jednak musiała postraszyć go, że cię zabiję. Nie zamierzam się stąd wynosić”.

Milczał. Rozwagał, co powiedziała.

„Dam ci to słowo, pani, ale i ja mam warunek”.

„Słucham”.

„Razem ze mną uwolnisz wszystkich, których dzisiaj pojmałaś”.

„Nie ma mowy”.

„Ależ, wasza dostojność...”.

„Ależ, wasza godność!” — przerwała. — „Jesteś ojcem mojego przyjaciela, dawnego przyjaciela. Ale nawet cię nie znam. Mam wypuścić twoich... nie wiem kogo, jak ich nazwać? Kamratów? Morderczynię i księżniczkę morskich zbójów, a do tego jej przybranego ojca, też zbója, istnego króla pirackiego księstwa? I kogo jeszcze wypuścić? Trzymam takiego, co przed trzema dniami zatłukł żonę i dwóch małoletnich synów, bo bronili matki przed pijanym tatą. Wstaw się za nim, panie” — poradziła. — „Jeśli się dobrze zastanowić, to pewnie mniej ma na sumieniu niż para, o którą prosisz. Może sto razy mniej”.

„Aż tak bardzo potępiasz niegodziwość i występki, pani?” — zadrwił.

„Potępiam. Nie jestem już rozbójniczką, znalazłam swoje miejsce w imperialnej instytucji strzegącej sprawiedliwości. Mogę śmiać się z tego po cichu i zrobić do ciebie oko, panie, gdy siedzimy tak jak teraz, sam na sam, bo wiesz, kim byłam kiedyś. Ale głośno muszę wołać o sprawiedliwości, bo taki już los każdego, kto wejdzie między wrony i chce swoje wykraść. Wszyscy w Londzie wiedzą, że pochwycono zbrodniarkę i zatrzymano piracki żaglowiec, przyczyniły się do tego dwa okręty strażników morza, zamieszane więc jest nawet wojsko. Prawdę mówiąc, los twoich przyjaciół już nie zależy ode mnie. Machina ruszyła, wasza godność. Wszystko, co mogę zrobić, to dać wiarę twoim wyjaśnieniom, że spotkałeś ich przypadkowo i nic cię z tą dwójką nie łączy. Chciałeś wsiąść na jakikolwiek statek, by płynąć do Dartanu, nieprawdaż? Nie wiedziałeś, że to statek piracki; na pewno by cię tam zamordowano, by przywłaszczyć sobie twoje mienie...”.

„Kto da temu wiarę? Mieszkałem z Ridaretą w jednym domu”.

„Zamyśliłam się... przepraszam. Niczego nie usłyszałam. Aha, mówisz, panie, że spotkałeś tę kobietę w porcie?”.

Tamenath pomyślał wówczas, że być może jej dostojność Arma dostanie wszystkiego w nadmiarze: sprawiedliwości, karni, a nawet krakania wron, gdy zaczną zlatywać się do trupów...

Ale namiestniczka nie wiedziała, co pomyślał.

Nie dał słowa. I został pod strażą.

Arma czekała i czekała.

Rbita zaś nie było i nie było.

*

A księżniczka Ridareta wściekała się i wściekała. Najpierw. Potem sposepniała, popadła w otępienie i apatię.

Od dwóch tygodni (chyba dwóch tygodni; może tylko dziesięciu dni, albo przeciwnie — już dwudziestu...) siedziała w celi o rozmiarach dziupli, w niemal kompletnych ciemnościach, bo światło sączyło się tylko przez szparę między solidnymi dębowymi drzwiami a podłogą. Małe okienko odmykało się czasem i wówczas, między dwoma grubymi jak palec prętami, półoślepią marnym blaskiem pojedynczego łuczywa kobieta mogła oglądać zakazaną gębę strażnika. Brakowało powietrza; w loszku nie było żadnych okien. Gdy co jakiś czas otwierano klapę w podłodze, odcinając drogę do wyżej położonego pomieszczenia, duszne powietrze wrywało się z piwnicy, ustępując miejsca chłodniejszemu — ale w zamkniętej na głucho celi różnica słabo dawała się odczuć. Ridareta nie myślała zniżyć się do próśb — przez dwa dni. Potem nauczyła się grzecznie popiskiwać pod drzwiami, by otwarto przegrodzone żelaznymi prętami okienko. Strażnicy zmieniali się trzy razy w ciągu doby i tylko jeden nigdy nie dał się uprosić.

Traktowano ją nieźle, żywiono bardzo podle.

Ridareta straciła rachubę czasu. Nie miała pojęcia, jak długo już siedzi w dusznej dziurze. Powinna była liczyć posiłki i zmiany warty — lecz posiłki wszystkie były takie same, zmiany warty zaś czasem przesyiała. Pozostawiona samej sobie, chyba zapomniana, po raz setny myślała o dniu, gdy ją schwytano.

Mogła zrobić wszystko — nie zrobiła nic. Tamenath, widząc żaglowce straży morskiej, radził wracać do brzegu. Ona sama najpierw była

gotowa podpalić żagle obu okrętów... co wprawdzie mogło się udać, albo nie... lecz dawało przynajmniej szansę. Lecz na tych żaglowcach nie płynęli głupcy. Okręt prowadzący odpadł lekko od wiatru, kładąc się na kurs, jakby chciał wyjść z zatoki. Drugi holk podążył jego śladem. Pozwoliła się wywieść w pole. Uwierzyła, że to nie „Seila” jest celem strażników morza. Bo rzeczywiście: dlaczego aż dwa holki miałyby zmierzać ku nieuzbrojonej karaweli? Dlaczego w ogóle miały zmierzać ku spokojnie kotwiczącemu dartańskiemu statkowi? Jeśli nawet Trybunał wiedział o jej wyczynach w Londzie, to przecież w żaden sposób nie mógł wiązać jednookiej kobiety z dartańskim żaglowcem na redzie. Holki na pewno nie zmierzały ku „Seili”.

Potem okazało się, że jednak zmierzały. Oba okręty wyostrzyły sprawnie i było już za późno na ogniste popisy, bo prowadzący doszedłby do burty „Seili” choćby samą siłą rozpędu, choćby z płonącym takielunkiem; już i tak refowano żagle. A wówczas... wówczas zginąłby Raladan, mający dwudziestu żołnierzy i tyluż marynarzy przeciwko setce strażników i majtków imperialnych.

Musiała oddać wszystko oprócz odzienia, po czym wyjęto ją z szalupy niczym królika z zagródki, a następnie wsadzono do klatki w piwnicy, gdzie siedziała jak trusia — bo nie wiedziała nic o Raladanie. A raczej wiedziała tylko tyle, że zginie, jeśli ona nie będzie posłuszna. Złotowłosa kobieta w średnim wieku i o bardzo przeciętnej urodzie (Ridareta domyśliła się, kto to jest) raz tylko zajrzała przez okienko i tylko raz odezwała się do niej.

„To słabo strzeżona piwnica” — powiedziała. — „Dla kogoś, kto urywa ludziom głowy, na pewno za słabo strzeżona. Nie szkodzi. Ucieknij, piękna, bardzo proszę. Uciekniesz?” — pytała z nadzieją. — „Chociaż spróbuj, może trochę pomogę...? Ciężko mi będzie skazać kapitana twojego statku, ale gdybyś uciekła, będę mogła pogruchotać mu kości, byle tylko zdradził miejsce twojego pobytu. Zdaje się, że jesteście sobie dosyć bliscy? Sama widzisz, ktoś taki na pewno będzie wiedział, gdzie cię szukać”.

Taki mniej więcej był sens, bo niewidoczny tłumacz za drzwiami chyba nie zdołał oddać całego sarkazmu zawartego w głosie kobiety.

Huknęła zasuwa przy okienku; złotowłosa poszła.

Uwięziona agarska księżniczka zupełnie zapomniała, albo raczej —

tylko z rzadka — przypominała sobie, że w Londzie towarzyszył jej wielki starzec, mędrzec-Przyjęty; ktoś, kogo znała od lat. W ogóle ją nie obchodził. Myślała o Raładanie. Jedynym człowieku na świecie, za którego oddałaby swoje rubinowe życie.

20.

W Londzie, inaczej niż w sercu Gór Ciężkich, przedświt dało się rozpoznać, zwłaszcza że dzień wstawał pogodny. Arma budziła się tej nocy wielokrotnie, wreszcie zrezygnowała ze snu i patrzyła w okno, przez świetną szybę dartańską, dopiero co sprowadzoną. Jeszcze niedawno w tych oknach tkwiły kiepskie, mętne szkiełka, osadzone w łożnianych ramkach.

Przekręciwszy głowę w bok, namiestniczka przygryzła wargę, z tkliwą czułością spoglądając na śpiącego obok mężczyznę. Bardzo delikatnie odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów.

— Co ja tutaj robię? — szepnęła zupełnie bezgłośnie. — To głupie... to się wyda... To nie może trwać wiecznie.

Rzeczywiście nie mogli. Dwoje najważniejszych ludzi w Londzie nie miało prawa do życia prywatnego... do spotkań we dwoje. Zabawne: stary gmach Trybunału tylko dzięki temu, że nim kiedyś był, umożliwiał tajne schadzki i miłosne noce. Tylko dwie... I ta druga musiała być ostatnią. Arma zdawała sobie sprawę, że ryzykuje co najmniej utratę stanowiska.

Sekretne drzwi i boczne schody, znane tylko nielicznym, przez nikogo nie używane, służyły niegdyś osobom, które nie powinny być widziane przed głównym wejściem do budynku. Najczęściej donosicielom i wywiadowcom utajnionym tak bardzo, że wiedział o nich tylko Pierwszy Namiestnik Sędziego. Szpiegom służącym w wojsku lub w otoczeniu samego Księcia Przedstawiciela. Teraz sekretne schody i drzwi przydały się komuś innemu.

Arma ryzykowała, lecz było to ryzyko najbardziej pożądane przez kobiety. Najśłodsze ryzyko, owocujące lekkim dreszczem, suchością w ustach, drżeniem nóg. Arma była szczęśliwa, ryzykując w ten sposób. Zresztą... W ogóle była szczęśliwa, i to szczęśliwa w dwojnasób, bo tak jak teraz... nie było jeszcze nigdy. Odnalazła coś, o czym prawie zapomniała. Zresztą, czy odnalazła? Kochała parę razy, ale nigdy nie była kochana. Przelotne związki, czasem jakaś przyjaźń. Tylko tyle. A teraz? Sto razy mówiła sobie, że to głupstwo, nieostrożność, najwyżej kaprys, chwilowe zadurzenie (o tak, zadurzenie, miałaś rację Leneo...). Lecz gdy wchodziła do komnaty, gdzie czekał na nią Askenez, przekonana już, że

choroba minęła, wszystkie dolegliwości wracały ze zdwojoną siłą. Rozmawiali o sprawach prowincji, ale każde słowo zdawało się dotyczyć czegoś innego. Gdy mówiła „przestępcy”, uciekało jej spojrzenie, w którym lśniło porozumiewawcze „to my...”. Wspominał o „pismach najwyższej wagi” i widziała w jego oczach, że najbardziej myśli o krótkim liściku, który ukrył dla niej między opieczętowanymi kartami. Handel, urząd, współpraca i współdziałanie, dopilnować spraw, rozstrzygnąć problemy... Wszystko to były słowa o podwójnym znaczeniu.

W komnacie robiło się widno. Arma wiedziała, że musi już iść. Ostrożnie wstała i zaczęła wkładać wygodne męskie odzienie, takie jakie przed laty nosiła w górach, gdy ruszała z przyjaciółmi na bezdroża. Glorm niechętnie zabierał ją w góry, bo najbardziej przydawała się w Grombie. Ale nie umiała wysiedzieć tam bez przerwy.

Próbując zachować ciszę, namiestniczka mozolnie przewlekała wywróconą na lewą stronę koszulę. Światło wstającego dnia obnażało ze smutnym okrucieństwem brzuch i pośladki, którym już daleko było do jędrności; piersi, które twardymi czynił tylko ciasno sznurowany stanik sukni; skórę już nie tak gładką, jak przed laty, przy niektórych poruszeniach układającą się na szyi w pionowe bruzdy... Zadbana, zdrowa, niebrzydka, ale jednak niemłoda już kobieta.

Uporawszy się z koszulą, namiestniczka po raz ostatni rozejrzała się, sprawdzając, czy o niczym nie zapomniała, czy nie leży gdzieś zapomniany drobiazg, który mógłby skompromitować jej mężczyznę. Dotknęła kaftanika, upewniając się, czy maleńka bursztynowa zapinka jest na miejscu — śliczny, niedrogi, wzruszający upominek, który nie mógł zwrócić niczyjej uwagi. Podarunek dany bez żadnej okazji, coś najpiękniejszego dla każdej kobiety, a może zresztą dla każdego człowieka. Wzruszona Arma pochyliła się, złożyła delikatny jak tchnienie pocałunek na suchych ustach śpiącego, jeszcze raz poprawiła mu kosmyk czarnych włosów, po czym ruszyła ku małym drzwiom, skrytym w kącie za kotarą. Prowadziły prosto na wąskie, strome schody. Obejrzała się jeszcze raz.

W tym samym domu mieszkała zimna, niedostępna kobieta, którą dano temu bezbronnemu chłopcu za żonę. Pustogłowa, chuda, ostronosa sroka o wysokim głósie, jawnie uwodząca dworzan swego męża, wystawiająca go na pośmiewisko.

W tym domu służba tylko czekała na skandalik, plotkę, niechby nawet smakowite kłamstewko, pogłoskę... Arma nie miała złudzeń; ktoś na pewno widział spowitą w obszerny płaszcz osobę, przemykającą wzdłuż ściany pałacu, i zachodził w głowę, kto to jest, od kogo wyszedł i dokąd się kieruje. W takich domach wszyscy chcieli wiedzieć wszystko.

— Ostani raz — powiedziała sobie bezgłośnie, jak poprzednio. — Ostatni... zanim coś wymyślę.

Askenez spał. Arma wsunęła się za kotarę, otworzyła drzwi i wyszła na schody. U stóp owych kręconych schodów były drugie drzwi, których nie dało się otworzyć z zewnątrz, bo nie miały zamka ani klamki. O umówionej porze musiały być uchylone, bądź też ktoś cierpliwie stał na schodach, by wpuścić oczekiwanego gościa. Idąc w dół po trójkątnych stopniach, słabo oświetlonych płomykami zaledwie kilku świec migoczących w niszach, Arma zdała sobie nagle sprawę, że wchodząc do pałacu, nie zamknęła za sobą tych sekretnych drzwi... Niemal w tej samej chwili dotarło do niej, że jednak zamknęła, niestety... Dziesiątki myśli naraz, a każda kłóciła się z inną, wygrywała bądź przegrywała. Błyskawiczna wojna, rozstrzygnięta w jednej krótkiej chwili. Namiestniczka była głupia, była zakochana, była ślepa — ale była również intrygantką od zawsze, kobietą, która w mgnieniu oka potrafiła połączyć sto różnych nitek w jeden kłębek. Oczywiście potrafiła tylko wtedy, gdy nie była głupia, zakochana, ślepa... Ale, oto, już właśnie nie była.

Czekano tutaj na nią, być może od dłuższego czasu. Świadomość, iż takie czekanie połączone jest z niewygodą — to było wszystko, co dano na osłodę pokonanej, zdradzonej i zupełnie bezbronnej kobiecie, idącej w dół po schodach, które wiodły do jednego tylko miejsca, mianowicie sypialni mężczyzny.

Wysoka, bardzo szczupła kobieta, zmierzająca do tej sypialni, na widok Namiestniczki Sędziego wydała cichy okrzyk, w którym cudownie zabrzmiało zaskoczenie i przestach. Wymieniła jakieś imię, zwracając się do idącej tuż za nią dziewczyny, która na pewno była niewolnicą z certyfikatem Perły, bo tylko takie żywe klejnoty Armektańczycy, ostentacyjnie skromni, ubierali w przebogate szaty. Za Perłą szły jeszcze dwie inne kobiety, młodziutka niewolnica niższej rangi i sporo od niej starsza wolna służka, o czym świadczyły tradycyjne stroje. Wcale liczny

orszak starannie dobranych świadków.

— Czy widzisz?!

Perła widziała.

— Kim jesteś, pani? — teraz księżna żądała odpowiedzi od spotkanej na schodach kobiety. — Co robisz na tych schodach? Chcę natychmiast wiedzieć! Czy na górze... czy tam jest Księżę Przedstawiciel, mój mąż?

Błada Arma pamiętała tylko o tym, że drzwi na dole nie można otworzyć z zewnątrz. Tylko to jedno krążyło jej w głowie. Nie można otworzyć ich z zewnątrz, nie można, nie można... Ale chciała jeszcze wierzyć, że się zepsuły. Chciała... i tak bardzo nie wierzyła, że parsknęła księżnej śmiechem w nos. Oczywiście, że się nie zepsuły!... Były zamknięte, a potem je otworzono. Oto prawda, taka i tylko taka.

Jej wysokość w najwyższym osłupieniu spoglądała na pomyloną — bo przecież pomyloną bez dwóch zdań — rozczochraną blondynkę, chichoczącą i ocierającą z oczu łzy. Na moment odebrało jej mowę.

— Ale... ja chyba cię poznaję, pani?! — zawołała groźnie. — Jesteś przecież namiestniczką Trybunału w tym mieście! Co to za strój? I jak wytłumaczysz mi swoją obecność na tych schodach? Naprawdę, to chyba moje schody? Prowadzące do sypialni mego męża!

Znowu obejrzała się na swoją Perłę, która skinęła tylko głową i zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć: „A co, nie mówiłam?”.

Towarzyszące księżnej i jej Perle służki nie były ślepe ani głupie, a choćby i takie były, powiedziano im już wszystko, co miały wiedzieć i roztrąbić wszem wobec. Arma przestała się śmiać. W zamian czuła mdłości.

— Wiesz, kim jestem, wasza wysokość, i wiesz, co tutaj robię. A ja tak samo wiem, skąd wzięłaś się na tych schodach. Zechciej mnie teraz przepuścić.

Osłupiała księżna usunęła się pod ścianę, bo dwie osoby w żaden inny sposób nie mogły się tutaj minąć. Arma zeszła na sam dół, nacisnęła żelazną kłamkę, która — oczywiście i niestety — zadziałała równie dobrze jak zawsze, po czym wyszła na tyły pałacu, nawet nie okrywając kapturem złotowłosej głowy.

No bo po co?

Zaraz za nią wyszły niepotrzebne już, prowadzone przez złośliwie uśmiechniętą Perłę służki, odprawione przez jej wysokość.

Księżna Rea samotnie dotarła do szczytu schodów i głośno trzasnęła ukrytymi za kotarą drzwiami, na wszelkie wypadek trzasnęła po chwili raz jeszcze, po czym odgarnęła zasłonę i pobiegła do łoża, w którym siedział zbudzony hałasem Przedstawiciel. Nim zdołał powiedzieć słowo, drobnymi pięściami ją okładać go po ramionach.

— Rozpustniku! Draniu! Jak mogłeś?!

Rozbudzony już zupełnie, pochwycił ją za nadgarstki, pociągnął na łoże i przytrzymał. Dyszała mu prosto w twarz. Była piękną, ciemnowłosą kobietą, nie tak smagłą, jak zwykle są Armektanki, może trochę zbyt szczupłą, lecz pomimo to proporcjonalnie zbudowaną. Odrobinę za ostre rysy twarzy nie trafiały z pewnością w gust każdego, lecz czyniło to najwyżej taką różnicę, że dla jednych księżna była tylko ładna, dla innych zaś bardzo piękna.

— No i jak? — zapytała z ciekawością, śmiejąc się do męża oczami. — Czy mój pan i władca jest zadowolony?

— Wpychasz mi do łóżka same stare baby — poskarżył się, ziewając, a zarazem z trudem hamując wesołość, co mogło zaowocować skurczem mięśni szczęki. — Jak mam być zadowolony?

— Okropna — przyznała. — Wykąp się zaraz... Ale chwileczkę, przecież jej dostojność sam sobie wzięłeś. To nie ja ci ją naraiłam!

Zrobiła wyniosłą minę.

— Ależ będę dzisiaj na ciebie obrażona... Ależ będę się mściła na wszystkich! I nikt mi nie weźmie tego za złe, wszyscy rozumieją, dlaczego biedna Rea ma taki zły humor... To przez ciebie! — Znowu próbowała stłuc go pięściami po ramionach. — Podły, podły! Co mi zrobiłeś, jak mogłeś mi to zrobić?...

Znowu musiał przytrzymać ją mocniej. Przygniótł do posłania, ściskając szczupłe nadgarstki po obu stronach głowy. Siedział na żonie okrakiem.

— Przecież to uwielbiasz — zauważył nie bez racji. — Tylko dzięki temu, że jesteśmy zimnym, nieudanym małżeństwem, że jesteś stale zaniedbaną żoną, możesz niemal jawnie obnosić się ze swymi...

— Wielbicielami — wpadła mu w słowo. — Jestem piękna, mądra, uprzejma i dowcipna, jestem doskonała, więc wyrozumiale pozwalam się wielbić. Tobie zaś mówiłam: rządzi się tylko mężczyznami, kobietom lepiej oddać się pod opiekę. Co naprawdę wybornie potrafisz, muszę

przyznać.

W ten sposób wyszło na jaw, czyje słowa Askenez powtarzał niedawno kuzynowi. Skądinąd, było przecież pewne, że sam takiej maksymy nie wymyślił.

— Mój ojciec, a jeszcze bardziej matka, pokochaliby mnie od nowa, gdybym tylko oddał ci wreszcie list rozwodowy, suko.

— Akurat! Dałam im troje wspaniałych wnucząt, których nie wypuszczają z objęć. Twój bracia nie kwapią się do ożenku, co dopiero mówić o ojcostwie, a siostrzyczka jest bezpłodna jak deska z dziurą po sęku.

— I kto tu jest podły, Reo?

— Puść mnie już! — zazała grymaśnie, gdy pochylił się i zaczął całować jej szyję. — No, puść... Aaaaaa! — krzyknęła tak głośno i przenikliwie, że poderwał się, zatykając uszy dłońmi. — Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. Kogoś ci przyprowadziłam.

— Kogo? Gdzie jest?

— Tam. Za drzwiami, za dużymi drzwiami, nie tymi tajnymi w kącie. To chłopiec służący namiestniczce Armie, który od dłuższego czasu usiłuje dostać się do ciebie. Odprawiany i odprawiany (bo też co za durniami się otaczasz?) przyszedł w końcu do mnie, a ja kazałam przyjść mu dzisiaj tutaj. Dzisiaj dlatego, że umówiłeś mnie na schodach ze swoją piękną kochanką, a co za tym idzie, możesz już zupełnie jawnie wziąć się za nią i całe to... państwo w państwie, którym kieruje.

Askenez miał ochotę pieścić żonę, może spać, ostatecznie mógł się nawet droczyć — ale przyjmowanie podwładnych namiestniczki Armii nie pociągało go w tej chwili ani trochę.

— Uh. I co on ma za sprawę? Powiedz mi, skoro wiesz. Mam wysłuchiwać nie wiadomo kogo, żeby dowiedzieć się tego, co mogę wiedzieć od ciebie? No, czego on chce?

— Niczego, to nie petent. Chowa jakąś urazę do jej dostojności, bo zdaje się, że skrzywdziła go, więc on teraz chce się zemścić i wymyślił, jak jej może zaszkodzić. Znasz przecież sprawę tego pirackiego żaglowca, zatrzymanego...

— Tak, tak, znam.

— To właśnie dzięki temu chłopcu wytropiono zbrodniarkę i starca, który jej towarzyszył — wyjaśniła. — Namiestniczka odwleka proces, bo

musiałaby zaraz wydać wyrok, a chce tego starca uniewinnić. To chyba jakiś jej znajomy, a w każdym razie ktoś, na kim jej zależy. No i co ty na to? Skandal to jedno, ale nadużycie władzy to przecież jeszcze lepsze. Ten chłopiec za drzwiami... a jaki przystojny, trochę podobny do ciebie, czarne włosy... — rozmarzyła się nagle. — Ten chłopiec może świadczyć, że zbrodniarka i starzec byli w zмовie. Nie jesteś ciekaw miny namiestniczki, gdy będzie musiała wydać wyrok na podstawie takiego zeznania?

Askenez zamyślił się.

— Więc ta stara... — z namysłem przeżuł słowo. — Ośmieliła się knuć za moimi plecami? I to w sprawach, które należą tylko do mnie? Pospolitych zbrodniarzy ściga się na moje polecenie, Trybunał jest mi tu winny całkowite posłuszeństwo!

— A widzisz! — powiedziała triumfalnie. — Chcesz oglądać jej minę, gdy będą wieszali tego starca? Czy lepiej niech go uwolni, ty zaś poskarżysz się do Kirlanu i ją skompromitujesz? Masz świadka, wystarczy więc w tym pogrzebać i da się udowodnić, że proces był nierzetelny — przypomniała, bo Askenez gotów był pogubić się w intrydze tej miary; umiał tylko uwodzić kobiety.

— Zastanowię się i zdecyduję.

— Tak, mężu. A ja poproszę o jakieś nowe zadanie, skoro i tym razem udało mi się dobrze wypełnić twoje rozkazy. Nie pozwolisz, żebym się nudziła? Lubię cię wspierać, potrzebuję tego, bo wtedy czuję się ważna i przydatna.

Miała kilka nowych pomysłów, teraz chciała usłyszeć je z ust Askeneza.

21.

Rano nigdy nikogo nie dało się dobudzić — dziewczyny służebne zasypiały, Lenea przyłaziła z taką miną, jakby chciała powiedzieć: „No, też coś...”. Namiestniczka tylko raz, jeden jedyny raz chciała, żeby tak właśnie było, żeby wszyscy spali, żeby nikt z niczym nie przyszedł... Ale, oczywiście, tego dnia w całym domu urządzono wszystkim złośliwą pobudkę o świcie. A może w ogóle nikt nie kładł się spać? Na pewno nie spała tej nocy Lenea. Rudowłosa Perła wylegiwała się na nierozścielonym łóżku swojej pani, leniwie poczytując jakąś armektańską sagę ze zwoju; leniwie dlatego, że na pewno już ją znała (Armie nie zdarzyło się rozmawiać z Leneą o dziele, którego tytuł był jej obcy), więc raczej przypominała sobie treść, niż z zapartym tchem śledziła opisaną historię.

Arma rzuciła się na swoją Perłę (do czego to było podobne, żeby niewolnica używała sobie wygod w łóżku swojej pani?!) i przez dłuższy czas krzyczała na nią, ale tak, że do pokoju jęła zaglądać wystraszona służba. Namiestniczka przepędziła wszystkich na cztery wiatry. Potem rozplakała się nagle i zaczęła przeproszać Leneę, która jako jedyna wiedziała o wszystkim.

Rozsypało się w pył całe życie. Poniżające spotkanie na krętych schodach, głupie wzruszenie na widok bursztynowego drobiażdżku, kosmyk włosów na czole Askeneza, to rozkoszne podniecenie, gdy z bijącym sercem wymykała się — szczęśliwa... — z sypialni kochanka, by natychmiast poczuć gorycz, bezsilność, strach i gniew... Wszystkie te wrażenia, wszystkie uczucia, tak świeże, nieokrzepłe, w jednej chwili wezbrały w piersi biednej zdradzonej kobiety i wyrwały się na zewnątrz, zatopione w istnych strugach łez. Arma rozpaczała jak nigdy od czasów dzieciństwa.

— To niemożliwe... — łkała z głową na ramieniu stojącej cicho Perły.
— Nie wierzę... nie mogę uwierzyć... Jak można zrobić... komuś... coś takiego?

Żeby tylko gorszych rzeczy nie robiono... Lenea wiedziała swoje, ale nic nie mówiła, delikatnie głaszcząc piękne włosy swojej pani i przyjaciółki, która ciągle dławiła się łzami.

— Ja przez całe życie... nigdy nikogo... rozumiesz? Nikt mnie nigdy nie

chciał dla siebie... tak na zawsze. Jestem głupia, wiem... Ale ja nie umiem, Leneo. Ja zupełnie nic nie wiem o nich... o mężczyznach, miłości... Nie rozumiem tego. Nie wiem, jak trzeba kochać, żeby to ktoś zauważył i... i zechciał. Żeby odwzajemnił. A może go oszukano? Dano jakieś... fałszywe powody? — pytała, rozmazując łzy na policzkach. — On nie mógł mi tego zrobić... ja go znam! Jestem podła, że uwierzyłam... A on tam teraz jest sam, zupełnie sam... Nie obroni się! Zostawiłam go i uciekłam.

Lenea ciągle milczała, bo co mogła powiedzieć starzejącej się czternastolatce, która tak żarliwie kochała poznanego przed miesiącem człowieka? Arma miała przecież rację: nic nie wiedziała o mężczyznach, a jeśli nawet wiedziała, to nie rozumiała ich. W górach, a nawet w Grombie, miała tylko przyjaciół, czasem kochanków. Jakich kochanków? No, przecież oszukiwanych, zdradzanych, takich, którym pozwalała się uwieść tylko po to, by Basergor-Kobal mógł wiedzieć, co dzieje się w garnizonie Legii Grombelardzkiej, w pałacu Przedstawiciela... Potem porzucanych. No więc, Armo, jak to jest być zdradzoną? Jak to jest być wykorzystaną przez kogoś, komu się uwierzyło?

Namiestniczka odsunęła się od Perły i chodziła po sypialni tam i nazad. Miała czerwony nos, zaczerwienione oczy, ale już nie płakała.

— Wszystko jedno dlaczego... On nie zawinił, nie wierzę, albo może musiał... — mówiła chaotycznie. — Nic już nie wiem. Ale ta wredna sroka, już ona mnie teraz urządzi! Ja wiedziałam, że ktoś nim kieruje, on nie jest wcale zły... — znów broniła resztek swych złudzeń. — Ale ona? Nie wiem, w jaki sposób to robi. On jej nienawidzi, naprawdę nienawidzi, mówił mi i nie kłamał, ja wiem! To jedno... to jedno wiem na pewno. On nie umie kłamać, jest niezręczny, taki... taki nieporadny. Co ona ma? Wstrętna chuda dziwka, widziałaś ją? Szkapowata jak... szkapa. Co ona ma? Jakąś władzę nad nim, musi wiedzieć coś, co zapewnia jej władzę nad mężem, dręczy go, wykorzystuje...

Chodziła i chodziła. Ale łez było coraz mniej, słowa odzyskiwały znaczenie, odkrywały prawdziwy sens. Powoli brakło sił do obrony straconych pozycji. Arma rozpaczliwie masowała zboląłą duszę, bo nie miała dość odwagi i siły, by przyznać się przed sobą do bezdennej głupoty. Najpierw — nie miała. Ale w głębi nieszczęśliwego serca była jednak nie tylko zakochaną kobietą, lecz także po prostu doświadczonym i mądrym człowiekiem. Zły urok przysł i żadne masowanie duszy nie

mogło zaczarować jej z powrotem. Piękny zamek z piasku, podmyty przez falę, stał się bezkształtną brunatną piramidą, w której nie chciało się zagnieździć piękno. Spłynęło razem z falą, już nie było nic, tylko piasek. Arma żywiła złudzenia tak długo, jak długo to było możliwe. Jednak — czy jeszcze było? Nie, nie było. W końcu, jeśli nawet Askenez znajdował się we władzy żony, jeśli zdradził pod przymusem, to jaką wartość miało jego uczucie? Choćby nawet było prawdziwe? Ale czy było?... Czy ktoś, kto kocha, wykradnie się w nocy, by otworzyć drzwi u stóp schodów i wpuścić wroga mogącego upokorzyć... zniszczyć kochaną osobę? Przymus? Jaki przymus? Czy ktoś groził, że pozbawi go życia? Zresztą, w oczach Army nawet taka groźba nie byłaby usprawiedliwieniem. Narastały żal i gorycz, zanikała naiwna wiara w to, że nie było nikczemności, a tylko wstrętna obca intryga, uknuta przez kogoś trzeciego.

— Wszystko jedno — powiedziała raz jeszcze, bezradnie kręcąc głową i ciężko siadając na łóżku; była bliska ochrypnięcia, bo mówiła i mówiła bez przerwy. — No, Leneo, szykuj się. Nie wiem, dokąd pojedziemy, ale tutaj... Możemy zacząć się pakować.

Lecz Lenea nie ruszyła po kufry.

— A gdzie się wybieramy, wasza dostojność?

Były to pierwsze słowa, jakie wymówiła tego dnia.

— Właśnie nie wiem. Ale nie wiem i tego, kto tu przyjdzie na moje miejsce.

— Nikt nie przyjdzie. Chcesz, wasza dostojność, złożyć rezygnację?

— Rezygnację? Mogę złożyć albo nie złożyć, Kirlan i tak mnie odwoła. Zgłupiałaś? Czego się spodziewasz? Kirlan potrzebuje tu kogoś, na kim może polegać. Nie ma mowy, żebym...

— Kirlan? Kirlan... — Lenea zmarszczyła brwi, jakby czegoś szukała w pamięci. — Mmm... a kto to jest Kirlan?

Namiestniczka doszła do wniosku, że ruda Perła bawi się jej kłęką. Już miała wybuchnąć gniewem, gdy Lenea odpowiedziała sama sobie:

— A, już wiem... Kirlan to Werena.

Werena. Zabrzmiało to... ciepło. I bezpiecznie. Werena.

Nie „Kirlan”, nie „stolica”, i nie „jej cesarska wysokość”... Niewolnica celowo wymieniła imię władczyni Wiecznego Cesarstwa tak, jak wymienia się imię przyjaciółki.

— Uważasz, że Werena nie odwoła mnie?

Perła zgarnęła fałdy swej domowej sukni, podkasała ją trochę i kucnęła u nóg swojej pani, opierając przedramiona i dłonie na jej kolanach.

— Za miłostki z Przedstawicielem? Za takie coś odwoła cię, Armo, natychmiast — przyznała. — Ale masz jeszcze czas... Gdzie jest pióro, gdzie inkaust? Dlaczego nic mi dotąd nie dyktujesz?

— O czym ty mówisz, Leneo? — sucho i nieprzyjaźnie zapytała Arma. Perła wzruszyła ramionami i uniosła brwi.

— Phi... Ale pytanie.

Namiestniczka powoli dochodziła do siebie. Perła umiejętnie oderwała jej myśli od zawiedzionej miłości, zdrady — pokazując w zamian, że coś jest do zrobienia. Coś ważnego. Czy naprawdę była jakaś szansa na utrzymanie stanowiska Pierwszej Namiestniczki Sędziego w Londzie? To dawało nadzieje na wszystko. Na zemstę, pognębienie kościstej sroki, zniszczenie jej, prześladowanie...

— Naprawdę nie wiem, o czym mówisz.

— To ja nie wiem, o czym ty mówisz, pani? Odwołanie, rezygnacja... Chyba skarga? Ktoś próbuje cię omotać podłą intrygą, bez skrupułów wystawia na szwank twoje dobre imię, podważa kompetencje, nie cofa się przed niczym, byle tylko usunąć cię z Londu, gotów sam obrzucić się błotem, byle trochę przylgnęło do ciebie. Obrzydlistwo. Dlaczego nie skarżysz się do Kirlanu? Przecież, jeśli nie będziesz się broniła, te oszczerstwa mogą osiągnąć zamierzony skutek! Trzeba natychmiast zdemaskować tę grę i donieść o wszystkim cesarzowej.

Arma marszczyła brwi, skrywając w ich cieniu wciąż czerwone powieki. Pociągnęła nosem, ale już tylko odruchowo.

— Mówisz mi, że mam okłamać... cesarzową?

— Okłamać! — oburzyła się Perła, zgarniając fałdy sukni, wstając i odchodząc kilka kroków. — Okłamać? Werenę? Naszą dawną żywicielkę i przyjaciółkę, a moją panią? Cesarzową Wiecznego Cesarstwa? Mówię tylko, że trzeba jej donieść o knowaniach tego... tej miernoty, jej brata, o którym zawsze miała wyrobione zdanie. Werena nam ufa, wie, że jej nie okłamiemy. No... może mogłaby nie do końca uwierzyć tobie, ale gdy zobaczy list pisany moją własną ręką, a zna przecież moje pismo lepiej niż ktokolwiek... Czy zgodziłabym się okłamać kogoś, kogo przez całe

życie kochałam tak jak ją?

Pytanie zawisło w powietrzu.

— A zresztą — dodała Perła, niedbale machając dłonią, a następnie bezradnie rozkładając ręce — ty, pani, i księżę Askenez?... Kto normalny w ogóle uwierzy w coś takiego? A już jej cesarska wysokość, która tak dobrze cię zna? Przecież to intryga idioty. No więc, gdzie jest pióro i inkaust, pani? Gdzie pulpit do pisania?

Arma patrzyła na swą Perłę.

— Najgodniejsza wie przecież, że potrafię kłamać. A ty, Leneo, jesteś jednak tylko niewolnicą.

— Niewolnicą, która jednak potrafi odmówić napisania listu i cesarzowa dobrze o tym wie. Poza tym cesarzowa... — Perła pokiwała głową i zniżyła głos. — Przede wszystkim, cesarzowa o czymś pamięta. O złotowłosej kobiecie, która przed kilku laty w strojnej sukni biegła po błocie, szukając niezbędnego lekarstwa... Nie dla siebie szukała. A potem ta kobieta, wspierana przez niewolnicę, dniami i nocami czuwała przy łożu... pewnej bardzo ważnej osoby. Ta osoba była tak chora, że musiała zostać związana, a nawet zakneblowana. Ktoś, kto pamięta takie rzeczy, chętnie uwierzy w inne.

Zaległa krótką cisza.

— Napiszesz taki list? Że uknuto w pałacu intrygę, żeby mnie pogrążyć? Pod moje dyktando, napiszesz?

— Umiem pisać. Napiszę.

— Do samej cesarzowej? — Arma czuła respekt przed młodą władczynią i nigdy tego nie kryła.

— Do każdego — odrzekła ruda Perła. — Dzisiaj jestem już niewiele warta, ale przed laty wyłożono za mnie niebotyczną sumę w najlepszej dartańskiej hodowli. Przedmiot, który tyle kosztuje, nie może zawieść swego właściciela. A zawsze ma tylko jednego właściciela, jedno miejsce i jedno zadanie: dobrze służyć.

Arma patrzyła i patrzyła. Kogo widziała? Tę samą kobietę, której nie chciała dopuścić do swych pospolitych oszustw finansowych, bo się bała, że ta kobieta może komuś donieść. Ta kobieta właśnie dawała jej wszystko: wierność, przywiązanie, bezgraniczną lojalność... całą siebie, całe swoje życie.

Arma przypomniała sobie, że jest skrzywdzona, zdradzona i

nieszczęśliwa, ale mogła znowu popłakać, bo miała prawdziwych przyjaciół.

*

Goszcząca pod dachem namiestniczki Tewena nie wiedziała niemal nic o niczym, ale czuła, że coś jest nie tak. Arma dotąd nawet słowem nie zająknęła się o swoich niezwykłych jeńcach, nieuchronnie zaś pogaduszki o nowym przedstawicielu cesarza zgrabnie uciniała, niemal każde zdanie obracając w żart. Rozmawiały trochę o przeszłości, wspominały dawne czasy, ale przede wszystkim wymieniały się plotkami z Armektu, Dartanu, Grombelardu; szczególnie Arma, od lat siedząca w dżicy, była żądna wszelkich nowinek. O polityce trudno było powiedzieć coś, o czym nie wiedziała, ale już moda, nowe obyczaje i prawa stanowione w młodym dartańskim królestwie ogromnie ją ciekawiły. Tak samo uważnie słuchała o domu, dorosłym synu i szybko dojrzewających córkach przyjaciółki. Bywały chwile, że miała ochotę rzucić wszystko i pojechać tam, do słonecznego Dartanu, gdzie do białego domu na pagórku, między zagajnikami, wiodła wysypana białym żwirem droga, gdzie na łące pasły się konie, szemrał strumyk... „Odwiedzę cię kiedyś!” — mówiła i chyba nawet przez moment wierzyła, że tak zrobi.

Ale obie wiedziały, że to niemożliwe.

Zazdrościła Tewenie.

Tewena zaś była trochę niespokojna o przyjaciół w górach, serdecznie zatroskana kłopotami Army (tymi, o których wiedziała) — poza tym zaś zupełnie szczęśliwa. Przez minionych kilka tygodni dotykała przeszłości, patrzyła na nią z bliska, pozdrawiała z prawdziwym wzruszeniem... i niczego od tej przeszłości nie chciała. Możliwe, że chciał czegoś Delen, dokonujący trudnego wyboru, bo jednak pociągało go dawne, beztroskie życie kobieciarza-zabijaki i trochę za nim tęsknił. Ale Tewena nie. Nie tęskniła za minionym życiem. Cieszyła się, że przeszłość jest przeszłością. Miała swoją teraźniejszość, miała przyszłość i nie chciała ich na nic zamieniać ani w żaden sposób poprawiać. Dowiedziała się, że na pewno nie chce. Dobrze zrobiła, odpowiadając na wezwanie przyjaciół. Oszczędziła sobie wielu nieprzespanych nocy, wypełnionych wątpliwościami, niemym, wciąż wracającym pytaniem: „Czy dobrze postąpiłam?”. Pojechała, spotkała się, posłuchała o planach, zamierzeniach — i nie miała żadnych rozterek. Arma, Glorm, Rbit i

Delen... wydawali się już trochę obcy. Inni. Przyjemnie było zobaczyć ich znowu, objąć, porozmawiać, wspominać stare dzieje. Ale to wszystko. Glorm chciał znaleźć dawnego Delena, dawną Tewenę, lecz nie znalazł, bo ich nie było, więc bez większego żalu, nieomal zdawkowo życzył szczęścia tym starym-nowym przyjaciółom, którzy przyszli zamiast tamtych dwojga; uprzejmie i zdawkowo, a zatem dokładnie tak samo, jak oni mu życzyli. Nic sobie nie byli winni.

I podobnie miała się rzecz z Arma. Tewena dopiero w Londzie dowiedziała się, po co tu właściwie przyjechała. Z sentymentu? Z tęsknoty za przyjaciółką, którą chciała koniecznie zobaczyć, skoro widziała już wszystkich dawnych przyjaciół oprócz niej? Tak, zapewne. Ale przede wszystkim przyjechała po to, by zyskać pewność, że i Armie nie jest do niczego potrzebna. Jej dostojności Armie — Pierwszej Namiestniczce Sędziego Trybunału, która tak niewiele miała wspólnego ze skrytą pod fałszywym imieniem banitką, udającą kochankę jakiegoś oficera legii, to znów, bawiącą na dworze jako rzekoma krewna tchórzliwego i chciwego doradcy Przedstawiciela... Przyjechała, bo chciała się dowiedzieć, że Armie też nie chce wesprzeć, nie chce i nie umie. Dowiedziała się tego i była szczęśliwa. Mogła wrócić do domu, uściskać dzielnego syna i z daleka, z ciekawością, ale bez bólu serca, obserwować, co zdarzy się w Grombelardzie.

To już nie były jej sprawy. Miała inne, w swoim własnym życiu, które w bardzo niewielkim stopniu obchodziło grombelardzkich przyjaciół.

I na szczęście. Na całe szczęście.

Tewena nie chciała wiedzieć zbyt wiele. Czasem łapała się na tym, że zupełnie odruchowo drąży jakąś sprawę, docieka, snuje przypuszczenia... Tak było wtedy, gdy po raz pierwszy zwróciła uwagę na niezwykle dbałość Armie o strój, uczesanie, drobiazgi... Niezwykłą dbałość, bo aż przesadną. Arma zawsze lubiła klejnoty, potrafiła dobrze się ubrać, ale teraz... No, najkrócej mówiąc, Tewena była prawie pewna, że Arma kogoś ma. Krążąc myślami wokół takich spostrzeżeń, musiała w końcu ofuknąć się w duchu. To nie była jej sprawa. Nie przyjechała na przeszpiegi, nie spełniała żadnej misji, a kobiecą ciekawość mogła chyba utrzymać na wodzy.

Ale było coś jeszcze. Namiestniczka Londu nie kryła, że czeka na posłańca od Rbita, albo nawet na niego samego. Niepokoiło ją milczenie

dawnego przyjaciela i dowódcy — tego także nie kryła. Tewena wiedziała, dlaczego Rbit milczy, lecz nie mogła powiedzieć, bo zaufała jej, bez ogródek przedstawiając plan: najpierw podbić w Grombelardzie wszystko, o co Arma nie jest skłonna walczyć — czyli Ciężkie Góry — a dopiero potem, z pozycji zwycięzcy i tyrana Grombelardu, proponować sojusz. Zresztą, czy sojusz?... Może raczej hołd lenny, bo nie było przecież mowy o tym, by Lond istniał pozostawiony sam sobie (albo raczej namiestnicze Armie), poza wszelką kontrolą władców gór. Nawet rozbójnicze miasta-twierdze potrzebowały dostępu do portu; Glorm i Rbit zamierzali wymóc na złotowłosej przyjaciółce przynajmniej tolerowanie ich rezydenta-wywiadowcy i przedstawiciela handlowego w mieście, działających pod jakim bądź płaszczykiem. Lecz Tewena zauważyła, że Arma kryje coś w zanadrzu. Chciała spotkać się z Rbitem chyba nie tylko dlatego, że martwiło ją i niepokoiło jego zagadkowe milczenie. Zdaje się, że miała coś dla niego (ofertę? propozycję?); coś, co nie mogło czekać. Tewenę każda tajemnica korciła już z tej tylko przyczyny, że była tajemnicą. Lecz i tutaj nakazała sobie rozwagę i cierpliwość.

„To nie moja sprawa” — powtarzała w myślach raz po raz. — „Rbit niedługo przyjdzie, a wtedy wszystkiego się dowiem. A jak nie... to nie. Wkrótce wracam do domu i to wszystko”.

Wyszło zupełnie inaczej. Rbit nie przyszedł, a za to wyłoniły się z cienia niektóre tajemnice namiestniczki. Najpierw Tewena usłyszała nieoczekiwaną propozycję i, doprawdy, miała o czym myśleć...

Nie widziały się tego dnia, gdy Arma wróciła wczesnym rankiem i płakała w ramionach swojej Perły; prawdę powiedziawszy, Tewena wynudziła się trochę, nie mogąc nigdzie znaleźć przyjaciółki, przyjęła tylko jej przeprosiny, przekazane przez zmartwioną niewolnicę. Następnego dnia obejrzała miasto, na co dotąd nie znalazła czasu; nie bardzo było co oglądać, ale Tewena nie szukała pamiątek po prześwietnej przeszłości Grombelardu... Chciała poznać Lond, bo to zawsze mogło się przydać. Posłuchała obwoływacza na rynku, lecz miejscowe wieści niezbyt ją zaciekały. Wróciła do siebie, bardzo zadowolona z przechadzki, która pewnie znudziłaby kogoś innego. Był późny wieczór, gdy uprzejma i uśmiechnięta Perła (Tewena szczerze polubiła Leneę) stawiała się u niej z zaproszeniem. Obiecywała istną małą

uczcie dla zaledwie dwóch osób, potem zaś nocleg w przylegającym do sypialni namiestniczki gościnnym pokoju.

— Oczywiście, jeśli zechcesz, wasza godność. Bo jeżeli uznasz, że wygodniej ci będzie tutaj, z radością cię odprowadzę. Jednak jej dostojność — Perła zmrużyła lewe oko — obiecała wina ze swojej sekretnej piwnicy... Bywa niedyskretna! — dorzuciła ze śmiechem. — Powiedziała mi, że przed laty... no cóż... potrafiłyście czasem...

Tewena powściągnęła uśmiech i rzekła bardzo surowo:

— Zgorszona? Nie, raczej zuchwała... Proszę. Czy zuchwała niewolnica będzie towarzyszyć nam przy... próbowaniu tych win?

— Nie może, ma mnóstwo pracy — w głosie rudej piękności zabrzmiał szczery żal. — A poza tym to ma być spotkanie dwóch przyjaciółek. Pożegnalne.

— Pożegnalne? To znaczy... czy ja już wyjeżdżam?

— Oj, nie! Źle to zabrzmiało. — Lenea zawstydziała się nie na żarty, bo w ustach niewolnicy z certyfikatem Perły słowne niezręczności były niewybaczalne. — Przeciwnie, to jej dostojność boi się, że może jej potem braknąć czasu na przyjemności, bo istnieje tak wiele spraw, na które nie ma wpływu. A wiem, wasza godność, że naprawdę zależy jej na tym, byście usiadły, porozmawiały... a może i bez przesadnego umiaru popróbowały tego wina... — Raz jeszcze uśmiechnęła się porozumiewawczo. — Zupełnie tak, jak za młodu. Jedna zaklęta noc, kiedy przeszłość trafi do terażniejszości.

— Tak powiedziała?

— Tak. Przynajmniej taki był sens.

— Dziękuję za zaproszenie. Przygotuję się i przyjdę.

— Stawię się tu zaraz z powrotem i poprowadzę cię, pani.

— To miłe, Leneo. Wkrótce będę gotowa.

Perła wyszła. Tewena przez chwilę siedziała zamyślona, po czym wezwała swą przyboczną i z uśmiechem kazała sobie przynieść najskromniejszą suknię spośród wszystkich, jakie miała w bagażach. Była to gustownie skrojona, ale prosta szara szata, którą mogłaby nosić urzędniczka miejska... na przykład w Badorze. Zresztą w każdym mieście Wiecznego Cesarstwa.

Nakryty do wieczerzy stół sprostął zapowiedzi rudej Perły — jeśli zgoła nie przewyższył wszystkiego, co zapowiadała. Tuż przed progiem

pokoju Tewenę ogarnęły wątpliwości, czy nie ośmieszyła się, tak sentymentalnie nawiązując strojem do dawnych czasów, gdy obie z Arma były jeszcze młode — lecz wątpliwości zniknęły na widok gospodyni. Jej dostojność, codziennie wypindrzona jak na bal, tego wieczoru była ubrana całkiem normalnie. Lubiła złoto, ale dyskretne łańcuszki, drobne pierścionki i maleńkie kolczyki na pewno nie zostały wybrane z myślą o przypodobaniu się mężczyźnie; podobnie amarantowa suknia z granatowymi dodatkami, dość luźna, służyła raczej wygodzie biesiadniczki niż podkreśleniu zalet i zatuszowaniu wad figury. Mało tego, Arma była po prostu nieuczesa... Ogromną falę złotych włosów zebrała z tyłu i zwyczajnie związała granatową wstążką. Na widok Teweny wstała z krzesła i z uśmiechem czekała, aż przyjaciółka usiądzie przy sąsiednim brzegu stołu, blisko obok niej. Obok — bo nie miały siedzieć przy dwóch krańcach blatu, niczym przeciwniczki w rozmowie. Obok, jak przyjaciółki, z których każda mogła pochylić się ku drugiej i zniżonym głosem zdradzić babski sekret. Wychichotać w ucho tajemnicę.

Tewena usiadła i z lekkim uśmiechem przez chwilę spoglądała wprost przed siebie, gdzieś pomiędzy stłoczone na stole półmiski.

— A jeśli się uda? — zapytała z namysłem. — A jeśli naprawdę cofniemy dzisiaj czas?...

— Już cofnęliśmy, Tewo.

Na samym środku blatu postawiono tylko jeden, bardzo piękny, lecz nierozłożysty świecznik, migoczący zaledwie pięcioma płomykami. Armektanka spojrzała na przyjaciółkę i zrozumiała, co Arma ma na myśli. W przytłumionym, pomarańczowoszarym świetle, gospodyni wyglądała na trzydzieści lat... Tewenie uderzyło mocniej serce, bo i tamta widziała przecież młodszą o dziesięć lat kobietę... nieledwie dziewczynę... Młodą Tewę z Badoru.

Stół zastawiono obficie, suto, bogato, zarazem zaś... byle jak. To nie był stół armeктаński, na pewno nie dartański... Grombelardzki. Dziki, obojętny wobec mód, form, obyczajów, po prostu mnóstwo dobrego żarcia, w którym pijani biesiadnicy, czy też może raczej tylko biesiadniczki — mogły się choćby na koniec wytarzać. Arma lubiła słodczyce — było tego pełno. Patery z owocami stały obok półmisków z dziczyzną; smakowicie pachnące sosy (Tewena lubiła sosy...) mogły służyć choćby do polewania jarzyn — jarzyny właśnie stały najbliżej.

Pieczony w miodzie skromny kurczak był chyba zawstydzony sąsiedztwem królewskiego jesiotra, którego z kolei poniżono obecnością śledzi w śmietanie, tak wybornie pasujących nie do wina, lecz żołnierskiej zgoła gorzałki... Kiszony ogórek niepewnie zerkał z garnca na bażanta nadziewanego truflami, gotów chyba zaraz z powrotem skryć się w koprowo-czosnkowej wodzie. Nikt miał nie przeszkadzać kobietom w ich nocnej orgii, nawet służba, nawet kuchciki — przyniesiono więc wszystko naraz i postawiono na stole, jakkolwiek, byle tylko upchnąć, zmieścić. Gdzie musztarda? Brakło miejsca, więc kamionka musztardy, smakowicie łyaskającej kuleczkami gorczycy, znalazła się na podłodze obok stołu, przytulona do licznych gąsiorów i dzbanów; tam też cichutko siedział marynowany czosnek, któremu dodawały otuchy przyrządzone na dwadzieścia sposobów grzyby. Wprost na obrus rzucono kilka garści rodzynek i migdałów, trochę suszonych śliwek i przesiąknięte wiśniowym sokiem grudki cukru — można było od niechcienia je wybierać spomiędzy innych dań. Jeszcze sery, wędliny, twarogi, potrawka donarska tradycyjnie w czterech smakach, pajdy smakowicie pachnącego chleba, słodkie ciasta... Parowała zupa cebulowa, zawieszona w małym, podgrzewanym od spodu kociołku, obok zaś tak samo zupa rybna, ale jeszcze trzecia i czwarta, i tarwelarski bulion korzenny, jeszcze jakaś polewka piwna i gorący krem z grzybów... Dalej jałowcowy pasztet po seyeńsku i wątróbki. Stół był niemały; prawdę rzekłszy — był wielki jak pół Grombelardu... Dwie kobiety, zwłaszcza jeśli chciały choć trochę porozmawiać, nie mogły nawet dokładnie obejrzeć wszystkich potraw, a cóż dopiero skosztować. Mogło być wykwintniej — na pewno nie mogło obficiej. Nie w tym pomieszczeniu i już nie na tym stole.

Lecz czy komuś to przeszkadzało?...

Wina z prywatnej piwnicy namiestniczki były doskonałe. Tak doskonałe, że mogła poznać się na nich jej godność Tewena, pani z urodzenia, rozbójniczka zaś tylko z wyboru... Bo z jej dostojnością namiestniczką rzecz miała się dokładnie na odwrót. Arma trzymała w piwnicy najznakomitsze trunki, albowiem mogła sobie na takie pozwolić, lecz — doprawdy — ktoś inny musiał pilnować, by jej nie oszukano. Nie zmieniało to w niczym faktu, że Tewena — żyjąca dostatnio, zamożna, ale nie aż bogata — rzadko próbowała tak szlachetnych napitków.

Najpierw obie czuły się dziwnie skrępowane — jak zawsze, gdy ktoś

zaprasza, ktoś inny przyjmuje zaproszenie, przychodzi, siada, trzeba zagaić rozmowę... Niemal zawsze musi minąć trochę czasu, nim spotkanie nabierze właściwego rytmu; trzeba czasu, a jeszcze bardziej wina.

Wina nie brakowało.

Rozmowa wciąż nieco kulała.

Jeszcze jeden pucharek... Lekko zarumieniona na policzkach Tewena uważnie rozglądała się po stole, jakby szukając czegoś, co powinno być — a czego jednak nie dostrzegła. Lecz w istocie podziwiała tylko zastawę, bardzo armektańską: srebrną, świetną, nawet kosztowną, ale tylko dzięki wykonaniu. Na tym właśnie polegała wyjątkowość srebra. Wartościowe, lecz przecież nie aż tak jak złoto, nikogo nie mogło oszołomić samym swym ciężarem. Srebru trzeba było nadać wartość; złoto od razu ją miało. Żółty kruszec (Arma chyba by się z tym nie zgodziła...) był tandetny już tylko dlatego, że za drogi. Miał się do srebra jak bogaty kupiec do niemającego poety. Tewena, zawsze i wszędzie najpierw Armektanka, dumna z tego, kim jest i jak postrzega świat, bardzo ceniła prostotę, ową szczerłość rzeczy. Zaleta, będąca zarazem u Armektańczyków narodową wadą, bo owo umiłowanie prostoty i piętnowanie zadęcia nazbyt często bywało aż ostentacyjne, a przez to trochę śmieszne... W Dartanie bawiono się zagadką. Pytanie: dlaczego Najgodniejszy Imperator nie oszczędza świec, biorąc kąpiel? Odpowiedź: bo służba musi widzieć drzazgi w klepkach, z których sam sobie sklecił kadź.

— Czego brakuje? — zapytała Arma.

— Chodzi właśnie o to, że niczego... Jesteś aż tak bogata?

Zmitygowała się zaraz.

— Nie, Armo, nie pytam... Nie gniewaj się.

— Jestem.

— Bardzo mi się podoba twoja Perła — powiedziała szczerze Tewena. — Wiele słyszałam o takich niewolnicach, ale właściwie po raz pierwszy zobaczyłam, jak taka wygląda i co potrafi. Też bym sobie kupiła coś takiego, gdyby, oczywiście, było mnie stać.

— Dostałam ją w prezencie. Mogłabym pewnie kupić, ale... — Arma wzruszyła ramionami.

— Trybunał zawsze dobrze płacił. No, dlatego jest taki skuteczny...

Zawsze i wszędzie koleżanki — zauważyła nagle Tewena, bo coś sobie przypomniała. — Bo wiesz? Zbieram w Dartanie wiadomości dla NASZEJ instytucji. — Uśmiechnęła się lekko. — I płacą mi wcale godziwie. Za nic, zupełnie za nic.

Arma odchyliła się na oparcie krzesła. Podparła ręką łokieć drugiej i dotknęła wskazującym palcem ust, spoglądając spod oka.

— Mówisz, że Trybunał dobrze mi płaci... Tewo, nie bądź naiwna — zmitygowała przyjaciółkę. — Pobory Pierwszej Namiestniczki są wysokie, ale (tak mówiąc między nami) dla kogo wysokie? Dla mnie? Pamiętasz? Tak się złożyło, że wyniosłam z Grombelardu więcej, niż którekolwiek z was, Glorma i Rbita nie wyłączając. No, trochę dlatego, że Raner oddał mi wszystko, co sam zebrał, bo został tu przecież, gdy my wszyscy jechaliśmy do Armektu i Dartanu urządzać sobie życie od nowa...

Posmutniała na moment, jak zawsze, gdy stawał jej przed oczami zabity w górach brat.

— Ale potem wróciłam, sprzedałam wszystko w Dartanie, trochę pieniędzy pożyczyłam Werenie, wtedy jeszcze Namiestniczce Sędziego w Grombie — podjęła zaraz. — Jeszcze mi nie oddała. A tutaj... no powiedz, czy ja żyję z poborów urzędniczki Wiecznego Cesarstwa? Wystarcza mi na pokrycie różnych, nieoficjalnych, ale i nie prywatnych, wydatków. Trybunał nie da mi środków na utrzymanie grupki płatnych morderców — wytłumaczyła — bo przecież takich oddziałów formalnie w ogóle nie ma. A z czego żyję? Szczerze? Nawet niewiele kradnę. Nazwałabym to raczej... hmm... może: kupiectwem politycznym? — Uśmiechnęła się. — Muszę kontrolować rzetelność wszelkich dostawców, wykonawców prac miejskich i tak dalej... Potrafię skontrolować w taki sposób, że zostaje na placu boju tylko jedno przedsiębiorstwo handlowe, bo przecież nie istnieje tak uczciwy kupiec, do którego nie można się przyczepić, jeśli kontroler koniecznie przyczepić się pragnie. Wszyscy, oczywiście, dobrze wiedzą, w jaki sposób odzyskać wiarygodność w oczach moich śledczych. — Znowu się uśmiechnęła. — Raz dokuczam temu, potem innemu... Ale nikt nie idzie z torbami, a na końcu wszyscy są zadowoleni. Wspaniałe stanowisko i wspaniała praca — oświadczyła zupełnie szczerze. — Mogę w Londzie wszystko. Zdechnę, a nie wypuszczę tego z rąk.

— Zdaje się, że nowy Przedstawiciel nie bardzo lubi, gdy ktoś rządzi

za niego — zauważyła Tewena. — Rzeczywiście jest taki pracowity, jak mówią?

— Przedstawiciel? Zniszczę tego gnoja. Widzisz mnie? Zniszczę go, tak jak tu siedzę. Jeśli nie dam rady sama, to polecę w góry i poproszę Rbita o przysługę, a w zamian dam mu w prezencie... choćby cały Lond.

Tewena od wszystkiego trzymała się z daleka i od dawna już niczego nie drażyła. Lecz widocznie drażyło się samo. Od tygodnia słyszała od Army zawsze lekkie, ale w gruncie rzeczy ciepłe żarciki o księciu Askenezie. Teraz usłyszała nienawiść, i zobaczyła w oczach... drobne światełko, które zaraz zgasło. Konflikt namiestniczki i Przedstawiciela? Nie... Arma nie umiała nienawidzić przeciwnika. Przez całe życie robiła coś wbrew komuś i gdyby zawsze przy tym miała czuć nienawiść, oszalałaby dawno. Nigdy nie czuła niczego szczególnego. Siadała tylko do gry.

Namiestniczka tak szczerze — bo przecież naprawdę szczerze, choć zdawkowo — powiedziała o swoich krętowniach, które zapewniały jej pieniądze... Tewena oparła łokcie na stole i też zapragnęła zdobyć się na szczerłość. Nie udawać, że niczego się nie domyśliła.

— Niemożliwe? Nie, tylko dziwne — powiedziała sama do siebie. — Ale to tylko męczyzna, Armo.

Po chwili do namiestniczki dotarło, że zapomniała na chwilę, z kim rozmawia. Poczzerwieniała na policzkach, a nawet na czole i szyi, ale nim zdążyła coś powiedzieć, Armektanka pochyliła się ku niej i szepnęła:

— Złota... Olej to.

„Złota”. Prawie nikt się tak do niej nie zwracał, właściwie tylko Tewena i kilku wywiadowców, z którymi była najbliżej. Przyjaciele, nie tacy jak Glorm i Delen, ale jednak bliscy. Współpracownicy.

Dosadne powiedzonko w ustach poważnej i rzeczowej pani Czystej Krwi zabrzmiało... zdumiewająco. To już nawet nie były stare dzieje... to było coś nowego. W całym życiu Arma tylko raz usłyszała, jak rozgniewana Tewena krzyknęła do kogoś: „Zabieraj stąd swój tyłek!”. I zaraz okropnie się zawstydziała.

„Złota, olej to...”.

Namiestniczka parsknęła śmiechem. Pochyliła się ku przyjaciółce i objęła ją za szyję, przewracając pucharek z winem, które czerwoną strugą popłynęło po obrusie niczym krew.

— Olać? — wykrztusiła. — Tewo... Słuchaj, Tewa... ja na to sram!...

Tewena omal się nie rozplakała. Chichotały i kaszały, oparte czołem o czoło, aż zabrakło im tchu.

— Ooo... — westchnęła gospodyni. — Zostawmy... zostawmy to już. Nie warto.

Tewena podniosła przewrócony puchar i nalała wina przyjaciółce, a potem dolała sobie. Arma wypila, ale tak, jakby naprawdę umyśliła sobie, że zwali się tej nocy pod stół. Widocznie obie pomyślały o tym samym, bo namiestniczka odetchnęła i rzekła:

— Słuchaj, zanim się kompletnie upijemy... Ple-ple możemy nawet na podłodze, ale teraz... Słuchaj, mam propozycję. Potrzebuję cię, kłamczucho. Nie, nie musisz odpowiadać dzisiaj, wróć do domu, porozmawiaj z synem, pomyśl... — Urwała.

— No tak... ale o co chodzi? Propozycja? — Tewena nawet nie bardzo starała się ukryć nieufność. Patrzyła z rozbudzoną podejrzliwością.

— Nie patrz tak, nie wciągam cię w nic brudnego. Co ty myślisz, że ja tylko w gównie się tutaj nurzam? — Namiestniczka jednak była już troszeczkę wstawiona. — Przede wszystkim jestem urzędniczką Wiecznego Cesarstwa i zdziwiłabyś się, jak służyłam Werenie. Jej Królewskiej Wysokości N.R.M. Werenie Księżnej Przedstawicielce Cesarza w Londzie, jeszcze gdy tutaj była. Wiesz, jak służyłam? Jak suka, jak wierna suka. Wcześniej służyłam tak tylko Glormowi i Rbitowi.

Znowu odchyliła się na oparcie krzesła i odetchnęła głęboko. Dwoma palcami ścisnęła nos u nasady.

— Jestem tutaj sama — oznajmiła. — Mam legion dobrych, oddanych podwładnych i... może oprócz Lenei, ale to jednak tylko niewolnica... nikogo, komu mogłabym otwarcie powiedzieć... a chociażby tylko to, co dzisiaj powiedziałam przy tym stole. O „kupiectwie politycznym”, na przykład. Mam nieobsadzone trzecie namiestnictwo. Specjalnie czeka na kogoś, kto... — Wzruszyła ramionami. — No, w każdym razie, czeka od lat. To bardzo specjalne stanowisko, bo Trzeci Namiestnik, albo, dajmy na to, Trzecia Namiestniczka, to Trybunał w Trybunale. Nie działa na zewnątrz, tylko wewnątrz. Ciężko znaleźć chętnego, bo to ktoś, kogo wszyscy nie cierpią, ktoś, na widok kogo milkną wszystkie rozmowy, rozumiesz. Urzędnik, który może skontrolować każdego, bo nawet... no tak, nawet Pierwszą Namiestniczkę, jeśli znajdzie ku temu powody.

— I Pierwsza Namiestniczka ma prawo powołać kogoś takiego?

— Właściwie, to nie. A ściśle: niby ma prawo, ale musi uzyskać zgodę Kirlanu. Jednak zgoda na pewno nadejdzie.

Jakkolwiek nieoczekiwana była propozycja Army, Tewena nie skwitowała jej wzruszeniem ramion. Upiła mały łyk wina.

— Po co ci ktoś taki?

— Po co? Po nic. Ciebie chcę. We dwie... Słuchaj, może jestem troszeczkę pijana, ale wiem co mówię. Otóż tę prowincję (prowincję, nie jakieś porzucone udzielne królestwo, bo nim nie jest), no więc tę prowincję można poskładać do kupy. Rozejrzałaś się po Szererze? Przyszły nowe czasy, Teweno. Służę cesarstwu, którego za ćwierć wieku może nie być. Wszystko zależy od Wereny, władczyni, jakiej imperium nie miało... a może od jakichś czterech wieków? Ale w Dartanie, zdaje się, siedzi druga taka. Wyobrazasz sobie? Jeśli nikt nie wesprze Wereny, Szerer stoczy się, jak głaz po zboczu góry, a na dole rozpadnie na dziesiątki kawałków. Byle Agary już są niepodległe i mogą śmiać się z państw kontynentalnych. Jutro inne Wyspy, Garra, Grombelard... Ale Rbit i Glorm nie utrzymają się w Górach, a już na pewno nie tak, jak napisałaś mi w liście. Można tam wzniecić wojnę, ale potem? Zagony do Armektu i Dartanu? Glorm nie stworzy armii, która wtargnie do miast, a co znajdzie w wioskach? Krowy? Przed wiekami rozbójnicy-rycerze mieli innego przeciwnika, tam były tylko skłócone armektańskie księstwa i wiecznie pogrążony w wojnie domowej Dartan. Teraz tego nie ma. Londu nie oddam — oświadczyła twardo. — A w Górach są tylko skały. Nikt się nie nażre skałami. Glorm odejdzie z Grombelardu tak, jak przyszedł, bo jego czas minął raz na zawsze. A mój nie. Wiesz, kim jestem? Tylko urzędniczką, która na pewno nie naprawi świata, nawet przy wsparciu innej doskonałej urzędniczki, takiej weźmy, jak ty. Ale może go naprawić najdoskonalsza ze stworzonych w tym świecie instytucji i ta instytucja stoi za mną. Pracując, tylko uczciwie pracując i nic więcej, mogę oddać Drugą Prowincję cesarstwu, a właściwie Werenie. Kocham ją — przyznała, trochę bezradnie. — Co ty na to? Kocham moją cesarzową, Teweno, i chcę wiernie jej służyć. To ktoś... to kobieta... — zająknęła się. — Nie, inaczej: to człowiek, jakiego dotąd nie znałam. Wielki człowiek, wiesz? Nie sławny, nie silny, tylko wielki.

Armektanka milczała zasłuchana.

— Mam dom, syna, dwie córki — powiedziała.

— Wiem, co masz i kogo. Jesteś zamożna?

— Wiesz, że tak.

— Bardzo?

— Co to znaczy, Armo? Nie, nie bardzo. Po prostu zamożna.

Blondynka wymieniła sumę w złocie. Tewena spoglądała przed siebie, przez dość długą chwilę dotykając krawędzi pucharu ustami. Wreszcie wypła łyk. Podniosła z obrusu migdał.

— Co to za kwota?

— Oczywiście, to nie są pobory Trzeciej Namiestniczki Sędziego. Ale na tyle szacuję faktyczną wartość pozyskania dla Trybunału w Londzie kogoś takiego, jak ty.

— Chyba trochę przeszacowałaś. I kto miałby wyłożyć te pieniądze?

— Oczywiście ja, i nie dlatego, Tewo, że jesteśmy przyjaciółkami. To nie dar, a po prostu zapłata za to, co możesz dla mnie zrobić. Mam plany, które nie są twoimi planami, i zamierzam je spełnić. Pomoc w ich spełnieniu kosztuje, a ja umiem liczyć i wiem, na czym lub na kim nie należy oszczędzać. Tyle jest warta dla mnie prawdziwa podpora mojego urzędu tutaj, w Londzie, stolicy Grombelardu.

— Pięćdziesiąt tysięcy sztuk złota? Można za to kupić małe księstwo.

— Powiedzmy: ładny majątek. A ja za to chcę kupić cały kraj. Dużą, chociaż skalistą prowincję. Bardzo tanio. Cztery miasta w górach, sto lub dwieście wiosek w Grombelardzie Niskim, bezpieczny szlak przez Wody Środkowe, a sam ten szlak wart jest więcej, grubo, grubo więcej niż pięćdziesiąt tysięcy sztuk złota, Teweno. Przemyśl to — poprosiła. — Nie potrzebuję cię dzisiaj ani jutro. To znaczy, tak, potrzebuję nawet dzisiaj, a potrzebowałam już wczoraj i przedwczoraj... Ale jeszcze poczekam.

Tewena potrafiła odsunąć na bok wszystko, co w danej chwili zbędne. Niebываła, oszałamiająca propozycja naprawdę zasługiwała na staranne przemyślenie. Owszem, była zamożna, co przyznała przed przyjaciółką. Ale zamożność, tylko zamożność, gdy ma się troje dzieci... Jakie wiano dla córek? Jedna mała wioska dla każdej? A Iwin? A ona sama? Nie była jeszcze stara. Może mogła zrobić coś jeszcze tak dla siebie, jak i swoich dzieci? Oto nagle, przy nieprzyzwoicie suto zastawionym stole, padła propozycja, która stawiała na głowie wszystkie jej plany, całe życie. Miała wrócić do Dartanu, spakować się i wyjechać z powrotem? Do

Londonu? By u boku przybyłej z przeszłości złotowłosej intrygantki naprawiać świat, łątać Wieczne Cesarstwo? Prawda, ta intrygantka nie majaczyła, nawet jeśli skosztowała trochę wina... Chyba wiedziała, co mówi, dokąd zmierza.

Tewena skinęła głową — i odłożyła rzecz na później. Nie zamierzała rozstrzygnąć tego przy pieczeniu, z kielichem w prawej, a suszoną śliwką w lewej dłoni.

— Mhm — mruknęła, jakby chodziło o podjęcie decyzji, gdzie będzie nocować: u Army czy u siebie. — Przyszło mi coś na myśl, przypomniałam sobie... Pamiętasz jeszcze Koniarza?

Koniarz był przed laty znachorem leczącym zwierzęta, poza tym zaś człowiekiem, który w Grombie udzielał gościny i schronienia władcom Gór.

Arma także potrafiła odłożyć na bok sprawy, których nie dało się rozstrzygnąć natychmiast.

— Pamiętam — odparła z uśmiechem. — Też ci zaraz o nim opowiem... Ale najpierw ty. Co zrobił?

Tewena zaśmiała się.

— Nie uwierzysz... Oświadczył mi się kiedyś.

Arma rzeczywiście nie uwierzyła.

— No chyba... Koniarz? Ale... TOBIE?

— Miałam zostać żoną Koniarza — chłodno i wyniośle potwierdziła Tewena. — Powiedział, że mu nie przeszkadza, że mam już dzieci z kimś innym.

Arma po raz drugi przewróciła kielich. Tewena, dotykając ustami swojego, nie piła, bo nie mogła, śmiała się tylko bezgłośnie do rubinowego napoju, drżącego w głębi naczynia.

— Opowiadaj! — Gospodyni płakała ze śmiechu. — No już, bo nie mogę... nie mogę się doczekać...

Tewena opowiedziała.

22.

Ridareta jadła resztki i siorbała pomyje. Nie dokuczano jej w żaden inny sposób, jak tylko podając obrzydliwe jadło.

Dziwne były kaprysy, dziwna natura owej mocy, przepełniającej ciało zwykłej niegdyś kobiety. Moc, która niemal w oczach zasklepiła śmiertelne rany, spajała kości; moc, której aż nadto wystarczyło do podtrzymania sił w żywym ciele — ta sama moc nie odbierała uczucia głodu, łaknienia... Pusty żołądek mógł być takim bodaj przez wieki — lecz tak samo przez wieki nieszczęsna istota, w której tkwił, marzyłaby o jakimkolwiek kęsie strawy. Ridareta nie mogła umrzeć z głodu tak samo, jak nie mogła utonąć, bo nie potrzebowała powietrza; zresztą, wiedząc o tym, zapragnęła kiedyś zwiedzić świat podwodny, niedostępny zwykłym śmiertelnikom. Lecz ludzkie ciało każdą swoją cząstką domagało się tchu, zaś płuca, w które wdarła się woda, pękały z bólu, próbowały oddychać tą wodą, posłuszne odruchowi. I nie był to ból, jakiego czasem pożądał uwięziony w Ridarecie Rubin. Był to gwałt na ludzkiej części istoty, obmierzły i nieznośny. Ridareta dusiła się i choć miała świadomość, że się nie udusi, w niczym to nie mogło jej pomóc. Podwodna wyprawa była torturą. Krótkotrwałą, ale za to dotkliwą.

Ridareta jadła, co jej dano, bo było to lepsze od niejedzenia w ogóle.

Dziwnie przebiegają granice oddzielające w duszy niemożliwe od nieuchronnego... Wydają się niewzruszone, po czym wychodzi na jaw, że wcale takie nie są. „On nie jest do tego zdolny!” powiadano o kimś, a potem się okazywało, że i owszem, był zdolny do wszystkiego. Bądź przeciwnie: ktoś uważał, że nie ugnie się nigdy, a tymczasem... Ridareta została złamana tylko raz — i granica pomknęła w dal, wciąż tak samo odległa jak horyzont. Jeszcze nie tak dawno gotowa była podpalać żaglowce, lecz spokorniała, gdy pokazano jej tę jedną, jedyną rzecz, dla której powinna być posłuszna: życie Raladana. Pogodziła się z bezsilnością i od tej chwili można było zrobić z nią cokolwiek. Nakazać wszystko; zakazać czego bądź. Ujeżdżony koń, raz poskromiony, a następnie powolny wszystkim rozkazom jeźdźca. Strażnicy wtykający jedzenie do jej celi, przez odmykaną klapkę w dolnej części drzwi, mogliby spluwać na nią dla zabawy albo też przyglądać się przez okienko, jak załatwia swoje potrzeby do tak samo wtykanego i

odbieranego naczynia. Nic ją nie obchodziło, nic nie upokarzało. Mogliby zresztą otworzyć drzwi celi, bo naprawdę nie były potrzebne. Dalej cicho siedziałyby w kącie.

O starym, jednorękim towarzyszu zapomniała już bez reszty, całkowicie.

Ale on, na szczęście, nie zapomniał o niej.

Tamenath miał swoje lata (a w jego wypadku, ho, ho! to naprawdę znaczyło: MIAŁ LATA...) i swój rozum, czego też nie należało lekceważyć. Do sytuacji, w której się znalazł, podszedł chłodno, wytrawnie, metodycznie. Matematycznie, i to matematycznie w ścisłym rozumieniu tego słowa. Albowiem siedział i liczył.

Dano mu do zrozumienia to, co Ridarecie: że nie może wierzyć, bo ktoś słono za to zapłaci. Lecz, po pierwsze, straszono go czymś innym (jej dostojność Arma zagroziła tylko przedśmiertnymi mękami Ridarety i Raladana, z życiem zaś tak czy owak mieli się pożegnać), po wtóre zaś — straszono kogoś innego... Tamenath nie był Ridaretą. Księżniczkę lubił; księcia Raladana lubił bardzo, a ponadto — w pewien sposób — poważał. I to wszystko, bo nie kochał ani jej, ani jego. Pozwalało mu to patrzeć na sprawę z dystansu, którego nie mogła nabrać Ridareta. Zależało mu na przyjaciółkach — no, ale bez przesady. Głowy kłaść za nich nie zamierzał. Mógł może zaryzykować, ale bez trudu wyobrażał sobie przy tym, że ryzyko rozłoży się na troje; myśl o tym, że pirat albo pięknotka mogą zginąć, nie obezwładniała go wcale. Jeśli któreś zginie, no to zginie. I tak już spisano ich na straty.

Dlatego nie wściekał się, nie desperował, ale też nie oklapł niczym Ridareta. Nie miał nic lepszego do roboty, więc usiadł i zaczął myśleć. Rozgryzał dwa Ciemne Pasma, zaklęte w pokrytych cyframi i symbolami stronicach, bo wiedział — ale to WIEDZIAŁ — że w tych Pasmach jest wszystko, czego mu potrzeba.

I miał słuszność. Wiedział swoje, bo wiedza Przyjętego nie była sumą doświadczeń, umiejętności i różnych nabytych wiadomości. Lah'agar, co tłumaczono jako „przyjęty”, znaczyło dosłownie „odnaleziona część”. Mędrzy Szerni byli — symbolicznie — żywymi częściami Pasm, częściami, w których skupiały się ich wszystkie treści. Filozofia bądź matematyka w służbie takiej istoty osiągały zupełnie nowy wymiar. Obliczenia i wywody zyskiwały natychmiastowe, nie podlegające

dyskusji potwierdzenie, lub — tak samo bezdyskusyjnie — mogły być odrzucane. Przyjęty przecież niejako opisywał i wyrażał siebie, malował portret, którego wierność natychmiast mógł sprawdzić w zwierciadle; sam był tym zwierciadłem, bo symbolizował Szerń, za jej przyzwoleniem sam był Szernią, kompozycją równoważących się Jasnych i Ciemnych Pasm.

Lecz Tamenath nie był mędrce Szerni. Lah'agar, owszem, lecz lah'agar dwóch Wyklętych Pasm. Tylko dwóch... Wykluczonych z zawieszanej nad światem potęgi, odrzuconych, zbędnych... Nikt taki nigdy nie istniał. Nigdy dotąd.

Tamenath dłużył w swych liczbach tak długo, aż wydłużył to, o czym WIEDZIAŁ, a co chciał tylko potwierdzić, bo było niewiarygodne. Potwierdził i mógł już dalej nie liczyć; w każdym razie mógł odłożyć robotę na później, zatrudnić swój legion rachmistrzów... Teraz tylko skończył portret i porównał go z odbiciem w zwierciadle. Podziwiał wierność wizerunku i dumał — a naprawdę miał o czym dumać.

Wydumał przede wszystkim, że powinien raz jeszcze rozmówić się z namiestniczką. Przyszła, gdy o to poprosił. Zapytał o przyjaciół.

„Zbieram dowody i świadectwa” — odpowiedziała sucho. — „Jeszcze żyją”.

Żyli albo nie żyli... Mogła kłamać, obawiając się jego reakcji. Nie mając doświadczenia w prowadzeniu trudnych rozmów, Tamenath bał się podpytywać przebiegłą kobietę, o której trochę wiedział od syna. Na szczęście sama powiedziała to, co chciał usłyszeć; widocznie przyszło jej na myśl, że w ten sposób uspokoi ojca dawnego przyjaciela i wybije mu z głowy rodzące się tam głupstwa.

„Nie mogę ich osądzić, bo będę musiała i ciebie, wasza godność, to przecież jedna i ta sama sprawa. Zwlekam jak tylko mogę, bo gdy cię uniewinnię, to nie będę mogła dłużej trzymać. A trzymać muszę. Wciąż nie mam żadnych wieści od Glorma i Rbita. Nie ukrywam, że to mnie niepokoi, tym bardziej, że nie mogę odwlekać rozprawy w nieskończoność... Mimo wszystko bądź spokojny, panie. Jeśli dojdzie do tej niechcianej rozprawy, uniewinnię cię tak czy inaczej. Najwyżej sama nic na tym nie skorzystam, trudno”.

Dowiedział się w ten sposób, że Raladanowi i Ridarecie nic nie grozi tak długo, jak długo zamiary namiestniczki względem niego pozostaną

niezrealizowane. Miał więc czas.

I znowu mógł dumać. To jedno wybornie potrafił. Gdyby jeszcze równie dobrze umiał działać...

Działać umiał trzeci z pochwyconych.

Raladan, wkrótce po uwięzieniu, usłyszał od Army mniej więcej to samo, co Ridareta. Przeraził się, a uczynił to tak ładnie, że zyskałby uznanie w oczach samej Teweny, gdyby, oczywiście, miała okazję go poznać. Domyślił się, że podobnych pogroźek wysłuchała jego przybrana córka. Dobrze znał Ridaretę i obawiał się tego, co rzeczywiście nastąpiło: że księżniczka upadnie na duchu, zacznie trząść się nad jego losem i nie uczyni nic. Dlatego zamierzał dać drapaką z więziennej twierdzy i narobić przy tym tyle huku, by ów dotarł do właściwych uszu, bez względu na to, gdzie owe uszy trzymano. Reszta miała dokonać się sama. Ridareta, uwolniona od troski o najbliższego człowieka, spokojnie mogła załatwić całą resztę. Raladan, choć dobrze rozumiał, że jego córka nie jest nieśmiertelna, wiedział jednak, że potrafi bardzo dużo, a nikt tutaj o tym nie ma zielonego pojęcia.

Pozostawał jeszcze Tamenath. Właściwie Raladan nie bardzo przejmował się starym wielkoludem. Miał go za przyjaciela, ale stracił w życiu całe mnóstwo przyjaciół, bo zajęcie, któremu się oddawał, do spokojnych nie należało, przyjaciół zaś dobierał sobie nie z kręgu piekarzy lub hodowców owiec... Myślał więc o Przyjętym mniej więcej to samo, co Przyjęty o nim: że przyjaciel, że tak, trzeba pomóc, ale jeśli ów przyjaciel straci łysą głowę, no to mówi się trudno. Zamiast wpychać łeb w kłopoty, trzeba było siedzieć na Agarach, sączyć miód z kubeczka i z wysokości wydmy spoglądać na przyptływ, co niczym szczególnym nie groziło.

Dowódca „Seili” nie był pewny, czy jego marynarze i żołnierze siedzą w tej samej twierdzy; wydawała się trochę przyciasna. Wszystkich tutaj prowadzono, ale czy nadal trzymano? Wątpliwe. Nie była to rezydencja mogąca łatwo pomieścić załogę pełnomorskiego żaglowca, choćby i niezbyt dużego. No, chyba że twierdza świeciła pustkami. Trzy okrągłe wieże, połączone drewnianymi galeryjkami, były otoczone zewnętrznym murem, dość solidnym, ale bez przesady. To nie była twierdza dla specjalnych więźniów, ot, miejska ciupa i tyle.

Obezwładniony groźbami namiestniczki, wzorowy więzień Raladan,

pogodził się z bezsilnością aż ostentacyjnie. Wyglądało na to, że wysiedzi w więzieniu do śmierci. Odczekał kilka dni, bo nie mógł przecież nudzić się tak od razu... Potem, ku utrapieniu dwóch współwięźniów, siedzących z nim w tej samej celi wschodniej wieży, jął podśpiewywać, a wreszcie wyrykiwać żeglarskie piosenki. Najpierw świńskie i śmieszne. Śpiewał po armektańsku, głos miał znośny, więc raz i drugi zajrzał nawet przez okienko jakiś strażnik, rechocząc z „Ajanki, co wszystkim dawała/ Bo małego u swego starego dość miała”... Potem śpiewał i po garyjsku, ale z tego już nikt się nie śmiał, choć piosenki były równie zabawne; nie znano tu pięknej mowy dalekiej Morskiej Prowincji, a już na pewno nie znano gwary agarskiej. Stwierdziwszy ów fakt, Raladan ponuro i gromko wyrykiwał kolejne piosenki, na przykład takie:

Rudy Bohed, jeśli siedzisz w tej wieży,
He-hejże, ho! I rrraz!
Czy wiesz, gdzie szukać naszych ten tego,
Hej, heej! Dalej go!

Zaśpiewaj mi jakąś szotówkę, bo muszę,
He-hejże, ho! I rrraz!
Wiedzieć, gdzie siedzisz, bo tego coś... duszę,
Hej, heej! Dalej go!

Ale nie śpiewaj od razu, bo kto-oś,
He-hejże, ho! I rrraz!
Wykuma, że tutaj dzieje się co-oś!
Hej, heej! Dalej go!

Następnego dnia Raladan bacznie nadstawił ucha, bo skądś dobiegła stara, śpiewana od wieków we wszystkich portach Szereru, pieśń o śmierci przeklętej załogi, która przy pomocy braci-marynarzy z zaprzyjaźnionego żaglowca zdołała zdjąć kłątwe, wyrwała z głębin swój zatopiony statek i powróciła na morza:

Podmorskie fale zielonym echem podwodnej trawy
przynoszą szmer.
Przegniłe dłonie martwego szypra na dnie otchłani
trzymają ster.

A nad powierzchnią niebo się chmurzy;
z mocami sztormu siądźmy do gry.
Śpiewa wiatr w wantach, śpiewa o burzy,
więc zaśpiewajmy i my:

Podmorskie fale zielonym echem...

Śpiewało co najmniej kilkanaście gardeł! Po agarsku połykane końcówki czyniły słowa trudno zrozumiałymi, nawet dla rodowitego Garyjczyka lub Wyspiarza z innego archipelagu. Ba! Raladan nie trzymał na „Seili” durniów... Nie był pewien co do żołnierzy, ale swoich marynarzy miał na miejscu.

Wkrótce dowiedział się jeszcze paru rzeczy:

(Zapiewajło:)

Heej, ciężki żeglarza los!

(I ponury chór:)

Rudego z nami nie ma! Siedzi gdzieś w piwnicy!

Heej, chudy marynarza trzos!

Pilnują nas trupy! W każdej wieży cztery!

Heej, trzeba żeglarzowi znaku!

Rudego z nami nie ma! Siedzi gdzieś w piwnicy!

Heej, zanim runie do ataku!

Pilnują nas trupy! W każdej wieży cztery!

Heej, żeglarz już nie może śpiewać!

Rudego z nami nie ma! Siedzi gdzieś w piwnicy!

Heej, nie może już strażników gniewać!

Pilnują nas trupy! W każdej wieży cztery!

Piosenka umilkła, lecz Raladan wiedział wszystko, co trzeba, a nawet więcej. Załoga (choć w zachodniej wieży dozorca wyraźnie nie lubił marynarskich śpiewek) potwierdzała jego własne obserwacje. Siedzieli w lekkim więzieniu, przeznaczonym raczej dla opryszków niż prawdziwych przestępców. Nie było w tym właściwie nic dziwnego, jeśli zważyć, że surowe prawo imperialne wszelkich morderców i gwałcicieli karało bez ceregieli stryczkiem i nikt za bardzo nie wnikał w okoliczności łagodzące, rabusiów zaś i grabieżców posyłano do kopalń bądź kamieniołomów, albo — w Dartanie — na galery. Tutaj, w miejskim więzieniu, rzeczywiście trzymano tylko drobnych łapserdaków, może jeszcze jakichś oszustów, fałszujących rachunkowe księgi, przywykłych do władania piórem, nie mieczem. Solidna cela, o ile w ogóle taka tutaj się znajdowała, była najwyżej jedna. Może dwie; mimo wszystko musiano pewnie przetrzymać czasem obwiesia z prawdziwego zdarzenia, przynajmniej do wyroku, po którym wędrował na stryczek. Majtkowie znali więzienną twierdzę w macierzystej Aheli, i to tutaj, straszdełko, wydało im się chyba niepoważne. „Pilnowały ich trupy, w

każdej wieży cztery”. Tak, Raladan też był tego zdania, widząc nieobite żelazem drzwi, marne skoble, cienkie kraty i budzącą podziw czujność roztropnych więziennych dozorców. Dla dwudziestu starych piratów z „Seili”, twierdzy strzegło kilkanaście rzetelnych trupów, pousadzanych w trzech wieżach. Agarski książę jął układać piosenkę, zaczynającą się od słów: „Ju-hu-huu! dziś wieczorem, ju-hu-huu! / Dadzą żreć, a wtedy, ju-hu-huu! / Zdobędziemy całą norę, ju-hu-huu! Kiedy dadzą żreć wieczorem, ju-hu-huu!”. Zamiast tego zaryczał inną piosnkę, a mianowicie: „Mokrą cipkę miała dziewięć dni! / Hej, musimy czekać dziewięć dni! / Chyba żeby coś, wtedy nie! / Jakby wcześniej to odezwę się!”.

Dowiedział się bowiem, że dokładnie za dziewięć dni wychodzi jeden z jego współwięźniów.

Opanowanie twierdzy nie było, jak sądził, sprawą trudną. Ale potem? Dwudziestu ludzi, i to raczej kiepsko uzbrojonych (bo co dało się zdobyć na strażnikach?), to niewiele, gdy w grę wchodziło uwolnienie przetrzymywanych nie wiadomo gdzie zakładników, a choćby tylko ucieczka z nabitego wojskiem miasta... Dokąd? W góry? A jak tam stawiało się żagle? Raladan doszedł do wniosku, że jeśli tylko będzie to możliwe, odczeka dziewięć dni i zapewni sobie niezbędne wsparcie. Uważał, że ma czas. Nie za bardzo obawiał się namiestniczki Army i nie wierzył, by naprawdę chciała zrobić krzywdę jemu, Ridarecie i Tamenathowi. Przynajmniej nie tak od razu. Wiedział, kim jest ta złotowłosa kobieta, a i ona, jak się okazało, znała jego tożsamość. Miało to duże znaczenie. Raladan był pewien, że wraz z przyjaciółmi jest trzymany tylko jako argument w rozmowach dawnej rozbójniczki z Basergorem-Kragdobem.

Dlaczego więc w ogóle planował ucieczkę? No bo nie był pewien efektu tych rozmów... a poza tym zwykł polegać tylko na sobie. Siedział więc, liczył dni i stale śpiewał żeglarskie piosenki, po garyjsku i armektańsku. Jednak były to już zwykłe śpiewki, jakie można usłyszeć w każdej portowej knajpie. Zależało mu, żeby straż więzienna przywykła do jego umiłowania muzyki; nikt nie powinien być zdziwiony, że raz śpiewa, a kiedy indziej nie. Musiał jednak rozprawić się ze współwięźniem. Ten, co wychodził, nie dbał o nic, liczył tylko w myślach, na co przeznaczy fortunę, którą miano mu od ręki przekazać za

wyniesione z twierdzy wieści. Ale drugi wierzgał, więc księżę Raladan rozbił mu łeb o ścianę, bo niezmiernie pragnął śpiewać dalej.

W taki oto sposób z trojga uwięzionych dwóch zamierzało pobrykać, ale obaj potrzebowali trochę czasu. I dostali ten czas, a nawet jeszcze więcej: otrzymali w podarunku obojętność i roztargnienie Namiestniczki Sędziego Trybunału, która najpierw miała w głowie tajne schadzki, potem zaś nieustannie wracała myślami do kręconych schodów, na których ponizono ją jak nigdy dotąd, wyrwano z piersi serce i podeptano uczucia (nie wiadomo, czy pamiętała, na którym dokładnie stopniu). A wkrótce miało okazać się coś jeszcze: mianowicie to, że nie warto nadmiernie ufać zamkom pozakładanym w czyichś głowach, bo czasem skuteczniejsze są zwykłe żelazne sztaby i solidne odrzwia, o srogich dozorcach nawet nie wspominając. Arma tyleż przeceniała swój wpływ na umysły ludzi, co nie doceniała jeńców, z których dwoje miała za półdzikich piratów, potrafiących co najwyżej żgać nożami. Tak przynajmniej, jakby sama urodziła się w pałacu, stanowisko zaś objęła dzięki Czystej Krwi w żyłach... Ale właśnie dlatego, że miała się za osobę wyjątkową, nie dopuszczała myśli, iż Szerer może być zapchany takimi „wyjątkowymi” istotami. Które trafiają w pewne miejsce, w określonym czasie, kogoś tam spotykają — i niczego więcej nie trzeba, by wydobyć na wierzch ową „wyjątkowość”.

Zresztą, nie obawiała się nawet Tamenatha, choć akurat on na pewno był kimś wyjątkowym. Co z tego? Namiestniczka nie od wczoraj wiedziała, kim są mędrzy Szerni. Bezsilni mocarze, mądrzy lecz bierni, trwający w swoistej równowadze — bo właśnie ta równowaga była warunkiem przyjęcia ich przez Szerń. Przyjęty, który wykorzystywał siły Pasm, natychmiast przestawał być Przyjętym, jako że naruszał równowagę. Szerń nie pchała się ze swymi mocami do świata i jej chodzący na dwóch nogach symbol też tego czynić nie powinien. Już sam taki zamiar mógł go pozbawić całej siły, a nawet wręcz wtrącić do grobu. I faktycznie tak było, mądra Arma dobrze zrozumiała, kto to jest lah'agar. Lecz nie mogła żadną miarą wiedzieć, że istnieje jeden, którego przyjęła nie cała zrównowazona Szerń, lecz dwa Pasma, Ciemne Pasma... Ciemne, czyli aktywne, w oderwaniu od macierzystej potęgi nie mające z równowagą nic wspólnego, bo przecież właśnie oderwane od zrównowaczających je Pasm Jasnych. Tych, których w Szerni zabrakło po

przegranej wojnie z Alerem.

Tym bardziej nie mogła wiedzieć — bo nie wiedział nikt — w jaki sposób właściwie trwają owe dwa Odrzucone Pasma, które winny chyba runąć na Szerer, dokonując niebywałych spustoszeń, a przynajmniej jakichś cudów. Co je zobojętniało? Snuto tylko przypuszczenia. Wyglądało na to, że istnieje na świecie jeszcze jedna potęga, całkowicie różna od Szerni, a jednak mogąca na nią wpływać. Istniała niemal pewność, że pierwotny przestwór Bezmiarów to byt tak ogromny, tak złożony i skomplikowany, iż z samej tej przyczyny dysponujący namiastką samoświadomości, a nawet pewnymi siłami sprawczymi. Ze wszystkich żyjących w Szererze Przyjętych Tamenath rozumiał to najlepiej. Lepiej nawet niż Raladan — istota znikąd, powołana chyba do istnienia przez Bezmiary i czerpiąca z nich siły życiowe...

Złożyło się więc tak dziwnie, że jej dostojność Arma miała w swoim mieście troje ludzi-nie-ludzi, symbolizujących najslabiej poznane potęgi Szereru. Co z tego wynikało? Właśnie nad tym Tamenath dumał, dumał i dumał, by dojść na koniec do wniosku, że nic. Wyszło mu, że prawdopodobnie już dość dawno został przyjęty przez Wyklęte Pasma, i nawet o tym nie wiedział, siedząc na Agarach razem z... no, ależ tak, z tamtą dwójką... Bo różne fenomeny całkiem nijak miały się do świata, były niczym ciele o dwóch głowach. Różne potęgi równoważyły się albo nie, zawierały sojusze bądź toczyły wojny, lecz co z tego miało wynikać? Gdy spadały czasem na ziemię, przypominały powódź; nic na to nie dało się poradzić. Ale ściągać je na dół, by uciec z jakiegoś więzienia? A kto niby wiedział, czego STAMTĄD i w jaki sposób użyć? Raladan zamierzał odczekać swoje dziewięć dni, po czym rozbić strażnikowi łeb miską z jedzeniem i opuścić celę, by grzmocić następnego strażnika. Bardzo słusznie, albowiem to była metoda właściwa na twardej ziemi, jaką miał pod nogami. Różne dziwne a cuchnące śmiertelnikom moce przydawały się tylko nawiedzonym gdybaczom, którzy bez nich straciliby zajęcie. Od biedy dało się pewnie jakieś ochłapy tych mocy wykorzystać, lecz polegać na nich mógł tylko pomylenieć.

Jedyna zaś pomyłona istota z całej trójki siedziała w kącie celi cichutko jak szara myszka.

23.

Uwolniony współwięzień Raladana zmitrężył aż dwa dni, nim dotarł do urwiska, z którego był widoczny duży żaglowiec z nagimi masztami (na szczęście Raladan zdawał sobie sprawę, że dojście lądem do kryjówki „Zgniłego Trupa” może być czasochłonne, i uwzględnił to w swoich rachubach). Morze kotłowało się u stóp skalnej ściany, bryzgało pianą na grzebieniach skał. Statek szarpał się, wczepiony kotwicami w dno. Oniemiały mężczyzna spoglądał w dół, nie mogąc uwierzyć, że ktoś wpłynął do takiej pułapki; tu musiała być w użyciu jakaś morska magia! Krzyczał i wrzeszczał, lecz nikt go nie zauważył, a tym bardziej nie mógł usłyszeć. Musiał zejść aż do podnóża skalnej ściany, co nie było łatwe i trwało bardzo długo. Kamienista plaża-nie-plaża prawie w całości znikwała pod nadbiegającymi falami, ale z poziomu morza maleńka zatoczka nie wyglądała aż tak groźnie. Posłaniec Raladana znowu jął krzyzczeć i wymachiwać rękami, wreszcie zlitowano się nad nim: ktoś przyciągnął jedną z przywiązanych do rufy szalup i niedługo potem kilku tęgich wioślarzy ryczało triumfalnie, znajdując jakąś niepojętą przyjemność w grożącym katastrofą lawirowaniu między skałami. Czekający na brzegu obserwator spocił się z wrażenia, obserwując marynarską zabawę, i dopiero, gdy dno łodzi zachrobotowało o kamienie na plaży, zdał sobie sprawę, że bolą go wszystkie mięśnie, napięte od samego patrzenia. Trzej mężczyźni trzymali szalupę, czterej inni z nieskrywaną ciekawością podeszli do nieznanego, który ich przyzywał.

I jakież rozczarowanie!... Wyszło na jaw, że łatwiej było przybić łodzią do brzegu niżli porozumieć się z mieszkańcem skalistego kraju, okropnym głąbem, który ni w ząb nie znał garyjskiego. Jeden z wioślarzy sądził, że potrafi posłużyć się Kinenem, wygulgotał więc ku podziwowi kompanów kilka słów. Szczur lądowy także znał Kinen, lecz był to chyba jakiś zupełnie inny Kinen; obaj językoznawcy potrafili powiedzieć sobie tylko tyle, że się nie rozumieją. Ucieszeni nawiązanym kontaktem powtarzali to jeden drugiemu tak długo, aż dowódca łodzi stracił cierpliwość, powiedział coś podniesionym głosem — a wówczas ziemia rozstąpiła się pod nogami byłego współwięźnia Raladana, niebo jęło osuwać się na głowę, a całe minione życie w jednej chwili stanęło przed

oczami. Dwóch rosnących żeglarzy ujęło go bowiem pod łokcie i bezceremonialnie powlokło do szalupy. Wkrótce łódź skakała na falach, których spienione bryzgi sięgały twarzy Grombelardczyka. Wioślarze śpiewali przy wiosłach, nadając rytm, niezmiernie uradowani szmaragdową barwą twarzy niezguły. Było uczyć się ludzkiego języka!

Na pokładzie przebywało aż trzech ludzi mówiących po grombelardzku, zresztą znalazłoby się takich, co umieli po dartańsku, armektańsku, o Kinenie nie wspominając; niemal każdy pływający po morzach Szereru żaglowiec (a cóż dopiero piracki) obsadzali ludzie ze wszystkich stron świata, tworzący mozaikę języków i obyczajów. „Zgniły Trup” nie był wyjątkiem — tyle tylko, że nikomu najpierw nie przyszło do głowy sadzanie do wiosł kogoś innego niż po prostu najlepszych wioślarzy. Przybysz z lądu, postawiony przed pierwszym oficerem, dowodzącym okrętem pod nieobecność pięknej kapitanowej, z ulgą usłyszał swój rodzimy język z ust tłumacza, który wydał mu się niemal rodzonym bratem, bo był Grombelardczykiem (mniejsza o to, że z Niskiego Grombelardu, którego posłaniec Raladana nie oglądał w życiu na oczy...). Złakniony nagrody niczym kania dżdżu, więzień słowo w słowo wyklepał wszystko, co kazano mu wyklepać, nie zapominając o zakończeniu, jako że właśnie zakończenie miało dlań wartość niepomiarłą:

— .. i jeszcze jego godność Raladan kazał mi powiedzieć coś takiego: że... to jego godność powiedział, nie ja!... Że trzeba mi zapłacić od razu i że mam odejść gdzie chcę, bo mu jestem jeszcze potrzebny.

Oficer, któremu przetłumaczono, pokiwał głową i kazał sobie wszystko powtórzyć raz jeszcze. Potem przeszedł na prawą burzę, z głębokim namysłem popatrzył na wąskie przejścia między skałami, znowu pokiwał głową, po czym wezwał kilku członków załogi. Czekanie na przybływ wydawało się nieopłacalne, bo w zamkniętej Zatoce Lońskiej przybór wody słabo dawał się odczuć. Oficer słuchał, co mu mówiono, kiwał głową, pogadał z wiekowym dziadkiem przywleczonym od steru, bez wyraźnej przyczyny wyrznął w mordę jakiegoś majtka, po czym posłał do wszystkich trzech łodzi najlepsze obsady wioślarskie. Rozkazy wykonano, lecz patrzono z powątpiewaniem; przy wchodzeniu do kryjówki morze było sporo spokojniejsze... Oficer wrócił do posłańca.

— Gdzie chcesz iść? — zapytał przez tłumacza.

— Na brzeg. Ale, wasza godność, moje pieniądze?

— Dostaniesz. Na brzeg cię nie wysadzę, bo potrzebne mi wszystkie łodzie. Wysadzę cię w Londzie albo gdzieś po drodze.

— To płyniemy do Londu?

Oficer nie odpowiedział. Oglądał szczura lądowego i oglądał, aż biedakowi zaczęły chodzić po plecach ciarki. Obejrzał się na bandę, którą miał za plecami, i doszedł do wniosku, że podobnie szpetnych oblicz nie widział nigdy w życiu (pomimo iż nie chował się w pałacu). Towarzysz z celi umiał skusić złotem, lecz wspominał o „wojennym żaglowcu, do którego trafi, idąc wschodnim brzegiem zatoki”. Wszystko się zgadzało, poza „wojennym żaglowcem”. Posłaniec niby wiedział, jak wygląda prawda, ale jednak „wojenny żaglowiec” brzmiało całkiem znośnie; Raladan umiał słowami oswoić rzeczywistość. A to tutaj była łajba piracka, i to tak piracka, jak tylko można sobie wyobrazić. Piracka jak z trumiennej opowieści o piratach. Na tym pokładzie nikt nigdy niczego nie sprzątnął, pozwijane żagle — czarne, wymazane dziegciem — wyglądały jakby zaraz miały zbutwieć i poodpadać od rej. Załoga pasowała do okrętu. Szubienicznicy spod ciemnej gwiazdy na pewno woleli ludzkie mięso, byle świeże, od nadpsutego krowiego, które trzymali w beczkach. Modne były ciężkie kolczyki, powpinane gdzie popadło. Wożono tu jakieś kurwy, może i niestare, ale brudne, chyba pobite (w każdym razie posiniaczone) i do cna już wyzute ze wstydu, albowiem co druga łąziła niemal półnago, z tłustą szmatą na łbie i rozdartą koszulą zawiązaną na supeł pod cyckami, łomocząc czarnymi piętami o deski pokładu, rozkołysana w zamaszystym, iście żeglarskim chodzie. Wydawało się jasne, że każdy, kto tu trafi, może być szczęśliwy, jeśli zdoła w ogóle odejść.

I tak było w rzeczywistości. Mevev Cichy — bo tak zwano dowódcę żaglowca, ze względu na jego obyczaj kiwania w milczeniu głową nad każdym słowem, jakie usłyszał — rzeczywiście miał ogromną ochotę dostarczyć załodze rozrywki, tak pożądanej po wielu dniach gnuśnej beczynności. I gdyby to był — dajmy na to — posłaniec Bladej Dziwki (czyli księżnej Alidy), albo — weźmy jeszcze — Najgodniejszego Cesarza, Mevev Cichy dałby go załodze. Lecz szczur lądowy był posłańcem Raladana, a był nim na pewno, bo uwiarygodnił się, powtarzając słowo w słowo to, co mu kazano, i brzmiało tam wyraźnie ostrzeżenie dla Meveva.

Raladan zaś nie szukałby winnych i nikomu by nie pomogło zwalanie odpowiedzialności na drugiego, wykręcanie się pomyłką bądź nieporozumieniem. Jeśli „Zgniły Trup” nie miał być jutro „Trupem Zatopionym Wraz z Całą Załogą” (przydługa, lecz na pewno trafna nazwa), to posłaniec musiał przeżyć i odejść z workiem srebra za pazuchą. Z ciężkim sercem Mevev Cichy kazał więc wypłacić nagrodę. Na szczęście wiedział, że Raladan odda mu pieniądze, i to z okazałą nawiązką. Dla Raladana warto było zrezygnować z drobnych przyjemności.

Trzy łodzie wzięły okręt na hol. Nie było mowy, by wydostał się z kryjóWKi o własnych siłach. Pytanie, czy w ogóle miał szansę się wydostać.

O przerażonym posłańcu, który, tuląc swoje srebro, skrył się w kącie między jakąś skrzynią a nadburciem, szybko zapomniano. Pomimo nadludzkich wysiłków wioślarzy w szalupach wkrótce trzasnęło poszycie sterburty na wysokości fokmasztu. Czterdziestu ryczących rytmicznie ludzi czerpało wodę z ładowni, kilku zmagalo się z topielą, próbując nałożyć łatę, czemu przeszkadzała tryskająca z ogromną siłą woda.

Zatrzeszczało dębowe drewno, gdy skały nadwerężyły kadłub z drugiej strony. Nie za mocno, bo puściły tylko uszczelnienia, woda sikała przez szpary, ale poszycie udało się wzmocnić, nim woda wyłamała nadwątlone deski.

Mevev Cichy miał na bezanmaszcie tylko tyle płótna, ile potrzebował do zapewnienia jakiejś takiej sterowności okrętu, gdy niebezpiecznie luzowały się liny holownicze.

Wkrótce zresztą strzeliła pierwsza, omal nie zabijając marynarza.

Niebawem trzasnęła druga.

Mevev Cichy uradował się, bo wszystko już mu wisiało, a tym samym mógł przestać myśleć. Odbicia wiatru od wysokiego brzegu były nieobliczalne. Całe płótno poszło na maszty; jedna łódź żadną miarą nie mogła utrzymać dużego żaglowca na holu. „Zgniły Trup” zaczerpnął wiatru i niemal położył się na burcie, jego dowódca zaś na zmianę to rechotał, to tylko kiwał głową między rozkazami na żagle i ster, bo było zupełnie jasne, że dziką szarżą na oślep wyrwie się z pułapki, albo — co radośnie powtarzał sobie w myślach raz za razem — rozpierdzieli

„Zgniłka” na rafach w drobną kaszkę. I będzie wracał na Agary wpływ.

*

Pomimo wielce osobliwego usposobienia Mevev nie był durniem i Raladan liczył na niego. Bardziej już martwił się o posłańca, człowieka niepewnego, którego kusiła nagroda — ale jednak mógł zawieść, zachłysnąć się odzyskaną wolnością, lub też najzwyczajniej iść po rozum do głowy i powiedzieć sobie: „O, co to, to nie! Nie wiadomo, co to za okręt, przecież mnie tam zarzną, albo co!”. Raladan wcale by się temu nie dziwił. Założył jednak, że zarówno posłaniec, jak i Mevev wywiążą się ze swych zadań, no a jeśli nie... to nie. W samej twierdzy więziennej i tak musiał działać bez wsparcia, potem zaś zamierzał postąpić tak, jak podyktują okoliczności.

Co miał zrobić Mevev? Raladan nie przekazał żadnych szczegółowych rozkazów, rozsądnie uważając, że dowódca żaglowca zrobi to, co będzie mógł zrobić; że jego plan, choćby niedoskonały, ale za to własny, będzie lepszy niż wydumany i narzucony przez kogoś innego. Mevev miał zająć uwagę wojska w mieście, rozpętać jakąś awanturę, coś spalić, pohałasować... Awantura, właśnie awantura, nic więcej. Jaki „plan wojenny” dało się ułożyć w podobnej sytuacji? Powstrzymując się od udzielania Mevevowi rad, Raladan przypuszczał jednak, że zastępca Ridarety wysadzi część załogi na ląd i pod przewodnictwem posłańca dotrze na skraj miasta albo (i tego trochę się bał) wyprowadzi okręt z kryjówki, wysadzi zbrojny oddział nieco bliżej, sam zaś ze szkieletową załogą sprowokuje żaglowce straży morskiej do wyjścia z portu. W gruncie rzeczy jednak nie wiedział, co Cichy uzna za najlepsze, polegał tylko na jego zdrowym rozsądku (z którym na ogół bywało całkiem nieźle), odwadze i brawurze (z tym bywało jeszcze lepiej niż ze zdrowym rozsądkiem). Określiwszy dzień, Raladan mógł już tylko stawiać kolejne kreski na ścianie i liczyć, że wszystko jakoś się zazębi. Mogło, choć na pewno nie musiało. Zaśpiewał swej załodze jeszcze dwie piosenki, odśpiewano mu jedną, ale bardzo ładną. Postawiwszy dla porządku ostatnią kreskę na ścianie, Raladan czekał na wieczerzę, kaszę z czymś dziwnym, mulistym, glurpowatym, pożywnym choć bardzo niesmacznym. Doczekał się i jął opuszczać celę.

Odemknięto małą klapkę pod drzwiami, lecz miski nie wsunięto; zamiast tego strażnik zajrzał przez zakratowane okienko, bo z celi

dochodziły dziwne dźwięki. Przez chwilę nie miał pojęcia, co właściwie zrobić... Spokojny więzień, śpiewający żeglarskie piosenki, pokryty krwią, charczał i chyba dogorywał, wstrząsały nim słabe drgawki. Nie miał ręki! Strażnikowi zjeżyły się włosy na głowie, bo widział już takich, co z rozpaczą rozbijali sobie łby o ściany, ale ci dwaj, na których patrzył, niemal porozrywali się na strzępy, tocząc bój, którego odgłosy stłumione zostały... chyba jakimś cudem! Współwięzień marynarza spoczywał obok niego nieruchomo i na pewno już nie żył. Strażnik wrzasnął i pobiegł po kolegę, unosząc w oczach obraz tej oderwanej, odłamanej w łokciu, może wręcz odgryzionej ręki, leżącej obok zakrwawionego pustego rękawa. Wkrótce drzwi otwarto i dwaj strażnicy wpadli do środka.

Ręka, w samej rzeczy, była i odłamana, i urwana, i odgryziona zarazem, albowiem Raladan, nie mając lepszego narzędzia, musiał przegryźć skórę w zgięciu łokcia uduszonego towarzysza i dopiero to naddarcie pozwoliło mu na dobre oddzielić przedramię od reszty, w czym pomagał sobie, przydeptyując je nogą i oburącz ukręcając z całej siły. Łatwiej poszło z odpowiednim ułożeniem obu ciał, bo tylko jedno było bezwładne, a drugie, jego własne, nie. Podbiegający strażnik zmoczył się pod spódnicę, gdy zakrwawiony mężczyzna wysunął nagle z rękawa trzecią... trzecią rękę, pochwycił nią tę drugą, oderwaną, i wstał z szybkością kota. Upiorna maczuga posłużyła do zadania tylko jednego ciosu, bo w następnej chwili pokryty krwią żeglarz miał już w ręku miecz wydobyty z pochwy przy pasie przeciwnika. Raladan zabił obu dozorców z godną podziwu szybkością (nie posiadali niestety noży, broni, którą lubił najbardziej) i dalej siedział w celi, bo nie miał do roboty nic lepszego. Czekał na resztę strażników (zdaje się, że dwóch), a poza tym na zgiełk. Wątpił, by jego załoga uporała się z całym garnizonem twierdzy bez jednego okrzyku. Mogło też zaraz wyjść na jaw, że coś im się nie udało...

Zgiełku nie było; zamiast tego pojawił się w celi trzeci strażnik. Raladan nie siedział na środku, lecz pod ścianą przy drzwiach, zabił więc trzeciego strażnika tak, żeby ten się o tym nie dowiedział. Uzbrojony już w trzy miecze, pałkę i jakiś ogromny klucz, wyjrzał na zewnątrz, a nie widząc nikogo, ruszył po schodach w górę, odmykając na każdym piętrze zasuwę cel. Piętra miał nad głową tylko dwa; zdziwił się, bo jakoś myślał, że trzy.

— Wolność!... Wolność przynoszę! Wolność, wolność!... — nawoływał, aż dotarł na samą górę. Nie było tam nic ciekawego, oprócz braku kolejnego piętra, jął więc schodzić w dół. Z niektórych otwartych cel ktoś wyglądał, z innych nie. Ale z jednej drab wylazł na zewnątrz. Ponieważ świadczyło to dobitnie, że jest rezolutny i odważny, Raladan od razu dał mu jeden z mieczy i pałkę.

— Rozumiesz Kinen? Dobrze. To ja tak śpiewałem — wytłumaczył. — Powinni już tu być moi chłopcy, ale nie ma ich, więc musimy radzić sobie sami. Albo ich spotkamy, albo uwolnimy, są w zachodniej wieży. I nie uderz mnie czasem tą pałą, bo wtedy cię nie obronię przed moimi chłopcami — uprzedził.

Drab kiwnął głową, przełożył pałkę z prawej do lewej ręki, miecz zaś z lewej do prawej — widocznie tak mu było wygodniej — po czym ruszył za Raladanem, pomagając mu odmykać kolejne zasuwę.

— Wolność! Wolność, wolność!

Cel nie było wiele, bo dziesięć, może dwanaście zajętych i jeszcze parę pustych. Minęli też kilka innych pomieszczeń, pomocowali się z kratą broniącą wstępu na galerię łączącą wieże, obejrzeni coś w rodzaju maleńkiej i ubożuchnej izby tortur, skąd wzięli dobry brzeszczot, przetrząsnęli dwa pokoiki dozorców. Oczekiwanego zgiełku nie było i nie było, ale gdy już wybuchł, to tak dziki, jakiego nie spodziewał się sam Raladan. W straszliwej, przerażającej twierdzy więziennej, postrachu knajpianych łobuzów, trwała rzeź okrywająca wstydem i hańbą budowniczych grombelardzkich mamrów.

Wielki klucz pasował do kraty na samym dole wieży. Raladan szukał wejścia do podziemi. Były tu jakieś podziemia? Rudy Bohed podobno siedział „gdzieś w piwnicy”.

*

Tamenath od kilku dni szukał Ridarety i nigdzie nie mógł znaleźć.

Istoty przyjęte przez Szerń niewiele miały wspólnego z Porzuconymi Przedmiotami. Ledoo, Dor-Orego i Geerkoto — Zrównoważone, Jasne i Ciemne Porzucone Przedmioty — kryły w sobie treści Pasm Szerni; niektóre jednego Pasma, inne kilku, najwyżej kilkunastu. Istniał na świecie tylko jeden rodzaj Przedmiotu odnoszący się do całej potęgi. Rubiny Córki Błyskawic zawierały w sobie cząsteczki tylko dwóch Pasm, ale owe Pasma stanowiły przecież niezależną całość.

Oznaczało to, że Tamenath jest żywym i myślącym Rubinem, tak samo jak każdy z Rubinów był martwym, bezrozumnym Przyjętym tych dwóch Wyklętych Pasm. Nocami, gdy panowały cisza i spokój, jednoręki starzec przymykał oczy, próbując poznać się na nowo, odkryć niezbadane możliwości, zrozumieć, co może uczynić, do czego jest zdolny, a do czego nie. Poznawszy swą tożsamość dzięki wzorom podsuniętym przez Ridaretę, wiedział, o co pyta, więc bez trudu znajdował odpowiedzi — tak jak każdy inny Przyjęty. Czuł, kiedy dotyka prawdy. Dwa Ciemne Pasma zawieszane nad Bezmiarami uznały go za nosiciela swych treści i nie miały żadnych tajemnic.

Lecz były zupełnie... nieludzkie. Tamenath ocierał się o doskonale obcy byt, niemający odpowiednika w świecie, który poznawał dzięki swemu rozumowi i zmysłom. Ludzkim zmysłom, ludzkiemu rozumowi... Pytał, owszem. I dostawał odpowiedzi, ale nie potrafił pojąć, co te odpowiedzi oznaczają. Kiedyś, gdy był zwykłym Przyjętym, również szukał odpowiedzi w Szerni — ale całej Szerni, zrównoważonej, odpowiedzialnej za powołanie rozumu na świecie i spiętej z tym światem kłamrą Praw Całości. Odnoszącej się do świata, a przez to do pewnego stopnia rozumiającej. Teraz dotykał tylko dwóch Pasm i to nie była jakaś miniaturowa Szerń. Fragment, kawałek Szerni owszem, ale taki kawałek, jakim mógłby być strzęp wnętrzości, wyrwany z ludzkiego ciała. Czy taki strzęp to był „miniaturowy człowiek”? A w czym przypominał dużego? Okruch, raczej ochłap, kawałek nie wiadomo skąd pochodzący ani do czego przeznaczony, zupełnie nieludzki, ależ tak! Tamenath wiedział z grubsza, jak działa kompletne urządzenie, lecz był niemal bezradny wobec fragmentu, który od dawna nie spełniał swojej roli, bo został oddzielony od reszty. W niczym nie pomagała mu świadomość, że jest niejako żywym tego fragmentu obrazem. Może i był, tak, na pewno był, ale... w jaki sposób? I co to właściwie oznaczało?

Dostawał odpowiedzi, których sensu nie potrafił zgłębić.

Ale zyskał też, niemal od ręki, możliwości, wobec których bladły gminne legendy o czarodziejach-Przyjętych potrafiących latać, zabijać bądź wskrzeszać dotykami, bajki zaś o magach wstrząsających górami wydawały się rozczulające. Naiwne, no przecież, że tak... Mędrzec Odrzuconych Pasm, otrzymując odpowiedź na zadane pytanie, przeprobijał się przez światy i czasy, w mgnieniu oka chwytając idee

bezmiaru rozpiętego między minus i plus nieskończonością, bo raptem tyle było Szererów, Ridaret, Arm i Tamenathów... Obłąkańczo śmieszna zabawa w nieskończoną liczbę bliźniaczych istnień i trwał, numerowane światy absolutnie tożsame, absurdalnie identyczne, aż po drgnięcie najmniejszej cząstki materii. A dalej drugi łuk rozpięty między biegunami nieskończoności, identyczny z pierwszym, i jeszcze trzeci ciąg identycznych światów, i czwarty, piąty i enty... Tamenath wleciał (bo czy wrócił?) do któregoś z tych identycznych światów w którymś z identycznych ciągów i leżał na łożu w swoim pokoju-więzieniu, rechocząc do utraty tchu, bo miał szansę akurat taką, jak jeden do nieskończoności, że trafił do tego Szereru, który wcześniej opuścił — podobnie jak nieskończenie wielu innych Tamenathów, którzy wylądowali nie tam, skąd przybyli, wszyscy tacy sami w takim samym. Nieskończenie wielu Tamenathów rechotało w swoich łóżach, tak jak nieskończenie wielu rechotało chwilę wcześniej... i dwie chwile wcześniej... I rechotać miało za chwilę... i jeszcze za chwilę... Albowiem ciągi czasowe też były rozpięte między nieosiągalnymi biegunami, ułożone jednak nie równolegle, a szeregowo. Wszystko już było nieskończenie wiele razy i tak samo nieskończenie wiele razy miało się jeszcze odbyć... Gdzieś i kiedyś stary kaleka już rechotał i miał znowu rechotać po raz tysięczny, milionowy. Ujrawszy nieskończenie identyczne wszechświaty wszechczasu matematyk radował się i bawił odkryciem, bo pokazano mu coś, co doskonale znał i setki razy zaklinał w małym symbolu, a mianowicie tylko nieskończoność, a nawet nieskończoną liczbę nieskończoności, no pięknie. Wszechświaty wszechczasu były łebskie.

Wyparskawszy się, Tamenath zjadł gruszkę, bo ze śmiechu zaschło mu w gardle, zarechotał znowu, bo nieskończona liczba gruszek zawsze i od zawsze żarta była i miała być jeszcze przez nieskończoną liczbę Tamenathów, w niezliczonej ilości miejsc jednocześnie, co dawało naprawdę ogromniaste, niekończące się nigdy, a zaczęte nie wiadomo kiedy, eony eonów temu, pierdzenie wiekuiste. Pierdząc tedy po gruszcze (subiektywnie niewiekuiście... a wypadaloby rzec nawet: na szczęście subiektywnie niewiekuiście), jął zadawać kolejne pytania, jako że na pytanie fundamentalne odpowiedź już znał i wprawdzie zrazu była śmieszna, lecz szybko stała się nudna. Wiedział, skąd i dokąd wszystko

zmierza oraz czemu służy. Otóż wszystko i wszędzie, i zawsze, zasuwało znikąd donikąd, służyło zaś zasuwaniami. Prawdę mówiąc, od dawna coś takiego właśnie podejrzewał, spozierając na akuratność, z jaką uklecona została rzeczywistość.

Szukał Ridarety, czyli czegoś tutaj, na twardej ziemi nie będącej (subiektywnie, co prawda...) żadnym wszechkołowrotkiem; czegoś, do czego Pasma odnosiły się tak, jak do niego. Malutkiego kłębka, zbitego z ziaren rozpiętej nad światem (a i między wszechświatami) potęgi.

Ofuknął się w końcu za te „wszechświaty”, bo były tyle warte, co odbicia w zwierciadłach. Miał dokoła tylko jeden świat, będący dlań punktem odniesienia, świat, w którym prawie nic nie zmierzało do nieskończoności (poza ciągami matematycznymi), a przeciwnie, wszystko mogło zmierzać do smutnego końca. Choćby nawet tylko z pewnego punktu widzenia. Był to jednakże najważniejszy punkt, bo własny Tamenatha.

Szukał Ridarety i szukał. Szukał całymi nocami. Dni — wyczerpany, ledwie żywy — przesypiał.

Tylko raz natknął się na coś, co rozpoznał jako symbol swoich Pasm. Porzucony Przedmiot, Rubin Córki Błyskawic, nie miał co do tego wątpliwości. Ale to nie był TEN Rubin. Jakiś inny, jeden z wielu. Martwy, bezrozumny. Porzucony — zgodnie ze swą nazwą.

Tamenath, wyjątkowo, nie uzyskał odpowiedzi na pytanie, czy znaleziony Rubin wydał mu się taki, a nie inny, dlatego że... przypominał jego samego? Czy odnalazł w nim swoje odbicie i dlatego był taki... szczególnie? Nie wiedział, co o tym myśleć. Doznane wrażenia nie miały zmysłowej natury, ale dało się je na język zmysłów przełożyć. Była tam cisza i delikatna, miękka ciemność, z nieskończone głęboką czernią, obwiedzioną purpurowym konturem. Nie ciemność śmierci bądź strachu, lecz snu, kojącego snu. Nie mogąc ogarnąć całości Wyklętych Pasm, Przyjęty oglądał ich maleńki symbol, zatopioną w ciemności i ciszy łagodność, pachnącą jak powietrze po burzy. Znalazł tam uczucia, które od dziesięcioleci uważał za niebyłe... bo odeszły wraz ze zmarłą w połogu żoną, jedyną istotą, którą kochał nad życie. Nawet silne uczucie do syna w zestawieniu z tamtym wyglądało śmiesznie; było zresztą uczuciem trudnym, bo widząc w Glormie cząstkę jego matki i kochając tę cząstkę, Tamenath zarazem nigdy nie potrafił zapomnieć, że to właśnie jego syn

ją zabił... Wiedział, jakie to głupie, i miał poczucie winy, lecz nie mogło to rozplątać pogmatwanych uczuć, przeciwnie: zapętleło je jeszcze bardziej.

I oto uczył w sercu coś, co gościło tam przed laty i odeszło na zawsze razem z jego kobietą...

Nie od razu zobaczył i poczuł Rubin. Najpierw było tylko to... COŚ, czego niepodobna dostrzec, usłyszeć ani poczuć. Wszystkie doznania przyszły dopiero później, gdy umysł przełożył je na zrozumiały język, oddał ciszę, zapach i tę najczarniejszą plamę w ciemności, obwiedzioną purpurowym konturem. Spokój, łagodność i głęboką miłość. Niezapomniane wrażenie. Tak przedstawiała się człowiekowi martwa dusza Rubinu Córki Błyskawic, Geerkoto, Ciemnego Przedmiotu będącego symbolem dwóch aktywnych Pasm Szerni.

Tamenath nie ustawał w wysiłkach odnalezienia Ridarety. Nie ustawał, albowiem nie miał pojęcia, że już znalazł. Nie zgadł, że martwy Rubin, którego dotykał, to właśnie Riolata, królowa wszystkich Rubinów. Była nieruchoma — bo w ciasnej celi, w piwnicy domu odległego najwyżej o sto kroków od domu Tamenatha, siedziała tylko Ridareta. Przytłoczone wolą złamanej kobiety moce o imieniu Riolata świeciły poświatą tak słabą, że wystarczało jej zaledwie do podtrzymania sił w ciele, któremu zastępowała życie. Jednooka „pięknotka” kochała swego opiekuna-pirata tak bardzo, że Rubin nie śmiał nawet przypomnieć o swym istnieniu.

*

Mevev Cichy rzeczywiście przez chwilę rozważał pomysł wyciągnięcia z portu eskadry strażników morza, ale zarzucił go, raz dlatego, że miał pełno wody w ładowni, po wtóre zaś nie ufał skomplikowanym planom. U wrót Londu pojawił się trochę za wcześnie, manewrował więc na redzie, wprawiając chyba w zdumienie wszystkich widzów, którzy mieli jakiegokolwiek pojęcie o morzu. Żaglowiec wyglądał podejrzanie; tak podejrzanie, że po niedługim czasie z przystani wojennej wyszedł mały okręcik straży morskiej, posłany najwyraźniej dla zbadania, kim jest dziwny przybysz i co wyprawia u samego wejścia do portu. Mevev opowiedział się bez zwłoki, taranując strażnika, który, choć był znacznie zwrotniejszy i szybszy, spodziewał się wszystkiego, lecz nie tego.

Flota Grombelardzka miała tylko dwie eskadry, na zmianę pełniące w

morzu służbę patrolową (szniki), i konwojową (holki), więc w Londzie obecna była tylko połowa jej sił — lecz ta połowa składała się z trzech średnich holków wspartych przez małe okręty rozpoznawcze. Tylko ktoś niespełna rozumu, dowodząc jednym żaglowcem, choćby nawet dużym, mógł wydać otwartą wojnę czterokrotnie silniejszemu przeciwnikowi, u samego wejścia do portu wojennego i w zatoce, której ciasnota wykluczała następnie uchylenie się od walki. Jednak Mevev bądź o tym zapomniał, bądź nie wiedział, albowiem przejechał po strażniku, rozbijając przy tym cokolwiek dziobnicę „Zgniłego Trupa” i maszerował półwiatrem wprost ku nabrzeżom rozładunkowym, ani myśląc skorzystać z usług holowniczych łodzi, obsadzonych przez pilotów portowych. Ledwie dzień wcześniej wyrwał się z wieńca szczybatych podwodnych skał i tak mu się to spodobało, że zamierzał podobnie zaszarżować w ciasninie handlowej przystani. Różnica polegała tylko na tym, że jednak zrefował żagle... Lecz trzymał okręt pod nimi tak długo, jak tylko mógł, bo wiatr miał dobry, naprawdę bardzo dobry, umożliwiający podróż tam... a może i nazad, kto wie.

Odważnym i głupim szczęście sprzyja: „Zgniły Trup” zawadził o rufę jakiejś kogi, niemal wypchnął z wody maleńką karawelę, przyciskając ją do nabrzeża, rozbił w drzazgi bądź potopił cumujące trochę dalej niezliczone małe łódki, wreszcie naparł na pomost, z trzaskiem i zgrzytaniem zdzierając do białego drewna listwy odbojowe — lecz poza tym wcale gładko, tak gładko, jakby majestatycznie prowadziły go na holu własne łodzie. Był to wyczyn nigdy w Londzie nieoglądany, bo miejscowy ciasny kanał portowy należał do najpaskudniejszych w Szererze i przeklinali go wszyscy. Dziesięciu majtków, wiwatując, jednocześnie spadło na pomost jak gruszki, rzucono cumy i zaraz potem blisko stuosobowa banda z wrzaskiem runęła na portowe nabrzeża. A cumy już z powrotem luzowano; błyskawicznie przyciągnięto uwiązane za rufą szalupy, wskakiwali do nich wioślarze. Jeden nie trafił, plasnął do wody i ryczał wniebogłosy, trzepiąc się między różnymi śmieciami, unoszonymi przez fale, albowiem nie umiał pływać. Zamieszanie trwało bardzo krótko. Ze sprawnością godną najwyższego uznania, „Zgniły Trup” z czarną (a jakże!...) banderą na maszcie, wzięty wreszcie na hol przez własne łodzie, odpychany od nabrzeża bosakami, obracał się mozolnie, ciężki, niezgrabny, z ładownią pełną wody. Wejść do portu

było bardzo łatwo; teraz należało zeń uciec.

Wyglądało na to, że wiosła zupełnie bezskutecznie miały wodę; wyrwanie okrętu z miejsca wydawało się niepodobieństwem.

Lecz chodziło tylko o skierowanie go dziobem w stronę morza. Właściwie przy każdym innym wietrze Mevev Cichy musiałby halsować, bądź wychodząc z portu, bądź też do niego wchodząc, co w obu przypadkach było niemożliwością. Wrzaski w porcie nie zagłuszyły komend na okręcie. Już stawiano żagle, przede wszystkim skośny na bezanie, bo bez tego nie było sterowności, rejowe na dwóch masztach przednich. Wioślarze w łodziach uwijali się jak wściekli, wspomagając ciągle wołowaty żaglowiec, który jeszcze sobie nie radził. Z pokładu sypały się komendy to na lewy, to znów prawy hol, wyrykiwane przez chór czterech majtków, bo musiały być dosłyszane. Mevev darł się, jakby obdzierano go ze skóry, drugi oficer biegał między nim a swoimi rykajłami na dziobie. Chwyciwszy haust wiatru, porozbijany holk zatrzeszczał, zaskrzypiał takielunkiem, ciężko pochylił się na burtę i poszedł półwiatrem tą samą drogą, którą przybył, unosząc szkieletową załogę, wczepioną w liny, ryczącą, zawodzącą rytmicznie i uszczęśliwioną wspaniałym okrętem, który zdawał się nabierać nowych sił. Tylko majtkom w szalupach nie chciało się wiwatować, bo pot zalewał im oczy, a mięśnie ramion były gotowe popękać. Wielkie bydlę ani myślało utrzymać się na kursie.

Na nabrzeżach portowych zaś miały miejsce trudne do opisanie sceny.

Osiemdziesięciu paru uzbrojonych po zęby siepaczy miało tylko jeden pomysł na „odwrócenie uwagi wojska”, czego domagał się Raladan: tłuc każdego i wszystko, co się nawinie pod rękę. Z miejsca podpalono jakieś paki i skrzynie, złożone na pomoście, przygotowane widać do załadunku. Dymił już wielki zadaszony skład, wzniesiony nieopodal. Banda wtargnęła na przylegające do portu targowisko, gdzie swego czasu Ridareta rozbiła głowę podszczytywaczowi. Wciąż było tam mnóstwo ludzi, wczesny wieczór wygonił tylko część kramarzy i nie zniechęcił kupujących. Pomiedzy mieszczki czyniące zakupy, żebraków, stragany i straganiarzy, naciągaczy i wszelkich gapiów wpadła nagle sfora wściekłych psów, z miejsca rozszarpując kilkadziesiąt osób. Bezbronny tłum rzucił się z wyciem do ucieczki, tratując i przepychając,

parząc o ruszta, na których smażono ryby, obalając stragany. Owoce, bułki i wszelkie towary sypały się pod nogi, rozgniatane, kopane tu i tam. Wrzaski i ryk były takie, jakby Lond porwała trąba powietrzna, bo też ryczeli wszyscy: uganiający się za miejscowymi rzeźnicy pospołu z gonionymi, pędzący skądś dokądś żołnierze, marynarze z cumujących w porcie statków, portowe służby i kto tam jeszcze. Jeśli piracka banda miała jakiś plan, to nie było tego widać, bo rozpędziwszy tłum, w mgnieniu oka sama rozpierzchła się na wszystkie strony świata w grupach i grupkach, pędząc w głąb miejskich uliczek, znów łomocząc nogami po portowych nabrzeżach, wpadając do budynków, przebiegając po trapach cumujących żaglowców i podpalając takielunek. Zarzynano każdego, kto się trafił. Kilkunastu strażników morza, którzy pierwsi nadbiegli od przystani wojennej, rozniesiono z zajądłością dowodzącą, że ta dzika sfera potrafi dopaść nie tylko chorą i bezbronną zwierzynę. Ale w Londzie, spokojnym mieście, żyjącym w cieniu mrocznych opowieści o miastach-twierdzach w Ciężkich Górach, nikt nigdy nie widział czegoś podobnego. Garnizony straży morskiej i legii nie były przygotowane do stawienia oporu bezmyślnemu atakowi hordy zbrojnych stworów, którym o nic nie chodziło, bo nawet nie o rabunek; pytanie, czy zależało im na życiu? Bo przecież jakkolwiek zaskoczone były załogi żaglowców Floty Grombelardzkiej, jakkolwiek rozproszone na ulicach patrole legii — w mieście kwaterowało co najmniej pół tysiąca żołnierzy. Prędzej albo później musiał nastąpić koniec tej morderczej zabawy.

Chyba jednak „później” niż „prędzej”. Na razie końca nie było widać; przeciwnie, rozpoczęto zabawę całkiem nową.

Na uzbrojonym kupieckim żaglowcu, podpalonym przez bandę piratów, z niebywałym grzmotem szlag trafił dziobową prochownię. Jakby na umówiony sygnał, idący powoli samym środkiem kanału portowego „Zgniły Trup”, wciąż wspomagany przez łodzie, w których wioślarze dobywali resztek sił, dał ognia z dwóch średnich dział rejteradowych, demolując sześćdziesiąt kroków dalej rufowy kasztel wielkiej kogi. Zaraz potem odezwała się bateria lewoburtowa i długi drewniany budynek na brzegu nieomal wyleciał w powietrze, rozwalony kamiennymi kulami z dział prochowych. Przez okna i drzwi, przez wszystkie szpary trysnęły kłęby kurzu; skrzypiąc i łomocząc, zawalił się dach w środkowej części. Salwa wstrząsnęła okrętem, lecz nie wytrąciła

go z kursu, co przy niepewnym wietrze i pustej ładowni mogłoby się zdarzyć. Ładownia nie była pusta, zawierała pokaźny zapas morskiej wody... i naraz okazało się, że bezwładność wielkiego okrętu jest dzięki temu bardzo znaczna. Gorzej, że mogło nie wytrzymać nadwątlone skałami poszycie, połatane pośpiesznie, wciąż nie bardzo szczelne. Ale nikt o tym nie myślał. Majtkowie pędzili już na drugą burtę, by odpalić kolejne sześć dział baterii prawoburtowej. Niezbyt się udało, bo brakło wdzięcznego celu, zakurzyło się tylko tu i tam. Ktoś potem zapewniał, co prawda, że na własne oczy widział leżącego dokądś pijaka, którego zmiotło w niebyt — ale może widział, może nie... Zresztą, kiwający się pijak to było bardzo niedużo jak na pełnoburtową salwę. Pozostała po niej gorycz. Zawiedzeni marynarze jęli kląć i złorzeczyć. Zostało ich na pokładzie tak niewiele, że nie było mowy o ponownym nabiciu dział, a zresztą była to praca wielce czasochłonna.

„Zgniły Trup” wolno lecz pewnie zmierzał ku wyjściu z portu. Miał do pokonania ostatnią przeszkodę: ogromny łańcuch, pospinany z ogniw mogących zatrzymać każdy kadłub. W Szererze panował pokój; samobójczej szarży pojedynczego okrętu w głąb przystani rozładunkowej nikt przecież nie mógł przewidzieć. Łańcuch od lat rdzewiał na dnie u wylotu kanału portowego. Ale w każdej chwili mógł być podniesiony.

Niestety, wymagało to czasu, a na posterunkach przy olbrzymich kołowrotach brakowało obsady. Kto mógł podejrzewać, że w dalekim północnym porcie z dnia na dzień rozpęta się wojna? Wyglądało na to, że piracki żaglowiec wymknie się na wody zatoki. Inna sprawa, czy daleko mógł uciec... Z trzech cesarskich holków stojących w porcie tylko jeden był niezdolny do natychmiastowego wyjścia w morze; z „odpoczywającej” eskadry zawsze wydzielano jeden okręt dla dokonania potrzebnych napraw, przetaklowania i klarowania, lecz dwa inne czuwały w gotowości. Te żaglowce mogły zaraz ruszyć w pościg.

Zaraz... i nie zaraz. Mogły, lecz bez żołnierzy, z samymi marynarzami na pokładach. To nie były przecież okręty pirackie, gdzie wszyscy majtkowie zarazem tworzyli morską piechotę. Marynarzom z flot imperialnych płacono tylko za obsługę okrętu, walczyć mieli co najwyżej w obronie własnego życia, gdyby wróg abordażował ich żaglowiec. Żołnierze byli potrzebni w porcie i nie mogli wydać go na łup dzikiej

hordzie, która podpałała portową dzielnicę, nie tracąc bynajmniej animuszu.

Doszło do pierwszej poważnej potyczki, podczas której czterdziestu strażników morza stoczyło ciężki, obustronnie krwawy bój z nieco mniej liczną grupą piratów, którym jednak przyszyły rychło w sukurs rozmaite gromadki i gromady. Wydawało się niemożliwe, że napastników była setka, nie więcej!

Bo było, było już więcej... Liczne domy w portowej dzielnicy płonęły, lecz w ogniu stawały następne — i nie za sprawą chłopców Meveva Cichego. Porzucane składy kupieckie, mieszkalne kamienice, kramy i oberże padły łupem wszelkiej maści miejscowych obwiesiów i rzezimieszków. Bezkarci rabusie, odważni tylko w większych grupach, mogli brać co popadło, a wszelki występki tego dnia miał przecież zostać przypisany piratom. Kto tu mógł odróżnić pirata od nie-pirata? Miejscowi urwipołcie uciekali morskim zbójcom z drogi tylko po to, by zaraz wrócić i dokończyć dzieła. Pośród gęstniejącej szarówki, w błotnistych, cuchnących rybą uliczkach, gdzie Ridareta z takim zdumieniem oglądała ladacznice przed karczmami, teraz nie znalazłaby ani jednej — chyba że nieżywą. Karczmy plądrowano, właściciele chowali się bądź uciekali, a ci co byli dość głupi, by bronić swego mienia — przeważnie nie obronili. Nikt, bo ani napastnicy, ani obrońcy miasta nie przewidzieli, jakie żywioły rozpęta zuchwały atak.

Portowa dzielnica stała w ogniu; legionieści i strażnicy morza mieli do czynienia z całą hołotą zamieszkującą szczyrce nory Londu, hołotą, która na co dzień nie śmiała podnosić łbów. Ze złodziejaskami przemienionymi w grabieżców, żebrakami przedzierzgniętymi w zuchwałych złodziei, awanturnikami przeobrażonymi w gwałcicieli, podpalaczy i morderców. Wkrótce miała do nich dołączyć dobra setka skazańców z miejskiej twierdzy więziennej.

Wysadzona na ląd część załogi „Zgniłego Trupa” skończyła tej nocy bardzo różnie. Wielu zostało rannych, kilkunastu zginęło w potyczkach z żołnierzami, kilkunastu innych pochwycono, bo choć dowódca przyobiecał im olśniewającą nagrodę z rąk Raladana i Ślepej Foki Ridi, to albo nie wierzyli w ich powrót, albo zapomnieli o wszystkim na widok łupów i zajęli się bezmyślnym rabunkiem. Większość po zapadnięciu ciemności wydosłała się z miasta zgodnie z rozkazem Meveva Cichego i

ruszyła wschodnim brzegiem zatoki, by dojść do miejsca, w którym niedawno kotwiczył ich okręt, a potem jeszcze dalej, aż na Ostatni Przylądek, gdzie kończył się półwysep grombelardzki. Podobno tylko jeden marynarz nie dał się zabić, pochwyć ani nawet nie uciekł. Upił się zdobyczną gorzałką, a rano znalazła go córka zamordowanego oberżysty i jako nieszczęsną ofiarę piratów opatrzyła z ran — albowiem odniósł rany, mordując jej krzepkiego ojca. Ożenił się z nią i mieli czworo dzieci; potem porzucił dla młodszej i ładniejszej. No, taką przynajmniej historię opisywała żeglarska śpiewka „O wojnie „Zgniłego Trupa,„ (czemuż to nie była jednak „Beczka Gówna”; wojna „Beczki Gówna” brzmiałaby jeszcze lepiej) wyrykiwana już rok później we wszystkich tawernach Szereru.

A łańcucha z dna nie podniesiono.

24.

Raladan znalazł Boheda i odzyskał wszystkich marynarzy, ale nie miał pojęcia, gdzie szukać swoich żołnierzy. To nie była byle zbrojna banda, którą mógł zastąpić każdą inną. Doborowy oddział, bez mała przyjaciele, którzy wyciągnęli go z niejednej opresji. Ktoś słyszał, że zabrano ich do koszar legii; ktoś inny, że na jakiś zbutwiały statek, przycumowany przez straż morską do nabrzeża jako karcer.

Siedzieli w ciemnym zaułku, do którego pies z kulawą nogą nie zaglądał, a jeśli nawet zaglądał, to zaraz sobie szedł, ujrzawszy zwartą gromadę. Niemniej, trudno było spędzić w tym miejscu cały wieczór i resztę nocy. Pusta twierdza więzienna leżała zbyt blisko.

— Bohed, weźmiesz ludzi i już cię tutaj nie ma. Wyrzućcie całe żelastwo, najwyżej ty jeden zostaw sobie miecz. Żadnych burd, nic. Rozdzielcie się po dwóch, trzech i wynocha z miasta. Cichy, jak widać, dał wojakom do myślenia, i to chyba bardziej, niż się spodziewałem. Mają tutaj co robić, nikt nie będzie zaczepiał spokojnych żeglarzy na ulicach.

Nad północno-wschodnią częścią miasta rozkwitała luna, przepięknie odcinająca się od wieczornego nieba. Raladan ani myślał, że zwierzęta Ridarety tak bardzo wezmą sobie do serca jego polecenia.

Bohed wiedział, kiedy nie warto dyskutować z dowódcą. Milcząco przyjął rozkaz.

— Idźcie na Ostatni Przylądek — ciągnął Raladan, utykając jedyny zdobyczny nóż za cholewą buta i dopinając na biodrach pas z mieczem. — Kazałem Cichemu zaglądać tam od czasu do czasu. Znasz Przylądek?

— Nie.

— To prawie pustynia. Jest trochę rybackich wiosek i latarnia morska na samym cyplu. Można się tam ukryć, można i kupić trochę żarcia od miejscowych, tylko nie chodźcie do nich całą bandą. Cofam, co powiedziałem o burdach; zapomniałem, że jesteśmy goli... Ukradnij gdzieś po drodze trochę srebra, ostatecznie nawet zarznij kogoś, ale z głową. Bez miedziaka przy duszy długo nie pociągniecie. Czekaj na Przylądku, Cichy przyplynie albo nie. I ja też się tam stawię, jeśli zdołam. Jeśli się nie stawię, a Cichy przyplynie, pokręćcie się jeszcze trochę po morzu i wróćcie po paru dniach. Jeśli nadal mnie nie będzie... no to wszystko jasne. Płyńcie na Agary.

- A co potem?
- Jak „co potem”? Na Agarach wiadomo, kto rządzi.
- Nie pokażę się księżnej bez ciebie.
- No to płyn na wygnanie. — Raladan nie miał ochoty na pogwarki.
- Sporo jest skał bezludnych, osiadasz sobie i będziesz rybaczył.

Bohed pogapił się w czeluść ciemnej ulicy, pokiwał głową niczym Cichy, zabrał ludzi i poszedł. Wyłazili z zaułka po dwóch, trzech i kierowali się w różne strony. Wkrótce Raladan został sam.

Drogę do Dzielnicy Imperialnej znalazł łatwo. Pomimo zapadającego zmierzchu na ulicach było pełno ludzi, oglądano łunę, dzielono się uwagami, domysłami, nie brakło trwożliwych okrzyków i zapytań. Mówiono „wielki pożar”, mówiono też „wojna”, „napad”, „rozbójnicy z Gór”, a nawet, o dziwo, „piraci!”. Zaczepiano żołnierzy, którzy pojawiali się tu i tam, szybkim krokiem bądź nawet biegiem zmierzając ku Dzielnicy Portowej. Raladan przyjrzał się temu uważnie i doszedł do wniosku, że jak dotąd nikt nad sytuacją nie panuje. Najwyraźniej wyciągano skądś jakieś oddziały, skrzykiwano uliczne patrole i po prostu posyłano tam, gdzie coś się działo (a działo się, działo; stłumiony odległością, lecz jednak wyraźny huk burtowej salwy, Raladan potrafił rozpoznać, zwłaszcza że zaraz grzmotnęło po raz drugi). Dopiero większy i bardziej zwarty od innych oddziałów legionistów, biegnący w stronę twierdzy więziennej, dał mu do myślenia. Prowadzący żołnierzy w ślad za swoim oficerem funkcjni pokrzykiwali na mieszczan, uprzedzając, że na ulicach pełno jest zbiegłych bandytów. Kazali wracać do domów.

Raladan nie wyglądał na bandytę, bo w kłopotach więziennych strażników wynalazł sobie czysty przydzwiek, zawieszony zaś u boku krótki miecz zakrył zdobyczym płaszczem. Rzecz jasna, nie miał też krwi na twarzy, bo rozum podpowiadał, by nie szwendać się tak po ulicach. Pogapił się jeszcze trochę na ogarniętych paniką mieszczan, po czym poszedł dalej. Wkrótce stanął przed bramą w murze otaczającym kilka kwartałów zabudowań. Zagadnął wartownika, chcąc zyskać pewność, że to tutaj właśnie mieści się Trybunał.

— Tak, p-anie — młody żołnierz dobrze znał Kinen, a zacinał się z przejęcia, bądź po prostu miał wadę wymowy. — Ale nikogo się nie wpuszcza, bo w mieście rozruchy.

Wbrew temu, co powiedział, zaraz kazał przechodzić starszemu mężczyźnie w szarym płaszczu, który szepnął mu do ucha jakieś słowo, zapewne hasło. Zaraz potem dwaj inni wyszli przez uchyloną bramę, zmierzając dokądś zamaszystym krokiem.

— Muszę widzieć się z Namiestniczką Sędziego Trybunału.

— Nie, panie. Ni-kogo dzisiaj... znaczy, nikogo z miasta.

— Była ucieczka z twierdzy więziennej.

— Tak, panie, wiemy już.

Raladan dokładnie wytłumaczył, że też tam siedział i uciekł, podał swoje imię i powtórzył trzy razy, żeby ogłupiały wartownik zapamiętał. Zbliżył się jego kolega, łażący dotąd wzdłuż muru, też niezbyt rozgarnięty, ale mogli się przynajmniej naradzić.

— Namiestniczka, gdy się dowie, że tutaj stoję, sama przybiegnie mnie oglądać, bo jestem dla niej ważny. Zawleczcie mnie do niej albo coś, bylebym już tu nie stał.

Kolega jękały poszedł po oficera. Raladan nie znosił wojska, bo nikt tam nigdy nie mógł puknąć się w głowę, pomyśleć i podjąć żadnej decyzji, która przekraczała nakreślone wcześniej odtąd-dotąd. Jeśli powiedziane zostało „bierzcie tylko łysych”, to osobnik z jednym włosem na czerepie nie miał żadnych szans, ale to najmniejszych, chyba że sobie ten włos zaraz wyrwał. Oficer przyszedł, wysłuchał Raladana i nic nie mówiąc, zabrał go ze sobą pod strażą. Było jasne, że nie wierzy w ani jedno słowo przybyłego, ale uznał, że warto powiadomić jej dostojność o przybyciu jakiegoś specjalnego szpiega, bo kimś takim jawił mu się Raladan. A zresztą wszystko jedno... Oficer miał dość kłopotów i bez szpicli Trybunału. Posłał do namiestniczki żołnierza, każąc mu najpierw zapamiętać imię dziwnego mężczyzny.

Żołnierza nie było długo, bardzo długo. Raladan miał czas na myślenie, a im dłużej myślał, tym bardziej był pewien swego. Niepokoiła go trochę zwłoka, ale tłumaczył sobie, że tępy żołdak na pewno nie może odnaleźć namiestniczki (było to bliskie prawdy). Wreszcie wojak wrócił, prowadząc aż czterech prywatnych gwardzistów jej dostojności. Ich dowódca podziękował oficerowi legionistów (który odszedł niezmiernie rad, że pozbył się kłopotu), grzecznie zapytał Raladana o broń, przyjął odpięty pas z mieczem i od razu poprowadził do prywatnej kancelarii swej zwierzchniczki — tej samej kancelarii, w której przed miesiącem

stawił się młody i przystojny wywiadowca, by przekazać wiadomość o dziwnym jednorękim olbrzymie.

Usłyszawszy imię Raladana, Arma nie wiedziała, czego się spodziewać. Doniesiono jej już o buncie w twierdzy więziennej i potwierdzono pierwsze niesprawdzone wieści, że wszyscy osadzeni uciekli, mordując najpierw strażników.

Ale gdybyż tylko to się stało! Było gorzej, o wiele gorzej. Każdego innego dnia wieść o ucieczce bandy skazańców wstrząsnęłaby całym Londem, teraz jednak w Londzie trwała istna wojna, a przynajmniej tak powiadano. Namiestniczka Sędziego Trybunału miała pełne ręce roboty, przybiegali jacyś ludzie, opowiadający niestworzone historie o płonącej Dzielnicy Portowej (płonęła rzeczywiście, to akurat było widać przez okno). Ale wołano jeszcze o pirackich okrętach w porcie, o niezliczonych zbójceckich zgrajach pustoszących miasto, a najmniejsze pojęcie o tym, co się dzieje, mieli oczywiście wojskowi.

Arma uciekła z dziennej kancelarii, bo co chwila wpadał tam jakiś idiota w zielonej tunice z gwiazdami na piersi, z takimi bądź siakimi obszyciami i życzył sobie potwierdzenia wieści, obalenia pogłosek, albo w ogóle cudów. Wszyscy byli zdziwieni, że Trybunał nie wie, kto stoi za pożarami, co dzieje się w porcie, ilu jest napastników ani jak ich rozpoznać. A tymczasem jej wywiadowcy, zaskoczeni napaścią jak wszyscy, nie mogli być wszędzie naraz, nie mogli obserwować, dowiadywać się i meldować jednocześnie. Wkradł się chaos; różni tajni urzędnicy mieli swoje zadania i nie wiedzieli teraz, czy wobec nadzwyczajnych wydarzeń mają rzucić wszystko, czy dalej prowadzić swą robotę. Czasem sprawa była oczywista, a kiedy indziej nie. Owszem, namiestniczka miała wieści, napływały stale, ale o różnej wartości, nierzadko sprzeczne. Próbowwała poskładać je do kupy, ale wśród rozgorączkowanych ludzi, biegających po kancelarii, wchodzących i wychodzących, domagających się czegoś, zgłaszających propozycje, obrażonych, było to niemożliwe. Wreszcie, gdy zjawił się posłaniec z pałacu Księcia Przedstawiciela, wzywający ją na nadzwyczajną radę, powiedziała: „Ale mnie tutaj nie ma”, po czym zwyczajnie wyszła. Posłała do kancelarii Leneę. Stanowcza i rozsądna Perła miała spełnić rolę gęstego sita, przepuszczającego do swej pani tylko przytomnych ludzi i takie wieści, z których coś wynikało.

Wieść o człowieku imieniem Raladan, przyniesiona przez jednego z jej gwardzistów wyglądała na nedorzeczną. Arma domyślała się, że za wypadkami, które miały miejsce w Trójnogu, jak złośliwie przezwano dziwną budowlę, może stać piracki wódz z Agarów. Nie przychodził jej na myśl nikt inny. Nie uwierzyła jednak, że zuchwalec chce oto stawić się przed nią, sądziła, że przysłał posłańca. I na widok wchodzącego do pokoju, poprzedzanego przez gwardzistów mężczyzny, na chwilę oniemiała.

— Wasza dostojność — rzekł Raladan.

Arma straciła rezon tylko na krótką chwilę.

— Ani słowa — rzekła. — Gwardzisto, natychmiast sprowadź tutaj moją Perłę z głównej kancelarii.

— Mam do waszej dostojności tylko kilka słów — rzekł Raladan.

— Ani słowa — powtórzyła tonem nie znoszącym sprzeciwu. — To tym lepiej. Wypowiesz je, panie, gdy będziemy tu we troje. Ty, moja Perła i ja.

Raladan zrozumiał, że nawet zaufani gwardziści nie powinni wiedzieć, kim jest, namiestniczka zaś jednak nie życzy sobie zostać z nim sam na sam.

Kosztowne niewolnice uczono wielu rzeczy, w tym także walki w obronie właściciela, ale jednak nie do tego służyły. Wyszkolona w hodowli przyboczna, przeznaczona wyłącznie do obrony... no, to pewnie było co innego. Ale Perła? Raladan powątpiewał, czy taki klejnot mógłby mu przeszkodzić w uduszeniu złotowłosej namiestniczki, gdyby istotnie chciał to zrobić. Prawda, że z dwiema kobietami miałby trochę więcej roboty niż z jedną i na pewno do pokoju zdążyliby wpaść gwardziści.

Namiestniczka milczała, żołnierze milczeli, Raladan też milczał i dumiał o bojowych walorach Pereł, bo nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Sytuacja byłaby zabawna, ale jej dostojność potrafiła się znaleźć: najzwyczajniej w świecie zajęła się jakimiś pismami leżącymi na stole przed nią. Czytała je uważnie, zakreślając ustępy, to znów czyniąc z boku notatki.

Raladan uznał, że podoba mu się ta kobieta o żelaznych nerwach, najwyraźniej potrafiąca zapanować nad każdą sytuacją. Podobała mu się tym bardziej, że dostrzegł w niej odbicie swojej żony... Tak samo zakochanej w intrygach, czującej się najlepiej pośród niedomówień i

zagadek, błędzącej myślami nie wiadomo gdzie, ale zawsze w rejonach niedostępnych nikomu innemu. To były kobiety mające swoje własne światy; światy tajemnicze, rządzące się własnymi prawami; światy trochę fałszywe, trochę zakłamanie, a trochę zagadkowe... Jeszcze niedawno, pochylona nad mapami Alida snuła przed nim polityczne plany, które mogły w jednej chwili się zawalić — lecz co z tego? Robiła wszystko, żeby się spełniły, a gdyby jednak do tego nie doszło, natychmiast mogła przedstawić jakiś inny plan... Arma czy Alida; jej dostojność albo jej wysokość... Zawsze coś miały, zawsze o coś walczyły, ku czemuś zmierzały... Czegoś chciały.

Podobały mu się takie kobiety. Stale zajęte tym, czego on sam nie rozumiał i czym zająć się nie potrafił. Nie znosił tylko jednego: gdy wtrącały się w jego sprawy. Miał ich bardzo niewiele, ale jednak miał. Mógł na rozkaz żony płynąć z misją do Grombelardu i wypełniać zleczone zadanie, lecz gdyby tutaj była, nie pozwoliłby jej wtrącać się do niczego. Rozgrywka między nim a panią Arma to była jego sprawa. Decyzja o uwolnieniu żołnierzy z „Seili”, bądź pozostawieniu ich własnemu losowi, to była jego sprawa. Wyciągnięcie z błota Przyjętego to była jego sprawa. I wreszcie Ridareta. To już nie była sprawa. To było jego życie. Bez Alidy, którą kochał, byłoby mu ciężko. Bez Ridarety byłoby mu wcale.

Raladan nie widział dotąd Perły Lenei, więc gdy przyszła, popatrzył uważnie. Ruda piękność, troszeczkę zbyt bujna jak na jego gust, za wysoka (sam Raladan był wzrostu co najwyżej średniego). Wprost na bogatej szaro-czerwonej sukni miała zapięty pas z pochwami kryjącymi ostrza dwóch sztyletów, których rękojeści musiały uwierać w nerki. Wyglądało to dziwnie, lecz nie dla Raladana, który nieźle otrząsał się w świecie. Kiedyś widywał Perły wcale często, bo u boku swego legendarnego kapitana załatwiał handlowe sprawy w hodowlach, do których dostarczali nielegalnie zdobyty żywy towar. Oceniał, że między dziewiętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, gdy wartość Perły była największa, oglądany właśnie rudzielec mógł kosztować nawet tysiąc dwieście sztuk złota. Perła między Perłami. Pełnowartościową niewolnicę z certyfikatem najwyższej jakości można było nabyć już za jakieś osiemset pięćdziesiąt sztuk złota.

Gwardziści wyszli.

— Wasza dostojność, wprawdzie jestem tylko piratem, ale potrafię

się grzecznie zachować i kiedy indziej milczałbym uprzejmie, czekając, aż pani domu zechce zwrócić się do mnie. Jednak nie przyszedłem tutaj w gości, a tylko załatwić pewną sprawę. Czy mogę mówić dalej?

Z podbródkiem wspartym na dłoni, namiestniczka zrobiła drugą ręką oszczędny przyzwalający gest.

— Dotarły do mnie wieści, że moja podopieczna nie żyje — gładko skłamał Raladan. — Opuściłem więc swoją celę, żeby zapytać, czy to prawda.

— Kto ci, panie, naopowiadał takich bzdur?

— Przecież ci nie powiem, wasza godność.

— I uciekłeś z twierdzy?

Mężczyzna zrobił gest, który musiał oznaczać: „A stoję tutaj czy nie?”.

— Wasza godność — bardzo wolno powiedziała namiestniczka — uciekłeś z twierdzy, wierząc jakimś kłamstwom, a tymczasem w mieście...

— W mieście, wasza dostojność — przerwał jej Raladan — wcale nie jest jeszcze tak źle. Przypłynął jeden z moich okrętów, pozostałe dopiero płyną. Odwołać je czy nie odwoływać?

— O czym ty mówisz, panie?

— Mówię o tym, wasza dostojność, że mogę sobie posiedzieć w twojej gościnnej twierdzy tydzień lub dwa tygodnie, bo wieczne kiwanie się na morzu każdemu czasem obrzydnie. Ale jednak jestem żeglarzem i właśnie wracam na okręt. Przyszedłem zapytać o moją przybraną córkę. Żyje czy nie żyje? Jeśli żyje, to zgadzam się odwołać moje okręty i poszukać innego sposobu na wydarcie jej z twoich rąk. Jeśli nie żyje, to pojutrze Londu już nie będzie. Zbieraj, wasza dostojność, manatki i uciekaj w góry, bo wiem, że masz tam starych przyjaciół. Ucieczkę drogą morską odradzam.

Arma nie wyglądała na przerażoną. Lecz na zamyśloną, i owszem.

— Wynika z tego, panie, że jeżeli zaraz każę cię zarąbać...?

— Wówczas niczego nie odwołam, to chyba oczywiste. Książna Agarów, moja żona — powiedział — bardzo krzywo patrzy na awanturę, którą właśnie wszcząłem, bo krzyżuję jej przez to pewne plany. Tak mówiąc między nami, trochę obawiam się żony i wolałbym szybko przerwać tę wojnę, zanim dostanę od niej po uszach. Ale niczego nie przerwę, jeśli zostaną zarąbani.

— Czego oczekujesz, panie? Powiedziałam już, że twoja... przybrana córka, czy tak? Że żyje.

— Gdzie jest?

— Nie powiem ci, panie.

— Wasza dostojność, nie tylko powiesz, ale nawet pokażesz mi to miejsce. Chcę ją zobaczyć albo chociaż usłyszeć. Potem możesz ją przenieść gdzie indziej, na pewno nie brakuje odpowiednich... schowków. Albo każ sprowadzić ją tutaj, zamienię z nią dwa słowa i już sobie idę. Zostawię ci obietnicę, że nikt więcej do Londu nie przyplynie, zresztą nie będę miał wyboru, prawda? Bo powiesz mi, że jeżeli przyplynie, to coś złego przytrafi się Ridarecie.

— Rzeczywiście.

— Więc wszystko już sobie wytłumaczyliśmy. Teraz chcę zobaczyć się z córką.

Arma milczała. Po chwili spojrzała na Leneę. Perła leciutko wzruszyła ramionami. W gruncie rzeczy pirat nie żądał zbyt wiele. Za oknami rosła łuna nad portową dzielnicą... W żeglujące ku Londowi agarskie okręty można było wierzyć albo nie. Wypadało jednak wierzyć, bo skoro jeden już był, to dlaczego nie miałyby zjawić się więcej? Siła agarskiej floty u nikogo nie budziła wątpliwości. Zamiast tego wątpliwości budziła sprawność i gotowość miejscowego wojska. Arma i Lenea widziały tę gotowość i myślały o tym samym: że pogroźki zuchwałego wodza morskich zbójów niekoniecznie są czczymi pogroźkami. Kilkuset rzeźników, przywiezionych na pokładach okrętów, miało wszelkie szanse puścić z dymem całe miasto. Nie wyłączając Dzielnicy Imperialnej.

— Nie zostawię cię z nią, panie, sam na sam.

— A czy ja o to proszę? Powiedziałem: zobaczyć, porozmawiać.

— No dobrze... Leneo, sprowadź mi tłumacza... mmm, nie, nie sprowadzaj — namiestniczka zmytygowała się; jej Perła znała garyjski lepiej niż tłumacz Trybunału. — Chodźmy. To niedaleko.

Za drzwiami wciąż stali czterej gwardziści. Złotowłosa skinęła na nich i poszła przodem z Perłą przy boku. Żołnierze wzięli Raladana w środek, po czym ruszyli śladem kobiet.

W zajętych przez Trybunał domach wciąż trwała gorączkowa krzątanina. Idącą po schodach, potem zaś przez pokoje, namiestniczkę

kilkakrotnie zatrzymywano, aż wreszcie, zniecierpliwiona, skryła się za plecami swojej Perły, która, idąc przodem, odpędzała każdego, kto się zbliżył, wyrazem twarzy i gestem tyleż groźnym, co jednoznacznym: won! Mogła pozwolić sobie na cokolwiek, bo gdy działała z rozkazu swojej pani, była tylko narzędziem, niczym kij — i jak kij właśnie mogła posłużyć nawet do wygarbowania skóry urzędnikom, a odpowiedzialność za to i gniew poszkodowanych spadłyby wyłącznie na Armeę. Niewolnic, zwłaszcza tych najdroższych, nie cierpiano, były to bowiem rozumne przedmioty, którym nic nie dało się zrobić, a one o tym wiedziały.

Przechodząc z budynku do budynku, cały orszak szybko znalazł się w kamienicy niskich rangą śledczych, pod którą istniała sławetna piwnica o szczególnym przeznaczeniu. Schody wiodły w dół. Dwaj gwardziści zostali w izbie na górze, ich koledzy zaś zeszli niżej, wraz z kobietami i ich „gościem”. Na widok wchodzących siedzący na zydelku strażnik skoczył na równe nogi.

— Wasza dostojność...

— Cicho.

Arma stanęła pośrodku pomieszczenia i odwróciła się twarzą do Raladana.

— Moja Perła zna garyjski — przypomniała. — To tu, za tymi drzwiami, wasza godność... — Pokazała jedną z solidnie zamkniętych cel. — Chcesz coś mówić, to mów.

Raladanowi trochę mocniej uderzyło serce. Chciał tylko dać pewność Ridarecie, że poradził sobie, jest już bezpieczny i zostawia jej tym samym wolną rękę. Nie bojąc się o niego, mogła wymyślić i zrobić cokolwiek. Chyba nawet nie chciał wiedzieć, co; miał jednak pewność, że dziewczyna już wkrótce, może nawet tej nocy, sprawi swym dozorcóm przykrą niespodziankę. Teraz jednak miał odezwać się do zamkniętych drzwi, za którymi ją trzymano do tak dawna... Rzucić kilka słów, po czym odejść, jakby nigdy nic. Rozejrzawszy się, ocenił rozmiary całego pomieszczenia. Wsadzono ją do klatki dla szczurów.

W najlepszym pilocie wszystkich mórz nieoczekiwanie wezbrała nienawiść, której dotąd nie czuł. Miejskie więzienie to był, na tle tej komórki, istny pałac.

— Więc odezwiesz się czy nie, wasza godność?

Raladan odchrząknął.

— Ridareto? Jestem tutaj z namiestniczką. Wszystko ze mną dobrze, nic mi nie grozi. Nie musisz już martwić się o mnie.

Nie było odpowiedzi. Namiestniczka lekko zmarszczyła brwi, po czym dała znak strażnikowi, by odemknął zakratowane okienko. Nim to zrobił, z wnętrza dobiegło ciche i lęклиwe:

— Raladan?...

— Jestem, Rido. Tak, to ja.

Strażnik zamarł z uniesioną ku zasuwie ręką, bo z głębi kojca doleciał dźwięk przywodzący na myśl przesuwanie ciężkiej skrzyni po podłodze i narastał, potężniał, by niemal w mgnieniu oka przemienić się w szorstki łoskot, jaki mógłby wydać kadłub roztrzaskiwanego o skały okrętu. Pęknięte drzwi wyleciały z zawiasów od ciosu, który rozwaliby kamienny mur, i wypadło spoza nich coś, co ledwie przywodziło na myśl człowieka. Rozczochrana i brudna kobieta, w łachmanach podartych od leżenia na kamiennej posadzce, po uderzeniu w drzwi miała chyba wyłamany bark, bo ramię, odgięte pod nienaturalnym kątem, wydawało się nie należeć do ciała. Lecz nikt nie mógł dostrzec szczegółów, bo ta kobieta wprost wystrzeliła ze swego więzienia, razem z pękniętymi drzwiami padając kilka kroków dalej, po czym zerwała się i z tą samą, nieosiągalną dla człowieka szybkością skoczyła jeszcze raz, zdrowym ramieniem porywając Raladana, stojącego między osłupiałymi gwardzistami. Odtrąciła rudowłosą kobietę i wydarła okrzyk z ust drugiej, która stała jej na drodze, więc została pchnięta jak szmaciana kukła i poleciała wprost ku wyjściu.

Raladan, porwany zupełnie tak, jakby był chudym snopkiem zboża, wyleciał wraz ze swą córką przez otwarte drzwi piwnicy i gruchnął u stóp schodów, tuż obok krzyczącej namiestniczki, lecz wywołany potrójnym upadkiem łomot zginął w huku, jaki mogłaby wydać wysadzona w powietrze beczka z prochem. Piwnica stała w ogniu, którego jęzor strzelił aż na schody, paląc włosy kobiecie z połamanym ramieniem, zakrywającej towarzysza własnym ciałem. Namiestniczka, niczym nieosłonięta, wyła w palącej się sukni. W następnej chwili Raladan znów leciał, unoszony przez osmalonego i poparzonego potwora, na którym tliły się resztki odzienia. Wypadli na ulicę, wyrывая po drodze jeszcze jedne drzwi. Powietrzem po raz drugi

targnął huk, gdy cały budynek stanął w ogniu, buchającym przez wszystkie drzwi i okna.

Zdruzgotane już do reszty ramię Riolaty opierało się na bruku i tylko jakimś cudem trzymało się tułowia. Kobieta drugą ręką wciąż obejmowała w pasie Raladana. Z głowy ściekała jej krew; kość policzkowa była chyba pęknięta, a między resztkami włosów ziała rana. Wykaszała krew z nosa i ust; było całkiem możliwe, że od uderzeń w masywne odrzwia popękały jej wnętrzności, a złamane żebra poprzebijały płuca. W twarzy straszył ślepy oczodół, niezakryty przez żadną opaskę. Przetoczywszy się na plecy, agarska księżniczka wiodła spojrzeniem od budynku do budynku; drzwi i okna były wyrywane razem z futrynami, a z głębi natychmiast strzelały czerwonożłote, gigantyczne liście ognia. Noc przemieniła się w czerwony, migotliwy dzień. Raladan wrzeszczał, ale go nie słyszała. Wreszcie udało mu się wyrzucić w samo ucho:

— Tamenath!

— Wiem, gdzie jest! — zawyła ochryple, pryskając śliną i krwią. — W innym domu! Wiem gdzie, bo mnie szukał!

Ulica była zasłana płonącymi szczątkami, jakimiś pogruchotanymi sprzętami, nadpalonymi ciałami, a teraz jeszcze zaroїła się płonącymi ludźmi, którzy, wrzeszcząc przeraźliwie, wyskakiwali z okien, tarzali się, próbując zdusić płomienie, uciekali wprost przed siebie, jakby mogli pozbyć się w ten sposób trawiącego ich odzienie ognia. Z nietkniętych żywiołem budynków wybiegali inni, próbowali gasić płonących, ktoś krzyczał o wodę, jego towarzysz wył. Zamieszane narastało.

Raladan i Ridareta wciąż leżeli na bruku, w odległości paru kroków od drzwi kamienicy. Oszołomiony żeglarz z trudem rozpoznał w jednej z pełznących po bruku, stękających i jęczących z bólu postaci dumną namiestniczkę — a poznał tylko po złotej koliai, która jakimś cudem wciąż trzymała się na jej szyi. Czerwona od poparzeń niczym rak, pozbawiona włosów, brwi i rzęs kobieta w osmalonym odzieniu z najwyższym trudem wlokła się dokądś, okupując męką każdy ruch.

Raladan znowu przytknął usta do ucha Ridarety, przekrzykując buzujące płomienie, nawoływania ratowników, wrzaski i skowyty poparzonych.

— Do Tamenatha! — rozkazał. — Ale już nie musisz mnie trzymać,

słyszysz?! Pójdę sam!

Wyzwolił się z uścisku jej ramienia — trzymała tak, że omal nie wygniotła mu na zewnątrz wszystkich flaków — przebiegł kilka kroków i ucapił za kark nieprzytomną z bólu namiestniczkę. Chwyciwszy pod ramiona, postawił na nogach, a następnie przerzucił przez ramię. Płakała i jęczała mu w plecy.

— No? Prowadź! — krzyknął na Ridarete.

Pozbierała się z bruku i posłusznie ruszyła przodem. Lecz nagle straciła równowagę, zatoczyła się i przez moment myślał, że wejdzie prosto do stojącego w ogniu budynku, z którego żar niemiłosiernie smagał ulicę. Omal nie upuścił poparzonej branki, lecz zdążył pochwycić Ridarete za wyłamane z barku ramię. Chyba nie poczuła nawet cienia bólu. Zatrzymała się posłusznie i dała odciągnąć na bok, lecz Raladan na próżno szukał w jednookim spojrzeniu bodaj śladu rozumu. Miał więc pod opieką dwie bezradne kobiety, tak samo ogłupiałe, choć z różnych powodów.

Nieznośnie piekła go skóra na rękach, szyi i twarzy.

Rozglądając się wokół, dojrzał budynek, w którym mieściła się prywatna kancelaria namiestniczki. Sąsiadował z ostatnim domem ogarniętym przez pożar. Przepychając się przez gęstniejącą ciżbę przerażonych urzędników, jakichś pachołków, żołnierzy i nie wiadomo kogo jeszcze — a wszyscy ci ludzie biegali bez ładu i składu, brali się za głowy, ryczeli na siebie czegoś się domagając, pytając i odpowiadając, wskazując rękami płonące domy — Raladan z ledwie żywą kobietą na ramieniu i drugą, ciągniętą za rękę, wszedł do kamienicy i odnalazłszy drogę, jął mozolnie wspinać się po schodach.

W całym domu nie było żywej duszy, wszyscy pobiegli na ulicę. Zasapany Raladan dotarł do pokojów namiestniczki, otworzył drzwi i złożył stękający głucho, obolały i rozdygotany ciężar na podłodze. Obejrzawszy się na Ridarete, zauważył z ulgą, że trochę doszła do siebie.

— Czekaj tu — powiedział.

Przemierzył pokój i wszedł do następnego, kancelarii. Rozrzucił dokumenty pokrywające blat stołu, szukając jakiejś pieczęci. Nie znalazł. Zabrał flaszkę z inkaustem, czystą kartę i pióro, odwrócił się i dopiero wówczas zauważył obcą, nieruchomo stojącą pod ścianą, uważnie go obserwującą kobietę.

— Posłano mnie po przybory do pisania i pieczęcie — wyjaśnił. — Cała ulica płonie!

Tewena najpierw nigdzie nie mogła znaleźć Army. Gdy w mieście wszczęły się rozruchy, zajrzała do kancelarii głównej, ale zamiast Army znalazła tam Leneę. Perła szepnęła jej, że namiestniczka jest u siebie, Tewena jednak zrezygnowała ze składania wizyt przyjaciółce. Zobaczyła, co dzieje się wokół, i doszła do wniosku — nie bez racji — że Arma dosyć ma roboty i bez niej. Lecz teraz opuściła swoje izby po raz drugi. Szła do namiestniczki właśnie dlatego, że — jak przed chwilą powiedział nieznajomy mężczyzna w ponadpalanym odzieniu i poczerwieniałej od żaru twarzy — cała ulica płonęła. Teraz uważnie przyglądała się człowiekowi, który kłamał. Na pewno nie przyszedł tutaj z niczyjego polecenia. Złodziej? Raczej nie. Nie szukał żadnych kosztowności, nie zabrał niczego cennego.

— Czekam tutaj na namiestniczkę — powiedziała spokojnie, udając, że przyjmuje słowa nieznajomego za dobrą monetę.

Raladan skinął głową i ruszył ku drzwiom, lecz naraz przystanął, bo coś mu przyszło na myśl.

— Czy dobrze ją znasz, wasza godność? — zapytał. — Jest bardzo ciężko poparzona, straciła włosy i wąpnię, czy przeżyje.

Przesadził trochę (tak na oko było prawie pewne, że przeżyje), lecz uczynił to z rozmysłem. Kobieta spokojnie czekająca w prywatnych pokojach Namiestniczki Sędziego na pewno nie była byle kim. Czy piastowała jakieś wysokie stanowisko? Czy dobrze знаła właścicielkę tego pokoju?

Całkowicie zaskoczona Tewena nie zdołała ukryć wrażenia wywołanego wieścią. Przed dziesięciu laty pokazałaby pewnie nieruchomą twarz lub najwyżej udała zaskoczenie i wyraziła zdawkowe ubolewanie, bo tak powinna zachować się przypadkowa osoba, której powiedziano o nieszczęściu kogoś obcego. Lecz teraz... Zdradziła się nieopatrznie i już o tym wiedziała. Czy ten dziwny mężczyzna był spostrzegawczy?

— Znam jej dostojność — powiedziała ostrożnie.

— To chodź ze mną, pani. Do sąsiedniego pokoju.

— Wolę poczekać tutaj.

— Więc wyjrzyj tylko, pani.

Otworzył drzwi. Tewena zrobiła kilka kroków, wyjrzała przez otwarte drzwi — i cofnęła się przerażona. Na rozdygotanej, leżącej pod przeciwnymi drzwiami kobiecie, poznała resztki sukni Army. Westchnąwszy spazmatycznie, Armektanka przestała udawać. Podbiegła do przyjaciółki i upadła przy niej na kolana, nie śmiąc drżącymi dłońmi dotknąć poparzonej skóry, wodziła nimi tylko wzdłuż całego ciała. Wzbierała w niej rozpacz.

Patrząc na to Raladan nie miał czasu.

— Wasza godność, gdzieś w tym mieście trzymani są żołnierze z agarskiego żaglowca „Seila”. Czy wiesz gdzie?

Tewena nie odpowiedziała, zdławionym głosem mówiła coś do Army. Namiestniczka z najwyższym trudem rozchyliła obrzmiałe powieki, spod których natychmiast wypłynęły łzy. Poznała armektańską przyjaciółkę, lecz nie mogła wykrztusić słowa. Tewena gryzła usta, nie mogąc oderwać wzroku od półspalonego ucha, widocznego między czarnymi resztkami włosów. Raladan obejrzał się na siedzącą pod ścianą, tępo uśmiechniętą, znowu bezrozumną Ridaretę, po czym wrócił spojrzeniem do kobiet na podłodze pod drzwiami.

Był zdany na własne siły.

— Wasza godność, pytałem o żołnierzy z „Seili”. Tu jest pióro i wszystko, co potrzebne. Chcę mieć rozkaz ich uwolnienia. Gdzie są? Dowiem się tego, napiszemy rozkaz i już sobie idę.

Tewena odwróciła głowę i można by powiedzieć, że spojrzała na intruza z góry, mimo iż klęczała na podłodze, gdy on stał.

— Napiszesz mi ten rozkaz czy mam o to poprosić namiestniczkę? — Raladan spokojnie wytrzymał spojrzenie.

— Kim ty jesteś, panie? Natychmiast wezwij tu pomoc, jej dostojność...

Arma niewyraźnie próbowała coś powiedzieć, lecz miała poparzone gardło, a może nawet płuca. Poruszyła ręką, dotykając dłoni Teweny. Raladan uznał, że skoro stać ją na tyle, to zdoła także podpisać rozkaz. To na pewno było okropne, gdy ktoś palił się i nie spalił do końca, ale równie okropna, a nawet jeszcze gorsza, była szubienica dla dwudziestu żołnierzy, uznawanych tutaj za zbójców. Ujął Ridaretę za ramię i zaciągnął do kancelarii. Posadził przy stole. Trzymała się trochę krzywo, może z powodu urazu żeber.

— Pisz. No, pisz!

Kręciła głową jakby czegoś nasłuchiwała, ale na pokrwawionej, okrytej ranami twarzy miała wyraz, którego nie potrafił rozpoznać. Odchyliła głowę i przeciągle wydmuchnęła powietrze przez nos, potem jeszcze raz. Połamane ramię bezwładnie zwisało wzdłuż oparcia krzesła. Raladan zrozumiał, co to wszystko znaczy, dopiero wówczas, gdy siedząca na krześle zdyszana kobieta wsadziła zdrową rękę pod resztki spódnicy. Z niedowierzaniem w oczach i otwartą gębą słuchał ziajania i gapił się na nerwowe poruszenia dłoni. Odetkało go wreszcie.

— Mówię do ciebie! — wrzasnął i zamierzył się nie na żarty. — Będziesz sobie teraz dogadzać?! Zabieraj te pazury spod kiecy i pisz!

Napisałby sam, ale... cóż. Nie za bardzo umiał. Jako tako czytał, lecz pisanie za czytaniem nigdy nie nadążało. Rycząc na Ridaretę, nagle zdał sobie sprawę, że i ona rozkazu nie napisze. Szlachetnie urodzona, choć z nieprawego łoża, wychowana w dobrym, obrosłym tradycjami domu, miała wyćwiczone, piękne pismo, godne prawdziwej księżniczki, jak uważał. Mogła napisać mu wszystko. Po garyjsku.

Zostawił ją, trochę oprzytomniałą pod wpływem potrząsań i wrzasku, choć nadal niemądrze uśmiechniętą, co zresztą w okropnej twarzy było słabo widoczne. Znowu wrócił do drugiego pokoju. Miał już dosyć wrażeń jak na jeden dzień. I skończyła mu się cierpliwość.

— Krótko mówiąc, wasza godność, chodzi o moich żołnierzy, bez rozkazu uwolnienia których nie ruszę się stąd na krok. Tu są przybory i pisz, albo zdychaj. A może niech szybciej zdechnie ta tutaj.

To powiedziawszy, solidnie kopnął namiestniczkę w bok, wyrывая głuchy okrzyk bólu, drugi zaś, oburzony i groźny, z gardła próbującej ją ukoić towarzyszkę. Tewena poderwała się z podłogi i przez chwilę mogło się wydawać, że skoczy na mężczyznę.

Lecz na szczęście zobaczyła oczy, w jakie patrzyła nie raz i nie dwa razy w życiu. Tak mogli patrzeć Glorm, Raner, Delen... Widziała tak spoglądających ludzi. Ten człowiek przyszedł tu po coś i nie zamierzał odejść z niczym, trzeba by go zabić.

Armektanka zrozumiała, że igra nie tylko własnym życiem, ale i życiem Army.

— Co napisać?

Raladan wytłumaczył.

— I niech tam będzie tylko to, co powiedziałem — ostrzegł. — Nie umiem pisać i nie znam grombelardzkiego, ale potrafię przeczytać Kinen. Pisz, pani, po armektańsku. I spiesz się, bo zaraz ktoś tu przybiegnie, szukając namiestniczki, a wtedy...

Tewena napisała:

W związku z zamieszkami w mieście i podpaleniami w Dzielnicy Imperialnej konieczne jest przeniesienie więźniów. Należy skierować ich pod eskortą...

Przeczytała na głos.

— Jak liczną? — zapytała. — Bez eskorty chyba ich nie puszczą?

— Sześciu żołnierzy.

... pod eskortą (dwie trójki w pełnym uzbrojeniu)...

— Dokąd?

Raladan nie miał pojęcia. W trakcie przemarszu, sześciu zaskoczonych legionistów eskorty chyba można było pokonać, ufał umiejętnościom swych wiarusów z „Seili”. Ale cały plan był szyty grubymi nićmi. Brzydka kobieta o władcym spojrzeniu próbowała mu pomóc, rozumiejąc chyba, że nie ma innego wyjścia. Układała pismo rozumnie i rozsądnie, ale...

— A gdzie oni są? — zapytał.

— Nie wiem. Ja naprawdę nic nie wiem. Jestem tu tylko gościem.

Nie wiedziała.

Za to Raladan coś wiedział. Mianowicie to, że wrzaski i bezładna biegania na zewnątrz nie mogą trwać w nieskończoność. Na pewno już ktoś szukał namiestniczki i było kwestią chwil, kiedy pomyśli o jej prywatnej kancelarii. Dziwne, że jeszcze nie pomyślał. Mogła też zaraz, a nawet powinna, wrócić służba namiestniczki; chyba miała jakąś służbę?... Ilu ludzi mógł tu zabić po kolei?

— Rozmawiaj nie z nią, tylko z tamtą suką — powiedziała ochryple Ridareta.

Chwiejąc się na nogach, stała w drzwiach kancelarii. Tewena dopiero teraz przyjrzała się towarzysze swego rozmówcy — i poczuła dreszcz. Było niepojęte, jak ktoś w takim stanie może utrzymać się na nogach.

— Masz jakąś broń? — zapytała jednooka, rozmazując na czole krew. — Daj mi.

Raladan wyjął nóż zza cholewy. Ridareta zatoczyła się lekko,

podeszła do Teweny i przytknęła ostrze do jej szyi.

— Raladan, tłumacz — zażądała. — Ona słyszy, nie przypiekła się wcale aż tak mocno. Tłumacz: czy to jest twoja przyjaciółka?

Raladan przełożył na Kinen.

Arma, którą piekący ból całego ciała odgradzał od świata półprzepuszczalną zasłoną, nie odpowiedziała. Jeszcze w piwnicy, uderzenie tej... tego CZEGOŚ złamało jej kilka żeber; każdy oddech był męką. Czuła ten ból nawet w tle dotkliwszego, od poparzeń.

— Jest czy nie jest, masz tylko chwilę na podyktowanie jej pisma. No?

Przez chwilę trwało milczenie. Leżąca zaczerpnęła z trudem trochę więcej powietrza i popatrzyła na Armektankę, jakby ją prosiła: „Podejdź tutaj”. Ta przyklękła obok, tak jak wcześniej. Płacząc, Arma wykrztusiła parę słów i zrobiła słaby ruch ręką w okolicach piersi. Tewena z najwyższą ostrożnością, także czując łzy w gardle, wydobyła spod nadpalonej sukni maleńki aksamitny woreczek. Krył małą pieczęć Pierwszej Namiestniczki Sędziego Trybunału w Londzie.

Z trudem panując nad płaczem, Tewena dokończyła pismo, pomogła Armie złożyć podpis i gniewnym ruchem wraz z pieczęcią podała Raladanowi. Żeglarz porwał jedno i drugie, po czym skoczył do kancelarii, by nakapać wosku przy stole.

W pokoju zostały tylko trzy kobiety.

— Dowiedziałaś się, jak to jest, kiedy ktoś straszy śmiercią... śmiercią kogoś, na kim ci zależy — powiedziała Ridareta, znowu rozmazując krew na czole. — Wiesz teraz, jak to jest. Nie rozumiesz, co mówię? Ejże, taka pani, na takim stanowisku i nie zna języka? No, jak nie, to nie.

Kłęcząca przy Armie Tewena poderwała się nagle i wytrzeszczyła oczy, gdy ostrze noża weszło jej pod łopatkę. Pochylona Ridareta dopchnęła uzbrojoną dłoń kolanem, przekręciła broń w ranie, szarpnęła w jedną stronę, potem w drugą. Arma krztusiła się, nieporadnie próbując wstać, ale jej ręce napotkały tylko wyciągnięte daleko przed siebie, wyprężone kurczowo ramiona przyjaciółki, która zdawała się coś odpychać albo o coś opierać. Z odrzuconą do tyłu głową i wyszczerzonymi zębami Tewena była brzydsza niż kiedykolwiek dotąd. Nie krzyknęła; w głębi piersi narastało jej tylko stłumione, nieprzerwane stęknienie. Ridareta wciąż napierała na ostrze, co chwila czyniąc dłonią gwałtowny, urywany ruch, aż nagle wyszarpnęła je z rany i jednym

płaskim chłaśnięciem przecięła klęczącej gardło, tak świetnie odsłonięte dzięki odrzuconej w tył głowie. Bryzgając dokoła krwią, Tewena, z odgiętym do tyłu tułowiem i ramionami wciąż daleko wyciągniętymi przed siebie, zaczęła wolno osuwać się na plecy, ze stopami podwiniętymi pod pośladki. Chrapiąc i bulgocząc przez rozcięte gardło, jeszcze przez długą chwilę widziała twarz pochylonego nad nią jednookiego potwora, który spoglądał z ciekawością, a na koniec zebrał w ustach czerwoną ślinę i pozwolił jej skapnąć w dół.

Ridareta patrzyła zachłannie, próbując uchwycić moment, gdy w oczach konającej ostatecznie zgaśnie to... coś. Ostatnia maleńka iskierka.

Zaraz... teraz... Już.

Bezsilna Arma płakała, krztusząc się bólem i rozpaczą, wciąż ściskając między palcami kurczowo splecione z nimi palce zamordowanej przyjaciółki.

Raladan wrócił z kancelarii, uniósł wzrok znad trzymanego w ręku pisma i jednym skokiem znalazł się przy Ridarecie. Trzasnął ją w twarz.

— No i co żeś zrobiła?! — zapytał ze szczerym gniewem. — Oddaj mi ten nóż! Przecież dały mi, czego chciałem!

— A ja chciałam, żeby umarły, albo chociaż jedna — powiedziała pogodnie, bynajmniej nie gniewając się o policzek; nie wiadomo nawet, czy go zauważyła, bo Raladan dość często ją lał i już się przyzwyczaiła. — Masz pismo? Napisane jest, gdzie je zanieść? No to uciekajmy.

Odetchnął, spojrzał na dokument i pokiwał głową.

— Może jakoś to będzie. Jeszcze najpierw po Tamenatha.

— "Potem ją poznał, to była śmierć/ Hej, hej! Rudemu biada!" — zaśpiewała i zgięła się pod nagłym uderzeniem bólu, który zniemacka ożył w jej ciele. — Aaa... A ta druga w piwnicy była ruda, czy mi się tylko zdawało?...

Raladan poszedł przodem i nie patrzył, więc wychodząc, nadepnęła splecione dłonie i przeszła Armie po brzuchu.

*

Tak jak przewidział Raladan, prywatne pokoje namiestniczki bardzo niedługo były puste. Wkrótce pojawili się pierwsi urzędnicy szukający przełożonej. Ale nim to się stało, półprzytomna z bólu i rozpachy kobieta przeżyła najgorsze chwile swego życia. Wszystko w niej wyło, popalone ciało zdawało się odchodzić od kości. Wciąż splatała palce z kurczowo

zaciśniętymi palcami armektańskiej siostry, która jeszcze wczoraj śmiała się z nią przy stole, opowiadając o zalotach Koniarza. Jeszcze wczoraj obie miały plany, marzenia. Pozostał po nich sztywny, najpierw proszący o pomoc, a potem już tylko pożegnalny, uścisk nieruchomych palców trupa. Armie zabrakło łez, lecz ostatnie ich krople nie chciały obeschnąć w oczach; wszystko wokół, rozmazane, przypominało rysy umierającej Teweny, jej zastygłe w wyrazie niemego osłupienia oczy i bezsilnie wyszczerzone zęby.

Cokolwiek jeszcze miało się zdarzyć, Arma wiedziała, że tej twarzy nie zapomni po ostatni dzień życia.

Potem wokół zaroilo się od ludzi i każda następna chwila była koszmarem dla umęczonego ciała i pokrwawionej duszy. Próbowano przynieść jej ulgę, zamiast tego zadawano tortury. Pod suknią oparzenia nie były dotkliwe, lecz twarz, szyja i dłonie, w niektórych miejscach mocno popalone, obiecywały straszne blizny do końca życia, wcześniej zaś miesiące cierpienia. Arma wiedziała, jak długo i boleśnie goją się rany od ognia, i nie słuchała żadnych słów otuchy, bo rozumiała, ile takie słowa są warte. Zostawiona wreszcie samej sobie — jako że odprawiła nawet służebne niewolnice, każąc im czekać za drzwiami — biedna kobieta znowu zapłakała, tak samotna, jak nigdy. Wierna Lenea, spalona żywcem w przeklętej piwnicy... I Tewena, kurczowo odpychająca od siebie śmierć, wyprężona, z zimnym okrucieństwem nadziana na ostrze wbite w plecy. Nie było już nikogo.

Lecz wkrótce po północy okazało się, że jednak ktoś jest. Mijały chwile, długie niczym doby. Jedna z niewolnic zakradła się na palcach aż do łoża spowitej w zwoje czystego płótna pani, próbując sprawdzić, czy pani śpi. Arma zapytała ją spojrzeniem.

— Przyszedł... ktoś — powiedziała niewolnica ze zdławionym gardłem, bo chciało jej się płakać za każdym razem, gdy spojrzała na jej dostojność; Arma była dobrą, wymagającą ale i wyrozumiałą panią, służba więc szczerze jej współczuła. — Ja... kogoś innego bym odprawiła, ale on...

Armie drgnęły przypalone ogniem usta, lecz znowu zdobyła się tylko na pytające spojrzenie.

— To ten wielkolud bez ramienia, któremu dwa razy usługiwałam na rozkaz waszej dostojności. Jego godność... Tamenath. — Z trudem

przypomniała sobie rzadkie, bardzo stare imię.

Arma milczała i milczała, wreszcie wolno przymknęła powieki. „Tak”.
Nic nie rozumiała.

Mędrzec Szerni z drzeniem podłogi wkroczył do sypialni i pokazał niewolnicy, że ma wyjść. Służka spojrzała na panią, ta zaś po raz drugi wolno opuściła powieki, widoczne przez szczelinę w białych zwojach.

Niewolnica wyszła.

Starzec przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Kto sieje wiatr, wasza dostojność, zbiera burzę. Widziałem się dzisiaj z przyjaciółmi i wiem, że już są bezpieczni.

Namiestniczka wolno, bardzo wolno odwróciła głowę, uciekając spojrzeniem.

— Ale nie przyszedłem tutaj prawić o wiatrach i burzach, bo, jakby to powiedzieć, wiatry od pewnego czasu nieodparcie kojarzą mi się z pewną gruszką, ta zaś... No tak, no i tyle to warte. A burze to zajęcie dla żeglarzy i żeglarze...

Urwał, bo przyszło mu na myśl, że jednak jest po świńsku złośliwy wobec strzępka nieszczęścia na łożu. Żeglarze. Na pewno miała dosyć żeglarzy. Chociaż, z drugiej strony, przyniósł kilka iście królewskich darów i dzięki temu mógł sobie pozwolić na bardzo, bardzo wiele.

Wyobraził sobie, jak gotuje się poparzone ciało pod opatrunkami i poczuł nieprzyjemne mrówki na plecach.

— Wasza dostojność — rzekł, tym razem z prawdziwym współczuciem — przyszedłem i przyniosłem ci to i owo. Nie uciekłem z księżniczką i księciem, bo mam tu, nieprawdaż, do załatwienia kilka spraw... nieprawdaż, jak powiedziałyby ktoś kogo znam. Przede wszystkim przyniosłem ci odpowiedzi na pytania, bo na pewno wielu rzeczy nie rozumiesz. Po wtóre, przyniosłem siebie. Zechciej nadal mnie trzymać, najlepiej już bez straży... hm, hm... przebaczysz mi, jeśli powiem, że twoich strażników zatłukłem? Żołnierska robota, jak za starych czasów, bo wiesz, że byłem grombelardzkim gwardzistą?... No, ja nie wiesz, to mniejsza z tym. Musiałem zatłuc strażników, bo przyszli do mnie goście. Ale teraz już mogę dać słowo, że nie ucieknę, by uwolnić przyjaciół. Jeśli chcesz zawrzeć pakt z Basergorem-Kobalem i Kragdobem, moim synem, to nadal możesz posłużyć się mną w swoich targach. Nie przyznam się, obiecuję, że mogłem ci uciec, a tego nie

zrobiłem. Możesz wierzyć tej obietnicy, bo gdyby była nieszczerą, to w ogóle bym tu nie przyszedł, tylko polazł w góry i narobił ci koło uszu. Tak więc Glorm na pewno doceni twój gest, a ja, choć to nie moja sprawa, uważam, że lepszy pokój między Górami a Londem, niż wojna. I na koniec przyniosłem ci coś jeszcze, pani, coś od czego chyba powinienem był zacząć, przebacz mi starczą głupotę... Jestem Przyjętym. Pomyśl. Czy mogę dla ciebie coś zrobić? Poza wskrzeszeniem umarłych, bo tego... chyba nie umiem. Wszyscy wiecznie czegoś chcą od Przyjętych, wygadują brednie, opowiadają bajki o magach... A ty nic?

Patrzyła bezradnie, bo nie wiedziała, o co temu niezwykłemu człowiekowi chodzi. Mógł coś zrobić?... Ale co? Wiedziała, co mogą, a raczej czego nie mogą Przyjęci. Przemogła się i wyszeptwała przez poparzone gardło:

— Ale wy... nigdy... nic.. nie robicie..

— To prawda, bo zabraniają tego Prawa Całości. Lah'agar nie może naruszyć równowagi, bo zostanie odtrącony przez Szerń. Lecz ze mnie dziwny lah'agar, drugiego takiego nie ma. Moje Pasma nie tylko nie zabraniają, ale wręcz żądają aktywności. Popatrz tylko na Riolatę... księżniczkę Riolatę Ridaretę. A widzisz. Tak, tak, ona też z tych, co nie muszą nosić żadnych Porzuconych Przedmiotów, zresztą już to wiesz. Dziwadło, jak i ja. Zrobię coś, ale tylko raz, wasza dostojność... i nigdy już o nic mnie nie proś. Mogę czy nie mogę, bardzo boję się grzebać w Pasmach. Nawet tylko dwóch. Nie wiadomo, co mogę sknocić. Nie w Pasmach, rzecz jasna, tylko tutaj, na ziemi. No, już dobrze, bo gadam i gadam, a ty cierpisz... Obejrzyjmy to.

Posługując się swą jedyną wielką dłonią, zaskakująco delikatnie jął odwijać płótno z jej twarzy. Lecz okazało się, że mimo chęci, nie poradzi sobie.

— Służba! — zawołał i aż pacnął się ręką w gębę, bo zabrzmiało to w ciszy domu jak huk młota; głos miał równie potężny, co postać.

Przybiegły wystraszone niewolnice.

— Rozbierzcie panią z tych płócien. Do naga — poleciał. — Tak, do naga... Mam setkę na karku...

(Nie wdawał się w szczegóły.)

— ...i goła baba, do tego szpetnie poparzona, to dla mnie nic nowego. Codziennie widzę takich dziesięć albo jednaście. Pomnóżcie to sobie

przez sto lat, no jazda.

Spoglądały na leżącą, aż wolno przymknęła oczy. Rubaszny staruch ani myślał wychodzić. Gapił się, a cmokał, a przyglądał, lecz widok, w samej rzeczy, dla każdego musiał być przykry. Szukający miłych wrażeń podglądacz obszedłby się smakiem, wyleczył z pociągu do kobiet albo zemdłał.

— Poskładałem już dzisiaj jedną, którą gnaty zrosłyby się bez tego w jakiś, ani chybi, dziwoląg. — Przyjęty gadał i gadał, próbując zagłuszyć krzyki Army. — Ale z nią akurat to najmniejszy kłopot. Przespała się u mnie parę chwil, a gdy poowijałem ją trochę i poszła, to już wyglądało na to, że się nie rozleci... Chociaż okaz zdrowia będzie z niej najwcześniej za parę dni. Kto inny potrzebowałby miesiąca albo dwóch, żeby w ogóle wstać z łóżka. Wynocha — zarządził uprzejmie, gdy niewolnice skończyły.

Zapłakana z bólu namiestniczka, która każdą cząstką roztrzęsionego ciała czuła, jak płótno schodzi z niej razem z obumarłą skórą, zdołała jednak raz jeszcze przymknąć powieki, a nawet słabo skinąć głową. „Wyjdźcie...”.

— Dziewczyna. Młoda, niebrzydka — rzeczowo ocenił łysy staruch, bez trudu mogący być nie tylko dziadkiem, ale wręcz pradziadkiem poparzonej. — Przyjaciółka mojego syna... Dlaczegoś za niego nie wyszła?

Nawet nie wiedział, że jowialnie sobie żartując, dotknął czegoś, co jeszcze przed kilku laty bolało niemal tak, jak oparzenia.

— Wytrzymasz dziś wyjątkowe zaloty, Armo — Tamenath gadał i gadał, bo nie bardzo wiedział, jak zabrać się do rzeczy, i sam sobie dodawał animuszu. — Włosy odrosną, chociaż trochę to potrwa. A z tym tutaj... No, wiem przecież, że mogę — rzekł stanowczo, przekonując sam siebie. — Pewnie mógłbym nawet przez te płótna...

Po czym usiadł przy łożu i — ogromnie skupiony — miejsce przy miejscu jął obmacywać całe ciało kobiety. Najpierw nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje, aż nagle krzyknęła, bo na tle wszechobecnego dotąd bólu pojawiły się zatoczki, cieśniny... a wreszcie całe morza spokoju, rozkosznego nie-bólu, którego nigdy nie umiała dostrzec żadna zdrowa istota.

— Najważniejsze tutaj — rzekł, trochę szorstko przykrywając dłonią

jej policzek wraz ze zniszczonym uchem i nagle zrozumiała, że ten ogromny kaleka jest prawdziwie wzruszony. — Ma nie być żadnych blizn, prawda Armo?... Ech wy, kobiety...

Rozpłakała się i gdy znowu przesunął dłoń, pocałowała go niezręcznie w wielki, pobarwiony starczymi plamami paluch. W tej samej chwili zrozumiała... przypomniała sobie, że nie boli już lewe ramię, więc ujęła tę ogromną dłoń dotykającą jej twarzy i trzymała, trzymała... trzymała.

Niestety nie potrafił wygoić ran duszy. Ale i tak wkrótce miała podziękować mu za wszystko.

25.

Nazywano to „mokrą gorączką”. Grombelardczykom rzadko dawała się we znaki, ale przybyszów z innych stron Szereru potrafiła zwalić z nóg, a nawet zabić. Niektórzy na nią zapadali, inni nie.

Grombelard. Dla swoich córek i synów miał wieczną wilgoć, wieczny wiatr... Krótkie życie, z wolna wypełniane bólem powyginanych gnatów i wyrodnających stawów. Dla przybyszów bardziej łaskawy, zapewniał dłuższe życie, bo nie od samej przecież kołyski wypełnione wiatrem i deszczem — albo szybką śmierć, rozmazaną w malignie.

Glorm czekał na powrót Rbita. W zrujnowanym tak jak Gromb Rahgarze nie miał już nic do roboty, poza doglądaniem półprzytomnej kobiety, która chciała go bronić przed wszystkimi, ale nie umiała powstrzymać wrednej grombelardzkiej gorączki. W ciągu zaledwie kilku tygodni przemieniła się we własny cień. Wychudzona, z popękanymi wargami i błyszczącymi oczyma, na twarzy miała niezdrowe rumieńce, płonące mocniej, gdy ciałem wstrząsał uporczywy kaszel. Było jasne, że powinna natychmiast opuścić Ciężkie Góry. Przed mokrą gorączką prawie zawsze dało się uciec, byle w porę. Wystarczyło suche odzienie, suche posłanie na noc, trochę niestęchłego pożywienia... Przede wszystkim potrzebne było słońce, błękitne niebo, drzewa. Już w Grombelardzie Niskim panowały warunki na tyle znośne, że choroba oddawała pole. A w Dartanie? Złoty Dartan potrafił wyleczyć ze wszystkiego.

Ale trzeba było tam jechać...

Enita jechać nie chciała. Cokolwiek wbiła sobie do głowy, siedziało tam dość mocno, by nie wypaść za lada potrząśnięciem. Glorm jął zatem potrząsać mocniej, ale przegapił moment, gdy należało to uczynić, potem zaś wyszło na jaw, że na jakiegokolwiek potrząsanie jest za późno. Trzeba było wziąć się za Enitę już w Grombie, przemówić do rozumu, a najlepiej stłuc na kwaśne jabłko, zezwać od najgorszych, wyjawić pogardę dla strzeleckich umiejętności, wyśmiać przydatność w Górach... Cokolwiek. Cokolwiek, byle przekonana, upokorzona bądź rozwścieczona wróciła do Dartanu. Można było posłać list Delenowi i Alii, by się nią zaopiekowali, nagrodzić wierność, niechby wezwać znowu w Ciężkie Góry, zdrową, przywykłą już do wiatru i deszczu, silniejszą. Lecz Basergor-Kragdob nie

miał głowy do takich spraw, znowu coś przegapił, czegoś nie zauważył. Potem Łuczka już nie rozumiała, co się do niej mówi, a jeśli nawet coś dotarło, to najwyżej połowicznie. Nadciągały półmajaki, zwiady, urojenia, najzwyklejsze gorączkowe brednie, wypierające z umysłu każdą rozsądną myśl. I po raz drugi Glorm przegapił moment, gdy należało działać, zamiast nalegać, pokrzykiwać... Powinien był odprawić ją, nie pytając o zdanie, niechby jechała do Londu, skoro Dartan był za daleko. Niechby nawet wieźli ją półprzytomną. Powinien przydzielić zbrojną asystę z jednym tylko rozkazem: „Dowieźcie ją tam całą i żywą!”, skoro „zdrowej” dowieźć nie mogli.

Ale nie, bo najpierw trzeba było zaprowadzić ład w Rahgarze... Dopiero, gdy Rbit ruszył do Londu, a Rahgar stał się pięknie wysprzątanym i bezpiecznym miastem, z którego karne wyprawy jęły ruszać ku wykrytym w górach, nieujarzmionym jeszcze sadybom, Król Gór jął nudzić się na tyle, by uważnie popatrzeć na swoją wierną gwardzistkę. Tę samą, która kiedyś, jeszcze jako ładna niewolnica, zapytała go spojrzeniem: „A ty, panie?...”.

Lecz teraz pytała najwyżej: „Czy to ty?”... Dygocząca, spocona, z cuchnącym oddechem wyszarpywanym z płuc razem z kaszlem, nie wiedząca, gdzie jest. Po raz kolejny w życiu Glorm zrozumiał, że czegoś nie dopilnował, coś przeoczył... Taki człowiek zawsze przecież będzie nachodzony przez kogoś, jakiś smutny cień z przeszłości, który nie zechce ponownie zadać pytania, na które odpowiedziano pochopnie albo głupio... Są widocznie istoty powołane do życia tylko po to, by przejść przez nie na wylot, jak włócznia przez grubą tarczę, pozostawiając sterczące na boki drzazgi. Jak grot, którego zadaniem jest przebicie zbroi, nie zaś podziwianie malowideł pokrywających puklerz. Czy grot może być do tego zdolny?

Samotny w Rahgarze zajęty przez półtysięczną armię, jasnowłosy olbrzym, przebudził się nagle i z desperacją jął walczyć o nieważną sprawę. Nieważną dla Grombelardu, niemającą związku z życiem, jakie wiódł, nie tyczącą jego zamierzeń i planów. Zapomniał o czymś, to prawda, lecz przypomniał sobie w ostatnim momencie... Może jeszcze nie było za późno; może jeszcze mógł naprawić niedopatrzenie; może mógł ocalić jedno przeklęte małe życie, na którym nikomu nie zależało. Nie mogło już być mowy o posłaniu jej do Londu, nie przeżyłaby podobnej

wyprawy. Ale była szansa, choć niewielka, że gorączka cofnie się, ustąpi, choćby tylko przycichnie na tyle, by ponownie móc rozważyć myśl o wyprawieniu dziewczyny na północ lub południe, byle dalej od deszczu, wiatru i mgły.

Chora gwardzistka otoczona została wszelkimi wygodami, jak prawdziwa królowa. Ku zdumieniu całej swojej armii — bo wszelkie dziwne wieści rozchodzą się przecież bardzo szybko — Basergor-Kragdob przestał pytać o wyniki karnych ekspedycji, machał ręką, gdy mu donoszono o powolnym odżywaniu rzemiosła i handlu w górskich miastach, bo troszczył się wyłącznie o zdrowie swej przybocznej. Gdy wszyscy marzli i mokli, ona miała ciepło i sucho; gdy wszyscy czuwali, ona spała. Na krętym górskim szlaku rozgrywano najprawdziwsze zawody, albowiem władca gór sypał złotem każdemu, kto dość szybko sprowadził z niższych miast jagnię na rosół, dowiózł bukłak niezsiadłego jeszcze mleka, dostarczył torbę owoców i jarzyn. Nie ten był bohaterem, kto przydźwigał z gór głowę herszta kolejnej wrogiej grupy, ale ten, kto przyrządził pierożki z delikatną jagnięciną lub wytrzasnął miód, korzenie i wyborne wino... O nikogo w całym Grombelardzie nie miano takiego starania, jak o chorą dziewczynę, którą potężny, bogaty i mający władzę człowiek ciągnął w jedną stronę, podczas gdy śmierć w drugą. Ktoś ułożył o tym chropawą piosenkę, dwadzieścia parę wierszy o największym w dziejach wojownika, który rzucił wyzwanie samej śmierci, gdy ujrzał ją, skradającą się do wezglowia śpiącej i bezbronnej żołnierki. Zastąpił jej drogę i powiedział: „Nie!”. Piosenka opowiadała, że ten wódz nad wodzami postanowił walczyć o każdego, strzegącego go wiernie, wojownika; postanowił wygrać ze śmiercią, pokonać ją i narzucić ugodę, że żadnego z jego podkomendnych nie zabierze nigdy podstępnie i skrycie, a tylko w chwalebnej, otwartej walce z wrogiem. Piosenka — jak to czasem z niektórymi piosenkami bywa — dziwnie łatwo wpadła w ucho i zapadła w pamięć. Wkrótce śpiewali ją wszyscy i wszystkich pochłoneły niepojęte zmagania ich wodza, w których musiało przecież chodzić o coś więcej niż ocalenie Łuczki, małej wojowniczkii z daleka. Może piosenka kłamała, a może mówiła prawdę, ale ten stale czuwający, zmęczony do granic olbrzymi mężczyzna o posępnej twarzy, na pewno walczył o coś niezmiernie doniosłego.

I tak było. Basergor-Kragdob walczył o to, by słowa, które kiedyś w

strumieniu wyrzekła o nim przyjaciółka sprzed lat, okazały się nieprawdziwe. Nie wiedział, co powiedziała, ale próbował nie być maszyną z poskładanych do kupy sprężyn i trybów, ślepa, zimną, toczącą się na kołach w jednym tylko kierunku. Taranem do rozbijania wciąż i wciąż nowych bram.

Lecz światy — zarówno te identyczne, które widział Tamenath, jak i inne, różne od Szereru, choć tak samo poskładane w niezliczone ciągi — nie są przecież budowane po to, by ktoś czegoś mógł sobie dowieść. Dwaj olbrzymi mężczyźni w dwóch miastach, syn i ojciec, zabiegali o życie i zdrowie dwóch kobiet. Jedna była intrygantką i zdrajczynią o stu twarzach, druga wierną niewolnicą, dziewczęco i wstydliwie, po cichutku zakochaną w swoim panu. Tamenath niczego nie musiał udowodnić, podczas gdy Glorm — owszem. Ojciec wyszamotał skądś jakieś moce, które nigdy się nikomu nie przydały, pokręcone, nijak mające się do świata — syn przeciwnie, z pokorą i gniewem zarazem sięgnął po wszystko, co właśnie oferować mógł świat. I okazało się, że choć potrafił z mieczami w dłoniach zdobyć Ciężkie Góry, to całym orężem świata, całym złotem, wysiłkiem ani gorącym pragnieniem nie sprawi, by pewien cichy jak westchnienie oddech nie był oddechem ostatnim. Nie mógł, a przecież... cóż to za różnica dla całego Szereru? Miliony oddechów w każdej chwili jego istnienia; miliony kolejnych oddechów każdej żywej istoty... Jeszcze jeden i u jednej istoty, jeszcze dwa, nawet sto lub tysiąc — cóż to za różnica? A jednak jakaś była. Pięćdziesięcioletni król rozbójników dotknął tego, czego nie mógł dostrzec jego stuletni ojciec, patrzący na ciągi światów i czasów, a mianowicie: końca. Księżniczka Riolata Ridareta w oczach mordowanej kobiety dostrzegła dokładnie to samo, co Glorm pochwycił słuchem: koniec, króciutką chwilę, gdy dokonywało się nieodwracalne. Ktokolwiek stanął na tej granicy i prawdziwie ją ujrzał, doświadczał poczucia całkowitej bezradności. Wszystko dało się naprawić albo odwrócić, powtórzyć — poza przekroczeniem tej granicy w drugą stronę.

Glorm usłyszał ostatni oddech Enity, a raczej — nie usłyszał następnego. Może więc, w istocie, usłyszał właśnie ten oddech, którego zabrakło, nie było?... Czy można usłyszeć niewydane tchnienie? Ciszę. Coś, czego właściwie nie ma, bo oznacza zaledwie brak dźwięku.

W wielkiej, suchej i jasnej izbie, ogrzanej po królewsku drewnem, za

które grombelardzki bogacz płacił drożej niż za bele jedwabiu gdzie indziej, izbie pachnącej grzany winem i gorącym rosołem, dowiedziono, że zębata maszyna jest i zawsze zostanie maszyną. Może zatrzymać się na krótko, jednak tylko i dopiero wtedy, gdy wyważy kolejną bramę i nie ma żadnego celu. Ale żywe i czujące istoty działają przecież inaczej, bo przystają czasem właśnie po to — i po nic więcej — by coś dostrzec, czymś się nacieszyć, a o czymś innym nie zapomnieć...

Glorm siedział przy małej łuczniczce, z łokciami opartymi na kolanach, i przyglądał się palcom swoich wielkich dłoni. Pocierał kciukami o palce wskazujące, to znowu środkowe, jakby sprawdzał, czy zachowały czucie. Oglądał wyżłobione we wnętrzu dłoni, zbiegające się i rozchodzące linie, wsłuchany w pierwsze tchnienie z tych wszystkich, których zabrakło i nigdy miało nie być. Siedział zupełnie sam w wielkiej i ciepłej izbie, choć przed chwilą było ich tu dwoje. Nie widziany przez nikogo, wiedziony niemądrym i nawet nieco upiornym impulsem, pochylił się nagle, podniósł puszyste, świetnie wyprawione futra okrywające dartańską wojowniczkę i położył się obok wynędzniałego ciała, bo postanowił dać mu trochę ciepła, którego już nie mogło zapewnić sobie samo. Podłożył ramię pod lekką głowę i pozwolił, by spoczęła u zbiegu ramienia i barku, w tym miejscu, które lubiły wszystkie kobiety świata... a może tylko te kobiety, które znał? Najbezpieczniejszym miejscu, ciepłym, miękkim, a zarazem muskularnym, emanującym męską siłą. Opiekuńczym. Leżał, patrząc w powałę i głęboko oddychając za dwoje. Zgrywał oddech z drugim, tym nieistniejącym, niesłyszalnym, którego rytm dobrze znał; leżał i obejmował drobne ciało, bo z głębi ciężkiego serca pragnął, żeby jeszcze przez chwilę Enicie było ciepło. Odwrócił głowę, znużony wielodniowym czuwaniem. Patrzył w zacieniony kąt izby, bo myślał, że może znowu przyjdzie jego Karenira... Ale nie przyszła. W kącie pokoju był tylko płytki cień.

Mimo to chciał z nią pomówić.

— Znowu zawiodłem? — zapytał zniżonym głosem, żeby nie obudzić cichej Łuczki. — Wiem, Karo... Ale tak już zostanie. Może przysłałaś mi Enitę, żebyśmy coś zauważyli, z czymś zdążyli, czegoś się wreszcie nauczyli. To dlatego uśmiechnęłaś się wtedy, w piwnicy, gdy czyściłem broń. Chciałaś, żebyśmy odpowiedział dobrze na pytanie. A ja znowu nie

zdążyłem, niczego się nie nauczyłem i głupio odpowiedziałem. Po raz trzeci na pewno już nie przyjdiesz... No dobrze, nie przychodź więcej. Ja już sam nie wierzę, że odpowiem ci tak, jak należy.

Na powrót zwrócił twarz ku sufitowi, poleżał jeszcze trochę, a potem delikatnie zsunął nieruchomą kobiecą głowę na obszytą czystym płótnem poduszkę.

Przez siedem dni i osiem nocy nierówna walka trwała,
On gotów walczyć z mieczem w dłoni, a śmierć się podkradała.
Nie chciała stanąć tak jak on do boju twarzą w twarz,
Kryła się w cieniu, uciekała, gdy on wciąż trzymał straż.
Na koniec rzekła: zmogłeś mnie, lecz zawsze będę blisko
I gdy posłyszę szcęk oręża, przyjdę na pobożowisko.
Zabiorę dwakroć tyle twoich, ile by padło w boju.
On odrzekł: zgoda, ale śpiących żołnierzy zostaw w spokoju.
Żaden się ciebie nie przelęknie, gdy w walce cię zobaczy.
Śmierć na to: dobrze. Potem poszła, nie mogło być inaczej.
I odtąd śmiało dławi zbrojnych, gdy idą do ataku,
Lecz nigdy nie wykrada ich bezbronych na biwaku.

Dzielną wojowniczkę ze złotego Dartanu pochowano, wraz z jej łukiem, przy drodze wiodącej do Londu, więc na północ, ku stronie świata, gdzie nigdy nie gościło słońce. Lecz tam właśnie powinna odjechać i gdyby dano jej czas, to być może z dalekiego portowego miasta zaświeciłby władcy gór wprawdzie tylko jeden, maleńki, ale za to ciepły promyczek.

Zimna maszyna zwana Basergorem-Kragdobem widocznie potrzebowała jakiegoś, ogrzewającego ją, promyczka. Lecz czy ten promyk mógł zrodzić się w kamiennej mogile, chłostanej wiecznym grombelardzkim deszczem?

*

W Rahgarze nie było rynku z prawdziwego zdarzenia. Dziwaczne miasto, małe, nieregularne, rozbudowywane bez ładu i składu to tu, to tam, pyszniło się trzema placami targowymi, ale właściwie były to nie place, a placyki. Za czasów świetności Rahgaru, gdy kwitł handel z Londem, budy i stragany wylewały się z owych placyków na wiodące do nich ulice. Między targowiskami widniała, osadzona przed wiekami, krępa grombelardzka warownia, siedziba komendantury garnizonu, a

zarazem koszary doborowych oddziałów; reszta wojska kwaterowała w kilku mniejszych strażnicach. Przybywszy do Rahgaru, Glorm nie wprowadził się do zamku, bo budowla była w opłakanym stanie. Zajął stojący nieopodal dom, a sąsiednie budynki, także niezbyt zniszczone, posłużyły za mieszkania najlepszym jego żołnierzom.

Spośród niekarnych band, które poszły za Basergorem-Kragdobem, wyłaniać się już poczęły elitarne oddziały, zorganizowane na sposób wojskowy, zdyscyplinowane, złożone z dobrze uzbrojonych i najlepiej opłacanych wojowników. To na takich właśnie, stosunkowo nielicznych, oddziałach opierała się kiedyś siła władców Ciężkich Gór. Łażące po całym kraju złodziejaszki bały się ich i nie śmiały wszczynać większych awantur. Drobnych ulicznych kradzieży Basergor-Kragdob nigdy nie kontrolował, bo to nie była zabawa dla kogoś takiego jak on; pozwalał też na własny rachunek włóczyć się po knajpach tanim dziwkom (domy z drogimi kobietami to była inna sprawa). Lecz żadna grombelardzka hołota nie śmiała bez jego pozwolenia napadać na kupieckie karawany, cóż dopiero mówić o zdzieraniu z kogokolwiek haraczu. Było pewne, że wkrótce w odpowiedzi przybędzie skądś oddział strasznych zabijaków, ich dowódca każe odszukać zuchwalców i rozedrzeć na strzępy — bo gdybyż tylko pozbawił żywota.

Rbit nie siedział w Londzie ani dnia dłużej, niż musiał. Wrócił do Rahgaru i znalazł Glorma tam, gdzie zostawił, w okazałym domu niedaleko twierdzy. Swoim zwyczajem, pojawił się zupełnie nieoczekiwanie i bez żadnej asysty, choć — jak donosił — wkrótce miało przybyć za nim z Londu kilku dobrych wojowników.

— Tylko trzech. To gwardziści Army, a wcześniej Wereny — rzekł krótko, bo coś powiedzieć musiał. — Jeszcze wcześniej służyli nam, w oddziale Ranera lub innym doborowym.

Oto była cała historia świetnych najemników, sprzedających niegdyś swe miecze Basergorowi-Kragdobowi. Po zniknięciu władców gór ci sami ludzie, zwerbowani przez Arme do prywatnego pocztu córki cesarza, służyli jej wiernie, potwierdzając swą wojenną reputację „żywych mieczy”, całkowicie lojalnych wobec tego, kto im zapłacił. Na koniec przeszli pod rozkazy namiestniczki Londu, współdziałając z legionistami imperium. Burzliwe losy znakomitych, choć bezimiennych wojowników Gór, zasługujące na osobną opowieść, warte były dla kota

najwyżej dziesięciu słów.

Glorm mieszkał sam. Zajmował całe piętro, dzieląc dom tylko ze swymi bitnymi Dartańczykami (jeden zginął w walkach o Rahgar), którzy wraz z pachołkami rozgościli się na parterze. Rbit odnalazł przyjaciela w wielkiej izbie, z której wyniesiono już puszyste futra; tak samo zniknęło drewno do palenia w kominie i dzbany z różaną wodą potrzebną do zwilżania okładów... W powietrzu nie unosił się zapach rosołu z jagnięcia, zamiast tego drażniła nozdrza mocna woń wędzonego boczku. Basergor-Kragdob żył wygodniej niż większość jego żołnierzy, ale nie otaczał się zbytkiem.

— To „prezent” od Army, ci trzej? — zapytał cokolwiek kwaśno.

— Nie. Przewodnicy, którzy doprowadzą naszych do kryjówki oddziału Legii Grombelardzkiej. Jakiś czas temu wyszedł z Londu oddział poprzebieranych żołnierzy.

— Po co?

— Wiadomo.

— Nie wiadomo. Mnie nie wiadomo.

— Przy odrobinie szczęścia mieli przyłączyć się do nas.

— Popatrz, jaki plan... I to Arma go wymyśliła?

— Podobno Przedstawiciel.

— No... Jak na niego, to może i sprytnie.

Wieści o nowym władcy Drugiej Prowincji dotarły już do Rahgaru; Kragdob miał pod swoim sztandarem różnych awanturników z Londu.

— Arma uznała, że potrzebujemy przewodników? — zastanowił się Glorm. — Nie trafimy sami?

— Nie, źle powiedziałem. To właściwie nie przewodnicy.

Glorm czekał.

— No więc, kto?

— Raczej zwiadowcy. Są oczekiwani przez tamtych i nie wzbudzą podejrzeń.

Idąc do miejskiego królestwa Army, Rbit uważał, że rozmówi się z nią, wróci i treść tej rozmowy przekaże Glormowi. Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej złożona. Basergor-Kobal użył dziesięciu słów, by powiedzieć o gwardzistach Army, ale gdyby mógł, użyłby jednego. Czekają go bowiem jeszcze złożenie obszernego raportu... a nawet nie raportu, bo gdybyż chodziło o raport! Miał opowiedzieć

przyjacielowi niebywałą historię, tak długą i skomplikowaną, że czuł senność na samo wspomnienie. Krążył i zwlekał. Wreszcie Glorm, nie mogąc dopytać się o nic, stracił cierpliwość.

— Czuję się czasem stary — powiedział i oparł się o ścianę, przymykając oczy, jakby chciał pokazać, co to znaczy starość. — A ty nie? Jeśli nie czujesz się stary, to powinieneś. Obserwowałeś kiedyś, jak pierniczeją ludzie?

Rbit nie bardzo rozumiał, co Glorm ma na myśli.

— Zaobserwuj — doradził olbrzym, zakładając ręce na piersi i nie otwierając oczu. — Sztywnieją im gnaty, podskoki to już nie dla nich, a o sprawach tak ważnych dla moich pobratymców... no, tych sprawach, o których kot i kocica myślą ledwie parę razy w życiu... nawet nie warto wspominać. Przypatrz się, zaobserwuj. Bo z kotem jest inaczej. Nigdy nie widziałem zniedołęźniałego, biegacie aż do ostatniej chwili, kiedy to trzask! i już jest po kocie. Ale pierniczejecie tutaj. — Uniósłszy palec, Glorm oparł go o skroń. — O wiele bardziej niż ludzie. Wiesz już, do czego zmierzam?

— Wiem — rzekł Rbit. — Nie zmierzaj.

— A nie, nie, teraz ja cię pomęcę... Słuchaj. Kot młody lub w sile wieku nie lubi gadać byle czego, nie lubi gdybać ani zgadywać, lecz gdy zajdzie taka potrzeba, to gdyba i zgaduje. Piernik nie. Piernik wszystkie wybitnie kocie cechy nosi na grzbiecie i bez przerwy pokazuje wszystkim. Widzę, że masz dużo ważnych, a do tego dziwnych wieści. I wiesz co? Ze strachu przed opowiedzeniem mi wszystkiego, uciekając przed tą okropną koniecznością, powiedziałaś już więcej i zmęczyłaś się bardziej, niż warta jest cała ta opowieść. To tak, jakby stary człowiek bojąc się wysiłku związanego z chodzeniem, łąził wszędzie, nie wstając z wygodnego stołka, a tylko jeździł na nim, odpychając się kulasami, i spadał ze schodów na ryj, cały czas trzymając stołek przy tyłku, rzecz jasna. To jest mądre?

— Nie jest — rzekł Rbit. — Rzeczywiście masz rację. Im jestem starszy, tym bardziej dziwaczny wydaje mi się wasz świat. I tym mniejszą mam ochotę naginać się do niego.

— Ale żyjesz w nim, więc się nagnij i nie spadaj ze schodów, trzymając się za swój stołek. Zresztą ja nie jestem całym światem i zrozumieć cię dwa razy szybciej niż ktokolwiek inny na tym miejscu.

Nagnij się tylko troszeczkę, do mnie, nie do świata.

— Dobrze, Glorm. Masz słuszość, jestem stary, a poza tym zmęczony. Nabiegałem się po tym kraju jak nigdy przez całe życie i chciałbym wreszcie trochę odpocząć.

Były to kocie przeprosiny — trzecie, a może czwarte, jakie Basergor-Kragdob od kota usłyszał. Pochylił się na swym siedzisku i na moment oparł dłoń na okrytej wciąż jeszcze wilgotnym od deszczu futrem, burej łopatce przyjaciela.

— No to mów.

— Arma nie jest zachwycona wymuszonym pokojem, ale jeszcze bardziej dopiekłem jej, zwlekając tak długo. Chyba niepotrzebnie. Uraziłem ją, a gdybym pojawił się szybciej, osiągnąłbym pewnie tyle samo, nie zrażając do siebie starej przyjaciółki. Myślę, że ona kiedyś mi za to odpłaci.

To było już drugie uznanie własnego błędu. Glorm pomyślał, że jeśli siedzący przed nim kocur przyzna się do trzeciego, to trzeba będzie przerwać rozmowę i naprawdę pozwolić mu odpocząć. Bo odmłodzić chyba się nie da?

Rbit do niczego już się nie przyznał. Po kociemu zwięźle, ale jasno, opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się w Londzie. Glorm słuchał, nie przerywając nawet słowem. Dopiero pod sam koniec upewnił się:

— Więc wypuściła starego czy nie?

Miał na myśli ojca. Którego pobiłby bez chwili namysłu, gdyby tylko zaistniała sposobność.

— Więcej, niż wypuściła, bo wbrew faktom odmówiła skazania, ryzykując wszystko, nawet utratę stanowiska. — Rbit przemógł się i przestał wydzielać Glormowi każde słowo. — Jego uniewinnienie to miała być czcza formalność, ale pojawili się świadkowie, i to nie byle jacy, bo szpiedzy Trybunału, obserwujący twojego ojca i księżniczkę Ridaretę. Jeden zeznawał z własnej woli, hardo i odważnie. To bardzo silny człowiek, potrafiący otwarcie powiedzieć, co nim powoduje. A powodowała nim osobista uraza, do tego trudno się przyznać. Potrafi to kot, ale człowiek rzadko. Pozyskałbym go chętnie, jednak to ktoś, kto chyba naprawdę jest szczerze oddany Wiecznemu Cesarstwu, mimo że o tym nie mówił. Inni świadkowie zostali wskazani właśnie przez niego, ale oni przeciwnie, już tylko płaszczyli się przed Arma, skomląc prawdę,

lecz cały czas podnosząc „dobro państwa”. Arma, co wiem z ust twojego ojca, jak zresztą o całej rozprawie, zlekceważyła te świadectwa, nakazała natychmiast uwolnić podsądnego i zapewniła mu eskortę własnych gwardzistów, by niezwłocznie i bez przeszkód mógł opuścić Dzielnicę Imperialną. W tej chwili jej pozycja jest bardzo niepewna, bo wobec popełnienia tak oczywistych nadużyć, niemal cała władza przeszła w ręce Drugiego Namiestnika. Przedstawiciel nie może jej odwołać z urzędu, ale posłano raport do Kirłanu.

— Wynika z tego, że rozmawiałeś z niewłaściwą osobą. Jutro ktoś inny będzie rządził Trybunałem w Londzie.

— Jeszcze przed tą sprawą — wytłumaczył Rbit — Arma posłała list do cesarzowej. Jest to skarga na Przedstawiciela, który próbował uwikłać ją w skandal. Arma twierdzi, że cesarzowa na pewno uwierzy jej listowi, a co za tym idzie, raport Przedstawiciela o sądowych nadużyciach potraktuje jako ciąg dalszy tej gry. Cesarzowa Werena zna Armę i na pewno nie zechce dać wiary, że namiestniczka w ciągu zaledwie kilku tygodni naprawdę popełniła aż tyle głupstw i nadużyć. Dojrzy w tym wstrętą intrygę brata, którego nie poważa. Tak twierdzi Arma. Jeśli wygra, jej pozycja okrzepnie, zamiast osłabnąć. Wszyscy urzędnicy Trybunału na wyścigi będą przymilać się zwierzchniczce, od której na chwilę odstąpili, a Przedstawiciel od tej pory będzie musiał mieć naprawdę mocne dowody, chcąc zarzucić jej najmniejsze uchybienie.

— Rzecz jasna — skwitował Glorm. — Tylko na chwilę zwątpiłem w Armę i już tego żałuję.

— Tewena nie żyje — rzekł Rbit.

Glorm milczał, uderzony wieścią.

Rbit przedstawił szczegóły, które wcześniej pominął, chcąc zwięźle przedstawić główne wydarzenia.

— Bardzo niepięknych przyjaciół pozyskałeś sobie na Agarach — rzekł na koniec.

Kragdob milczał. Zmęczony Rbit nie zamierzał mu przeszkadzać.

— Nie zrozumiesz tego — rzekł na koniec Glorm, wstając i idąc ku ścianie, na której chyba dostrzegł jakąś plamę, bo podrapał paznokciem. — Raladana nie oskarża nawet Arma. A Ridi... Ślepa Ridi to tylko zaraza. Trzeba jej unikać, to wszystko. Zamiast tego ktoś ją przywłókł do Londu, ktoś, kogo prosiłem, by się zastanowił. Co powiesz mi teraz? Że

niepięknego ojca znalazłem sobie na Agarach?

— Rzeczywiście nie zrozumiałem. Zabij ojca, jeśli włązi ci w drogę — obojętnie skwitował kocur. — Ale zarazę też trzeba zabić, jeśli to tylko możliwe.

— Tak, tutaj chyba masz rację. W części tyczącej zarazy, rzecz jasna. Ale ta zaraza to wszystko, na czym zależy mojemu przyjacielowi, bo Raladan to przyjaciel, może ostatni, jakiego pozyskałem w życiu. Dlatego, jeśli nawet kiedyś zabiję zarazę, to będę musiał ponadto zabić przyjaciela. A winę za wszystko ponosi pewien stary dureń, z niejasnych powodów zwany mędrcom. I znowu powiem: jeśli nawet wiesz i rozumiesz, na czym polega bycie czyimś ojcem lub synem, to na pewno tego nie poczujesz.

— Dobrze, Glorm, to już naprawdę jest zbyt ludzka rozmowa, nawet dla kota, który jednak potrafi się nagiąć. Nie wyprawię się jutro na Agary, ale jeśli spotkam kiedyś twoją Ridi, to zabiorę jej drugie i ostatnie oko. Raladana znam, ale nigdy nie miałem go aż za przyjaciela i nic mu nie jestem winien. A Tewenie na pewno jestem.

Rbit podniósł się i kolejno wyprężył łapy, rozciągając kości i mięśnie.

— Teraz idę spać i zamierzam nic innego nie robić przez osiem dni.

— Dlaczego akurat osiem?

— Bo za dwa lub trzy dni dotrą tutaj nasi starzy gwardziści, wypożyczeni przez Armeę. A dokładnie za dziewięć dni ten oddział przebierańców stawi się w górskiej kryjówce i ci trzej będą mogli nas tam zaprowadzić. To dzień drogi stąd.

— Zamierzasz tam iść?

— Nie wiem. Postanowię za osiem dni.

— Wystarczy chyba posłać dobrze dowodzoną grupę?

— Pewnie tak. Postanowię za osiem dni. Gdzie jest Łuczka? Wyzdrowiała?

— Umarła.

Rbit na chwilę pochylił wielki łeb.

— Bardzo źle zrobiliśmy, pozwalając jej zostać w górach — powiedział. — Ta dziewczyna zasłużyła na lepszy los, Glorm.

— Wiem, Rbit. Próbowałem ją uratować, ale było... jak zwykle za późno.

Kocur nie zapytał, co oznacza „jak zwykle”.

O tym, że Tewena nie żyje, Basergor-Kragdob dowiedział się naprawdę dopiero w środku nocy. Zbudziła go łomocząca o ścianę okiennica, więc wstał i ją domknął. Potem długo leżał, uważnie wywołując z pamięci schrypnięty głos wielkiego kota. Kilka słów, w którym zakłęto jeszcze jeden koniec.

Nie było już nieładnej kobiety, która kiedyś tak ciepło objęła jego głowę...

Czy powinien napisać o tym do Iwina? O tym, że nie ma już Tewy, czyjejs matki, czyjejs przyjaciółki... Napisać czy po raz kolejny odwrócić głowę, bo to już nie była jego sprawa?

Postanowił, że jednak napisze. I napisałby — ale nie zdążył.

26.

Basergor-Kragdob ani myślał przedzierać się przez smagane deszczem góry do jakichś paskudnych jaskiń, gdzie mógł znaleźć dwudziestu obcych drabów, wystawionych do zarżnięcia. Jeszcze siedząc na Agarach, tłumaczył księżniczce Ridarecie, że nie po to ma się zbrojne oddziały, by każdego wroga rzezać osobiście. Nikt go nigdy nie pytał, ale (jakże to było odległe od mrocznej legendy, która go otaczała!) nie lubił zabijać. Lubiał czuć własną siłę, lecz ta siła wyrażała się we władzy nad innymi. Zabijał, gdy uznał to za potrzebne, sama walka także dostarczała mu niebłahych wrażeń, ale gdyby mógł wybierać, wybrałby walkę na dartańskiej arenie... Nie przyznałby się do tego, bo turnieje uchodziły za śmieszne. Jednak nie były takimi. Każdy mógł tam zginąć — lecz w zamian nie każdy musiał zabić pokonanego przeciwnika, co w górach było regułą i koniecznością. Ta konieczność nigdy nie bawiła Króla Ciężkich Gór.

Nie zamierzał wyprawiać się z Rbitem.

Kocur jednak przemyślał rzecz dogłębnie — choć nie zajęło mu to aż ośmiu dni, jak zapowiadał — i doszedł do wniosku, że pragnie wsadzić swój pazur w zbrojne rozstrzygnięcie. Grombelardzkie królestwo, tak prędko ujarzmione i zebrane do kupy, miało już z powrotem swoich władców, do których zbiegali się wszyscy. Karne wyprawy w góry powoli przestawały mieć sens, bo idące ku wykrytym kryjóvkom i wysokim wioskom oddziały niemal zawsze spotykały na swej drodze zmierzającego na spotkanie przeciwnika, który poddawał się z największą skwapliwością i prosił o przyjęcie do zwycięskiej armii. Nie lubiące dzielić się zdobyczą i sławą draby Basergora-Kragdoba miały surowo przykazane nie zabijać wroga bez potrzeby, bo żaden krwawy przykład nie był już konieczny. Tyleż niechętnie, co sumiennie sprowadzano więc ze wszystkich stron świata rozentuzjasmowane watahy, którym pod rządami władców gór mogło być lepiej bądź gorzej, ale jednak mogło w ogóle jakoś być, podczas gdy rojenia o niezależności prowadziły prościutko pod miecze. Grombelard był zdobyty i ujarzmiony, teraz potrzebował tylko czasu, by odżyć.

A odżywał wcale szybko. Nadspodziewanie szybko. Resztki mieszkańców górskich miast nie były jeszcze żadną „ludnością”, ale

przedziergały się w nią beczynnie siedzące tam watahy, którym zabraniano łupieżczych wypraw do Niskiego Grombelardu i dalej na pogranicza. Tym łachudrom Kragdob płacił za beczynność, płacił niezbędne miedziaki, jednak było tych miedziaków dość dużo, by zechcieli je zdobyć co odważniejsi kupcy. Dla samych tych miedziaków nie warto było, oczywiście, przyjechać do Badoru, a co dopiero Grombu, ale odpowiedzialni za aprowizację oficerowie Kragdoba z miejsca nabywali każdą ilość jada i napitków, to już zaś był handel całą gębą. Wynudzone, trzymane w beczynności tylko strachem gromady zbiegały się wówczas zewsząd, kupując za swoje miedziaki najpodlejszą gorzałę.

Ożywienie handlu przyszło wraz ze wznowieniem wypraw z Riksu; Kragdob nie mógł w nieskończoność trzymać rozpróżnionych zabijaków, którym na nic nie pozwalano. Kilkakrotnie wypuszczono więc na pogranicza dobrze zorganizowane zagony, za każdym razem złożone z innych „wojowników” i przez kogo innego dowodzone. Przyniesiono łupy — a po owe łupy zaraz zbiegli się następni handlarze. Gdy zaczął krążyć towar i pieniądz, natychmiast odżyło rzemiosło. Niejeden łajdus poszedł po rozum do głowy, przypomniał sobie, że przed laty był szewcem, i jął oskubywać kompanów, reperując buty, bo to było wygodniejsze niż bieganie po świecie na obolałych nogach i obrywanie po mordzie, z widokami na jeszcze gorszy koniec. Naprawiano oręż, przyodziewek, sprowadzano dziewczęta, brano się za wyszynk straszliwej berbeluchy — a każdy z tych nawróconych rzemieślników, stręczycieli i karczmarzy zmniejszał liczbę beczynnych obwiesiów, których należało pilnować. Na pewno potrzebne były jeszcze długie lata, by zrujnowane miasta podźwignęły się z upadku i stały górskimi sadybami-twierdzami, jak chciał Kragdob. Ale podwaliny pod to dzieło położono.

Rbit chciał wziąć udział w górskiej potyczce z przebranymi za zbójów legionistami imperium, bo ta potyczka nieomal symbolicznie miała uwieńczyć podbój Ciężkich Gór. Lecz nieoczekiwanie — najbliższy przyjaciel stanął mu na drodze i nie zamierzał ustąpić.

— Nigdzie nie pójdziesz — rzekł stanowczo, ucinając dyskusję gestem, który kocur znał aż nazbyt dobrze. — Zrobiliśmy swoje. Będą jeszcze awantury, śpij spokojnie. W Armekcie i Dartanie nie są ślepi i widzą, co im rośnie pod bokiem. Chcesz legionistów? Dostaniesz. A ta

dartańska Straż Krajowa nie zawsze będzie do niczego, w końcu wychowają sobie przyzwoite wojsko do działań poza granicami. Zresztą już nawet teraz nie byłoby nam do śmiechu, bo w Niskim Grombelardzie panoszymy się tylko dzięki układowi z królową Ezeną, którego ona jednostronnie dotrzymuje. Ale to nie będzie trwało wiecznie, bo właśnie poszła z dymem jakaś wioska dartańska, czego nie dopilnowałem. Chcę cię tutaj, w Rahgarze. Zresztą wkrótce wracamy do Grombu i Badoru.

— Obserwowałeś kiedyś, jak pierniczeją ludzie? — kocur potrafił być złośliwy i odpłacić pięknym za nadobne. — Zabraniasz mi iść, to nie pójdę, ale powiedz: nie idź. To wystarczy. Wiem, co to jest dartańska Królewska Straż Krajowa.

— Nie chcę ci rozkazywać — rzekł Glorm. — To dlatego mówię tak dużo. Masz prawo wiedzieć, dlaczego upieram się przy swoim. Przed kim innym bym się nie tłumaczył.

Kocur przyjął rzecz do wiadomości.

— Naprawdę nie masz do roboty nic lepszego niż szarpanie się z grombelardzkimi wojakami? — zapytał Kragdob.

Rozmawiali na samym środku jednego z rahgarskich ryneczków. Glorm wracał do siebie po przeglądzie zakwaterowanych w mieście doborowych oddziałów, bo inne mało go obchodziły. Dopytał się, czy jego wojownikom na niczym nie zbywa, zażartował szorstko, obiecał wyprawienie to jednej, to znów drugiej grupy do Grombu lub Badoru, skąd docierały stubarwne, rozkoszne jak puch baśnie o domach pełnych kobiet. Miały być młode, odkarmione, nie straszące żebrami pod skórą, wręcz cysate i dupiate, wprost przecudne, a niektóre nawet poubierane nie w koszule i byle hajdawery bądź spódnice, lecz najprawdziwsze suknie. Krążyła legenda, że te w sukniach pachniały miodem albo czymś równie słodkim (Glorm domyślił się, że różaną wodą lub wanilią; inna rzecz, że nie bardzo wierzył w mityczne badorskie rusałki, wypachnione specjalnie dla śmierdzących capów). Oprócz kobiet, w Grombie i Badorze (nie wspominając już o Riksie, który — jeśli wierzyć opowieściom — był miastem, nie mającym poza Rollayną sobie równych w Szererze) była ponoć wódka nie trącająca baranim nawozem, znakomici muzykanci potrafiący przygrywać do wypitki i płaśów, a nawet jacyś wędrowni gawędziarze-brzdąkacze, znający setki przyśpiewek i rymowanych opowieści. Glorm, wracając z głową nabitą takimi opowieściami — bo

wiedział, że z podkomendnymi czasem warto się zbratać, więc cierpliwie słuchał ich bają — niemal potknął się o Rbita, który szukał go wszędzie. Przykucnął swoim zwyczajem i rozmawiali na ryneczku, nasiąkając drobną mżawką. Kilka kroków z tyłu przystanęli dwaj dartańscy wojownicy w pełnym rynsztunku; zawsze przynajmniej jeden z nich towarzyszył dowódcy. Nieopodal piętrzył się stos opałowego drewna, starannie osłonięty dachem i obstawiony strażą; jeszcze dalej, przy pokracznym, samotnym na rynku straganie (nie wiadomo, co tam sprzedawano) kłębił się tłum dwudziestu do trzydziestu rozgorączkowanych nabywców. Wylazło skądś nawet dwóch kocich zwiadowców, na pewno więc handlowano nie samą tylko gorzałą, którą koty miały za truciznę.

— Posłuchaj, Rbit — ciągnął Kragdob — widzę, że zaczynasz się nudzić, ale co mogę na to poradzić? Nie rządźmy żadnym niewidzialnym państwem, jak kiedyś. Mamy załazek armii, teraz będziemy budować twierdze. I dopiero, gdy zbudujemy, pomyślimy o czymś więcej. Do tego czasu ja będę miał mnóstwo roboty, a ty będziesz się nudził. Chyba że...

Kocur wiedział, co oznacza takie „chyba że” więc dalej gapił się na stragan.

— Czy uzgodniłeś z Arma, że chcemy mieć dostęp do portu? — zapytał Glorm.

— Nawet nie próbowałem.

— Dlaczego?

— Bo powiedziałyby: nie. Rozmawiałem o neutralności, a ty mówisz o zrobieniu w Londzie małego Grombelardu. Tego starego, w którym niby rządziło imperium, a tak naprawdę my.

— O niczym takim nie myślę.

— Glorm, przyjacielu, szkol dalej swoje wojska — rzekł kocur, sięgając wielką łapą do ucha, w które spłynęła kropla wody, i potrząsając łbem. — Jeśli otworzymy w Londzie legalnie działające przedsiębiorstwa kupieckie, to będziemy tam mieli swoich kupców. Swoich wywiadowców i swoich żołnierzy, pilnujących naszych spraw. Ja wiem, czym to pachnie, i Arma wie. Uważasz, że ona pozwala tam każdemu handlować i bogacić się tak jak mu wygodnie? Chroniąc swoich, puści nas z torbami, nie chroniąc, sama straci wpływ na cokolwiek. Lond nie jest aż tak duży, żeby mogło wzbogacić się na nim i Wieczne Cesarstwo, i Arma, i jeszcze

my.

— Jednak musimy mieć dostęp do morza.

— Ale na razie nic z tego. Gdy przyjdzie pora, przyjdę i powiem: przyjacielu, potrzebna nam w Londzie rezydentka.

— Dlaczego rezydentka, nie rezydent?

— Bo pokażę Armie, co możemy, i powiem: „Armo, już nam nie wystarcza twoja neutralność, ale proponujemy przymierze. Zostań w Londzie i rządz nim, ale dla nas”.

— Pracujesz na jej nienawiść — zauważył Glorm.

— Nie. Dotrzymuję wszystkich warunków, na jakich ja i Arma zbudowaliśmy kiedyś naszą przyjaźń. Nie zaprzyjaźniłem się z władczynią udzielnego księstwa, bo to niemożliwe. Mogę się przyjaźnić tylko z kimś, kto zmierza w tym samym kierunku. Pomyśl, a zrozumiesz, że tak to już jest.

— To nieprawda, Rbit. Mylisz się.

Kocur czekał.

— Arma wzięła sobie coś, czego my nie chcieliśmy — wytłumaczył Kragdob. — Nic nie jest nam winna. Nie weszła nam w drogę. Możemy to usprawiedliwiać jakkolwiek, ale teraz to my włączymy jej w drogę.

— Dla mnie to wszystko jedno. Dla Army też. Czy Arma jest silna? Jeśli jest, to przyjdzie do mnie pewnego dnia, pokaże swoją siłę i powie: „Kocie, nie wystarcza mi już twoja neutralność, możesz rządzić Górąmi, ale dla mnie”. Wtedy ocenię swoje szanse i powiem: „Niech tak będzie, Armo” albo odpowiem: „Nie” i poniosę konsekwencje swojej decyzji. Na tym polega przyjaźń. Że przyjaciel nie zabija, gdy stajesz mu na drodze, tylko najpierw coś proponuje i pozwala podjąć decyzję.

— To bardzo kocie pojmowanie przyjaźni.

— Nie. Ale dobre jak każde inne, bo każdy ją pojmuje po swojemu.

Mżawka przemieniła się w trochę gęstszy deszcz.

— Chodźmy coś zjeść, zaczęło padać.

Ruszyli w poprzek rynku i skręcili w uliczkę, wzdłuż której straszyły resztki kamienic. Miasto nie wszędzie wyglądało tak samo, ale w sąsiedztwie starej twierdzy, którą okupujące Rahgar watahy obrały sobie na główną kwaterę, zniszczenia były największe.

Postępując za Dartańczykami, którzy wysunęli się do przodu, przyjaciele rozmawiali dalej, choć było to trochę niewygodne, bo kocur

musiał zadzierać głowę, mężczyzna zaś pochylał się ku niemu.

— Skoro nie masz nic do roboty w Londzie, to może w Dartanie?

— Myślisz o porozumieniu z królową Ezeną?

— Tak. Przydałaby nam się jej neutralność. Jest kilka niedużych portów nad Morzem Dartańskim, blisko stamtąd do Niskiego Grombelardu. Jeśli nie Lond, to może któryś z tych portów?

— Zastanowię się. Ale nie wiem, czy musimy prosić Ezenę o cokolwiek. W tych portach możemy zrobić swoje bez jej pozwolenia, bo w żadnym z nich nie siedzi ktoś taki jak Arma. Wystrzegam się niepotrzebnych układów.

— Czy ten układ na pewno nie jest potrzebny?

— Na pewno. To zresztą nie jest żaden układ, bo Ezena nie ma nam nic do zaoferowania, stwarza tylko pozory, że ma. Chcesz jej dać więcej, niż sama zażądała.

— A co takiego chcę dać?

— Nie wiem. Ale chyba coś chcesz, skoro wciąż mówisz o układzie. Ja w Rollaynie przyjąłem tylko do wiadomości jednostronną deklarację królowej, że możemy liczyć na jej życzliwą bezczynność. Nie zależy jej na Grombelardzie, więc da nam tutaj spokój, to wszystko. Choć nie wątpię, że bardzo chętnie kupiłaby coś za nic.

— Czyli, twoim zdaniem, z dartańskimi żołnierzami nie trzeba się liczyć?

— Nie trzeba. Bez żadnych specjalnych układów z ich królową zostaw na razie w spokoju dartańskie pogranicze, a nie zobaczysz żadnego z tych wojaków. Ezenie jest na rękę to, co robimy w Górach, bo to kłopot dla Armektu. A myśli o kłopotach Armektu na pewno wyrrywają z ust dartańskiej królowej okrzyki podobne do tych, jakie — myślę — słyhać, gdy gości w jej komnacie książę A.B.D.

Sarkastyczny koci żart sprawił, że brwi mężczyzny lekko się uniosły.

— Rzecz jasna... Wynika z tego, że będziesz siedział i się nudził.

— Tak. Dlatego chciałem wyprawić się na cesarskich. Nie bawi mnie doglądanie gospodarstwa, a ty właśnie przemieniasz się w kogoś takiego jak Delen. On patrzy, jak rośnie jego zboże, a ty będziesz się gapił, jak rosną twoje twierdze. Przez wiele długich lat.

Ulicą włókł się z naprzeciwka jakiś oddział bezbronných i chyba śmiertelnie wymęczonych łapserdaków. Eskortował go drugi, orężny.

Jedna z karnych wypraw, prowadząca Kragdobowi nowych żołnierzy. Choć na razie, co prawda, raczej jeńców. Glorm krzyknął na swoich dartańskich wojowników, a gdy przystanęli, zatrzymał się i on. Skinął na dowódcę eskorty, dzielnego wojownika, którego dobrze znał, bo był echem „starych, dobrych czasów”.

— Skąd ich prowadzicie?

— Od przełomu Medevy.

— Północnego?

— Tak. Bawili się w wypadki do Londu, ale legia zdrowo pogoniła ich parę razy. Więc przeważnie tłukli się tylko z innymi.

Prowadzeni oberwańcy, poobijani, a niektórzy ranni, poowijani w jakieś brudne i pokrwawione szmaty, nadawali się do lazaretu, zdrowi zaś najwyżej do sprzątnięcia miasta.

— Zaprowadź ich do Melha, niech ich wypyta, a potem rozformuje. Część posłać do Grombu, resztę do Badoru. A starszyzna niech zostanie tutaj.

Dowódca oddziału wyraźnie ucieszył się, że Basergor-Kragdob nie widzi w łapserdakach godnych towarzyszy dla niego i jego zbrojnych.

— Tak, panie!

Rbit i Glorm poszli dalej, gromada zaś ruszyła swoją drogą, kierując się do twierdzy.

W ten sposób wkroczył do Rahgaru elitarny oddział Legii Grombelardzkiej, rozbrojony i prowadzony przez ludzi, których dowódca już od kilku lat pozostawał w służbie jej dostojności Pierwszej Namiestniczki Sędziego Trybunału. Wezwali go do działania trzej przybyli za Rbitem gwardziści, znający zresztą nie jednego, lecz co najmniej kilku dowódców i wojowników armii Króla Gór. Nie istniała żadna kryjówka, do której za kilka dni rzekomo mieli ściągnąć przebrani imperialni żołnierze. Ta wieść służyła wyłącznie odwróceniu czyjejś uwagi.

Ale przecież Arma nie zjawiała się znikąd. Siedziała w Grombelardzie od lat i nie wszyscy, którym płaciła, mieli ochotę wracać na niepewną służbę pod sztandarem Kragdoba i Kobala. Wodzów, którzy (a kto niby potrafił zaręczyć, że nie?) jutro mogli znowu udać się dokądś, może i z powrotem do Dartanu, zostawiając swoich podkomendnych na łasce losu — i namiestniczki Londu, w ogóle nie znającej się na żartach.

*

Oburącz rozepchnąwszy okiennice, Glorm oparł dłonie o ścianę po obu stronach okna i wyglądał w noc. Równie dobrze mógłby spozierać w głąb studni. Nie widział miasta ani górskich szczytów w oddali, nie było także nieba — tylko chłodna, wietrzna czerń, przesycona nieśmiertelną mżawką. Trwało lato i tylko dlatego pogoda wciąż dopisywała... Wiosną, a szczególnie jesienią, mżawka należała do rzadkości, zastępował ją deszcz, zwykle zmieniający się wieczorem w ulewę.

Tu i ówdzie migotał jakiś słaby ogień; trzeba było czasu i niejakiego wysiłku, by dostrzec te światełka, próbujące uciec przez szpary w niedomkniętych okiennicach lub dziury w porozbijanych ścianach domów. Kilka nieśmiałych ogienków — wszystko, co świadczyło o obecności rozumnych istot w tym mieście. Tylko tyle, nic więcej.

Jakby przecząc spostrzeżeniu, skądś, z daleka, dobiegł niewyraźny śmiech i piosenka, której melodii nie dało się odróżnić. Nie istniała tak niegościnna kraina, w której obdarzone rozumem przez Szerń istoty nie umiałyby śmiać się i bawić. Ponura noc w na poły zburzonym mieście wcale nie musiała być ponura.

Po raz pierwszy od bardzo dawna olbrzymi wojownik gór miał dość siły i czasu, by porozmyślać o tym, co osiągnął. Zaczął więc rozmyślać — i niezwłocznie przestał, bo chwycił go śmiech. Nie, nie dlatego, by uważał, że coś się nie udało; przeciwnie. Wszystko się udało i właśnie dlatego nie miał ochoty na dumanie.

Stał przy oknie i śmiał się bezgłośnie, a przynajmniej sądził, że bezgłośnie, bo zwinięty na swoim legowisku kocur nadstawił uszu, choć nie otworzył oczu.

— Glorm, przyjacielu — rzekł bardziej niewyraźnie niż zazwyczaj. — Mam cię ostatnio tak dosyć, że nawet nie chce mi się o tym mówić.

— Śpij — rzekł Glorm z uśmiechem. — Już jestem cicho, śpij.

Lecz kocur nie posłuchał. Usiadł i przez bardzo długą chwilę łowił uszami różne dźwięki nocy. Powstrzymał przyjaciela, który ruszył do stołu i pochylił się, chcąc zgasić olejowy znicz.

— Zostaw, może się przydać. Zaraz wrócę — powiedział. — Twoi Dartańczycy śpią na dole?

Glorm potwierdził.

— To ich obudź, a przede wszystkim pozbieraj swoją broń. Coś mi się

nie podoba. Nie wiem, co — uprzedził pytanie.

Wyszedł. Glorm sięgnął po kaftan i przypasał miecze. Zaraz potem zbiegł po schodach, przemierzył pustą izbę i zajrzał do drugiej. Głośno wyrzekł kilka słów po dartańsku. Zbudzeni wojownicy jęli zbierać broń.

— Czuwajcie — polecił.

Z powrotem wspiął się na na piętro i czekał.

Kocur wrócił pędem, nastroszony pomimo deszczu, który zmoczył mu futro.

— Nasze oddziały, gdzie? Prawe czy lewe domy?

Watahy opuszczały kwatery, ruszając na wyprawy, i wracały. Rbit nie pamiętał, który oddział trzyma tej nocy służbę u boku Kragdoba.

— Wschodnie — odparł Glorm, nie wdając się w rozważania, z jakiego punktu widzenia prawe albo lewe; choć raz udało mu się być bardziej konkretnym, niż kot.

— Sprowadzę. Bij się. Co najmniej kilkunastu — rzucił Rbit, kierując się ku oknu.

Wyskoczył w mrok.

Cokolwiek działo się wokół domu, było groźne; kocur nie zwykł wszczynać alarmu bez powodu. Glorm doszedł do wniosku, że jego przyjaciel na pewno jest szybki, ale miał jeszcze szybszego pośląca: własny głos. Nie namyślając się wiele, nabrał pełne płuca powietrza i ryknął:

— Aveges, Haaneth, do mnie!

Mógłby przebić głosem huk działowego strzału. Lecz sprowokował atak, którego zajadłości w ogóle się nie spodziewał. Kimkolwiek byli zaczajeni w mroku wrogowie, nie przerazili się nagłego alarmu. Nim przebrzmiało potężne wezwanie Kragdoba, na dole wszczął się ruch, trzasnęły drzwi, rozbrzmiały wrzaski, którym towarzyszył tupot nóg grzmocących wypaczone deski podłogi, a zaraz potem szcęk krzyżowanego oręża. Jacyś zbrojni wpadli do izb na parterze, wdając się w walkę z Dartańczykami i ich pocztowymi. Trwała tam zajadła rąbanina, nad którą nagle uniósł się przeraźliwy, dziki wrzask, wydarty z piersi wezbranej iście wisielczym humorem. Ktokolwiek krzyczał, czy też raczej wył, chciał wybębnić całemu światu, kto zabija, umiera, bądź żłobi właśnie w historii największy czyn, o jakim słyszały Ciężkie Góry:

— Gwaardiaaaa! Grom-be-lar-dzkaa!!

Na dole kogoś mordowano, przewracano sprzęty, walono o ściany. Gdzieś dalej, poza domem, rozbrzmiały nowe wrzaski, mnogie i groźne, ale na schodach załomotały kroki, niejedne. Basergor-Kragdob odskoczył od drzwi — i oberwał w łopatkę i ramię dwoma ciężkimi bełtami, wstrzelonym przez okno z dokładnością, o jaką na pewno mogli się pokusić elitarni kusznicy cesarscy. Jeszcze dwa pociski, mniej celne, łupnęły w okiennicę, w tej samej chwili huknęły drzwi, nieomal wyrwane z futryny przez paskudnego draba, który w żadnym razie nie pasował do zielono-szarej tuniki, przysługującej grombelardzkiemu gwardziście. Lecz w gębie mogącej być gębą obłąkańca, który skacze właśnie z mostu na łeb, szczyrzył się zalany krwią, pozbawiony przednich zębów uśmiech.

— Gwaar-diaa! — nieprzytomnie ryknął pomyleniec, z radością, która omal nie wyrwała mu z orbit błyszczących ślepiów. — Zabity podsetnik Vaahgeren!

Czekający nań w izbie jasnowłosy olbrzym, którego podwójne uderzenie masywnych pocisków niemal obróciło wokół osi, ni to padając, ni skacząc przed siebie, runął na gwardzistę i chwyciwszy w pól, zgniótł w ramionach tak, że słycać było trzask pękających żeber. Lecz wpadający do izby za swoim dowódcą żołnierz niósł w oczach ten sam płomyk wisielczego obłądu. Rycząc, bez namysłu, z impetem przebił mieczem plecy swojego podsetnika i napierając na broń całym ciałem, doprowadził jej ostrze do brzucha wielkoluda. Odepchnięty, czy też raczej odrzucony wraz z przebitym na wylot trupem, wypadł z izby równie szybko, jak wbiegł, niemal przewracając następnego, który, dla odmiany najwyraźniej śmiertelnie przerażony, ryczał nieustannie na jednym oddechu i wywijał toporem na oślep. Przeskoczył przez towarzysza, trafił żeleźcem w ościeżnicę otwartych drzwi, wyrwał je i uniósłszy broń oburącz, jął sztywno przewracać się na plecy, w miarę jak ugiwały się pod nim kolana. Tak samo do tyłu odchylała się głowa, niemal odcięta od tułowia wraz z szyją. Lecz ktoś chwycił topór, nim wysunął się z martwych rąk, i zaraz potem wielki jasnowłosy mężczyzna z mieczem w dłoni cofnął się, potknął i oparł o stół. Ciężka broń, rzucona z dziką siłą, nie obróciła się w powietrzu, trafiła go w pierś obuchem, lecz było to uderzenie odbierające dech. Z potrąconego stołu spadł oliwny kaganek i łakomy płomień natychmiast chwycił brzeg zarzuconego futrami

posłania.

Wpadający przez okno do izby wielki kocur niczym pocisk uderzył pędzącego za toporem gwardzistę. Żołnierz zawył, chwytając się za twarz, lecz jednocześnie niemal odruchowo odepchnął napastnika, odrzucając go aż pod ścianę. Sam także przewrócił się zaraz, bo do izby kolejno wpadli jeszcze trzej, potrącając go w zamieszaniu i niemal siłą wpychając na trzymane przez Kragdoba ostrze. Coś rycząc, a może śpiewając, gwardziści skłębili się w izbie, która zdała się dla nich za ciasna. By zobaczyć podobną zbieraninę, wystarczyło zazwyczaj odbić szpunt w beczułce słusznej gorzałki. Lecz ci ludzie nie upili się przed swoją ostatnią bitwą, byli tylko rozryczaną bandą straceńców idących na śmierć, o jakiej żaden nie śmiał marzyć. Wyznaczono im zadanie, z którym jakiegokolwiek inne nie mogło się równać, i jeśli szansa wyniesienia głowy widziała im się jak jeden do stu, to i tak było warto!

Rycząc „gwaardiaa!”, trzej pijani bliską śmiercią samobójcy miotali się po izbie, gotowi siec wszystko wokół, nawet siebie nawzajem. Jeden rzucił się na półżywego, opartego o stół olbrzyma i oburącz ciął mieczem przez bark, a popchnięty przez próbującego mu pomóc towarzysza stracił równowagę, upadł na wroga i zatopił zęby w wielkiej dłoni, która pochwyciła go za twarz. Gryząc, wybałuszając oczy i głucho wyjąc z samego dna płuc, półprzytomny wojownik próbował odskoczyć w tył i nie mógł, bo nie wiedział, że przeszkadzają mu w tym własne, spazmatycznie zaciśnięte zęby. W desperackim odruchu chwycił wroga za twarz, rozszarpał mu nozdrze, górną wargę i niemal urwał ucho, drąc je pazurami. Coś ciężkiego runęło mu na plecy, poczuł dziwne, bo niemal bezbolesne szarpnięcie po obu stronach szyi, a zaraz potem ugryziona do kości ręka odłamała mu żuchwę, drąc mięso w kącikach ust. Pośród strzelających pióropuszy jasnoczerwonej krwi odrażające monstrum z trzęsącą się gdzieś na grdyce dolną szczęką tłukło się po izbie, jakby brakło światła i walka toczyła się w mroku. Lecz przeciwnie, na blacie stołu wciąż chybotał się duży znicz olejowy, a mniejszy, strącony przed chwilą, coraz śmielej pochłaniał wielkie futro. W rozdygotanym, wielocienistym półmroku ogromny kocur jeszcze raz wyrznął w ścianę, rzucony na nią kopniakiem, odbił się wszystkimi łapami i zarobił w powietrzu pchnięcie mieczem, które niemal przybiło go do szerokiej piersi olbrzyma, osuwającego się plecami po krawędzi blatu, ten zaś

chyba zupełnie nieświadomie przytrzymał go ramieniem. Gdzieś na parterze domu wciąż łomotały padające ciała, walono w zabarykadowane drzwi; gdzieś za oknem wniebogłosy był zarzynany, a może rozrywany na strzępy człowiek, może kusznik, który wcześniej posłał w jasne okno swój niechybny pocisk. W izbie skrwawiony człowiek z przygarniętym do piersi kotem jeszcze raz wysunął przed siebie krótki miecz i zostawił, wbity w brzuch napastnika, po czym przegryzioną do kości ręką chwycił za gardło drugiego. Już nie puścił, bo nie mógł. Żołnierz kopał, szarpał przedramię grube jak własna łydka, wreszcie zwiotczał i skonał ze zgniecioną krtanią.

Wokół domu i w dolnych izbach nadal tłuczono się, szturmowano, wzmagaly się i słabły ryki — lecz w wielkiej izbie na pierze rozbrzmiewały tylko ciche, jakby żałosne westchnienia dygoczącego człowieka, zwiniętego w kłębek pod ścianą. Spod palców wciąż rytmicznie sikała mu krew.

Wczepiony zeszywniałą ręką w szyję trupa, Basergor-Kragdob zatoczył się w dziwacznym półprzysiadzie i uderzył plecami o ścianę, siadając tuż przy drzwiach. Nawet nie poczuł, że wbity w łopatkę bełt przeszedł przy tym na wylot; grot wylazł pod obojczykiem. Olbrzym wciąż trzymał wielkiego kocura — i nie mógł wypuścić, bo musiałby po prostu rzucić na podłogę ciężki bury kłęb przebity mieczem. Obejmując ramieniem okrytego futrem brata, który przez całe swoje życie nie gruchnął na ziemię jak bezwładny worek, nie odwracając spojrzenia od skaczących coraz wyżej płomieni, największy wojownik Szereru czynił nadludzkie wysiłki, by przesunąć się jeszcze bliżej drzwi. Wreszcie osunął się na bok i uderzywszy głową w ich otwarte skrzydło, sprawił, że się zamknęły. Rozszarpana zębami dłoń już nie zaciskała się na wrogim gardle, więc pochwycił stopę leżącego na podłodze trupa, przyciśniętego innym, i podciągnął się. Kawałek po kawałku, brudząc spódnicę odchodami, których nie mógł już utrzymać we wnętrzościach, pokonał jeszcze jeden, długi jak życie odcinek i zatarasował wejście ciałem ważącym tyle, co ciała dwóch innych ludzi. Dopiero wtedy odpoczął.

I wydało mu się, że rozmawia z Rbitem.

„Suka... i zdrajczyńi”.

Co usłyszałyby w odpowiedzi?

„Nie, Glorm. Wspaniała wojowniczką”.

„Tak uważasz?”

„Walczyła i wygrała. Każdy musi walczyć własną bronią. Ty mieczem, ja podstępem, ona kłamstwem... Zналиśmy jej broń i nie doceniliśmy. Wygrała uczciwie, Glorm”.

„Przyjaciółka...”

„Przyjaciółka przyjaciół, którzy wrócili i gotowi byli ją zabić”.

Basergor-Kragdob ogłuchł i oślepił, ale wydało mu się, że czuje ciepło rozbiegającego się płomienia. Zalewając bure futro krwią z przerąbanego barku, jął nagle uśmiechać się, bo coś mu przyszło do głowy. I powiedział... a raczej wydawało mu się, że powiedział; w istocie dźwięków nie dało się rozpoznać:

— Zazartujmy z nich sobie, Rbit... Będzie pożar... i tylko po jednej rzeczy da się poznać, kto tu naprawdę zginął. Zostaniemy nieśmiertelni... przyjacielu.

Znowu odpoczywał.

— Już nie upadniesz, mały bracie... Tylko... leż spokojnie.

Puścił nieruchome kocie ciało, które jednak nadal spoczywało mu na piersi, i uczynił ostatni wysiłek, by wysunąć z pochwy swój słynny długi miecz. Niezgrabnie rzucił go w stronę, gdzie, jak sądził, powinno znajdować się okno. Nie usłyszał uderzenia żelaza o ścianę i mogło to oznaczać... chociaż nie musiało... że miecz wypadł na zewnątrz.

Płomienie pod ścianą strzelały coraz wyżej, a w dolnej izbie trzech poranieni mężczyźni wciąż barykadowali drzwi, by dać czas kolegom-gwardzistom na piętrze.

Epilog

U schyłku grombelardzkiej zimy, przy kamiennej mogile strzegącej szlaku do Londu, zatrzymał się niewielki oddziałek. Tworzący go ludzie, choć dobrze uzbrojeni i odziani tak, jak jest to przyjęte w Ciężkich Górach, nie wyglądali na rozbójników. Dziwne. W przeklętej przez Szerń i ludzi krainie, Rahgar był miastem przeklętym po stokroć. Wyróżniło się tutaj nawzajem kilka setek przebiegaczy gór. Zburzone miasto, niczym jakaś turniejowa arena, podobna do dartańskiej, ściągało zbrojne watahy ze wszystkich stron świata.

Powody, dla których wszczynano w górach wojny, niemal zawsze były niepojęte dla przybysza z innej krainy, lecz tym razem nawet sami górale nie wiedzieli, z kim i o co właściwie się biją. W jednym z domów tego miasta zginął, jak powiadano, legendarny Basergor-Kragdob. Czy ta śmierć wycisnęła na mieście jakieś niezmywalne piętno? Mogło się wydawać, że tak. Ktokolwiek tu przyszedł, musiał zabić, lub zginąć. Najpierw każdy podejrzewał o zdradę każdego, obwiniano się wzajem, a następnie wyrzynano litości. Potem...

Potem poszły w świat niesłychane historie. Widziano Kragdoba i Kobala tu i tam. Mówiono o rannym dartańskim wojowniku, który wywlókł z płomieni dwa półtrupcy i zniknął gdzieś, a wraz z nim silny doborowy oddział. Opowiadano o mieczu Basergora-Kragdoba, znalezionym pod ścianą spalonego domu — ale ten miecz zniknął i nikt już go nigdy nie widział. Czy wrócił do właściciela? A na koniec, czy właściciel tego miecza na pewno był w izbie, do której przypuścili szturm przebrani za górskich wojowników gwardziści? Zwęglone resztki kości nie mogły udzielić na to pytanie odpowiedzi.

Wyrzynano się w Rahgarze, dowodząc toporami i mieczami swoich racji. Jedni chcieli czekać na powrót Króla Gór. Drudzy mieli go za martwego. Jeszcze inni znacząco kiwali głowami, pokazując drogę do Dartanu... Kragdob? Wiadomo, odjechał.

Nie zdarzyło się bodaj, by trafiły do przeklętego miasta dwie watahy, których wodzowie byli tego samego zdania.

I oto przy kamiennym kurhanie, kryjącym rzekomo ciało małej gwardzistki Kragdoba (czy to prawda, że była kobietą, którą skrycie kochał?) pojawili się... jacyś podróżni. Niemożliwe, by nie dotarły do nich

wieści, czym jest miasto, do którego wjeżdżają. Szukali śmierci? A może tylko legend?

Mogli znaleźć jedno i drugie.

Na czele oddziału jechał olbrzymi, choć mocno przygarbiony mężczyzna, okryty szarym płaszczem z kapturem. Dokuczliwy deszcz dawno już przemoczył go na wskroś; płaszcz ułożył się w ciężkie fałdy. Zakapturzony olbrzym pierwszy zatrzymał się przy kamiennym kopcu i wyglądało na to, że gotów jest wciąż od nowa, może nawet do samego zmierzchu, czytać wyryte na płaskim głazie najdziwniejsze epitafium. Ktoś, nie szczędząc trudu, wykuł w granicie:

POMYLIŁEM SIĘ

ZAPOMNIAŁEM

ZAPYTAJ MNIE JESZCZE RAZ

Towarzyszący wielkoludowi człowiek, będący chyba przewodnikiem, odważył się przerwać milczenie.

— Wasza godność — powiedział.

— Wiem, Ogenie. Już jedziemy dalej.

Rozdygotany, bardzo słaby głos, bez wątpienia należał do starca.

Lecz minęło jeszcze sporo czasu, nim naprawdę ruszyli.

— Jestem ci wdzięczny — ponownie odezwał się starzec. — Złoto, które ci dałem, w żaden sposób nie wynagrodzi twoich starań. Wszystko jest tak, jak mi opowiedziałeś.

Rozpijaczony kupiec, który raz jeszcze przedzierzgnął się w obieżyświata-awanturnika, szukającego przygód na bezdrożach, pokiwał lekko głową, bo zgadzał się z tym, co powiedziano. Już sto razy zadał sobie pytanie, co właściwie skłoniło go do wyruszenia w tę podróż. Pieniądzy miał dosyć i na pewno nie musiał ich pomnażać z narażeniem życia. Przychodziła mu do głowy tylko jedna odpowiedź, a mianowicie taka: był starym poczciwiną, nieprawdaż, oto wszystko. Bardzo chciał, lecz nie umiał odmówić prośbie stojącego nad grobem człowieka, który przyszedł doń z najważniejszą sprawą swego życia. Ów człowiek szukał kogoś, kto zdoła dowiedzieć się, gdzie jest grób jego syna i zechce towarzyszyć ojcu-pielgrzymowi w ostatniej podjętej podróży.

Tamenath przyjechał do Rahgaru po garść popiołu z pewnego spalonego domu.

Ogen dowiedział się wszystkiego, co trzeba. Może nawet dowiedział

się za dużo, bo mógł przytoczyć bez mała wszystkie bajania i legendy narosłe wokół ostatniej — o ile przecież naprawdę ostatniej — walki Basergora-Kragdoba.

Jednak pośród tych, którzy powątpiewali w śmierć władcy Gór, nie było Tamenatha. Stary mędrzec-Przyjęty uważał, że jego syn na pewno nie żyje. Nie pytał o to Pasm Szerni, bo nie mogły udzielić odpowiedzi. Ale sądził, że Glorm naprawdę nie żyje, bo tak było... właściwie. Zgodnie z kolejną rzeczą.

Jechali pustymi ulicami, spowici zaduchem śmierci. W zaułkach, w ruinach, gniły doczesne szczątki wojowników gór, którzy wymordowali się w tym mieście w imię ponurej legendy. Niektórym urządzono pochówek; wielu innym nie.

W ślad za Tamenathem i Ogenem, uważnie rozglądając się dokoła, jechało sześciu ludzi, których postawa dobitnie świadczyła, że nie mają skóry strachem podszytej. Lecz w oczach każdego migotał ognik niepokoju. Ci świetni wojownicy nie bali się orężnego spotkania z kimkolwiek, lecz gotowi byli wierzyć w klątwę albo urok. Napiętnowane miasto budziło w nich wyczuwalny niepokój. Mogli walczyć z każdym i gdziekolwiek — byle nie z upiorami i nie tutaj.

Spotkali jednak nie upiory, a ludzi.

Od małego ryneczku, otoczonego samymi ruinami, nadciągała orężna grupa, przybyła tu w poszukiwaniu... no właśnie, czego? Co wabiło w to miejsce wciąż i wciąż nowe watahy? Czy Grombelard naprawdę miał przemienić się z czasem w pustynię, gdy ostatni z jego mieszkańców skonał w deszczu, na jednym z małych rahgarskich placyków?

Dowódca zbrojnych, w asyście kilku przybocznych drabów, zdecydowanym krokiem zmierzał na spotkanie konnych przybyszów. Lecz nim otworzył usta, Ogen zatrzymał konia i osłonił się kilkoma słowami, niczym tarczą — była to zaś tarcza mogąca przydać się w boju... albo nie.

— Pamiętaj i nie zdradź! — rzekł dobitnie.

Jeśli bał się, to nie było tego widać.

A bał się w samej rzeczy. Bo stanął u celu podróży i nie chciał głupio zginąć, a mógł. Jego sędziwy zleceniodawca otrzymał od kogoś dar, lecz wartości tego daru nie dało się oszacować. Aż do teraz.

Herszt bandy zatrzymał się i podniósł rękę do góry, nakazując swoim

zbirom, by się zatrzymali. Z zagadkowym, trochę kpiącym, a nawet szyderczym uśmiechem, długo i uważnie przyglądał się Ogenowi, po czym przeniósł wzrok na olbrzyma w płaszczu z kapturem. Patrzył i patrzył, aż nagle uśmiechnął się szerzej, choć cokolwiek krzywo.

— Pamiętam i nie zdradzę — odrzekł ni to groźnie, ni wyzywająco, ale gdzieś na samym dnie słów pobrzmiwał skrywany respekt.

Ogen liczył w myślach i liczył, aż bez mała się spocił, ale nawet matematyk, któremu towarzyszył, nie umiałby chyba oszacować, jaka właściwie była szansa, że wódz napotkanej w Rahgarze bandy będzie służył namiestniczce Armie. Może nawet nie była taka mała, nominalnie służyło jej wielu... Lecz na pewno nie służyli dla honoru i chwały. Każdy z nich mógł się okazać rzetelnym sprzymierzeńcem — albo nie, zależnie od okoliczności. Bycie sprzymierzeńcem musiało się opłacać i nie wiązać z nadmiernym ryzykiem. Pomyślawszy o tym, Ogen niezwłocznie wydobył z sakwy przy siodle nieduży, ale ciężki woreczek. Rzucił go mężczyźnie. Ten pochwycił zręcznie.

— To od Krehiri — powiedział niegłośnie, tak żeby nie dosłyszeli podkomendni rozmówcy.

— Jakież rozkazy?

— Nie.

— A co to za ludzie?

— W jej służbie — krótko odrzekł Ogen, pragnący w ogóle mówić jak najmniej, bo hasło przekazane Tamenathowi przez namiestniczkę Londu było wszystkim, co chroniło jego skórę; nie chciał gadać za dużo, bo mógł palnąć głupstwo.

— Czego tutaj chcecie?

— Zobaczyć Dom.

Jak Grombelard długi i szeroki, nie mówiło się inaczej, tylko „Dom”.

Rozbójnik wciąż krzywił gębę w uśmiechu.

— A potem?

— Zaraz odjedziemy, nieprawdaż. Jeszcze dzisiaj.

— I to, niby, z rozkazu Krehiri?

Ogen nie odpowiedział. Okazało się, że słusznie uczynił, bo jego milczenie zdeprymowało rozmówcę. Ten człowiek nie był wcale tak pewny siebie, jak próbował okazać.

— No to jedźcie.

— Niech któryś z twoich poprowadzi — rzekł Ogen. — Nie będę gadał z każdym, kogo spotkam. Ty wiesz, co trzeba i nie musi wiedzieć nikt więcej, nieprawdaż.

Mężczyzna skinął głową, zwrócił się do czekających z tyłu zbrojnych i wydał krótkie polecenie. Wkrótce oddziałek jechał dalej, poprzedzany przez dwóch przewodników.

Drobny deszcz, niesiony wiatrem, padał równo, nieustannie, dokuczliwie.

Do osmalonych ruin Tamenath wkroczył sam. Nie towarzyszył mu Ogen, ani żaden z sześciu najemników. Z jakiegoś powodu wszyscy byli pewni, że olbrzymi starzec bardzo krótko zabawi na pogorzelsku. Nie padło na ten temat ani jedno słowo, a pomimo to nikt nie zsiadł z konia.

Jednoręki wielkolud z wielkim trudem, zgarbiony, sforsował pryzmę czarnych gruzów. Nie istniało piętro, z kamienicy pozostały tylko resztki wypalonych ścian. Nic tu nie mogło pomóc w odtworzeniu zdarzeń, które miały miejsce przed pół rokiem.

Tamenath powoli usiadł na szczerbatym murku, który kiedyś był wewnętrzną ścianą. Uniósł dłoń i zsunął z głowy kaptur, odsłaniając straszliwie oszpeconą, potworną twarz człowieka, którego skórę spalił żywy ogień. Rozległe blizny zdeformowały nos i policzki, jedno z przylegających do nagiej czaszki uszu prawie nie istniało; pozostała zeń tylko nieforemna bryła. Po raz drugi odrzucony przez zawieszony nad światem moce mędrzec sumiennie spłacił zaciągnięty kiedyś dług. Ale niczego nie żałował, bo w całym swoim nieprawdopodobnie długim życiu uczynił tylko jedną rzecz naprawdę piękną i ważną. Mógł się teraz śmiać z równowagi, z Praw Całości i wszystkich innych, bo zakpił z nich sobie najwspanialej, zakpił tak, jak może zakpić tylko istota rozumna, niedoskonała, mająca swoje uczucia i płynące z tych uczuć kaprysy. Nie mógł zapobiec temu, co spotkało jego syna, ale za to pewnej kobiecie mógł darować — i darował — urodę, zdrowie, zabrał zaś cierpienie. Nie dość, że zabrał, to jeszcze wziął na swoje barki, co okazało się wkrótce... Ale było warto, bo ta kobieta nosiła w sercu to samo, co olbrzymi mężczyzna o imieniu Glorm. Stary Przyjęty pokochał jasnowłosą, młodą (bo przecież tak bardzo młodą!) kobietę, dzięki której wszystko, co uczynił jego syn, miało sens. Znalazł coś, czego przez całe życie daremnie poszukiwał Władca Ciężkich Gór.

Zamknąwszy w wielkiej dłoni mały, popękany od żaru kamyk, sędziwy wielkolud wrócił do oczekujących go towarzyszy. Był jedyną istotą na świecie, która pojęła znaczenie napisu, wykutego na kamiennej mogile przy szlaku wiodącym do Londu. Nie musiał już jechać do dalekiej wioski, zwanej Bezpowrotem albo Jarem, gdzie w wilgotnej jaskini oddała życie jedyna kobieta, którą kochał Basergor-Kragdob, największy wojownik Szereru. Żywa i krocząca machina, przeznaczona tylko do osiągnięcia celów, zatrzymała się kiedyś i coś znalazła. Coś, a może kogoś.

Tamenath, odrzucony przez Szerń, a potem Wyklęte Pasma lah'agar, ukrył mały czarny kamyk pośród granitowych złomów, tworzących bezimienny kurhanik przy dzikim trakcie grombelardzkim, w imieniu syna udzielając właściwej odpowiedzi na pytanie, zadane trzeci i ostatni raz.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Mapa](#)

[Prolog](#)

[Część pierwsza. Wierni przyjaciele](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[Część druga. Śmiertelni wrogowie](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[Epilog](#)